2015

Stefan Bratkowski

NIECO INNA HISTORIA POLSKI

Nakładem

Studia Opinii

NIECO INNA HISTORIA POLSKI

1. SKĄD JESTEŚMY

Zdumiał mnie głos młodego autora w naszym „Studio Opinii" (studioopinii.pl) - demonstracyjne lekceważenie, prawie pogarda, objawione przeszłości własnego narodu i państwa! Uświadomiło mi to, że jego pokolenie zrażano do historii Polski i w szkole, i w telewizjach. Poznawali kraj nieszczęść, historycznego pecha, ciągłych krzywd historycznych i zarazem kraj nieudanego narodu, nieumiejącego sobie radzić z historią. Gorzej: mój znacznie młodszy kolega, zaprzyjaźniony ze mną, błyskotliwie inteligentny erudyta historii kultury, potrafił napisać:

„Po raz pierwszy w dziejach ludzkości Polska, Litwa, Białoruś, Ukraina, Słowacja i Czechy są samodzielnymi podmiotami politycznymi, to znaczy państwami narodowymi (...) Nigdy dotąd tak nie było (...) Zawsze były pod czyimś zaborem lub – co najmniej – kuratelą".

Mojego młodszego kolegę w takich bredniach wyedukowała, niestety, szkoła i poniektórzy pisarze historyczni. I on nie wie niczego o historii własnego kraju, któremu paręset lat Europa zazdrościła pokoju i porządku! Po części też dla niego to piszę. Choć, przede wszystkim dla tych, o których myśleć przyjemnie – dla tych, którzy pod Szczekocinami na wiadomość o katastrofie kolejowej pobiegli natychmiast, niewołani, ratować i pomagać. Dla tych, którzy zbierają, i tych, którzy płacą pieniądze dla Orkiestry Świątecznej Pomocy. Dla wolontariuszy, którzy uczynili turniej Euro tak sympatyczną imprezą, i dla tych polskich kibiców, którzy ku zdumieniu Czechów i czeskich piłkarzy po ich wygranej z Polakami dopingowali ich w następnym meczu i darzyli sympatią niemal braterską. Wszyscy tacy Polacy otwierają swoim zachowaniem nową historię naszego kraju – dalszy ciąg historii, którą tu im spróbuję opisać. Bez podbijania narodowego bębenka, ale i bez pogłębiania kompleksów.

Historia jest dla mnie czymś osobistym: kiedyś sam brałem w niej bardzo czynny udział, sporo widziałem i sporo przeżyłem, choć na pewno nie tyle, co główni bohaterowie tych czasów, byłem tylko jednym z wielu – razem z innymi. I razem udawało się nam coś zrobić. Członkowie mojej rodziny – zwykłej polskiej rodziny – byli takimi jednymi z wielu wcześniej ode mnie. Jak dawno? „Dawno" to pojęcie względne: starszy brat mojego pradziadka był dwieście lat temu z armią Napoleona pod Moskwą i wrócił cało; ja brałem udział w ruchu, który cało zakończył złe stosunki z Moskwą. Przeszłość nie jest więc tak odległa, a nawet jakby rozciągliwa... Ten brat pradziadka pisał w roku 1860 o samorządzie chłopów to, co ja sto lat po nim, i moje poglądy brzmiały równie, a może nawet bardziej wywrotowo, niż to samo sto lat wcześniej.

W ogóle nic nie było „tak dawno". Przed tysiącem lat dała początek Polsce (w trybie nie do naśladowania) ziemia nazwana potem Wielkopolską, w łacinie „Polonia Magna", Polską raczej „starszą", niż większą. Na przełomie XIX i XX wieku chłop z tej Wielkopolski, pan Tomasz Skorupka, rolnik z zamożnej okolicy o bardzo żyznych glebach nad rzeką Obrą, wychował syna tak, że wyrósł z niego profesor Helsztyński, a to był najwybitniejszy przed drugą wojną światową polski znawca literatury anglosaskiej, profesor krajowych i zagranicznych uniwersytetów. I za namową syna pan Tomasz spisał swoje wspomnienia.

Nie był jakimś nieszczęsnym wiejskim prostakiem, z tych, co uciekali od swej biedy za ocean i stawali się tam żerem amerykańskich, prześmiewczych dowcipów, „Polack jokes" (takich, jakie XIX-wieczni Szwedzi opowiadali o Norwegach). Pan Tomasz przestudiował księgi parafialne swej rodzinnej wsi, znalazł w nich przodków swego nazwiska aż po pierwsze lata XVII wieku i takim opatrzył to komentarzem:

"...gdyby te księgi założono od początku istnienia osady, to miałbym na papierze dowód, że i Skorupkowie, i inne dzisiejsze rody, siedzą tu od samych królów Piastów, a dokumentnie od czasu Bolesława Śmiałego (króla Polski - przyp. SB), co w XI wieku klasztor w Lubiniu z Awdańcami (możnowładcami z tej okolicy) fundował. My przynależymy od wieków do tej ziemi, a ziemia do nas".

To nie przypadek. Córka mojego znajomego, zaprzyjaźnionego ze mną Kaszuba, w trzecim już pokoleniu fachowca od ochrony brzegów morskich, Justysia Kur, pisała pracę magisterską z historii o księgach parafialnych klasztoru w pobliskim Żarnowcu. Cofając się w tych księgach pokolenie za pokoleniem, spotkała rodzinę swoich przodków, bogatych, wolnych Kaszubów, Kurów, na przełomie XVI i XVII wieku. Gdyby te księgi prowadzono wcześniej, byliby tam Kurowie prawdopodobnie już w XIV wieku – w innym niż dziś Żarnowcu, bo klasztor cystersek wznosił się na wysokim brzegu zalewu, wtedy chroniła zalew od morza mierzeja, dzisiaj były zalew przykrywają łąki na ziemi, którą naniosła płynąca w sąsiedztwie Piaśnica... Kiedy studiowałem historię królewskiej żupy solnej w Wieliczce, trafiłem na listę 120 „stań", dziedzicznych miejsc pracy w kopalni, oznaczono je u przełomu XIV i XV wieku nazwiskami i rodzinnymi przezwami ich wolnych właścicieli – wszystkie je po 600 latach znalazłem w książkach telefonicznych Krakowa, Wieliczki i Bochni! Nazwisko mojego nieżyjącego już przyjaciela, wspaniałego taternika i ... konspiratora, naszego „kontaktu" przez góry aż z Węgrami, Wojciecha Niedziałka, po raz pierwszy pojawiło się w dokumentach XIII wieku jako bodaj najstarsze zanotowane polskie nazwisko. Piotr Komorowski, kawał awanturnika, w XV wieku zrobił ze Spisza, Orawy i sąsiedztwa swoje małe państewko, w XVIII wieku panna Komorowska była dla magnackiej rodziny narzeczonego kimś *minorum gentium*, dziś kuzynka Komorowskich jest... królową belgijską. Nasz humorysta i aktor estradowy, Krzysztof Materna, nosi bardzo rzadkie kaszubskie nazwisko – i oto Gdańsk na przełomie XV i XVI wieku miał braci Maternów, gdańskich kupców, okrutnych rozbójników i piratów (bliższe o nich dane spotkałem we wspaniałej „Encyklopedii Gdańskiej" pod redakcją mego przyjaciela, Cezarego Windorbskiego). W księgach miejskich Poznania spotkałem trzysta rodzin Szkotów, przyjętych do prawa miejskiego w XVII wieku. Znakomity kardiolog, prof. Budaj, nosi nazwisko po jakimś osiadłym w Polsce Węgrze. Wielki historyk, prof. Samsonowicz, to chyba właśnie po jakichś XVII-wiecznych Szkotach...

Składają się na Polskę żywioły najrozmaitszych gatunków. Znam to z własnej rodzinnej genetyki. Przed laty jako reporter dotarłem do ostatniego w Polsce, ślicznego, małego, wiejskiego meczetu muzułmańskiego w Kruszynianach, na dzisiejszej wschodniej granicy Polski, za Krynkami, i wyszedł do mnie mułła, nazwiskiem Bajraszewski, potomek tutejszych, spolonizowanych od stuleci Tatarów. Jego fizys – to była skóra zdarta z mojej babci, warszawianki, z domu Nowak! Albo któryś z Nowaków, warszawskich mieszczan, ożenił się z polską Tatarką, albo sam był polskim Tatarem, kimś w Warszawie nowym, przybyszem, więc „Nowakiem"... W zamożną, warszawską rodzinę tych Nowaków, jak przypuszczam, wżenił się mój dziadek. Mój pradziad, już bez swoich chudych dwóch wioszczyn, wychował go na mieszczanina, fachowego księgowego, który został wysoko płatnym „rachmistrzem" Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Starszy brat dziadka, żołnierz „partii" dziadka Wisławy Szymborskiej w Powstaniu Styczniowym, wykształcony

jako inżynier, po latach praktyki został dyrektorem potężnej huty Klimkiewiczów w Ostrowcu Świętokrzyskim. Brat babki, inżynier Nowak, u boku naturalizowanego angielskiego fachowca, Lindleya młodszego, jako kierownik jakiegoś odcinka robót budował filtry warszawskie.

Moja pierwsza żona była z pochodzenia Tatarką, widać to było nie tylko po jej fizjognomii, nawet nazwisko miała tatarskie, od miejsca, gdzie przed wiekami osiedli na Lubelszczyźnie polscy Tatarzy. Jeden zresztą z najpopularniejszych swego czasu aktorów amerykańskich, Charles Bronson, Karol Buczyński, potomek spolonizowanych Tatarów, zawsze podawał swoje oryginalne polskie nazwisko, kiedy nie było to wcale w Ameryce modne; dzięki swej fizjognomii grywał też... Indian. Moja koleżanka po fachu, a przyjaciółka od lat dziecinnych, współtwórczyni radiowych „Matysiaków", Dżenet Połtorzycka, nawet imię nosi tatarskie, jak i jej siostra, Zaira, które to imiona im nadał ojciec, pan Ali Połtorzycki, bankowiec, nasz sąsiad z domu w przedpowstaniowej Warszawie, muzułmanin. Moja koleżanka lat chłopięcych, śliczne dziewczątko z rodziny o pięknym polskim, zdawałoby się, nazwisku Dzianotów, nie wiedziała, jak i ja, że nosi je po XVII-wiecznym, włoskim przedsiębiorcy i bankierze, działającym w Zagłębiu Kieleckim, Jakubie Janottim... Mój przyjaciel, Grzegorz Gauden, ma XVII-wiecznego przodka Szkota, Johna Gaudena, przyjaciela ściętego króla Anglii, Karola I... Moja druga od 48 lat żona wywodzi się z rodziny przybyłych do Polski w XVIII wieku Ormian. A przecie polonizowali się u nas Litwini, Rusini (dzisiejsi Ukraińcy i Białorusini), Czesi, Niemcy z różnych krain niemieckich, Węgrzy, Włosi, Tatarzy, Ormianie, Łotysze, potem i owe setki Szkotów, Francuzi, Gruzini, Szwedzi, Szwajcarzy, wreszcie – Rosjanie, słowem, najrozmaitsi przodkowie dzisiejszych Polaków, jak i dziadek mego nieżyjącego, ukochanego przyjaciela, poety i humorysty, Jurka Afanasjewa. I żyły przez wieki w Polsce setki tysięcy Żydów, którzy chronili się w dawnej Polsce, uchodząc od prześladowań na Zachodzie Europy. W XX wieku liczyli się już na miliony. Wiele ich rodzin, po chrzcie przyjętych do herbów szlacheckich, spolonizowało się całkowicie, a potomkowie nawet nie wiedzą o pierwotnym pochodzeniu rodziny. Hitlerowcom, na szczęście, nie przyszło do głowy szukać Żydów pomiędzy rodzinami szlacheckiego pochodzenia. Polaków mordowali na osobny rachunek. Żydzi polscy po wiekach współżycia z Polakami sami byli tak z nimi przemieszani, że wielu nie miało nawet śladu semickich rysów, i takich podczas okupacji hitlerowskiej było nieporównanie łatwiej ratować fałszywymi dokumentami...

Znam nazwiska co najmniej dwudziestu rodzin, potomków owych XI-wiecznych Awdańców z okolic Lubinia. Moja pamięć rodzinna, jak zwykłem powiadać, sięga XIII wieku, dobrze więc pamiętam ten wiek XIII z jego zawiściami i mądrością samorzutnego jednoczenia się kraju. Jeden z moich przodków był tam, w Wielkopolsce, w XIII wieku arcybiskupem; szczęśliwie – bardzo mądrym. Ale już on, Jakub zwany „Świnka", i jego brat kasztelan wcale nie pochodzili z Wielkopolski, lecz z Dolnego Śląska, a późniejsi ich wielkopolscy potomkowie nawet nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywali. Dziwna przezwa rodowa wiodła się najpewniej od „świńca", czyli ołowiu, który to świniec - w pięknym, starym fachowym języku - „odganiano" od srebra. „Odganiano" nad śląską srebronośną Świną, tam ci lepsi Świńcowie, pozostali na miejscu, zbudowali sobie nawet zamek! Sto lat później przyszły herby – nie z samej tylko próżności „stanu rycerskiego", lecz dla bardzo przyziemnej potrzeby: wymagały ich pieczęcie, przybijane na umowach kupna, sprzedaży, dzierżawy lub darowania jakichś majętności. Ci Świńcowie z Wielkopolski najwyraźniej herbu nie mieli, źle odczytali łaciński zapis „Suinca" jako „Świnka", już nawet nie znali nazwiska tych Świńców, żadna ciągłość jak widać się nie utrzymała. Sprokurowali sobie do pieczęci wymyślony herb z łbem dzika, czyli dzikiej świni; uszlachetnili go banialuką legendy, jako że domowe świnki szły tylko na rzeź. Widocznie dość późno się czegoś

dorobili i dość późno potrzebowali pieczęci… Ich dalsi potomkowie, herbowi Świnkowie, pod tymi dorobionymi głupio herbami rozeszli się wieki temu po całym kraju, zbiednieli i musieli sami starać się o siebie. Kilkadziesiąt rodzin dzisiejszych potomków tych Świńców, poza kilkoma nieszkodliwymi snobami, nigdy się do swych przodków nie odwoływało, a nawet o nich nie wiedziało, i kończyło zainteresowania rodzinne na imionach co najwyżej dziadków - podczas gdy każda prawie rodzina chłopów dzisiejszej Wielkopolski czy Kaszubów ma za sobą jak Skorupkowie i Kurowie ciągłość zamieszkania i nazwiska co najmniej kilkusetletnią, zarejestrowaną w księgach parafialnych (jeśli się uchowały). A świat jest mały – dziadek Wisi Szymborskiej, ów dowódca oddziału partyzanckiego w Powstaniu Styczniowym, którego grobu z Wisią szukaliśmy, o mało nie rozstrzelał owego starszego brata mojego dziadka, przyszłego inżyniera, który się zestrachał na polu bitwy; miejscowy komitet obywatelski wstawił się za tchórzem i w następnych potrzebach młodzian wyróżniał się już odwagą… Przodek Wisi, jej nazwiska, wtedy jednak zanotowany jako – Szumborski, dowodził w Wojnie Trzynastoletniej, w XV wieku, najemnikami krzyżackimi; przeszedł na stronę polską i najwyraźniej – został potem w Polsce. Choć więc nie jesteśmy z jednego ula, zamanifestują tu i następne rozdziały, że mamy ciągłość, każdy z nas tutaj, zaś wszyscy razem, tu, na ziemiach naszych, ciągłość liczoną w … tysiącleciach. Z bardzo różnymi, wspólnymi przodkami.

Lata czterdzieste XX wieku, lata drugiej wojny światowej i powojennej zawieruchy, przetopiły Polskę w nowy amalgamat. Ponad trzy czwarte Polaków, tych średniego pokolenia, nie mieszka tam, gdzie mieszkali ich rodzice. Niemcy hitlerowskie podczas drugiej wojny światowej obróciły w perzynę półtoramilionowe miasto, stolicę Polski, Warszawę. Ta sama wojna unicestwiła fizycznie trzy wielkie dziś miasta, Wrocław, Gdańsk i Szczecin, do 1945 roku niemieckie, na ziemiach, które przypadły Polsce. Przymusowe migracje wojenne i powojenne objęły pół narodu. Tylko tych, co musieli opuścić dawne ziemie państwa polskiego, leżące za Bugiem, było dwa razy tyle, co wszystkich Litwinów… Wymieszały się w rezultacie ze sobą najrozmaitsze żywioły dzielnicowe. Poza Wielkopolską, Kaszubami i wsią Polski centralnej, poza górnikami Górnego Śląska i Zagłębia nikt prawie nie został na miejscu, a przecież hitlerowcy przesiedlali i z Wielkopolski ludzi wykształconych na wschód, najwybitniejszych rozstrzeliwując lub wieszając publicznie na miejscu, bez sądu, wedle z góry przygotowanych list proskrypcyjnych.

Całe formujące się na nowo po drugiej wojnie światowej społeczeństwo, a już na pewno całe moje pokolenie, to ludzie zwani z amerykańska *self-made-manami*, „takimi-którzy-zrobili(stworzyli)-samych-siebie”. Obaj z młodszym bratem, zanim trafiliśmy do niezwykłego Domu Młodzieży z republiką trzystu chłopców i dziewcząt, w trzy lata jako mali chłopcy przeszliśmy po spaleniu Warszawy dziewięć różnych miejsc zamieszkania i noclegów, z niektórych samiśmy uciekali. Jak całe pokolenie, wszystko w życiu zawdzięczaliśmy sami sobie, nie dziedziczyliśmy poza mądrością naszej matki niczego, ani majątku, ani związków rodzinnych, ani stosunków. Musieliśmy odzyskiwać zresztą i przeszłość. Powiadał mój inny przyjaciel przed ponad 50 laty, w kilkanaście lat po zakończeniu wojny, że u nas w Warszawie nawet i trawa nie ma dwudziestu lat. I tak wtedy, za mojej młodości, naprawdę było…

Władze sowieckie po drugiej wojnie światowej narzuciły Polsce władzę, która miała przeprowadzić u nas rewolucję społeczną - zdegradować dotychczasowe warstwy wyższe, do władzy windując ludzi z warstw niższych. Dało to skutek odwrotny: wszyscy Polacy zostali „szlachtą” - w sposobie bycia i myślenia warstwy wyższej…

Dopiero po latach miałem odkryć, kto i jak „uszlachcił" cały naród polski – bo nie dopiero teraz. Mnie samemu, wtedy młodemu reporterowi, pierwszy to polskie szlachectwo uświadomił - ojciec czeskiej filmowej „młodej fali", patron pokolenia Milosza Formana, reżyser Jirzi Weiss. W roku 1960, jakiś czas po Październiku Polskim 1956 r., kiedy w Czechach stalinizm zwolna dopiero łagodniał, zgadało się w Pradze o pobratymstwie naszych narodów i Weiss prawie się żachnął:

- Jakie tam pobratymstwo... My jesteśmy naród plebejski, a wy naród szlachecki.

Zaprotestowałem. W Polsce, to prawda, było szlachty procentowo grubo więcej, niż w Anglii, Francji czy Niemczech, ale nie więcej niż jedna piąta, jej potomkowie to dziś może więcej niż jedna czwarta, jedna trzecia Polaków, którzy jednak nawet o tym nie wiedzą. Jirzi skrzywił się:

- Nie to miałem na myśli. My mamy dwie twarze, jedną dla siebie, drugą dla władzy (tu zrobił specyficzny ruch dłonią - dłoń odwrócona wewnętrzną stroną do mnie było twarzą dla władzy, odwrócona do niego - twarzą dla siebie). I dla nas, plebejuszy, to jest normalne. Z silniejszymi nie można inaczej. A wy - dodał nie bez pewnej dobrotliwej ironii - jak wam każą kłamać, to robicie rewolucję.

Polski Październik młodzieży 1956 roku był rzeczywiście w dużym stopniu buntem przeciw kłamstwu... Weiss ciągnął dalej:

- ...Bo u was każdy jest szlachcic (Weiss, mówiący po czesku, znał to polskie słowo). I chłop jest szlachcic, i robotnik jest szlachcic. Bo u was do każdego trzeba mówić jak do „pana brata", ne je to tak?

Tak, i to prawda - tzw. „szlachecki punkt honoru" rządził całą Polską, którą znam. W bardzo drobnych nawet sprawach, niezasługujących na historię. Pamiętam sprawę rzeźnika w małym miasteczku, właściciela stojącej pustką, solidnie zbudowanej stodoły o rozmiarach przestronnego magazynu. Miejscowa władza „ludowa" chciała tam ulokować - remizę strażacką. Rzeźnik byłby dał straży budynek i darmo, ale zastrzegł się, że mają go o to - poprosić. Gdyby mu chcieli zabrać, prędzej spali, niż odda. Władza „ludowa" ani myślała prosić kogoś obcego klasowo - oświadczyła, że gdyby rzeźnik odważył się stodołę spalić, to go wsadzą. I wywłaszczyła go formalnie w akcie rewolucyjnej niesprawiedliwej sprawiedliwości. Po czym rzeźnik – spalił niedoszłą remizę i sam zgłosił się do aresztu, oświadczając – „a mówiłem, że trzeba było poprosić".

Mało kto dzisiaj orientuje się, że w czerwcu roku 1956 robotnikom poznańskim w ich pierwszej ulicznej demonstracji nie chodziło wcale o same płace. „Socjalistyczny" reżim, który zakończył demonstrację strzelaniem do nich, już wcześniej ukazał swą twarz. Robotnicy czekali trzy dni, dzień pod dniu, aż przyjedzie na rozmowy zapowiedziana delegacja rządowa, i protestowali - przeciw obraźliwemu lekceważeniu. Bo skoro władza obiecała, to policzkiem było nie dotrzymać słowa. Jirzi Weiss miał po stokroć rację. Choć, nie ukrywajmy, ten wysoki „szlachecki punkt honoru" owocuje też i przesadną drażliwością osobistą, próżnością oraz typową dla dawnej szlachty, nie tylko polskiej, kłótliwością i awanturnictwem. Co obserwujemy do dzisiaj.

Tak więc nie jesteśmy ani zdyscyplinowaną demokracją, jak dawniejsza angielska, ani tłumem, reagującym stadnie wedle reguł psychologii tłumu. Byliśmy i jesteśmy

konglomeratem rozmaitych odmienności, tyle, że w chwilach trudnych brał górę swoisty zbiorowy zdrowy rozsądek, spójna mądrość powszechna, niekiedy wznosząca się do miary społecznego cudu. Po chwilach trudnych zdrowy rozsądek rozpadał się na tysiące sprzecznych ze sobą tendencji i ambicji, czasem niwelujących osiągnięty efekt – po „cudzie polskim" 1989 roku obserwujemy to u nas i dzisiaj. Choć przez ostatnie sto lat nieźle, jak było trzeba, dawaliśmy sobie radę z historią...

Pisałem pierwszą wersję tej historii w zgoła nowej sytuacji, zarówno kraju, jak całej Europy. Uwolniliśmy się wówczas, rzec można, od historii – i to sami, choć nie bez pomocy przyjaciół i nie bez zrozumienia ze strony przewidującego nowego wodza sowieckiego. Historia bowiem, jak powiada mój przyjaciel Sławomir Popowski, w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku otworzyła Polakom szczególne okienko czy też furtkę do wolności – w Rzymie polski papież, największy autorytet nie tylko moralny nie tylko świata katolickiego, i nieustępliwy wobec państwa sowieckiego prezydent Stanów Zjednoczonych, Ronald Reagan, a w Sowietach po serii starców o skamieniałych sercach i umysłach nowy przywódca z otwartą głową, Michaił Gorbaczow. Wykorzystaliśmy ten krótki, sprzyjający czas – w pokojowym trybie dokonaliśmy zmian, które w swych konsekwencjach zmieniły nie tylko nasz kraj, ale i kawał świata. Po hiszpańskim „cudzie" pokojowego usunięcia frankizmu, po „cudzie" portugalskiej, też pokojowej „rewolucji goździków", cudach obalenia dyktatur bez przelewu krwi, nazwano i te nasze zmiany „cudem", „cudem polskim". I słusznie. Uwolniliśmy się zaś nim właśnie od dotychczasowej historii. Od tej historii, w której musieliśmy eksponować nieustannie naszych zdolności wojenne. Te wzory to jednak mało, kiedy wypada sensownie pracować dla kraju i dla siebie. Nikogo zaś bohaterowie spóźnieni na barykady nie atakują dziś tak zajadle jak wczorajszych prawdziwych bohaterów...

To, jak wyobrażaliśmy sobie naszą historię, musiało się odciskać w polskiej świadomości. We mnie zawsze budził sprzeciw zadufany w sobie trybunał, który pouczeniami dawnych, prawda, że wpływowych historyków odsądzał od czci i wiary niesforny naród - bo w przeciwieństwie do innych zmarnował wielkie ongiś państwo nierozumnym oporem wobec absolutyzmu. Nie liczyło się, że potępiana demokracja, szlachecka, zatem trudniejsza, funkcjonowała tu z pełnym powodzeniem, ku zazdrości Europy całej, paręset lat. Upadła, gdy szlachta polska, zdemoralizowana dobrobytem, zobojętniała wobec własnego państwa – pozwoliwszy na jego rozkład i zdradziwszy je w końcu. Tak, szlachta polska zdradziła Polskę, dosłownie – o czym się tu przekonamy... To na pewno lekcja, że trzeba się pilnować, by nie zobojętnieć, by nie traktować własnego państwa jak obcej, wrogiej obywatelowi siły. Nawet w demoralizującym dobrobycie.

Nie uważam historii za arenę igraszek sił nieodgadnionych, czasem ślepych, które dowolnie miotają którymkolwiek narodem. Tym bardziej nie mam żadnego narodu za obiekt manipulacji ze strony sił tajemnych, a niepokonanych. I tak samo nie odpowiada mi teza, że nasze społeczeństwo przez ostatnie 300 lat było przedmiotem historii, a nie jej podmiotem – choć prawdą jest, że od chwili, gdy szlachta polska do końca zmarnowała swoje państwo, w ciągu ostatnich 200 lat, kolejne, w konsekwencji dotyczące nas decyzje, zobowiązujące na długo, zapadały bez nas i wręcz poza Polską. Przez kilkadziesiąt lat uczestniczyłem jednak bezpośrednio, z tysiącami i milionami takich jak ja, w działaniach, angażujących całe lub też prawie całe społeczeństwo – a było to społeczeństwo świadome swych dążeń i swoich ograniczeń. Na własnej skórze mam wygarbowane doświadczenie, że społeczeństwo jako podmiot może przegrać, ulec siłom czy też okolicznościom, którym nie potrafi sprostać, także – własnej głupocie, ale do roli przedmiotu może zdegradować się tylko samo – zgodnie z opinią Stanisława Staszica: „Paść może i naród wielki; zniszczeć

nie może, tylko nikczemny". A wielkość, bywało, potrafiła sobie czasem z głupotą poradzić.

Teksty, które można tu przeczytać, składają się na książkę dość przekorną, bo w jakiejś mierze polemiczną w stosunku do tego, co przyjęte i utarte. Niektóre fakty ukażę tu nieco inaczej, niż zwykliśmy je widzieć. Ukażę i te niedostrzegane, przemilczane, razem z nieobecnymi w historii bohaterami. Nikogo tu jednak nie wyręczam, ani też nie zastępuję. Miło mi będzie, jeśli ktoś zechce właśnie po tej lekturze sięgnąć do dzieł wielkich współczesnych historyków Polski, nie żyjących i żyjących – od Aleksandra Gieysztora i Gerarda Labudy poprzez Henryka Samsonowicza i Janusza Tazbira po Normana Daviesa (do wielu innych odsyłam w tekście), nawet, jeśli się z tym czy innym w czymś nie zgadzam, a może w takim przypadku właśnie dlatego. Nie można jedną książeczką, pisaną w odcinkach, zastąpić ich źródłowych, wiekopomnych czasem prac. Natomiast ostrzegam przed graczami w historię, którzy na przeszłości próbują robić interesy. Polityczne lub inne. Z tymi nie chcę mieć nic wspólnego.

Nie jest to podręcznik. To historia osobista. Piszę, co myślę o przedstawianych procesach zmian, wydarzeniach i ludziach, oceniam je z mojego punktu widzenia, wyrażam się z uznaniem bądź krytycznie… Bywam zapewne nie obiektywny. Ale nie zniekształcam prawdy. Można mi wierzyć.

2. NASI ZAPOMNIANI, INTELIGENTNI PRA-KUZYNI

Prehistoria wydaje się pełna wojen i krwi. Tymczasem pomiędzy dramatycznymi zwrotami historii ludzie żyli, pracowali i kochali się setkami lat. A przemiany w ciągu tych setek lat bywały głębsze i bardziej wszechstronne niż załamania i wstrząsy. Francuzi imię państwa i narodu wzięli po Frankach, germańskich zdobywcach Galii. Kulturę, na wskroś łacińską, odziedziczyli po wcześniejszych o kilkaset lat, rzymskich jej zdobywcach, pasjonują się zaś przede wszystkim prehistorią tylko jednych swych przodków - celtyckich Gallów, po których prawie nic w ich języku nie zostało poza (prawdopodobnie) wymową. Frankowie do tego języka wnieśli zaledwie kilkaset wyrazów, ale panującej łacinie obcięli fleksję, czyli odmianę wyrazów wedle przypadków i osób... Polacy zaś nawet nie wiedzą, że imię ich kraju jest w swym obecnym brzmieniu... czeskie. Czeski pierwowzór brzmi do dziś „Polsko", stąd miejscownik od „Polska" brzmiał – „w Polszcze". My pierwotnie nazywaliśmy siebie „Polania", w łacińskiej wersji – „Polonia".

Historycy polscy, badający pra-przeszłość ziem polskich, byli w sytuacji znacznie gorszej niż francuscy czy niemieccy. Ziemie przyszłej Polski leżały dość daleko od domen Imperium Rzymskiego. W źródłach pisanych starożytności grecko-rzymskiej pojawiały się na ogół tylko ich odbicia, i to w kolejnych, często krzywych lustrach wiadomości z drugiej, albo i trzeciej ręki. W czasach zaś dość niedawnych wojowano w Europie nie tylko o ziemie. Zdobywano i przeszłość. Ambitni zdobywcy historii mogli po takiej trudnej do rozszyfrowania przeszłości hasać dowoli, obrońcy zaś nie mieli się o co zaczepić; słowa były bezbronne. Aż po drugą wojnę światową historycy, zwłaszcza – pruscy, pruskiej tożsamości, przez blisko sto lat wyprzedzali kolejne podboje armii, zacząwszy od podboju samych Niemiec. W odwecie sąsiedzi Niemiec usiłowali wypędzić ze swojej historii wszelkich Germanów.

Te wszystkie wojny gasły wolniej niż walki z bronią w ręku. Dopiero po narodzinach Unii Europejskiej historie zawarły pokój. Ale wpierw pogodziło je podstawowe pytanie: od kogo właściwie zaczynać historię. Upomniała się o swój prymat dzięki wspaniałym osiągnięciom archeologii - pra-pra-przeszłość. Ziemia sama cierpliwie, choć oszczędnie i nie do końca, ezopowym językiem martwych przedmiotów, pomiarów i kształtów, opowiada archeologom dzieje swoje i ludzi – bez megalomanii narodowych, ciekawe za to i ciekawość budzące. Uczy, jak się okaże - skromności. Tym uczciwiej będzie uznać przodków we wszystkich prehistorycznych ludach, które żyjąc na przyszłych naszych ziemiach coś dzisiejszym Polakom zostawiły po sobie - w genach i umiejętnościach. Nawet z odległości tysięcy lat.

Tak, tysięcy lat... W kategoriach milionów lat wieku ziemi wszystko tu jest młode: lądolód skandynawski, cofając się powolnie na północ, odsłonił nasze ziemie ledwie kilkanaście tysięcy lat temu, Skandynawia, jedna z najstarszych geologicznie części Europy, nadal dźwiga się jeszcze spod niego, wynurzając się z wód morskich. Bałtyk jako morze ma dopiero trochę ponad 10 tysięcy lat; przedtem był wielkim, słodkowodnym jeziorem, które od Morza Północnego odcinał 200-kilometrowej szerokości pas lądolodu łączący Skandynawię z resztą Europy. Kiedy lodowiec stopniał na tyle, by odsłonić przyszłe cieśniny duńskie, w roku 8213 p.n.e., jak wyliczyła nauka (czyż nie wspaniała dokładność?), słone wody z Morza Północnego mogły wlać się po raz pierwszy do Bałtyku. Żyjemy tu w okresie przejściowym, czyli w interglacjale, czyli między zlodowaceniami; szczytowy punkt ostatniego przypadł na ziemiach przyszłej Polski raptem 24 - 22 tysiące

lat temu. Następne zlodowacenie dopiero przyjdzie. Kiedy? Oś ziemska musi na tyle zmienić znowu swe położenie, by znowu obrócić nasz glob inaczej do słońca. Uczeni potrafią to wyliczyć, a nasi potomni jakoś poradzą sobie, miejmy nadzieję, z tą zmianą. Na razie żadna powieść fantastyczno-naukowa nie spróbowała opowiedzieć, jak to będzie, gdy nasze ziemie pokryje znowu lądolód, a nasi potomkowie będą żyć na nim i pod nim...

Pra-ludzie wędrowali przyszłymi naszymi ziemiami, po niezmierzonych pustyniach śnieżnych, nawet kilkadziesiąt tysięcy lat temu, ale pierwsi prehistoryczni nasi przodkowie, dający się zidentyfikować, gospodarowali tutaj przed dwunastoma tysiącami lat. Możemy być z nich dumni: w pewnych epokach górowali swą inteligencją nad wieloma naszymi współczesnymi. Prehistoria bywa mimowolnie ironiczna: dziś tradycyjne górnictwo niemal wszędzie bankrutuje, a tu cywilizacja zaczęła się właśnie od górnictwa. Historia tej cywilizacji trwała nieporównanie dłużej od ledwie parusetletniej historii naszej Cywilizacji Naukowo-Technicznej, nie byle jaka zaś to była cywilizacja. Odsłoniła archeologom swą mądrość, której nikt by się po tej epoce nie spodziewał!

Same postoje cofającego się lodowca trwały po kilkaset lat. Dwanaście tysięcy lat temu pojawiły się u nas (jeśli przyjąć, że to było „u nas") pierwsze lasy, potem jednak oziębienie przetrzebiło je tak, że została tylko tzw. tundra parkowa, z mchami i porostami, odpornymi na mróz, z rzadkimi kępami karłowatych krzewów. Potem znów brzozy, najdzielniejsze z drzew, rozprzestrzeniły się po całym kraju i znowu przyszło kolejne tysiącletnie ochłodzenie, przetrwały je tylko niewielkie zagajniki. Puszcza porośnie ten kraj dopiero w dalszej historii. Z początkiem IX tysiąclecia p.n.e. niszczyły ją tu i tam straszliwe, naturalne pożary, których dość dokładne daty wedle zawartości C14, węgla radioaktywnego, w spalonych węglach drzewnych, udaje się nauce ustalić.

Nasi pra-przodkowie potrafili je przeżyć. Co tu kopali? Krzemień. Głównie – „czekoladowy", na podgórzu Gór Świętokrzyskich, w dzisiejszych Krzemionkach, niedaleko Ostrowca Świętokrzyskiego, ale nie tylko, bo na długim odcinku doliny rzeki Kamiennej. W paśmie znów krakowsko-wieluńskim - inny krzemień, szary, ze zwietrzelisk wapieni jurajskich. Nie brakowało im handlowego ducha i energii: archeolodzy znajdowali krzemienne wióry i rdzenie spod gór Świętokrzyskich aż na Śląsku, czyli że surowiec noszono i po kilkaset kilometrów! I odwrotnie – przynoszono tu inne materiały, jaspis, twarde łomy skał osadowych, z jeszcze większej odległości, aż zza Karpat, znad Wagu w Słowacji. Stamtąd przybywały też zielone, czerwone, brunatne, czarne, równie twarde odłamy skały krzemionkowej, radiolarytu, głównie ze skorupek wymarłych promienic, czyli radiolarii. Także - obsydian, szkliwo wulkaniczne, jeszcze twardsze, aż z Węgier! Pierwotnie na pięściaki, czyli tłuki; tak archeologia nazywa dające się utrzymać w garści kawały kamienia z zaostrzonymi czubami, potem do obróbki na ostrza noży, siekier i toporów, na groty oszczepów. To był istny obrót międzynarodowy... Co to za robota, proszę się samemu przekonać.

To już byli wytwórcy, producenci, a nie myśliwi czy zbieracze płodów leśnych, żyjący z polowania i łowienia ryb, zrywający owoce z drzew i krzewów, wydłubujący korzenie roślin – choć i to naturalnie potrafili. Gromadzili wydobyte, kilkunastokilogramowe bryły krzemienia w specjalnych składach, z których wybierali materiał do dalszej obróbki. Po tysiącach lat wydaje się owa cywilizacja prosta, dzika i trochę śmieszna jak bohaterowie filmu „Walka o ogień". Ale już przed laty Stefan Krukowski, wielki badacz tej epoki, zwrócił uwagę, że wszystko w owych składach skupiano - po trzy, wielokrotnościami liczby trzy. Nie wiem, czy ktoś zanalizował bliżej ten system trójkowy, a był to przecie dowód jakichś przemyśleń, porządkująca koncepcja. Może jakiejś wiary, ze świętą liczbą

„trzy”? To ciągle do zbadania, zagadka do rozwikłania… Jeśli krzemień dawała Matka-Ziemia i kojarzono już związek mężczyzna-kobieta z urodzonym przez kobietę dzieckiem, to może „trzy” odpowiadało ich łącznej liczbie?

Znajdowane maski prawdopodobnych szamanów prowokują swym wyglądem uśmiech. Ale możemy je wiązać z nieodgadnioną dla nas religią, mitologią, która przez parę tysięcy lat panowała na ogromnych terytoriach Europy, od Bretanii aż po stepy za Dnieprem. Pozwalał ją w pewnej mierze odczytywać czerwonej, rdzawej barwy… hematyt, tlenek żelaza, wydobywany ze zlepieńców piaskowca. Zmieszany z odrobiną wody zamieniał się w maź, do złudzenia przypominającą krew, niewątpliwie zatem imitował i symbolizował krew, a krew zawsze symbolizowała życie. Ci przodkowie Europejczyków proszkiem z hematytu posypywali zwłoki składane do grobu, ta „krew” jako życie miała z pewnością wspomóc nieboszczyka w żywocie pozagrobowym – mężczyznę trzydziesto-, czterdziestoletniego, pochowano niedaleko dzisiejszych Skierniewic, z nim krzemienne narzędzia, strzały i ozdoby z kości w VIII tysiącleciu p.n.e. Miał po śmierci pracować, polować i - podobać się.

Dłuta i kliny robili sobie z najmocniejszych jelenich rogów. Oskardy, młoty - wręcz z łupków bazaltowych, sprowadzanych ze Śląska. Z czasem do wyłamywania krzemienia używali - ognia; byli z nich więc technicy pełną gębą. I to był właściwie - przemysł, skoro pracować musiało razem dziesiątki ludzi, ich zadania jakoś należało rozdzielić i skoordynować. Kopalnie w Krzemionkach należały do największych w pra-Europie.

Kim byli owi pierwsi górnicy, dzielni, inteligentni ludzie, którzy tysiące lat wcześniej wozili swój krzemień na grzbietach reniferów w tundrze polskiego krajobrazu?

W grobie z tej górniczej epoki znaleziono dorosłego mężczyznę i ze stanu jego… rzepek, osłaniających stawy kolanowe, z ich nadwyrężenia, archeolodzy wydedukowali, kim był. Musiał bardzo długo pracować na kolanach – był to więc górnik, rył latami w chodniku, wysokim od metra do mniej niż 60 cm, wedle grubości warstwy krzemienia. Wzrostu miał nasz górnik 158 cm, wcale więc nie był taki mały jak na dawnych ludzi. Czaszką przypominał tylko jeden, nieliczny dziś naród w Europie - Lapończyków, w swoim dzisiejszym języku – Saamów. Przodkowie dzisiejszych Finów całe wieki w swoich legendach przypisywali Saamom wszystko, co najgorsze, bo Saamowie zajmowali ziemie, które chcieli zająć oni, Finowie. Ale to Saamów dawni Szwedzi nazywali *Finnami*, „doskonałymi”, dzisiejsi Finowie, w oryginale – „Suomi”, po Saamach odziedziczyli swoje zagraniczne imię, uczciwie jednak współcześnie zarobione. Saamowie dopiero dziś budzą szerokie zainteresowanie. Niczego nie wiem jednak o ich zamarłej przed paroma tysiącami lat cywilizacji. Nie wiemy też, jak się nazywali przodkowie „doskonałych”…

Skąd się tutaj wzięli? Nie z południa, bo kiedy się potem znowu ociepliło, napłynęli przez Bramę Morawską pierwsi rolnicy, by tutaj właśnie uczyć się obróbki krzemienia - jako że w dolinie Panońskiej, nad Dunajem, robili ostrza narzędzi i broni z obsydianu. Ich przodkowie, śródziemnomorskiego typu, nie pochodzili wcale z przyszłych Węgier. Na żyzne doliny Dunaju musieli przywędrować kilkaset lat wcześniej. Praojcowie ich pod przewodem swoich kobiet wyszli aż z Bliskiego Wschodu i Egiptu, stamtąd, gdzie wynaleziono rolnictwo. Też pod przewodem kobiet, co wynikało z samego już rolnictwa: ziemia rodziła jak kobieta, była matką, rodziła zboże, jak matki rodziły dzieci. Jest więcej niż pewne, że czcili ci praojcowie – macierzyństwo. Rządy w ich rodach należały do kobiet. Matriarchat był ustrojem naturalnym. Ich potomkinie dotarły ze swoimi mężczyznami na przyszłe nasze ziemie… Przesuwali się razem Bałkanami z południa

i wschodu, za Karpaty, na północ, już znad Dunaju, po kilkuset latach swojej tam cywilizacji. Czy tak się rozmnożyli? Czy grunty, których nie nawozili, ani też nie traktowali płodozmianem, tak wyjałowiały? Czy ich wypędzono? Przychodzili głównie od Moraw, Bramą Morawską.

Archeologia odkryła innych także mieszkańców naszych ziem, ale znaleziony grób chłopca z ich kręgu pozwala tylko stwierdzić, że nie był laponoidem. Może syn jakiegoś wcześniejszego ludu…? Ale nasi pierwotni pionierzy górnictwa przyszli tu zapewne północą ze wschodu. Ich późniejsi o tysiące lat pobratymcy ludźmi północy zostali do dzisiaj. Ten jedyny, którego szkielet znamy, siedział w swoim grobie z twarzą zwróconą ku zachodowi, patrząc tam, dokąd odchodzi słońce – dzięki zapisanej w XIX wieku mitologii lapońskiej wiemy, że Saamowie byli dziećmi słońca. Czy już wtedy, nie wiemy. U boku miał kamienne grociki strzał z ułamanymi jednak wierzchołkami, sztylety z kości jelenia i żubra (lub tura) - też ze złamanymi ostrzami; najwidoczniej wierzono, że zmarły po śmierci mógłby ich użyć przeciwko żywym… Czy jego ciało pomalowano przed pochówkiem na czerwono? Nie znamy fantazji ani religii tych pionierów cywilizacji, ale wiemy, że malowali się na pewno - w Górach Świętokrzyskich ziarna, blaszki i włókna tamtejszego hematytu przerabiali na barwnik, na ochrę, i też mieli ją za symbol krwi, a więc życia, skoro obsypywali nią zwłoki składane do grobu. Przypuszczam jednak, że służyła im również do czegoś innego, czyli że wcierali ją w skórę jedynej odsłoniętej części ciała, a więc własnych twarzy - jak dzisiaj nasze panie malują wargi i podkolorowują policzki. Innymi słowy, i w tym ci pionierzy byli pierwsi. Z tym, że dla nich kolor czerwony, kolor krwi, oznaczał coś więcej niż ozdobę. Oznaczał najpewniej - życie. Jeśli nie wręcz kolor świętości…

Tak czy inaczej, górnictwo na ziemiach Polski śmiało mogłoby obchodzić swoje dwunaste już tysiąclecie. Na rocznicowe uroczystości wypadałoby zaprosić – współczesnych Saamów. Potomków braci tych, co kopali tu najpierw. Ci kopacze to pierwsi pra-kuzyni Polaków. Nic nie świadczy, by rodacy patrzącego za słońcem wywędrowali, czy też wynieśli się z reniferami na północ, chcąc uniknąć podboju lub nadmiernego ciepła. Kiedy badano szczątki kostne owych pierwszych rolników, w większości wyraźnie śródziemnomorskiego pochodzenia, którzy tu później dotarli znad Dunaju, okazało się, że byli wśród nich i potomkowie tamtych mądrych laponoidów. Pionierzy pozostali więc i zmieszali się z przybyszami – było ich zresztą chyba w sumie nie aż tak wielu. Zachowali ci pionierzy swoje renifery. Resztki kostne po tych dzielnych zwierzętach znajdujemy po całej Polsce, pewne tylko, że renifery, z kopytami przystosowanymi przez wieki do biegania po śniegu, źle znosiły cieplejszy klimat. Nasi laponoidzi mogliby się dzięki nim zimą przenosić setkami kilometrów, zatem i odchodzić na północ – jeśli jednak archeolodzy trafiają na szczątki tych zwierząt w warstwach polodowcowych, znak to, że wyginęły potem renifery, nie ludzie. Napływający z południa rolnicy nie wypłoszyli pionierów.

Pytanie zresztą, dlaczego mieliby ci górnicy opuszczać swe kopalnie? Wydobywany i obrabiany krzemień przynosił im wszak niemałe korzyści, a chyba już w pradziejach ludzie byli na tyle inteligentni, by nie porzucać dużych, a stałych przychodów. Jeśli rolnikom za Karpatami skończył się obsydian, lub jego złoża opanował jakiś lud zdobywców, którzy nie chcieli go użyczać innym, to ciągnęli tu być może również dla krzemienia… Wiemy, że nie wymordowali górników. Mogli zmieszać się z nimi, wymuszać to mogły rządzące – kobiety, mogły też ich uwodzić, kupować, porywać rękami swoich ludzi. I przeciwnie: miejscowi zwolennicy zmian, ciekawi nowości, mogli się włączyć w uprawy rolne. A może jeńcy? Archeologia kiedyś odpowie i na to pytanie…

Tym kolejnym pionierom, z tzw. kultur naddunajskich, kamienne siekiery z „lapońskich" kopalni otwierały drogę do nowej przyszłości. Szczepili naszym ziemiom tę swoją cywilizacyjną rewolucję – rolnictwo. Nieśli tu swoje „złoto", ziarna zbóż. Bez siekier nie mieliby czym karczować lasów pod uprawy. Nie lenili się i w klimatycznym raju.

Samo rolnictwo było przełomem cywilizacyjnym, z pewnym, fascynującym intelektualnie, – fascynującym dla nas! – osiągnięciem: dzicy z pozoru ludzie hodowali i wyhodowali nowe, wydajniejsze odmiany zbóż. Człowiek wzniósł się ponad zwierzę, umiał coś więcej niż znaleźć coś do zjedzenia i zebrać lub upolować i schować. Tworzył. Ileż mądrości, jakie zdolności kryła ta hodowla! Jakieś nasze pra-panie doszły do wniosku, ba, odkryły, że da się ulepszać rośliny. To nie były jakieś prymitywne zbieraczki leśnych owoców czy korzeni, a kobiety z niebywałym zmysłem obserwacji, ba, zdolne myśleć kategoriami wieloletniej perspektywy. Osoby wybitnych inteligencji i zarazem - pionierskiego ducha, przekonane, że się uda. Nad obrazem ich kultur ciążą odczytywane ze znalezisk tradycje magii, wiary w przemożne siły nadprzyrodzone, nieuchwytne ludzkim okiem, a przecież te rolniczki przekazywały potomnym również – doświadczenia o całkowicie widzialnych skutkach i przemyślane, konkretne zadania. Musiały co najmniej kilkadziesiąt lat, przez parę pokoleń, bo żyli wtedy ludzie krótko, obserwować łamliwość osadki kłoska, jego osadzenie, wykształcenie ości, i odpowiednio dobierały ziarno po selekcji roślin. Ta selekcja sama dla siebie oznaczała kapitalny wynalazek, dowód geniuszu! Tym sposobem ich wnukowie, czy raczej – wnuczki, lub nawet prawnuczki uzyskały po latach zboża z bogatymi kłosami na mocnych łodygach, z których ziarna się nie osypywały, a zmielone - dobrze smakowały po wypieku.

Natura sama takich nie dostarczała. Jeśli zaś nasze pra-matki z naszymi pra-ojcami uprawiały także odmiany prymitywne, pierwotne, to może z braku dostatecznej ilości ziarna selekcjonowanego, bo te od tysięcy już lat w swojej dawnej ojczyźnie zjadali upieczone w placki, bądź później w chleb.

Przez kolejne wieki, stopniowo, robiło się coraz cieplej i cieplej, aż jakieś sześć tysięcy lat temu zapanował w przyszłej Polsce klimat śródziemnomorski, tylko wilgotniejszy, z przyrodą znacznie bujniejszą, z mieszanymi lasami; buki, najmniej odporne na zimno, rosły wtedy aż w Skandynawii. Horyzont wszędzie pokrywały niezmierzone bory - proszę to sobie wyobrazić na dzisiejszym Górnym Śląsku! To ocieplenie trudno przypisać cywilizacji, nie spowodowały go żadne gazy cieplarniane, żadne rozpalane ogniska, ani czary. Lodowce topniały znacznie bardziej niż dzisiaj, ale wcale nie pogrążały w wodzie całych kontynentów, wbrew dzisiejszym obawom.

Zanim klimat znów zaczął się zmieniać, był to całymi wiekami raj: lasy po wykarczowaniu i wypaleniu szybko odrastały same, zwierzyny łownej hasało po nich ile dusza zapragnie, zasiane w żyznych lessach ziarna dawały fantastyczne plony. Późniejszy mit Złotego Wieku ludzkości przynajmniej w środkowej Europie mógł się począć z samego błogosławionego klimatu. Dopiero z wiekami, po upływie blisko dwóch tysiącleci (to się da obliczyć), zaczęło się robić sucho, coraz to suszej, a potem - także i chłodniej, oziębiało się znowu. Przetrwała tylko pamięć, że kiedyś było inaczej, cieplej, rzekłbym – sympatyczniej, skoro wierzyła Europa w miniony Wiek Złoty.

Płodna śródziemnomorska przyroda sama czyniła tych rolników czcicielami kobiet. Nowożytni uczeni stworzyli dla nich kult Bogini-Matki, ale możliwe, że tylko nauka w nią wierzy. W tamtym świecie, jak wśród współczesnych nam ludów pierwotnych, królować musiała magia, kobieta w niej po prostu musiała uosabiać płodność. Po mężczyznach

ostały się jedynie symbole ich narządów rozrodczych, mamy za to dziesiątki lepiej i gorzej zachowanych figurek właśnie kobiecych. Jeśli z płodnością kobiety kojarzono płodność ziemi, Matki-Ziemi, a siew ziaren wzajem - z zapłodnieniem kobiety, ta nasza ludzkość utwierdzała się w odkryciu, że dla urodzenia dziecka trzeba zbliżenia seksualnego... Kobiety rodziły już kilkunastoletnie, łatwo, bo w pozycji kucznej, same przecinały pępowiny, nie wyniszczały ich gorączki połogowe. Bardziej – częste ciąże, niewiele pewnie tych matek dożywało trzydziestki... Ludzie zresztą wtedy żyli dość krótko.

Nigdzie nie zatrzymywali się na długo. Nie koczowali bynajmniej, choć byli wiecznymi wędrowcami. Szli - za ziemią. Za ziemią żyzną, możliwie jak najdłużej płodną. Nad Bałtykiem już niczego po nich nie znaleziono, środkową Polskę ominęli. Umieli, co charakterystyczne, dobierać sobie obiecujące grunty, odróżniać płodne lessy i nieliczne czarnoziemy od pokrytych darnią piasków i bielic. Jak je badali? A właśnie, to pytanie... Domyślać się możemy, że kopali doły, by sprawdzić strukturę gleby pod warstwą trawy, ale wiemy z ich wyboru miejsca na rolę, że umieli wyróżnić grunty płodne.

Wędrowali, bo tego wymagał sposób uprawy. Trzebili kawał puszczy, wiosną palili to, co ścięli, popiół dostarczał potasu glebie, oni ją obsiewali, by jesienią zebrać plon; za pierwszym razem zbierali podobno ziarna kilkadziesiąt nawet razy więcej, niż zasiali! Biolodzy roślin uprawnych w to nie wierzą, ale zwracają uwagę, że zboża na polanach wśród lasu nie wylegały, las chronił je przed parciem wichury, nawet przy obfitych deszczach... Po kilku zbiorach zostawiali ci rolnicy bezpłodne już pole odłogiem, pozwalali mu znowu zarastać, puszcza wracała wtedy nieledwie ochoczo, najpierw brzozami, olchami i leszczynami. Oni sami pod kierunkiem swoich pań karczowali następne trzebieże.

Obrabiali czasem pola odległe od swoich siedzib o wiele kilometrów. Często po dwudziestu, trzydziestu latach cięli bory tam, gdzie kiedyś zrobili to ich rodzice; bywało, że kolejne pokolenia wracały w to samo miejsce i po trzy razy... Tak samo przenosili swoje osady. Na przyszłych naszych ziemiach archeologia znajdowała sioła, które w ciągu paru stuleci opuszczono aż trzykrotnie! Z pochodzenia tych osadników można wnioskować, że dzisiejsi Polacy mają kuzynów po wspólnych przodkach sprzed sześciu, siedmiu tysięcy lat, także na Bliskim Wschodzie, na Półwyspie Arabskim, na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. I co ciekawe, ci nasi przodkowie nigdy o tym nie zapomnieli. Jakie mamy tego dowody?

Nasze pra-pra-babcie pozwalają nam odgadywać nawet swoją modę - muszlami pewnych małży z Lewantu. Robiły z nich paciorki, bransolety, wisiorki do naszyjników, zatem ktoś musiał je przywozić, całymi transportami, aż ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego! Te parę tysięcy kilometrów w końcowej fazie epoki kamienia pokonywali konno i pieszo jacyś odważni kupcy, ze swymi zbrojnymi, osłonowymi drużynami. Wprost nie do wiary, ale nie dziwmy się, dla nomadów żadnej epoki, koczowników, nie było w tym nic nadzwyczajnego...

Zabierali stąd, co logiczne, skóry i futra. Handlowali, należy przypuszczać, także - solą. Kiedy, czyli jak wcześnie, człowiek zaczął warzyć sól? Przyjęło się, że z początkiem cywilizacji rolniczej. Teza jednak, że ludzie potrzebowali NaCl, chlorku sodu, by odrobiną soli, czyli zawartego w niej sodu, zapewnić sobie regenerację tkanek i zdrowie mózgu, trochę jest wątpliwa. Nie łykali soli dla wiedzy naukowej – jak i dziś nie solimy niczego dla zdrowia mózgu. Nie potrzebowalibyśmy magii, by uznać za rodzaj cudu lepszy smak po skropieniu kotleta słoną wodą, czy to morską, czy ze słonych źródeł. Jeśli jednak tym

pra-kobietom nie sprawiało kłopotu myślenie, to widać sodu im nie brakowało – co umacnia racje tych archeologów, którzy sądzą, że człowiek odkrył sól parę tysięcy lat wcześniej, słoną wodą polewając pieczone mięsiwo. Cóż, na pewno zjedzenie czegoś smacznego poprawia stan ducha… A warzenie soli to wynalazek, to już kolejny krok cywilizacji.

Nasi naddunajscy przodkowe przynieśli tę umiejętność ze sobą, już tam cenili smak posolonych potraw. Znaleźli słone źródła w okolicach Wieliczki, warzyli z nich sól już sześć tysięcy lat temu! Dowód? Archeolodzy odkryli po nich dwa zbiorniki-odstojniki i warzelnik zagłębiony w ziemi. Nie sądzę, by się darmo ci solewarzy dzielili solą z mieszkańcami odleglejszych okolic, nawet uznawszy ją za świętość. Jeśli nie padali ofiarami rabunków, z pewnością sprzedawali ją w handlu wymiennym.

Zwrócił moją uwagę niedoceniony szczegół z tamtej pra-przeszłości. Człowiek chyba od początku lubił smacznie zjeść, historię smaku należy, moim zdaniem, zaliczyć przynajmniej do historii kultury ludzkiej. Mimo to nie spotkałem w żadnej encyklopedii wiadomości, kiedy człowiek zaczął jadło uzupełniać przyprawami. Odkrył ich sporo, od kochanej pani Gumowskiej, znawczyni tematu, dowiedziałem się przed laty, że wiele z nich znano już ponad 6 tysięcy lat temu - w Egipcie! Podczas budowy piramidy w Gizeh nakazywano karmić robotników cebulą i czosnkiem, to ich miało wzmocnić, uchowały się zapisy o tym. Doświadczenie iluż pokoleń musiało złożyć się na taką wiedzę! A znamy przypraw ze dwa dziesiątki - anyżek, cebula, chrzan, czosnek, cynamon, przyprawy muszkatołowe, goździki, imbir, kapar, kardamon, kminek, koper, tymianek, majeranek, papryka, pieprz, pietruszka, wanilia, w książce pani Ireny jeszcze więcej. Daleko nie wszystkie najbliższego europejskiego rodu, cebulę przyniesiono podobno do krajów Bliskiego Wschodu z głębi Azji, podziwiać można zasięg wędrówek tych ówczesnych koczowników, zarazem - kupców! Papryka, czyli pieprz turecki, pochodzi wszelako, wyjaśnijmy, nie z Turcji, a z Ameryki Południowej. Jedno pewne – to już pra-zbieraczki leśne próbowały różnych liści, łodyg i korzeni, wszystkiego, co się dało ugryźć, odkrywały dobrze smakujące rośliny. Jeśli zaś potrafiły ulepszać zboża, poprawiały też przypuszczalnie jakość czosnku, chrzanu czy też cebuli… Czy chcę przez to powiedzieć, że były inteligentniejsze od swoich mężczyzn? Przejście od matriarchatu z jego poliandrią, wielomęstwem, przynajmniej do równorzędności płci, to musiała być długa droga, na tysiące lat. Być może początki równości wzięły się z siły, potrzebnej w karczowaniu lasu, innymi słowy, dopiero kamienne topory podnosiły znaczenie mężczyzn.

Wolałbym jednak przypuszczać, że to nie topory, służące i mordowaniu innych ludzi, a przyprawy zadecydowały o rozwoju cywilizacji. Jakby nie było smaczne jedzenie łagodzi obyczaje, a to nieźle wpływa na zachowanie ludzi i współżycie. Przyprawy musiały się narodzić bardzo wcześnie, jeśli już parę tysięcy lat temu znano walory cebuli i czosnku! Żadni barbarzyńcy, aż po nasze czasy, z hitlerowskimi najeźdźcami włącznie, nie wiedzieli, co to znaczy dobrze zjeść.

Mnie osobiście bardzo taka tradycja naszych ziem odpowiada.

3. KU CZCI KOBIET ZJADANO MĘŻCZYZN

Nie znamy języka naszych prehistorycznych przodków; „mówią” do nas tylko tym, co po nich zostało, rozróżniamy ich wedle rysunków na skorupach ich garnków. Gustaw Kossinna, wybitny pruski archeolog z przełomu XIX i XX wieku, zdobywca przeszłości dla Prus, chciał w każdej kulturze odczytywać wspólny język i wiązać ją z jakimś jednym ludem. W rzeczywistości wszyscy ci nowi mieszkańcy Europy, rozchodzący się od Bałkanów aż po ziemie przyszłej Francji, głównie rolnicy, byli sobie kulturowo dość bliscy. Ich ceramikę „wstęgowo rytą” na terenie przyszłej Polski wyróżniamy jako swoisty „dialekt” garncarski - w jeszcze nie wypalonej glinie swych uformowanych już garnków, misek i pucharów ryli dla ozdoby lub w imię czci dla jakiegoś nieznanego nam bóstwa najrozmaitsze wstęgowe wzory. Nimi znaczyli swą dla nas tożsamość. Nie jest pewne, że znaczyło to naprawdę jakąś tożsamość, bo żyli w niewielkich osadach, ale te same wzory archeolodzy znajdowali, kopiąc w miejscach bardzo odległych od siebie, stąd i domyślają się szerokich kontaktów. Tych wzorów nie wymuszał jakiś podbój, tego by ziemia nie ukryła, więc raczej kultury zwane „naddunajskimi” wyznawały wspólną modę, mógł ją lansować jakiś wpływowy, dominujący ośrodek. Ale gdzie i czym? Otóż to... Jedne „plemiona” mieszkały w drewnianych domach powierzchni do 40 m, inne – w prostokątnych chatach o dwuspadowych dachach, czyli że umieli je konstruować. To i dziś nie jest robotą amatorów.

Ci rolnicy w przyszłej Polsce niczym nie obdarowywali swych zmarłych, widać nie bali się ich, oddając ich ufnie Matce Ziemi; układali za to w grobach na różne sposoby. Co też one znaczyły, nie wiemy. Pewne tylko, że oni sami nie byli spod jednej sztancy, że mieli mnóstwo fantazji, skoro aż tak się samymi tylko swymi „dialektami” garncarskimi po Europie różnili. Archeolodzy rozróżniają na naszych ziemiach całą kulturową mieszankę, ale znaleziono w jednym z grobów kościec dwudziestoletniej, ciężarnej kobiety z trzyletnim dzieckiem tak obficie posypany ochrą z hematytu, aż ziemia wokół kości nabrała rdzawego koloru. Musiała krew nadal symbolizować życie.

W odkopanym domostwie z kultury ceramiki "wstęgowo-rytej" w Nosocicach koło Głogowa uchowały się resztki kobiecej figurki, na jej „plecach” archeolodzy zobaczyli ornament w stylu typowym dla tej kultury - o rysunku litery X. Miała może ta figurka charakter idolu; ale skąd to X? Czy cienka talia była ich ideałem urody...? Mógł też ten znak imitować tatuaż ciała. Taki znak mogły malować kobiety na swych nagich ciałach w ciepłym, śródziemnomorskim klimacie, nie wymagającym odzieży. Film o nich ukazałby świat bajecznie - w naszych oczach - wesoły od kolorów. Cywilizacja tego raju umiała produkować farby z roślin, i to zarówno niebieską, jak czerwoną czy żółtą; ba, nawet lila! A mogła sięgnąć i po ową czerwień z hematytu w Górach Świętokrzyskich dla krwawych rumieńców na twarzy... Z pewnością więc malowali swoje oblicza i ciała, barwili tkaniny, ściany swoich domostw obwieszali tkaninami w różne wzory i sami, jeśli już, to stroili się kolorowo, ciepło wszak nie zmuszało do grubych strojów.

Górnicy nie zaniedbali swej dziedzicznej specjalności. Krzemionki rozwinęli do bardzo obfitej produkcji. Ci kopacze dokonywali teoretycznych analiz i robili odkrycia teoretyczne. Z czego taki wniosek? Zostawiali w złożach, ni mniej ni więcej, filary ochronne! Podczas gdy w XX wieku, we Francji, nasi współcześni dobrali się od innej strony do złoża krzemienia, w którym zostawiono przed tysiącami lat filar ochronny, i ... wywołali katastrofę! Pra-górnicy Krzemionek radzili sobie z wydobyciem wręcz nowocześniej niż dziś kopalnictwo paru krajów. Nie wybierali na zawał, co grozi

naruszeniem głębszych struktur tektonicznych i może wywoływać ruchy sejsmiczne bliskie trzęsieniom ziemi. Stosowali - podsadzkę. Niektóre chodniki zasypywali gruzem wapiennym aż po strop!

Na powierzchni kilkuset hektarów ocalało do naszych czasów około tysiąca szybów. Kopali je i na 10 - 11 metrów głębokie, z nich kuli chodniki za żyłami krzemienia na dystans, bywało, i 30 metrów. Ba, wentylowali te swoje kopalnie. Przewietrzali je bardzo fachowo, dwoma otworami, jednym u stropu chodnika, drugim u spągu. Działało to nienagannie. Czyli że obserwowali mechanizmy ruchu powietrza. Jak je spożytkować, wymyślił jakiś pra-geniusz myśli górniczej.

Z rządzącymi paniami, strażniczkami ognia, osobami wyższego powołania i władzy, pojawiła uprawa lnu, technika przędzenia, warsztat tkacki, czyli najwyższa już technika! Także garncarstwo i mielenie ziarna dla otrzymania mąki. Słowem, wyższa cywilizacja. Nie zapomniały o swej prezencji i nadal sprowadzały te muszle małża znad Morza Śródziemnego na wykwintne ozdoby... I - piwo. Nie sprowadzały go. Etnografowie zgodnie twierdzą, że na przyszłe ziemie Polski dotarło właśnie z kobietami. Warzyć piwo musiały już na Bliskim Wschodzie, doprawiając imbirem sfermentowany, rozcieńczony wyciąg słodowy. Przypuszczam, że w Europie zastąpiły imbir jagody jałowca i różne zioła, dopiero potem zwyciężył wyciąg chmielowy, zwany brzeczką piwną, i takie piwowarstwo utrzymało się na zawsze. Oczywiście, jak i dzisiaj, decydowała o smaku jakość wody – ale nie umiemy odpowiedzieć, na ile wybór miejsca pod osady zależał od wody na piwo...

Nie raczono się piwem jak my na co dzień. Bogato zdobiono puchary i kubki wskazują, że służyły zapewne uroczystym, obrzędowym pijaństwom... Najstarszych bogów starożytnego Sumeru piwo - podobno - skłaniało do dobroci, może więc i tu upijano się na pogodnie; świat naszych przodków nawet archeolodzy mieli za idyllę.

W wielu niedawnych jeszcze książkach czytamy, że owe przybyłe tu ludy kultur naddunajskich były „pokojowe", zwłaszcza w porównaniu z przybyłymi później rozbójnikami. Nie dodaje się, że „pokojowe" jak na ludożerców. Ludożerców, tak, ni mniej, ni więcej. Archeolodzy znaleźli połupane i nadpalone kości ludzkie, co wyklucza wątpliwości: nasi śródziemnomorscy pra-przodkowie, z tych poczciwych kultur naddunajskich, piekli, o zgrozo, jak Europa długa i szeroka, mięso ludzkie.

Kogóż zjadali w swym raju czciciele kobiet i matki ziemi? Czy jak ostatni kanibale naszych czasów znad Pacyfiku - pokonanych przeciwników, których zalety i zdolności chcieli sobie magią ludożerstwa przyswoić? Mity greckie notują w najwcześniejszej historii swego bajecznego świata dziesiątki przypadków kanibalizmu. Z tym, że nigdzie w Europie nie spotkano mitów ani śladów zjadania kobiet. Chyba nie dlatego, że mięso męskie było smaczniejsze. W Grecji zjadano ludzi poświęconych jako ofiary bogom. Jakby w imieniu tych bogów. Ale i Zeus zjadł serce swego zabitego syna Zagreosa, by je przekazać nowemu synowi, Dionizosowi. Ci tutaj, wśród puszcz, nie z głodu posilali się mięsem ludzkim. Świetnie strzelali z łuków, a specjalna kościana płytka chroniła rękę, trzymającą łuk, przed uderzeniami spuszczonej cięciwy! Mogli więc upolować i zasmakować w delikatniejszym mięsie ptaków czy też małych ssaków. Zwierzęta hodowano głównie na rzeź; choć w wołach odkryto - siłę pociągową. Najwydajniejszą.

O postępie w uprawach nie zapomniano. Pszenica, zwana dziś z turecka orkiszem, roślina jakby „sztuczna", nieznana w stanie dzikim, powstała pod rękami tych mądrych kobiet jeszcze tam, na Bliskim Wschodzie, ziemiom polskim przyniosły ją one bardzo wcześnie,

jeszcze za czasów ceramiki „wstęgowo rytej". Dalsze pokolenia nadal zapewne selekcjonowały ziarna, by ulepszać zboża. Jeśli tak, to studiowały je dalsze setki lat tu, na miejscu. Jedną z najstarszych pszenic, płaskurkę, poprawiły na tyle, że - o kruchej osadce, łatwa do wymłócenia - przetrwała w uprawie po różnych zakątkach Europy do XX wieku! Choć parę tysięcy lat uprawiali też ci przybysze i prymitywniejszą odmianę pszenicy, samopszę.

Pochodziły te kobiety z niebywale odległych krain, a zostały tutaj - przetrwały bowiem po nich do dzisiaj nieliczne „śródziemnomorskie" nazwy miejscowe poniektórych rzek i strumieni. Gdyby odeszły ze swymi mężczyznami, gdyby razem wyginęli, pamięć nazw odeszłaby razem z nimi...

Na długo zanim przyszli tu pra-Słowianie, żyły na ziemiach przyszłej Polski i zanikały, przychodziły i odchodziły rozmaite ludy zwane przez naukę „staro-europejskimi", rozmaitych kultur, inni wcześni gospodarze Europy. Ich najliczebniejszymi dziś potomkami, przynajmniej w
sensie językowym, są narody i szczepy ugrofińskie - Finowie, Estowie, Węgrzy i różne inne plemiona, wywodzące się z północy europejskiej części Rosji. Po nich też mamy i na ziemiach polskich różne, znów nie tak liczne wprawdzie, ale prastare nazwy miejscowe - znak, że i oni przetrwać musieli wśród pra-następców, bo inaczej to nazewnictwo wymarłoby razem z autorami. Dzisiejsi Polacy mają więc kuzynów sprzed paru tysięcy lat po rozmaitych innych, równie mało spodziewanych okolicach Europy.

Dzieje tych ludów staro-europejskich i ich kultur na ziemiach polskich to wręcz barwna powieść tajemniczych przygód, tajemniczych wierzeń, dramatów i znaczeń, tyle że bez imion bohaterów. Któryś taki lud swoich wodzów bądź kapłanów, grzebał u końca ogromnych wałów, wysokich na parę metrów, długich na sześćdziesiąt do stu trzydziestu metrów - na pograniczu Wielkopolski i Kujaw. Ogromne to były roboty, nie na kilkudziesięciu, ale na dwustu, trzystu ludzi, dobrze zorganizowanych, czyli że to były pokaźne plemiona, tysiąc, półtora tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci. Jakiś lud, który nauczył się już rolnictwa, nie uprawiał ziemi szpadlami i łopatkami, lecz orał radłem ciągnionym przez woły i uwiecznił zaprząg pary wołów przetrwałą do naszych czasów w okolicach Lublina glinianą figurką. Mamy też jeszcze jedną taką parę wołów z Bytynia... Inny lud przeżywał zbożnie udomowienie zwierząt, upamiętniał je specjalnymi pochówkami. Sam oswoił leśnego konia - i jego też uczcił najstarszym w Europie, rytualnym pochówkiem, a i bursztynowy tarpan z Dobiegniewa koło Strzelc Krajeńskich też sugeruje taką interpretację. Koło Dzierżoniowa znaleźli archeolodzy glinianego barana, wysokiego na trzydzieści parę centymetrów. Sądząc po rozmiarze, zabawka to raczej nie była, domysły wskazują figurkę kultową. Byłoby logiczne, gdyby ci rolnicy oddawali cześć i pożytecznym zwierzętom... Odstępy czasowe między tymi znaleziskami nie podważają domysłów. Ale pole badań pozostaje obfite – nie znaleźliśmy uświęconych krów. Czyli to już czasy rozkładu lub wręcz upadku matriarchatu.

Tajemnicą pozostaje produkcja toporów bojowych (nie siekier!) z krzemienia „pasiastego" – który łatwo pękał w skutek ukrytych szczelin, ale ładnie wyglądał. Wygładzenie powierzchni ostrza, posypanej piaskiem, polanej wodą, ścieranej kawałkiem piaskowca, zajmowało dziesiątki godzin. Produkowano owe topory dla jednego tylko plemienia spośród ludów przypisywanych kulturze amfor kulistych. Najwidoczniej zniewoliło ono górników Krzemionek, a w epoce między latami 2500 i 2000 p.n.e. zaskakującym, wyraźnie długo przygotowywanym atakiem załamało kulturę pucharów lejkowatych, czyli kwitnący po Złotym Wieku świat rolniczy na przyszłych naszych ziemiach. Archeolodzy

odkopali porzucone, spalone osady, potrzaskane szczątki ludzkie, w Gródku Nadbużnym – porozrzucane szczątki po jedenaściorgu dzieciach, w jednym z wykopów znaleźli - topór z krzemienia pasiastego.

Ci niszczyciele i grabieżcy kładli do grobów swoim wojownikom swoje topory bojowe. Dziwiono się w naszych czasach, że nie poszczerbione – ale nawet cięcie w czaszkę nie stępiało kamiennego ostrza... Nie budowali wielkich osiedli, największe stworzyli w sąsiedztwie Krzemionek, co też logiczne. Wywodzili się najpewniej ze świata puszcz, spośród myśliwych i agresywnych zabijaków, to była społeczność już zorganizowana, z jakąś tożsamością, niestety, nie zapisana niczym poza swoimi skorupami i dokonanymi zniszczeniami. Jedno wiemy – nie znali jeszcze brązu. Brąz wkroczy na te ziemie dopiero po dwutysięcznym roku p.n.e.

W dzisiejszym Stonehenge na przyszłych Wyspach Brytyjskich rodził się wtedy olbrzymi pomnik kultury megalitycznej, czyli wielko kamiennej. Sama natura musiała ustawić krąg kamiennych, kilkumetrowej wysokości, kilkudziesięciotonowych graniastosłupów - co ludzie odebrali zapewne jako przekaz sił wyższych. Zdumiewać za to może, jak zdołali podźwignąć na wysokość 5,5 m kamienne, płaskie bloki, wagi 6,5 ton, wyrąbane, jak należy przypuścić, z tych graniastosłupów. Z idealną dokładnością rozmieszczali je na zewnętrznym kręgu. Wielki archeolog brytyjski australijskiego pochodzenia, Vere Gordon Childe, spróbował odgadnąć, jak to zrobili. Postawił hipotezę, że usypana do odpowiedniej wysokości, wznosząca się równia pochyła służyła wtoczeniu tych bloków skalnych. Mogli je wtoczyć, ciągnięte przez woły, na rolkach, na ułożonych poprzecznie palikach... Największy taki krąg kamienny Europy, o średnicy 425 m, znajduje się w Avebury w południowej Anglii, a w bretońskim Carnac - olbrzymi zespół kamiennych, stojących jakby w prostokątach słupów, zwanych po bretońsku menhirami, niektórych wręcz gigantycznych, wagi do 800 ton. Te ogromne bloki musiała już ustawić sama przyroda, ludzie najwidoczniej odkryli w nich dowody działania bogów.

Czy kultury megalityczne, „wielko kamienne" Północy Europy wzięły się z odkrycia i przebóstwienia takich dzieł przyrody? Czy też to wpływ kontaktów ze światem Egiptu? Tam od blisko tysiąca lat, jeszcze za faraonów IV dynastii, w XXVI –XXV wieku p.n.e., więc grubo wcześniej, montowano piramidy z tysięcy, jeśli nie z milionów bloków skalnych, z dokładnością do pół milimetra!, i budowano ogromne kamienne świątynie. Potem, w XIV wieku p.n.e., Amenhotep III zbudował akurat grobową świątynię w Tebach, po której zostały stojące na jego grobie sławne kolosy, zwane potem kolosami Memnona. W Grecji kultura Myken nie dopiero w XIV – XIII wieku p.n.e., lecz wedle moich dociekań o paręset lat wcześniej, otoczyła Mykeny, Tiryns i jeszcze jedną mykeńską twierdzę nieznanej nazwy murami niewiarygodnej grubości, z olbrzymich łomów skalnych, co w oczach późniejszych Greków było dziełem tytanów, a i nauka zwie dziś te mury „cyklopowymi". Nie wiemy, dlaczego całą ówczesną Europę setki lat przenikał duch swoistego, kamiennego gigantyzmu, dlaczego budziło cześć i fascynację to, co wielkie, a nawet - olbrzymie.

Na terenie dzisiejszej Wielkopolski żył jakiś lud kultury, zwanej przez archeologów „unietycką" (od jej cmentarzyska odkrytego w Unieticach koło Pragi czeskiej). Była to kultura w wieku Myken, z XVIII – XV wieku p.n.e. Koło dzisiejszego Maksymilianowa pod Kościanem usypała potężne kurhany o średnicy 20 do 45 metrów u podstawy, zwane dziś Wielkopolskimi Piramidami. Jeszcze do XIX wieku było ich tam jedenaście, stały w linii prostej, jeden za drugim, ale XIX-wiecznym pruskim przedsiębiorcom kolejowym, którzy ciągnęli tędy linię Wrocław-Poznań, spieszyło się i zrujnowali siedem z nich. Do

przekopania pozostało archeologom tylko cztery. Okazały się, oczywiście - grobowcami. Komory grobowe przekryto belkami lub stropami ze zlepionych gliną kamieni. Najwyraźniej brakowało tu ogromnych bloków kamiennych, które tkwią w jądrach nasypów grobów tej kultury w innych okolicach.

Grzebano tu ludzi bogatych i możnych, zapewne wodzów lub kapłanów, już nie rządzące kobiety i kapłanki – grzebano ich z berłami sztyletowymi, być może insygniami władzy, z innymi brązowymi wyrobami, ze złotymi wisiorkami i paciorkami z bursztynu. Rozległe musieli ze światem utrzymywać kontakty, bo na miejscu żadnych surowców do produkcji brązu nie było, ani tym bardziej złota. Handlowali zapewne bursztynem, za którym już wtedy przepadały cywilizacje „minojskiej" Krety i proto-greckich Myken. Za bursztyn wiekami wszystko można było dostać.

Bursztynem siało morze po całym południowym wybrzeżu Bałtyku aż od Zatoki Ryskiej, a nawet i na wybrzeżach Morza Północnego po ujście Wezery, ba, także we wschodniej Anglii. Tym skarbem cieszyli się wszelako od dawna mieszkańcy Lewantu na Bliskim Wschodzie, nad Morzem Śródziemnym. Potem - Grecy na wybrzeżach włoskich. Ale daleko było tamtejszym czerwono-żółtym bursztynom do „złota północy", do jasno-żółtego bursztynu bałtyckiego. Chemicy rozróżniają go po wyższej zawartości kwasu bursztynowego; XIX-wieczni fachowcy znali 250 jego gatunków! Od przezroczystego jak szkło „cacka", znajdowanego na Kurpiach, poprzez bryłki połyskliwe, przypominające kość słoniową, czy też „bastardy", z pęcherzykami powietrza, w ogóle nie przezroczyste, aż po rozmaite gatunki „mniej szlachetne"...

Bursztynem, znajdowanym na brzegach i w całych złożach na lądzie, natura wynagradzała mieszkańcom tych okolic brak własnej miedzi i cyny. Produkty z brązu musieli kupować. Brąz przychodził do nich głównie z terenu dzisiejszych Niemiec i z Siedmiogrodu. Jego pochodzenie z poszczególnych rud nauka odczytuje dziś na podstawie różnic w procencie domieszek cyny, antymonu srebra czy też ołowiu. Ale sam wynalazek przywędrował do Europy Środkowej i Północnej znów - z Bliskiego Wschodu, tej kolebki cywilizacji, a im dalej od niego, tym narzędzia brązowe i ozdoby z brązu rozprzestrzeniały się wolniej.

Krzemień bronił się długo. Sierpem z kamiennym, solidnie oszlifowanym ostrzem zżynało się zboże niewiele wolniej niż sierpem brązowym, ale siekiery z brązu górowały nad krzemiennymi, były twardsze i trwalsze, nie rozpadały się po kilkudziesięciu uderzeniach, karczowało się nimi lasy szybciej i sprawniej. Za to zrujnowały, cofnęły postęp - brązowe miecze i czekany bojowe. Owemu ludowi toporów z krzemienia pasiastego nie udało się aż tak cofnąć postępu.

To w głównej mierze brąz wojujący uczyni dalszą historię Europy historią przelewu krwi. Z epoką brązu kończy się Złoty Wiek europejskiej ludzkości, załamie się znowu kultura rolna i nie będzie już mowy o tak rozległych kontaktach jak do tej pory, o sprowadzaniu znad Morza Śródziemnego muszli i złotych wisiorków. Klimat zaś ukarze tę ludzkość Europy na północ od gór stopniowym ochłodzeniem aż po słabe ciepło w lecie i mrozy w śnieżnej zimie.

Sam już był światem dosyć mieszanym. Po kulturze, zwanej kulturą pucharów dzwonowatych, odziedziczył armenoidalną domieszkę antropologiczną, pochodzenie której trudno określić. Szczątki tych armenoidów - muskularnej, masywnej budowy, z wydatnymi nosami o garbatym profilu - znajdujemy i w Hiszpanii, i we Francji. Dziś

armenoidalny typ antropologiczny spotyka się najczęściej na Kaukazie i Bliskim Wschodzie, rzadziej na Bałkanach. Niemniej także - w południowej i południowo-wschodniej Polsce.

Polacy mają więc kuzynów i na Kaukazie, i na Bliskim Wschodzie; ale już ci „nasi" armenoidzi nie stanowili odrębnej kultury, lecz byli jednymi z wielu tych lepiących puchary dzwonowatego kształtu i razem z pozostałymi wtopili się w kulturę unietycką. Ludzie zaś tej kultury ubierali się chędogo, lubili się stroić, nawet pretensjonalnie; wykopaliska archeologów informują nas o tym brązowymi naszyjnikami, naramiennikami, nagolennikami, bransoletami i ozdobnymi szpilami. Już od najwcześniejszych kroków cywilizacji człowiek się upiększał, nie dopiero w kulturze unietyckiej, ale zapamiętajmy te bransolety nakładane na ręce, a to na ramię, a to powyżej przegubu - spotkamy je i tysiąc lat później.... Narzędzi i broni z brązu nie mogli produkować sami, bo nie było na tych ziemiach z czego; sprowadzali brąz od sąsiadów. Dowodem jest - nieco nadłamane - ostrze siekierki z lat 1500 - 1300 p.n.e., znalezione w Bławatach koło Mogilna. Ale walczyć już zapewne nie umieli. Broń była już chyba najeźdźców. Ta cywilizacja dobrobytu, jak i mykeńska, nie doceniła prawdopodobnie zagrożenia, jakie nieść może doskonalsza, skuteczniejsza broń w rękach zawistnych barbarzyńców. Być może - rozłożył właśnie te cywilizacje sam dobrobyt - inaczej nie da się wytłumaczyć upadku mykeńskiej cywilizacji tak potężnych umocnień obronnych i odkopywanego przez archeologów bogactwa.... I prawdopodobnie tak samo przegrał wcześniej świat kultury unietyckiej.

Brązowe czekany bojowe i miecze pojawiły się w rękach obcych, być może ojców przyszłej „kultury łużyckiej". Ludy zdobywców posiadły w tych podbojach i umiejętność wytopu żelaza, Dorowie odkryją zaś technologię nawęglania stopu żelaza i będą produkowali stal, z niej – stalowe miecze. Następstwa zapowiadały się więc jeszcze gorsze.

Na „naszych" ziemiach rolnicze osady znowu poniszczono lub ich mieszkańcy porzucili je w popłochu. Historia miała tu się zacząć od nowa - tylko tu i tam staro-europejskie nazwy miejscowe świadczą, że zdobywcy nie wymordowali wszystkich, bo inaczej nie dowiedzieliby się od dotychczasowych gospodarzy tych ziem, jak brzmiały te wcześniejsze nazwy. Skoro tak, Polacy mają w swych genach dziedzictwo i po staro-europejskich Ugro-Finach z ich laponoidalno-mongoloidalnymi domieszkami antropologicznymi, i po tajemniczych armenoidach z Bliskiego Wschodu. Bardzo mieszane, jak widać, mamy już pierwotne pochodzenie. I nie wiem, czy da się odgadnąć, od kogo się wywodzimy...

Czy nie możemy czegoś wnioskować z naszych języków? Język, zwany przez naukę „praindoeuropejskim", zapewne rozpadł się na języki poszczególnych pra-ludów po drodze, nim przywędrowały one do Europy. Najlepszy dowód, że pierwsze nam znane teksty indoeuropejskie zapisano daleko już od pierwotnych azjatyckich siedzib. W Anatolii, sercu dzisiejszej Turcji, w XVII wieku przed Chr. kwitła cywilizacja Hetytów, odłamu naszych przodków, i to przez kilkaset lat. Niestety, zatracili oni potem i język, i byt państwowy, ulegając podbojowi i wpływom kultur Mezopotamii, jeszcze przed owym niszczącym ostatecznie najazdem Ludów Morza. Co gorsza, mezopotamskie pismo klinowe, które służyło zapisom w miejsce pierwotnych tam hieroglifów, nie było dostosowane do języka Hetytów i raczej ukryło go przed nami, niż pozwoliło mu przemówić.

Ziemie wokół Pamiru, najbardziej sejsmiczne okolice globu, jakby chciały strząsnąć z siebie pra-indoeuropejczyków. Szli za odchodzącym, chowającym się daleko w ziemi słońcem. Jedni przez Azję Mniejszą, inni stepami Eurazji. Przesuwali się wolno, pieszo,

szukając łatwo dostępnej żywności. Przekroczywszy rzekę Ural, rozchodzili się na wszystkie strony.

Ciągle jeszcze nie wiemy, czy pra-Słowianie przybyli do Europy z euroazjatyckich stepów w wielkiej, wspólnej migracji razem z przodkami innych ludów zwanych „indoeuropejskimi", czy też sami. Nie wiemy, kto wcześniej, a kto później. Języki bałto-słowiańskie należą do wspólnej grupy z językami akurat indoirańskimi, z albańskim i ormiańskim, wygląda więc, że były starsze. Zdawałoby się, że coś nam zdradzić może ich bogata, giętka fleksja. W językach takich, jak łacina i języki słowiańskie, wyrazy brzmią inaczej w danym przypadku rzeczownika lub czasu i osoby czasownika. Tylko że dzisiejsze języki bez fleksji, proste i sztywne, które zatraciły odmianę lub koniugację i operują samymi rdzeniami, bez zmiany końcówek czy brzmienia, choćby języki germańskie, najwyraźniej wcale takimi u swego początku nie były - w każdym z nich spotykamy ślady zamarłej, odrzuconej fleksji! Może mówiły nimi ludy północy, które chroniły twarze i usta przed mrozem, nawykały więc przez wieki do skrótów i uproszczeń...?

Pra-Germanom zapewne dokuczały nad Uralem – nawracające susze, dzieło boga wielkiej mocy i bezwzględności. Woleli więc chyba chłodniejsze, ale bogate w zwierzynę łowną puszcze Środkowej Rosji. Parę wieków zbierali tam owoce i polowali, otaczając czcią święte drzewa - które obrali na swoich praojców i pramatki. Jedno pewne: nie mogli obrać sobie takich przodków podczas wędrówki pustymi stepami... Może wędrowali na zachód zimną właśnie północą, a do przyszłych Niemiec potem ze Skandynawii - przez „duńską" groblę? A może odwrotnie - języki w swych naturalnych przemianach właśnie upraszczają się z biegiem czasu, nie wzbogacają?

Pra-Słowianie też nie uformowali swej tożsamości w stepach. Urna twarzowa, czyli popielnica, z Grabowa koło Starogardu, świadczy, że palili swoich zmarłych, a skoro tak, to w lasach, nie na stepie. Odtworzono rysunek, jakim ją ozdobiono, widzimy na nim i rysunek wozu zaprzężonego już w konie, i niezdarnie odwzorowane słońce, które zapewne czcili, wszystko wśród pokrywających ten świat drzew... Ciągłości zaś dowodzą nie tylko lokalizacje osad, ale i te same umiejętności. W końcowej fazie epoki brązu i wczesnej epoce żelaza na ziemiach przyszłej Polski orano radłami. Wymagały one krzepkich rąk i silnych zwierząt pociągowych, wołów, a nie koni.

Nie jest jasne, czy ci, którzy zapoczątkują na „naszych" ziemiach „kulturę łużycką", byli tymi, którzy unicestwili „kulturę unietycką". Mój rówieśnik, archeolog, prof. Jan Dąbrowski, dał kapitalny portret „kultury łużyckiej" i całej współczesnej Europy. Ukazane bogactwo kontaktów i zależności czyni tę historię pasją przyszłych archeologów – może czytelników tych opowieści...?

4. NASZ PRZODEK NIEDŹWIEDŹ

Wedle większości archeologów przodkowie Słowian osiedli właśnie w tej części Europy, w zasięgu kultury w nomenklaturze archeologów zwanej „łużycką” (od XIV do IV wieku p.n.e.). Terytorialnie to by się zgadzało, choć raczej wtopili się w tę kulturę niż ją stworzyli, za to z ciekawą tradycją – tolerancji: na tych samych stanowiskach archeologia odkrywała groby szkieletowe i ciałopalne. Stąd mogli Słowianie, rozmnożywszy się w pierwszym tysiącleciu po Chr. w setki tysięcy, wędrować na wschód, na północny wschód, na południe lub dalej na zachód. Pra-Germanie rozlokowali się w pasie od południowej Skandynawii aż po dolny Ren, zaś pra-Celtowie - na rozleglejszych znacznie przestrzeniach, od dorzecza średniego Renu do granic ziem Basków. Zaznaczmy jednak, że inna szkoła archeologiczna, „allochtoniczna”, widzi w pra-Słowianach przybyszów „z zewnątrz”, chce ich wywodzić z dzisiejszej Ukrainy. Co mało prawdopodobne, skoro przez wieki palili zwłoki swych umarłych na stosach, a trudno byłoby o drzewo na stepie…

Innych ludów indoeuropejskich nie sposób dziś czasem zidentyfikować nawet jakimś pra-imieniem. Zanikły potem różne gałęzie pra-ludów zachodnio-europejskich, które oddzielały zapewne od siebie kolebki pra-Germanów i pra-Celtów. Wenetów znad Adriatyku do niedawna zwano pra-Illirami, znaleziono tam po nich około 200 zapisów w ich języku z I wieku p.n.e. - w alfabecie etruskim! Można chyba śmiało odgadywać w nich współplemieńców tychże Etrusków. Ale siedzieli też Weneci nad Atlantykiem, i nad Bałtykiem, i w środkowej Europie. Tu jako „Wenedzi” użyczyli prawdopodobnie później swego imienia tutejszym Słowianom lub też Bałtom. Niektóre nazwy miejscowe na ziemiach polskich zostały właśnie po nich! Bardzo mało, ale przetrwały. Czyli że byli przed nami i tutaj, a późniejsi przybysze ich nie wymordowali. Możliwe zaś, że utożsamiono stopniowo z tymi Wenedami-Wenetami i pra-Słowian.

Słowianie, wbrew stereotypom, powtarzanym czasem i przez historyków, nigdy nie nazywali wszyscy siebie razem Słowianami, tymi, którzy potrafią mówić wspólnym „słowem”. Nazywały tak siebie jedynie plemiona, które miały obok sąsiadów innej mowy i zaznaczały swą odrębność wspólnotą swojego języka - Słoweńcy, Słowacy, Słowińcy, Słowienie, i to wcale nie od razu…
Dla plemion germańskich z terenu dzisiejszych Niemiec po wiekach, w końcu pierwszego tysiąclecia po Chr., Słowianie znad Łaby, zwani dziś w nauce historii „Połabskimi”, będą – „Wendami”. Zapewne - po owych „Wenedach”. I „Wendami” pozostaną dla Niemców na zawsze. A już starożytni rzymscy kronikarze określali mieszkańców tego regionu – „Wenedami”. Przy czym imię tych ludów, jak i Wenecji, kojarzy się w słowiańskich i bałtyjskich językach z terenami błotnymi, bagnistymi, i będą się kojarzyły tak lat blisko trzy tysiące. Może zresztą i nasza „woda” pierwotnie brzmiała „wąda”? Po litewsku jest *wanduo*, aż nazbyt blisko imion, z jednej strony, zmyślonej „Wandy”, z drugiej - „Wandalów”… Litwini (Prusowie?) nadali imię Bałtykowi – od swojej „bieli”, czyli że przywędrowali pewnie nad zaśnieżone morze w zimnie połowy pierwszego tysiąclecia p.n.e.

„Wenedowie”, „Weneci”, nie wyrżnęli budowniczych owych Piramid Wielkopolskich z ich kulturą „unietycką” - inaczej nie uchowałyby się po niej nazwy miejscowe. Ich samych zapewne wchłonęli stopniowo przybyli później, może jako zbóje?, pra-Słowianie. Ci chyba dopiero tu, w świecie puszcz, nie na stepie, formowali swoją wyobraźnię, oczywiście nie z roku na rok, a przez pokolenia. Ich światem rządziły duchy przyrody i duchy ich

zmarłych. Jak palili ścięte drzewa na użyźniający popiół, tak i zwłoki powierzali płomieniom stosów - tutaj, bo na pewno nie w bezdrzewnym stepie. Zbierali potem ich prochy i grzebali w urnach - tak będą robili przez następne dwa tysiące lat, aż po czasy chrześcijaństwa...

Dr Jakub Zielina zebrał w popularnym ujęciu wszystkie źródłowe wiadomości i domysły uczonych na temat wierzeń pra-Słowian. Niektóre plemiona upatrywały swego przodka w - niedźwiedziu. Ba, wprost niedźwiedzia uczłowieczano jako ojca, dla dzisiejszych Niemców to jest *plumper Mensch*, niezgrabny, ciężki człowiek! Taki przodek był *totemem*, jak nauka nazwała za Indianami Algonkinami zwierzę, otaczane podziwem, czcią i sympatią; myśliwi nie polowali nań, jego mięsa nikt by nie tknął. Jego imię otaczało *tabu* (termin taki nauka i codzienność białych ludzi zaczerpnęły na odmianę od Polinezyjczyków). Nie wymawiało się tego imienia, a my go nie znamy, choć językoznawcy wiedzą, jakim pra-indoeuropejskim słowem określano niedźwiedzia. Brzmiało - *rksza*. Od niego ma swe celtyckie imię baśniowy król „Artur", pierwotnie – „Arktur". Słowianie zwali tego ogromnego zwierza, zdolnego się poruszać i na dwóch łapach, przez omówienie, był on i jest tym, który „wiedział", gdzie jest „miedź", czyli „miód". „Niedźwiedź", czyli – „miedź-wiedź" (rosyjski *miedwied'*). Wskazywał ludziom, gdzie znaleźć na drzewie barć, a w niej miód. Słowianie na niego nie polowali, aż po wiek XII, ani ci wschodni, ani zachodni - u nas jeszcze za Mieszka Starego w końcu XII wieku zabicie niedźwiedzia surowo karano! I cerkiew prawosławna, i Kościół katolicki zwalczały ten kult, ale na wsi Białorusi jeszcze w XIX wieku etnografowie zanotowali swoiste, zaskakujące obrzędy. W przeddzień święta Zwiastowania Marii Pannie chłopi naśladowali... budzące się z zimowego snu niedźwiedzie – zaczynali od tego, że wyciągnięci na swych łożach, przewracali się wolno, pomrukując, z bok na bok...

Niemiecki *Honig*, angielskie *honey* każą domyślać się, że Germanom udostępniali miód „Hunowie", jak po najazdach Hunów zwano wschodnich sąsiadów. Nasz „miód", jak i szwedzki przyniesiony z Rusi *mjoed*, kojarzy się logicznie z pokrewnym łacińskim *medela*, znaczącym „lek", „lekarstwo". Od koloru miodu nazwę dostała u nas i miedź, nie odwrotnie. W zachodnich językach miedź nosi nazwę, pochodzącą od łacińskiego *cuprum*, nie od koloru.

Rozsiedli się Słowianie w bezpiecznym świecie puszcz, błot i jezior, zapewne wśród „Wenedów". Sami z bronią w ręku szukali coraz dalej podobnych warunków, aż na ziemiach dzisiejszej północnej Wielkorusi, pomiędzy tamtejszymi laponoidami i ludami ugro-fińskimi. A kiedy się zrobiło bardzo zimno, przed połową pierwszego tysiąclecia po Chr., w apogeum oziębienia, część naszych przodków też ujdzie od mrozów na południe.

Pozostałości tych wodno-błotnych związków sprzed dwu i pół tysiąca lat z górą możemy dziś sami oglądać - dzięki temu, że pewien skromny nauczyciel wiejski maleńkiej szkoły we wsi Biskupin nad jeziorem nieopodal wielkopolskiego miasteczka interesował się historią. W brzegach półwyspu, na którym leżała wieś, tkwiły jakieś pale, a w torfach tu kopanych co rusz znajdowano jakieś stare na oko przedmioty. Nauczyciel dał znać wielkiemu polskiemu archeologowi, Józefowi Kostrzewskiemu. Dzięki temu w roku 1934 zaczęto kopać, otwierając nową epokę w archeologii ziem polskich. Bo torfy czule przechowały świadectwo czasu bardziej niż zamierzchłego.

Kultury wcześniejsze lokowały swoje osady raczej na terenach suchych, na wzniesieniach i wzgórzach. Tymczasem tutaj w pierwszej połowie ostatniego tysiąclecia p.n.e., przed pełnym rozkwitem Aten, przed narodzinami republiki Rzymu, powstała na wysepce, dziś -

półwyspie jeziora Biskupińskiego, słynna obecnie, odkryta naszym oczom przez archeologów drewniana osada obronna, małe miasteczko. Dzisiaj w pobliskim pawilonie muzealnym ogląda się model zrekonstruowanej warowni. Jak na tę część Europy imponowała ona rozmiarami. Na swoich dwóch hektarach powierzchni mogła pomieścić blisko tysiąc ludzi.

Nie znali oni pisma i daleko im było do ówczesnych cywilizacji Morza Śródziemnego, do Greków, nie mówiąc już o Bliskim Wschodzie. Kontaktom z Grekami przypisuje się porządek w rozplanowaniu uliczek miasteczka i plac na zgromadzenia mieszkańców, czyli jakąś demokrację, ale brak realnego śladu takich kontaktów. Stworzyli najprawdopodobniej tę warowną wieś ci zanikli Wenedowie. Dbali o duchy swoich czcigodnych zmarłych inaczej niż Słowianie. Nie palili ich zwłok. Naczelnikom wkładali do grobów broń, uprząż do jazdy konnej, a nawet czaszki ich koni. Wśród kości po zjedzonych zwierzętach znaleziono i kości niedźwiedzi. Nie byli to więc pra-Słowianie, ale czegoś ich nauczą - drewniany most, długości około 120 metrów, łączy osadę z lądem dokładnie tak, jak mosty przy tutejszych grodach tysiąc kilkaset lat późniejsze, jak przy grodach „Wendów", czyli Słowian Połabia, lub na dalekiej, północnej Rusi Nowogrodu Wielkiego. Nie ma co rozszerzać dziedzictwa umiejętności na wspólne pochodzenie i język, mogli ci Wenedowie być i Bałtami. W borach na tysiącach kilometrów kwadratowych nie brakowało miejsca dla różnych ludów, liczyły ich plemiona po kilka, może nawet i po kilkadziesiąt tysięcy ludzi, mogły żyć bezpiecznie w takich grodach o sto kilkadziesiąt kilometrów puszcz i moczarów od siebie...

Co to był za świat, co to była za kultura, mówi coś pewien instrument muzyczny, znalezisko z Przeczyc koło Zawiercia z VII - VI wieku p.n.e. Zrekonstruowali go archeolodzy. To połączone ze sobą piszczałki, wysokość dźwięku zależała od długości rurki. W starożytnej Grecji była to „fletnia" kozłonogiego bożka Pana - syrinks; nimfa, którą chciał on uwieść, Syrings, uciekając przed nim zmieniła się w trzcinę, a Pan ściął trzcinę i zmajstrował z niej piszczałki, w łacinie syringę, u nas - od dawnych wołoskich pasterzy – „multanki". Jak zwali to pra-Słowianie, nie wiemy; ale najpewniej grali i śpiewali, i oni, i Wenedowie z „Biskupina".

W sztucznie spiętrzonych wodach jeziora koło Słupcy sterczy inny gród, zbudowany pośród bagien dwa i pół tysiąca lat temu. Powierzchni ponad hektar; jego resztki podmywa dzisiaj toń jeziora. Obwiedziono go wałami o narysie koła, łączył się z twardym lądem szeroką na 3,5 metra, długą na 200 metrów groblą z faszyny i piasku, wzmocnioną palami, dranicami i kamieniami. Miała ona chronić dostęp do grodu, jak i owe mosty - ale chciwi najeźdźcy po tej grobli ok. 400 r. p.n.e. wdarli się do środka, by zdobyć gród, wyrabować i zniszczyć...

Zidentyfikowali uczeni w sumie setki grodów, także i większych od „Biskupina" - cywilizacji snadź wyzywająco zamożnej, bo inaczej ci bandyci nie przygalopowaliby zza Karpat aż tutaj. Archeolodzy rozpoznali w nich Sigynnów, koczowników, bliskich Scytom stepowym, czyli tym nie osiadłym – rozpoznali po scytyjskich charakterystycznych, trójgraniastych, brązowych grotach ich strzał. Usiane były nimi zgliszcza zdobytych i zniszczonych grodów takich jak ten, który zwiemy "Biskupinem", resztki spalonego grodu na wyspie jeziora Gopło i w innych zaatakowanych grodach kultury łużyckiej na Śląsku i w przyszłej Polsce Środkowej. To był naprawdę koniec tej cywilizacji: do budowy grodów pośród mokradeł i wód nawiążą mieszkańcy tych ziem, już słowiańscy, dopiero po setkach lat... Koczownicy zapuścili się daleko, tysiąc kilkaset kilometrów na północny zachód od swoich siedzib – tu się najwyraźniej ich nie spodziewano. Do tej pory próbowali

na ogół grabić, razem z Trakami, bogate kolonie greckie nad Morzem Czarnym. Aliści stąd, z północy, jacyś dzielni kupcy przywozili na południe łakomy dla Greków bursztyn, w ich języku - „elektron", za ten elektron płynęło na północ złoto i wyroby południa. W okolice Milicza dotarł egipski amulet boga Ptaha, na Kujawach znaleziono etruską z tego czasu ceramikę! Ten świat wbrew geografii nadal nie był tak rozległy...

Czy ów najazd poruszył wyobraźnię ludów sąsiadujących z Wenedami w owej puszczańskiej pra-kolebce Słowian? Czy już wtedy, w kolejnym oziębieniu, ruszyli na południowy wschód - ku Scytom rolnikom, ściślej – ku czarnomorskim koloniom greckim? Znaleźliby tam żyzne gleby... Historycy odkryli u pierwszego historyka Europy, Herodota z Halikarnasu, w V wieku p.n.e. - „Neurów", na północ od Dniestru, na południe od bezludnego stepu, ale byli oni „obyczajów scytyjskich", więc dość mało pra-słowiańscy. Herodot wymienia dokładnie dwa plemiona „nie-scytyjskie". Neurowie wydawali się być czarodziejami. Usłyszał Herodot, że „stale raz do roku każdy z Neurów na kilka dni staje się wilkiem, a potem znowu przybiera dawną postać" (tłum. Seweryn Hammer). Nakrywali pewnie z jakiejś okazji głowy spreparowanymi łbami wilków. Plaga węży wypędziła ich do kraju Budynów, ale jeszcze Pomponiusz Mela w I w . wiedział, że przemieniali się w wilkołaków. W cieple na przełomie er mieliby wybrać się w puszcze na północny zachód, bliżej miodu i bursztynu, by tam uwić swą nową kolebkę i w puszczańskim życiu obrócić się w potomków niedźwiedzia. Ci potomkowie niedźwiedzia rozejdą się potem na wszystkie strony świata. Bo jest pewne, że jednak stąd poszli na południe i na wschód. Gdyby tam poszli z Ukrainy, poszliby... w spodniach, podczas gdy „nasi" pra-Słowianie, jak zresztą i Grecy, spodni długo jeszcze nie nosili. Pierwsi wymyślili podobno przed wiekami spodnie Medowie. Przywdziewali spodnie jeżdżący konno Scytowie stepowi, by nie siadać gołymi pośladkami na grzbietach rumaków. Brak spodni przemawia za regionem kultury łużyckiej jako pra-siedzibą pra-Słowian, wespół z wcześniejszymi Wenedami.

Poszli w cieplejsze kraje z bronią oczywiście, nie z legendarnymi gęślami w rękach, nawet ci muzykalni. Broń to nie była wysokiej klasy - ich przodkowie nauczyli się wytapiać żelazo dopiero niecałe tysiąc lat p.n.e., a i tak nie dorównywali swym hutnictwem żelaza choćby pra-Bałtom. Nie opanowali tajników produkcji stali. Klasę mieli im pokazać dopiero... Celtowie. Nosić spodnie nauczyli się Słowianie chyba jednak od Scytów. Chyba. Gallowie, czyli Celtowie, okresu pokoju rzymskiego w I – II wieku nosili już spodnie. Kiedy się tego nauczyli, nie wiemy...

Wenedów, dziś niemodnych w historiografii, możemy uznać za żywioł miejscowy, szeroko rozprzestrzeniony. Spotkamy teraz pierwszych przechodniów historii na przyszłych ziemiach Polski. Bardzo już dawno Herulowie, Goci i Gepidzi ciągnęli tym ziemiami ze Skandynawii na południe. Jedno pewne: z ciepłego przełomu er pochodzą inne zgoła pochówki nad dolną Wisłą. Pra-Słowianie palili zwłoki swoich zmarłych, a tu znajdujemy w grobach - szkielety. Prawda, że obok grobów ciałopalnych. Sygnał, że tak różne kultury i religie jakoś ze sobą współżyły. Pojawiają się tu ni stąd ni zowąd kurhany otoczone kręgami kamiennymi, jakie spotykamy na terenie Skandynawii, a także - znane z niej kamienne stele, te zwane w Bretanii *menhirami*, tylko mniejsze, głazy wkopane pionowo w ziemię. Byli zatem jacyś tu Skandynawowie. Najpewniej - Goci właśnie. Przypisuje się im długi, ponad kilometrowy, drewniany pomost nad moczarami żuław wiślanych, ale sądzę, że go już tutaj zastali; badania zawartego w drewnie radioaktywnego węgla C14 wyjaśnią wiek pomostu...

Co ich tu przywiodło? Ani chybi – „złoto północy”, bursztyn. Znajdowano go, jak wiemy, nie tylko w piaskach brzegów Bałtyku czy w ziemi Sambii, istnym zagłębiu. Nad Narwią, na całej północy Niżu Polskiego, były go też całe złoża, zwłaszcza na Mazowszu, w Puszczy Kurpiowskiej. Także tam archeologia spotyka owe stele i kurhany…

Stąd nie należy się dziwić, że niektórzy nasi historycy chcieli widzieć w słowie „skło”, „szkło”, pożyczkę gocką. Aliści po takim źródłosłowie zostałby chociaż jakiś pokrewny wyraz niemiecki. Takiego zaś nie ma. Goci więc już tu „szkło” zastali. Być może – wenedzkie. „Sklave”, niewolnik, jest późniejszy, może - od „Sklawinów”, ludzi bursztynu, branych w niewolę. Tak, bo wczesno-średniowieczne Bizancjum zwało nowych najeźdźców z północy „Sklawinami”. Dla ówczesnych Arabów byli – *Sakaliba*. Pobrzmiewa tu, moim zdaniem, nie nazwa plemion, ani późniejszy, nieznany starożytnej łacinie *sclavus*, niewolnik, lecz słowo znaczące… bursztyn, który to skarb docierał tu z północy. Arabowie zwali bursztyn – *sakal*. Słychać w rdzeniu „skl” dzisiejsze polskie „szkło”. Główna rzeka ziem przyszłej Polski, Wisła, była „Wisklą”, w innym rzymskim zapisie „Wistla”. Wedle Herodota i Scytowie nazywali siebie – Skolotami; ale o „t” za dużo…

Wielki polski znawca historii Gotów, Gepidów i Herulów, Jerzy Strzelczyk, wskazał, że ślady ich prowadzą ku morzu Czarnemu. Siedzieć nad dolną Wisłą musieli Goci na tyle długo, by zostało po nich słowiańskim sąsiadom, Kaszubom, „Kociewie” – po Gociewiu, a na szlaku podróży, nad średnią Wisłą - Kock. Późniejsza o parę stuleci, spisana opowieść o wędrówce tysięcy Gotów ze Skandynawii do ich mitycznego *Oium*, nie świadczy, by zatrzymali się gdzieś po drodze na dłużej. W III wieku n.e. byli już na dzisiejszej Ukrainie. Inne czasowe osadnictwo i włóczęgę archeologia przypisuje germańskim Herulom. Gdyby jednak na tych ziemiach Germanie siedzieli od wieków, przez dziesiątki pokoleń, wróciliby może swymi językami do fleksji…

Celtowie, pra-ojcowie dzisiejszych Walijczyków, Irlandczyków, Szkotów i Bretończyków, wędrowali na te ziemie z różnych stron. Włócznie i miecze, długie czasem na metr, w zdobionych, żelaznych pochwach, zawieszonych łańcuchami u bioder, wykluczają opinię o upadku ich sił. Zgięte resztki długiego, żelaznego, obosiecznego miecza Celtów znaleziono podczas wykopów… na Żeraniu w Warszawie; Celtowie tu raczej nie dotarli, ale dotarła ich broń. Szli na wschód mocarni doprawdy atleci, chroniły ich potężne tarcze i kolczugi, budzili strach, do ataku na ich czele pędzili ryczący w żądzy zabijania nadzy woje, których nie imały się żadne ciosy, z wojami zaś – półnagie, wyjące kapłanki. Przerażali nawet Rzymian. Ciągle o ich cywilizacji mało wiemy. Na Zachodzie ta cywilizacja, pokonana przez Rzymian, roztopiła się w ich kulturze. Ale zapisy historyczne i znaleziska archeologiczne wskazują, że dojechali na swych koniach i do przyszłych naszych ziem. Dawno i na długo.

To raczej oni stworzyli ośrodek kultowy na Ślęzie, z kamiennym niedźwiedziem, którego by nie postawili ani Słowianie, ani Germanie. W Gosławicach koło Opola, w celtyckim grobie jakiegoś tutejszego celtyckiego dostojnika z I wieku n.e. znalazł się srebrny pucharek, który dotarł tutaj z ówczesnej, rzymskiej już, romanizującej się Galii. Nawet, jeśli musieli opłacać się Kwadom z dzisiejszych Moraw, najpewniej mieli z czego… Nie brakowało wśród Celtów przedsiębiorczych kupców, rolników umiejących znaleźć żyzne gleby, i górników poszukujących rudy… Handlowali na wielką skalę bursztynem – w dzisiejszym Wrocławiu odkryto ich skład z 1500 kilogramami bursztynu! Gdyby szlak handlu bursztynem kontrolowali Goci, mielibyśmy tu ich ślady!

Starożytność znała tu w I – II wieku plemię „Lugiów", które długo brano za Słowian, Sienkiewicz zrobił Ligię w „Quo vadis" Lugijką. Nasi historycy pierwsi zwrócili uwagę, że mogli tu osiąść nie Germanie ani Słowianie, a – właśnie Celtowie. Zgadza się: *Lug* w języku Celtów to „jasny", Lugiowie to potomkowie Luga, jednego z ojców Celtów, każdy poważny ród Irlandii ma go wśród przodków. Po nim jest imię Lyonu, pierwotnego Lugdunum, po nim u nas pewnie Legnica.

Wygląda na to, że to Celtowie zaczęli szukać, znajdowali i kopali rudę żelazną, by wytapiać żelazo - najpierw na Śląsku, potem w Górach Świętokrzyskich i w okolicach dzisiejszego Krakowa. U przełomu er były to niemałe zagłębia. Kwestionowano eksport tego żelaza, ale o jego skali świadczą skarby wielu tysięcy monet rzymskich w ziemi pogórza Świętokrzyskiego - w samym tylko Nietulisku najpierw 10 kilogramów monet, 3170 denarów rzymskich, z czasów od Nerona do Septymiusza Sewera, potem jeszcze drugi skarb, półtora kilograma! Rolnicy XX wieku latami wykopywali tu z gruntu bryły żelaznego żużla - wywożono go z jednego gniazda i 30 do 50 ton! Nowoczesne huty chętnie kupowały ten żużel, żelaza było w nim prawie połowa.

Archeolodzy odszukali w tych okolicach szyby głębokie na przeszło 40 metrów, z fachowo prowadzonymi chodnikami. Zaczynali ci górnicy od tak zwanej czapy wietrzeniowej złóż, grubej i na 10 metrów, z pirytem, hematytem i syderytem; potem schodzili coraz niżej. Kopali tam hematyt, tkwiący w plastycznych, ziemistej konsystencji pokładach, grubości od pół metra do metra i więcej, z zawartością średnio 48 procent czystego żelaza! Opłacało się to naturalnie bardziej, niż eksploatacja rud darniowych. Będzie to zagłębie kwitło kilka wieków.

Wiąże się z nim sporo historycznych tajemnic: Tacyt opisując „Germanię" z końcem I wieku n.e. wspominał, że tutejsi - bądź w dzisiejszej Słowacji, skąd zapewne przychodzili - „Kotynowie", mówiący po „galijsku", zatem Celtowie, płacą daniny w części „Sarmatom", w części – „Kwadom", i że ci „Kotynowie jeszcze, na domiar wstydu, pracują w kopalniach żelaza" (pracę taką Rzymianin wtedy miał za godną niewolników). „Sarmaci" tu nigdy ze stepów nie dotarli, najpewniej wzięto za nich jakichś miejscowych już Słowian. Germańscy Kwadowie zamieszkiwali dzisiejsze Morawy. Kilkadziesiąt lat później cesarz Marek Aureliusz w latach 169-170 wojował z nimi i z Markomanami, Rzymianie wysłali ekspedycję karną i do Kotynów, bo ci zabili cesarskiego wysłannika, Torrunteriusa Saternusa. Jak się to skończyło dla nich, nie wiemy, ale Kwadów Marek Aureliusz zrobił kolonami na skraju ziem cesarstwa. Czy przejęli zagłębie przedsiębiorcy rzymscy? Eksploatowano je aż po III - IV wiek, aż po najazdy Hunów...

Celtyccy hutnicy gospodarowali i w zagłębiu na terenie dzisiejszej Nowej Huty. Uprawiali też glebę. Natrafiła tu na ich ślady archeologia w trakcie budowy Nowej Huty; wiemy nawet, jak gromadzili swe zapasy - w jamie zbożowej na terenie dawnej Mogiły zachowało się do naszych czasów trzysta kilogramów czystego ziarna, głównie żyta. Właściciele prawdopodobnie zginęli - z czyich rąk, nie trudno odgadnąć. Zaraz się dowiemy.

W swej „Nauce geograficznej" wielki Klaudiusz Ptolemeusz z Aleksandrii w II wieku lokował tu „Carrodunum", a *dunum* to po celtycku „miasto", „osada", i myślałem, że źródłosłów nazwy „Krakowa" jest właśnie celtycki! Tymczasem potwierdza raczej tutejszą obecność już słowiańską. Języki zachodnich Słowian operują tzw. przestawką spółgłoski płynnej, czyli „Kraków" nie pochodzi od żadnego „Kraka", ale od prostego i logicznego źródłosłowu - „kark". Czesi mają *krk*, Chorwaci, stąd rodem, górzystą wyspę Krk. To pasuje do wzgórza, dziś zwanego Wawelem (z imieniem od „wąwelu", wąwozu w tym wzgórzu),

a wtedy - Krakowem. „Carrodunum” było, przypuszczam, „Carcodunum”, z błędem w zapisie.

Sądząc po tym Karkowie-Krakowie, Celtowie tu się asymilowali. Unicestwili to zagłębie pieców hutniczych dopiero Hunowie. Czy na pewno oni? Do tej pory grób jakiegoś „wodza" najeźdźców, znaleziony w Jakuszowicach koło Kazimierzy Wielkiej, przypisywano germańskim Alanom, którzy Hunom towarzyszyli w tym niszczącym huraganie. Okazało się wszakże niedwuznacznie, że huńskie było iście luksusowe wędzidło końskie z tego grobu; jego żelazna część środkowa srebrem platerowana, kółka na końcach - złocone, kółka mniejsze na nich - srebrne, a i płytki uchwytowe do rzemieni też złocone. Po huńsku. Ci bandyci historii lubowali się w luksusie.

Czy to Celtowie uczyli hutnictwa i mieszkańców kilkudziesięciu starożytnych osad, które odkryli archeolodzy w okolicach Kalisza? Wiemy od archeologów, że lepili ci Celtowie z gliny ziemne piece szybowe, niewysokie, na półtora metra; kanał wiatrowy, zakryty kamienną płytą, zapewniał naturalny, odpowiedni dmuch. Węgiel drzewny z dębu i buka umożliwiał osiąganie wysokich temperatur i produkcję wysoce nawęglonego żelaza, bliskiego stali. Po mielerzach do produkcji węgla drzewnego zachowały się ślady w postaci jam węglowych ze znaczną ilością popiołu i miazgi węglowej, zdradza ona, że najczęściej zwęglano jednak sosnę; z 9 do 12 metrów sześc. drewna uzyskiwano od 3,5 do 5 metrów sześc. węgla!

Ptolemeusz zapisał nazwę osad w bagnistej dolinie Prosny: „Calissia”. Nazwę słowiańską: „kał” to bagno, błoto, a wiemy, że takie miejsca, trudno dostępne, więc obronne z natury, Słowianie, pewnie wzorem Wenedów, poprzedników z „Biskupina”, długo i potem wybierali dla swych grodów. I nazwa była hutnicza: *kaliti* już w starocerkiewnym słowiańskim to hartować stal.

Rozległe były - może dzięki Celtom? - kontakty handlowe „Calisii”. Piękna misa gliniana z czerwono-brunatnej gliny, prawdziwe dzieło sztuki cywilizacji Imperium Rzymskiego, trafiła w drugiej połowie II wieku n.e. do przyszłego Wymysłowa koło Leszna z pewnością poprzez te kontakty. Owocowały rozmaitymi postępami. Garnek z grobu w Chmielowie Piaskowym koło Opatowa, datowanego na pierwszą połowę III wieku, jest już garnkiem toczonym na kole garncarskim...

Jedno pytanie mnie nurtuje – czy aby wszyscy Goci poszli na południe? Czy na pewno wszyscy zrezygnowali ze szlaku „bursztynowych” wędrówek? W Lachmirowicach koło Inowrocławia w grobie kobiety z IV w ., więc nie w słowiańskim pochówku, znalazła się importowana... lampka oliwna. Mieszkańcy tej okolicy, przydając takie narzędzie światła zmarłej kobiecie, okazali jej cześć, a to w Skandynawii długie wieki potem kobieta będzie mogła nawet dziedziczyć po mężu-wodzu połowę drużyny! Gocki też był grób z VI wieku jakiegoś „wodza” czy dostojnika w Wapnie koło Wągrowca – czyli też w pobliżu szlaku bursztynowego. Złota blaszka, podobna do tych, które tłoczyli ówcześni rzemieślnicy za Bałtykiem, jest na pewno skandynawska - nosi napis runiczny *sabar*, czyli „mądry”. Z wizerunkiem jeźdźca. Nie wydaje mi się, by to jakiegoś woja-Gota zaproszono tu do roli wodza...

Mnóstwo zatem jeszcze zagadek.

5. MIECZE KALANE W BŁOCIE

Czy Celtowie uciekli przed nawałnicą Hunów u końca IV wieku n.e.? Nie wygląda na to, by się zasymilowali wśród naszych przodków. Nie mamy w nich kuzynów. Kopalnie świętokrzyskie zamarły, nie zostawili po sobie Celtowie prawie niczego w nazewnictwie miejscowym – nie wykluczone, że wydobywając rudę i robiąc interesy, w braku wspólnego języka żyli na co dzień osobno. Zapewne to z nimi przybyło koło garncarskie, ale, na szczęście, nie przekazali sąsiadom niczego w obyczajach. Nie nauczyli ich składania krwawych ofiar, dobieranych spośród współplemieńników, dla ubłagania bogów o wojenne zwycięstwo lub o zdrowie kogoś chorego. Zapisał Juliusz Cezar, że Celtowie „mają publicznie ustanowione tego rodzaju ofiary. Inni mają potwornej wielkości figury, których członki splecione z wikliny wypełniają żywymi ludźmi. Podpalają figury, a ogarnięci płomieniem ludzie wydają ostatnie tchnienie" (tłum. Władysław Madyda). Kiedy do takiej ofiary brakowało przestępców, padali ofiarami ludzie niewinni. Mądrości starców Celtowie nie potrzebowali: specjalnym, niemal rytualnym młotem, zowiącym się *benninget*, rozbijali im głowy, bo starców, nie przydatnych już ani w boju, ani w łowach, ani w pracy, wypadało by karmić.

Wędrówki ludów, jak już stwierdziliśmy, zaczęły się na długo przed najazdami Hunów. Nie wiemy dokładnie, dlaczego w ogóle do nich doszło. Wydawało się, że coś tłumaczy klimatologia i oceanografia - szwedzki oceanograf Otton Pettersson badał przepływy prądów morskich i dennych mas wodnych w oceanach, powiązał zmiany klimatyczne z położeniem ziemi w stosunku do słońca i to wedle jego „Zmian klimatycznych w czasach historycznych i prehistorycznych" z 1912 r. na V i VI wiek n.e. przypadło apogeum zimna w Europie na północ od Alp, a coraz zimniej robiło się już wcześniej (ten cykl przemiennych, co kilkaset lat ociepleń i oziębień w Europie powtarza się przez tysiąclecia, aż po naszą współczesność, z kolejnym apogeum ciepła, bynajmniej nie pochodzącym z lekkomyślności cywilizacji). I jest wcale prawdopodobne, że ludów północy nie przyciągał tylko magnes rzymskiej cywilizacji i dobrobytu, a wypędzało też na południe zimno. Jeśli tak, wypędziło zimno i mieszkańców ziem przyszłej Polski. Jednakże Goci i Herulowie poszli na południe, gdy jeszcze było ciepło... Celtowie zaś w ogóle poszli na wschód!

Kolejna zagadka: powędrowało tych najeźdźców z północy zadziwiająco dużo. Archeologia nie odkrywała na północy żadnych wielkich miast, wielkich osiedli, a szły na południe grupy liczące po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Czy jakieś nie rozszyfrowane przemiany religijne północy, z istną rewolucją wielodzietności, kazały zdobywać jak najwięcej kobiet i płodzić jak najwięcej dzieci? Czy o tyle więcej żywności dawały zboża, bydło i nierogacizna? Do tej pory skandynawska północ pilnowała, jak Celtowie, żeby nie było za dużo brzuchów do napełnienia. Wynoszono w odludzia lub topiono zbędne niemowlęta i na specjalnej wysokiej skale też rozbijano głowy starcom – na Islandii aż po czasy chrześcijańskie! Teraz młode, nastoletnie matki rodziły zapewne rok po roku, kobiet zaś potrzebowano ciągle więcej. Kilkaset lat później każdy wiking starał się pomnożyć swój ród, możemy się domyślać, że ideę „ma być nas dużo" dziedziczyli ci rozbójnicy po swych przodkach z epoki wędrówek ludów. Też, co się okaże, wcale nie od razu.

Bardzo dawno przodkowie wszystkich ludów z męską władzą odkryli, że najłatwiej o bogactwo, jeśli się przywłaszczy sobie dobra materialne i kobiety zamożniejszych sąsiadów. Najpierw - bliskich sąsiadów, potem tych mieszkających nieco dalej. Potem zdobywano i zajmowane ziemie, które mogły zdobywców nakarmić. Wojna stawała się

sposobem na życie. Ze swej natury wyróżniała wojaków lepszych, odważniejszych, sprawniejszych w boju, więc wyżej cenionych, słabsi ze zwycięskiego rabunku dostawali mniej. Pojawiła się nowa rola: już nie kapłan, nie kowal zdolny do alchemii przekształcenia rudy w żelazo, a woj najsilniejszy, umiejętnie dowodzący, sprawdzony sukcesami, grupował wokół siebie najlepszych. Na czas wojny wybierała go wodzem starszyzna plemienia lub całe plemię jak Sasi i – także – Słowianie. Wódz budzący zaufanie, woj niezwyciężony, stawał na czele drużyny do walki. W pierwszej linii obok wodza ruszali do bitwy inni najlepsi woje, najsprawniej zadający straty przeciwnikom. Przez wieki potem, aż po XV stulecie, to się ostanie jako przywilej i zaszczyt. Cofnięcie kogoś na miejsce z tyłu, za pierwszym szeregiem, będzie degradacją, upokorzeniem. Poniektórzy współcześni nam historycy, nie znając tego obyczaju, nie mogli się nadziwić, że tylu książąt i królów dawnych wieków aż po wiek XV coraz to ginęło w boju, wiodąc do bitwy swoje szyki. Nie orientowali się, że i wróg najpierw szukał chwały w powaleniu wodza... Trzeba zatem było wielkiego zucha i tęgiego miecza, by, dowodząc, wyjść cało ze starcia.

Kiedy już się taka elita walecznych wyłoniła, uznając wojnę swym powołaniem, stanem naturalnym, wodzowie rośli na głównych bohaterów śpiewanych pieśni i recytowanych opowieści. Teraz to oni będą często awansowali na bogów-przodków, ojców plemienia, które czasem brało nawet imię od swego zwycięskiego wodza. Nie sądzę, by ten tryb wyniesienia zrodził się dopiero w epoce dominacji męskiej. Boginie w Iliadzie Homera przeważają liczebnie nad bogami i niemal wszystkie, włącznie z boginią miłości, Afrodytą, były i boginiami wojny. Pierwszy człon imienia Pallas Ateny pochodził od wywijania włócznią, ona sama zaś była „Promachos", „walczącą na czele"!

Tacy wodzowie poprowadzili w świat i Wandalów. Historycy szwedzcy zakorzeniają ich u siebie. Nie bez racji prawdopodobnie, bo jeden odłam Wandalów nosił imię w zapisie łacińskim Asdingów, zapewne – Askdingów, „jesionowych wisielców". Nie mogło to imię oznaczać jakiegoś odrębnego plemienia – Skandynawowie sprawdzali męskość swoich wojowników, wieszając ich na świętym jesionie stryczkami wbitymi w ciało, Odyn, ich bóg najwyższy, zaznał, tak zawieszony, cudownego oświecenia i dzięki temu wynalazł znaki runiczne. Byli to więc na pewno sprawdzeni, przynależni do elity plemienia Skandynawowie. Ruszyli, kiedy jeszcze było ciepło... Wyprawia się ich też z ziem pra-polskich, choć tu się po nich żadne miejscowe nazewnictwo nie uchowało – imię innego odłamu Wandalów zanotowano jako Silingów, co brzmi jakimiś raczej po-celtyckimi „Ślęzami". Zanotowane imiona wodzów są germańskie – choć też czasem zastanawiające; przyjęło się pokpiwać z kojarzenia imienia Genzeryka z Gęsiorkiem, z przywódcą stada dzikich, latających gęsi, ale całkowicie po słowiańsku brzmi też inne „wandalskie" imię – Wisimar. W imieniu samych Wandalów słychać „Wenedów", których imię mogli przejąć, związek dźwiękowy z wodno-błotną etymologią słowiańską i bałtyjską jest wyraźny, litewskie *vanduo,* woda, słychać tu dosłownie. Poszło ich na południe kilkadziesiąt, może i sto tysięcy luda, więc niemożliwe, by samych Skandynawów. Dołączyć musieli jacyś inni Germanie. Na pewno – irańskojęzyczni Alanowie. Ale zapewne też skreśleni z historii „Wenedowie", także - Słowianie i Bałtowie.

Podziwiam wysiłki znakomitego historyka, Jerzego Strzelczyka, by z dziesiątków sprzecznych ze sobą, a nie zawsze solidnych źródeł wyłuskać jakąś prawdę o historii Wandalów, zanim w 429 r. przeprawili się przez cieśninę Gibraltarską Wiadomo, że przyjęli chrześcijaństwo Ariusza z prostym, jednoosobowym bogiem, bez Trójcy Świętej. Stąd i dość trudno wierzyć dziejom tych wrogów Kościoła katolickiego, spisywanym piórami wiernych Kościoła. Wiadomo, że Wandalowie w swej skomplikowanej epopei przewędrowali na zachód całą Europę, aż oparli się w Hiszpanii. Musieli tam siedzieć co

najmniej czas życia kilku pokoleń, skoro ma ona po nich imię Andaluzji! Cesarstwo rzymskie, rozbite na wschodnie i zachodnie, na zachodzie dogorywało, ale oddajmy takim Wizygotom, też arianom, że i oni, barbarzyńscy niszczyciele, zafascynowani rzymską cywilizacją, starali się asymilować w niej możliwie najszybciej – rekonstruowali dla siebie rzymskie prawo i oświatę. Hunowie, którzy wtedy przygalopowali ze stepów Eurazji, tylko rabowali i niszczyli.

Wandalowie nie byli już dzikusami, zostali poddanymi Imperium Romanum. Nie musieli dla siebie tworzyć nowego prawa, Rzym angażował ich w swoją służbę. Robili w niej kariery: syn Wandala, Stylicho, już – Flawiusz, dowodził armią rzymską, w latach 395-408 rządził faktycznie cesarstwem zachodnio-rzymskim jako jego mąż stanu, bronił ziem rzymskich przed ludami germańskimi, dwa razy pokonał Wizygotów Alaryka I. Stracił życie w wyniku intryg dworskich. To po jego śmierci Wizygoci Alaryka w 410 r. obrabują Rzym w pierwszym *sacco di Roma*, pierwszej „łupieży Rzymu" – ci sami Wizygoci, którzy ambitnie opracowali byli dla siebie „prawo rzymskie Wizygotów"...

Wandalowie pod wodzą Genzeryka w 429 r. przeprawili się do Afryki. Podobno w kilkadziesiąt tysięcy ludzi, nawet osiemdziesiąt tysięcy. Chyba jednak nie było ich aż tylu – w swoim państwie, które w północnej Afryce założy Genzeryk, będą stanowili minimalny procent ludności. Być może inni przybysze wtopili się w miejscowy świat katolicki. Stąd i w Algierii nazwa nieoczekiwana - Ghardaia, od słowiańskiego „gard", gród... Zbudowali tam Wandalowie razem ze swymi sojusznikami państwo i potężną flotę. Zdobyli Baleary, Korsykę, potem i Sardynię, a wreszcie i chlebodajną Sycylię... Czy naprawdę chcieli narzucić katolickiej rzymskiej większości w swym państwie arianizm, pewności nie ma, Kościół trzymał się tradycji Kościoła prześladowanego, tak też kreował swoją przeszłość i teraźniejszość.

Nie zajmujemy się tą historią tylko jako ciekawostką. Nie wiemy, czy wsparli Wandalowie Aecjusza, „ostatniego Rzymianina", przeciw Hunom. Aecjusz, wielki wódz, z wojskami rzymskimi i germańskimi sprzymierzeńcami w 451 r. pokonał Hunów w historycznej bitwie na Polach Katalaunijskich w Szampanii. Wódz i król Hunów, Attyla, planował wszechobejmujące państwo koczowników i mimo klęski nie rezygnował, jednakże w dwa lata później zmarł. Jego synowie pokłócili się i przegrali z Europejczykami, Hunowie wycofali się w dalekie stepy Eurazji. Nie opowiadamy tu o jakichś cudzych przygodach w historii, mocarstwo Attyli miało obejmować i ziemie przyszłej Polski! Rozbiwszy państwo Gotów nad Morzem Czarnym, razem z owymi Alanami Hunowie naszli i przyszłe nasze ziemie – widać dowiedzieli się o czymś, co można by tu zrabować. Archeologia znalazła ów grób huńskiego (lub alańskiego) wodza z tej wyprawy. I ślady zniszczeń. Wszystko po nich przychodziło pracowicie odbudowywać. Jeśli w ogóle miał kto.

W tej dzikiej epoce zabił Aecjusza własny cesarz, Walentynian, którego rok później, w roku 455, zabili żołnierze Aecjusza. Rzym został bezbronny, a Wandalowie w katolickiej tradycji europejskiej zostali „wandalami", bo ze swojej Afryki tegoż 455 r. najechali Rzym. Panowali wtedy nad Rzymem akurat barbarzyńcy, niemniej papież Leon I wynegocjował z arianami Wandalami, że nie posuną się do przelewu krwi i podpaleń. Czy na pewno ci arianie zniszczyli katolicki Rzym? Należałoby chyba mówić raczej o „wizygotyzmie", niż „wandalizmie"... Wzięli Wandalowie jeńców – i hutników do swoich warsztatów produkcji broni. Utrzymujący się do tej pory wśród Rzymian afrykańskich od paru wieków „pokój rzymski" nie potrzebował takich rzemieślników. Nie potrzebował mieczy.

Wszędzie gdzie indziej samą szansę na przeżycie dawały miecze. Mocne, z dobrej, hartownej stali, nie łamiące się i nie pękające przy kolejnym uderzeniu. Choć mogło być i tak, że to miecze same stwarzały pokusę zrobienia z nich użytku… Wenedowie, obok nich pra-Słowianie, kiedy dzięki celtyckim lekcjom stali się hutnikami, rudy mieli wedle dzisiejszych obliczeń wręcz dostatek. Nic nie wskazuje, by te najdostępniejsze, ale nieznane rudy Celtowie eksploatowali. Musimy innym okiem popatrzeć na pola i lasy, zwłaszcza Wielkopolski. Rudy żelaza, darniowe i kopalne, zalegające do głębokości 30 metrów, tkwiły pod ówczesnym krajobrazem, w darni lasów i łąk, w błotach i jeziorach, po całej prawie leśno-błotnistej krainie przyszłej Polski. Wedle historyków techniki - średnio kilkadziesiąt ton w kilometrze kwadratowym (!). Te rudy bogate nie były, na dobitek zawierały domieszkę siarczków, czyli krzemionki, i tlenków fosforu, a nawet laik wie, jak szkodzą one produkcji żelaza. Ale oni w swoich dymarkach używali węgla drzewnego. Węgiel drzewny, z drewna zwęglanego w owych tak inteligentnie obmyślonych urządzeniach, zwanych mielerzami, nie dokłada swojej porcji siarki do wytapianego metalu - inaczej niż dzisiejszy koks. To tylko naszej cywilizacji z braku lasów nie stać już na węgiel drzewny. Zresztą i nasz współczesny węgiel drzewny, wytlewany w nowoczesnych komorach, ma niższą wartość opałową niż ten sprzed dwóch i pół tysiąca lat.

Kiedy wyprawiliśmy w świat wszystkich kolejnych przechodniów historii, musimy wrócić do tych miejscowych rud darniowych. Zwłaszcza tych w Wielkopolsce. Bo to od nich zaczyna się Polska. Niestety, nie od pługów z żelaznymi lemieszami, ani od kos czy sierpów. Od - broni. To nie żelazny pług wyorał przodkom Polaków drogę do historii pisanej, lecz wycięły ją miecze. Początki Polski w niczym nie odbiegały od ówczesnej normy. Nie były ani lepsze, ani gorsze. Zaczynały się od wojowniczych zabijaków. Czasem – strasznych.

Pra-przeszłość ziem Polski, jak wspominałem, zdobywali *per fas et nefas* w ciągu ostatniego półtora stulecia ci historycy pruscy, którym nie dosyć było zaboru ziem polskich przez ich państwo; musieli jeszcze zagarnąć i czas miniony. W obronie przeciw rabusiom historii polscy jej obrońcy idealizowali pra-dzieje Polski, jak się dało. W rezultacie kilka pokoleń Polaków i Niemców żyło ponad sto lat w przekonaniu, że Germanie ruszyli w swój pruski *Drang nach Osten*, parcie na wschód, już tysiąc lat temu - choć nie było wtedy nawet jeszcze jakichś jednych „Niemiec", jednego *Deutschland*. Plemiona germańskie rywalizowały, nieraz walczyły ze sobą krwawo, Frankowie z bestialskim okrucieństwem podbijali Sasów, a wszystkie te ludy często sobą wzajem - pogardzały. Jeszcze w X wieku Frank nie mógł ożenić się z Saksonką czy Bawarką! Przodkom zaś dzisiejszych Niemców wschodnich, czyli Słowianom połabskim, „Wendom", którzy kilka wieków oddzielali przyszłe ziemie polskie od Germanów, też nie brakowało zbójeckich talentów.

Polska pamięć historyczna zaczyna się od wielkopolskich Piastów. A zaczynać się powinna od wyjścia Serbów i Chorwatów (pierwotnie być może – *Krwatów*, od „jednej krwi", związanych krwią). Czyli od VI - VII wieku n.e., od czasów Wielkiego Zimna – kiedy to wedle szkoły allochtonicznej przybyli tu Słowianie. Latami spierano się, skąd poszli na Bałkany Serbowie i Chorwaci, mówiący tym samym, co istotne, językiem. Przyjmuje się dzisiaj, że z ziem przyszłej Polski, skoro wtedy ziemie te na przekór szkole allochtonicznej opustoszały. Wielkopolskie nazwy miejscowe z „serbskim" rdzeniem wytyczają może zasięg osadnictwa sprowadzanych tu później zachodu serbskich osadników, bardziej frapuje mnie przenoszenie się nazw miejscowych. U nas jest Czacz, u Serbów – Czaczak, u nas – Śrem, u nich – Śremska Mitrovica… Szukano ojczyzny Serbów i na Połabiu, rdzeń

„srb” kojarzyłby się ze srebrem, które wydobywali w Harzu. Albo może tak się cenili, na miarę srebra? Pod władzą późniejszych, łagodniejszych Sasów Serbowie przetrwali na Łużycach aż po naszą współczesność. Nie jest jasne, kiedy pojawili się na Połabiu. W każdym razie państwo Franków wytyczyło na przełomie VIII i IX wieku, dokładnie w sercu dzisiejszych Niemiec, *limes sorabicus*, „granicę serbską”. Oddzielała ona Franków od Serbów, siedzących na wschód od niej, od północnego pogranicza z Obodrytami aż po górny Men. Sasi zachowają ich nazewnictwo miejscowe, zatem nic nie wskazuje, by Serbowie stamtąd odeszli.

Sąsiadowały z nimi inne słowiańskie plemiona, w tym właśnie potężni na północy Obodryci - tych potomkowie jeszcze w XVI wieku znali na wsi swój słowiański język, zniemczona dynastia obodrycka z XII wieku panowała formalnie Meklemburgii do roku 1918, przyznano jej potem tytuł „wielkich książąt”! Lubeka, Rostok, Wismar (Wyszomir) to nazwy po tamtejszych Słowianach, pod Hamburgiem jest Trittau, Trzytawa. Hawelanie zostawili po sobie w nazewnictwie rzekę Havel (jak nazwisko Wacława Havla, odpowiednik naszego „chował”). Berlin, od „berła”, jest po Stodoranach, po Serbach - Lipsk i Drezno. Zgermanizuje ich, jak też Wilców i Wagrów, dopiero później, w ciągu wieków, nie podbój, a chrześcijańska cywilizacja i kultura Sasów – bez przelewu krwi. Gdyby wyszli Serbowie z przyszłej Saksonii, trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego na południu mówili tym samym językiem, co Chorwaci, rodem prawdopodobnie z dzisiejszej Małopolski. Niektóre nazwy miejscowe z południowego pogórza Świętokrzyskiego powtarzają się w Chorwacji niemal dosłownie, Koprzywnica czy też Osiek są w Chorwacji Koprzywnicą i Osijekiem. Prof. Tadeusz Lewicki wyłuskał „serbskie” nazwy miejscowe, lokalizujące Serbów na terenie Wielkopolski. Bezcenne źródło z 845 r., zwane „Geografem bawarskim” lokowało na terenie Wielkopolski tajemniczych "Zeruiani"; wystarczy odczytać to „u” jako „w ”, by wszystko stało się jasne – stąd wyszli Serbowie. No i te patronimiczne nazwy miejscowe, od imienia ojca rodu, z końcówką „-ice”, „-ici”: w świecie słowiańskim występują głównie na terenie Polski, tudzież - na ziemiach Serbów i Chorwatów. Są tam Perkowici, Zawidowici, Czewlianowici! Wszystko do szczegółowego przebadania. Po Serbach zaś ma swe nazwisko - filmowy Grek Greków, Zorba...

Nachodzili ci nasi pobratymcy od północy zamożne i cywilizowane domeny cesarstwa bizantyjskiego. Nie jedyni. Ciągnęli tam turscy Awarowie, skądinąd zmora Słowian. Inni Słowianie - Dregowicze, Berezińcy i Smolianie, przyszli na Bałkany do Macedonii aż z odległych terenów dzisiejszej Białorusi. Język ich będzie tym pierwszym słowiańskim językiem pisanym, który dziś zwiemy „staro-cerkiewnym”. Ci słowiańscy najeźdźcy – w sumie przez lata ze sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi - osiedlali się w dolinach Bałkanów, najzuchwalsi docierali hen, aż na Peloponez, tam nad morzem Egejskim ciosali, wydłubywali i wypalali swoje „jednodrewki”, by zaatakować i obrabować nawet Kretę.

Dzisiejsi Grecy, z pretensjami do dzisiejszych Macedońców o greckie imię ich słowiańskiego państwa o słowiańskim języku, sami w przytłaczającej większości są potomkami napływowych Słowian. Cesarstwo bizantyjskie przez wieki nie potrafiło narzucić im swojej władzy, walki ze Smolianami odnotowano jeszcze w XI wieku, a Peloponez aż po ten wiek XI był dla Bizancjum - „Sklawanią”. W legendarnych górach starożytnej Sparty, w Tajgecie, a i w Arkadii plemiona słowiańskie przetrwały aż do podbojów tureckich! Zaskakujące słowiańskie nazwy miejscowe przetrwały zaś w okolicach, które historia kojarzy ze szczytną, helleńską starożytnością.

Ci najeźdźcy naszego pochodzenia, przykro powiedzieć, nie różnili się okrucieństwem i bezwzględnością od swoich współczesnych. W oczach dawnych historyków polskich psuli

nam pokojowe tradycje. Ale też nie wędrowali na południe jacyś robotni osadnicy z żonami, dziećmi i dobytkiem, po których archeolodzy odkopywaliby jakieś umocnione grody czy warowne wsie. Szły najpierw, albo i przede wszystkim grabieżcze watahy, zbrojne we włócznie, łuki i zatrute strzały, z mocnymi tarczami, a towarzyszyły im w boju dorodne, zbrojne dziewczyny, których zwłoki znajdowali Bizantyjczycy na polach bitew. Te zwłoki potwierdzały mit amazonek, ale też Pomponiusz Mela w I w . n.e. obok wielu zupełnie fantastycznych wiadomości odnotował za Herodotem plemię nad Donem, w którym kobiety, walcząc konno, chwytają przeciwników na arkan, wloką i zabijają, a dziewczyna nie może wyjść za mąż, dopóki nie zabije choć jednego wroga...

Dzisiejsi potomkowie tych zabijaków, wywodzących z naszych ziem, w niczym nas, polskich krewniaków, nie przypominają. Są z wyglądu zdeklarowanymi południowcami. Wyjaśnia to prosto, a ponuro, kronikarz bizantyjski, Prokopiusz z Cezarei, z pierwszej połowy VI wieku: ci zbóje w zajętych okolicach do szczętu wyrzynali mężczyzn... I jak łatwo dedukować, brali za żony ich kobiety. Kobietom jednych okolic umieli narzucić swój język i swoje obyczaje – inne ich stopniowo hellenizowały. Nie musiały aż tak protestować przeciw tym obyczajom: kobiety, w świecie bizantyjskim pozbawione praw, zajmowały wśród Słowian, jak i u Normanów, znacznie wyższe pozycje, te waleczne dziewczyny mogły nawet zostać wodzami lub dowodzić oddziałami i padać pierwsze! Greczynki jako żony Serbów, Chorwatów, Smolian i Berezińców może nie miały takich ambicji i nie chowały swoich dziewczynek do wojny, ale w tych nowych związkach nie były już na poły niewolnicami.

Napisałem o tych krewnych naszych przodków „zbóje" - bez niczyjej obrazy, późniejsi bowiem twórcy państwa polskiego nie tak bardzo byli od nich lepsi. Tę epokę w historii Europy zdominowały w VIII - IX wieku najazdy wikingów. Ci Normanowie, praojcowie spokojnych, gospodarnych Duńczyków i Norwegów przeszli w swej dzikości wszystkich poprzedników. Licytowali się, ile kto niemowląt nadzieje na jedną włócznię. Budzili taką nienawiść, że chrześcijańscy już Anglosasi, złapawszy któregoś, zdzierali zeń żywcem skórę i przybijali jeszcze ciepłą na drzwiach kościoła - w podzięce dla Pana Boga, że pozwolił im dopaść choć jednego...

Serbowie zachodni, ci, co poszli na zachód, nie na południe, zostali dzięki dostępnym rudom świetnymi hutnikami. Zanieśli tam swoje umiejętności, nie odwrotnie. Od czesko-serbskiego słowa *hutny*, gęsty, poszła niemiecka *Huette* i niemieckie z pozoru, nasze słowo „huta". *Huette* nie ma w języku niemieckim żadnego pokrewnego słowa, wiążącego się z wytopem żelaza. „Chata", *Huette*, jest z nim wręcz sprzeczna, bo średniowieczne dymarki, służące wytopowi żelaza, nie pracowały pod dachem. Początki zaś historii Polski pisały miecze, w tym samym krajobrazie, co dzieje Wenedów i Pra-Słowian, wśród błot, jezior i podmokłych lasów.

Zapewne od Celtów nauczyli się ci słowiańscy hutnicy hartować stal, czyli nawęglać wytop i „kalać" miecze w błocie. Wedle arabskiej recepty z owego czasu najlepiej hartowało się miecz, rozgrzawszy jego ostrze w ogniu do barwy wschodzącego na pustyni słońca, by wystudzić je potem do barwy cesarskiej purpury, przebijając ciało niewolnika, którego siła przejdzie w miecz i nada mu twardość; ale błoto było chłodniejsze od ciała człowieka i tańsze od niewolnika. Choć, zaznaczmy, nie każde żelazo hartowano; stąd i w późniejszych czasach wyczyny różnych osiłków, którzy potrafili skręcać w dłoniach ostrza tasaków i podkowy – jak król Zygmunt Stary...

Z puszcz przyszłej Polski ani chybi odeszli wcześniej z Wandalami jacyś Wenedowie, Słowianie i Bałtowie, potem – Serbowie, Chorwaci i przyszli Słowacy w Dolinę Panońską, jeszcze później – na wschód - inne plemiona, Radymicze, Więtycze, może i Polanie. Od Odry na zachód - Obodryci. Nasze ziemie wyludniły się po raz kolejny i pozostaną, co charakterystyczne, niedoludnione, przy jednym wspólnym języku!, aż po wiek XIX. Wtedy zachowały technikę wytopu stali i zostały im rudy żelaza, pozostali im szamani hutnictwa, kowale. Ci już na długo przed Celtami posiedli moc magiczną, obracając rudę w żelazo i stal. Umieli też leczyć - znali doświadczane stuleciami działanie różnych roślin leczniczych. Uwznioślała ich ludzka wiara w ich nadprzyrodzoną zdolność wytopu żelaza, to oni składali nieraz bogom ofiary w imieniu swych społeczności. Byli elitą plemienną. Nie tylko wśród Celtów i Słowian. Głównym bohaterem *Kalevali*, wielkiego ludowego eposu Finów, będzie kowal. Przyszła Polska miała więc wyrastać z podobnego pnia, co wszystkie wcześniejsze i późniejsze państwa Europy – jeśli w ogóle nazywać je „państwami", bo to raczej patriotycznie nastawieni, XIX- i XX-wieczni historycy dorabiali swym współczesnym państwom tysiącletnią przeszłość.

Stal przydawała się na topory do karczowania borów, ale przydawała się i na broń. A broń, jak już była, sama szukała ofiar. I zdobyczy. Jak mogliśmy to zaobserwować w dotychczasowej historii.

Wiemy o niej coraz więcej. Jeszcze nie wszystko. Współcześni historycy po długoletnim rozbracie naukowym odbudowują swe związki z archeologią, z językoznawstwem, z geografią historyczną, budują cierpliwie realny obraz przeszłości ze znalezisk archeologicznych, z wątłych, niepewnych zapisów, z analiz językoznawczych, z nazewnictwa miejscowego. To bardzo trudne zadanie i zachęcam młodych Czytelników o badawczych temperamentach do udziału w tej pasjonującej przygodzie naukowej…

Może nie wszystko, ale dużo przed nami.

6. NICZEGO BEZ POWSZECHNEJ ZGODY

Od lat żyjemy w przeświadczeniu, z atestem w encyklopediach, że początek dało nam plemię Polan, spokojnych, sympatycznych rolników, co to karczowali puszcze i uprawiali na „polanach" swoje „pola". W legendzie mityczny ojciec pierwszej dynastii władców Polski, Piast, jak czeski Przemysł, od pługa przeszedł do władzy niby legendarny wojak starożytnego Rzymu, Cyncynnat - sygnał, że nasi przodkowie dość wcześnie wstydzili się prawdziwych, morderczych początków...

Podważmy jednak stereotyp: imię Polan wywieść można nie tylko od „pola" ornego, lecz i od słowa „pło", oznaczającego „jezioro", „wodę". W połowie IX wieku owo tak cenne źródło z 845 roku, nazwane „Geografem bawarskim", wymienia mnóstwo państewek plemiennych na nieodległym Śląsku, ale nic nie wie o Polanach w przyszłej Wielkopolsce. Są tam u niego „Glopeani", najwyraźniej - Goplanie, od jeziora Gopło. Ci „Goplanie" to może „G'planie", mieszkający „ku płu", „g'płu". Wiemy, że bogaciły ich miejscowe, kujawskie saliny, a pływać można było dłubankami od Gopła równie dobrze do ujścia Odry, do Wolina, jak na Ruś; handel ich kwitł, produkowali zaś i szkło, archeologia odkryła 20 pieców szklarskich! Obok nich są u „Geografa bawarskiego" jacyś „Lendizi". Lędyce? Lędzice? Lędzianie? Imię akurat rolnicze, od rolniczego słowa „lęda", ziemia uprawna. Ale żadnych Polan.

„Geograf bawarski" znał i Wiślan w dzisiejszym Krakowskiem. Opowiada „Żywot" apostołów Słowian, Cyryla i Metodego, że z końcem IX wieku rządził Wiślanami jakiś „książę silny wielce". Nie chciał przyjąć chrztu od obu świętych, którzy ochrzcili władców sąsiedniej Wielkiej Morawy. Los pokarał go chrztem przymusowym...

Wtedy też, z końcem IX wieku, słyszał o tym państwie od swego wysłannika-podróżnika król Anglów z krainy Wessex, Alfred Wielki. Potem historia o Wiślanach nie słyszy. Nic dziwnego, pobratymcy z północy podbili ich także, czego ślady mamy... w odkopywanych popieliskach osad.

Najwcześniejsze źródła pisane wcale nie przemilczają sprawców. To „Litzicavici" albo „Litziki". Poznamy tu późniejszą kronikę, z zapisaną tradycją ustną, w której dziad, a może i ojciec?, naszego historycznego Mieszka zwał się Lestek, Listek, więc i - Liścik. To imię znaczyć mogło, że miał być chytry jak lis, albo - godzien uznania, jeśli to imię związać z rosyjskim „liest'", pochlebstwem, pokrewnym naszemu „podlizywaniu się" (od lizania). Skoro „Lecha" uznano ojcem plemienia (z „Lechitami" po nim), najwidoczniej to on, wódz Listek, Lestek, stworzył potęgę „Listkowiców", byli oni ludźmi tego Listka, „Liścikami". Nie przekręcono wcale jego imienia - książę polski, dla nas „Leszek" Biały, widnieje na swych monetach z XIII wieku jako „Listcus"; tak samo później Leszek Czarny! „Lech", skrótowa wersja, inaczej także „Lęch", stała się dla Rusi „Liachem", i tak Ruś na zawsze ochrzci to plemię zdobywców - imieniem owego „Lestka", nie żadnych „Polan". Czas by się zgadzał - władztwo Mieszkowego dziada przypadałoby na początek X wieku. Od niego powinniśmy zaczynać naszą historię, skoro to on dał pierwsze imię naszym przodkom. Mogliśmy wręcz utrzymać imię od Listka jako ojca narodu, imię Listkowiców, bo przecież często wielki wsławiony wódz obracał się, czasem i za życia, w pierwszego przodka, pół-boga, a nawet i boga. Turków poprowadził do podbojów Seldżuk, długo uważano go za postać mityczną, choć to jego wojownicy przyjęli jego imię, imię zwycięzcy. Potomni uznali go za protoplastę Seldżuków i na pewno byli z niego dumni.

Naszymi przodkami, jak wskazuje ta bawarska geografia, byli ci rozbójnicy, „Lendizi", Lędyce, Lędzianie. Dowód mamy nie do podważenia: Węgrzy zwą nas – Lengyel, czytaj – Lendziel. Węgrami ochrzcili Madziarów Słowianie, Węgrzy, zdobywszy Dolinę Panońską, wypchnęli z niej albo i sobie podporządkowali miejscowych Słowian. Nie wymordowali ich. Słowiańską „stolicę królewską", Białogród, zrobili stolicą koronacyjną rodu swoich królów, Arpadów, Szekesfehervar, też po węgiersku „stolicą królewską". Zagarnęli i Wiedeń, ciągle rzymskiej kultury. Rozbijali swymi napadami państwo wielkomorawskie dopiero w latach 895-906. Lędzianie musieli w tych atakach uczestniczyć z drugiej strony i gdzieś pewnie w Bramie Morawskiej zetknęli się z Węgrami. Nie mogły to być kontakty chwilowe, skoro przywarło do nas węgierskie imię „Lędzian" na zawsze. I tylko za ich pośrednictwem imię „Listkowiców", „Liścikowiców", „Litzicaviców", mogło trafić do Bizancjum. Jak zostaliśmy Polanami, nikt nie wie, to imię pojawi się w źródłach dopiero koło roku 1000. A niewykluczone, że część Polan, jak przypuszcza wielki archeolog rosyjski, Walentyn Janin, uszła pod naciskiem Lędyców aż na Ruś kijowską. Pierwszy kronikarz Rusi, Nestor, uważał się za Polanina! Oczywiście – miejscowego. Kuli ci Polanie wysokiej klasy miecze, które otoczyła powtórzona w kronice Nestora legenda – i też Kijów swą nazwę wziął od kowali, „kujów", już wtedy w dialekcie miejscowym strawestowanych na „kijów". Innymi słowy, domysły Janina nie są pozbawione racjonalnych przesłanek...

Na wschód wynieśli się na pewno z Wielkopolski Radymicze i Więtycze (Wiatycze), których ziemie zdewastowali Lędyce. Nestor, ten pierwszy kronikarz Rusi, nie zmyślał, pisząc, że to „Liachy" – etnografowie stwierdzili na przełomie XIX i XX wieku, że tylko u nas i u nich podczas żniw przechadza się polami wredna „południca", skręcająca żniwiarzom karki, a jeszcze w XIX wieku lingwiści rosyjscy odkryli, że potomkowie Wiatyczów nie „okają" ani „akają" w rosyjskich słowach „mołoko" i „gołowa", lecz po blisko tysiącu lat mówią z polska „mlieko" i „głowa", tyle, że z akcentem na ostatniej sylabie... Potomkowie tych Wiatyczów, o czym się nie chce pamiętać, odegrają w przyszłej historii Rosji niebagatelną rolę – na swoich ziemiach, poprzednio – ugrofińskich, stworzą księstwo moskiewskie, ze stolicą w swojej Moskwie, która nie ma nawet słowiańskiej nazwy, bo jej źródłosłowem jest ugrofiński „Czarny kamień".

Pierwszą pisaną wiadomość o państwie Mieszka mamy od muzułmańskiego żydowskiego kupca z Tortosy, z kalifatu Kordowy. Odnotował go po arabsku jako „Mszk" (z jakąś samogłoską między pierwszą a drugą literą). Bez nazwy państwa, choć w Pradze byłby ją usłyszał, gdyby już nazwę jakąś nosiło... Ibrahim ibn Jakub podróżował tu w latach 961 - 965 jako wysłannik i poseł kalifa-intelektualisty, al-Hakama I; al-Hakam chciał o świecie wiedzieć jak najwięcej, Ibrahim zbierał dlań wiadomości o poznawanych w podróży krajach. Jeździł tak daleko, bo Żydzi już wtedy byli głównymi fachowcami Europy od obrotu pieniężnego - chrześcijaństwo, jak też islam, zakazywały swym wyznawcom udzielania kredytu oprocentowanego, przyzwalały na to jedynie innowiercom, obcym. W Polsce wszelki kredyt został z niemiecka lichwą, nie tylko ten za wysoki. Żydowskich kupców, pożyczających pieniądze, hołubili i chrześcijańscy władcy Zachodu Europy, i kalifowie państw islamu. Tak Żydzi, jak i chrześcijanie mieli swoją *kitab*, świętą księgę, dzięki czemu muzułmanie ich akceptowali. Kalifatem al-Hakama rządził zaufany jego wezyr - mędrzec żydowski, Chasdaj ibn Szaprut, armią kalifatu egipskich Fatymidów dowodził chrześcijanin... Takie wtedy panowały stosunki.

Kupcy z arabskiego świata, z kalifatu Kordowy, z kalifatu bagdadzkiego i z miast środkowo-azjatyckiego Chorezmu, krążyli tu już od lat. W Przemyślu, z którym kojarzymy ich ówczesny zapis nazwy „Primut", mieli prawdopodobnie swoją faktorię; jeszcze w XIX wieku znaleziono tam w ziemi skarb 700 srebrnych arabskich monet, *dirhemów*! Na

ziemiach Wielkopolski zostało po nich w różnych odkrywanych skarbach już nie setki, a dziesiątki tysięcy *dirhemów*.

Co tu kupowali? Cóż, to samo, co od wikingów z Gotlandii, gdzie znaleziono tych *dirhemów* dziesięć razy więcej: niewolników.

Oczywiście, przywozili stąd również bursztyn, skóry i futra. Ale przede wszystkim - na co pierwszy zwrócił uwagę świetny historyk kultury i … monety, Ryszard Kiersnowski - niewolników. Zdemaskowała początki przyszłej Polski archeologia: wraz ze skarbami arabskich monet znajdowała w ziemi Wielkopolski żelazne kajdanki, dyby i obroże na szyje ludzkie.

Cały pas ziem na zachodzie i północy dzisiejszej Wielkopolski znaczą ruiny grodów i rozmaitych osad z X wieku, czasem i dwutysięcznych. To swoich rodaków twórcy „państwa" polskiego napadali i sprzedawali w niewolę. Obliczałem, że w ciągu kilkudziesięciu lat sprzedali ci Lędyce Arabom kilkadziesiąt tysięcy „jeńców", od małych chłopców i dziewczynek po dorosłych, silnych mężczyzn i zdrowe kobiety, średnio kilkaset rocznie. Okazało się jednak, że w kalifatach arabskich ceny północnych niewolników były o wiele wyższe niż w Bizancjum, dokąd ich przywoziła Ruś, czyli że podaż była znacznie mniejsza. Licząc po kilkanaście *dirhemów* za sprzedanego kupcom niewolnika, licząc, że znalezione w ziemi skarby to jakieś 10 procent zainkasowanych monet, bo resztę wydano, przypuścić możemy, że sprzedano pobratymców naszych przodków około 20 tysięcy. Co najmniej drugie tyle pewnie zginęło w ich obronie. Wyludnili więc Lędzianie ziemie sporej części przyszłej Polski raz kolejny - podobnie Czesi ziemie swoich sąsiadów; ich Praga była jednym z wielkich europejskich centrów handlu niewolnikami. Tak samo duńscy wikingowie z Gotlandii i wysp Alandzkich, sądząc po znajdowanych tam skarbach *dirhemów*, na długie wieki wyludnili krainy nadbałtyckie - dlatego tak mało zostało na całą przyszłość Litwinów, Łotyszy, Kalewanów czyli Estów (Tallin to była Kalevanlinna, twierdza Kalevanów), i Finów… Można dedukować, że wozili wikingowie tych swoich niewolników przez Danię do Hammaburga, czyli przyszłego Hamburga, też jednego z centrów, jak wynika z moich analiz, handlu niewolnikami. Dlatego niemieccy chrześcijanie próbowali tam ulokować biskupstwo – które by temu handlowi choć trochę przeszkadzało.

Nie prowadzili swych plemion do wojny ojcowie rodów, kapłani i kowale, starszyzna plemienna. Wojna od wieków już wymagała, jak wiemy, dowództwa, kogoś w tym sprawdzonego, zarazem na tyle mocnego i zręcznego w boju – by się mógł utrzymać na czele. Tak było i w plemionach kontynentalnych Germanów, i wśród Słowian. Nie inaczej potem i w świecie skandynawskich wikingów. Wódz miał drużynę, w miarę sukcesów zagarniał dzięki jej sile coraz więcej władzy, z czasem - dziedzicznej… Tyle, że niektóre związki plemienne, saskie dla przykładu, bardzo długo wodza sobie dla wojny - wybierały. Słowianie też.

Czytamy pewien znamienny wtręt w późniejszej pierwszej kronice polskiej: Bóg, ustanawiając Siemowita, syna legendarnego Piasta, księciem Polski, zrobił to – „za zgodą powszechną", *concorditer*. Jak widać, nawet Bóg musiał odwołać się do powszechnej zgody. Tak można zresztą wnioskować i z imienia owego „księcia". To nie „Ziemowit", jak to imię uwspółcześniamy, lecz „Sjemowit". „Sjemu" to w dawnej polszczyźnie drugi przypadek „sejmu", od „s-jąć", zebrać się - rdzeń ten sam, co w „przyjąć", „zdjąć", itp. Odmiana sejm, sjemu, sjemowi, to kolejny przykład zachodnio-słowiańskiej przestawki spółgłoski płynnej. „Sejm" go „witał". I to na pewno jeszcze „sejm" Lędzian, nie Polan.

Skoro imię „Polan” w źródłach pisanych pojawi się dopiero z końcem X wieku, rodzi się pytanie, czy nie sięgnięto po nie, by zamazać pamięć o strasznych początkach…?

Słowianie wszędzie wznosili w X wieku legendarne dziś w świecie archeologów, ogromne grody. Ibrahim ibn Jakub opisywał, zetknąwszy się z zachodnimi Słowianami, jak je budują - jak dobierają miejsce tam, gdzie dużo wody i zarośli, jak wytyczają narys, po czym kopią fosę i piętrzą z niej ziemię w potężne wały, umacniane drewnianymi balami. Szczątki tych grodów spotykamy na terenie Wielkopolski aż w kilkudziesięciu punktach - grodziska na narysach kolistych i owalnych, z reguły otoczone szerokimi fosami, najczęściej właśnie - wśród błot lub bagien, czasem tylko na wysokich wzgórzach. Praszczurowie przyszłych Wielkorusów budowali grody o wałach tak wysokich, że skandynawskie sagi przypisywały je olbrzymom, a przyszłą Wielkoruś nazywały *Gaerdarike*, królestwem grodów.

W Wielkopolsce nigdzie wały takich grodów do naszych czasów nie dotrwały w pierwotnej wysokości, ale starczy odwiedzić jedno z lędyckich centrów, Ostrów Lednicki, czyli wyspę na jeziorze Lednickim, na zachód od Gniezna, żeby uzmysłowić sobie ich rozmiary. Zachowane resztki wału wznoszą się tam do 9 metrów nad poziom wód jeziora; z ich dwudziestometrowej grubości u podstawy można wnioskować, że wysokości miały z kilkanaście metrów. Wały pobliskiego grodu, koło dzisiejszej wsi Moraczewo, także 20-metrowej szerokości u podstawy, sięgały siedemnastu metrów. W Trzeku zaś, kilkanaście kilometrów od Poznania, już z daleka dostrzec można wały grodziska wysokie na 20 metrów!

Na Ostrów Lednicki wiodły dwa szerokie na kilka metrów, długie mosty - wschodni, długości 174 metrów, i zachodni, długości 428 metrów. Na kilkumetrowych palach! Odkryli je pod wodą w naszych czasach płetwonurkowie; zwalona konstrukcja spalonego mostu przygniatała zatopione łodzie, broń, a i hełm… czeskiego woja z najazdu czeskiego 1038 roku.

Na tę wyspę schronił się - wedle domysłu historyków - legendarny władca Popiel, który ustąpić musiał Piastowi, wedle tego domysłu - swojemu wojewodzie, zarazem piastunowi, „piastowi” swego syna. Jednakże legenda upiera się, i chyba słusznie, przy innym jeziorze, przy Gople i leżącej nad nim Kruszwicy. Bronię legendy, bo czaszki znajdowane i nad Gopłem, i nad jeziorem Lednickim, różnią się od reszty czaszek wielkopolskich - znak, że lędycki „władca” angażował już i obcych zabijaków. Być może pobił jakichś Polan, czyli Goplan. Rdzeń „pło” tkwi też w imieniu samego Popiela, kogoś zza „pła”, oczywiście - władcy złego, którego zatem nie bez racji zjadły - myszy. Te „myszy”, nie ukrywajmy, są aż nader bliskie imieniu pierwszego historycznego władcy, Mieszka, któremu zapewne zgodnie z tradycją dano imię dziadka… Jego imię pisali współcześni - Misica, Miseca, Misacho, więc raczej - Miśka, Myszka, Myszko. Musimy więc dopuścić i wersję „Mieszko” lub raczej - „Mieszka”. Dzisiejszy czasownik „niedźwiedziego” pochodzenia mówi o pośpiechu „nie mieszkać” (niedźwiedzie nie poruszają się zbyt szybko), a mamy także „mieszkać” i „mieszkanie”, pierwotnie może - gawrę niedźwiedzia?

Relację legendy można brać i dosłownie. Mózg z czaszki pokonanego przeciwnika bywał rytualnym przysmakiem. Mieściło się to w kuchni epoki. Normanowie ucztowali przy swądzie ogniska płonącego na rozpłatanym brzuchu przeciwnika i z czaszek pokonanych wrogów robili puchary. Związki „lendzielskie” z Węgrami, wspomnijmy, utrzymały się; zapisano u Węgrów legendę o tajemniczym rycerzu, który stanął w imieniu wojów Mieszka

przeciw „księciu” Pomorzan, pokonał go, czym rozstrzygnął o losach bitwy, i okazał się Belą, księciem Węgrów…

Same rozmiary tych twierdz uczyły wiary w potęgę budowniczych, identyfikowały one Słowian od Połabia aż po daleką, północną przyszłą Ruś. Sagi Normanów, zapisane hen, aż na Islandii, umieszczą swoich bogów, „Asów”, Azów w naszej wymowie, nie w żadnym germańskim *Burg*, czy *Heim,* ani anglołacińskim *chester*, lecz w słowiańskim „grodzie” Asów, *Asgardzie*, zbudowanym dla nich przez olbrzyma (!). Na ziemiach Lędyców te warownie, Ostrów Lednicki, Gniezno (pierwotnie Gniezdno) i Poznań, Giecz (zapewne Gietrz, najstarszy podobno z tych grodów) i Moraczewo, powstawały już w drugiej połowie IX i z początkiem X wieku, a budował takie i „nasz” Mieszko w miejsce dawnych, małych grodów - wszędzie tam, gdzie jego wojowie postawili swe stopy na dłużej. W północnej i zachodniej Wielkopolsce Radymiczów i Więtyczów – tam, gdzie zburzyli grody pierwotne…

Twierdze Mieszka dość łatwo archeolodzy rozróżnili: wykryli charakterystyczny szczegół konstrukcji - kiedy w rozkopywanych resztkach wałów trafiamy na bale z pni drzewnych, zamocowane hakiem z przyciętych konarów, chroniącym przed osunięciem się ze ściany, wiadomo, kto i kiedy gród postawił. To pozwala dociec, dlaczego naraz obok dużej, obwarowanej osady na południu Polski, Wiślicy, na terenie dawnego państwa Wiślan, daleko od pieleszy Lędzian, wyrasta z ziemi, ni w pięć, ni w dziewięć, mały gródek. To zapewne stanica strażnicza, z drużyną, dozorującą wtedy Wiślicę.

Stawiali swoje grody Lędzianie, Lędyce, wszędzie tam, gdzie na czymś można było skorzystać – najdzielniejszych spośród Pomorzan, ale dość ubogich, pod bokiem dosłownie, tuż za Notecią, podbijali dopiero w XII wieku!

Na Śląsk od co najmniej dwóch wieków składały się domeny różnych większych i mniejszych plemion. Ziemie niektórych obfitowały w złoto i srebro; podobno zaczęto je eksploatować dopiero po X wieku, ale wcześniej byli tu przecież Celtowie, doświadczeni górnicy i hutnicy. Lugiowie mogli je odkryć i być może znajdziemy ich tutaj ślady. Rzeka Swina samą swoją starą nazwą informuje o tych bogactwach – z rud świńca, czyli ołowiu, ekstrahowano właśnie srebro, „odpędzając ołów od srebra”. „Oława” wpada do Odry we Wrocławiu. Obu tym śląskim rzekom zapewni w przyszłości więcej miejsca w historii archeologia… W IX i X wieku te okolice musiały kusić potężniejszych sąsiadów, najpierw państwo Wielkiej Morawy, potem Czechów, a w końcu i Lędyców.

Stolicą Dolnego Śląska jest Wrocław. To skrót czeskiego „Wratysław” „Wrocisław” - jak „Włocław”, ten z nazwy Włocławka, pochodzi od Włodzisława. Nie ma wątpliwości, że nazwę dano grodowi od imienia Wratysława I, „Wrocisława”, który rządził Czechami w latach 905-921. W innej wersji – zwano go Brzetysław, Brzesław, stąd Niemcy ustalą swoją nazwę na - „Breslau”. To on opanował Śląsk. Najpewniej to jego Czesi, tacy sami zdobywcy jak Lędyce, zbudowali tu wśród rozlewisk Odry pierwotną swoją stanicę z jego imieniem, by kontrolować ziemie Śląska. Całe wieki będą bardzo silni i bitni – to ich obawiali się ówcześni królowie i cesarze Niemiec. Wiemy jednak z dużą pewnością, że z końcem X wieku panował tu Mieszko – gród „Wrocławia” ma już wały z „hakową” konstrukcją.

Mieszko, jak opowiadał późniejszy czeski kronikarz, podstępem zagarnął - Kraków, główne już w X wieku miasto Wiślan, i wyrżnął tam Czechów. Czy Wiślanie mu pomogli? Chyba

nie. Bo gdyby mógł liczyć na poparcie ze strony Wiślan, to po co budowałby gródek strażniczy koło Wiślicy?

Obsadzał wszędzie grody swoimi wojami. Archeologia poświadcza, że nie tylko rodakami. Zewsząd ciągnęli doń rębacze wszelkiego autoramentu, skoro płacił i - zwyciężał. Koło dzisiejszej Łodzi, w Lutomiersku, rezydowała później, z początkiem XI wieku, w czasach jego następcy, w czasach już chrześcijańskich, załoga złożona z ... Rusów i ruskich Waregów, czyli tamtejszych, zeslawizowanych już Skandynawów. I nie żądano od nich przyjęcia chrześcijaństwa - na
cmentarzysku w sąsiedztwie są i urny z ciałopalnymi pochówkami. Z Bolesławem Chrobrym pójdzie zaś na Kijów trzystu zaprzyjaźnionych Sasów...

Wrót Śląska na drodze z Czech do Wrocławia, u wylotu doliny Kłodzkiej, pilnowała w osobnym grodzie, obok starej osady, jakaś najpewniej drużyna Normanów lub Sasów, bo gród zachował nazwę „Niemcza", od „Niemców", czyli tych „niemych", którzy mówili obcym, niezrozumiałym językiem. Dziesięć lat temu wydawało mi się wątpliwe, by to mogli być Sasi, Frankowie czy Turyngowie, poddani królów Niemiec, bo w początku XI wieku ta Niemcza stawi zaciekły opór - saskiemu cesarzowi, władcy Niemiec! Ale i Mieszko, i potem Bolesław Chrobry, przyjaźnili się z niechętnymi dynastii Ludolfingów, potężnymi rodami saskimi...

Sasi, w X wieku najpotężniejsze z plemion niemieckich, zdominowali Franków na ziemiach przyszłych Niemiec, tych Franków, którzy parę pokoleń wcześniej w służbie Karola Wielkiego masakrowali samych Sasów i stanowili oparcie dla jego cesarstwa. Nadal czuli się Frankowie lepsi i wyżsi nad wschodnie, germańskie plemiona, nad tych wszystkich Bawarów, Szwabów i Sasów. Sasom daleko było do jedności w stosunkach między sobą, a jednak w roku 919 plemiona niemieckie wybrały, nie zmuszane, całkiem dobrowolnie, Henryka I, jednego z saskich Ludolfingów - królem wspólnego państwa. Zdecydował jakiś impuls cywilizacyjny, być może wzór „francuskiego" królestwa Franków z jego stolicą w Paryżu. Nie chcieli Sasi władzy ani tamtejszych Karolingów, spadkobierców Karola Wielkiego, ani potomków Roberta Mocnego, „księcia Francji", mówiących swoją celtycko-germańską, zepsutą łaciną z jej „ą" i „ę". W ten sposób Sasi tworzyli przyszłość, tworząc – niezależne Niemcy. Razem. Ci przyszli feudałowie przyszłych Niemiec wyprzedzili politycznie Europę, gdy po śmierci Henryka I w roku 936, miast ziemie germańskie rozkawałkować, wybrali nowego wspólnego króla – zwierzchnika lennego. Sami. Nie zmuszani. To byli prawdziwi „ojcowie" Niemiec. Nie Karol Wielki, wielki zdobywca, ani jego synowie.

Syn tego Henryka I, Otto I, utytułowany Wielkim, koronował się w roku 962. Dzięki swej potędze wojskowej podporządkował sobie i papiestwo, i opornych książąt niemieckich. Swemu bratu, Henrykowi, dał księstwo bawarskie. Syn tego Sasa, księcia bawarskiego, znany historii jako Henryk Kłótnik, będzie rywalizował o tron ze stryjecznym bratem, Ottonem II. Poprą go inni książęta niemieccy, również i Mieszko; Otton II w konsekwencji odebrał Kłótnikowi to księstwo bawarskie...

Potem walczył Kłótnik z grecką wdową po Ottonie II, Teofano, która jako regentka sprawowała władzę w imieniu małego Ottona III. Poparły ją wszelako te same plemiona niemieckie ze swymi książętami, a i Mieszko... Teofano kupiła przyjaźń Kłótnika, zwracając mu Bawarię. Ale saskie wielkie rody nie cierpiały Ludolfingów, choć pochodzili z ich kręgu. Czy to była tylko zawiść? Przypuszczalnie doskwierało im prócz Ludolfingów i cesarstwo. Cesarstwo degradowało utrwaloną od paruset lat, saską demokrację

plemienną z wysoką pozycją naczelników rodów, którzy zamienią się z czasem w wielkich feudałów. Przyjaźnili się z władcą Polan, czy raczej – Lędyców, nie tylko w tej sytuacji okazjonalnie, dla chwilowych korzyści. Przyglądamy się im tutaj, bo niezauważana przez historiografię przyjaźń lędycko-, polańsko-, potem polsko-saska utrzyma się – dosłownie! - przez tysiąc lat. I w czasach Saksonii jako samodzielnego królestwa, i w czasach, gdy Polski jako państwa ponad sto lat nie było na mapie Europy…

Konstrukcje hakowe Mieszkowych grodów znajdujemy aż nad Bałtykiem, w Gdańsku, Kołobrzegu i Wolinie. Wolin, jak napisze późniejszy kronikarz niemiecki, kanonik Adam z Bremy, to było „największe miasto Europy" (oczywiście - tutejszej, północnej), z potężnym portem, bogate i ludne. Przybywali doń kupcy i z dalekiego Południa, i ze Wschodu, i z Zachodu, arabscy zatem i „greccy", czyli z greckich miast na Krymie, zaś obok nich - ci od Franków i ci z Wysp Brytyjskich.

Saga o „zbójach jomskich" opowiada, że Normanowie, pewnie - duńscy, w służbie „Burislafra", w którym łatwo odczytać Bolesława, syna Mieszka, pilnowali dlań Wolina. Stacjonowali w swoim „Jomsborgu" - ja tę nazwę kojarzę nie z jakimś bałtyjskim źródłosłowem, lecz z bliskim dźwiękowo skandynawskim słowem *jaemn*, oznaczającym „równy", bo Jomsborg stanowił swoisty „zakon" równych sobie wojów, a i sam Wolin był republiką równych sobie kupców, bez żadnego władcy. Nic dziwnego teraz, że pierwsze pisane wiadomości historyczne o Polsce będą dotyczyły nie jakiejś zalążkowej wspólnoty plemiennej, lecz zorganizowanego, dość potężnego, choć niekoniecznie sympatycznego „państwa". Ba, pytanie - czyjego? Jego narodziny wzięły się z podboju, a nie zjednoczenia. Czy poddani chcieli być jednym państwem? Wygląda na to, że Mieszko swymi grodami umacniał już tylko panowanie nad ziemiami, wcześniej przez Lędyców, Lędzian, zagarniętymi… Jedyne poza władzą, co wiązało ze sobą wtedy przyszłych Polaków, to wspólny język.

7. KTO WYBRAŁ NAM CYWILIZACJĘ

Czy oznaczało to państwo „Mszka" domenę Lędyców, Lędzian, czy już Polan? Czy Mieszko chciał może oderwać się od zbójeckiej tradycji Lędzian? Powtórzę - imię Polan pojawi się w zapisach epoki dopiero z końcem X wieku... Same zagadki.

Ibrahim ibn Jakub opowiada o potężnym władcy, który trzy tysiące swoich wojów opłaca - kruszcem. I ściąga podatki. To sensacja historyczna: w tamtych czasach płaciło się nie podatki, a daniny, i to przede wszystkim w naturze. Podatkami w świecie islamu, skąd przybył Ibrahim, obciążano kupców, przyjezdnych lub też przejeżdżających. W świecie chrześcijańskim kupcy opłacali po drodze miejscowym panom i plemionom swe bezpieczeństwo. Najwidoczniej zagraniczni kupcy bardzo często krążyli ziemiami, podległymi panu Gniezdna, Mieszkowi, i sami zabiegali o to, by władca dbał o ich bezpieczeństwo podróży. Ten spokój opłacali „podatkami", a niezadługo narodzi się instytucja „miru drogowego" – ludzie władcy będą ścigali tych, co zakłócą bezpieczeństwo podróży, i będą im wymierzali kary, odstraszające swym okrucieństwem (w różnych okresach ziemie polskie będą słynęły, może dzięki temu, bezpieczeństwem swych gościńców).

Poddani i podbite ludy znały tylko daninę - którą zbierano dla księcia i jego drużyny. Wysokość daniny, czyli „narzaz", oznaczano, „rzezając" ją na specjalnych deszczułkach, narzazach, obliczano zaś na ogół w bydle bądź... wieprzach. Narzaz jako ta podłużna deszczułka służył jednak nie tylko do karbowania na nim wymiaru danin. Rejestrowało się nim zobowiązania i kwity; przepoławiano narzaz wzdłuż tak, że karby, czyli nacięcia, pozostawały po obu stronach, jedną brał dłużnik, drugą wierzyciel – zestawiano je przy kontroli wysokość długu i dokonanych spłat. W epoce, gdy nie znano cyfr ani rzymskich, ani arabskich, karby narzazu były niezastąpione.

U Ibrahima wyraźnie mówi się o kruszcu, który „Mszk" wypłacał swym wojom. Zatem albo miał gwarantowanej wagi monety arabskie, owe *dirhemy*, znajdowane w ziemi Wielkopolski, albo też bryłki złota czy może srebra ze Śląska, mniejsze i większe, odważane małymi, uchylnymi wagami. Będzie bił i własną monetę, być może właśnie dla obcych zaciężnych.

I to on, Mieszko, podejmie decyzje o przełomowym dla historii znaczeniu. Dlatego od niego zaczynamy historię Polski. Choć powinniśmy od Lestka-Listka... My, Listkowice, Lechici.

Były to czasy zupełnie innej geografii Europy niż dzisiejsza. Pół-dziki jeszcze świat chrześcijańskiej Europy zachodniej i zupełnie dziki świat Europy północnej nie mogły się równać z cywilizacją i kulturą muzułmańskich kalifatów Bagdadu, Damaszku, Kordowy, czy środkowo-azjatyckiego Chorezmu. Ani też z cesarstwem bizantyjskim, z greckimi miastami-republikami południowych Włoch czy Krymu i wybrzeży Morza Czarnego. Wystarczy obejrzeć odkopaną architekturę krymskiego Chersonezu, by zorientować się, co to był za dystans... Stolica Franków, przyszły wielki Paryż, był na razie ciasno zabudowaną wysepką na Sekwanie, Londyn nie mógł wypełnić nawet obrębu dawnych murów rzymskich, Berlin, z nazwą od „berła", był jedną z drewnianych, plemiennych stolic Stodoran, odłamu Hawelan, Słowian połabskich, a Rzym wegetował na gruzach i szczątkach starożytności. Natomiast Bizancjum, jak i muzułmańskie stolice Bagdad, Kordowa czy Aleksandria dynastii Fatymidów były miastami dobrze ponad

półmilionowymi, najmniejsza z nich Kordowa miała 113 tysięcy domów i - siedemdziesiąt bibliotek!

W drugiej połowie X wieku zdarzyło się coś, czego w pełni historiografia do dziś nie rozpoznała. Próbowałem po raz pierwszy opisać w książce „Wiosna Europy", jak dwie trzecie Europy wybrało wtedy swoją przyszłość (wrócę jeszcze być może do tematu, skoro zajął i mojego przyjaciela, Henryka Samsonowicza, jednego z największych polskich mediewistów). Najpierw Czesi, po nich Lędyce, dalej - Węgrzy, wreszcie i Skandynawowie wybrali chrześcijaństwo zachodnie. Słowiańszczyzna wschodnia i południowa przyjęła prawosławie, z kultury Bizancjum, o ileż wyższej! Wszyscy wybierali zarazem cywilizację. Nikt ich nie zmuszał, wbrew utartym stereotypom, nikogo się nie bali, to ich się bano; byli postrachem wszystkich sobie współczesnych. Węgrzy, koczownicy stepowi, w dolinie Panońskiej zamienili się wprawdzie stopniowo w lud osiadły, ale długo jeszcze będą przerażali zachodnią Europę, docierając rozbójniczymi konnymi eskapadami aż do Burgundii. W roku 955 zwycięstwem w bitwie nad rzeką Lech w Bawarii cesarz Otton I zatamuje ich ekspansję. Potem, kłótliwi i awanturniczy, długo nie będą mogli się pogodzić między sobą.

Żaden z tych ludów jednak nie wybrał niedoścignionej cywilizacji muzułmanów. Znali ją wikingowie pływający wokół Europy. Zazdrościli jej, kupując bądź rabując jej luksusy - miękkie tkaniny, dywany, wonności, artystyczne ozdoby i naczynia. Handlowano z nią, kto mógł, kontakty utrzymywano, jak już wiemy, żywe i rozległe. Ale Słowianie do niej rzadko docierali. Jeśli, to ci w bizantyjskiej służbie. Przechodzili na służbę do muzułmanów, niektóre kalifaty miały nawet swoje formacje gwardii, złożonej z tych „Sakalibów".

Chrześcijaństwo słowiańskie, które Cyryl i Metody przynieśli w IX wieku Wielkiej Morawie, załamało się, kiedy Węgrzy rozbili powaśnione jej państwo. Pierwszy potem przyjął chrześcijaństwo w środkowej Europie, już z Zachodu, młody książę czeski, Wacław. Przypłacił to śmiercią, zabił go własny, zawistny brat, ale ten brat, objąwszy po nim władzę, już nie wrócił do pogaństwa. Śladem zaś Czechów i z ich pomocą poszli władcy Lędzian, a po nich Węgier.

Nie w nagłym olśnieniu. I nie dla wymiany zabobonów. To byli politycy, a politycy nigdy się w swoich grach nie liczyli z nakazami wiary czy magii, nawet i tysiące lat temu. Archeologia odsłoniła w najstarszej warstwie katedry w Poznaniu, na całym jej obszarze, ślady budownictwa kamiennego sprzed chrztu Polski. Nasi tubylcy sami nie murowali i nie znali wapiennych zapraw, czyli że jacyś benedyktyni, bo tylko oni to być mogli, zaczęli chrystianizować ich... pierwszymi tutaj takimi zaprawami. Budowali świątynię dla swoich modłów. Dendrochronologia, szczególna specjalność naukowa, odczytuje wiek ściętych drzew z grubości słojów, zawsze takich samych określonego roku i znalazła w tych benedyktyńskich konstrukcjach poznańskich drewno z lat czterdziestych X wieku!

Poznań stolicą Mieszka nie był - wbrew różnym sugestiom. „Państwo" jeszcze za jego następcy zwało się Gnieznem, ściślej - Gniezdnem, w zapisie łacińskim - Gnezdun (niemiecka wersja nazwy Drezna, Dresden, lepiej zachowała pierwotne serbskie Drzezdno). W cywilizacji chrześcijaństwa zachodniego nowe naonczas biskupstwa wiązano zwykle z jakimś mocnym klasztorem, ostoją dla religii i porządku, z mocnym opatem, którego czyniono biskupem. Zapewne więc benedyktyni założyli swój erem w Poznaniu na długo przed chrztem, a Jordan, pierwszy potem biskup Mieszka, był ich opatem bądź przeorem. Dlatego cesarz, Sas Otton II (to on decydował wtedy, nie papież), właśnie tutaj

ufundował Mieszkowi, by go pozyskać, pierwsze biskupstwo. W 968 roku – niedługo po chrzcie. Domyślam się w Jordanie, zapewne - Sasie, przyjaciela i doradcy Mieszka. Być może dzięki niemu wybrał Mieszko jego, Jordana, chrześcijaństwo, a nie wschodnie…

Mieszko mógł znać jedynie ich cywilizację, cywilizację benedyktynów. Ci mnisi pracujący stanowili o zachodnim chrześcijaństwie. Oni, a nie Rzym papieski. Papiestwo tej epoki podupadło zupełnie i Mieszko o tym wiedział. Rodzona siostra jego czeskiej żony spędziła wtedy parę lat w Rzymie. Mogła obserwować rozkład papiestwa i - być może - załatwić z cesarzem biskupstwo dla szwagra…

Wybrali więc Mieszko i jego możni - chrześcijaństwo benedyktynów. Niosło cywilizację, nie okazując pogańskiej dziczy przygniatającego poczucia wyższości - choć kamienne budownictwo musiało imponować drewnianemu światu. Swą mocarnością samo przez się budziło chyba wiarę w powagę i trwałość nowego Boga. W drewnie tworzono architekturę piękną, wysmakowaną, jak dzisiejsze konstrukcje górali, z ozdobami i rzeźbami, których resztki się zachowały, ale spoiwa budowlane miały coś z magii. No i ci wykształceni zakonni mędrcy z misyjnym powołaniem różnili się od żądnych władzy zakonnych politykierów Zachodu, gdzie każdy opat rządził „państewkiem" klasztoru i jego włościami… Nawracało też pogan - pismo, najważniejsza broń cywilizacji. Benedyktyni, skupieni na pracy i doskonaleniu świata, byli, co w polityce ważniejsze - ludźmi przyzwoitymi i lojalnymi. Jedni prowadzili władcom jak na Zachodzie kancelarie, opracowywali dokumenty, inni budowali. Wszędzie zaś uruchamiali przy swoich kościołach i klasztorach – szkoły. Uczyły one łaciny, uczyły w niej czytać i pisać, a sztuka czytania ówczesnych zapisów dziś wymaga paleografii, nie była wtedy ani o włos łatwiejsza, tym bardziej – pisanie. Łacina umożliwiała porozumiewanie się ludzi wykształconych, elit swoich krajów, ponad granicami i poza granicami. To benedyktyni tworzyli Europę.

Z początkiem X wieku bogactwo już demoralizowało mnichów Zachodu, zakonnicy wielu klasztorów prowadzili nader swobodny tryb życia, spędzając dni całe poza murami, często nawet nie wracając na noc od swoich kochanek, aż utarło się powiedzenie, że mnich jest lepszym kochankiem od rycerza. Powstrzymać rozkład chciał burgundzki konwent benedyktynów w Cluny, postanowił odnowić ideały czystości i skromności, ale i odwrócić zakon od życia doczesnego. Mieli teraz benedyktyni poświęcić się wyłącznie modlitwie i nabożnym śpiewom. Niemniej, na szczęście dla Europy, nie zrezygnowali z ról głównych pionierów doczesnej chrześcijańskiej cywilizacji. Przydawała ona boskie oparcie porządkowi, do tej pory utrzymywanemu głównie siłą drużyn wojów. Klasztory mnożyły się w X wieku z dziesiątka fundacji, pobożni, a wyrachowani fundatorzy szukali bezpieczeństwa swych dochodów z posiadanych majętności. Pielgrzymowano do relikwii, które, autentyczne i podrabiane, mnożyły się z podziału ciał różnych świętych, z pielgrzymkami zaś mnożyły się targi, rozwijał handel. Czyli cywilizacja.

Gdyby Mieszko podróżował i dotarł przynajmniej do krymskiego Chersonezu, może by jak dwadzieścia lat później Włodzimierz Wielki, władca Rusi, też zdobywca, wybrał chrześcijaństwo wschodnie. Z nim - liturgię we własnym, słowiańskim języku oraz - pismo słowiańskie, z liternictwem wyrosłym z pisma greckiego, już uproszczonym i łatwym. Ów późniejszy pierwszy kronikarz Rusi, Nestor, zapisał, że „przystoi popu uczyć ludzi", bułgarscy popi, którzy przybyli z bułgarską kuzynką cesarzy Bizancjum, zostali pionierami oświaty. I już w XI wieku Ruś pisała w swoim języku, podczas gdy świat łaciński będzie pisał w swych narodowych językach dopiero kilkaset lat później. Na Rusi pisali nawet ludzie prości. Z torfów, które ochroniły dla archeologów Walentyna Janina przeszłość Nowogrodu Wielkiego, wychynęły w listach na korze brzozowej skargi zdradzanych żon

i targi o warzenie piwa... Niestety, poza Nowogrodem Wielkim Rosja to wyprzedzenie kulturowe straci z najazdem i władzą Tatarów. Potem carowie Rosji dla ochrony swego jedynowładztwa zniszczą nawet pamięć o demokracjach kupieckich Nowogrodu, Pskowa i Wiatki. Wybór pisma oddzielił zaś wschodnią Słowiańszczyznę od Zachodu bardziej niż różnice wiary, różnice między prawosławiem i katolicyzmem. W późniejszym Królestwie Obojga Narodów, w którym elita litewska mówiła po rusku, przedziału między prawosławiem a katolicyzmem nie było i gdyby nie opór biskupów katolickich prawosławni biskupi zasiedliby w senacie Rzeczypospolitej. Co miałoby dla tej Rzeczypospolitej historyczne znaczenie.

W ostatniej ćwierci X wieku solidne, kamienne kościoły i siedziby książęce rosły w Wielkopolsce jedne po drugich - choć nie obfitowała ona w kamień. Na Ostrowie Lednickim stoją resztki murów piętrowej świątyni, budowanej po roku 977, gdzie być może brali później chrzest woje Mieszka. Wspierał tę świątynię piętrowy obok pałac, o murach dziś jak z betonu - ociosane, płaskie łomy sprowadzonego granitu spoiła zaprawa gipsowa, zeskalona przez wieki, strop wsparty na dwóch filarach krył powierzchnię kilkuset metrów kwadratowych, z dużą salą 14 m na 14 m. Jej właśnie rozmiary sugerują, że Mieszko nie podejmował decyzji sam, że potrzebował miejsca dla obrad i uczt z ważnymi ludźmi drużyny i przedstawicielami skupionych plemion... Mężowi jego siostry, węgierskiemu Gejzie, ani jego synowi, Waikowi, po chrzcie - Stefanowi, nigdy nie udało się w pełni przekonać opornych wodzów węgierskich plemion do wspólnego państwa. Na tym polegała ich znacznie trudniejsza łamigłówka władzy.

Mieszko i jego ludzie wyprzedzili czas. Nie musieli się spieszyć, nie działali pod naciskiem jakiegokolwiek zagrożenia. Mieszko, dla niemieckiego kronikarza, biskupa Thietmara, „przyjaciel cesarza", uprzednio wspierał owego jego rywala do tronu, Henryka, nazwanego Kłótnikiem. Kiedy wygrał Otton II, Mieszko to w nim, zwycięskim, saskim władcy Niemców, szukał partnera przeciw potężnym i bojowym Słowianom Połabia. Ci pozostawali wierni swym bogom i niechętni cywilizacji swych sąsiadów, Sasów. To od ich strony, od strony plemion Połabia, plemiona śląskie sypały wały ochronne! I to na czele Redarów zza Odry zaatakował Mieszka saski buntownik, Wichman. A jeżeli ktoś powinien był się wtedy spieszyć w historii, to oni - Obodryci, Redarowie, Lutycy, czyli Wieleci (Wielci, w naszym języku – Wilcy), Stodoranie, Hawelanie, Wagrowie, Doleńcy, Serbowie Łużyccy. Trzydziestu ich starszyzny wedle kroniki mnicha Widukinda wytruł podczas uczty podstępny margrabia saskiej Marchii Wschodniej, Gero. Taki mord nie był świeżym pomysłem, zachowały się wiadomości o innych takich zdradzieckich ucztach w owych czasach. Gero budził lęk we własnym cesarzu, przy swej potędze mógł marzyć nawet o jego koronie. Podbiwszy Łużyce, zagrażał i Mieszkowi. Samo imię zdradzało jakby ambicje Gerona, pochodziło od „Ger", „Gar", włóczni, dla Germanów znamienia władzy - ich plemiona zachodnie, czyli Germanie, były wszak „ludźmi włóczni".

Ibrahim ibn Jakub opisywał Nakona, potężnego „księcia" Obodrytów. Nakon przyjął chrzest, ale nie udało mu się wytłumaczyć rodakom korzyści, które da zmiana wyobraźni. Jeszcze ze dwa stulecia będą się opierali się naporowi Sasów. W jakimś sensie zachowali swoją odrębność także po niemiecku – panowała, jak wspominałem, ta zniemczona dynastia obodrycka w Meklemburgii aż po rok 1918! Sasi wchłaniali słowiańskich sąsiadów swą chrześcijańską cywilizacją i - otwartością. Tak, właśnie Sasi nigdy nie byli nienawistnymi wrogami Słowian i to nie przypadek, że właśnie na saskich ziemiach dzisiejszych Niemiec przetrwało słowiańskie nazewnictwo miejscowe czyli, że słowiańscy mieszkańcy nie wyginęli, a zostali Sasami. Do XIV wieku sąd w Lipsku będzie dopuszczał rozprawy w języku Serbów! Serbowie łużyccy zachowali swoją tożsamość i język aż do XX

wieku. Dzisiejsi Niemcy na wschód od „granicy serbskiej" są w przewadze potomkami Słowian, głównie - Sasami właśnie. Ostatni bastion samodzielnej, pogańskiej Słowiańszczyzny połabskiej na bałtyckiej wyspie Rugii padł w połowie XII wieku, ale zniszczyli go - Duńczycy.

Jeszcze ze dwa aż wieki bogactwo będzie brało się w Europie głównie z wojny i rabunku, może zastanawiać więc, dlaczego Mieszko i jego ludzie, wybierając wiarę pokoju, potraktowali swój wybór serio. Ówcześni chrześcijanie mordowali innych chrześcijan bez pardonu, nie oglądając się na boskie przykazania, tymczasem ziemie Wielkopolski ujawniły archeologom, że w latach 960-980 dopływ arabskich *dirhemów* arabskich zanikł. Wniosek stąd prosty i – wręcz zdumiewający: skończyły się wielkie łowy niewolników i zyskowny eksport - choć *dirhem* był pieniądzem tak wiarygodnym swą solidnością, że w Anglii jej władcy latami będą bili monetę, wiernie imitującą *dirhemy*. Kupcy arabscy zaś nadal podróżowali do państwa „Mszka": w roku 986 zabrał on do Merseburga i podarował małemu, sześcioletniemu cesarzowi Ottonowi III… wielbłąda. Na pewno nie własnej hodowli. Na Kijowszczyźnie w czasach nowożytnych wykopano szkielet wielbłąda, czyli, że ci kupcy ze świata arabskiego podróżowali do północnych krajów także na wielbłądach. Nic nie wskazuje zaś, by Mieszko sam odwiedził świat muzułmański. Nie wymyślił chyba i podatku od kupców, w praktyce - opłaty za bezpieczeństwo, to kupcy mogli być nim zainteresowani.

Chyba kupcy nie tylko arabscy. Intrygują uczonych pewne tajemnicze wątki… budownictwa. Pierwsza katedra Mieszka w Gnieźnie, zapewne w miejsce pogańskiej świątyni, stanie na planie czterolistnej koniczyny, na bizantyjskim więc narysie! I tak samo - w Krakowie mała rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu. Benedyktyni, z tradycją budowlaną rzymskiego chrześcijaństwa, nie stawialiby kościołów na takim narysie. Być może ci poznańscy benedyktyni po prostu się zestarzeli i nie mieli już sił na kolejne budowy… Mogli zaprzyjaźnieni kupcy sprowadzić do budowy - Greków z krymskiego Chersonezu, ale tam znano bizantyjską cegłę, która tu nie dotarła, natomiast identycznych kształtów katedrę św. Krzyża, znacznie podobno starszą, też małą, w obwodzie 36 m, ma chorwacki Nin. Może budowniczych przysłała bratu z Węgier, panujących nad Chorwacją, siostra Mieszka, żona węgierskiego Gejzy?

Nestor, pierwszy kronikarz Rusi, pisał, że ruski Włodzimierz Wielki wybrał chrześcijaństwo wschodnie po dyskusji z przedstawicielami różnych religii. Czy naprawdę? Znał Chazarów, szczególnych koczowników, panów stepu, ci od rabinów, wypędzonych z muzułmańskiego Chorezmu w Azji Centralnej, przyjęli judaizm. Poznał Włodzimierz - Bizancjum i Chersonez, wyższość tej cywilizacji. Nie wyobrażał sobie, że może istnieć coś więcej. Wysyłał posłów na chrześcijański Zachód Europy, ale ani on, ani jego ludzie nie oglądali muzułmańskiego świata, niebotycznych alkazarów, zamków Segowii czy też Sewilli, ani rzymskich akweduktów Hiszpanii. W X wieku nie znała tych strzelistości i „romańska" kultura Zachodu Europy z masywnymi bryłami swych „romańskich" budowli. Wątpliwe, by Mieszko myślał o chrzcie w bizantyjskiej kulturze. Tym mniej – o islamie… Mimo wielbłądów i przywożonych dzikich zwierząt. Modą i oznaką prestiżu musiało być ich posiadanie.

Zapewnić sobie musiał Mieszko inne dochody, jeśli zrezygnował z handlu niewolnikami. Zastąpiło profity z niego - jak przypuszczam - złoto i srebro Śląska. Obok kruszców - tamtejsze kamienie szlachetne. Może i bursztyn Mazowsza. Powstały w końcu X wieku gród w Płocku (z imieniem znów od „pła"), chronił szlak wodny Wisły; nie wykluczone, że

Mieszko opanował i północną Puszczę Zieloną, w przyszłości - puszczę „królewską”, z jej istnym zagłębiem bursztynowym.

Państwem „Gnezdun” rządził z elitami powiązanych jego władzą plemion, i z dowódcami swych drużyn, osadzonymi w grodach wyraźnie strażniczych. Na ile potrafili przekonać rodaków do chrześcijaństwa, możemy tylko wnioskować z dalszych wydarzeń. Jeśli 50 lat po chrzcie Mieszka Bolesław Chrobry miał drużynników, jak odkryła archeologia, pogan i prawosławnych, to znak, że Mieszko i potem jego syn starali się unikać konfliktów między swymi „poddanymi”, wbrew informacjom o wyłamywaniu zębów za jedzenie mięsa w piątek. To chrześcijaństwo mogło bez oporów adaptować wiele starych obyczajów, a nie żądało przyswojenia sobie uczonej teologii - nigdy się ona w Polsce nie rozwinie i różnice w rozumieniu kanonów wiary nie odegrają tej roli co w Niemczech, protestantyzm nie znajdzie w Polsce teologicznego, więc intelektualnego oparcia. Węgierski Gejza, ochrzciwszy siebie i syna Waika, wierzył nadal w rusałki i chochliki, uczestniczył w składaniu staremu bogu ofiary z białego konia. Mimo to ani on, ani syn, jako Stefan, nie pozyskali opornych wodzów plemiennych.

Ci władcy ufali magii, podporządkowywali się zabobonom, współżyli z wszechobecnym światem nadprzyrodzonym, ale - jak zawsze w polityce - kierowali się głównie interesami. Wytrawni już w tej grze, budowali między sobą - związki rodzinne. Tyleż dla wzajemnej „rodzinnej”, a raczej „rodowej” pomocy, co dla wzajemnego bezpieczeństwa. Czeski Bolesław I, zwany Srogim lub Okrutnym, zabójca brata, czerpiący zyski z praskiego handlu niewolnikami, dał potężnemu władcy „Gniezdna” swoją córkę za żonę. Dał „starszą” jak na ówczesne obyczaje kobietę, liczyła pewnie ze 20 lat, może 22; niechętny pannie kronikarz czeski po półtora wieku źle pisał o jej prowadzeniu się... Świątobliwa legenda poprawi tę opinię: Dobrawa miała odmawiać mężowi zbliżenia, zanim się on nie ochrzci. Ich syn urodził się jednak przed tym chrztem, przed rokiem 966. Dostanie czeskie imię po czeskim dziadku, Bolesław. Tak, Bolesław to imię czeskie, nie polskie.

Siostra Mieszka poszła za owego węgierskiego Gejzę. Córka - za władcę Swewów (przodków Szwedów), Eryka Zawsze Zwycięskiego. Po śmierci Eryka w wyprawie na Niemcy – weźmie ta dziewczyna za męża jeszcze groźniejszego rozbójnika, władcę Danii, Swena Widłobrodego. Były to kobiety pełne energii, mądre, a i bezwzględne aż do sadyzmu. Odegrają na dworach Węgier i Północy role szczególne. „Bela Knegini”, zapisana w kronikach jako Adelajda z rodu Mieszka, „jeżdżąca konno jak mężczyzna” blond piękność, budowała państwo rodu Arpadów. Jej bratanica, „Sygryda”, „Zwycięska”, „Storrada”, Dumna, tak utrwalona w sagach, umacniała państwo Swewów i potem Danów. Sagi zapamiętały, jak sproszonych na ucztę, pijanych już konkurentów do jej ręki zamknęła i spaliła... Podnoszono wątpliwości co do jej pochodzenia, ale wiemy o nim ponad wszelką wątpliwość ze źródeł niemieckich i ... angielskich.

Bolesław Chrobry będzie miał za Karpatami na tronie węgierskim ciotecznego brata, w Danii – rządzącego po ojcu swego siostrzeńca, syna Sygrydy, Kanuta Wielkiego, Knuda, zdobywcę Anglii. Nie da się oddać mapami związków, budowanych przez obie te kobiety. Budowały też one - chrześcijaństwo, ich państwom sprzyjające. Sprzyjające też państwu ich ojca i brata. Obraz epoki w książce Teodora Parnickiego „Srebrne orły”, z jej kalkulacjami i rachubami, z całą przewrotną ekwilibrystyką polityczną, okazuje się bliższy rzeczywistości niż karykaturalne prostactwo w cyklu powieści Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry”. Spotkamy tu zaś dowody kontaktów między Kanutem, Bolesławem i Stefanem, ilustrujące charakter stosunków tego kręgu. Mogli ci politycy być prymitywni

w sposobie zachowania, języku i brutalności w grze, ale inteligencji im nie brakowało. A czasem nawet i serca.

8. JEDNAK SIĘ NIE ROZPADŁO

XVIII-wieczny włoski historyk i archiwista, Lodovico Muratori, odkrył dziesiątki średniowiecznych rękopisów. Trafił wśród nich na słynny dokument, zwany od pierwszych jego słów *Dagome iudex*. Z mnóstwem zagadek. Początek, zniekształcony przez kopistów, zapisano prawdopodobnie albo skrótami, albo „tachygrafią", ówczesną stenografią, pierwszymi sylabami, mogło to być *Deo gratias* i potem *Mesica dux*. Datuje się rękopis na rok około 990, że niby Mieszko na krótko przed śmiercią, z myślą o kolejnej żonie i dzieciach z niej, poddał swoje państwo opiece papieża - państwo nieco przymałe: Kraków albo trzymali Czesi, albo najstarszy syn, Bolesław, przyszły Chrobry. Aliści Mieszko był niekłamanym sprzymierzeńcem Teofano, rządzącej cesarzowej, bizantyjskiego pochodzenia, matki małego Ottona III, zaś papież Jan XV (985-996) należał do kręgu rzymskich, zaciętych wrogów cesarstwa, z rodu Krescencjuszy. Nazwę państwa - od jego niby stolicy - też całkowicie kopiści zniekształcili, utożsamiając „Gniezdno" ze Szczecinem jako Schinesghe. Tak więc dokument albo sporządzono wcześniej albo raczej sfingowano w dość długi czas po śmierci Mieszka, kiedy Bolesław, syn jego z Dubrawy, macochę z przyrodnimi braćmi wypędził i opanował całe „państwo"....

Bolesław bił jak ojciec własną monetę, a jego mincerze tłoczyli na niej napis *Gnezdun civitas*, „państwo Gniezdna". Tego denara Bolesława Chrobrego, średnicy blisko 2 cm, znaliśmy długie lata jedynie z rysunku w książce numizmatyka, który go odrysował, zanim oryginał zginął z Gabinetu Numizmatycznego Ordynacji Krasińskich w Warszawie. Szczęśliwie - wykopano inny egzemplarz w roku 1961 w Pleszewie!

Jest więc *Gnezdun civitas*, nie ma jeszcze ani „Polanii", ani „Polonii". Część historyków chciała Bolesława zrobić „Wielkim". Pozostał - „Chrobrym". Cóż, kochał wojnę, podboje i zdobycze. Tym słynął w swoich czasach. Nigdzie nie było mu za daleko: kiedy ruscy krewniacy pozbawili władzy jego kijowskiego zięcia, poszedł wojować Kijów. Zdobywał, na dłużej lub krócej, ziemie i kraje, które z jego „państwem" nie miały już w ogóle nic wspólnego, włącznie z Czechami, Morawami, Miśnią i Łużycami. Owi połabscy Wilcy, czyli Wieleci, Lutycy, będą szukali przeciw niemu sojusznika w późniejszym cesarzu Niemiec. I to właśnie sascy przyjaciele obronią Bolesława, kiedy ludzie nowego cesarza, Henryka II, księcia bawarskiego, po śmierci Ottona III spróbują zamachu na niego – był widać niebezpiecznym rywalem do pozycji potęgi, dyktującej bądź wpływającej na układanie przyszłości.

Czy musiał stale swym zawodowym wojom dostarczać okazji do nowych zdobyczy? W pierwszej polskiej kronice ciągle „ujarzmiał", „zagarniał", „poskramiał", „deptał swoimi stopami". Człowiek wysokiej inteligencji, ale wojownik dziki i okrutny, także wobec swoich, nieposłusznym i nielojalnym wyłupywał oczy. Jego czeski szwagier po prostu mordował niewygodnych, w Anglii zaś uważany za niedołęgę Etelred, by uzyskać tron, kazał swym siepaczom zabić przyrodniego brata, króla Edwarda, kiedy ten przyszedł do niego z wizytą...

Nie ustępował im późniejszy przeciwnik Bolesława, cesarz Henryk II, ostatni z Ludolfingów. Więcej ludzi wyrżnął i więcej osad spalił w Niemczech, niż poza nimi. Szwabię swoich kuzynów zdewastował doszczętnie. Ale odprawiał pokuty, budował kościoły, fundował klasztory; po każdym okrucieństwie tryskała zeń pobożność, po czym

w XII wieku kolejny papież, patronujący wyprawom krzyżowym, wymyśli go jako świętego patrona dla nich… Bolesław też pokutował, ale ponoć raczej za skłonność do rozpusty.

Łacinę opanował w mowie na pewno, na pewno nie w umiejętności czytania i w piśmie: kanony wymagań religijnych musiano mu odczytywać, jak wszystkim innym śmiertelnikom, ale też i dziś, jak wspominałem, ówczesne teksty pisane, bez odstępów między wyrazami, bez kropek, często ze skrótowymi zapisami, wymagają znajomości paleografii, umiejętności nadal, do dzisiaj, niesłychanie rzadkiej. Sztuka czytania była sztuką dla wtajemniczonych. Tak samo, co logiczne, sztuka pisania. Mówił zapewne Bolesław i saską niemczyzną, którą znał z chłopięcych czasów, bo inaczej nie mógłby się znosić z saskimi przyjaciółmi - chociaż część z nich biegle mówiła językami słowiańskich sąsiadów, zwłaszcza Serbów…

Patronował misjonarzom - świadom widać roli chrześcijaństwa w przyszłości swego „państwa", na razie tylko sieci mocno obsadzonych grodów. Musiał być osobistością wybitną, skoro wiązali się z nim ludzie wybitni. Nie podbijał ich wykształceniem – choć kto wie? Urzekł Bolesław Czecha, byłego biskupa Pragi, Wojciecha, z łacińskiego imienia – Adalberta, uczonego, który w imię ideałów chrześcijańskich, dla ich odrodzenia w zdemoralizowanym świecie, wybrał los męczennika i z ziem Bolesława udał się po śmierć do pogańskich Prusów. Nie przemawia do mnie teza, że ruszył, by ich nawrócić, tak się wtedy nie nawracało, a wedle tego, co wiemy, swoją śmierć sprowokował… Urzekł tak samo Bolesław - innego przyszłego świętego, Brunona z Kwerfurtu, Sasa wielkiego umysłu, który weźmie wzór z Wojciecha. Miara umysłów obu, Wojciecha i Brunona, mówi coś o Bolesławie… Zachowała się opinia Brunona o nim, swoim przyjacielu.

Ujął Bolesław i młodziutkiego cesarza-intelektualistę, Ottona III. Otton III po kilku swoich niefortunnych nominacjach zrobi Sylwestrem II, papieżem, benedyktyna-matematyka i filozofa, starorzymskiej tożsamości, a niezwykłej osobowości (bohatera mojej „Wiosny Europy"), by wspólnie z nim projektować wspólną Europę równych. Ten papież błyskawicznie, co dla znawców epoki zdumiewające, kanonizuje Wojciecha i Otton III przybędzie potem, rzecz także niesłychana, z pielgrzymką do kraju niedawnych pogan, do grobu wspólnego przyjaciela ich wszystkich trzech, już świętego, w roku 1000. Przyjmowano go w Gnieźnie z niebywałym przepychem. W nowej katedrze, już na planie bazylikowym, majestatycznej i bogatej, Otton stąpał po glazurowanej posadzce z pięknymi, geometrycznymi deseniami, które odsłoniła w naszych czasach archeologia… Włożył uroczyście na głowę Bolesława swój diadem cesarski, braterskim gestem koronując go, przyjmując do grona równych sobie władców. Obdarował go włócznią z fragmentem włóczni św. Maurycego, włócznią, która w świecie Germanów, jak już wiemy, symbolizowała władzę.

Pozyskał też Bolesław, jak jego ojciec, serdecznych przyjaciół wśród saskich wielmożów. To oni ochronią go przed zamachem sług następcy Ottona, Henryka II. Z tymi przyjaciółmi on sam, dodajmy, spiskował potem przeciw niemu. Przyjaciele z zagranicy, którzy osiedli w jego państwie, biskup Reibern czy włoski opat Tuni z konwentu benedyktynów w Międzyrzeczu, byli mu cennymi doradcami. Syna i następcę kształcił Bolesław skrupulatnie, to świadczy o jego wyobraźni przyszłości. Na ilustracji „z epoki", z ok. roku 1027 - księżna szwabska, Matylda, wręcza Mieszkowi II księgę liturgiczną, *Ordo Romanus*, z pierwszymi na ziemiach polskich chorałami gregoriańskimi; z dedykacji, którą napisała, dowiedzieliśmy się, że jej adresat znał łacinę i grekę.
Córka tego Mieszka, Gertruda, wydana za księcia Rusi, doskonale umiała… pisać! Wpisała po łacinie w swój drogocenny, artystycznej roboty, więc bardzo drogi psałterz (dziś we

Włoszech, w Cividale pod Udine) kilkaset w swym życiu własnych modlitw, które pozwoliły nam poznać też jej choroby i zmartwienia… Czy to wszystko jakoś rysuje poczucie historycznej perspektywy jej dziadka?

Sylwester II dał Bolesławowi natychmiast, za akceptacją Ottona III, metropolię arcybiskupią imienia św. Wojciecha, a więc i prawo mianowania biskupów. Czechy, gdzie Bolesław Pobożny wygubił podstępnie prawie cały ród Wojciecha, Sławnikowiców, Czechy, skąd Mieszko wziął chrześcijaństwo, będą na arcybiskupstwo czekały setki lat! W końcu panowania, ku irytacji następców Ottona III, Bolesław koronował się królem raz jeszcze. Panuje dość ogólne przekonanie, że mógł to zrobić nawet przed węgierskim Stefanem Wielkim, tylko że Otton III zmarł przedwcześnie, a niedługo po nim Sylwester II. Tymczasem diadem cesarza i fragment z włóczni św. Maurycego, znamionującej władcę, oznaczały już coś więcej niż koronację, Otton uznał w Bolesławie nieledwie brata, równego sobie… O tym jednak następni cesarze woleli zapomnieć i Bolesław chciał mieć na głowie jak inni koronę, symbol *regnum*, królestwa.

Późniejszy pierwszy kronikarz polski z początków XII wieku, przybysz z Zachodu, wynosił „roztropność i doskonałość" Bolesława, „który w sądzie nie miał względu na osobę" i „tak pilnie rozważał sprawę biedaka, jak jakiego wielkiego dostojnika", „wieśniaków swych nie napędzał, jak
surowy pan, do robocizny, lecz jak łagodny ojciec pozwalał im żyć w spokoju", a „żaden wędrowiec ani pracownik nie ukrywał podczas jego przemarszu wołów ani owiec". Możliwe, że tak naprawdę było, taka mądrość nie kłóci się z innymi wiadomościami o Bolesławie, ale równie możliwe, że kronikarz, przewrotnie inteligentny, szczytnymi wzorami edukował swoich współczesnych w XII wieku – popełniali prawdopodobnie grzechy złych władców i dowódców, niebaczni też na zbójeckie obyczaje swych wojów…

Jeden sprawdzalny, rzeczywisty ślad, który wspominałem, korzystnie świadczy o charakterze Bolesława: jego duński siostrzeniec, Kanut (Knud) Wielki, podbiwszy Anglię i ogłosiwszy się jej królem, wysłał dwóch synków po nieżyjącym pretendencie do tronu do wuja, przez Danię do Polski, z sugestią, żeby ich cichcem zgładzono. Bolesław zaś nie tylko ich nie zamordował, ale wyprawił chłopców do swego węgierskiego ciotecznego brata, Stefana Wielkiego. Dożyli tam śmierci Kanuta i po 1035 r. wrócili do Anglii.

Obaj, i Bolesław, i Stefan, byli politykami na pewno przebiegłymi. Sprawnymi: Bolesław zorganizował system gońców, by wszystko szybko wiedzieć. Zabrakło jednak chyba i Bolesławowi, i Stefanowi, politykom dalekowzrocznym, rozpoznania i wyobraźni teraźniejszości. Obu. Teraźniejszość nie poddała się ich wielkim, a bezwzględnym inteligencjom. Wbrew opinii wielkiego historyka początków Polski, Henryka Łowmiańskiego, państwa ich obu rozpadną się po ich śmierci.

Na zachodzie Europy wytworzył się w ciągu ponad stulecia układ feudalnych zależności lennych, stając się tradycją, układ, którego powinno się przestrzegać. Podtrzymywał on już instytucję wspólnego suwerena, króla czy cesarza. Zależności, uświęcone poparciem Kościoła, uznawano i szanowano, zbuntowani feudałowie próbowali je czasem obalić, ale tylko po to, by zmienić persony u szczytu władzy. Uznawały układ i szanowały go dziesiątki zgoła niezależnych od siebie wzajem księstw, hrabstw i marchii, biskupstw i opactw. Tak czy inaczej, cesarz Henryk II nie musiał „budować państwa" jak jego poprzednicy, następcy Henryka I, kolejni Ottonowie.

Węgrami rządziły lokalne książątka i wodzowie plemienni. W przyszłej Polsce feudalny układ zależności nie ukształtował się nigdy. Zbierali daniny i pilnowali porządku nie lennicy, a ludzie władcy, osadzeni w swoich stanicach, jedni rekrutowani z jego dworu, inni – darzeni jego zaufaniem, lokalni wielmoże danej okolicy. Synowie Bolesława, przyrodni bracia, rywalizowali potem bez pardonu o władzę, niezależnie od wykształcenia jeden bodaj dzikszy w represjach od drugiego. Nie mamy jasnego obrazu ich czasów – córka jednego, owa Gertruda, poszła za księcia Rusi, a książę Rusi wspierał podobno drugiego brata… I nie wygląda na to, by ludzie jej ojca podnieśli bunt, choć do rebelii wystarczają przywódcy, na tyle głodni władzy i zdobyczy, by skupić podobnych sobie. Dla mazowieckiego „Miecława" (od Mieczysława, więc raczej nie „Masława"; „mieczył" to „wymiatał") odlewano broń z żelaza w okolicach dzisiejszego Pruszkowa, za bursztyn mógł kupić i lepszą. Miał u boku - Jadźwingów, Prusów, Pomorzan zza Noteci, ale czy na pewno bunt wszczęli poddani jako poganie? W Gnieźnie i Poznaniu wedle owej pierwszej kroniki polskiej „w kościele św. Wojciecha męczennika i św. Piotra Apostoła dzikie zwierzęta założyły swe legowiska". Archeologia potwierdziła skalę zniszczeń. Z Wrocławia wypędzono biskupa, mało - zaczęto stawiać pogańską, drewnianą świątynię… Wszelako ci, co mordowali nawet biskupów, mordowali ich, przypuszczam, jako ludzi obcych, narzuconych - z kręgu władzy. Podobnie na Węgrzech.

Nie dowiedzieliśmy się, by mordowano zakonników. Mnisi budownictwem ze spoiwami i sztuką pisania łagodzili może w codziennych kontaktach obraz obcej religii. Inaczej chrześcijaństwo nie wróciłoby ze swymi duchownymi tak potem łatwo. Bo nie dzięki samej przewadze zbrojnej.

W roku 1038 zmarł Stefan Wielki. Dopiero wtedy waleczny książę czeski, Wratysław II, kolejny Wrocław, inaczej – Brzetysław, mógł być pewny, że Stefan nie osłoni swoimi wojskami państwa „Gniezdna". Skusiły Wrocława bogactwa po Bolesławie. Najechał krainę, obfitującą w te bogactwa. Zdobywał, rabował i palił. Wedle Kosmasa, późniejszego czeskiego kronikarza, z samej Wielkopolski uwiózł podobno skarby na stu wyładowanych po brzegi wozach. Zabrał ciało św. Wojciecha. Dwunastu kapłanów dźwigało zrabowany, wielki złoty krzyż - ileż delikatności uczuć religijnych w chrześcijańskiej grabieży! Łupieżca wykształcony, nie zapomniał o księgach z kronikarskimi zapisami. Klerycy zdołali mimo to ukryć najcenniejsze, drogo zakupione kodeksy katedry gnieźnieńskiej, włącznie z najstarszym, z 800 roku.

Rozbite „państwo" mogło rozpaść się nieodwracalnie. Tymczasem dało się potem scalić. Być może przetrwały mocne załogi strażniczych grodów. Wojów różnych wierzeń i obyczajów skupiali wspólni dowódcy, pamiętajmy – woje najwybitniejsi. Za pomoc, udzieloną dla walki z Miecławem, zwrócono księciu Rusi kilkuset ruskich jeńców Chrobrego – czyli że ich trzymano pod solidną strażą. Istniała więc taka – mimo wszystkiego, co tu się działo. Zastanawiające. Jakaś struktura porządku państwowego musiała się uchować…

Wnuka Bolesława Chrobrego, Karola, ożeniono z córką księcia kijowskiego, Jarosława, którego jeszcze za życia utytułowano „Mądrym". Karol dopiero później zapewne zyskał imię „Kaźmir", Kazimir", jako że zaprowadził, „kazał" pokój, „mir" w kraju Polan. Już chyba Polan. W łacinie – Casimir, dla nas – Kazimierz, dla historii – Odnowiciel, wkroczył z Niemiec z pięciuset rycerzami, których mu przydał cesarz Henryk III, już nie Sas, a Frank, z dynastii salickiej. Tych rycerzy, nawet pięciuset, może pięć „centurii", ówczesnych „setek" po sześćdziesięciu, nie starczyłoby jednak dla odbudowy „państwa". Dołączyć musieli krajowi zbrojni - z różnych grodów. Nie ze strachu. Czy w imię dawnej

lojalności, czy w reakcji na panoszące się bezprawie, dociec trudno... Uporać się z Miecławem pomógł ruski teść, Jarosław Mądry. Przysłał posiłki. Miecław zginął w rozstrzygającej bitwie, pewnie - zgodnie z obyczajem - walcząc na czele swych oddziałów.

Historia Polski była już chyba historią Polan, a przynajmniej – mogła nią być: w drugiej połowie XI wieku angielskie kroniki odnotują, że w kolejnym najeździe duńskim wzięli udział „Poleni". W kraju historia porzuciła jednak zniszczoną Wielkopolskę, rdzenną Polanię, przeniosła się wtedy do Krakowa, gdzie osiadł i skąd rządził Kazimir. Pamiętajmy jednak, że stolice ówcześnie przenosiły się wraz z dworami władców. Tak i przenosiła się historia polityczna...

Wielkopolska odradzała się ze zgliszcz parę dziesięcioleci. Ale metropolia arcybiskupia mieściła się nadal w Gnieźnie, kościelnej stolicy kraju, a jedynych ludzi wykształconych nadal grupował Kościół. Koronowali oni króla, kolejnego Bolesława, tak samo wojowniczego rabusia, nazwanego Śmiałym, ale i Szczodrym. Hołubił go akurat papież wielkiego, dramatycznego przełomu, Grzegorz VII. Ów toskański mnich, o germańskim imieniu Ildebrando, stoczył z cesarzem Henrykiem IV walkę o zwierzchność nad całym chrześcijańskim światem. Ekskomunikował w końcu Henryka. Cesarz, który potrafił krwawo stłumić wielkie powstanie Sasów, pielgrzymował pokutnie do bram włoskiego zamku Canossy... Musiał wyrzec się prawa inwestytury, czyli mianowania biskupów. Bolesław opowiedział się za papieżem, dzięki niemu właśnie mógł się ukoronować. Gościł przychylnych mu jego legatów, ci przywrócili mu arcybiskupstwo, odnawiali biskupstwa, ustanawiali nowe, tam gdzie chciał. Także - w Płocku. Nie udało im się tylko zaszczepić celibatu - mimo poparcia króla. W Polsce biskupi będą się żenili aż po wiek XIII.

Związki z Węgrami, zadzierzgnięte w czasach Adelajdy, żywe za Stefana, nie zanikły. Kolejni młodzi Arpadowie chronili się przed rywalami na dwór polski. Bolesław, onże „Śmiały", pomógł przyszłemu królowi, Beli I, wygrać tron w wojnie domowej, kiedy bratanka Beli poparli Bawarzy. Syn Beli, dla Krakowa - Włodzisław I, na Węgrzech - Laszlo I, wręcz chował się u Bolesława, ten swym wsparciem zapewnił i jemu potem tron węgierski. Laszlo I, przyszły święty, też opowiedział się za Grzegorzem VII. Jego bratanek, Koloman, z przydomkiem „Uczony", chowany w Krakowie, nauczył się trudnej sztuki czytania i siedział zatopiony w księgach. Jako król Węgier zrezygnuje w roku 1106 z prawa inwestytury, by zyskać poparcie papieża Paschalisa II...

Bolesław bez kłopotów powoływał arcybiskupa i biskupów; Rzym ich mu zatwierdzał. Zakony Polskę murowały. Krzepkie jak twierdza dźwigało się na skałach w Tyńcu pod Krakowem opactwo benedyktynów. W Mogilnie potężne opactwo z monumentalną, trójnawową bazyliką zbudowali bawarscy benedyktyni; uposażyli ich rycerze z rodu Pałuków, potomków księcia Sobiebora - brata św. Wojciecha. Osiedlił się on z rodziną i swymi ludźmi na pograniczu z groźnymi Pomorzanami...

Z czego się uformowała na sto lat więź z Lotaryngią, z wolnym miastem Leodium, Liege, którego szkoła katedralna stała się swoistym uniwersytetem, na razie nie wiemy. Przybyli stamtąd benedyktyni wznieśli równie pokaźną, trójnawową świątynię w Lubiniu, w sercu posiadłości możnych Awdańców. Awdańcy, czyli dla Skandynawów „Uchodźcy", byli oczywiście z pochodzenia Normanami - nie znalazłem takich Waregów w „moim" Nowogrodzie Wielkim, którego pasjonującą dla mnie historię narodzin i rozkwitu przez lata pisałem. Ojciec rodu musiał więc przybyć bezpośrednio ze Skandynawii. Ten Lubiń zostanie ośrodkiem nauk i kultury w Wielkopolsce XII wieku, z biblioteką pięknie

iluminowanych rękopisów i szkołą. Wszystkie budowle tych konwentów, przerabiane wprawdzie, przebudowywane, można i dziś oglądać...

Zakony chrystianizowały i ... polonizowały przyszłych Polaków. Przy klasztorach rozwijały się targi, ludzie tego samego języka handlowali ze sobą, nabierając poczucia związku, wspólnoty, wspólnej odrębności. I rycerze nawet obcego rodu zostają „Polanami", „Polonami". Jeden z Awdańców, któremu cesarz pokazywał swoje imponujące skarby, podobno zdjął z palca drogi pierścień i wrzucił do cesarskiej skrzyni, mówiąc - „idź złoto do złota, my, Polanie, kochamy się w żelazie". Ale wszyscy wiedzieli, że to mieczem, „żelazem", zdobywa się złoto...

Panowanie Bolesława zakończył tajemniczy dramat. Arcybiskup Gniezna, chyba obcokrajowiec (nie wiemy na razie nic o Polakach biskupach), sądził biskupa krakowskiego, o czeskim imieniu Stanisława, obwinionego o zdradę. Najprawdopodobniej - naturalizowanego Czecha. Być może znosił się on z rodakami, popierając królewskiego brata, żonatego z córką czeskiego Wratysława, Wrocława II. Sąd królewski skazał „biskupa zdrajcę" na „obcięcie członków". Szczegółów egzekucji nie znamy. W każdym razie wbrew późniejszej legendzie nie doszło do żadnego rozsiekania biskupa w kościele: w XIII wieku ekshumacja ukaże całość kośćca – dowiedzie to w oczach XIII-wiecznych współczesnych cudu zrośnięcia się członków i ten cud wesprze starania o kanonizację Stanisława...

Autor pierwszej kroniki polskiej napisał o „zemście" króla. Nikt Bolesława nie wyklął, wojna domowa to jedynie domysł, a przecie zwycięzca tylu wojen opuścił tron i kraj. Pupil zwycięskiego Grzegorza VII, pamiętając o losie Henryka, cesarza, wolał chyba uniknąć klątwy i podjął sam pokutę... Zamiast wezwać pomoc swego węgierskiego wychowanka, Laszla I, udał się do niego na Węgry. Zmarł podobno w Osijeku, wśród Chorwatów, w Slawonii, opanowanej przez Węgrów. Laszlo I chował podobno jego syna, Mieszka. Co byłoby wzajemnością całkiem logiczną.

Przejął władzę brat z imieniem raczej, niż przydomkiem czy też dopiero drugim imieniem, „Herman". Imię słowiańskie, a może i przydomek, nosił „Włodzisław", bo wtedy było „włodać", nie „władać". Od tego „Włodzisław" było i skrótowe Włocław, i Włocławek – jak udowodnił wielki Oswald Balzer, autor „Genealogii Piastów". Wersja „Władysław" pojawi się dopiero w XVI wieku. Otóż Herman nie mógł się doczekać syna ze swej drugiej żony, dwudziestoparoletniej Czeszki, Judyty.

Skomponował autor pierwszej polskiej „Kroniki", którego tu poznamy, cały poemat, poświęcony szczególnym okolicznościom urodzenia przyszłego Bolesława Krzywoustego. Anegdotę o nich, na podstawie tej kroniki, wyśpiewała sama Ewa Demarczyk do muzyki Zygmunta Koniecznego. W „Piwnicy" krakowskiej słuchali widzowie, jak to wysłano do Prowansji, do Saint Gilles, posłów z darami, by uprosili św. Idziego (Gilles'a) o potomstwo dla książęcej pary i – przed świętami Bożego Narodzenia 1086 r. urodził się Bolesław, przyszły Krzywousty (matka zmarła w parę miesięcy później).

Doradził swemu księciu takie poselstwo *Franco episcopus Poloniensis*, biskup „polski" - czyli wielkopolski (autor „Kroniki" rozróżniał całą Polskę i Wielkopolskę). Jest Franco w nekrologiach klasztoru benedyktynów w Lubiniu. U belgijskich uczonych, których czytałem, Franco to wręcz postać nietuzinkowa, ruchliwy propagator - po różnych zakątkach Europy - kultu św. Idziego. Niebagatelne wiązano z tym św. Idzim znaczenie: to jeden z pięciu „świętych uprzywilejowanych", *sanctorum privilegiatorum,* po których można się było spodziewać różnych łask i dobrodziejstw. Z tym „Frankiem" kojarzą się

rozmaite świadectwa źródłowe. W latach osiemdziesiątych XI wieku występuje - *Franco episcopus Bellegradensis*, czyli biskup Białogrodu. Niby to... węgierskie Veszprem, ale tu historiografia dotychczasowa zeszła w poszukiwaniu realnych śladów na manowce: ów „Bellagrad" (Białogród) to nie Belgrad, ani – jak chciał zacny francuski historyk, ojciec Pierre David - pomorski Białogard nad Parsętą. Jest nim po prostu wspominany tu już pierwotny, jeszcze wielkomorawskiej, odziedziczonej nazwy Białogród Stołeczny, czyli Królewski, po węgiersku - Szekesfehervar, w połowie drogi między Balatonem a Budapesztem. Tam pochowano św. Stefana i tam w XIII wieku „złota bulla" Andrzeja II wyznaczy u grobu św. Stefana doroczne zgromadzenia węgierskiej szlachty.

Myślę, że to od „Franka" autor „Kroniki" usłyszał całą historię; coś nie bardzo mi się widzi, by sam dwór chlubił się dość żenującą historyjką o bezpłodności książęcego małżeństwa. Autor „Kroniki" ubrał kłopoty rozrodcze księcia w formę, która przesłoniła je aktem łaskawości Boskiej...

Ojciec, czyli Herman, ufundował wtedy kościół św. Idziego, z piaskowcowej „kostki romańskiej", architektury szlachetnie prostej i skromnej. Co jednak zaskakujące, to lokalizacja kościoła - w Inowłodzu, targowej osadzie nad Pilicą! Czy tam księżna odkryła swą ciążę lub może rodziła podczas jakiejś podróży? Na Wawelu w Krakowie już nie kończono katedry św. Wacława, patrona Czech, nie była już potrzebna - czeski ojciec Judyty od cesarza Henryka IV dostał koronę, ale Herman Włodzisław, Włocław, przestał mu płacić trybut ze Śląska...

Jedno warto zauważyć: to „państwo", po odejściu Bolesława drugi raz bez władcy, nie rozpadło się. Nie wiemy, co je wiązało. Tak przyjazne polskim władcom Węgry rozdzierano wtedy kilka razy na strzępy. Hermana historiografia polska też nie poważa, to postać nieledwie marginesowa, bez żadnych dających się przedstawić zasług dla kraju. Zygmunt Konieczny i Ewa Demarczyk przysporzyli mu popularności. Niestety, nawet w oczach pisarzy historycznych ten piękny utwór nie ratuje go przed lekceważeniem. A przecie trzeba to 23-letnie panowanie docenić: 23 lata pokoju owocowały porządkiem, dobrą gospodarką i – szkołą Ottona z Bambergu, znającego co najmniej język Serbów, szkołą elity państwa. Prof. Henryk Samsonowicz znajdzie w tych latach pewne niezwykłe wręcz przemiany...

9. JAK RODZIŁA SIĘ POLSKA

Wedle mojego dzisiejszego rozeznania, Polska jako tożsamość, poczucie tożsamości, rodziła się właśnie wtedy, z końcem XI wieku i na jego przełomie z wiekiem XII – w czasie, kiedy nic się właściwie u nas nie działo. I trudno przypisać Hermanowi, o słowiańskim imieniu Włodzisława, jakiekolwiek zasługi w tym względzie. Gorzej, nie ma nawet komu przypisać tych zasług. Nie wiemy, jak to się stało, kto i co w tej mierze zdziałał.

Europejskie tło niczego nie wyjaśnia. Wiek XI dla tak wielkiego mediewisty jak francuski uczony, Georges Duby, był wiekiem postępu. Trudno jednak w ówczesnej Europie ten postęp znaleźć. Kościół zdołał trochę powstrzymać, bo nie opanować!, niszczące, ciągnące się latami na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, wojny prywatne, czyli wojny między rodami możnych. W takiej prywatnej faktycznie wojnie książę Normandii, Wilhelm, żaden już Norman, bo mówił tylko po francusku, w 1066 r. wylądował ze swymi ludźmi w Anglii, pobił jej króla i został ojcem dynastii właścicieli Anglii, którzy do XIV wieku nawet nie nauczą się po angielsku! Czytamy kapitalne kryminały o przygodach zakonnego detektywa z XII wieku, braciszka Cadfaela, weterana wojen krzyżowych, dzieła pióra Ellisa Petersa, czyli cudownej historyczki brytyjskiej, Edith Pargeter, Cadfael działa w „państwie" angielskim, które próbują posiąść różni pretendenci. Otóż nie, nie było żadnego „państwa angielskiego", lecz własność spadkobierców Wilhelma „Zdobywcy", który po prostu obrabował następcę Edwarda Wyznawcy.

Z końcem wieku rycerstwo Zachodu Europy, zwłaszcza – Francji, rozmnożyło się ponad możliwy upływ krwi w tych prywatnych wojnach. I w roku 1095 papież Urban II, były francuski przeor Cluny, zainicjował krucjaty. Wybuchł w odpowiedzi szczery entuzjazm chciwości – zapowiadało się, że w szlachetnej walce o grób Chrystusowy będzie można dosięgnąć legendarnych bogactw Saracenów. Kiedy pobożni, ambitni straceńcy ruszyli, każda okazja do awantury była dobra - w Nadrenii, czyli w Lotaryngii, pierwsi krzyżowcy w roku 1096 napadli... dzielnice Żydów jako „niewiernych". Obronili je zbrojni miejscowych biskupów. Historyk wypraw krzyżowych, Steven Runciman, nie wątpił o gorących religijnych zapałach niewypłacalnych dłużników. Z Pragi po takich awanturach muzułmańscy kupcy żydowscy, nadal zresztą handlujący niewolnikami, przenieśli się ze swymi pieniędzmi na Węgry i do Polski. Dwór polski odstraszało od krucjaty doświadczenie Kolomana Uczonego, władcy Węgier po znakomitym stryju, Laszlu I. Przed krzyżowcami zorganizowanymi szły ziemiami węgierskimi pełne zapału, awanturnicze, pobożne zbieraniny Piotra Pustelnika i Waltera-bez-Mienia, rycerze pomniejszych rodów i - po prostu - uzbrojony lud. Też chciał mieć coś z tego. Dwa razy poskramiał ich Koloman, reszta zginie już za Bosforem, pod Niceą, w bitwie z Seldżukami, Turkami, którzy przywędrowali z głębi Azji.

Krzyżowcy w zdobytym Lewancie tworzyli własne państewka, walczyli w nich o władzę intrygami, wiarołomstwem i okrucieństwami. Późniejszy apostoł krucjat, Bernard z Clairvaux, próbował rzekomo poddać tych rozbójników kulturze „rycerskiej", ale wystarczy poczytać jego pisma, by stracić złudzenia: wzywał do mordowania pogan bez pardonu.

Dobrobyt pozbawił cywilizację arabską sił żywotnych, a wykończył ją nawrót muzułmańskiego fundamentalizmu. Potem przyjdą owi Turcy Seldżucy. Kraje byłych arabskich kalifatów pod władzą Seldżukidów będą nadal górowały nad krzyżowcami

odzyskaną cywilizacją i kulturą. To one ambitnych, a zachłannych europejskich zbójów, zwanych „Frankami", uczyły rycerskich obyczajów. W pamięci Europy jako legendarny symbol rycerskości przetrwa muzułmański sułtan Egiptu, Saladyn, Kurd z pochodzenia, sunnita z wyznania. Kiedy Saladyn umrze, walczący z nim, równie legendarny rycerz, Ryszard Lwie Serce, zabierze się do domu... Zabrakło mu przeciwnika jego miary. Europa zapamiętała ten gest, choć nie umiała go sobie wytłumaczyć.

Na półwyspie Pirenejskim resztki kalifatu Kordowy, rozsypanego w małe państewka, podbijali od XI wieku pół-dzicy jeszcze w porównaniu z nimi hiszpańscy chrześcijanie. Będą wreszcie oglądali mauretańskie, sięgające chmur „alkazary", zamki, w Segowii i Sewilli, z ich nie do uwierzenia pięknem. To one, niedostrzegane w historii, zrodzą zapewne późniejsze strzelistości gotyku.

Z ziem przyszłej Polski nie odnotowaliśmy żadnego krzyżowca. To nie przypadek. Upokorzonego Canossą cesarza Henryka IV zwalczał i następca Grzegorza VII, papież Urban II, tymczasem siostrę cesarza, Judytę Marię, wdowę po węgierskim Salomonie, pojął za kolejną, trzecią żonę - Herman, władca snadź dostatecznie potężny, by wart był cesarskiej siostry. Wolno przypuszczać, że na ziemiach przyszłej Polski pamięć rozprzężenia budziła lęk, dlatego nie wierzyłem w wojnę domową przeciw Bolesławowi Śmiałemu; Laszlo I przysłałby z Węgier swojemu opiekunowi chętną pomoc. Czy za panowania spokojnego Hermana jego wojewoda, Sieciech, próbował to państwo rozbić, jak to się działo na Zachodzie? Był z pewnością bardzo ambitny, bił własne denary. Denar Sieciecha, w otoku z imieniem *Zeteh*, jak to zapisywano po łacinie, waży ok. 1 grama, średnicy ma 18 mm, nie ustępuje więc rozmiarami denarom Bolesława Chrobrego, a jest znacznie większy i cięższy od denarów samego Hermana. Nie wierzę jednak w potęgę Sieciecha: wygnano go, a gdy wrócił, oślepiono. Wśród puszcz tego „państwa" panował zatem spokój. Z końcem XI wieku mądry mnich z Bambergu, Otton, znający zapewne jak wielu ówczesnych Sasów język serbski tamtejszych sąsiadów, świetnie opanował polszczyznę i prowadził szkołę przy dworze, a do niej, co zanotował jego saski biograf, „rycerze i możni tego kraju na wyścigi oddawali na naukę swoich synów". Wychował spory procent przyszłej elity kraju, podobnie jak szkoła katedralna w Krakowie. Na dworze polskiego księcia uczył się, jak wiemy, i czytał księgi przyszły węgierski Koloman Uczony, stąd go wezwał do współrządów starzejący się stryj, Laszlo I, w Polsce znany jako Włodzisław. Czy szkoła Ottona przygotowała proces przemian?

Sam książę polski najchętniej rezydował - w Płocku na „Mazoszu" (bez „w " podobno, bo to było chyba - może ironicznie - od „mazi", „mazu", dziegciu, produkowanego w lasach). Na Mazoszu co najwyżej byłby nie „Tomaszów" ani „Częstochowa", tylko „Tomaszawa" albo „Częstochawa", jak Nieszawa czy Warszawa. W dzielnicy jeszcze nie tak dawno odrębnej mówiono tą samą polszczyzną, co najwyżej z gwarowymi odmianami wymowy („dej" zamiast „daj"). Drugi syn Hermana, kolejny Bolesław, za najważniejszy będzie miał Kraków, dawne miasto Wiślan, ale imieniem przyszłego narodu pozostanie imię Polan. Nie wiemy, jaki mechanizm społeczny kształtował wyobraźnię mieszkańców przyszłej Polski. Niemieccy książęta i hierarchowie kościelni jako elektorzy, wyborcy królów i cesarzy, w swej mądrości stworzyli przyszłe Niemcy, ale ich spadkobiercy pozostaną przez wieki niezależnymi panami swych ziem, zaś ich poddani będą się utożsamiali nie z cesarstwem, a z danym „swoim" państewkiem. Do tego przyszłych Niemców, i przyszłych Francuzów, różniły dialekty, czasem aż po wiek XIX. Sasi nie rozumieli starego wysokoniemieckiego z południa, a *plattami*, narzeczami lokalnymi, nie zawsze zrozumiałymi dla innych dzielnic, mówi się do dziś. We Francji niemal każda okolica mówiła swoją francuszczyzną, z różną wymową, jak podał Duby, tych samych głosek. W

Prowansji panował język prowansalski, język trubadurów, który mógł wziąć górę nad francuskim, pokrewnym, ale odmiennym. W dawnej celtyckiej Bretanii do dziś kilkaset rodzin zna celtycki bretoński, dla Francuzów niezrozumiały, na południu pielęgnują swój trudny język Baskowie, zasiedlający niegdyś całą dzisiejszą Gaskonię.

Być może kleił Polskę wspólny język Wielkopolski, Małopolski i Śląska – bo gdyby Lędyce z Wielkopolski dopiero zasiedlali Małopolskę, archeologia by to odkopała. W XI stuleciu, jak się wydaje, plemiona tych krain bez trudu porozumiewały się też z rozmaitymi „Mazoszanami".

Z Czechami Polacy mimo różnic języka przez wieki też porozumiewali się bez większych trudności. Dzisiejsze imię „Polski" jest, jak wspomniałem, z czeskiego źródła, to Czesi państwo „Polan" nazywali „Polsko", jak i dziś. Pierwotnie była to „Polania", tak zapisze jej imię w arabskiej trawestacji uczony al-Idrisi jeszcze w połowie XII wieku, a będzie „Polanią" jeszcze w XIII wieku. Pływali z wikingami na Anglię, przypomnijmy, „Poleni". I to chyba dzięki Czechom pojawią się oni w wersji czeskiej z końcówką „-cy" jako „Polacy"; analogicznie brzmiało to już w imionach plemion Słowian zachodnich, zwano je – Lutycy czy Wielecy (po naszemu, jak wspominałem, Wilcy). Jeszcze nasi XIII-wieczni władcy wielkopolscy będą „Przemysłami", „Przemysławami", po czesku. W XVI wieku nasz pierwszy znakomity prozaik-publicysta, Łukasz Górnicki, poświadczy, że język czeski „u nas jest wzięty i policzony za najcudniejszy".

Wielki polski mediewista, Henryk Samsonowicz, zwrócił uwagę na pewne wyjątkowe, zagadkowe zjawisko – ci Polanie żywili prawdopodobnie ambicję wyodrębnienia się, zaznaczenia swej odrębności, nawet swoim językiem. W końcowych dziesięcioleciach XI wieku utrwalił się na ziemiach Polski chrześcijański podział czasu, na tygodnie i miesiące – w czym nie było niczego specjalnie dziwnego. Wszelako nazwy dni tygodnia i miesięcy powstały, co zdumiewające, polskie! Jak to się stało, nie wiemy. Francuzi, Niemcy i Anglicy, narody „starsze" chrześcijańskimi obyczajami, nie mówiąc już o Włochach i Hiszpanach, ba, także - Rosjanie, miesiące nazwali trawestacjami nazw łacińskich... Sama przemiana obyczaju, z innym porządkiem codzienności, wymagała stabilizacji; nudny czas władzy Hermana to umożliwiał. Ale: tylko „sobota" jest z łacińskiego *sabbata* (w liczbie mnogiej), święto, z hebrajskiego *szabatu*. „Niedzielę" w naszych czasach kojarzymy z „nie dzieleniem" tygodnia, a poszło to od nakazu „nie działania", od zakazu pracy w dzień świąteczny, przyjętego w chrześcijaństwie od VIII wieku. Z miesięcy tylko „marzec" i nasz ukochany „maj" dała nam spolonizowana łacina, wszystkie inne są polskie. I wszystkie dzielnice przyszłej Polski wzięły do swego codziennego słownika te same terminy - prawdopodobnie wymieniając na targach towary i słowa. Niemniej pozostaje pytaniem - kto to wymyślił i jak rozpropagował?

Wystąpi teraz jedna z najciekawszych postaci naszej historii. Nazwano go w XVI wieku „Gallem Anonimem". To autor owej pierwszej kroniki polskiej - tajemnicza dla potomnych osobistość, znacznie większego wymiaru niż samo autorstwo kroniki, jeden z największych pisarzy swojej epoki - w Europie, nie tylko w Polsce. I współ-ojciec polskiej myśli politycznej, która w dużej mierze określi przyszłe dziejowe drogi Polski. Nie spotkałem równego mu wśród kronikarzy zachodniej Europy XII wieku, których czytałem, góruje i nad uważanym za najwybitniejszego z nich, Hildebertem z Lavardin. Od lat młodzieńczych uważałem jego anonimowość za swoiste wyzwanie dla nauki. Dziś sądzę na podstawie moich poszukiwań, że był to późniejszy biskup Kruszwicy, Baldwin. Ponad sto lat przede mną wskazał go, samą dedukcją logiczną, Maksymilian Gumplowicz (wielkich zdolności młody uczony, który... w zawiedzionej miłości do Marii Konopnickiej popełnił

samobójstwo). Ja natomiast znalazłem po prostu w Lotaryngii skłóconego z Henrykiem V opata, imieniem Baudouin, „Bodo", który „udał się do Polonii" (w zapisie lotaryńskim, choć może po wiekach poprawionym). Imię nosił kolejnych, walecznych książąt Flandrii. W Bambergu zapiszą go skrótowo jako „Vicbodo", jako wicehrabiego Bodo, tak mógł się przedstawić znaczny opat z owego niezależnego, walońskiego, biskupiego państewka leodyjskiego, lennego wobec cesarza. Henryk V nie był jeszcze cesarzem, ale od 1106 r. – królem Niemiec.

Żywił Bodo – jak i *Franco, episcopus Bellagradensis* - nabożeństwo specjalne do Świętego Idziego. Pod wezwaniem tegoż imienia klasztor w lotaryńskim wtedy Liege, Leodium, opiekował się biednymi, chorymi i pielgrzymami. Krzewił Bodo kult św. Idziego już po drodze, w Bambergu, inspirował tam pielgrzymkę do owego Saint-Gilles, św. Idziego, w Prowansji. Znajdziemy gdzieś może korespondencję pisarza z jego braćmi zakonnymi, bo trudno sobie wyobrazić, by nie utrzymywał z nikim kontaktów. A być może dzięki niemu przybyli później inni wybitni Lotaryńczycy.

Miał przyjaciela w kanclerzu księcia, biskupie Michale z rodu Awdańców. Traktował go, jedną z najważniejszych osób w państwie - jak kolegę, jako „współpracownika". Tak mógł zwać biskupa tylko człowiek mu równy. Biskup. Oddaje mu chwałę inicjatywy, inspirację, zowie go *opifex*, czyli „sprawca dzieła". Z nim, co z tego wynika, ustalał Baldwin, i to na wieki, ideały polityczne dla swej przybranej ojczyzny. Zostali obaj razem ojcami polskiej myśli politycznej.

Kiedy Baldwin informuje, że pisze „Kronikę", by nie stracić wprawy w dyktowaniu, informuje nas o tym biskup, który się dyktowaniem, czyli układaniem dokumentów, doprawdy zajmować nie musi... Kiedyś to może robił. Ale nie robi. Jeśli robi teraz, to chciałby, żeby go doceniono. Własna historia warta była biskupstwa. Tak się płaciło za wprowadzenie władcy i jego państwa do historii.

Paweł Jasienica zwrócił uwagę, że pisał - dyktował - „Kronikę" pisarz doświadczony, o umyśle w pełni dojrzałym, świadom swej sztuki, kontrolujący każde swe słowo. Mistrz. Człek światowy. Ba, wręcz wyrafinowany w swoich grzecznościach. Ów *peregrinus et exul*, pielgrzym i wygnaniec, to zwrot utarty, znałem go jeszcze z deklaracji papieża Sylwestra II, bohatera mojej „Wiosny Europy". Kiedy Baldwin tłumaczy swe dzieło, pisząc, że nie chce jeść darmo polskiego chleba, kiedy powiada, że chciałby swoje dzieło zawieźć klasztorowi, gdzie śluby składał, to również kokieteria. Kiedy przymawia się o nagrodę od księcia jak skromny sługa, też nie musimy rozumieć tego dosłownie.

Baldwin słuchaczy „Kroniki" (czytać wszak ówczesne pismo niewielu umiało) uczył starożytnego Rzymu: „do sławy i godności doszedł Bolesław (Chrobry) sprawiedliwością i bezstronnością, tymi samymi cnotami, które początkowo zapewniły wzrost potędze państwa rzymskiego". To „początkowo" oznaczało po prostu republikę Rzymu, czasy, które opisał starożytny Salustiusz, cytowany w „Państwie Bożym" św. Augustyna. Baldwin i Michał musieli znać dzieło Augustyna. Dziś szuka się w nim podstaw teologii, z całą jej wymyślnością słów i pojęć, tymczasem św. Augustyn to świetny publicysta! I w pierwszych księgach on, patriota upadłego Rzymu, sławi nawet jego podboje, wykłada, słowami Salustiusza i Cycerona, jak wspaniałym państwem była republika Rzymu! Republika, nie cesarstwo...

Baldwin rozumiał republikę szeroko. Tak kwitował opowieść o legendarnym zaproszeniu Popiela i gości jego dworu przez „kmiotka" Piasta:

„Zaproszony książę wcale nie uważał sobie za ujmę zajść do swojego wieśniaka. Jeszcze bowiem księstwo polskie nie było tak wielkie, ani też książę kraju nie unosił się jeszcze taką pychą i dumą, i nie występował tak okazale, otoczony tak licznym gronem wasali".

Mógł to napisać, pardon – podyktować, tylko biskup, niezależny już od łaski księcia. Na pewno nie człowiek dworu… Czy sam Baldwin był plebejskiego pochodzenia? Możliwe. Jest bardzo wrażliwy na krzywdy wieśniacze, na niesprawiedliwość i nierówność, miło mu odkryć słuchaczom, że dynastia wywodzi się z chłopskiego rodu, miło skwitować awans „prostego żołnierza" do kręgu wysoko urodzonych, choć zdarzają mu się jednak wyrazy pogardy wobec niewolnych, wobec wyzwoleńców i wobec niesłusznie wyniesionych ponad swój stan.

Parokrotnie wróci w „Kronice" lud jako partnerzy władcy, gotowi z nim bronić *patriam*, „ojczyznę". Jak Rzymianie… U Baldwina Bolesław, zwany Krzywoustym, podczas wojny z cesarzem Henrykiem V wzywał swoich ludzi, by razem z nim albo zginęli „za wolność Polski", *Polonii*, albo żyli dla niej. Nigdzie tak wówczas poddanych nie mobilizowano do walki. Czy Baldwin jedynie przypisał Bolesławowi zwrot z łacińskich lektur? Nie przypadkiem „wywyższa" kraj, który „nigdy nie został przez nikogo ujarzmiony w zupełności". Obrońcy dolnośląskich grodów walczyli z najezdniczą armią cesarza Henryka V tak zaciekle, jak bronili swych siedzib przeciw Polanom Pomorzanie – których Baldwin otwarcie za to podziwiał. I przyszli Polacy na parę wieków zostaną nowymi Rzymianami. „Rzymskie" cytaty ze św. Augustyna będą wracały w piśmiennictwie polskim aż po wiek XV!

Widać, że ci Polanie, *Poloni*, to już nie sami opłacani, zawodowi rozbójnicy z drużyn Bolesławów. Czy to szło ze swym władcą w imię kraju i zdobyczy rycerstwo osiadłe na swoich włościach, pokolenie ukształtowane w szkole gnieźnieńskiej i krakowskiej? Czy już rozumieli, co też znaczy ta *patria*, którą operuje Baldwin? Polskie słowo „oćczyzna", od „ociec", pojawi się w zapisach źródłowych dopiero w XVI wieku, jeszcze Górnicki odradza używać słowa „ojczyzna", „bo ojczyzna częściej się rozumie to, co gruntu komu ojciec jego zostawił", woli łacińskie *patria*, ale pojęcie *patriae* jako „ziemi ojców", nawet jeśli nie „Polanii", chyba grubo wcześniej coś już znaczy dla wszystkich. Zasieki w tych wojnach zwala przecie na gościńcach przez lasy nie elita, lecz ludzie miejscowi. Prawda: zasieki miały chronić przed obcymi, przed groźbą zniszczeń, gwałtów i rabunków, ale robił to - lud, nad który tak wyższym zdawał się sobie książę. Lud, którego głos wedle Baldwina „zawsze zwykł zgadzać się z głosem Pańskim".

Baldwin, człowiek inteligencji niezwykłej i przekonań jednoznacznych, mistrz wymownych aluzji i niedopowiedzeń, z wychowawczymi ambicjami publicysty, nie zmyślał. Pisał wszak dla tych, co pamiętali. Najwyraźniej wszelako razem z Michałem zdecydowali się nie opowiadać, jak naprawdę rodziło się to „państwo". Ani słowa o sprzedawaniu pobratymców jako niewolników, czyli o tym, czego archeolodzy dociekli w XX wieku. O tym, że Popiela zjedli jacyś Myszkowie, Miśkowie, mowy nie ma. A przecie musieli obaj znać tę legendę – lub fakty, które legenda strawestowała…

Najwyraźniej chcieli pewne wątki przeszłości usunąć z pamięci – ma być jak wszędzie. Wszyscy wtedy, jak Europa długa i szeroka, od północy Normanów po zdobyte przez nich południe przyszłych Włoszech, kochają wojować, zdobywać, palić, niszczyć, a zwłaszcza – rabować. I wyśpiewują wojenną chwałę mordów i grabieży. Nestor, współczesny naszemu Lotaryńczykowi pierwszy kronikarz Rusi, innej, humanistycznej, powiedziałbym, kultury,

opowiada, on przynajmniej z abominacją, o koszmarnych wyczynach Rusów za morzem Czarnym… Tu nie mamy nic o takich samych wyczynach Pomorzan. Zresztą Baldwinowi, a jak rozumiem, także kanclerzowi Michałowi, brakuje zupełnie wyobraźni morskiej. Morze ówcześnie to naprawdę nie „ryby w oceanie pluskające", ani łowione w nim „skarby i potwory", to handel bądź łupy z rabunkowych wypraw. Bogactwa Pomorzan, kuszące rycerzy Krzywoustego, brały się z permanentnych grabieży, którymi od dawna nękali osady potomków wikingów u skandynawskich brzegów – stąd prawdopodobnie tyle obcych monet w nadmorskich znaleziskach archeologów. Baldwin z Michałem po prostu chyba o tym nie wiedzieli. Jak dzisiejsi komentatorzy „Kroniki" nie wiedzą po 900 latach, co to za „wyspy" sprzedawały niewolników, „żywy towar" – a to Gotlandia i Wyspy Alandzkie, gdzie archeologia znajdowała istne złoża *dirhemów,* parokrotnie większe niż w Wielkopolsce. Tamtejsi duńscy wikingowie wyludniali, jak wspominałem, ziemie od dzisiejszej Finlandii aż po Prusy.

W przyszłej Polsce gromadzono *dirhemy* jako lokaty raczej, niż środki płatności. Dla obrotu wewnętrznego były za drogie, przy upowszechnieniu targów nie dało się nimi regulować drobnych należności. I też denar Bolesława, zwanego Krzywoustym, bity w drugiej połowie jego panowania, średnicy miał zaledwie 13 mm, a ważył tylko 0,68 g. Można było nim zapłacić za bochen chleba czy ćwierć wieprza. Ilustrował jednak, co myślą o sobie władca i jego ludzie - na awersie denara oglądamy walkę księcia ze smokiem…

Ukochany Baldwina Bolesław nie walczy w kronice ze smokiem, ale co rusz „niszczy żelazem opornych", „wyprowadza obfitą zdobycz i jeńców, a miejsce samo zamienia w pustynię". Autor tłumaczy się, że nie spisuje Ewangelii, lecz wojny. Czuły na koloryt i satysfakcje wojenne, sam chyba nie stronił od miecza - Czechom wytykając, że „nawykli do życia z łupów i grabieży". U Baldwina, który z zapałem propaguje walkę z poganami, nie ma żadnych nawet aluzji do wojen krzyżowych – a jest to przecież epoka krucjat, kiedy świat chrześcijański żyje ich przygodami, powtarzając urosłe do miary mitów opowieści, kronikarze spisują dzieje wypraw na bieżąco i w skryptoriach klasztorów powiela się je w setki egzemplarzy, świat rycerski co rusz ogarnia płomień wiary ze świątobliwą perspektywą fantastycznych bogactw do zdobycia.

Niezorientowanym wydaje się, że w „Kronice" jest religii dość mało. Ale autor to czysty „gregorianin", wie, że dostojnikom Kościoła należy się wyższość wobec władców świeckich. Po wstępie to wykładającym trzeba rozumieć nieco inaczej opinię, że w tym, co świeckie, wypada służyć władcy… Z pozycji księcia Kościoła autor nie musi już co chwila składać wyrazów czci Panu Bogu; Pan Bóg sam zna swoich. A tu się szanuje biskupów, kościelne autorytety, zakonne osiągnięcia, wszystkie one budują państwowość. Nie do pomyślenia byłby tympanon, który na XII-wiecznym portalu kościoła św. Hilarego w burgundzkim Semur-en-Brionnais ukazuje papieża, umierającego na siedząco… w wychodku, z diabłami unoszącymi jego złą duszę (mówiąc nawiasem, podejrzewam, że tympanon był starszy, późno-XI-wieczny, i że to była satyra na tak autorytarnego Grzegorza VII).

Baldwin odsłania za to inteligentnie, czego ta „Polonia" winna się w jego pojęciu, prawego chrześcijanina, wstydzić… Tak, wstydzić, powtórzyło się tu bowiem coś, co zdarzyło się wcześniej na Węgrzech. Wiedziano w Krakowie, co… Zadziwiające związki Polski z Węgrami, inaczej niż z Czechami, utrzymywały się od wieku i utrzymają się dalsze parę wieków. Z pewnością wiedziano więc, jak się urządził Koloman po śmierci Laszla I w roku 1095 i jak sobie układał stosunki z bratem, Almosem, zdolniejszym akurat wojakiem. Koloman wykończył bana Chorwacji i zajął jego miejsce, poddając sobie Chorwację w 1102 r. „unią personalną". Wypędził stamtąd Almosa, ten w końcu uciekł do Polski,

gdzie też się był jako chłopiec edukował. Kiedy wrócił i podobno spiskował, Koloman Uczony skazał go na śmierć, po czym okazał mu łaskę i tylko wyłupił oczy. Także - jego synkowi, małemu wtedy Beli, chowanemu do tej pory w Krakowie. To będzie przyszły Bela II Ślepy, któremu zostawi tron w 1131 r. - bezdzietny syn Kolomana, Stefan II. Być może to Koloman, starszy od Bolesława, doradził mu, co zrobić z przyrodnim starszym bratem, Zbigniewem, którego sam dobrze znał z Krakowa. Bolesław pozbawił Zbigniewa jego Mazosza, wygnał, a na koniec, pochwyciwszy jako winnego spisków z cesarzem Henrykiem V, także oślepił.

Koloman i Bolesław nie zabili swych braci. Zgodnie z rutyną czasów poddali ich jedynie okrutnej kaźni. Cóż, taka to była cywilizacja. Ale nie jego, Baldwina! Z demonstracyjnym uznaniem opisywał… pokutę Krzywoustego za tę zbrodnię. Nie ukrywając, że to zbrodnia. I ani słowa o Kolomanie. Baldwin, co wynika z samego tekstu „Kroniki", żywił do Węgier i Węgrów nieskrywaną sympatię, a tu nic o wielkim intelektualnym przedsięwzięciu Kolomana, o kodyfikacji, o 47 artykułach jego prawa. Zebrał je, warte ponadczasowego uznania, mnich Alberyk – nie uznawało to prawo procesów o czary, ograniczyło „sądy boże", nie ordynowało kary śmierci za kradzież nawet kury, jak stary Laszlo I, dla „Kroniki", zaznaczmy, „Polak z obyczaju". W Polsce nie spisywano prawa, rządziło prawo zwyczajowe. Dość rozsądne. Znamy je, spisane w XIII wieku. Bez krwawej zemsty rodowej - co było starym postępem, pewnie już z X wieku. Niemieckie plemiona stosowały *wergeld*, Rusowie Nowogrodu Wielkiego *wirę*, odpłatę za śmierć, nawet nieumyślnie zadaną, odszkodowanie, wyrównujące stratę. Prawo Polan wymagało „główczyzny", czyli „zagłównej". Jak wszędzie, płacił i właściciel byka, który kogoś kopnął śmiertelnie… Co najwyżej ujętego zaraz „głównika", zabójcę, jeśli zabił umyślnie, książęta ścinali. „Sądów bożych" w Polsce nie znano i chyba nigdy nie uznano.

Krzywousty jako pierwszego biskupa dla Pomorza nadwiślańskiego, na pograniczu z nim, w centrum handlu, w Kruszwicy, powołał w roku 1111 właśnie Baldwina, czyli wedle Maksymiliana Gumplowicza i moich znalezisk - „Galla Anonima". Pod jego, Baldwina, patronatem sprowadzeni do Kruszwicy inni benedyktyni postawili z granitu i miejscowego piaskowca w ciągu kilkunastu lat bazylikę - kolegiatę świętych Piotra i Pawła. Utrzymał się z niej trójnawowy układ i pierwotny kolumnowy portal. Także - po blisko 900 latach tytuł „katedry". Leży w niej i zmarły w 1128 roku biskup Baldwin.

Na terenie Polski nie uchowała się żadna oryginalna wersja „Kroniki". Musiała jednak, pierwotnie przepisywana po wielekroć, kształtować wyobraźnię czytelników i słuchaczy. Sposób myślenia Baldwina i Michała przejmą, jak się przekonamy - biskupi. I nadal - benedyktyni. Uczyli młodzież łaciny, wiedzy o ówczesnym świecie, liturgii i śpiewów kościelnych. Uczyli też zapewne - owej tożsamości. Polskiej i rzymskiej. Inaczej trudno byłoby zrozumieć dalsze polskie wieki…

10. GOSPODARNOŚĆ ZAMIAST RABUNKU

Tej epoki historycy europejscy do tej pory na ogół nie lubili. Żyli swoimi XIX- i XX-wiecznymi państwami, jedynymi dla nich ważnymi podmiotami historii - co łatwo dostrzec we wszystkich podręcznikach, po całej Europie. Z tego też punktu widzenia nawykli oceniać „epokę rozbicia feudalnego". Wielu zaś historykom polskim kojarzyła się ta epoka wręcz ponuro, choć nie bardzo sensownie, z ... rozbiorami XVIII wieku. Tymczasem owo „rozbicie dzielnicowe" nigdzie, w żadnym zakątku Europy, nieszczęściem nie było. Mijały kolejne triumfalne dekady zdobywców-grabieżców, a wszystkie ówczesne „państwa" Europy funkcjonowały bez silnej centralnej władzy, bez żadnej zorganizowanej ogólnokrajowej administracji, która by ograniczała inicjatywę poddanych i żywiła ambicję kontroli wszystkiego, co się da kontrolować. Te średniowieczne administracje, mówiąc między nami, spełniały jakby ideały roli państwa – ściągały daniny, w naszym rozumieniu – podatki, i pilnowały porządku, tępiły naruszających spokój buntowników, zbójców puszczańskich i miejskich złodziei. Spełniały te swoje role czasem przesadnie – tępiąc i grzechy przeciwko wymaganiom Kościoła. Nie cieszyły się pełnym zrozumieniem i poparciem, stąd kult i przekorna legenda angielskiego Robina Hooda... Nie znajdziemy go w owych znakomitych opowieściach o braciszku Cadfaelu, byłym krzyżowcu, zakonnym detektywie z pierwszej połowy XII wieku, jednak obraz jego świata ukazała pani Pargeter bardzo precyzyjnie, sprawiedliwość rzadko szukała pomocy aż w królewskim ramieniu – zwłaszcza, że nie było w Anglii do końca wiadomo, kto jest królem, właścicielem Anglii.

Na owe „państwa", jeśli już gdzieś w ogóle wykształciło się poczucia związku jak w Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego, składały się małe królestwa, księstwa, ksiąstewka, hrabstwa, marchie, palatynaty, biskupstwa, opactwa, wolne miasta i samodzielne majętności rycerskie, o terytoriach jeszcze drobniejszych. Zdarzali się władcy, którzy siłą swych wojennych oddziałów potrafili zmusić swoich poddanych do posłuchu czy też zapewnić sobie zwierzchność wobec sąsiada i wymusić na nim jakiś trybut. Nie było to regułą. Samodzielność lokalna sprzyjała nieskrępowanemu rozwojowi. We Włoszech, których nie zjednoczyli ani dawni królowie Longobardów, ani cesarz „rzymski", małe miasta dzięki obrotności handlowej urastały do rzędu potęg ówczesnego wolnego świata. Nie rozwinęło się do takich pozycji żadne z miast cesarstwa bizantyjskiego czy też wspaniale rozwiniętych, tolerancyjnych i otwartych kalifatów seldżuckich, choć większe i ludniejsze. Te wolne miasta Italii finansowały wyprawy krzyżowe – po solidnej kalkulacji kosztów własnych i spodziewanych zysków. Na ogół nie traciły na nich.

Ta historia, historia wielkiego handlu i służących mu wojen, toczyła się daleko od *regnum*, którego historię opowiadali Baldwinowi starsi duchowni. Wedle nich, i dla niego także, pozostawało ono królestwem od czasów Ottona III, czy się władca koronował, czy nie. Od paru wieków zresztą każdego potężnego władcę w Europie kurialiści papiescy, autorzy korespondencji papieża, tytułowali *rex*, czyli królem, a jego państwo – *regnum*, królestwem. Tak się zwracali i do władców Polski (władcy Akwitanii tytułowali się „książętami królestwa Akwitanii", bo tę kiedyś Karol Wielki, wprawdzie na krótko, zrobił dla swego syna królestwem).

Arcybiskupowi gnieźnieńskiemu z lat 1092-1118, Marcinowi, jednemu z informatorów Baldwina, wysłannicy papieża Paschalisa II przywieźli upragniony paliusz, specjalny biały pas z sześcioma czarnymi krzyżami, znamionujący pozycję metropolity. Zażądali odeń wtedy przysięgi na wierność i posłuszeństwo papieżowi. Arcybiskup spytał o zdanie radę możnych, czyli „wiec" dostojników przy księciu, ich zaś zdumiało, co charakterystyczne, już

samo żądanie papieża! Wierności i posłuszeństwa mógł od arcybiskupa oczekiwać powołujący go władca, toć papież jego wybór tylko zatwierdzał.

Kościół aż po wiek XII utrzymywali w Polsce władcy - nadając mu dobra. Nie było jeszcze miejsca na spory zachodniego typu; jeszcze parę wieków będzie Kościół pobierał dziesięcinę. Władcy korzystali w zamian z formalnego *ius spolii*, prawa dziedziczenia po zmarłym bezpotomnie biskupie, dziedziczyli dobra ruchome, od zastawy stołowej po konie wierzchowe, ale dopóki biskupi się żenili, rzadko umierali bez spadkobierców. Uposażali Kościół i możni. Uposażali go decyzjami całych rodów - panowała tu własność alodialna, nie z lennego nadania, własność rodowa, nie książęca, ale i nie osobista, nikt nie mógł sam, w pojedynkę, obdarować nikogo tą ziemią. Choć już wtedy zaczęto pilnie przechowywać dokumenty własności ziemskiej!

Tak czy inaczej, nie związki ekonomiczne spajały kraj – choć Tadeusz Lalik oszacował liczbę targów za czasów Krzywoustego na około trzysta, zwykle przy patronujących im klasztorach. Na Zachodzie Europy chrześcijaństwo żyło w parafiach, które same dobierały sobie swych plebanów. Lata całe pisałem, że ze średniowiecznej parafii zrodził się przyszły samorząd lokalny, utrwalony i rozwinięty potem w Anglii do skali wzorca. Powinienem był reklamować Andorrę: w Pirenejach, w otoczeniu wysokich gór, siedem parafii porozumiało się i stworzyło własne mikroskopijne, niezależne państewko, ponoć już za czasów Karola Wielkiego. Od 1278 r. władza, raczej honorowa, należała do dwóch współksiążąt Andorry, hiszpańskiego biskupa z sąsiedztwa i króla Francji. W Polsce właśnie dla integracji środowisk lokalnych, na co zwrócił uwagę prof. Jerzy Kłoczowski, budowano kościoły parafialne – w drugiej połowie XI wieku i w XII wieku. I władcy, i możni rozumieli zatem, co znaczy więź duchowa i moralna mieszkańców. Działała skuteczniej niż dozór, nazwijmy go tak, „policyjny". Kościelną hierarchię natomiast w całej Europie powoływali władcy i choć cesarz Henryk IV oddał swe prawo inwestytury papieżowi, to wszędzie w Europie hierarchia kościelna krok za krokiem uczyła poddanych związku ze swym władcą, bo to on gwarantował przywileje Kościoła - i porządek. Biskupi żądni władzy większej niż ta, którą dysponowali, buntowali się rzadko. We Francji biskupi uczyli swoich wiernych legalizmu i rojalizmu - wobec królów „Francji", z północy, koronowanych w tradycyjnym Reims. Inaczej Francja byłaby może Akwitanią, państwem książąt i bogatszych, i wyżej wykształconych... Przyszłą Polskę jako państwo też prawdopodobnie tworzyło duchowieństwo.

Pół-dzicy jeszcze chrześcijanie Zachodu Europy oglądali w Hiszpaniach (tak, było pierwotnie wiele Hiszpanii) rzymskie akwedukty, montowane bez użycia spoiwa! Nie byłoby XII-wiecznego, „romańskiego" kamiennego mostu w Besalu w Katalonii, gdyby nie one. Nie byłoby i Sugera, największej dla mnie postaci tej epoki. Postaci przełomowej: Sugera budowniczego, nie polityka. Jestem przekonany, że to jego budownictwo poważnie wpłynęło na filozofię epoki...

Opat podparyskiego konwentu Saint-Denis, polityk z potrzeby czasu, doradzał królom, okresowo - był i regentem Francji. Został nim - budowniczy. Architekt o wspaniałym zmyśle konstrukcji, pierwszy łączył konstrukcje szkieletowe z krzyżowo-żebrowymi sklepieniami i normandzkimi ostrołukami. W roku 1140 jął przebudowywać swoje opactwo. Na szczęście, prowadził pamiętnik budowy... I to od jego czasów zaczęto we Francji wznosić ku niebu cudowne katedry, strzelistej smukłości, fantastyczne swą konstrukcją. Z nich był i cud wyspowego Mont Saint-Michel. Struktury, dzieła gatunku ludzkiego, docierały do chmur, robiły wrażenie jakby chciały sięgnąć nieba, wyzwalały więc myśl, wyzwalały wyobraźnię.

Możni „Polanii" chyba tej architektury nie uświadczą. Ani jej ducha. Owszem, Henryk, książę sandomierski, wybierze się do Ziemi Świętej walczyć przeciw niewiernym pół wieku później, joannitów sprowadzi stamtąd w 1154 r. do Zagościa nad Nidą, ale zostawią oni po sobie jedynie kościół, żadnego zamku, żadnej niebotycznej wieży. Zginie Henryk w wyprawie brata, Bolesława Kędzierzawego, na pogan bliższych - Prusów. Ci napadali Polanię, rosnąca jej zamożność kusiła także Jadźwingów i Litwinów. Na zagrożenie z ich strony odpowie... kapitalna, obronna architektura romańska, przysadzista, ale zgrabna. Bardzo ziemska - zdolna stawić opór bezmyślności Prusów i Jadźwingów, którzy utratą historii przypłacą to, że nie mieli swoich Mieszków. Jaćwież spolonizuje się wśród Mazowszan, także po niej zachowają się tylko nazwy miejscowe, jak Pułtusk, Narew czy Liw...

Pomorzanie, których dzielność, gotowych „polec za ojczyznę", Baldwin w swej „Kronice" szczerze podziwiał, też nie stali się spokojnymi rybakami czy rolnikami. Gdy na zachodnie Pomorze udał się z misją apostolską Otton z Bambergu, Pomorzanie, ci z bliskiego sąsiedztwa, zza Noteci, najechali w 1126 r. ukochany Bolesławowego ojca Płock – ograbili go, spalili drewnianą zabudowę, nie zdołali tylko wedrzeć się do wymurowanego jeszcze w XI wieku opactwa benedyktynów. Tamci znad Bałtyku nadal regularnie łupili dawne siedziby wikingów za morzem. Razem z nimi, podejrzewam, albo też łupił ich samych - Piotr Włostowic ze śląskiego rodu Łabędziów, wojewoda Bolesława, a więc dowódca jego wojsk. Zasłynie on później swymi fundacjami, wzbogaciwszy się ogromnymi łupami w wojnach na północy. Zwano go rzekomo od nich Duninem, ale ten Dunin podbijał głównie Pomorzan, i nie wykluczone, że Łabędziowie byli po prostu kolejnymi, dawno już naturalizowanymi w Polsce Normanami, z Danii właśnie. Pewien mnich, wróciwszy z Polski w roku 1141 do rodzinnej Bawarii, opowiadał, że Dunin ufundował aż 77 kościołów. Nauka ustaliła na razie osiem fundacji Dunina, ale wiemy, że siedem kościołów miał postawić w pokucie za wiarołomne porwanie kniazia przemyskiego, u którego gościł...

Cywilizacja kojarzy się wtedy z postępami chrześcijaństwa, z nim przychodzą umiejętności. Z umiejętnościami - dobrobyt. Wielmoże licytowali się z władcami w fundowaniu klasztorów i kościołów - chyba nie z samej pobożności: fundator na ogół dostawał jakiś udział w dochodach klasztoru, po zagospodarowaniu okolicznych ziem, które klasztorowi przekazał. Niemniej – możni świadomie instalowali tę cywilizację. Czy jej ambicje przywieźli obcy mnisi? Cóż, podróżują i sami ci wielmoże. Jeżdżą z pieniędzmi dla Rzymu, zapewne nie przez Alpy, a przez Węgry Kolomana i na pewno przez Padwę i Wenecję, przyglądają się po drodze, we Włoszech, światu miast-republik włoskich, jedynej dostępnej im wyższej cywilizacji. Ciekawe, że ani ich, ani tak niedalekich przyjaciół, Sasów, nie uwodzi architektura Sugera, Sasi, z ich o tyle wcześniejszym doświadczeniem, budują tak samo, jak buduje się w Polsce. Możemy z tego wnioskować, ile czasu potrzebowały niezwykłe wzory, by zrobić wrażenie swą doskonałością i przebyć odległość tysiąca kilometrów od swych źródeł... Przyniosą je pod koniec XII wieku cystersi - z Burgundii. Ale przywożone ideały samodzielnego rozmachu lokalnego, czerpane pierwotnie ze św. Augustyna, ojca polskiej myśli państwowej, są najpewniej importem włoskim.

Do dziś nie rozszyfrowaliśmy związków tej „Polanii" z Lotaryngią. Można przypuścić, że poprzez Baldwina, lub dzięki niemu, sprowadził Krzywousty z Lotaryngii (nie z Belgii, na miłość boską!) dwóch innych wybitnych ludzi, niezwykle dla „Polanii" cennych. To młodsi od Baldwina bracia z Malonne, Aleksander i Walter. Też z owego biskupiego leodyjskiego

państewka, w którym energicznie rozpychało się swoimi wpływami miasto Liege, w łacinie Leodium właśnie, by za kilkadziesiąt lat uwolnić się spod władzy swego biskupa. Wyszli bracia zapewne z owej słynnej, tamtejszej szkoły katedralnej. Aleksandra zrobił Bolesław w 1129 r. biskupem Płocka, zniszczonego najazdem Pomorzan. Znacznie młodszy brat, Walter, zwolennik reform w Kościele, ale i celibatu – zostanie w 1149 r. biskupem Wrocławia. Aleksander budował przez kilkanaście lat wspaniałą romańską katedrę, kształcił artystów i opiekował się nimi - rzeźbiarzami i złotnikami, stąd wyszedł sławny miniaturami „Kodeks Pułtuski".

Jemu też, Aleksandrowi z Malonne, zawdzięczamy pierwszy nasz zabytek sztuki poza architekturą. W jego katedrze zawisły na mocnym drewnianym podkładzie brązowe „drzwi płockie", artystycznego odlewu. W kwadratowych klatkach obrazów oglądamy postaci hieratyczne i sztywne, bo najwidoczniej artyści niczego więcej nie umieli. Są ich święci kimś zupełnie innym niż wypędzani z raju, przerażeni Adam i Ewa na wcześniejszych brązowych drzwiach katedry w saskim Hildesheim. Tu najżywszy jest pysk lwa, z przymocowaną kołatką... Dziś w Płocku wisi jedynie kopia tych drzwi. Oryginał sprzedano pewnie jeszcze w średniowieczu do Nowogrodu Wielkiego, wisi tam w Soborze Sofijskim, Świętej Sofii, czyli Przemądrości Bożej (nie żadnej Zofii!). Sowieccy uczeni przypisali drzwi krymskiemu, greckiemu Chersonezowi, nasi historycy znaleźli, że odlał je w Magdeburgu niejaki „Riquinus" i jego pomocnik Waismuth. Widmowa analiza odlewu wykryłaby jego skład, jego pochodzenie da się ustalić. Nieporadność rysunku pasuje do miejscowych płockich miniaturzystów.

Walter we Wrocławiu też podjął budowę katedry. Już z cystersami, ale - ciągle „romańskiej", solidnej, obronnej. Gotyk ze swymi wystrzelonymi w chmury wieżami, których cystersom Bernard z Clairvaux jednak zakazał, tu przyjdzie dopiero w XIII wieku.

Sprowadzał Bolesław z Zachodu kolejne zakony – jego przyjaciele-biskupi dobrze wiedzieli, które zakony, pilnujące się skromności i pożyteczności, warto wciągać w misję edukacji. Ściągnęli z Lotaryngii (znów Lotaryngia!) „kanoników regularnych". Ci przykładnie znowu prowadzili życie we wspólnocie, „kanoniczne", wedle pierwotnych kanonów reguły św. Augustyna. Surowszą wersję tych kanonów zainicjował Norbert z lotaryńskiego Xanten, tak pojawili się - norbertanie, czyli „premonstratensi", od ich pierwszego klasztoru w pikardyjskim Premontre. Bolesław ulokował ich w Trzemesznie, gdzie ongiś założył swój erem św. Wojciech.

Chciał najwyraźniej Krzywousty rozwoju oświaty - może po sukcesach szkoły Ottona z Bambergu, której pewnie i sam słuchał. Ci kanonicy regularni zostali wielkimi nauczycielami i wychowawcami. Musieli studiować św. Augustyna, wszyscy zaś duchowni, oddani opiekuńczemu władcy, czytali uczniom „Kronikę" Baldwina... Nie widzę nikogo innego, kto by mógł instalować w Polsce ideały Rzymu z takimi oto św. Augustyna cytatami z Cycerona: „wtedy istnieje rzeczpospolita, czyli rzecz ludu, gdy dobrze i sprawiedliwie rządzona jest bądź przez króla jednego, bądź przez nielicznych możnowładców, bądź też przez cały lud". Ludem nie był „tłum", lecz „gromada ludzi, którą łączy jedność praw i wspólność pożytków". Być może to zrodziło w Polsce i tradycję rzetelnego prawodawstwa - w którym nigdy nie przyjmą się „sądy boże", ordalia, próba rozpalonego żelaza czy pojedynku... Pojedynek będzie wymagał specjalnego przywileju!

Budowali ci kanonicy kościoły i klasztory, dawnych romańskich kształtów. Kilkanaście lat - bazylikę w Trzemesznie, z kultem św. Wojciecha, jak sobie życzył Krzywousty. Późniejsze wieki nie uszanowały tej architektury, trochę jej tylko przetrwało w barokowym

już kościele. Za to katedra gnieźnieńska do dziś przechowuje wspaniały, ozdobny ewangeliarz z Trzemeszna. Moją uwagą zwróciły jednak nie tylko potężne mury tych bardzo zręcznych, pięknej kompozycji, romańskich konstrukcji. Już te mury podkreślały obronny charakter tych budowli, czyniły z nich małe twierdze. Moją uwagę przyciągnęły... okna. Niemal wszędzie były to niewielkie stosunkowo otwory, raczej strzelnicze, niż z myślą o dopływie światła. Mówiły więcej o epoce niż słowo pisane. Odsłaniały - zagrożenia wojenne.

To imponujące, nieznane szerzej Polakom budownictwo nieznanych architektów, *muratorów*, co najwyżej ze znakami kamieniarzy, można oglądać w pierwszym tomie „Dziejów budownictwa w Polsce". Opracowali go prof. Jan Zachwatowicz i koledzy, uczniowie Oskara Sosnowskiego, który zginął w oblężeniu Warszawy 1939 r. (spłonęło i jego dzieło). Jest tam i architektura sama, i jej szczegóły, i postęp rzemiosła kamieniarskiego - od z grubsza obrąbanych głazów sprowadzonego tu granitu, jak na Ostrowie Lednickim, do gładko przyciosanych jego bloków w Trzemesznie. Są i świadectwa późniejszego barbarzyństwa tych, którzy psuli oryginalną urodę romańskich budowli, poczynając od baroku, aż po wiek XIX „restauratorów" kolegiaty w Kruszwicy.

Dzięki szkołom przykatedralnym i klasztornym pierwsi rdzenni mieszkańcy ziem polskich, choć nieliczni, umieli już mówić w łacinie, języku międzynarodowym zachodniego chrześcijaństwa, czytać zapisy dziś dostępne tylko paleografom, i pisać. W roku 1124 stolicę arcybiskupią w Gnieźnie, co znamienne, mógł już dostać od Bolesława Krzywoustego krajan, Jakub ze Żnina, raczej - po szkole Ottona z Bambergu, niż Anzelma z Laon w Pikardii, gdzie go nie znalazłem.

Żnin leżał w centrum włości rodu znanych już nam Pałuków, na pograniczu z groźnymi Pomorzanami, na dawnym szlaku bursztynowym. Był od dawna własnością „świętego Wojciecha", czyli arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Samemu Jakubowi, z proboszcza arcybiskupowi, przypisuje się niezwykłą rolę i w historii muzyki, i polityki, i gospodarki kraju.

Ludzie owych czasów byli znacznie od nas muzykalniejsi: wszyscy grali na gęślach i drumlach, na fujarkach i piszczałkach, trąbili na rogach i trąbach. I na pewno śpiewali. Czy znali już, jakby wynikało z relacji Baldwina, także lutnię? Pisał o lutni tak wśród Polaków powszechnej, że milkła w karczmach tylko na czas żałoby. Lutnię wszelako wedle historyków muzyki przynieśli z Bliskiego Wschodu dopiero krzyżowcy. Faktycznie przeniknęła do Francji grubo wcześniej, bo z arabskiej Hiszpanii, z arabską nazwą *ud*, którą uzupełnił francuski rodzajnik „*l*" i zamienił w *lut*. Najpewniej lutnią nazywał Baldwin po prostu gęśle. Gęśle, instrument wprawdzie smyczkowy, pozwalały i struny szarpać; archeolodzy sporo ich odkopali po różnych punktach kraju, lutni żadnej nie znaleźli...

Zakony śpiewały muzykę nowego Boga - jednogłosowy chorał gregoriański brzmiał niemal ascetycznie, ale dość było paru basów, by urzekał swą siłą i pięknem – jak słucha się go i dzisiaj. W Gnieźnie zachował się zbiór *Missale plenarium*, „Pełny mszał", z całym już bogactwem chorałów gregoriańskich. Powstał podobno w szwajcarskim Sankt Gallen. Bardzo był drogi, bo i stary, zapisany tylko znakami nut, *neumami* - bez linii, określających wysokość dźwięku, które wynalazł przed 1050 r. Gwidon z Arezzo. Przywiózł ten zbiór, jak domyślają się historycy, Otton z Bambergu. Moim zdaniem, mógł równie dobrze go przywieźć nieco później, w roku 1103, legat papieski, Valon z Beauvais,

z Lotaryngii, który przywiózł trzyczęściowy zbiór przepisów prawa kanonicznego, zwany „Tripartitą".

Muzyka nawróciła zapewne więcej ludzi niż zasady, wymagane prawem kanonicznym; wierni Kościoła katolickiego w całej Europie ogłuchną dopiero po XVI-wiecznym Soborze Trydenckim, który odebrał im głos podczas mszy. Zdaniem historyków muzyki to zapewne Jakub ze Żnina skomponował hymn liturgiczny ku czci św. Wojciecha *Magna voce laus sonora* („Wielkim głosem rozbrzmiewająca chwała"), umieszczony na karcie tytułowej „kodeksu Gnieźnieńskiego" z XII w . Taką „antyfonę" przemiennie śpiewają dwa chóry, a ten pierwszy polski chorał ma tekst w bardzo sprawnej łacinie. On też, Jakub ze Żnina, miałby być autorem legendy *Tempore illo*, pisanej piękną, rymowaną łaciną, o tym, jak św. Wojciech nawrócił księcia Pomorza... Pewności autorstwa, jak i w przypadku chorału, nie ma (*Tempore illo* przypisałbym, sądząc po stylu, raczej Baldwinowi), pewne są za to inne wydarzenia z żywota Jakuba ze Żnina - legalisty. Polityczne. I dramatyczne.

W polityce Jakub ze Żnina swym właśnie legalizmem przesądził może o losach Polski na półtora co najmniej stulecia. Krzywousty wcale nie planował jakiegoś „rozbicia dzielnicowego" w Polsce. Jego przedśmiertny „statut", czyli „prawo", zwany błędnie „testamentem", miał utrzymać jedność państwa, złożonego z dzielnic synów. Winni byli podlegać najstarszemu, rządzącemu specjalną, centralnie położoną dzielnicą „senioralną", ciągnącą się przez cały kraj. Pierworodny, Włodzisław, próbował jednak wyrugować braci i podporządkować sobie całe państwo. Jakub ze Żnina bronił decyzji ojca. Schorowany starzec, przywieziony wózkiem do obozu Włodzisława, próbował go przekonać. Nie przekonał. Wobec tego rzucił nań klątwę. Włodzisław przegrał potem ze swoimi braćmi. Jednakże oni sami, choć rychło skłóceni, uznają „statut" i prymat dzielnicy senioralnej...

Myślę, że wyobraźnią tego pierwszego Polaka arcybiskupa rządził właśnie ideał - porządku. Dowód? Mamy po nim i pierwsze w Polsce księgi własności ziemskiej. Skomplikowana to historia. Królem Niemiec, potem cesarzem został znowu Sas, Lotar III z Supplinburga, już nie wróg, a sojusznik „Polanii" w walce z Słowianami połabskimi. Arcybiskupstwo Magdeburga przypadło zaś owemu Norbertowi z Xanten, z niemieckiej części Lotaryngii. Chciał zwierzchności nad biskupstwem w Poznaniu, a potem także nad przebogatym arcybiskupstwem gnieźnieńskim - i papież Innocenty II, by uzyskać poparcie cesarza, przyznał mu to. Ale polski władca, czyli Bolesław Krzywousty, opanował terytoria i daleko za Odrą, zawładnął aż okolicami Berlina. Porozumiał się z Lotarem, złożył mu w roku 1135 hołd z tych ziem Brandenburgii. Natomiast Jakub ze Żnina jeszcze za życia Krzywoustego uzyskał w 1136 r. od tegoż papieża Innocentego II bullę „protekcyjną". Bulla ta wykluczyła zwierzchność Magdeburga, potwierdzała niezależność i stan posiadania Jakubowego arcybiskupstwa, włącznie z biskupstwem Poznania oczywiście. Zabezpieczała też formalnie włości arcybiskupstwa przed krajowymi sąsiadami, patrzącymi zazdrośnie na gospodarnie zarządzane dobra kościelne. O taką samą bullę protekcyjną wystarał się później dla swego biskupstwa wrocławskiego Walter z Malonne u papieża Hadriana IV w roku 1155.

Spisano majętności arcybiskupstwa tak szczegółowo, że znamy imiona chłopów z jego kilkudziesięciu wsi! Gdyby uchowały się i księgi parafialne, miejscowi potomkowie tych chłopów mogliby, jak chciał ongiś Tomasz Skorupka znad Obry, odtworzyć swoje drzewa genealogiczne daleko wstecz, aż po wiek XII! Spis uzupełniały księgi, dokumentujące podstawy własności - z zapisem każdego aktu nadania.... Porządek ziemski ma w Polsce, jak widać, bardzo starą tradycję.

Ziemia do tej pory była własnością rodu, rodziny, żaden zaś ród niczego się na ogół nie wyzbywał - krewni by nie dali. Ziemię darować biskupstwu czy też klasztorowi lub sprzedać mógł tylko właściciel indywidualny, a i tak przysługiwało krewnym prawo pierwokupu. Dopiero w roku 1220 przyjęto, że właściciel ma trzy razy ogłosić publicznie zamiar sprzedaży i jeśli krewni, uprawnieni do dziedzictwa, nie zgłoszą sprzeciwu, może zrobić, co zechce. Kościół, słowem, zainteresowany był w rozwoju własności prywatnej. W Polsce szło to łatwiej, nie rozwinęła się tu nigdy klasyczna własność lenna; taką lenną własnością, przy wielu szczeblach feudalnych zależności, nie mógł samodzielnie rozporządzić ani lennik, ani suweren. W Polsce legalizował umowę sprzedaży czy darowizny swoim dokumentem książę; kiedy jednak pojawią się księgi sądowe, wpis do nich zastąpi decyzję księcia. A że każdy właściciel rad był sam przeczytać zawieraną umowę, robiła postępy oświata - mimo trudności tego czytania. Już z owego XII wieku uchowały się dokumenty, potwierdzające prawa własności. Własność ta gwarantowała, że właściciel, także - wolny chłop, jest suwerenem wobec swej ziemi. Rodziła tym poczucie wolności. Chyba nie bez znaczenia.

Jedno pewne - nie była to u nas epoka zastoju. Rozwijały się budownictwo i muzyka, oświata i porządek prawny. Zamożność brała się teraz nie z grabieży, a z gospodarności. „Rozbicie dzielnicowe" jej właśnie sprzyjało. Bracia Bolesławice psuli je swoimi ambicjami, kłótliwością i agresywnością, ale na razie w życiu kraju nie odgrywali tak niszczącej roli, jak feudałowie Cesarstwa czy Francji. Dobrze się w tym kraju żyło – o czym zaświadczy autor z bardzo dalekiego kraju...

11. BOGATA BULANIJA

Bogaty był to kraj. I to nie jakąś zamożnością od wczoraj. Jak dawno, ukazuje luksusowy... skórzany damski pantofelek, znaleziony w warstwach z pierwszej połowy XII wieku w Opolu; otwory na wierzchu pantofelka, wymyślne, a wykwintne, sposób zamocowania tasiemki, dopasowanie kształtu pantofla do stopy, jakość wyprawienia skóry, to na pewno nie prymitywne szewstwo biednego kraju... Mamy też obiektywnego, żywego świadka: jest nim najznakomitszy geograf średniowiecza, słynny arabski podróżnik i geograf, al-Idrisi. Urodzony w muzułmańskiej Hiszpanii, zwiedził on Europę, Bliski Wschód i Azję Mniejszą, a w połowie XII wieku osiadł w pięknym Palermo na dworze Rogera II, normańskiego króla Sycylii, który w pojęciu Arabów był - „ochrzczonym sułtanem", dla chrześcijan - „królem półpogańskim". Zasłynął jako „Księga Rogera" traktat al-Idrisiego z połowy XII wieku, prawdopodobnie z roku 1152, pod iście arabskim, na pół poetyckim tytułem „Odpoczynek tęskniącego za wędrówką po świecie". Jest w nim i Polska. Już nie państwo Gniezdna ani Krakowa, a „Polania", tyle że w arabskim zapisie, który nie zna litery „p".

„Co się tyczy ziemi B(u)lanija, która jest krajem wiedzy i mędrców rumijskich (...) jest to kraj o pięknej ziemi, urodzajny, obfitujący w źródła i rzeki, o ciągnących się bez przerwy prowincjach i dużych miastach. Do miast jego (należą): (I)kraku, G(i)nazna, r(a)t(i)slaba, S(i)rad(i)ja, N(u)grada, S(i)tnu. Wszystkie one są sławnymi stolicami i silnymi centrami, w których zebrane są dostatki rozmaitych krajów. Prócz tego zażywają one szacunku, ponieważ (są) w nich uczeni wykształceni w dziedzinach nauki i religii rumijskiej. Rzemieślnicy ich są zręczni i obznajmieni ze swym zawodem. Co się tyczy (I)kraku, miasta G(i)nazna i reszty jej (Bulaniji) wspomnianych miast, są to miejscowości o blisko siebie stojących budowlach i szeregu dóbr przyrodzonych; zbliżają się do siebie swą wielkością, a opisy ich i wygląd są identyczne. Bliskie są (one) sobie także swymi licznymi wyrobami" (tłum. Tadeusz Lewicki).

Kiedy prof. Lewicki udostępnił Polsce przekład powyższy, historycy nasi brali te opisy za arabską przesadę – póki sami nie odkryli obfitości zbiorów w samych tylko bibliotekach katedralnych, mnóstwa bezcennych, drogich rękopisów, czasem o niezwykłym dla dziejów kultury Europy znaczeniu!

„Uczeni rumijscy" al-Idrisi'ego, całe ich zakony, mnisi, rzeczywiście napływali tu dziesiątkami - na ziemie pełne „dostatków rozmaitych krajów". Tych dostatków będą przysparzali tu, na miejscu, od połowy stulecia, nowi po benedyktynach pionierzy cywilizacji. Inaczej niż benedyktyni, z których kręgu wyszli, zakonem pracy nie byli - wbrew dzisiejszemu ich mitowi. Bogactwo, choć rodem z pracowitości, wykoleiło i żyjące tak skromnie zakony reguły Cluny, więc konwenty benedyktynów burgundzkich w Molesmes i Citeaux, Sistercium w łacinie, postanowiły w ślad za swym założycielem, Robertem z Molesmes, wrócić do pierwotnej czystości moralnej. „Cystersi" jako nowy zakon nie mieli teraz nawet prowadzić szkół, ani zajmować się duszami wiernych. Jedynie - własnymi duszami, oczy kierując wyłącznie ku Bogu. Bez zaprzątania sobie głowy sztuką czy architekturą: Bernard z Clairvaux, pogromca herezji, karcił mnichów, że chętniej studiują marmury niż rękopisy, że delektują się rzeźbami, rozpamiętując ich najdrobniejsze, umykające oku amatorów szczegóły, szukają zatem przyjemności, a nie Boga. W 1157 r. zakazano cystersom wznoszenia grzesznych wysokością wież przy swoich kościołach!

Ich białe habity nie pasowały do pracy na roli ani do rzemiosła. Pracowali - konwersi, czyli bracia świeccy, choć też w habitach. Pracowali - poddani i niewolnicy klasztorów. Bóg, zdaniem cystersów, wolał ich modły. I - chyba - wspaniały zmysł interesów. Zarabiali na łaski Boże oszczędnym życiem, inteligencją i gospodarnością, nie mówiąc już o wydajnej uprawie roli, stąd rosły nadwyżki ich dochodów nad kosztami własnymi. Nie jedli dużo, ubierali się skromnie. Jeśli Bernard z Clairvaux, jeden z nich, wielki kaznodzieja, potrafił obudzić ducha nowej krucjaty, to oni patronowali zakonom rycerskim w drugiej wyprawie krzyżowej, bez fanatyzmu, z rozsądkiem zdrowej kalkulacji. Też nie dokładali. Nieocenione dzieło Stevena Runcimana o dziejach wypraw krzyżowych ukazuje ich raczej w tle, wszelako pomogli rycerstwu podniecać wyobraźnię ideą obrony Ziemi Świętej i nowych zdobyczy na bogatych Saracenach. Z Polski dołączył do wyprawy jeden książę, którego Runcimanowi nie udało się zidentyfikować. Wedle Benedykta Zientary, wielkiego polskiego historyka, prawdopodobnie – Bolesław Wysoki, przyszły książę wrocławski, syn Włodzisława II, którego bracia wypędzą...

Dzięki wzmożeniu krucjatą uczuć religijnych już w połowie XII wieku było w Europie 153 opactw cysterskich, w XIII wieku będzie ponad siedemset (jeśli naprawdę tyle). Pod wodzą swej kapituły generalnej, zdyscyplinowani i zjednoczeni, cystersi budowali potęgę papiestwa. Co istotniejsze, swoją siłą cywilizacyjną budowali Europę. Anglię nauczyli hodowli owiec! Pierwszych ściągnął do Polski w 1140 r. Bolesław Kędzierzawy do Brzeźnicy, czyli dzisiejszego Jędrzejowa. W XII wieku powstało jeszcze osiem klasztorów, po całej Polsce, w sumie trzydzieści. Każdy ze swoją historią, nie zawsze budującą.

Zaprzyjaźnił się Mieszko III, zwany Starym, jeden z synów Bolesława Krzywoustego, kolejny pan dzielnicy „senioralnej", z Mateuszem I, księciem Lotaryngii. Próbowali obaj tym sojuszem zrównoważyć potęgę pierwszego „cesarza rzymskiego narodu niemieckiego" , wielkiego wojownika, Fryderyka I Barbarossy, Rudobrodego, z rodu Hohenstaufów, książąt Szwabii. W roku 1166 dał Mieszko córkę Ludmiłę za żonę młodszemu synowi Mateusza, przyszłemu Ferriemu I (u wielkiego Oswalda Balzera - w łacinie - Fryderykowi). Sprowadził w 1175 r. od Mateusza cystersów niemieckich z lotaryńskiego, nadreńskiego Altenbergu – a nie wiem, czy Mateusz nie chciał się ich po prostu pozbyć.... Cystersi sadowili się zwykle poza miastami, jak w Wąchocku, na odludziu, gdzie wykarczowano puszczę i osuszono bagniste brzegi Kamiennej. Tych z Altenbergu przywabiono kasztelańskim grodem w Lądzie nad Wartą, zbudowali obok swój klasztor, surowego, romańskiego kształtu. Niechętni zapewne dominacji języka francuskiego w Lotaryngii, pozostaną w sercu Polski zakonem mówiącym tylko po niemiecku. Aż po wiek XVIII do nowicjatu będą przyjmowali tylko Niemców. Wywołało to napięcia już w XIII stuleciu. Spolonizuje się tylko dość szybko ich „własne", XIII-wieczne, przyklasztorne miasteczko - Lądek.

Nie jest pewne, czy to cystersi uruchamiali pierwsze w Polsce młyny wodne, ale w każdym razie wiele ich założyli. Po całej Europie dobierali specjalnie miejsca pod swe klasztory nisko w dolinach, blisko rzeki lub strumienia, by instalować młyny, odprowadzać wodę do stawów rybnych i mieć gdzie spuszczać ścieki. Majstrowali to wszystko, rzecz jasna, konwersi. Z cystersami przyszła chyba i cegła, gdzieś na przełomie XII i XIII wieku, łatwiejsza w produkcji i mniej kosztowna niż obróbka granitu czy piaskowca. Zakładali cystersi pierwsze sady i ogrody, sprowadziwszy do nich sadzonki. Czy naprawdę dzięki nim pług z odkładnicą wyparł ostatecznie w Polsce XII wieku radło, nie jest dla mnie oczywiste. Plemiona przyszłej Polski znały pług od wieków, Wiatycze, wywodzący się od „Lachów" ojcowie Moskwy, zabrali go na głęboką Ruś, w X wieku płacili daninę Włodzimierzowi Wielkiemu, liczoną – od pługa. Wyparłby on w końcu radło i bez

cystersów – przewaga pługa, odwracającego skibę, nad radłem, tylko wzruszającym glebę, musiała być oczywista.

Jednakże co najważniejsze - pod wpływem ich, cystersów, Kościół w Polsce zaczął traktować swoich niewolników *more liberorum hospitum*, „jak wolnych gości", jak wolnych dzierżawców, którzy mają oddawać umówioną część plonów. A przecie inne włości w Polsce długo jeszcze, nawet w wieku XIII, będą kupowały niewolników – co nam zdradzają zachowane taryfy celne z odpowiednimi stawkami.

Cystersi, sprawnie gospodarując, szybko się bogacili. Ich klasztory staną się - obok Żydów - pierwszymi w Polsce bankami. Ominęły teologię. Teologia chrześcijańska, wzorem starożytnych Rzymian, zabraniała kredytu oprocentowanego, zwanego u nas „lichwą" od niemieckiego *leihen*, pożyczyć. Zabraniała jednak tylko chrześcijanom. Jak i wśród muzułmanów, mogli się nim parać tylko innowiercy. Stąd i wymuszona taka specjalizacja… Żydów europejskich. Potem przez kilkadziesiąt pokoleń te umiejętności stawały się jakby częścią genetycznego ich dziedzictwa. Cystersi natomiast nie pożyczali na procent, broń Boże. I to im zawdzięcza swe narodziny pewna w Polsce innowacja o wiekowej później tradycji, oryginalna, tajemniczego pochodzenia.

Cesarz od 1155 r., onże Barbarossa, wojownik nieustraszony, popularyzował, uwaga, prawo rzymskie. Dlatego nie docenił odkrycia, jakiego w świecie Bizancjum dokonał nieznany bystry, niemiecki krzyżowiec, zapewne z Trzeciej Krucjaty roku 1189. Ów rycerz zetknął się z grecką hipoteką. Nie pozna jej Zachód, uczący się, zgodnie z życzeniem cesarza, prawa rzymskiego. Hipoteka to był grecki, szczególny zastaw ziemi: pozwalał trzymać ją właścicielowi i zarabiać uprawą na spłatę długu. Dług obciążał ziemię, która go zabezpieczała, nie osobę właściciela. Odkrywca hipoteki po powrocie wstąpił, i to na pewno, do któregoś klasztoru cystersów w Polsce. Tu wymyślił, jak pożyczać na procent pieniądze klasztoru bez lichwy, czyli bez oprocentowania kredytu – tu, w Polsce, bo nigdzie indziej to nikomu nie wpadło do głowy. Za użyczoną kwotę klasztor „kupował" rentę z czyichś dóbr, stały z nich dochód; innymi słowy – dług, jak należy, obciążał dobra, nie właściciela. I kolejny kapitalny pomysł - tę rentę można było sprzedać, lub i wcześniej wykupić. Stąd - „renty wykupne". Z niemiecka - „wyderki", od *wiederkaufen*, „kupić znowu", co ujawnia, skąd pochodził genialny cysters (lub kilku). Hipoteka z tym jej obrotem wtórnym rozwinęła się potem jedynie w Polsce, gdzie o bogactwie stanowiła ziemia. Cesarstwo niemieckie nie znało praktycznie hipoteki do XVIII wieku…

Barbarossa wojował w słowiańskich krainach na wschód od Łaby, ale kochał się we Włoszech, zwłaszcza – w królestwie sycylijskim. Jego stolicę, Palermo, najpierw Arabowie, potem Normanowie uczynili stolicą dobrobytu, cywilizacji i piękna. Zwiedzając ją dzisiaj, można sobie wyobrazić, jakim cudem była… Kontakty z nią, z miastami Włoch, z Bizancjum i muzułmanami, odkryły Europie, tej na północ od Alp – handel. Nie ten wymienny, lecz ten, w którym płaci się monetami. Do tego trzeba pieniędzy, a tych brakowało. Przede wszystkim – drobnych. I wtedy inny nieznany geniusz z mennic srebronośnego, pół-serbskiego jeszcze Harzu wymyślił denary bite jednostronnie, „brakteaty", niespełna gramowe srebrne „blaszki". Upraszczało to i przyspieszało ich produkcję. Trudno zaś było takie denary fałszować: moneta o mniejszej zawartości srebra pękała przy uderzeniu stempla. Ale dawało się ją za to obcinać, obrzynać, opiłowywać, opłukiwać kwasami, a sami władcy i ich mincerze rychło się zorientowali, że fałszować monetę mogą oni sami.

W Polsce notorycznie robił to Mieszko Stary. Bywały w świecie, powiązany małżeństwami swych dzieci z różnymi dworami Europy, w tym - z dworem Lotaryngii, nauczył się od nich aż za dużo... Objąwszy dzielnicę senioralną w 1173 r., pierwsze swoje denary bił w mennicy Krakowa jeszcze dwustronne - tyle że bardzo już lekkie, ledwie po 0,3 grama, 694 z jednej grzywny srebra, tj. z 205 do 210 g. Cztery lata później bił z grzywny 1310 brakteatów - tak cienkich i łamliwych, że lud Krakowa ochrzcił je „plewami". I za te „plewy" zegnano Mieszka z senioralnego tronu. Mimo to, wróciwszy nań, Mieszko obniżył wagę swych brakteatów z 0,16 do 0,14 grama!

Wymagało to fachowców najwyższej klasy. Naturalnie – Żydów. Chyba - z Bliskiego Wschodu. Zachodni, żyjący głównie na ziemiach Niemiec, od przeszło już dwustu lat mówili „jidysz", strawestowanym górno-niemieckim dialektem Nadrenii i Bawarii, nie bez domieszki słów z innych języków. Niemcy ich rozumieli. Gnieźnieńscy mincerze tłoczyli natomiast polskie i łacińskie napisy literami... hebrajskimi! Np. *Mszka krl polski*, *Mszka dukus* i *Knezden* (jeszcze więc było „Gniezdno"!). Dodawali i hebrajskie napisy pochwalne – *braha u hacala*, czyli „błogosławieństwo i zbawienie". Dla Mieszka, rzecz jasna. Takie przetrwały też niezwykłe brakteaty z ich mennicy. Najlżejsze nie były już tak oszukańcze - ważyły jednak ponad 0,16 grama. Jeden z tych mincerzy - *JUSEF (BAR JEHUDA) HA KOHEN (KALISZ)*, "Józef, syn Judy, z rodu kapłańskiego w Kaliszu", uwiecznił swe na brakteacie, bitym dla jednego z synów Mieszka Starego, któremu ojciec dał Kalisz jako księstwo.

Lepsze brakteaty ściągał z rynku Mieszko innym złodziejskim chwytem, znanym z Zachodu - „odnowieniem monety". Władca ogłaszał, że kursujące monety, jako zużyte i przestarzałe, tracą ważność, wymieniał je więc na nowe, obowiązujące, biorąc tych „zużytych" więcej, niż dawał za nie nowych. Mieszko najpierw tak robił co kilka lat. Później i trzy razy do roku! Czy za radą swoich fachowców? Już pierwszy czeski kronikarz, Kosmas, rówieśnik Baldwina, być może mu osobiście znany, pomstował na książąt, fałszujących monetę. Poborców tych monet wyklinał będzie dopiero po stu latach kolejny polski kronikarz... Od ludzi, skazanych na kary pieniężne, żądali denarów lepszych, niż te, które bili w swej mennicy!

Jedni w tych czasach zarabiali inteligencją i zmysłem innowacji, inni, bo nie tylko Mieszko Stary, prześcigali się pomysłami na łatwe dochody! Ale bogactwo rodziło i próżność, którą pobożnie kryły fundacje, tyleż kosztowne, co ambitne. U nas - głównie rodu Łabędziów. Samego potężnego Dunina, Piotra Włostowica, spotkał los tragiczny - oślepił go w 1145 r. za domniemaną zdradę i wygnał Włodzisław II, ten, który nie posłuchał Jakuba ze Żnina. Włodzisława samego wygnano rok później... Dunin nie stracił ducha. Wróciwszy po wygnaniu Włodzisława, postawił w 1151 r. w Koninie jako *Petrus comes hic palatinus*, „możny tutejszy i wojewoda", jedyny w swym rodzaju kamienny słup drogowy, ponad dwa i pół metra wysoki! Z twardego, miejscowego piaskowca, odpornego na niepogody i mrozy - oznaczał połowę drogi między Kruszwicą i Kaliszem... Po co i dlaczego, nie wiemy.

Łabędziowie swoimi fundacjami przysporzyli nam, potomnym, cennych informacji. Także - pasjonujących zagadek. Dzięki ich inicjatywie i pieniądzom wiemy, jak się Polacy tej epoki... ubierali, jak się czesali i nawet - golili. Demonstrują to nie żadne hieratyczne czy uwznioślone alegorie postaci ludzkich wedle artystycznych stereotypów epoki, jak te z Drzwi Płockich, lecz postaci rysowane z żywych modeli - na brązowych drzwiach katedry gnieźnieńskiej - podobno z ok. 1180 r., choć wedle mojego domysłu z lat raczej

późniejszych. Historycy sztuki wytropili na tym dziele - znak Łabędziów. Ściąga ono już dziesiątki lat pielgrzymki naukowców i turystów.

Skąd moje domysły co do czasu jego powstania? Takiej twórczości nie zna sztuka romańska. Jak pisał znakomity historyk, Jan Baszkiewicz – sztuka romańska miała wychowywać, z Sądem Ostatecznym jako ulubionym motywem; Bóg, majestatyczny i surowy, sądził tłumną masę maleńkich ludzi; grzeszne dusze pożerał często sam diabeł. Przewrotu myślowego dokonali filozofowie z francuskiego Chartres. W roku 1194 podjęto przebudowę tamtejszej katedry, z nią narodzi się gotyk. Pierwotnie kpiono terminem „gotyk" w Renesansie z wcześniejszej sztuki, cofniętej do epoki dzikich Gotów, dopiero przyszłość uszlachetni to słowo. Filozofia szartryjska, szukająca zbliżenia z naturą, dała ową katedrą słynne arcydzieło, z rzeźbami odtwarzającymi żywe modele. I ta inspiracja przeniknęła do Gniezna niemal natychmiast. Lotaryńskim szlakiem...?

Autorzy drzwi gnieźnieńskich portretują swoich współczesnych. Oto głowa XII-wiecznej pani jako głowa matki świętego, oto postaci zamożnych ludzi dworu, oto wąsaci przedstawiciele ludu jako
Prusowie, wreszcie - duchowni jako towarzysze podróży świętego i świadkowie jego męczeństwa.
Są i fachowcy od pieniądza, *servi camerae*, słudzy skarbu. Nie żadni niewolnicy jak się to błędnie tłumaczy, a chronieni specjalnym statusem Żydzi, związani z tronem. Wyróżniają ich spiczaste czapki - muzułmańskiego kształtu. Wcale im tych czapek nie narzucili miejscowi książęta, jak sugerowano w naszych czasach. Przybyły do Europy na głowach ludzi pieniądza z krajów islamu. Tego już al-Idrisi, zmarły w 1166 r., nie opisywał.

Wśród ozdób są centaury i bazyliszki, różne fantastyczne zwierzęta, ale już małpy i lwy autorzy musieli sami oglądać, inaczej nie nakreśliliby ich tak realistycznie. Przywieźli je ze sobą, przypuszczam, ci muzułmańscy kupcy żydowscy z Bliskiego Wschodu – jak niegdyś przyjeżdżali na wielbłądach, z których jednego Mieszko I darował małemu Ottonowi III. Panuje ciepło. Skąd wiemy? Na prawej bordiurze lewego skrzydła drzwi kruk dziobie winogrona, nacina się winorośl, zrywa winogrona, potem - tłoczy wino. A na lewej bordiurze - dziobie grona winne paw. Ba, małpa siedzi na winnym krzewie...

Zapewne sportretowano i fundatora, tylko nie da się go rozróżnić. Może i Mieszka Starego? Przez grzeczność?

Metalurdzy ustalili, że nie ma w tym brązie cynku, właściwego frankońskim, więc lotaryńskim stopom znad Mozy, bądź saskim, odlew zatem był miejscowy; niedoskonały, co potwierdza jego miejscowe narodziny. Kolejne obrazki nauka przypisuje nie jednemu, lecz paru autorom, i to różnej miary talentu. Ma ich za polskich uczniów owego lotaryńskiego Liege, w łacińskiej wersji - Leodium. Walońskiemu tam kształceniu patronowała być może owa córka Mieszka Starego, żona przyszłego księcia Lotaryngii. A to ambitne, bogate Leodium uwolniło się właśnie od książęcej władzy swego biskupa i zostało pierwszą poza Italią republiką miejską na Zachodzie! Warto by się przyjrzeć bliżej tym świątyniom tudzież ich bibliotekom...

Część obrazów z drzwi rysował być może Konrad, świetny złotnik, po którym przetrwała słynna patena kaliska, zdobny płaski talerz, do składania na nim hostii. Znów dzieło szartryjskiego ducha. Z ilustracją... tutejszego dobrobytu. Widzimy chłopa, młócącego zboże cepem – co możliwe tylko przy obfitości plonów! Inaczej nikt by nie ryzykował ani

cięcia kosą, ani rozrzutnej młocki cepami; długo jeszcze, zwłaszcza na glebach ubogich, żęto sierpem, tuż poniżej kłosów, by nie uronić ani ziarna do późniejszego łuskania.

To nie koniec szartryzmu. Historycy sztuki i architektury odsłonili w bazylice św. Trójcy w Strzelnie dwie kolumny z osiemnastoma postaciami, uosabiającymi cnoty i przywary ludzkie - znowuż współcześni, z tego samego czasu! I dla uczczenia erekcji bazyliki - tympanon erekcyjny, czyli płyta nad nadprożem, z rzeźbami jak pierwowzory bizantyjskie z Wenecji. Na tym tympanonie - pochylony przed obliczem Najwyższego Piotr Wszeborowic, kasztelan kruszwicki, mężczyzna masywny, brodaty, z włosami po kark, sam wręcza kościół świętej Annie, rodzicielce Matki Boskiej, której go ślubował. Znowu jeden z Łabędziów! Z końcem XII wieku ufundował norbertankom tu, w Strzelnie, klasztor i kościół; kto wie, czy to nie jemu zawdzięczamy i Drzwi Gnieźnieńskie...

Ci ludzie musieli bywać na Zachodzie, bo skąd niby to Chartres tutaj? I tak szybko? Stykali się z dobrobytem i potęgą miast włoskich, odwiedzali francuskie katedry. Już z początkiem XIII wieku wybitny budowniczy polski stosował konstrukcje Sugera! Był to pierwszy znany z imienia architekt polski, Dalemir z Zajączkowa, *cementarius*, czyli fachowiec od „cementu", wapna. Stawiał zakonowi cystersek w Trzebnicy na Śląsku ich klasztor i kościół – za pieniądze księcia Henryka Brodatego. Inny budowniczy Trzebnicy, Jacobus, *magister operis*, „mistrz budowy", zasklepił środkową nawę owego kościoła i zostawił po sobie udekorowany zwornik, łączący żebra sklepienia. Gdzież się tego uczyli?

Daleko było jednak przyszłej Polsce do takiego upowszechnienia sztuki pisania, jak we Francji, gdzie zestawiono w naszych czasach cały słownik biograficzny pisarzy „średniowiecznego renesansu"; Suger notował wszak przebieg swej budowy! We Francji już w połowie XII wieku klasztory inicjują racjonalną gospodarkę leśną, określają dopuszczalny wiek rębny lasu, bo nie dostaje drewna! U nas, przy dość rzadkim zaludnieniu, przez wieki puszcze będą pokrywały większą część kraju. Za to miejskie demokracje Włoch kształtują niepostrzeżenie swymi wzorami przyszłą Polskę - obok rzymskich ideałów z lektury św. Augustyna. Kurczy się miejsce dla samowładztwa; książęta muszą się liczyć z głosem wolnego ogółu, a przynajmniej z głosem swoich możnych. Ci piastowscy kuzyni będą rywalizować, kłócić się, sprzymierzać przeciw silniejszemu, wojować ze sobą, niekiedy poddani przepędzą księcia zbyt brutalnego, nieuczciwego jak Mieszko Stary, bądź nieudolnego. Jeszcze teorii „prawa oporu" nie znali, ale ich elita wiedziała ze św. Augustyna, od swojego duchowieństwa, że plebs rzymski obalił władzę decemwirów...

Łaciński termin, określający możnowładców *comesami*, czyli baronami, spolszczyli Polanie na „kmetów", „kmieców", a ci zasiadali w „wiecu", czyli w gronie „tych, co wiedzieli", w radzie mądrych ludzi, biskupów i „baronów", przy księciu. I w tamtych prawdopodobnie czasach, już w XII stuleciu, rodziła się „Bogurodzica", bo w jej drugiej zwrotce śpiewano – „Adamie, ty Boży kmiecu, ty siedzisz u Boga w wiecu..."

I tu zjawisko znowu oryginalne, specyficzne. Słowo „patria" mówi coś ludziom wykształconym tej epoki, głównie ludziom Kościoła, j wiążą je oni po rzymsku, nie z plemieniem, nie z księciem, lecz, jak już wiemy, z krajem i jego mieszkańcami. W innych krajach Europy, w Niemczech, Francji czy Włoszech, biskupi i opaci wykrawają sobie z włości, nadawanych Kościołowi, samodzielne państewka. W Polsce książęta Kościoła nie mieliby z tym trudności, gdyby chcieli. Ale widać nie chcieli. Arcybiskupi gnieźnieńscy i biskupi krakowscy wręcz będą sprzyjali próbom odbudowy jednego *regnum*, królestwa. Duchowieństwu polskiemu tego czasu pamięta się głównie przywileje

uzyskiwane od Kazimierza, zwanego Sprawiedliwym, najmłodszego z synów Bolesława Krzywoustego. Ale nie uwolniło się ono całkowicie od władzy księcia, to raz. Popierało Kazimierza przeciw Mieszkowi Staremu i bez żadnych przywilejów, to dwa.

Problemem byli cesarscy Hohenstaufowie, nieporównanie silniejsi teraz od skłóconych Piastów. Pacyfikował książąt polskich kolejnymi najściami Fryderyk Barbarossa, Kazimierz za młodu był sześć lat jego zakładnikiem, książęta polscy nie potrafili Fryderykowi, jak wiemy, stawić oporu, tyle, że zobowiązań lennych nie dotrzymywali, trybutu nie płacili, a Fryderyk miał ku ich szczęściu inne kłopoty. Musiał uporać się z buntem ludu Rzymu, przywódcę, słynnego kaznodzieję republiki, Arnolda z Brekcji, ujął, powiesił, spalone zwłoki wrzucić kazał do Tybru. Ale, niezwyciężonego, pobiła Fryderyka na głowę w 1176 r. pod Legnano Liga Lombardzka, połączone siły wolnych miast włoskich...

68-letni Fryderyk, niezmożony, ruszył w trzecią wojnę krzyżową. Po drodze w Azji Mniejszej wygrał parę bitew, ale utonął, próbując konno przebyć rzekę. Syn, któremu jeszcze jako dziecku załatwił z wielmożami Niemiec tron cesarski, 24-letni już Henryk VI objął i ... królestwo Sycylii z jego cudownym Palermo. Miał tam rywala, Tankreda, tego wsparł Ryszard Lwie Serce, waleczny wódz krzyżowców (król angielski nie mówiący po angielsku). Skąd on tutaj? Wracał akurat z Ziemi Świętej, bo zmarł jego przeciwnik, legendarny sułtan Saladyn, który krzyżowców uczył rycerskich obyczajów, a Ryszard nikogo nie uznał godnym walki z nim – nie wypadało pokonywać gorszych niż wielki Saladyn. Henryk VI pobił sycylijskich wrogów, włącznie z Ryszardem, pościnał spiskowców. Aliści książęta niemieccy odmówili Staufom dziedziczności tronu, Sycylia się nie uspokoiła, on zaś przypłacił miłość do południa malarią i w 1197 r. zmarł. Po czym w Niemczech nie było już nic pewnego.

„Polanii" to w praktyce nie obchodziło. Książę szczeciński Bogusław, rychło w czas, szukał jej poparcia przeciw saskim zdobywcom. Daremnie. Kazimierz był w lepszych stosunkach z tymi rywalami cesarza niż z nim, księciem Pomorza, mężem córki Mieszka, a nikt w tej „Polanii" nadal morza nie rozumiał.

Kolejny kronikarz, Wincenty, zwany Kadłubkiem, dorabiał swej „ojczyźnie" starożytną przeszłość, u niego jej przodkowie walczyli z Aleksandrem Wielkim. Ale nie tym „Polania", „Bulanija", będzie niezwykła...

12. WIECE – ANACHRONIZM JAKO PRZYSZŁOŚĆ

Wiek XIII ukaże tu niezwykły w ówczesnej Europie, a po upływie stuleci niedoceniony, swoisty fenomen polityczny. Dla Polski w pewnym sensie przełomowy – samorzutne zjednoczenie ziem polskim. W czasie, gdy inne przyszłe państwa europejskie rozbijano w drobiazgi nieledwie.

Wiek XIII Europy rodził się w jej wieku XII, kiedy Europę zachodnią porwał handel. Handel swym zapotrzebowaniem na pieniądz wywołał gorączkę złota i srebra. Zwróciła ona Europę ku Czechom i polskiemu Dolnemu Śląskowi. Ich rudy stworzyły ówczesny Klondike, zagłębie srebra i złota. Z krajów sąsiednich, zwłaszcza niemieckich, popłynęły doń kolejne fale poszukiwaczy. W nazwach wielu nowych osad notujemy znamienny niemiecki rdzeń *seiffen*, od „płukania", wypłukiwania złota z rzecznego piasku. Nie uchowały się żadne opisy walk o działki złotonośne, opisy napięć i sporów, ani towarzyszącego zwykle poszukiwaniu kruszców hazardu w karczmach, pijaństwa i prostytucji; zapewne ludzie książąt pilnowali jakoś porządku - albo też ja niczego nie znalazłem... W każdym razie chciwość i bezwzględność w walce o pieniądze musiały zmienić epokę.

Na inne ziemie polskie przychodziło osadników dopiero kaptować. Osadników spokojnych, zorganizowanych, fachowych. Wedle cysterskiego doświadczenia czynsze dawały właścicielom więcej niż procent od nie zawsze pewnych plonów, więc i bez nowych pionierów przenoszono wsie tudzież miasta na prawo „niemieckie". Przybysze z Niemiec, w sporej części potomkowie zniemczonych Słowian połabskich, niekiedy znający jeszcze serbski, brali i ziemie dziewicze, do wykarczowania w gęstych puszczach. Warowali sobie tylko, by ich nie objęły miejscowe surowe przepisy... wielkopostne. Byli dobrymi rolnikami, stąd ich niemiecka „szprycha" zastąpiła staropolską „stpicę", a dyszel dawne „oje"... Książęta śląscy jednej wsi osadników nadawali 50 łanów frankońskich (łan frankoński to około 25 ha); głównie w pogranicznych puszczach. Ściągano nie tylko rolników i nie tylko na Śląsk. Biskup poznański Paweł, człek bywały w świecie, po jakimś włoskim uniwersytecie, nadał w 1231 r., więc przed najazdem Tatarów, prawa miejskie biskupiej osadzie kupców i rzemieślników w Śródce pod Poznaniem (dziś - części miasta).

Ściągać ich teraz nie było tak trudno. Z różnych krajów Niemiec wyganiało ich rozprzężenie i bezprawie. Winę składano na cesarza. Ale Fryderyk II, też Hohenstauf, po prostu na północy, w Niemczech, nie bywał. Na króla Niemiec przeforsował go, 19-letniego, papież Innocenty III, który go edukował. 26-letni Fryderyk został cesarzem w roku 1220. Jeden z najciekawszych ludzi epoki, pan legendarnego dworu w sycylijskim Palermo, w swym dziedzicznym państwie zasłynął administracją mądrą i sprawiedliwą. Cały świat śródziemnomorski uznawał w nim rycerski ideał - w roku 1228, rzecz nie do wiary!, kolejny kalif z rodu Ajjubidów, następca Saladyna, w geście poważania oddał krucjacie Fryderyka Jerozolimę bez walki! Próbował Fryderyk jednoczyć Italię, z państwem kościelnym włącznie, za co kolejni papieże trzy razy go wyklinali – na szczęście bez skutku. Odrodziła się jednak przeciw niemu Liga Lombardzka. Z nią sobie nie poradził. Przepadał za... polowaniem z sokołami, napisał nawet jego podręcznik! W Niemczech kupował wielkich feudałów przywilejami. Nie odwiodły ich od wojen i rabunków. Rozdrapali Niemcy na całkowicie już samodzielne królestwa i księstwa. Te podziały przetrwają setki lat.

Blask rycerskich obyczajów Fryderyka przyćmiły zbrodnie tej epoki. U początku wieku chciwość Innocentego III, najwybitniejszego pono papieża średniowiecza, na równi z wiarą pchnęła znowu kolejnych krzyżowców na wschód – w Czwartej Krucjacie. Nie daleko zaszli. Zdewastowali i zajęli cesarstwo bizantyjskie, rozpanoszyli się w nim tak dalece, że powołali swoje Cesarstwo Łacińskie z hrabią Flandrii, Baldwinem I, na tronie; Grecy odzyskają Konstantynopol dopiero po blisko 60 latach. I to Innocenty III wysłał krucjatę przeciw albigensom. Ci heretycy obywali się bez sakramentów i Kościoła, ale zawinili przede wszystkim gospodarnością i bogactwem. Świątobliwe rycerstwo z błogosławieństwem papieża pracowicie ich wyrzynało. Trudno było odróżnić ich od katolików, więc dowódca, Szymon de Montfort, kazał zabijać wszystkich bez pytania o wiarę, gdyż „Bóg rozpozna swoich". Mordowano i katarów, mylonych z albigensami. Katarzy wyznawali ścisłe ubóstwo; ich przewodnicy, „doskonali", utrzymywali się tylko z jałmużny od „wierzących" – bez kultu Chrystusa, sakramentów kościelnych, świętych obrazów i relikwii. Świat ludzki był dla nich dziełem szatana. Tam, na południu przyszłej Francji, był na pewno.

Zaakceptował Innocenty III św. Franciszka z Asyżu i regułę franciszkanów, opartą na ścisłym ubóstwie. Po prawdzie tylko dlatego, że równoważyli antykościelny „ruch ubogich", waldensów, obywających się bez czyśćca i kultu świętych – tych uratowało się z rzezi niewielu, ale i radykalni franciszkanie, „spirytuałowie", zwolennicy pełnego ubóstwa, też trafią na stosy. Mógł spłonąć już ze swą biedą zakonu, z miłością bliźniego, i sam Franciszek, pierwotnie wyzywający odstępca! Demonstracyjna bieda była dla książąt Kościoła złośliwym wyzwaniem. Jak i dzisiaj.

I to Innocenty III zapoczątkował - katolicki antysemityzm, rzekomo „odwieczny". Objąwszy tron papieski, wezwał władców chrześcijańskich, by anulowali oprocentowanie długów chrześcijan wobec Żydów – sam był im za wiele dłużny. W 1205 roku ogłosił, że za ukrzyżowanie Chrystusa Żydzi skazani są na wiekuistą niewolę, a w 1215 r. nakazał Żydom umieszczać na swej odzieży specjalny znak. Jego pasje religijne zawsze kierowały się przeciw cudzym pieniądzom.

Budował ogólnoeuropejską monarchię kościelną, mianował się już nie „wikariuszem św. Piotra", lecz „wikariuszem Chrystusa". Zapisał się w dziejach i tym, że uporządkował i rozwinął na parę wieków procedury inkwizycyjne, przerażający terror religijny. Pomijała go „Biblia z Amiens".

„Biblia z Amiens" odzwierciedla piękno, którym wtedy rozkwitały północne ziemie przyszłej Francji, wolne od ludobójstwa. Nie był tą „biblią" żaden starożytny rękopis, lecz... budowana w tym XIII stuleciu katedra Notre Dame w Amiens ze 113-metrową wieżą. Jej przebogate ozdoby komponowały się idealnie w zamkniętą całość boskiego posłannictwa. Twórcy architektury nie słuchali Bernarda z Clairvaux i sięgali swymi arcydziełami w przestworza - jakby z przekory wobec filozofii władzy Innocentego III i jej brutalności. I trudno się dziwić, że XIX-wiecznego angielskiego krytyka sztuki, Johna Ruskina, zafascynowały niebotyczne, gotyckie katedry Francji. Wracał do nich kilka razy, napisał rozprawę „Biblia z Amiens". Nie nadwątliły uczuć Ruskina dwie późniejsze katastrofy tej ryzykownej konstrukcji; jej piękno było mocniejsze.

Takiego tła epoki potrzebujemy, by wiedzieć, w jakim politycznym kontraście do filozofii władzy Innocentego III rozwijała się, co wciąż nie wytłumaczone, „Polania" owego czasu. Tradycyjna historiografia nasza, poczynając od „szkoły krakowskiej" z drugiej połowy XIX wieku, miała za dziejowy błąd Polaków, że nie ustanowili monarchii absolutnej. Wielki

historyk, Józef Szujski, potępiał narodowe spiski zbrojne, zwłaszcza po nieudanym Powstaniu Styczniowym - i można go zrozumieć: Galicja pod władzą Franciszka Józefa uzyskała wtedy ustrój niepodległego państwa z cesarzem jako władcą, a samego Szujskiego wybrano do Rady Państwa u boku cesarza. Tyle że Franciszek Józef rezygnował właśnie z władzy absolutnej... Niemniej to on, zatem władca, był dawcą wolności. Demokracji Szujski nie lubił. Wpłynął przemożnie na historiografię Polski, uwypuklającą odtąd głównie wieczne kłopoty władców z lekkomyślnymi polskimi poddanymi. I w dawnych podręcznikach, i w rozprawach naukowych, jednoczyli Polskę XIII wieku książęta, nie jakieś wiece możnych i ogółu wolnych.

Wielki nasz pisarz historyczny, Paweł Jasienica, zatytułował tom swoich szkiców - „Polska Piastów", choć przyszli „Polacy" nazywali się jeszcze za Leszka Białego, na przełomie XII i XIII wieku, „Polanami", Piastowie zaś byli teraz udręką „Polanii". Tak liczni, że ponad polityczną pojemność kraju, toczyli między sobą wojny, mordując się nawet wzajem w spiskach i skrytobójstwach. Mnożyli zniszczenia i krzywdy ludzkie. Więcej niż najazdy Prusów i Litwinów.

Czechy, to prawda, jednoczyli ich książęta - z pomocą cesarzy. Przemysł Ottokar I uzyskał zgodę cesarza na koronację, w roku 1212 zostanie - jednym z elektorów Rzeszy; sam już mówił po niemiecku. Przemysł Ottokar II próbował zdobyć koronę cesarską! My przyjrzyjmy się ważniejszemu dla nas, węgierskiemu Beli III. Chował się on na dworze cesarza Bizancjum, Manuela I Komnena, jako Aleksy, i Manuel posłał mu wojsko, by opanował Węgry. Po śmierci Manuela uwolnił się Bela od bizantyjskiej dominacji, zajął Chorwację, potem Dalmację, wsparł uniezależnienie Serbii, słowem, wyrósł na potęgę Bałkanów. Rządził samowładnie, ale mądrze. Rozwijał Węgry i swój dwór na wzór podziwianego Palermo Fryderyka II. Dwór Beli uznawali współcześni za jeden z najświetniejszych w Europie, ożenił się z królewną francuską, ściągał z Francji artystów i architektów. Z Niemiec - osadników. Co nie przeszkodziło, że - jak w XII wieku - młodszego brata uwięził na 12 lat... Przyjaźnił się z książętami krakowskim, ale nie na tyle, by mu pomogli osadzić trwale syna, Andrzeja II, na księstwie halickim. Wzorem Palermo uruchomił kancelarię królewską i zapewne dzięki tym z kolei wzorom zorganizowali sobie kancelarie najmądrzejsi książęta polscy...

Andrzej II, żonaty z księżniczką niemiecką, sympatyzował z Niemcami, a nawet ich faworyzował. W 1211 r. sprowadził do walki z koczownikami Kumanami zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, zwany w Niemczech „Zakonem Niemieckim", w Polsce potem - od czarnego krzyża na białych płaszczach - Zakonem Krzyżowym, Krzyżakami. Osadził Andrzej tych Krzyżaków w Siedmiogrodzie. Potem z krakowskim Leszkiem Białym próbowali zawłaszczyć owo księstwo halickie, udało się na parę lat osadzić tam Andrzejowego syna, Kolomana. Ożenił go Bela z córką Leszka Białego, Salomeą.

Wedle recepty Szujskiego Polska powinna była przyswoić sobie z państwa Beli model ustroju. Znakomity mediewista polski, Henryk Łowmiański, wiece miał za anachronizm, za błąd dziejowy. Ówcześni Polacy o tym nie wiedzieli i decyzjami swoich wieców stworzyli na z górą trzysta lat (!) państwo otaczane ogólną zazdrością Europy - które ich potomkowie dopiero po wiekach zmarnują.

Nie zaważyło jakieś poczucie zagrożenia. Takiego aż po najazd Tatarów nie było. Czy chciano uśmierzyć wojny książąt? Na Zachodzie Europy wojny prywatne były nadal jej przekleństwem. Tymczasem ani w przyszłej Francji, ani w Niemczech, rozbitych na setki

małych państewek pod formalną władzą cesarza, o zjednoczeniu państwa w imię pokoju nikt podówczas nie myśli. Jest „cesarstwo", psychologiczna i moralna zwierzchność, czasem wsparta mieczami drużyny cesarza; nie ma właściwie pojęcia „państwa". Więc tu, nad Wisłą, zaważył raczej - sposób myślenia o nim, rzekłbym - wyobraźnia polityczna... Uformowana cytatami z Cycerona u św. Augustyna.

W niecały wiek po Baldwinie następny polski kronikarz, już nie przybysz, a Polak, Wincenty zwany Kadłubkiem, edukowany (co znalazł prof. Stanisław Kot) w szkołach francuskich, cytował starożytnego greckiego reformatora i przywódcę, Solona. Przykładami z historii starożytnych Aten ukazywał, co może sprawić - „miłość ojczyzny". Przyszły biskup znał kronikę Baldwina; za punkt odniesienia miał – ojczyznę, *patriam*. Nie Boga, nie Kościół i nie władcę... Myśl państwową, dziedziczoną po Rzymie św. Augustyna, w pełni podtrzymał.

Swobodnie operował pojęciami i przepisami starożytnego prawa rzymskiego. Nie dzięki studiom paryskim: król Francji, Filip August, który wydał siostrę za Belę III, załatwił sobie u papieża zakaz wykładania prawa rzymskiego na uniwersytecie paryskim – by nie podporządkować się ówczesnym „cesarzom rzymskim narodu niemieckiego". Bo dla średniowiecza prawo „rzymskie" było prawem cesarskim. Dlatego pewnie i w Polsce się nie przyjmie. Tymczasem Polskę mistrz Wincenty, adaptując właśnie myśl rzymską ze św. Augustyna, zwał po rzymsku – *res publica*, rzeczą pospolitą, czyli - rzeczą ogółu, rzeczą wszystkich, naturalnie - wolnych. Postulował, by książę we wszystkim kierował się zdaniem panów biskupów i „kmieców". Powagę ich „wiecu" zapewniały, jego zdaniem, uwaga! prawa boskie, wyższe nad książęce. Natomiast włożył w usta Pełce, krakowskiemu biskupowi, pogląd, że książęta nie rządzą sami „rzeczą pospolitą", lecz poprzez jej urzędników. Nie napisał tego z sympatii do swych znajomych, krakowskich możnych; w swojej kronice akurat pomstował na ich obyczaje...

Do dziś nie wyjaśniliśmy, swoją drogą, w pełni, komu ta Polska zawdzięczała owe zaskakujące w XIII wieku ideały ustrojowe, te mistrza Wincentego idee *patriae*, „ojczyzny", i „rei publicae", „republiki", „rzeczy pospolitej", te biskupie plany jednoczenia ziem „królestwa". I nie tylko on tak myślał. Tak myślała większość duchowieństwa tego kraju. „Katalog biskupów krakowskich" wskazywał, że trzeba dążyć, by - *ad unum corpus regni reintegrare*, w jedno skupić znów ciało królestwa. A „ciało królestwa" to już koncept całej doktryny politycznej, wymierzonej przeciw samowładztwu. Mędrcy Europy tego czasu odrywają „ciało królestwa", wzorem „mistycznego ciała Chrystusa", czyli Kościoła, od osoby władcy. Nie ma tylko tych „królestw". Poza Polską i Węgrami innych nie ma. *Regnum* i *res publica* odpowiadają pojęciu „państwa".

Niektórym biskupom roi się jak Innocentemu III – ich władza, bezpośrednia i rozległa. Z całą próżnością w 110 koni podróżuje arcybiskup gnieźnieński, Henryk Kietlicz, swój tron podczas wizytacji katedr biskupich każe stawiać na podwyższeniu i żąda, jak skarżył się płocki biskup Gedko, by mu całowano stopy. Książę Włodzisław Laskonogi zakochanego w sobie Kietlicza wypędził z Gniezna, za co ten go wyklął. Bez rezultatu. Jednakże uwolnił Kietlicz, zręczny polityk, Kościół polski od podległości książętom, teraz kapituły kościelne, jak postanowił Sobór Laterański IV, same wybierać miały swoich biskupów - tyle że w Wielkopolsce przez kilkadziesiąt lat nie potrafiły się ze sobą dogadać. Kościół obrastał w bogactwa, i co więcej, próbował spory o ziemię poddać swojemu sądownictwu. Nie dla satysfakcji Innocentego III. Ten znawca pieniądza pisał do Gniezna z zasadną pretensją, że przysyła mu świętopietrze w nader podłej monecie! Ale Rzym papieski był daleko

i mało polskich biskupów obchodził; zajmowali się swoim krajem. Mamy prawo domniemywać, że czuli się zań odpowiedzialni…

Nie sami. Ale – głównie oni. Już w końcowych dziesięcioleciach XII wieku to „wiec", rada biskupów i „baronów", „komesów", czyli owych „kmieców" (samych kasztelanów ponad stu), osądzał, czy warto kogoś wybrać, utrzymać na książęcym tronie, czy „zegnać". Opowiadał się mistrz Wincenty za tronem elekcyjnym - opisał pierwszą wolną elekcję w 1194 r. po śmierci Kazimierza, nazywanego Sprawiedliwym. Decydowano, komu dać krakowski tron dzielnicy „senioralnej", synowi Kazimierza, 8-letniemu Leszkowi Białemu, czy Mieszkowi Staremu. Wybór najpierw uradzili oni, *primates*, potem swymi okrzykami aprobatę objawili *cives*, obywatele, czyli, jak napisał Wincenty, *populi*, lud. Tłumy ciekawych zawsze towarzyszyły obradom. Dowiedziawszy się, co postanowiono, wyrażały swój aplauz bądź niezadowolenie. Razem odrzucono Mieszka Starego. Oczywiste było, że w imieniu chłopca będzie rządził „wiec", krąg doradców jego ojca. Potem przez blisko sto lat, kiedy dzielnica senioralna praktycznie straciła znaczenie, „Polania" nie miała wspólnego najważniejszego książęcia! Tyle że międzydzielnicowe zjazdy lokalnych książąt, możnych i biskupów - wiece, wiązały swymi decyzjami wszystkich.

Wiece dzielnicowe odbywały się w XIII wieku czasami kilka razy do roku. Często zamieniały się w szerokie zgromadzenia wolnych, zwłaszcza, gdy mieli oni towarzyszyć sądom książęcym. Przez trzy kolejne wiece chłopski ród Bielejowiców szukał ochrony książęcej przeciwko właścicielowi wsi, który próbował ich obrócić w niewolników. Obecność tych wieśniaków nikogo nie dziwiła: sołtysów, rządzących wsiami osadzanymi na prawie niemieckim, i chłopów tych wsi obowiązywała posługa wojskowa. Kto miał obowiązek walczyć, miał prawo i radzić. Uczestniczyli zatem w wiecach, obok uboższego rycerstwa, także i wieśniacy, którzy w sądzie książęcym znajdowali drugą instancję dla wyroków ich „gromad". To były początki demokracji polskiej…

Jak się ukształtował samorząd gminny, z „gromadą", łączącą wszystkich mieszkańców wsi, z jej sołtysem, obieralnymi ławnikami, przysiężnymi, nie bardzo wiadomo. Wieś, czyli gromada, sama układała swe porządki, rozstrzygała spory i sądziła; drugą instancją był książę albo pan włości, któremu książę powierzył *potestatem iudicandi homines iuxta formam curiae nostrae*, „władzę sądzenia ludzi wedle form urzędu naszego". I nigdy, aż do XIX wieku nie będzie inaczej – co mocno zmienia nasze utarte wyobrażenia o pozycji chłopów dawnej Polski. Narastający wyzysk i ucisk ekonomiczny nie zmieniały ustroju wsi. A panowie jako druga instancja nie mogli - co wiemy z przywileju Konrada Mazowieckiego z roku 1239 - decydować w sprawach karnych z zagrożeniem karą śmierci lub zapłatą siedemdziesięciu grzywien. To bardzo istotne rozróżnienia. Tłumaczą, dlaczego polscy chłopi odczuwali będą dotkliwiej poniżenie, niż zwiększane obowiązki pańszczyzny. Wiadomości z Galicji XIX wieku potwierdzają, że wielowiekowe tradycje samodzielności chłopskiej utrzymywały się „jakby to było wczoraj".

Nie brakowało polskiemu XIII wiekowi ambicji samowładztwa. Książę śląski, Henryk Brodaty, perorował ponoć z dumą do klęczących przed nim biskupów, że „wszystko, co się w państwie dzieje, zależy od naszego chcieć lub nie chcieć". O biskupie wrocławskim mawiał – „mój biskup". Ale sam zwracał się do ławników wolnego miasta Magdeburga o pouczenia w spornych sprawach miast, ci besztali go w słowach pełnych wprawdzie szacunku, ale niedwuznacznych. Kiedy zaś lokował miasta czy wsie *iure Theutonico*, na prawie niemieckim, sam przyznawał osadnikom prawo do własnych, nie książęcych sądów. Nie ma więc mowy o żadnym samowładztwie nawet Henryka Brodatego. Dzielnica senioralna niczego teraz nie gwarantowała.

Wygląda na to, że idea wiecu przeniknęła powrotnie i na zaprzyjaźnione Węgry. Zjazd „stanów", zgromadzenie narodowe (nie samych tylko magnatów, jak pisuje się u nas), wymusił w 1222 r. na królu Andrzeju II, rządcy w przeciwieństwie do mądrego ojca dość nieopatrznym i rozrzutnym, podpis pod „złotą bullą". Zrównała ona przyszłą szlachtę w prawach z możnymi, „baronami", i mimo feudalnych stosunków pozwalała swobodnie jak w Polsce dysponować swoim majątkiem.

U nas w 1228 r. Włodzisław Laskonogi, raz już przepędzony z dzielnicy senioralnej, zobowiązał się słynnym przywilejem w Cieni nie wprowadzać żadnych nowych praw bez opinii wiecu. I zapowiadał: *ius suum cuilibet conservabo*, każdego zachowam w jego prawach. Każdego, więc i - plebs. Zadeklarował tym przywilejem, że nie nałoży nań ciężarów i podatków ponad zwykłą powinność! A wymusił to nie lud sam, lecz właśnie owi *cmethones*. Nie myśleli tylko o sobie. Myśleli - o państwie. O wspólnym państwie - *regnum*, królestwie, ale republice, rzeczy publicznej - kiedy w Niemczech książęta Kościoła i książęta świeccy rwali ziem dla swych państewek, ile można...

Stał się wiec w Polsce rutyną. Rzekłbym w dzisiejszym języku - systemową: kiedy w roku 1243 dwaj bracia, wielkopolscy książęta, podzielą Wielkopolskę między siebie - podzielą ją za zgodą „obecnych i świadomych rzeczy szlachetnych mężów, których imiona są tu podpisane". Wiec, innymi słowy, ratyfikował umowę i nie sądzę, by książęta ryzykowali jej zawarcie bez udziału owych „szlachetnych mężów"!

Jak widzieliśmy, *respublica* nie był to pomysł mistrza Wincentego. Oznaczała pewną ugruntowaną już wyobraźnię państwa. Ja wiążę jej początki, co pisałem, z rzymską tradycją, czerpaną ze św. Augustyna, jak ją zaszczepił przyszłej Polsce swą kroniką – Baldwin, czyli „Gall Anonim", biskup kruszwicki, ze swoim *opifexem,* „sprawcą dzieła", biskupem Michałem. Zaszczepił razem z poczuciem, czego w przyzwoitym państwie robić nie wypada. I też nie mordowano w Polsce ani albigensów, ani katarów, ani waldensów. Nie płonęły stosy z ludźmi, którzy nie chcieli oddać swych pieniędzy władcy - jak to się niezadługo stanie we Francji...

W Polsce wrogość Innocentego III do Żydów po prostu ignorowano. Prześladowani na Zachodzie, uchodzili, zwłaszcza z ziem niemieckich, do Polski. Uchodzili - ze swoimi pieniędzmi i swoim językiem, *jidysz*, uformowanym już jak jeden z niemieckich, dzielnicowych *plattów*. Moim zdaniem, to oni byli w Polsce pionierami wielkiego handlu, a polska terminologia handlowa, ze słowem „handel" włącznie, pochodzi raczej od nich, z *jidysz*, nie od późniejszych, napływowych niemieckich mieszczan kupców. Także – „czynsz"... Podejrzewam, że „ceł" i „myt" również oni nauczyli polskich panów, bo tych pojęć i słów język polski nie znał i nie wymyślił. Przyjęły się bardzo szybko jako nowa technika zdzierania skóry z kupców.

W Polsce mieli Żydzi swoje gminy i bywali właścicielami ziemi, z której opłacali jak inni właściciele ziemscy dziesięcinę Kościołowi. Od XII wieku, co już wiemy, służyli książętom jako *servi camerae*, słudzy skarbu; szkoda im wyrządzona równała się obrazie majestatu i kosztowała jak atak na człowieka księcia, bo uderzała w interesy książęce. Handlowali wszystkim: bydłem, zbożem, suknem i - nadal - niewolnikami. Chrześcijanie tylko niewolników kupowali i na ogół obracali w czynszowych chłopów. I pożyczali, jak wiemy, od Żydów pieniądze na procent.
Widać, że obroty pieniężne na ziemiach polskich wymagały już kredytu. Jednakże to nie handel zrodził tendencje zjednoczeniowe. Z pewnością przeszkadzało mu na ziemiach

Polski ponad 250 komór celnych, każda z innymi stawkami, ale tym bardziej przeszkadzały cła i myta na Zachodzie, gdzie co rusz otwierano jednak nowe komory celne.

Krzyżacy na ziemie polskie przybyli nie dla interesów, a do walki z Prusami. Bojowi, ale dzicy Prusowie i Litwini co jakiś czas napadali pobliskie Mazowsze, woleli grabić niż handlować bursztynem ze złóż Sambii. Mazowieckiemu księciu Konradowi trudno było bronić oddzielonych puszczami osad, które żyły każda osobno, w przyszłości jako maleńkie ksiąstewka grodowe, czerskie, warszawskie, rawskie, zakroczymskie, płockie, wiskie itd., dające tytuły późniejszym mazowieckim książątkom. Konrad angażował cystersów, by nawracali Prusów, powołał biskupstwo misyjne, wyprawiał się w odwetowe ekspedycje, próbował wzorem Zachodu stworzyć własny zakon rycerski do walki z poganami. Aż sprowadził w roku 1226 – Krzyżaków.

Zakon musiał w 1224 r. opuścić Siedmiogród, gdzie go, jak wiemy, osadził znany już nam król Węgier, Andrzej II, dla walki z Kumanami. Andrzej dogadał się jednak z Kumanami i po trosze dzięki nim rozpoznał w porę ambicje Zakonu, dążącego do stworzenia własnego państwa. Konrad nie dowiedział się o tych ambicjach i zorientował się za późno - Krzyżacy opanowali ziemie biskupstwa chełmińskiego, które dał im na oparcie dla walki z Prusami, i natychmiast przystąpili do budowy własnego państwa. Lokowali na prawie magdeburskim miasta, nowe, jedno po drugim, ciągnęli do nich osadnicy, uciekający od chaosu na ziemiach cesarstwa, ciągnęło do nich rycerstwo z Niemiec, kuszone perspektywą podbojów i rabunku w krainach bursztynu. Krzyżacy nie wyrzynali Prusów. Podbijali. Byli gospodarni i skuteczni. I nikt w nich wtedy nie widział zagrożenia. Niemców zaś w ogóle Polska ówczesna hołubiła - tylko wszak na nich można było liczyć jako na osadników... A już zwłaszcza tych, którzy znali bliski polszczyźnie język Serbów!

Gdyby Konrad poddał problem pruski dyskusji ogólnopolskiego wiecu, z pewnością ktoś z jego uczestników orientowałby się, dlaczego Andrzej II pozbył się Krzyżaków z Siedmiogrodu, a przynajmniej wysłano by kogoś, by się dowiedział, co się za tym kryło. Myślę, że przykład Konrada Mazowieckiego najcelniej odpowiada na wątpliwości ustrojowe prof. Łowmiańskiego. Ten dość lokalny absolutyzm będzie kosztował Polskę najtrudniejszy kawał jej historii.

Demokracja, jak ją można byłoby sobie imaginować w XIII wieku za wzorem włoskich miast-republik i Rzymu ze św. Augustyna, miała się w swych polskich zalążkach dobrze – choć nawet się demokracją nie nazywała...

13. BY ZROSŁA SIĘ JAK CIAŁO ŚWIĘTEGO

Dżyngis-chan z barbarzyńskimi ludami azjatyckich stepów stworzył nowe mocarstwo światowe. Mongołowie najpierw zdruzgotali wspaniałe cywilizacje islamu, Chorezmu w Azji Środkowej, potem i Bagdadu w bliskowschodniej Mezopotamii, o których świat islamu zapomni. Arabowie Bliskiego Wschodu nie czerpią dziś dumy z wielkości tych kalifatów.

W 1223 r. nad Kałką wojacy Rusi w zderzeniu z ową tatarską sztuką wojny okazali się amatorami taktyki bitewnej - akcjami Mongołów dyrygował wódz ze stanowiska dowodzenia, ogarniając wzrokiem całe pole gry wojennej, podczas, gdy europejscy wodzowie nadal walczyli na czele swego rycerstwa, często ginąc jako pierwsi... Ruś dawała się wciągać w pościg za pozorowanymi ucieczkami, rozczłonkowując swe szyki, i padała setkami w ulewie strzał, którym siłę rażenia nadawały łuki szczególnej konstrukcji. Wschodnia Słowiańszczyzna, ze swym własnym, łatwo czytelnym pismem i oświatą, znalazła się - z wyjątkiem Nowogrodu Wielkiego - pod władzą Tatarów, co ją może bardziej niż alfabet oddzieliło od reszty kontynentu.

Syn Dżyngis-chana, Dżoczi, otrzymał z podziału imperium ojca jego zachodnią część. On i jego następca, Batu-chan, stworzyli swymi podbojami Złotą Ordę (od *urdu*, wojsko), ze stolicą w Saraju, tam, gdzie później powstał Carycyn, późniejszy Stalingrad, dzisiejszy Wołgograd. Zapanowali nad Chorezmem, nad sporą częścią zachodniej Syberii, w Europie - nad Powołżem, stepami wschodniej Ukrainy aż po Krym, ze zwierzchnością nad Rusią. W roku 1239 król stepowych, nie osiadłych Kumanów, dla Rusi - Połowców, ostrzegł Belę IV, kolejnego króla Węgier, o planowanej inwazji tatarskiej. Bela spodziewał się ataku na swoje bogate państwo i odesłał swą pięcioletnią córeczkę, Kingę, do Krakowa. Wywiad tatarski spenetrował ziemie węgierskie, czeskie, polskie i niemieckie. W roku 1241 z podbitej Rusi nawała mongolska runęła na zachód. Dowodził nią Batu-chan, wnuk Dżyngisa. Ze swoją armią poszedł ku srebronośnym terenom Węgier i Dalmacji, inne jego oddziały poszły na Polskę ku bogactwom Śląska, chcąc potem przez ziemie Sasów i Franków dotrzeć aż do Lotaryngii.

Tatarzy nie mordowali tych, którzy poddawali się im bez walki. Tym, którzy stawiali zbrojny opór, nieśli śmierć i ruinę. Pod Legnicą zastąpiło Tatarom drogę rycerstwo polskie razem z chłopami i górnikami Śląska, plus niemiecki oddział zakonu rycerskiego templariuszy. 9 kwietnia 1241 r. wszyscy razem doznali miażdżącej klęski, zginął i dowódca, książę śląski, Henryk Pobożny. Podobno strona polska strzelała z kusz. Nie bardzo w to wierzę. Bełt z kuszy, krótka strzała z lotkami, o metalowym, twardym grocie, z haczykami, uniemożliwiającymi wyrwanie go z rany, przebijał zbroję, salwa kuszników pokotem kładłaby jeźdźców bez pancerzy. Ale nie kładła.

Kuszę, ten łuk bardzo mocnej cięciwy, z kolbą, naciągany lewarem z kółkiem zębatym, jak w starożytnych katapultach, dopiero wynaleziono, podobno w Genui. Stąd u nas był „arbaletem", „kusza" to słowo czeskie. Strzelali z niego piesi łucznicy - z ludu, może dlatego uważano arbalet za broń „nierycerską"... Miał jedną, za to podstawową wadę: napinało się go z trudem i wolno. U Glogera w „Encyklopedii Staropolskiej" dopiero w XIV wieku mocarny Stanisław Ciołek napinał kuszę bez lewara, gołymi rękami. Pod Legnicą takich nie było.

Straty w bitwie ponieśli jednak i Tatarzy. Woleli chyba uniknąć potem starcia z królem Czech, Wacławem I, którego wojska swym atakiem uprzedzili. Pognali na południe, do Batu-chana. Po drodze spustoszyli Morawy. Nie musieli Batu pomagać: 11 kwietnia, dwa dni po Legnicy, Batu-chan rozgromił 50-tysięczną armię Beli IV. Na puszcie Mohi w ciągu kilku godzin armia Beli przestała istnieć. Zginął i starszy jego brat, Koloman, szwagier księcia polskiego, mąż siostry Bolesława Wstydliwego, Salomei. Tatarzy aż po zimę rabowali Węgry, zdobyli i spalili chorwacki Zagrzeb, próbowali aż w Dalmacji dopaść Belę, zawrócili na wiadomość o śmierci wielkiego chana Ugedeja, co przed Batu otworzyło perspektywę tronu w Karakorum. Polska i Węgry odetchnęły, odetchnęła i przerażona Europa zachodnia.

W 1245 r. papież Innocenty IV wysłał do wielkiego chana, do Mongolii, z misją pokojową - swego posła, włoskiego zakonnika, Giovanni'ego de Pian del Carpino. W drogę przez całą Azję udał się z nim pierwszy wielki polski podróżnik - drugi franciszkanin, Benedykt, rodem z Wielkopolski. Wywodził się z Wrocławia, ówczesnego centrum umysłowego i politycznego „Polanii". Jak przypuszczam, dobrano go w Rzymie jako tłumacza i swoistego przewodnika braciszka Carpino. Sądząc po wiedzy Benedykta i znajomości języka Mongołów, musiał stykać się z tatarskim światem już wcześniej. Został po nim cenny opis wyprawy i *Historia Tartarorum*. O chwałę Benedykta poza historykami nikt w Polsce nie zabiega... Tymczasem zapis jego opowieści jest wolny od fantazji, które znaleźć można w relacji Carpino.

Obaj podróżnicy przeżyli w Mongolii, w KaraKOR-um, *kurułtaj*, zgromadzenie ludowe, które wybierało nowego wielkiego chana. Nie został nim w roku 1251 Batu-chan, ani poparty przezeń Mengke. Przejął wielki chanat Gujuk, potomek Ugedeja. Być może ten wybór przesądził, że go nie przeżył... obecny w Karakorum wielki książę włodzimierski, Jarosław. Pozostawał on w dobrych stosunkach z Batu-chanem, Batu pomagał mu utrzymać władzę nad swym księstwem. Jarosław, najwyraźniej w Mongolii traktowany jak jeden ze swoich, opowiedział się po jego stronie. I zmarł - otruty. Wysłannicy papiescy powieźli Innocentemu IV wezwanie Gujuka do papieża i innych władców europejskich, by przybyli i złożyli mu hołd! Dwa lata później Gujuk ruszył w nową wyprawę na Europę. Zapowiadał się koszmar. Szczęściem dla Europy, Gujuk zmarł po drodze – wedle jednej wersji wykończył go alkohol, wedle drugiej – sprzątnął go w zemście tajemnymi środkami Batu... Benedykt, wróciwszy do kraju, osiadł potem w Krakowie - u „księcia polskiego".

„Księciem polskim" w połowie XIII wieku, zgodnie z tradycją „pryncypatu", czyli dzielnicy senioralnej, nazywano księcia Krakowa i Sandomierza. Kolejny tu Bolesław z przydomkiem „Wstydliwy" jakoś nie wstydził się zabierać klasztorom warsztaty i zyski, ani solewarom ich warzelni soli w Wieliczce. Przydomek miał podłoże... intymne. Z małą Kingą, którą Bela przysłał pięcioletnią, chowali się razem jako dzieci. W roku 1241 matka Bolesława, księżna Grzymisława, kiedy nadchodzili Tatarzy, wysłała oboje, 15-letniego Bolesława i 7-letnią Kingę... na Węgry. Po klęsce Beli wrócili do Krakowa. Pięć lat później Bolesław ożenił się z Kingą, już dwunastoletnią, czyli wtedy już dorosłą. Nie starał się o następcę tronu i podobno nie uczynił jej kobietą. Gdyby z pobożności, mianowano by go raczej „pobożnym", niż „wstydliwym". Ale i Koloman, starszy brat Beli, jako mały chłopczyk za żonę dostał małą dziewczynkę, starszą siostrę Bolesława, Salomeę, i cóż się dziwić, że zanim zginął na Mohi, przeżyli ze sobą, dorósłszy, 15 lat małżeństwa jak brat z siostrą – jak wcześniej, będąc dziećmi... Taka to była epoka. Ślubom ubóstwa towarzyszyły śluby „czystości", wykluczającej współżycie seksualne, głęboka religijność była modą i przedmiotem dumy. Nie przyjęła się w Polsce. Nie odgadniemy prawdy o związku Bolesława i Kingi, bo i historii niepotrzebna. Mogły to zresztą być tylko modne

pozory... Młodsza siostra Kingi, Jolanta, chowana jak szwagier i siostra, wyszedłszy za innego księcia „Pobożnego", z Wielkopolski, rodziła mu dzieci jedno po drugim.

Węgry były Polanii bliskie, jak wiemy, od paru wieków. Polscy książęta brali z Węgier wzór dla swych kancelarii, Węgrzy z Polski wzór dla zjazdów rycerstwa, decydujących o państwie. Wnuk wielkiego Beli III, syn i następca Andrzeja II, Bela IV, pracowicie teraz odbudowywał kraj po tatarskich zniszczeniach. Sprowadzał osadników z różnych krajów Europy. Szli doń chętnie na bogate Węgry. I jak powiadają, to dzięki niemu, Beli IV, narodził się tak popularny przez wieki w Polsce tokaj. Tokaj, różne jego odmiany, to nie kwestia szczepu winorośli, jakby można przypuszczać, a sposobu wyrobu, poczynając od opóźnienia w zbiorze winogron... To owoc wieloletnich eksperymentów, zapewne już za czasów Beli III. Nie rozstrzygniemy tego problemu.

W Kindze, dziewicy z wyboru bądź z legendy, nie było jednak nic z legendarnej, „znanej ze świątobliwego życia" chudziny. Wyrosła na dziewczynę urodziwą i energiczną. Gospodarna pani swoich dóbr, jedne sprzedawała, inne kupowała, została z czasem właścicielką trzech kasztelanii z przywiązanymi do nich dobrami. Pożyczała mężowi pieniądze na odbudowę kraju. Jolantę, którą ojciec do nich przysłał malutką, wychowali i dwunastoletnią dali za żonę księciu Gniezna i Kalisza, Bolesławowi, już dla współczesnych „Pobożnemu". Był to chyba jakiś gest pojednania, bo to jego ojciec, Włodzisław Odonic, maczał palce w skrytobójczym mordzie na ojcu Bolesława Wstydliwego, Leszku Białym. Urodziła Jolanta, dorósłszy, trzy córki, tak więc jej pobożny mąż na pewno nie był impotentem. Nie dorobili się syna i chowali jak syna, od niemowlęcia - przyszłego Przemysła II, po starszym bracie Bolesława Pobożnego, Przemyśle, wdrażając potem chłopca planowo do przyszłych obowiązków i zadań władcy. Będzie to miało nie błahe znaczenie dla odbudowy państwa... Klasztorów oboje razem, Bolesław Pobożny i Jolanta, ufundowali aż pięć, wszystkie dla franciszkanów, symbolizujących ubóstwo. Obie siostry, Kinga i Jolanta, owdowieją tego samego 1279 roku i obie usuną się do ufundowanego przez Kingę klasztoru klarysek - widać, że kochały jednak tych swoich Bolesławów.

I to wtedy odkryto - zdarzenie bardziej historycznego znaczenia - wielkie złoża soli kopalnej w Wieliczce i w Bochni. Nie jest pewne, gdzie najpierw. Opowiadano później, że Kinga na Węgrzech wrzuciła swój pierścień do szybu kopalni soli w Marmarosz i znaleźli go rzekomo kopacze w soli podkrakowskiej. Tylko, że w Marmarosz kopano sól - odkrywkowo... Wieliczkę zaś dawno już nazywano Magna Sal, Wielką Solą, bo ze studni, głębionych do płytko zalegających, podziemnych żył solankowych, czerpano słoną wodę, a mistrzowie solewarstwa, „warzyce", warzyli z niej sól w ogromnych ilościach. Byli ci warzyce fachowcami rzadkimi, stanowiska im gwarantowano specjalnymi przywilejami, z prawem dziedziczenia przez potomków. Dopiero Bolesław Wstydliwy zrobił sól monopolem władcy - może z inicjatywy bystrej, zapobiegliwej żony?

Prof. Antoni Jodłowski znalazł na dawnym zamku „żupnika", rządcy lub dzierżawcy kopalni w Wieliczce, szyb, już nie studnię, z pierwszej połowy XIII wieku - sprzed władzy dorosłej już Kingi! Dokopano się warstwy „zielonki", soli szarej, pomieszanej z iłami, w niewielkich, nieregularnych pokładach; to nie było złoże lite i rozległe jak w Bochni. Pierwszą sól kopalną z Wieliczki sprzedawano w panwiach, jak tę z warzenia. Kopali zaś miejscowi - czego dowód w tym, że krakowskie żupy solne nigdy nie przyjmą zachodniego „prawa górniczego".

Zostaną te żupy pierwszymi w Europie wielkimi przedsiębiorstwami. Wydatnie podbudowały stołeczną pozycję Krakowa. Dziś to fascynujące zabytki dawnej techniki, dowody niesłychanej inteligencji i fachowych umiejętności górniczych. Z drugiej strony - cóż za model organizacji, jakiż kapitalny ustrój przedsiębiorstwa, warto, by go zbadali specjaliści od zarządzania! To w Wieliczce powstanie pierwszy w historii Europy związek zawodowy, „bractwo kopackie", a ci górnicy, tytułowani później „pierwszymi robotnikami Jego Królewskiej Mości", będą - w przyszłości - partnerami właściciela króla w interesach. Będą chronić bezcenne złoża, będą umieli przeciwstawić się nieoględnej lub grabieżczej eksploatacji ze strony „żupników", dzierżawców żup. Ten ustrój przedsiębiorstwa o kilkaset lat wyprzedzi udział spółek pracowniczych w biznesie... To zaś przedsiębiorstwo zapewni władcom Polski stały dochód i niezależność finansową dworu.

Poza wielowarstwową konstrukcją łuku i taktyką bitewną Tatarzy XIII wieku nie wnieśli do historii niczego. I to nie lęk przed nimi szczepił Polakom poczucie tożsamości. Zaświadcza je na piśmie - pierwszy „zwód", czyli zbiór zwyczajowego prawa polskiego. Spisano je na użytek... Krzyżaków. Krzyżacy zapytali podbijanych Prusów, jakim prawem chcą być rządzeni. Ci w roku 1249 wskazali prawo - polskie. Bez kar mutylacyjnych, kaleczących, bez chłosty, bez śmierci za byle co. I proszę sobie wyobrazić, ile czytamy dumy w autorze czy też autorach zwodu: Żydom prawo dał Bóg, Grecy (bizantyjscy) wzięli prawo od Rzymian, a w Polsce „dawno temu, w starożytnych czasach, kiedy ludzie zaczęli toczyć spory i dopuszczać się bezprawia, rada mędrców utworzyła sądy, przy pomocy których wymuszano na każdym przestrzegania zwyczajów" - jak u starożytnych Rzymian!

Mój profesor, wielki historyk prawa, Adam Vetulani, domyślał się autora tego zwodu w Jakubie ze Skaryszewa (spod Radomia), znakomitym prawniku, „doktorze dekretów" po uniwersytecie w Bolonii. Ja przypuszczam, że opracowali zwód niezauważani przez historię „notariusze" kancelarii książęcych, Jakub raczej nie miałby czasu. W połowie stulecia zabiegał usilnie o kanonizację św. Stanisława, jeździł, rozmawiał, przekonywał, argumentem za kanonizacją był oczywisty cud - biskupa rozsiekano, a tu w grobie odkryto kościec z członkami cudownie zrośniętymi! Gorący patriota, późniejszy kapelan Przemysła II, księcia Wielkopolski, syn niemieckiego osadnika, głosił, że jak zrosły się członki świętego, tak powinno, uwaga!, zrosnąć się „ciało" Królestwa Polskiego.

Pisał tak również w swoich żywotach świętego pierwszy znany z imienia kompozytor polski, Wincenty z Kielczy (z Kielc?), dominikanin krakowski. Skomponował hymn ku czci św. Stanisława *Gaude Mater Polonia*, „Ciesz się, Matko Polonio". Cieszyć ma się nie „Śląsk", nie „Wielkopolska", nie „Ziemia Krakowska", lecz - „Matka Polonia". Wedle innych badań słowa hymnu pochodzą od XIV-wiecznego biskupa Jana Kępy z wielkopolskiego rodu Łodziów, jednak logika dziejów broni autorstwa Wincentego. Wielkopolska strzegła czci św. Wojciecha, a nie świętego „krakowskiego".

Św. Stanisława kanonizowano w 1253 roku. Skaryszew dostał dzięki Jakubowi w 1264 r. prawa miejskie...

Północną Polskę wywiad Tatarów zlekceważył - snadź nie rokowała wielkich zdobyczy. Niemniej teraz napływają tu szeroką strugą nowi koloniści z Niemiec. Podgrodzia warowni na ziemiach polskich zamieniają się w ciągu życia jednego pokolenia w miasta, których rynkami i ulicami chodzimy do dzisiaj. Sporo tych Niemców było prawdopodobnie potomkami Słowian połabskich, którzy jeszcze znali swój pierwotny język (do 1327 roku sąd w Lipsku dopuszczał język Serbów w postępowaniu sądowym); stąd ci „Niemcy" polonizowali się bardzo szybko.

Ówczesne Niemcy nie dorównywały rozwojem Italii czy też Akwitanii, ale nadal wyprzedzały ziemie Polski o dwieście lat cywilizacji. Zachodni Niemcy jeszcze w połowie XII w . szli krucjatą na pogańskich Słowian Holsztynu (ponieśli klęskę), natomiast Sasi, już bez wojen, samą swą kulturą wchłaniali stopniowo Słowian połabskich - zachowując ich nazwy miejscowe, od Drezna i Lipska po Berlin, Rostok i Lubekę. Teza jednego z wielkich naszych historyków, że Niemcy „nie umieli nawracać", przenosiła krzyżackiego ducha na Sasów, pod których władzą Serbowie łużyccy utrzymali swój język i kulturę do XX wieku.

Ziemie polskie, ciągle niedoludnione, chętnie witały przybyszów. Wśród gościnnych Polaków polonizowali się szybko także rdzenni Niemcy. Witelo, XIII-wieczny ojciec optyki z jej geometrią, jeden z największych uczonych późnego średniowiecza, matematyk, żyjący poza krajem, syn Turynga i Polki ze Śląska, na tym Śląsku urodzony, pisał o „naszej ziemi Polonii". Chronili swą tożsamość niemiecką, co nie dziwne - osadnicy z dalszych stron, którzy zwartymi grupami tworzyli nowe miasta i wsie. XX wiek odkrywał w starych niemieckich rękopisach poczucie wyższości, ale my, na odwrót, czytaliśmy je i w zwodzie polskiego prawa. Do konfliktów dojdzie później. Tak czy siak, nic nie wskazuje, by chciano jednoczyć kraj w poczuciu zagrożenia.

Coraz więcej mieli teraz do powiedzenia - i chcieli mieć do powiedzenia jeszcze więcej! - możni wielkich, bogatych rodów, nazywanych wspólnymi rodowymi imionami. Pamiętamy Awdańców i Łabędziów. Posługiwali się już rodowymi pieczęciami, zachowały się one właśnie z XIII wieku. Wcześniejsze znamy tylko, jak wspominałem, znaki... kamieniarskie z XII wieku. „Herb", od niemieckiego *Erbe*, dziedzictwo, pochodził z Czech, traktowanych jako wzór. „Klejnot", od XV wieku równoznaczny z herbem - od łacińskiego *clenodium*, rzeczy kosztownej, klejnotu. Pierwotnie obywał się bez litery „j", przez wieki był „klenotem" jak w Czechach. Nabrał wartości symbolicznej, kiedy szlachta wyodrębniła się jako „stan", klasa społeczna.

Będą herby upowszechniały się wolno jako podstawa pieczęci, pieczętowano bowiem dokumenty umów, czyli - dla obrotu ziemią. Gruntów teraz nie sprzedawały całe rody, a pojedynczy właściciele. Zaczęło się więc od herbów, rzec można, indywidualnych. Pieczęć z „herbem" ojca dziedziczył tylko najstarszy syn. Młodsi synowie musieli wprowadzać do herbu jakieś odmiany - żeby się przy transakcjach nikt nie pomylił, biorąc nie uposażonego syna za dziedzica majątku. Im później obmyślono jakiś herb, tym później, można wnioskować, dany ród się dorobił i jego ludzie kupowali – bądź sprzedawali – jakieś dobra ziemskie.

Z czego się brały te czy inne herby, trudno bywa ustalić. Ich legendy wymyślała sobie szlachta później. Herby - do tej pory tylko znak własności ziemskiej - awansowały na tarcze w potrzebach wojennych i turniejach rycerskich. Drużyny rodu obwoływały się w boju swymi „zawołaniami", najważniejszych nadal obdarzano zaszczytem walki w pierwszej linii – bo tatarskiej lekcji prowadzenia wojny i rozgrywania bitew Europa rycerzy nie odebrała...

Ile kto z naszych przodków był wart, odczytamy z ówczesnej wysokości „zagłównej". Być może teraz, w XIII wieku, gdy gorączka złota i srebra pomnożyła pieniądze w obrocie, płacono więcej niż w XII wieku. Bite monety jednak temu obrotowi ledwie nastarczały, płaciło się więc i skórami, zbożem, wieprzami, bydłem czy miodem, wszystkim, co dało się przeliczyć, a nie podlegało przecież inflacji. Pochwyconych na gorącym uczynku „główników", czyli zabójców, książęta ścinali jak dawniej, a jeśli zabito kogoś na którymś

z publicznych gościńców, chronionych mirem książęcym - „główník” (lub jego ród) musiał poza główczyzną zapłacić 50 grzywien księciu! Jeśli zabił na lokalnej drodze wiejskiej - 6 grzywien temu, kto sprawował sądy na danym terenie...

Dzięki umowie księcia kujawskiego, inowrocławsko-gniewkowskiego, Kazimierza III, z Krzyżakami z roku 1252 wiemy, ile kto był „wart”. 30 grzywien kosztowało zabójstwo „rycerza” (*miles* w tamtej łacinie), sprawującego jakąś „świecką władzę”. Ci „rycerze” to kasztelanowie i możni, właściciele wielkich dóbr, z prawem sądzenia poddanych w drugiej instancji (poza sprawami o zabójstwo), lub wysocy urzędnicy dworu. Mogli zasiadać z biskupami w „wiecu” przy księciu. Za śmierć zwykłego rycerza, „prostego żołnierza wojskowego rodzaju”, należało się 15 grzywien, a 6 grzywien - za człowieka wojennego z warstw niższych, jak owi chłopscy sołtysi lub inni wolni „kmiecie”, sługujący wojskowo. Za kilkadziesiąt lat ci zwykli rycerze, „prości żołnierze”, ci za 15 grzywien, będą już - „szlachtą”. Herby nie będą wyróżniały wojów, będą znakiem bogatych lub tylko zamożnych właścicieli ziemskich, później z rycerstwem nie mających nic wspólnego. Moi przodkowie nie będą pamiętali jak się naprawdę nazywali, a herb sobie wymyślili wyjątkowo, no, niefortunny...

Przybywało wtedy również swoistego stanu „dwa i pół”, lokującego się w hierarchii społecznej między duchowieństwem i przyszłą „szlachtą” a mieszczaństwem i ludem wiejskim - Żydów. Uciekali z Zachodu masami. W Anglii budowali za swoje pieniądze klasztory, żydowski bankier sfinansował lordowi Pembroke'owi w roku 1170 podbój Irlandii. Nic to nie pomogło. Brytyjska gloryfikowana *Magna Charta Libertatum*, Wielka Karta Swobód z 1215 r., nie obejmowała Żydów... Długi rodziły w rozrzutnikach nienawiść i pomysły, jak się uwolnić od... wierzycieli. W 1271 r. zakazano Żydom własności ziemskiej, w roku 1275 - pobierania procentów (!), w roku 1278 za obrzynanie monet stracono w Londynie 293 Żydów (napisał nie tak znowu dawno znakomity, a prostoduszny historyk angielski, George Coulton - „niewykluczone, że wszyscy byli winni”), aż w 1290 r. Edward I wygna ich ostatecznie. Mogli zabrać tylko ruchomy dobytek. Król Francji, Filip IV Piękny, wygna Żydów także. Dla tych samych celów. Majątki Żydów, ani ich pieniądze nie złagodzą jednak chciwości tego króla – będzie miał jeszcze inne, bardzo różne pomysły na to, jak zagarnąć cudze bogactwa. Żydzi francuscy przynajmniej uchodzili cało. Mogli wyjechać.

W Polsce książę wielkopolski, Bolesław Pobożny, wydał w roku 1264 przywilej dla gminy Żydów swego dawnego Kalisza. Przyjęło się, nie wiedzieć czemu, że naśladował tym aktem czeskiego Przemysła Ottokara II. W naśladowaniu Czechów nie byłoby nic dziwnego, Czechy uznawano swoistą ojczyzną kultury, postępu i obyczajów klas wyższych w tej części Europy. Z Czech przyszły wszak „herby” i „klenoty”, wielkopolskim synom książęcym dawano czeskie imię Przemysła. Tymczasem wzorcowy przywilej dla Żydów wydał grubo wcześniej, w roku 1251, własny teść Bolesława Pobożnego, Bela IV, ojciec jego Jolanty. Bela też potrzebował Żydów z ich pieniędzmi. Władza książęca miała teraz chronić ich jako „sługi skarbu”, chronić ich interesy, świątynie tudzież cmentarze. Będą gminy żydowskie rządziły się i sądziły swoim własnym prawem, a spory z chrześcijanami będzie rozstrzygał w imieniu wojewody specjalny „sędzia żydowski”.

Pozycja Żydów na Węgrzech, w Czechach i Polsce, oddzielała tę część Europy od jej zachodu i od papieskiego Rzymu. Tam wysoce religijna nienawiść dłużników do wierzycieli nie tylko nie zanikała, a przeciwnie, pogłębiała się. Prowadziła do zaskakujących napięć. W 1267 r. na synod ogólnopolski we Wrocławiu przybył legat papieża Klemensa IV. Zażądał w jego imieniu, by także w Polsce wymagano od Żydów, jak

chciał Innocenty III, specjalnego stroju i ścieśnienia się w odrębnych dzielnicach miast. Niczego nie uzyskał. Nie posłuchali go ani polscy biskupi, ani polscy książęta i możni, papiestwo skarżyło się potem, że w Polsce i duchowieństwo sprzyja Żydom. Rzym nie orientował się, lub nie chciał się orientować, że ówczesna Polska od trzech wieków traktowała Żydów, kupców jeszcze muzułmańskich, jako pożądanych gości. Teraz po prostu Żydów z ich wiedzą, umiejętnościami i pieniędzmi potrzebowała. Nie odróżniała więc tych ze wschodu od tych z zachodu. Zwłaszcza, że o mieszczan łatwiej nie było - Węgry bardziej ich pociągały.

Ruś kijowską i włodzimierską Tatarzy cofnęli w rozwoju o parę stuleci. Nie dosięgli tylko Nowogrodu Wielkiego, jądra przyszłej Wielkorusi. Doceńmy to, że nie zagarnęli Polski, ani Węgier... Choć mogli! Wielki chan wprawdzie stracił władzę nad Złotą Ordą, ale ona sama, zanim w XV dopiero wieku rozpadnie się ostatecznie na kilka niezależnych państw różnych chanów, miała dość siły i ludzi na dalsze podboje. Nauczyła się jednak pokoju - w kontakcie z cywilizacją islamu, któremu stopniowo uległa. Ten pokój więc będzie zawdzięczała Europa islamowi – jeśli nie liczyć przyszłych starć polskich i rosyjskich z rabunkowymi wyprawami Tatarów krymskich.

Tatarska przygoda naszych przodków nie zakończyła się pokojem. Owe rabunkowe napady na Ukrainę, Wołyń i Podole będą się ciągnęły parę stuleci. Do czasu, gdy niemały odsetek Tatarów przejdzie w służbę Rzeczypospolitej, a potem zostanie osiadłymi Polakami, ojcami bardzo wziętych tatarskich żon polskiej szlachty z ziem wschodnich. „Fałda mongolska" na powiekach wyróżnia ich potomków jako znak pokoju między dawnymi Tatarami a Polakami.

Tak czy inaczej polski wiek XIII mimo Tatarów uformował, jeśli nie całe polskie społeczeństwo, to jego elitę, ze wspólnym poczuciem tożsamości i własną filozofią państwa. Pozostawało tylko powołać je do życia.

14. CI, CO TWORZYLI PAŃSTWO

W drugiej połowie XIII wieku przyszłość znowu przeniosła się do Wielkopolski. Epoka to była paskudna – od dawna żadne już ideały się nie liczyły i Boga nikt się nie bał. Czas był niespokojny – czego znowu najlepiej dowodzą grube mury obwodowe budowanych wtedy kościołów. Stawiano je nie z cegły, lecz znowu z kamienia, ze ścianami grubymi i na 1,2 metra, nic z lekkości i subtelności gotyku. Najwyraźniej kościoły znowu miały być twierdzami. Umieszczone w ołtarzu relikwie nie wystarczały dla ochrony wiernych...

Stosunki między braćmi, książętami Wielkopolski, też nie układały się idyllicznie. Starszy, Przemysł, amator ksiąg, prawdopodobnie po jakiejś uczelni zachodniej, najpierw zachodnim obyczajem pasował uroczyście młodszego brata, Bolesława, przyszłego Pobożnego, na rycerza, dał mu do rządzenia część Wielkopolski. Potem zabrał i dał inną. Po czym zabrał znowu i jeszcze niesfornego, nieposłusznego mu chłopaka uwięził. W końcu, dorosłemu już, dał jednak obie zabrane mu ziemie, i gnieźnieńską, i kaliską.

Kiedy się ostatecznie dogadali w roku 1253, lokowali miasta jedno za drugim. Czy to oni sami byli tak bystrzy i otwarci na świat?

Mieli wokół siebie duże środowisko kanoników i mnichów po włoskich i zachodnich uniwersytetach. Im samym, książętom, jak też kapitułom Gniezna i Poznania, ci świetni z reguły prawnicy prowadzili kancelarie; prowadzili i szkoły katedralne. Nie byli tylko urzędnikami. Zachowały się ich fachowe glossy na rękopisach prawniczych rozpraw. Nie reklamuję ich bezzasadnie. Wywodzili się ci prawnicy z możnych rodów Wielkopolski, z Łodziów, Zarembów, Nałęczów. Później i z domów - mieszczańskich. Kwalifikacje cenili wysoko: kiedy zmarł biskup poznański, uprzednio kanclerz Przemysła, oczywiście - magister po zachodnich studiach, kapituła wybrała po nim niejakiego Pietrka, ale ten nie mógł zostać biskupem. Nie miał za sobą studiów i nie znał dostatecznie prawa!

W tym samym roku 1253, kiedy zaczynają ściągać osadników z Niemiec, Przemysł I z Bolesławem skarżą się w kurii papieskiej na króla Niemiec i na książąt niemieckich, że ci przywłaszczają sobie ich ziemie. Kiedy przyjrzymy się dacie, dojdziemy łatwo, że nie mogło im chodzić o młodego cesarza Konrada IV, przedostatniego z linii Staufów, który nie radził sobie z własną opozycją w Niemczech. Chodziło tym razem o apetyty margrabiów Brandenburgii z rodu Wittelsbachów, domu książąt Bawarii.

Feudałowie tej epoki nie wszczynali już wojen tylko dla samej grabieży. Starali się zagarnąć ziemie, zwłaszcza dobrze zagospodarowane, więc dochodowe, tudzież dochodowe miasta. I każdy bronił swego. Przeciwko zachłanności Marchii Brandenburskiej wiązały się sojuszami inne państewka niemieckie. Wspólnie, na odmianę, z Brandenburgią zwalczali ekspansję królów duńskich książęta Pomorza Zachodniego, w sporej części mówiący już na co dzień po niemiecku.

Ksenofobii długo tu żadnej mimo to nie było. Ale te kościoły świadczą, że kogoś tu się bano. Z początkiem lat 70-tych, kiedy Bolesław Pobożny, razem z Mszczujem, władcą Gdańska, odzyskają z rąk Brandenburczyków Gdańsk, kiedy wespół z Kujawianami Bolesław przepędzi ich z innych ziem, ówczesny kronikarz nazwie go *maximus triumphator de Theutonicis*, „największym triumfatorem nad Niemcami". I to właśnie rycerstwo wielkopolskie popchnie Bolesława do wojny z brandenburskimi kuzynami (tak,

Piastowie i z nimi wiązali się małżeństwami) o odzyskanie Santoka, zaś rycerstwo Kujaw, ze swoim biskupem Włocławka na czele, wygoni sprzyjającego Krzyżakom swego miejscowego księcia, Siemomysła, by Kujawy przyłączyć do Wielkopolski.

W ciągu dosłownie dwudziestu paru lat, życia jednego pokolenia, rodzi się poczucie narodowego zagrożenia. Najpierw - ekspansją margrabiów brandenburskich. Bo nie dla propagandy odnowy „królestwa" stawiano kościoły o grubych, kamiennych murach... Zwłaszcza, że i wiece, jak podkreślałem, i biskupi znacznie wcześniej próbowali jednoczyć te kilkanaście księstw i książtewek kraju, próbowali łączyć jego podzielone mytami i cłami członki. Nie ze strachu przed Tatarami. I jakby na przekór temu, co działo się w innych krajach Europy.

Metropolia gnieźnieńska, jak wiemy, była kościelną stolicą kraju i odgrywała ogromną rolę w procesie jego jednoczenia. Kilkanaście lat cierpiała wakat, aż ją w 1283 r. objął z wyboru kapitały Jakub, którego ja piszę Świńcą, nie Świnką, bo takie słowo nie miało żadnego symbolicznego, przenośnego znaczenia, świnki domowe, delikatnie mówiąc, nie cieszyły się szacunkiem. Natomiast „Świńca" to było od ołowiu, czyli „świńca" w dawnej nomenklaturze, a ten świniec „odpędzało się od srebra" przy wydobyciu tego kruszcu. Potomkowie tej rodziny zapewne dopiero w parę pokoleń później dorabiali się jakichś włości i dorabiali sobie dla pieczęci herb. Odczytali zapis „Suinca" jako Świnkę (niektórzy historycy chcą reperować imię rodu na Zwinków) i obmyślili głupi herb. Rówieśny kuzyn Jakuba Świńcy, kasztelan, wprawdzie należał do wyższej kategorii „rycerzy", czyli jego uśmiercenie kosztowałoby 30 grzywien, ale jego potomkowie najwyraźniej zbiednieli - potrzebowali herbu dla pieczęci, przybijanymi na aktach kupna-sprzedaży, dopiero, jak myślę, na przełomie dopiero XIV i XV wieku, kiedy już o przodkach niewiele wiedzieli. Nie była to wielka szlachta, rozrodziła się potem w parę dziesiątków rodzin o różnych nazwiskach, a tego samego herbu. Wśród nich i w moją rodzinę. Też nienajbogatszą..

Jakuba Świńcę zaalarmuje ekspansja niemieckiego żywiołu językowego. Jego ród pochodził ze Śląska; być może tam ów ród, znad Swiny, gdzie mieli zamek, odkrył to zagrożenie, straciwszy jakieś dochody, bo lepiej umieli o nie zadbać energiczni, przybyli z zachodu poszukiwacze złota i srebra. Z synodu prowincjonalnego w Łęczycy arcybiskup zaadresuje w 1285 r. niemal dramatyczny list do rzymskiego kolegium kardynałów, skarżąc się, że ziemie polskie cierpią *ingressus gentis Theutonice*, najście ludzi rodu niemieckiego, szlachty, osadników, duchownych, a *fines Poloniae per principes Theutonie occupantur*, ziemie Polski zajmują niemieccy książęta, tak że Polakom grozi zagłada, *exterminium gentis*, co wraz z oczywistym zagrożeniem swych kościołów duchowieństwo musi opłakiwać głosami pełnymi żałości. Trzeba, żeby Polska nazywała się jak przedtem Polską, a nie Saksonią, *ut Polonia sicut prius, non Saxonia censeatur*... To nie przeszkadzało, że Kościół wielkopolski Jakuba Świńcy sam ściągał osadników z różnych krain niemieckich. Najpewniej – przede wszystkim z tych wschodnich, saskich właśnie.

Synod łęczycki, po nim zaś i następny, nakazywały wobec powyższego powierzać szkoły jedynie tym, którzy potrafią objaśniać teksty łacińskie w dobrej polszczyźnie. Nie każda jeszcze parafia miała szkołę, ale z końcem XIII wieku w samym biskupstwie poznańskim było parafii aż 110, powstawały zaś nowe kolegiaty, czyli kościoły ze zgromadzeniami kanoników, prowadzącymi szkoły na wyższym od parafialnych poziomie. To już nie była sama tylko propaganda. To był przemyślany i konsekwentnie realizowany program edukacyjny. Jednakże w grubych, kamiennych murach...

Nakazał synod, by każda parafia prowincji gnieźnieńskiej, czyli całej Polski, zaopatrzyła się we własny egzemplarz pieśni o św. Wojciechu i żeby ją stale śpiewano. Kult św. Wojciecha wiązał kraj z Gnieznem, z arcybiskupstwem; samo Gniezno zwano wszak przenośnie „świętym Wojciechem". To on miał patronować państwu, które chciał odrodzić arcybiskup Jakub.

Bolesław Pobożny chował bratanka na zawodowca władzy. Przemysł II, młodzian bardzo oczytany i chłonny umysłowo, już jako dorastający chłopak zatruwał życie stryjowi, by mu dał coś do władania. Dojrzałego już, zrobił Bolesław księciem poznańskim - przekazawszy mu swoje doświadczenie, program, a potem, umierając w 1279 r., znakomitą kancelarię (nie przesadzę chyba, sugerując, że ta kancelaria ze swoimi poglądami będzie zarodkiem przyszłej państwowości).

Przemysł II nie zmarnuje tego spadku. Będzie lokował kolejne miasta na prawie niemieckim i zakładał nowe, jego kancelaria zasłynie wysokim poziomem prawniczych umiejętności, profesjonalizmem dokumentów i języka. Jej bym też przypisywał raczej, niż samemu Przemysłowi, inicjatywę spisania na nowo historii Polski, takiej do łatwego, ogólnego odczytywania. „Kronika Wielkopolska" obejmie wiele szczegółów nie zawsze pewnych, czasem wręcz mitycznych, ale nieznanych Baldwinowi, ani mistrzowi Wincentemu, zwanemu Kadłubkiem.

Jakub wsparł Przemysła, a był i potęgą świecką - własnymi siłami egzekwował zawłaszczone dobra kościelne. Przekazywał je wszelako księciu, by ten regulował szkody. Jakub Świńca, prawnik, autor solidnych statutów kościelnych, pilnował porządku. Zaprowadził go i w zarządzaniu archidiecezją. To on będzie teraz głównym zwolennikiem jednoczenia ziem polskich.

W dziele tym uwypukla się przeszkody - intrygi możnowładców i zdrady. Cóż, wielcy właściciele ziemscy, możni panowie, reprezentowali potężną siłę. Widać ich już w kronice mistrza Wincentego. Mieli swoich zbrojnych, swoje kręgi krewniaków, poplecznikόw i zaciężnych żołnierzy. Ale to oni w Wielkopolsce pod przewodem swoich biskupów i kuzynów z kancelarii księcia, poparli jednak Jakuba Świńcę i Przemysła II. Co nimi kierowało?

Z końcem stulecia Przemysł II uzna feudałów napadających dobra kościelne za *hostes nostros et Ecclesie ac republice*, za wrogów naszych i Kościoła, oraz, uwaga, rzeczy pospolitej! Choć, jak widać z kontekstu, nie musiał tej „rzeczy pospolitej" tutaj wtrącić. Czyli że *res publica*, „rzecz pospolita", publiczna, jest już pojęciem obiegowym, czymś wymaganym i koniecznym... Panowie wielkopolscy najwyraźniej byli za tą „rzeczą pospolitą".

„Krakowski" św. Stanisław nie wystarczał dla niej. Małopolskę zajął i próbował pozyskać sobie jej możnych specjalnym przywilejem w 1291 r. król czeski, Wacław II. Liczył na tron polski, a był to władca i mądry, i kompetentny. Zreformował pieniądz, wypuszczając solidne i bardzo wzięte „grosze praskie", uporządkował prawem swoje górnictwo i zorganizował administrację. Jako Czech był niewątpliwie w Polsce bardzo popularny.

W 1295 r. Jakub Świńca porozumiał się z nowym papieżem, Bonifacym VIII. Ten papież, znowu postać nie tuzinkowa, jakże inny od Innocentego III, patronował artystom, założył uniwersytet, ale nie zdołał powstrzymać francuskiego chciwca, Filipa IV Pięknego, przed opodatkowaniem kleru bez papieskiej zgody. Specjalną bullą określił zakres papieskiej

władzy; Filip Piękny da jego następcy ponurą lekcję, na ile trzeba się z tą władzą liczyć… Wedle niektórych dzisiejszych historyków Bonifacy podobno nie rozumiał ambicji rodzących się państw narodowych – oskarżenie bezsensowne, bowiem poza Węgrami, Polską i Anglią daleko było do struktur o charakterze państwa, a jedyne zorganizowane państwo, sycylijskie, nie było państwem narodowym. Władcy Czech i Anglii nie mówili językami swych poddanych. Za akceptacją Bonifacego koronował Jakub w Gnieźnie królem Polski Przemysła II, ten został pierwszym znowu „królem" od czasów, gdy kuria papieska tytułowała „królem" potężnego władcę „Polanii", a Polanię – „królestwem". Była tym „królestwem" teraz Polska z Pomorzem nadwiślańskim, jeszcze bez Krakowa, stolicy dawnej dzielnicy senioralnej. Pojęcie *regnum*, na pół prawno-publiczne, na pół sakralne, obejmowało jednak wszystkie ziemie polskie. Nawet i te, których książęta nie kwapili się uznać wspólnoty państwowej. W kilkadziesiąt lat później władca Czech, Jan Luksemburski, który zhołduje cały Śląsk, zwróci się do króla Polski, by zrzekł się swych praw zwierzchnich wobec Śląska…

Niedługo panował król Przemysł II - pół roku. Zamordowały go w Rogoźnie zbiry margrabiów brandenburskich, spiskujących z rodami Nałęczów i Zarembów. Padł Przemysł II, o ironio losu, ofiarą takiego samego skrytobójstwa, jakim swego rywala wykończył jego dziad…

Miejsce po Przemyśle zajął trzydziestoparoletni mąż córki Bolesława Pobożnego, kujawski książę Włodzisław, dla małego wzrostu zwany, nie bez kpiny, Łoktkiem, Łokietkiem. Nie budził zaufania Świńcy. Arcybiskup miał go za jednego z warchołów, wolał pewnie jego starszego brata, Leszka Czarnego. Tego poparło małopolskie mieszczaństwo i drobne rycerstwo, ale zmarł w 1288 r. Świńcy chodziło o państwo spokoju i porządku, o ukrócenie rozbojów i gwałtów… Łokietek stracił Kraków, odziedziczony po bracie, zajął go czeski Wacław II. W końcu wspólna już większość możnych, i Wielkopolski, „Polski Starszej", i „Młodszej Polski", czyli Małopolski, powołała na tron polski tegoż Wacława II. Przyjęła się opinia, że zadecydowały przywileje, których udzielił po zajęciu Małopolski, ale najpewniej Czechy uważano po prostu za kraj bliski i swojski, a wyższej cywilizacji, król czeski imponował swoimi umiejętnościami i porządkiem w jego państwie. Złożyli mu hołd kolejno książę bytomski, potem cieszyński i opolski, a wreszcie oddano mu pod opiekę chłopców – książąt legnicko-wrocławskich; nie musiał ich ziem podbijać, to jego pomocy i opieki szukano. Jego krakowskie przywileje potwierdzały tylko zachowanie *status quo*, kontynuowały przywilej z Cieni. Gwarantował zaś Wacław ukrócenie napadów i rabunków, on, który bez litości mordował w Czechach już nie zbójców tylko, ale i swoich przeciwników…

Jakub koronował go w roku 1300. Wacław ożenił się z córką Przemysła, wszedł więc do rodziny Piastów. Reorganizował administrację, skutecznie - po nim mamy pojęcie, słowo i urząd „starosty". Samą swoją sprawnością zarządu obiecywał, jak mniemano - zwróćmy uwagę na ten motyw - perspektywę połączenia i zjednoczenia ziem polskich. A może nawet - zjednoczenia z czeskimi? Arcybiskup nie dowierzał mu, ale uznał decyzję tych, którzy w jego pojęciu reprezentowali kraj.

Nieufność żywił Jakub zasadną - tegoż roku w Moguncji Wacław przyjął Polskę od króla Niemiec jako lenno… Rzeszy! Mój czcigodny przodek, jak wieść niesie, naraził się Wacławowi II od razu przy koronacji. Okolicznościowe kazanie głosił biskup niemiecki – po niemiecku. Zirytowany Jakub Świńca palnął podobno, że to jakby pies szczekał. Nie ukrywał swej ksenofobii. Tej koronacji nie uznał potem papież Bonifacy VIII. Możemy się domyślać, z czyjej inspiracji i dla jakich pieniędzy. Także ten papież lubił pieniądze, ale

nie zamierzał pławić się w zbytku, wydawał na uczonych i artystów; daleko mu było do chciwości francuskiego Filipa Pięknego. Filip nigdy nie przeoczył żadnej szansy na pieniądze, a papież Bonifacy nie mógł mu darować opodatkowania duchowieństwo swego kraju. Doszło do wojny. Tak, papieże wtedy i wieki później mieli swe armie, walki toczyły się parę lat, aż kanclerz Francji, Wilhelm z Nogaret, wziął papieża do niewoli i uwięził. Bonifacy VIII nie dożył siedemdziesiątki, Rzym jego następcą wybrał Francuza jako Klemensa V, a w 1309 r. Filip… przeniósł siłą papiestwo do Awinionu.

Dworami papieskimi przed Bonifacym rządziły polityka i zbytek. Papieże, otoczeni swoimi nepotami, palili na stosach fanatyków chrześcijańskiego ubóstwa, owych właśnie radykalnych franciszkanów, „spirytuałów". Zdrady stały się codziennością, królów mordowano w zamachach. Tak padł nie tylko polski Przemysł II. W rok po przedwczesnej śmierci Wacława II taki los spotkał i jego siedemnastoletniego syna, Wacława III. Skończyli od sztyletów życie i przedostatni król Węgier z rodu Arpadów, Włodzisław IV, Laszlo IV, zwany „Kumanem", i ów król Niemiec, Albrecht I Habsburg. Jeden jedyny czeski Przemysł Ottokar II przynajmniej zginął w bitwie z Rudolfem I Habsburgiem… Szalbierstwo stało się praktyką wręcz normalną – onże Filip Piękny, król Francji, wymusi na awinioński teraz Klemensie V, swojej marionetce, decyzję likwidacji zakonu templariuszy. Mieli oni kiedyś chronić pielgrzymów wędrujących do Ziemi Świętej, a rozwinęli swoje zgromadzenie dzięki sprawności w interesach do niebywałej potęgi finansowej. Filip u nich trzymał swoje pieniądze! By zagarnąć ich fortunę, fingował procesy o herezje i pogwałcenia czystości. Aresztował ich nagłymi atakami, torturował, a skazanych palił publicznie, demonstracyjnie, na stosach. Wielki mistrz zakonu, Jakub de Molay, mimo tortur nie wydał skarbu zakonnego, z płonącego stosu przeklął ród Filipa… Nikogo to nie przestraszyło. Nieuczciwość była czymś niemal naturalnym i powszechnym: Krzyżacy, wezwani na pomoc przeciw Brandenburczykom, zajmą Pomorze z Gdańskiem, by nie oddać go przez następne 150 lat!

Jakub Świnka nabierze z czasem zaufania do zdolności i dobrej woli owego „Łokietka". Jednakże o przychylność możnowładztwa wielkopolskiego i małopolskiego długo Łokietek musiał zabiegać. Miał przeciw sobie nie tylko rywalizujących z nim książąt śląskich. Piastowie z Mazowsza, władcy dziesiątka mini-ksiąstewek, otwarcie kumali się z Krzyżakami. Miał przeciw sobie patrycjat głównych miast kraju, w przewadze - niemieckiego pochodzenia. Dziedziczny wójt Krakowa, Albert, razem z patrycjatem innych miast, popierał, wcale nie ze względów narodowościowych, króla Wacława. Wacław II w sposób oczywisty górował nad kujawskim książątkiem. Nie jest jasne, jak to się stało, że popierający króla czeskiego Albert oddał jednak w 1305 r. Kraków temu książątku. Był to pewien przełom. Łokietek przeżył całą powieść przygód, nieszczęść i chwilowych sukcesów; bez końca walczył, przegrywał, czasem dosłownie miesiącami tułał się i ukrywał przed swoimi, tropiącymi go wrogami po lasach i jaskiniach. Ale miał i żelazny charakter. Jego zastępy rosły, waleczność i mądrość zjednywały mu zwolenników.

Kościół polski w większości opowiadał się za jednoczeniem kraju. Nie cały. Biskup krakowski, Jan Muskata, nie zaakceptował władzy Łokietka nad Małopolską, wystąpił przeciw niemu zbrojnie. Przeliczył się, wziął baty, uciekł na Śląsk do księcia opolskiego, ale w swej nieostrożności, czy też pewności siebie, wpadł w ręce Łokietka. Jakub Świnka zawiesił Muskatę w czynnościach biskupa, aż ten zadeklarował lojalność wobec władcy polskiego. Wypuszczony po niecałych dwóch latach, spiskował znowu. Prawdopodobnie to on zmontował w porozumieniu z owym księciem opolskim, Bolesławem I, bunt Alberta, wciągnął weń patrycjuszy innych miast. Łokietek rozprawił się dość krwawo z buntownikami, jego ludzie zabijali napotkanych mieszczan, którzy nie umieli dobrze po

polsku powtórzyć kilku prostych słów – „stęk, pęk, sieno, kopka”; powtórzyła je i zapamiętała historia. Muskata uciekł na Śląsk, Alberta uprowadził do Opola tamtejszy Bolesław I, wsadził do więzienia i trzymał go w nim 5 lat. W finale tej epopei Jakub Świńca wesprze Łokietka w pełni. Konkurentów jego wyklnie - i nie doczekawszy ostatecznego jego sukcesu, umrze w roku 1314.

Opowiedziałem tę historię z takimi szczegółami nie tylko dla jej przebiegu, wartego sensacyjnej powieści. Ci, którzy nawet nie sprzyjali Łokietkowi osobiście, wybrali go z rozsądku. Nie uwodził ich niczym, ani kupić nie mógł. Przekonał ich do siebie. Byli odeń całkowicie niezależni. Arcybiskup Gniezna mógł, jak zachodni książęta Kościoła, wykroić włości arcybiskupstwa w małe samodzielne państewko. Umierając, Jakub Świńca pozostawi następcy 259 wsi i 2 miasta! A jednak nikomu to nie przyszło do głowy... Teraz, po śmierci Świńcy, związany z nim wojewoda poznański, Dobrogost z Dzwonowa, przepędzi wszelkich konkurentów, by wspólnie, głosami duchowieństwa i rycerstwa, wezwać na tron - księcia Włodzisława. Poprą tego kandydata Nałęczowie z Zarembami. Ci, których ojcowie przyłożyli rąk do mordu na Przemyśle II.

Całe teraz środowisko prawników kapituły gnieźnieńskiej wspomaga Łokietka. Nowy arcybiskup, Borzysław (też czeskiego imienia) udał się do Awinionu, już stolicy papieskiej, by wykołatać proces przeciw Krzyżakom o zwrot Pomorza. Tam zmarł, być może z przygnębienia. Łokietek znalazł argument na Awinion - obiecał świętopietrze, owego „denara świętego Piotra” dla kurii rzymskiej (teraz awiniońskiej) nie od dymu, czyli od zagrody, lecz od głowy.

Papiestwo oczywiście nie chciało spodlonej polskiej monety, duchowieństwo polskie kupowało więc śląski złoty piasek albo solidne grosze praskie. I być może wtedy, dla tych płatności, Łokietek bił w Krakowie, znowu stołecznym, pierwsze polskie złote dukaty - nie z próżności, a z wyrachowania. Argument poskutkował: polscy duchowni zostali sędziami pierwszego procesu z Krzyżakami w 1320 r. Tyle, że ich wyroku Krzyżacy nie uznali...

Tegoż roku następca Borzysława, arcybiskup Janisław, koronował Łokietka. I tegoż roku jego córkę, Elżbietę, za żonę wziął nowy król Węgier, Karol Robert. Zabrakło już Arpadów, ale dziadek Karola Roberta miał żonę z Arpadów, był to więc ich kuzyn, z dynastii Andegawenów, panów królestwa Neapolu. Wbrew niektórym historykom, Karol Węgier nie podbił, królem go wybrano. Inteligentny reformator, zaprowadził porządek, bił znakomitą monetę i budował, aż zbudował, solidne siły wojskowe.

Król Polski planowo budował przymierza: swego syna, Kazimierza, wiosną 1325 r. ożenił z kilkunastoletnią Aldoną, uroczą córką Giedymina, władcy Litwy, poganina - przeciw Krzyżakom! Wydawano tak za mąż i brzydkie córki, ale uroda córek władców zawsze odgrywała w polityce zagranicznej feudalizmu nie małą rolę. Jeśli Aldona była uroczą panną, to Laszki jak w „Trzech Budrysach” Mickiewicza słynęły urodą. Królowie dla kobiet tracili głowy. Czasem dosłownie.

Giedymina za ten sojusz nasi bracia Litwini nie uznali po wiekach zdrajcą jak Jagiełłę, choć zamierzał ochrzcić Litwę, przyjąć katolicyzm, w oczywistym związku z Polską. Popierał Giedymina arcybiskup ryski, przeciwnik Zakonu Kawalerów Mieczowych, związanych z Krzyżakami, ale na pewno nie mógł Giedymin wybrać języka niemieckiej wersji katolicyzmu.

Król polski, Włodzisław, zawarł sojusz z książętami zachodniego Pomorza, a drugą córkę wydał za śląskiego Piasta, świdnickiego księcia Bernarda. Historycy, apologeci jego syna, Kazimierza Wielkiego, których opinie na temat Kazimierza podzielam, dla kontrastu pomniejszają Łokietka. Przypisują mu wyobraźnię i mentalność „księcia dzielnicowego". Tymczasem jego polityka międzynarodowa dowodzi swym rozmachem zupełnie innej wyobraźni, uczył jej syna, nie rezygnując bynajmniej z jednoczenia ziem polskich. Wiekowy już, ruszył w 1327 r. na Mazowsze, by zbrojnie wyperswadować mazowieckim książętom ich niechęć do włączenia się w Królestwo Polskie – ci zaś odwołali się o pomoc do swych sprzymierzeńców, Krzyżaków.

To byli podówczas najlepsi zawodowcy wojny w Europie. Tak zaczęły się polskie z nimi wojny. Już 70-letni, Włodzisław Łokietek pobił w 1331 r. pod Płowcami jakiś jeden ich korpus. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak się to liczyło! Okazało się, że można Krzyżaków pokonać... Innego wyczynu wojennego o podobnej wadze, lekceważonego w naszej tradycji, dokonali chłopi Wielkopolski. Ostrzeżeni o krzyżackim najeździe uszli z końmi i trzodą na południe, zorganizowali się i na przesmykach między jeziorami, na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, wykopali błyskawicznie rowy i usypali wały. Parotysięczny korpus krzyżacki nie potrafił żadnym z ataków przełamać tej bariery (do dziś w tych okolicach wykopuje się krzyżacką broń i hełmy).

Łokietek nie wygrał tej wojny. Stracił wkrótce nawet swoje rodzinne Kujawy, a zniszczenia były ogromne. Wszelako pamięć Królestwa tę wojnę utrwaliła jako sukces. Myślę, że tę kampanię wygrały - swoimi naukami - wielkopolskie parafie. Jak siebie zwali ci walczący w tej wojnie? Czy po kilku „czeskich" latach, po tak cenionym Wacławie II, byli to już – „Polacy", a nie „Polanie", czy to wtedy, a nie wcześniej, „Polania" została już – „Polską", którą w celowniku i miejscowniku będzie się odmieniało „Polszcze", „w Polszcze"? Nie wiemy. Ale wiemy, że ci chłopi wielkopolscy Krzyżaków nie chcieli. I wiemy, że kamienne mury się przydawały – choć stawiane przed krzyżackimi wojnami.

Wielkopolska z jądra ziem polskich stała się wówczas po raz pierwszy - kresami: Krzyżacy zajęli Pomorze i Kujawy, a nowy król Czech zhołdował Śląsk. Myliłem się zasadniczo w poprzedniej analogicznej książce: Polska jako państwo nie zaczynała raz jeszcze od początku. Przeciwnie, utwierdzała się w swym poczuciu zjednoczonej państwowości. Program XIII wieku, zapisany przez biskupów, doczekał się realizacji. Na ograniczonym terytorium, niemniej było to państwo.

15. LICZYĆ TWIERDZE CZY KOCHANKI

Nie wiek XIII z jego morderczym finałem, a wiek XIV Europy historiografia europejska uważa za stulecie kryzysu. Nie bez racji. Plagi wojen dopełniła straszliwa epidemia dżumy, „czarnej śmierci". Przywlekli ją w 1348 r. z Azji prawdopodobnie kupcy z genueńskich kolonii nad Morzem Czarnym. wygubiła w połowie tego stulecia jedną trzecią, może nawet połowę ludności Europy. Na ziemiach języka niemieckiego obróciła się tu i tam w mordy na Żydach, którym przypisano... zatruwanie studzien! Żydzi niemieccy po tych dramatach znowuż wynosili się do Polski.

Aliści nie był to wcale ostatni wielki mór Europy, w owym zaś „stuleciu kryzysu" panował akurat, o paradoksie, urodzaj na władców mądrych i gospodarnych - od pirenejskiej Nawarry po Węgry, Czechy i Polskę. Karol Robert zapewnił Węgrom rozkwit handlu i rzemiosła, z „czerwonym złotym", złotym florenem. Wypada go zaliczyć do historii Polski, bo to od niego uczył się rządów nasz Kazimierz, syn Łokietkowy. Karol Robert wiązał się z Polską, by zapewnić sobie równowagę sił w stosunku do Czech Wacławów... W Pradze rządził król Czech najpotężniejszy w historii, z chrztu - Wacław, po znakomitym dziadku, Wacławie II, młodszy od Kazimierza o sześć lat, dla historii - Karol IV. Było wobec kogo szukać przeciwwagi.

Karola, z rodu Luksemburgów, edukował we Francji benedyktyn Pierre de Beaufort. Karol, wcześniej - król Niemiec, później i cesarz, co nie drażniło czeskiego poczucia tożsamości - zawsze był związany z Czechami i ukochaną Pragą; sam Wacław, synowi da imię Wacława. Po nim jest uroda starej Pragi, po nim podstawowy zrąb zamku na Hradczanach i słynny most na Wełtawie. Dodajmy i Karlsztejn, i „Karlsbad", Karlovy Vary... Wojak z upodobania, oberwał zdrowo w słynnej na całą historię bitwie pod Crecy w 1346 roku - ostatni już król Anglii, który nie umiał po angielsku, Edward III, przyprowadził do niej 5200 pieszych łuczników z ludu, ci wystrzelali niegodnie ze swych długich łuków czołówkę jazdy francuskiej! Król Francji, Filip VI, miał pono kuszników, chciał ich użyć do ataku. Bez sensu. Przegrał sromotnie.

Karol, człowiek wykształcony, napisał własną biografię i kilka żywotów świętych. Mecenas uczonych, poetów i artystów, był niewątpliwie władcą wielkim. Jego nauczyciel został papieżem w Awinionie, Klemensem VI, i wreszcie uzyskał Karol dla Pragi po kilkuset latach arcybiskupstwo. Zakładał miasta i założył w roku 1348 uniwersytet, najstarszy w tej części Europy. Nie mógł przypuścić, że ferment intelektualny, jaki zaczyni jego uniwersytet, zamieni się w wielki kryzys religijny, który doprowadzi jego ukochane Czechy do katastrofy...

Kazimierz został już za życia Kazimierzem Wielkim. Nie był ani wojownikiem, ani pisarzem. Był mądrym politykiem i dzięki temu jego czasy obdarowały Polskę na paręset lat wielkością historii. Po trosze sprzyjał mu i los - Polski, rzadko zaludnionej, nawet dżuma nie opanowała w pełni...

Wspomagali Kazimierza współpracownicy, fachowi prawnicy w sutannach i habitach. Czuli się „ludźmi państwa", dziedziczyli po swych poprzednikach pojęcia takie, jak *res publica*, rzecz pospolita, jak *corpus Regni*, ciało Królestwa, niezależne od osoby panującego, i *Corona Regni*, Korona Królestwa, zespół uprawnień władczych - instytucja, niezależna od osoby władcy, który ją na swój sposób obsługuje. Tym ogólno-europejskim doktrynom, wyznawanym raczej przez uczonych, mniej przez dwory, szczególny,

oryginalny sens nadali oni właśnie, arcybiskupi gnieźnieńscy i duchowieństwo, a dzieło tego króla poddani w pełni docenią i uznają za swoje.

Stolicę Wojciechową objął za sprawą Kazimierza znowuż człowiek wybitny: Jarosław ze Skotnik, z rodu Bogoryów. Doktor dekretów po akademii w Bolonii, były rektor jej studentów z ich wyboru, znakomity prawnik, uporządkował statuty kościelne, a co ważniejsze - odegrał wielką rolę w wiekopomnych, Kazimierzowych kodyfikacjach państwowych. Jego krewniak, Janusz Suchywilk, następny arcybiskup, też prawnik po studiach w Bolonii, pracował 20 lat w kancelarii Kazimierza w Krakowie, nim został jego kanclerzem.

Najmądrzejsi spośród możnowładców składali się na radę króla, *consilium*, przyszły senat. Rozumieli, do czego dążył, tworzyli mocny fundament władzy. Nieraz ich przychylność próbowali pensjami tudzież nadaniami kupić i Karol IV, i margrabiowie brandenburscy z rodu Wittelsbachów. Bezskutecznie. To *consilium* radziło z królem nad „polityką zagraniczną". Prof. Jan Dąbrowski Starszy opisał szczegółowo w drugim tomie „Dziejów Polski średniowiecznej" komplikacje i meandry tej polityki. Przychodziło ją rozgrywać między Wittelsbachami jako dynastią, Brandenburgią Wittelsbachów, Luksemburgami, Krzyżakami, Andegawenami, Habsburgami, papiestwem, Litwinami i światem tatarskim, który groził teraz najazdami z bliskiego, ruskiego sąsiedztwa... Kalkulacje krótkoterminowe i dalekosiężne, a to z sukcesami, a to z ustępstwami, gdy inaczej się nie dało, sojusze i ich zmiany, zwody, z niezgodą na status quo, którego nie można było przełamać - jak postawy Krzyżaków, nie zamierzających wykonać wyroku przegranego procesu. Samej tej historii dość byłoby na fascynującą powieść kogoś miary Teodora Parnickiego...

Królestwo polskie zaczynało teraz od Wielkopolski i Małopolski, oddzielonych na dobitek od siebie dwoma ksiąstewkami, łęczyckim i sieradzkim, lennami króla. Włączył je do królestwa Kazimierz. Także - pobliskie ziemie ruskie, czyli zamożne, kuszące zaprzyjaźnionych Węgrów księstwo halickie, państewko tamtejszej Rusi, nie podlegające Tatarom. Ale wspólne państwo polskie nie objęło jeszcze ani Mazowsza, ani Śląska, ani utraconego niedawno Pomorza.

W historii sądzonej wedle niedostatku absolutyzmu ten król, ojciec Polski, starał się rządzić sam, bez wieców ogólnokrajowych, tylko mu przeszkadzano. W rzeczywistości zwoływał je, ilekroć było trzeba. Wiece dzielnicowe obradowały także. I poprzez wiece instalował król prawo. Swoje słynne „statuty" (czyli „prawo") promulgował zwrotami „stanowimy z woli naszych baronów", czy też „zdaniem szlachty naszej na zjeździe walnym, co i my postanawiamy". Racje były wspólne, wyższe - porządek prawny. Bo do tej pory, jak mówił wstęp, „wedle dawnej praktyki na ziemiach poddanych naszej władzy nie rozstrzyga się w sądach większości spraw dotyczących jednego i tego samego faktu jednakowo, lecz na różne sposoby, w zależności od poglądów poszczególnych osób".

Karol IV chciał nadać Czechom własny kodeks, *Majestas Carolina*. Szlachta czeska w roku 1355 odrzuciła go. Polska szlachta współtworzyła kodyfikacje Kazimierza. Spór, czy to on je inicjował, czy jego arcybiskupi, mam za bezprzedmiotowy. Król na pewno nie podjąłby niczego bez swoich prawników, oni też niczego by nie narzucili dzielnicowym wiecom. Wedle historyków prawa, którzy mnie uczyli, kodyfikacja zawsze leży w interesie słabszych warstw społeczeństwa. Władza absolutna z reguły zabiegała o nieograniczoną swobodę - by móc uwięzić kogo chce, torturować czy ściąć komuś głowę, unikała więc ograniczania się

prawem. A tu nie kaleczono, nie katowano, nie ścinano kogo popadło. Ludzkie były to prawa - w przeciwieństwie do kodeksu Karola.

Za „statutami" Kazimierza, osobnym dla Małopolski, osobnym dla Wielkopolski, szła dalsza legislacja królewska, krótkie już, uzupełniające ustawy. Uzupełniali to prawodawstwo „notariusze", pisarze z kancelarii Kazimierza: podawali treść jakiegoś *casusu* czyli sprawy, z fikcyjnymi imionami stron, i wzorcowe rozstrzygnięcie. Ich następcy pod koniec XIV wieku będą łączyli to wszystko razem w jedno opracowanie, łączny „zwód", z czasem dla obu dzielnic razem. Prawo się rozwijało - potrzebowali go w swej przytomnej mądrości niedoceniani przez nas poddani Królestwa. Tak się rodziła nowa tradycja polska – praworządności, myśli prawnej i kodyfikacji. Zgoła niedoceniana w naszej historiografii, a co za tym idzie, i w szkolnej pamięci.

To nie była praworządność tylko deklarowana. Prawo dosięgało i możnych. Dosięgło samego nawet potężnego wojewodę poznańskiego. Urzędnicy Kazimierza odbierali wtedy możnowładcom, świeckim i duchownym, jak też klasztorom, zawłaszczone dobra książęce, teraz - królewskie, jeśli kto nie mógł okazać dokumentu własności (oto niepodważalny dowód wieku takich zapisów!). Aliści nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić. Wojewoda, poznański właśnie, Maćko Borkowic, z rodu Wezenborgów, razem ze starostą kaliskim, Przecławem z Gułtów, z rodu Grzymalitów, zawiązali w 1352 r. wzorem Brandenburgii „konfederację" około stu rycerzy z siedemnastu rodów - dla wzajemnej pomocy przeciw „nadużyciom ze strony urzędników królewskich".

Król, jeśli kto znalazł później dokumenty, zwracał przejęte dobra. „Konfederatom" nie zrobił nic, Przecław z Grzymalitami wrócili do obozu królewskiego. Jedynie Maćko z Nałęczami wichrzyli dalej. Kiedy zranili śmiertelnie wojewodę kaliskiego, głowy Maćkowi nie ścięto - musiał iść na wygnanie. Nie potraktował banicji w pełni serio, wrócił. Wyzwał tym sprawiedliwość królewską. Miała go za to spotkać najsroższa kara - śmierć okrutna i hańbiąca. Złapany, osadzony w lochu, dostawał codziennie tylko czarkę wody i wiązkę siana. Zmarł z głodu.

Nałęczów ukarano także. Zakazano im noszenia strojów z kolorem karmazynu, który od pewnego czasu w obyczajowym przywileju znamionował stan szlachecki. I odebrano im zaszczyt stawania do boju w pierwszej linii - odzyskają go po śmierci Kazimierza, dlatego w przyszłej wojnie domowej Grzymalitów z Nałęczami polegnie tylu jednych i drugich... Najdostojniejsi przedstawiciele obu rodów, walczący w pierwszej linii, ginęli przed innymi ofiarami bitew.

Kazimierz, jego prawnicy i panowie rada, nauczyli możnych kraju, że warcholstwo nie popłaca. Nie ze strachu jednak wspierali króla ci możni. Bogacili się i oni - wykosztowując się na bogate fundacje, już nie anonimowe...

Ustanowił król na zamku krakowskim sąd najwyższy prawa niemieckiego, by nie musieli jego poddani zwracać się do Magdeburga o pouczenia - za które drogo się płaciło. W samej jednak Wielkopolsce na prawie „niemieckim", w wersji magdeburskiej, średzkiej bądź chełmińskiej, ulokowano kilkadziesiąt (!) miast - z których wiele, swoją drogą, to dziś wsie na planie miasta, z rynkiem i ulicami. Setki ówczesnych wsi przeniesiono na prawo niemieckie. Wszystko rozkwitało.

Założył Kazimierz, na wzorach włoskich, uniwersytet, „Akademię Krakowską". W 1364 roku. Do pełnego sukcesu zabrakło mu - zgody papieskiej na wydział teologiczny. Nie mógł

kształcić „doktorów obojga praw", świeckiego i kościelnego. A chciał, panowie rada na pewno też chcieli!, by prawnicy otrzymywali regularne, solidne wykształcenie...

Posiadacze dóbr ziemskich, szlachta, odgradzali się już od stanów niższych. Jak zachodnie rycerstwo, dorabiali sobie zawołania rodowe, wymyślali herby. Na razie młodsi synowie nadal herb ojcowy musieli modyfikować – dla owej różnicy pieczęci na dokumentach. Sołtysami wsi nadal zostawali i chłopi. Tych osadzanych na prawie „niemieckim" zwano teraz „kmieciami" - byli panami na swoim, wolni, na bezterminowych, dziedzicznych dzierżawach, rozmiaru zwykle jednego łanu; mogli je opuścić, wywiązawszy się ze swoich zobowiązań wobec właściciela. Nie znali biedy. Tylko „zagrodnicy" uprawiali po kilka morgów, i to na ogół poza gruntami uprawnymi wsi albo na gruntach sołtysa.

Mocne woły ciągnęły pługi z żelaznymi lemieszami i odkładnicami, radło zanikło nawet na zacofanym Mazowszu. Odkryto, że glebę warto nawozić - chłopi mieli teraz dowozić gnój i na pańskie grunty, skoro wozili na swoje! Król propagował „trójpolówkę", gleba winna odpocząć od plonowania; wiedziano to w Polsce już w XII wieku, ale wciąż jeszcze uprawiano chętniej świeże karczowiska - nadal było co ciąć. Klasztory nie świeciły już przykładem; król przejmował ich zapuszczone ziemie, by oddać po jakimś czasie zagospodarowane i kwitnące. W swoich dobrach pierwszy w Polsce zakładał - stawy rybne...

Jarosław ze Skotnik, onże wielki arcybiskup, rozpoznawszy wśród piasków i bielic Mazowsza płodny czarnoziem w kasztelanii łowickiej, własności św. Wojciecha, zasiedlił tam wsiami półdzikie jeszcze okolice.

Karol Robert miał kopalnie złota, Kazimierz – znane już nam kopalnie soli. Karol Robert uporządkował monopole królewskie, Kazimierz – ustrój i system eksploatacji tych kopalni. Ustanowił w nich dziedziczne miejsca pracy. Potomkowie właścicieli tych „stań" z ich przezwami jako swoimi nazwiskami żyją do dziś w Krakowie, Wieliczce i Bochni, znalazłem wszystkie co do jednego w książkach telefonicznych Krakowa, Wieliczki i Bochni.. Pomyśleć – 650 lat ciągłości zamieszkania!

Ziemia i pokój zwracały wysiłki bogactwem. Współcześni sami chwalą swą epokę: czytamy w kronice Janka z Czarnkowa, pisanej po śmierci Kazimierza Wielkiego, że „w czasach tego króla w lasach, gajach, zaroślach, nieużytkach lokowano tyle wsi i miast, jak prawie nigdy do tej pory w Królestwie Polskim nie było".

Jak oni widzieli świat, wiemy z katedry w Gnieźnie, którą zniszczyli Krzyżacy w 1331 r., zaś odbudował arcybiskup Jarosław... Na kapitelach służek, tj. kolumienek, wtopionych w mur, oglądamy sceny z codziennego życia - jest tam i Żyd kupiec, z wołem i świnią karmiącą prosięta. Nie przypadkiem. Król rozciągnął przywilej Bolesława Pobożnego dla Żydów na cały kraj - dla rozwoju handlu, nie dla swej mitycznej kochanki, Esterki, która podobno urodziła mu dwóch synów (wcale możliwe). Rozwój handlu nie był miłosnym kaprysem. Zaufany krakowski bankier Kazimierza, Lewko, syn Jordana, był Żydem. Stąd po wiekach legendy i pieśni w świecie Żydów polskich o tym, jak król polski udzielił im opieki...

Niemieckie mieszczaństwo, które jego ojcu stawiało zbrojny opór, samo zwiąże się z państwem Kazimierza. Ci pół-Niemcy, krakowscy mieszczanie, to chętni doradcy króla i przyjaciele. Jeden z nich, rajca krakowski, Mikołaj, pierwotnie Viersing, w Polsce - Wierzynek, zarządzał finansami króla. W roku 1364, roku założenia uniwersytetu, wydał

kosztem rady miejskiej sławną ucztę dla zjazdu pięciu królów i dziewięciu książąt w Krakowie, ucztę sławniejszą po wiekach niż sam ten zjazd, bo któż dziś pamięta, że spotkali się wszyscy dla sprawy... królestwa Cypru? Ale było z czego wydawać: bogacili się naprawdę wszyscy. Ów Mikołaj, najsłynniejszy z Wierzynków, pożyczył Karolowi IV, wtedy już królowi Niemiec i Czech, 1760 grzywien, grubo ponad 400 kilogramów srebrnej, dobrej monety... To było drugie, obok Węgier, centrum dobrobytu w Europie - bo wojny zniszczyły najbogatszą do tej pory, żyjącą z tkactwa i roli, Flandrię.

Do Wielkopolski przywożono wełnę z Czech, a wywożono sukna - Wielkopolska na całe stulecia pozostanie eksporterem tanich sukien, takich „dla wszystkich". Mogła je farbować - czerwień, purpurę, kolor strojów szlacheckich, uzyskiwano z „czerwców", maleńkich owadów, żerujących na korzeniach roślin polnych i leśnych, a te czerwce zbierano masowo akurat w Polsce. Eksportowano je wszakże, miast farbować tkaniny na miejscu. Widać lepiej szły sukna tanie...

Kazimierz rezygnował z wielu posług i dochodów, licząc, że czynsze ze wsi i cła od kupców rozkwitających miast zrekompensują te ulgi w dwójnasób. Ale wymuszał pomoc w budowie i naprawie grodów, zwłaszcza na pograniczu. Obiecywał nie ściągać opłat i podatków ponad to, co do tej pory, ale, kiedy przyszła potrzeba, ściągał je bezwzględnie. Wiedział, że nie należy fałszować monety, ale - fałszował, obniżając w nich zawartość srebra; z końcem panowania wywołał w Wielkopolsce wręcz kryzys monetarny! Wiadomo jednak było, na co idą te pieniądze. Twierdze na granicach państwa, obwarowane miasta i rosnące bogactwo ogółu broniły tych wydatków.

Powiadano, że zastał Kazimierz Polskę drewnianą, zostawił - murowaną. Domy w miastach nadal stawiano drewniane, murowanych - mało. Natomiast wzniesiono w państwie ponad pięćdziesiąt solidnych zamków. I obwarowano blisko trzydzieści miast. Część ich listy uważa się za „domniemaną"! Te wielkie roboty nie doczekały się szczegółowej historii... Oglądałem jako młody reporter po różnych zakątkach kraju resztki tych warowni - a to imponującej grubości mury obwodowe z cegły, nad fosą, a to „donżon", czyli masywną, ośmioboczną wieżę obronną, wysoką na 20 - 30 metrów, a to mocarną, cylindryczną, czasem u podstawy czworoboczną basztę. Stawiali te twierdze budowniczowie różnych szkół: jedni donżony lokowali tradycyjnie wewnątrz murów jako ostatni punkt obrony, inni, „nowocześniejsi" wtedy, włączali je w obwód murów dla obrony czynnej. Kogo naśladowali? Znam krzyżacki Malbork, a byłem też na Malcie, śródziemnomorskiej wyspie, gdzie oglądałem tamtejsze fortyfikacje joannitów. W Polsce po joannicie, budowniczym nie lada, z komandorii w Strzegomiu, dosłownie przy kamieniołomach granitu i bazaltu, przetrwał tam jedynie kościół. Znalazłem paru budowniczych Kazimierza Wielkiego – Jana ze Skrzynna, braci Arlerów, których nie ma u Stanisława Łozy w jego niezwykłej encyklopedii polskich architektów i budowniczych. Księdza Wacława z Tęczyna, który w niej jest, szukać nie musiałem.. Ten syn wojewody krakowskiego, Jędrzeja, na polecenie króla dokończył budowy zamku we Włodzimierzu Wołyńskim. U Łozy mamy jeszcze „muratora" z Wawelu, imieniem Anko, odnotowanego w roku 1367. To, niestety, wszystko.

Podziwiałem umocnienia Wschowy. Kazimierz zbrojnie odjął ją Henrykowi, niespokojnemu księciu Żagania i Głogowa, a z czasem wziął tu swój ostatni ślub... z jego córką. Do dziś uchowało się trochę murów miejskich, a co najważniejsze - kościół farny z 68-metrowej wysokości wieżą, było z niej widać i odległe niebezpieczeństwo... Także od strony Głogowa.

Twierdze mogły być wyłącznie królewskie. Kazimierz zakazał budowy prywatnych, które mogłyby stanowić punkty trwałej obrony. Zrobił wyjątek dla Maćka Borkowica. Doświadczenie z nim potwierdziło słuszność zakazu…

Mądry ten król nie szukał wojen, których nie mógłby wygrać, ani trudności nie koniecznych do zwalczenia. Choć bywało, przyznajmy, że sam sobie kłopoty sprawiał. Temperamentu mu nie brakowało. Kochanek podobno miał na tuziny. Od nich – też „podobno" - trzech nieślubnych synów. Naprawdę dzieci chyba więcej, obojga płci. Znamy imiona tylko niektórych…

Czasem tracił Kazimierz po mocnym winie panowanie nad sobą: jedna wersja dramatu księdza Baryczki mówi, że go obmówiono przed królem, inna, że przyszedł na Wawel i ostro, publicznie, łajał króla, a ten, rozwścieczony, kazał go sługom zaszyć w worek i … utopić w Wiśle. Rano żałował, kajał się, potem długo leżał krzyżem w kościele, dla pokuty fundował klasztory i kościoły. Ale nie ukrywajmy: hierarchowie polskiego Kościoła wybaczali grzechy Kazimierzowi – zgodnie z ich poglądami tworzył na nowo Królestwo Polskie…

Nadał państwu - decyzją o wymiarze historycznym - status „Korony Królestwa Polskiego", istności prawno-publicznej, niezależnej od osoby władcy. Kiedy w r. 1365 odzyskał zagrabione przez Brandenburgów kasztelanie Santoka i Drezdenka, nazywane „kluczem do całej Polski", oddał je w lenno panom von Osten i wtedy głowa tego polsko-sasko-serbskiego rodu, Dobrogost von Osten, składał Kazimierzowi hołd z tych ziem jako przynależnych od dawien dawna do „Korony Królestwa Polskiego".

Corona Regni Poloniae oznaczała państwo jako całość, *communitas*, rzecz wspólną. Takie państwo tworzył ze swymi poddanymi Kazimierz Wielki. Samodzielne i suwerenne: jego poseł wykładał kanclerzowi cesarza już, Karola IV, że jego król ma koronę i miecz od Boga, nie od papieża jak cesarz. I dodał, że jego, Kazimierzowe prawa, są doskonalsze od praw cesarstwa. Sądzę, że ów poseł wierzył w to, co mówił… Co więcej, to akurat było prawdą. Znamy i owe „statuty", i prawo krajów cesarstwa. Kiedy zaś w Budzie roku 1355 podpisywał Kazimierz układ o sukcesji tronu, Ludwik węgierski musiał podpisany z królem Polski układ potwierdzić układem z czterema panami polskimi - wcale nie najbogatszymi, ani najbardziej wpływowymi, ale zasiadającymi w *consilium* królewskim. Występowali „z ramienia wszystkich mieszkańców Królestwa Polskiego". W imieniu wszystkich!

Zmarł Kazimierz w 1370 roku w wieku lat sześćdziesięciu (jego ojciec, mimo swego dramatycznego życiorysu, dożył lat 73). Życie osobiste króla, jak to w średniowieczu, rzutowało na historię, na całe przyszłe stulecia - choć o związku z Litwą przeciw Krzyżakom myślał jeszcze Łokietek. Kazimierzowi, niezmordowanemu kochankowi tylu kobiet, kolejne żony rodziły same córki. Żadnego z naturalnych synów następcą nie zrobił, a przecie tylko z pięknej Cudki, kasztelanki sieciechowskiej, miał synów kilku - więcej niż pewne, że potomkowie tych wszystkich pozamałżeńskich Piastów żyją wśród nas; Sieciechów jeszcze za życia króla dostał prawa miejskie! Zawierał Kazimierz i „morganatyczne" małżeństwa, które nie upoważniały potomstwa do królewskiego spadku, ale - uczciwie mówiąc, dopuścił się i bigamii: poznał w Pradze czeskiej Karola IV wdowę po tamtejszym mieszczaninie, Krystynę Rokiczaną, zakochał się i ożenił z nią, a był żonaty, prawda, że wyjątkowo nieszczęśliwie, z wmówioną mu przez Luksemburgów Adelajdą, córką landgrafa heskiego. Jakoś mu to uszło, a nie wypadało snadź usynowić formalnie któregoś z synów naturalnych. Król mógł nadać prawa synowskie swoim

chłopcom przywilejem *legitimatio per rescriptum principia,* uznanie przez odpowiedź władcy (na zapytanie, prośbę), ale wtedy któryś z nich musiałby dziedziczyć tron i nie byłoby miejsca na międzynarodową politykę sukcesji.

Tak, politykę w tej kwestii międzynarodową: zależało Kazimierzowi na porozumieniu z Węgrami i na sojuszu z nimi, dlatego zapewnił Kazimierz sukcesję - siostrzeńcowi, czyli synowi swego sprzymierzeńca, Karola Roberta. Ów syn, Ludwik, Węgier, a właściwie Andegawen – dla Węgier był Ludwikiem Wielkim. Uczynił z Węgier potęgę wojskową, zasłynął wygranymi wojnami i podbojami, rozszerzył niebywale panowanie i wpływy Węgier na Bałkanach. Na razie miał tylko córki, więc ustalono, że ewentualnym jego następcą zostanie bratanek, Jan; sukcesji córek, zatem sukcesji kobiet, w Polsce dopuszczalnej, węgierskie prawa zakazywały. By uniknąć komplikacji następstwa po Ludwiku, adoptował Kazimierz, na wszelki wypadek, młodego imiennika, Kaźka, swego wnuka po córce Elżbiecie, żonie księcia wołogosko-słupskiego. Przy swoim zmyśle przewidywania ożenił go, nastoletniego chłopca, utytułowanego Kazimierzem IV, obdarowanego wielkimi dobrami, z jeszcze młodszą córką współrządzącego Litwą, księcia Olgierda – Kazimierz nie zapomniał, po co jego samego ojciec, Włodzisław Łokietek, żenił z piękną Litwinką. Niestety, Kaźko odniósł ciężkie rany w bitwie z innym lokalnym Piastem i zmarł młodo, 26-letni, w 1377 r., przed Ludwikiem…

Wbrew tytułom wielu książek o Kazimierzu Wielkim - nie był on bynajmniej „ostatnim Piastem”. Nie brakowało żyjących Piastów. Tylko żadnemu z nich nie powierzono jego Polski. Od dawna zresztą nie była Polską Piastów. Tego Węgra, Piasta po kądzieli, Polska i wielmożów, i średniej szlachty, wzięła nie dla wierności dynastii. Sama go chciała - zwycięzcę wojen, założyciela uniwersytetu w Pecs, króla doświadczonego, na tronie od 28 lat. Uznała, wbrew obyczajom węgierskim, następstwo tronu w Polsce dla którejś z jego córek – podobno w zamian za „przywilej koszycki”, czy raczej na mocy układu zawartego w 1374 r. w Koszycach. Jednakże ten „przywilej” powtarzał tylko zobowiązanie Laskonogiego, że zachowa swych poddanych we wszystkich ich prawach, a niczego specjalnego Ludwik nie uzyskał - kobiety w Polsce mogły dziedziczyć nawet i tron. Ludwik, obniżając podatek, czyli poradlne, od każdego uprawianego łanu, musiał kupić tylko odsunięcie Kaźka, już księcia słupskiego, a i to było dość względne. Kaźkowa Litwinka mogła jak tysiące ówczesnych kobiet zemrzeć przy porodzie i Kaźko mógłby za żonę pojąć córkę Ludwika. Pamięć o nim zachowała go jako pięknego i niegłupiego młodzieńca.

Wdaliśmy tu się w nieledwie rodzinne plotki. Właśnie po to jednak, by się zorientować, że nie dynastyczne interesy i rozgrywki zadecydują o przyszłości państwa Kazimierza.

16. ICH MOCNE, ZDROWE PAŃSTWO

Los wystawił na próbę oba zaprzyjaźnione państwa, Polskę i Węgry: wielki król, następca wielkiego króla Węgier, a siostrzeniec wielkiego króla Polski, Ludwik, okazał się ostatnim z kolejnej - prawda, że krótkotrwałego rodowego panowania - dynastii węgierskiej, Andegawenów.

Po śmierci Kazimierza Korona Królestwa Polskiego mogła się rozpaść na małe lokalne władztwa, dziesiątki małych księstewek jak te mazowieckie, mogli się posiadacze ziemscy rzucić na domeny królewskie, odbierać swe majętności. Do niczego takiego jednak nie doszło. Sądy każdej z ziem, organy swoistych samorządów szlacheckich, pilnowały porządku posiadania, także w miastach królewskich i szlacheckich. To wtedy upowszechniły się księgi sądowe ziemskie. Notowano w nich umowy, zapisy własności, rejestry spraw, także - roty przysiąg sądowych, już po polsku, by nikt się nie tłumaczył, że nie rozumiał, co do niego mówią i co podpisuje.

Najstarszą księgę ziemską, jaka się zachowała, prowadzono w Krakowie od 1374 roku; w Poznaniu mamy ją od 1386 roku; obie więc ustanowiono po śmierci króla prawodawcy. Zawodowi notariusze, sporządzający dokumenty po łacinie, tak awansowali w hierarchii społecznej, że jeden z nich ma płytę nagrobną z piaskowca w samej katedrze poznańskiej. Nie rycerz, a notariusz! Nadal spisywano zwody Kazimierzowego prawa. Uzupełniano je tzw. „petytami", czyli normami, które dopiero kancelaria króla zapewne przygotowywała do promulgowania, ogłoszenia, jako obowiązujące. I przepisywano te zwody, łączono, ujednolicano. Co szczególne - nie dwór, a poddani dbali o wspólne dobre prawo dla państwa.

Stan rycerski, który nazwie się „szlachtą", wyodrębniał się coraz bardziej w samodzielny obok duchowieństwa stan wyższy. Nie obudował się jeszcze zaporami „nagany szlachectwa", nie był stanem zamkniętym, ściśle odizolowanym. Przenikali do niego i sołtysi wolnych wsi, zobowiązani do noszenia broni, i co wybitniejsi mieszczanie. Nowych kandydatów kwalifikowało faktycznie do wyższej warstwy – posiadanie, zamożność. Samo słowo „szlachta" też przyszło z Czech jako „szlechta", od niemieckiego *Geschlecht*, ród. Przyszło tą samą drogą, co i herby. W Polsce zresztą, jak się już orientujemy, wymyślano je, z reguły sztucznie, dopiero w XIV i XV wieku, głównie dla potrzeb obrotu ziemią. „Szlachtą" polski stan rycerski będzie zwał się, mając już w sobie niewiele z rycerstwa...

Tkankę mocującą państwa nadal tworzy duchowieństwo ze swym zmysłem państwowym. Płaciło bez przymusu podatki władcy, Ludwikowi, którego nie lubiło; patronowało naukom i sztuce, a przede wszystkim - inwestowało stale w obronę kraju. Kapituła poznańska obwiodła murami całą, należącą do niej Słupcę. Sami biskupi, zwłaszcza w Wielkopolsce, narażonej na ataki Krzyżaków i Brandenburgii, budowali twierdze. Jedną po drugiej. Zresztą i dwory stawiało się wtedy obronne - dwór biskupi w takiej Wrzący Wielkiej mury ma grubości dwóch metrów! Tak wpływali Krzyżacy na budownictwo w Polsce...

Nie wiemy, kiedy walny, ogólnokrajowy zjazd, już nie wiec doradców władcy, a „wiec" ogółu rycerskiego i wyższego duchowieństwa, zaczęto zwać „sejmem". To bardzo stare, jak pamiętamy, w pełni rodzime słowo, od owego czasownika „s-jąć", zebrać się, odmieniane „sejm", „sjemu". W źródłach pojawi się raz pierwszy w początkach XV wieku. Zapewne jednak *conventio generalis*, ów „zjazd walny", tłumaczono tak na polski już nawet za

Łokietka, albo i w XIII wieku. W każdym razie to państwo ma już swoje utrwalone instytucje demokracji - demokracji warstw wyższych, niemniej - demokracji. I to elita polityczna kraju podejmie w finale dramatycznych kilkunastu lat decyzje o wielowiekowych konsekwencjach.

Ludwik miał koronę węgierską, co naturalne, za ważniejszą. Tam z przydomkiem - Wielki, król, jak wiemy, bardzo wojenny, zdobywca i zwycięzca kampanii tyleż we Włoszech, co w walce z Litwą, podporządkował Węgrom kawał Bałkanów. Czy był mądrym władcą? Gospodarzem po ojcu i wuju? Zniósł uciążliwe cła. Ale nakładał nowe ciężary na węgierskich chłopów i - wypędził Żydów, czyli pieniądze. Uszli do Polski. Nieobecny w Polsce, tracił Ludwik jej sympatię. Ale gdy w roku 1377 zażądał podatków na wojnę z Litwą o księstwo halicko-włodzimierskie, samo duchowieństwo wpłaciło mu nie po dwa grosze, lecz po osiem groszy od łanu kmiecego! I Polskę, i Litwę, kusiły żyzne, w pół opustoszałe ziemie tego księstwa. Pokojowo nie dało się tego załatwić jakimś lennem: Kazimierz długo negocjował chrzest Litwy, aliści w 1368 r. nieobliczalny książę litewski, Kiejstut, napadł mazowiecki Pułtusk, wyrabował i spalił zamek razem z ludźmi, tak padła idea sojuszu przeciw Krzyżakom.

Po śmierci Kazimierza Krzyżacy wyprawiali się co roku w niszczące „rejzy" na Litwę, którą demolowały i wewnętrzne walki o władzę... Litwę, jak i Łotwę, przez kilkaset lat średniowiecza ogałacali byli z najlepszych ludzi Danowie z Gotlandii i Wysp Alandzkich, łowcy niewolników, spóźniły się w rezultacie te kraje do cywilizacji o 200 lat po innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej – Litwę niszczyli bez pardonu i podbijali Krzyżacy, Łotwę opanował już Zakon Kawalerów Mieczowych, którzy się jeszcze w XIII wieku z Zakonem Krzyżowym połączyli, choć nieco formalnie....

Ludwik pertraktował z Polakami, by zapewnić tron po sobie którejś z córek, ponieważ pierwotny system węgierski wykluczał sukcesję kobiet. Trudniejszą kwestią pozostawało tylko zamęście kandydatki. O przyszłe następstwo polskiego tronu toczyły się kilka lat w Polsce wręcz starcia zbrojne. Nie masowe, ale zacięte. Zgodnie z utartą tradycją wybitny historyk pisał o „wybuchu anarchii możnowładczej za Andegawenów" w Wielkopolsce. Ale nie wojowano tam bynajmniej o tron i nikt nie pchał nań krewniaków. Wielkopolska spierała się o najlepszego kandydata na męża dla węgierskiej księżniczki. Chciała kogoś, kto by rozumiał, czym grożą Brandenburgia i Krzyżacy. Kiedy jesienią 1382 r. węgierski król Polski zmarł, zaledwie 56-letni, walczące strony zjechały się do Radomska - by zobowiązać się, wszyscy!, do wspólnej obrony granic państwa... To były chyba lata najwyższego wzlotu ducha obywatelskiego w środowisku szlachty polskiej, może jeszcze przetrwało nieco tradycji rycerskich.

Spór potem o następstwo tronu, czyli o dobór męża dla córki Ludwika, rozgorzał na nowo. Nałęczowie sprzyjali księciu płockiemu, Semce IV. W wojnie domowej, nazwanej wojną Grzymalitów z Nałęczami, wyginęły pono całe stare rody, tylu straciło życie czołowych, walczących oczywiście w pierwszej linii Łabędziów, Awdańców, Zarembów... Dziś sądzę, po bliższym zapoznaniu się ze stylistyką epoki i historiografii, że przesadzano, tych Łabędziów czy też Awdańców uchowało się razem do owych dni ze dwóch, trzech wszystkiego. Upamiętnił tę wojnę w 1383 r. pierwszy w Polsce strzał armaty, najpewniej zresztą z Kazimierzowego arsenału. Nie było naprawdę aż tak krwawo. Po kolejnych bitwach, przypominających zapewne raczej pojedynki rycerskie, szanowni wojownicy rozjeżdżali się do domów. Nie mamy żadnych wiadomości, by komuś dom zrujnowano czy spalono... Rok potem walczący spotkali się znowuż w Radomsku i 2 marca 1384 ustanowili przy staroście generalnym Wielkopolski ośmiu jej rządców - po trzech

przedstawicieli obu stron i dwóch, uwaga!, przedstawicieli miast. Co najważniejsze, zaakceptują mądrość panów krakowskich, którzy podejmą wówczas przełomowe, historyczne decyzje.

To ci panowie krakowscy, ongiś postponowani przez historiografię, wykalkulowali, w pełni świadomi historyczności wyboru, związek z Litwą - przeciw Krzyżakom. Zgodnie z polityką Włodzisława Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

Węgierska królowa-wdowa na tron polski wyznaczyła - zamiast starszej córki - młodszą, Jadwigę. Skorygujmy tu wyobraźnię powszechną, która ma w pamięci młodo zmarłą, bogobojną panienkę, co to pozwoliła się wydać za poganina dla dobra państwa i chrześcijaństwa. Prawdziwa Jadwiga, przed małżeństwem z Jagiełłą sama koronowana królem Polski (nie królową), była rosłą, wysoką dziewczyną (co wiemy z badania jej szczątków), złotowłosą panną rzadkiej urody (co wiemy od jej współczesnych), a zarazem i rzadkiej siły. Muzykalna, lubiła i śpiewać, i słuchać dworskich lutnistów. Osoba z charakterem, wcale trudnym, bywała zmienna i arbitralna, a nawet pamiętliwa. Z inteligencją za to i zmysłem politycznym męża stanu. Po rodzicach.

Dziś sugeruje się, że przybyła do Polski dziesięcioletnia, ale wierzmy raczej Długoszowi - nie zachowywała się jak dziecko, a trudno sobie wyobrazić, by urodziła ją w tamtych czasach 34-letnia matka. W 1384 r. Jadwiga musiała jednak mieć te swoje dwanaście lat, wcześnie dojrzała fizycznie, nad wiek rozwinięta - dziesięcioletniej dziewczynki nikt by nie mógł zniesławić plotką o utracie dziewictwa, co Gniewosz z Dalewic odszczekał w sądzie spod ławy, a miał szczęście, że tylko tak się to skończyło! Jadwiga umiała czytać i , co więcej, pisać! Mówiła swobodnie po łacinie i po niemiecku. Polski opanowała prawie zaraz. Ale też jej matka, Elżbieta, zwana „Bośniaczką", wdowa po Ludwiku Wielkim, była córką bana Bośni, Stefana Kotromanicia, i ... polskiej księżniczki, Elżbiety, córki wedle jednych źródeł Kazimierza Wielkiego, wedle innych – Kazimierza III, księcia gniewkowskiego z Kujaw. Bez względu na wybór któregoś ojca spomiędzy obu Kazimierzy sama „Bośniaczka" dobrze mówiła po polsku! Dziewczynki swoje z góry przygotowywała do władzy...

Polityka obu dziewczętom udzielała strasznych lekcji. Ich ojciec, Ludwik Wielki, miał pod opieką chłopca z neapolitańskiej linii Andegawenów, Karola, księcia Durazzo, dziś Durres, wtedy - włoskiej enklawy na albańskim brzegu cieśniny Otranto. Pomógł mu Ludwik, już dorosłemu, zdobyć tron Neapolu. Ten Karol Mały okazał się godzien tego strasznego stulecia: uwięził i stracił - siostrę swej własnej żony, dotychczasową królową Neapolu, Joannę I... Niby za to, że przyzwoliła, by zgładzono jej męża, ale Karol pozbył się jej wyłącznie dla swej władzy nad Neapolem. Obyczaje tolerowały wszystko: kiedy siedmiu kardynałów prosiło papieża Urbana VI, by dla zgody w Kościele ustąpił, ten kazał ich ująć i ściął wszystkich siedmiu bez litości, co do jednego. Elżbieta „Bośniaczka" też dawała córkom lekcje bezwzględności. Okrutnemu Karolowi Małemu w 1385 r. udało się dotrzeć na Węgry i koronować się jako Karol II, Elżbieta wróciła wtedy zza Karpat bronić tronu dla starszej córki, Marii. Też nie znała pardonu – zawiązała szeroką, misterną intrygę, a jej zręczni spiskowcy rok później Karola zakłuli. Potem ją samą rokoszanie, jego zwolennicy, pochwycili i udusili. Wywiesili zwłoki na murach swej twierdzy, grożąc, że to samo zrobią z jej córką. Maria szczęśliwie uszła z życiem i Zygmunt I Luksemburski objął z nią tron Węgier w roku 1387...

Jadwigę aż tak dramatyczne i tragiczne doświadczenia ominęły. Sześcioletnią po uroczystym wcześniej ślubie „pokładano" w umownych *sponsaliach de futuro* w Wiedniu ze starszym o parę lat Wilhelmem Habsburgiem, z myślą o przyszłych kiedyś *sponsaliach de praesenti*. Teraz jej opiekun, książę opolski, Włodzisław, jakiś czas wielkorządca Ludwika w Polsce, przywiózł Wilhelma do Krakowa, już dla ślubu i prawdziwych pokładzin, ale panowie krakowscy zamknęli przed nim bramy Wawelu. Długosz odnotował, że wtedy Jadwiga, na pewno nie dziesięcioletnia!, duża i mocna, chwyciła topór, by wyrąbać sobie w drewnianej bramie drogę do narzeczonego. Podskarbi, Dymitr z Goraja, klęknął przed nią i prosił, by zrozumiała panów polskich. Mądrą była panną: zrozumiała. Posłała jednak Zawiszę Czerwonego z Oleśnicy, by przyjrzał się starszemu o 20 lat Jagielle. Oględziny, zapewne w łaźni, wypadły, na szczęście, korzystnie...

Poświęciłem tyle miejsca okolicznościom historycznej decyzji, i tym dramatycznym, i tym zabawnym, ponieważ zapoczątkowały one przyszłe kilkaset lat dziejów Polski, Litwy i Rusi. Dzięki Jadwidze panowie krakowscy mogli na jej męża dobrać władcę Litwy - śmiertelnie zagrożonej przez Krzyżaków. Ale - poganina!

Jego Litwa nie była już małym państewkiem. Litwini, dzielni, a zdobywczy, bronili się niezbyt skutecznie przed Krzyżakami, podbili za to całą prawie Ruś dorzecza Dniepru, aż po stepy za Kijowem na Ukrainie. Zepchną jej okupantów, Tatarów, na grecki dawniej Krym. Nie unicestwili jednak „ordy" (słowo, jak wiemy, od tatarskiego *urdu*, wojsko), będzie nękała ona te ziemie blisko trzy następne wieki. Środkowa Wielkoruś, na południe od państwa Nowogrodu Wielkiego, zostanie Rosją i z końcem XIV wieku własnymi siłami pod wodzą kniaziów Moskwy uwolni się od swoich Tatarów. Odepchnie ich pod Ural jako „ordę kazańską".

Państwo litewskie język urzędowy i pismo przyjęło od swojej Rusi. „Wielki książę Litwy" i jego „bojarzy" mówili po rusku, czyli po - białorusku, to była ich łącząca państwo łacina. Język litewski aż po wiek XIX nie mógł się rozwinąć, wyższe warstwy państwa litewskiego nie używały go w ogóle. Elita państwa, zwana po rusku „bojarami", składała się z możnych zarówno Litwy, jak podbitej Rusi; książę trzymał ich krótko, twardą ręką, na modłę chanów tatarskich. Władza chanów była wzorem państwowym; kobiety sprzedawano przyszłym mężom „za jedną sztukę srebra lub dwie" jak niewolnice.

Na Litwę od zachodu naciskał Zakon Krzyżowy, od północy - zakon Kawalerów Mieczowych. Tatarów umiała Litwa zwyciężać ich własną sztuką, na zakutych w zbroje rycerzy zachodnich nie znajdowała recepty. Krzyżacy bezkarnie wyprawiali się coraz dalej w głąb rdzennej Litwy. Litwinów zdawał się czekać los Prusów. Mogła też ich wynarodowić wyższa cywilizacyjnie Wielkoruś, zwłaszcza ta pobliska, Nowogrodu Wielkiego, pisząca we własnym języku. Byłoby jak z Prusami, którzy zostawili niewiele po sobie nawet w nazewnictwie miejscowym. Już więcej go, wtrąćmy, zostało po Jaćwieży – na północno-wschodnim Mazowszu i na północnym Podlasiu, gdzie się Jadźwingowie polonizowali, unikając naporu Krzyżaków. Podlasie, czyli pierwotnie Podlaszcze, pod Lachami, nazwali tak ruscy Dregowicze, Drohowicze, od których mamy Drohiczyn, kiedyś stolicę ich tutejszego księstwa..

Niewątpliwie bojarom księcia Litwy, Jagiełły, uśmiechała się pozycja rycerstwa polskiego, rządzącego swym krajem. Ale decyzje podejmował on, Jagiełło. I to on zdecydował się - dla ratowania kraju - przyjąć chrzest od Polaków razem z ręką czternastoletniej już Jadwigi i tronem polskim. Również i jego, niezależnie od koronacji Jadwigi, koronowano

w Krakowie - jako Włodzisława II. Polska miała teraz dwóch królów, funkcjonowały dwie kancelarie królewskie i dwory, równorzędność stanowisk wymagała czasem wzajemnego potwierdzania aktów - choć pieczęć królewską zabrał ze sobą kanclerz Jadwigi do kancelarii męża. Ale mądra Jadwiga starała się pomagać, w czym potrafiła, bez rywalizowania z mężem.

Pierwszą unię z Litwą zawarła Polska w 1385 roku w Krewie. Jagiełło zobowiązał się, że po swoim chrzcie i objęciu tronu zaprowadzi na Litwie chrześcijaństwo zachodnie. Tylko na Litwie. Nikt nie myślał nawracać prawosławnej Rusi i to samo już rysuje przyszłość państwa tolerancji. W 1386 roku „najprzedniejsi panowie Królestwa i szlachta, za zgodą wszystkich mieszkańców Królestwa" - czego nie zapomniano zaznaczyć! - na „zjeździe walnym" w Lublinie po chrzcie Jagiełły obrali go królem.

Muszę skorygować, co sam kiedyś o Jadwidze pisałem: w pełni rozumiała intencje panów rady. Okazała się znakomitym politykiem. Piętnastoletnia, na czele rycerstwa małopolskiego pozajmowała grody i miasta Rusi Halickiej - jako król Polski po swym ojcu. Spory miała udział w dziele chrztu Litwy i jej uspokojeniu. Dwudziestoletnia, prowadziła trudne rozmowy z ambitnym księciem litewskim, Witoldem, by ułożyć jego stosunki z Jagiełłą, aż Witold przyrzekł, że „nigdy nie będzie szukał innej pani" poza nią. Pozyskała dla Korony swego niedoszłego męża, mazowieckiego Semkę IV. Potem ożeniła go, już swego lennika, z siostrą Jagiełły, Aleksandrą. Córkę tej pary, Cymbarkę, słynną z urody i niebywałej siły (gięła ostrza toporów), wyda w przyszłości Jagiełło za Habsburga, dla sojuszu z Wiedniem przeciw Zygmuntowi Luksemburskiemu...

To Jadwiga odrodziła uniwersytet w Krakowie. Znała projekty Kazimierza Wielkiego, w dokumencie założycielskim czytamy - „wiele nocy bezsennych spędziłam, rozmyślając". Sfinansowała bursę dla Polaków i Litwinów przy uniwersytecie Karola w Pradze. Wspomagał ją słynny w ówczesnej Europie, sędziwy już Mateusz z Krakowa, zapomniany przez naszą historię, wielki polski teolog z praskiego uniwersytetu. Głosił, że Bóg stworzył dobro, a zło jest zawsze dziełem człowieka, który za nie ponosi odpowiedzialność i musi je sam usuwać, nie wątpiąc w dobroć i mądrość Boską. Przepisywano po całej Europie wywrotową rozprawę Mateusza „O praktykach kurii rzymskiej". Piętnował w niej symonię i nadużycia kurialne - w okresie „wielkiej schizmy zachodniej", kiedy równocześnie urzędowało dwóch papieży, jeden w Rzymie, drugi w Awinionie, a po soborze w Pizie - trzech... Można zrozumieć, dlaczego Mateusz, kardynał, choć legat rzymskiego papieża na Niemcy!, głosił wyższość soboru nad papiestwem.

Teologiczne poglądy i opinie Mateusza rozwinął jeden z jego uczniów, Jan Hus - młody mędrzec praski. Przypisuje mu się naśladownictwo angielskiego teologa, wyklinanego Johna Wiklefa, Wycliffe'a , ale Wycliffe za św. Augustynem pozostawał wierny teorii predestynacji i łaski, podczas gdy Hus żądał od człowieka – rzetelności własnej.... Tyle, że obaj, i Wycliffe, i Hus, w ślad za Mateuszem, chcieli radykalnej odnowy zdemoralizowanego Kościoła. Idee Husa - z językiem narodowym w liturgii, jak w prawosławiu - poprzedziły Drugi Sobór Watykański o sześćset lat. Drugi Sobór był w XX wieku rewolucją, tym bardziej idee Husa w jego czasach. Wiklef żądał, by duchowieństwo żyło w ubóstwie, a bez celibatu, Hus postulował likwidację majątków kościelnych, obaj pozostaliby rewolucjonistami Kościoła aż po dzień dzisiejszy, Drugi Sobór Watykański nie tknął tego tematu. Husytyzm mógłby narodzić się po raz drugi. Husytyzm epoki samego Husa zapoczątkował historię dramatyczną - zmieni Czechy całkowicie, zmieni ich kulturę i mentalność. Wśród napięć dla Polski w ogóle niewyobrażalnych.

Przebogate Czechy ówczesne przytłaczał w gorączce złota i srebra żywioł niemiecki, mówili już po niemiecku posiadacze ziemscy, przedsiębiorcy górniczy, a co gorsza - duchowni. Dzięki Husowi Czesi odnaleźli się jako naród - przeciw katolickiemu, niemieckojęzycznemu duchowieństwu i władcom. W Polsce odwrotnie, właśnie duchowieństwo od wieków krystalizowało poczucie narodowe i spokój, Panu Bogu to się najwyraźniej podobało...

Czesi zbuntowali się tak religijnie, jak narodowo; ich Pan Bóg został husytą, wiara nabrała tam zupełnie innej temperatury. Radykalni husyci zamierzali nie tylko oczyścić z demoralizacji Kościół, ale i swój kraj, z jego największymi bogactwami Europy.

W Polsce husytyzm nie znajdował koniecznego dla siebie gruntu niezadowolenia. Podobnie przedtem, w XIV wieku, wieku dżumy, „czarnej śmierci", nie odegrali większej roli na ziemiach Polski biczownicy, istna plaga świata niemieckiego. Nieśli tam w rozgoryczeniu demoralizacją uczucie duchowego niepokoju i zamęt. W Polsce brakowało poczucia nieszczęścia. Tu, jeśli się czymś przejmowano, to głównie - Krzyżakami. Krzyżacy, wbrew oczekiwaniom, nie mieli jednak w Polsce żadnego oparcia, nie sprzyjał im nawet patrycjat miejski, do niedawna jeszcze w dużej części niemiecki.

Jadwiga zmarła młodo, przedwcześnie, zaledwie 28-letnia, uśmiercił i ją, i jej córeczkę, nieudany poród. Korona zachowała Jagiełłę na tronie. W 1401 r. rada koronna uznała go „panem naszym najłaskawszym", nie zapominając dodać, że „wzięliśmy (go) na króla Polski i pana naszego, z ciemności pogaństwa go wyprowadzając". Król, nawet już sprawdzony i ceniony, musiał znać swoją miarę...

Jak wiemy, z upływem wieków litewskie warstwy wyższe, mówiące po rusku, spolonizują się i dlatego w Jagielle XX-wieczni nacjonaliści litewscy zobaczą niemal zdrajcę - jakby to on polonizował Litwę. Nie biorą pod uwagę, że gdyby Litwa przyjęła chrześcijaństwo wschodnie, z łatwym do opanowania słowiańskim pismem, zruszczyła by się nie tylko warstwa bojarów, lecz cała Litwa, i to szybko - jak uległa zruszczeniu pod wpływem wspaniałej cywilizacji Nowogrodu Wielkiego ugrofińska w przewadze północ europejskiej Rosji. Religia we własnym języku i powszechna dostępność pisma zrobiły tam swoje. Bariera niedostępnej łaciny uratowała język ludu litewskiego od zatraty.

Na Krzyżaków nie dość było sił Litwy. Gdyby nie Jagiełło, mogła zniknąć z historii jak Prusowie i Jadźwingowie. Na szczęście, Jagiełło nie żywił ani poczucia niższości, ani przesadnej pewności siebie. Dobrze wiedział, że bez Polski nie miałoby się na Litwie w ogóle co uchować - Krzyżacy potrafili wszak zdobyć Troki w sercu Litwy! I wiedział, że samych sił polskich na Zakon też może być za mało. Po unii w Krewie będzie przez następne 25 lat szykował się do rozprawy z Zakonem. Cierpliwie, po kazimierzowsku.

Był Jagiełło wojakiem doświadczonym. Obznajmiony z tatarskimi umiejętnościami, pod Grunwaldem będzie jak chanowie kierował w bitwie swoimi oddziałami ze stanowiska dowodzenia. Wiedział z własnej praktyki, jakim nonsensem jest kierować i przywodzić swemu rycerstwu z pierwszej linii walki, prowadząc je z konia jak to uczyni pod Grunwaldem waleczny, pewny siebie, Konrad von Jungingen, wielki mistrz Zakonu.

Te 25 lat było latami nadal kazimierzowskimi. Jagiełło to rozumiał i rozumieli jego poddani, decydujący o losach jego królestwa. Polska możnowładców i szlachty zdała egzamin z logiki Kazimierzowskich porządków państwowych – udowodniła w moim

mniemaniu, może błędnym, że poprzednie sto lat utrwaliło w niej wyobraźnię państwową, poczucie odpowiedzialności i mądrość polityczną w sposobach zachowania (niewiele tego będą potrafili zachować ich potomkowie). Z myślą o pobieranych, racjonalnych w urządzeniu czynszach szanowali swoich poddanych czyli chłopów, przenoszonych na prawo „niemieckie", jako partnerów, a wszystko wskazuje na to, że nie korzystali już z pracy i usług niewolników. Taki obraz tego czasu bardzo się różni od stereotypowego obrazu „anarchii możnowładczej" po śmierci Ludwika. Sam fakt, że ludzie Nałęczów i Grzymalitów, zbrojnie walczący o wybór męża dla węgierskiej królewny, przerwali bój, zjechali się w Radomsku dla rozmów i uzgodnili gotowość do obrony kraju, ma dla mnie wręcz znaczenie symbolu. Radbym zobaczyć moich współczesnych gotowych do takich rozmów po najbardziej nawet zaciekłej wymianie tylko zdań, a nie ciosów mieczy... Nie zwyciężyła wtedy bynajmniej anarchia. Górę wziął jako ideał - porządek państwowy z uregulowanym prawem.

Ci najmądrzejsi, więc i najlepsi synowie Ojczyzny – jeśli mogę użyć wobec nich tak podniosłego zwrotu – na pewno rozumieli, co to jest *patria*. Zjawisko charakterystyczne: słowa *patria* używa się już od stuleci, choć tego pojęcia jeszcze chyba nawet wtedy nie tłumaczono w polszczyźnie na „ojczyznę". Jak wspominałem, nasz pierwszy wielki prozaik, Łukasz Górnicki, będzie wskazywał jeszcze w XVI wieku, że „ojczyzna" brzmi tak jakby chodziło o grunty, które dziedziczy się po ojcu. Jednakże wszyscy, którzy pójdą pod Grunwald, będą wiedzieli, jakiej ojczyzny idą bronić, w imieniu jakiej ojczyzny chcą Krzyżaków pokonać. To nie byli płatni najemnicy. Ci spod Grunwaldu czuli się znowu rycerzami – niezależnie od tego, że przybyło tylu najwybitniejszych autentycznych rycerzy, mistrzów miecza, sprawdzonych w walkach Węgrów z Turkami.

17. WALCZYĆ MIECZEM I MYŚLĄ

Pierwsza połowa XV wieku to dla historii Europy ciągle jeszcze Wojna Stuletnia, z bitwą pod Azincourt w 1415 roku - kiedy ciężką jazdę francuską wystrzelali tam znowu jak pod Crecy angielscy łucznicy Henryka V, króla Anglii, mówiącego już po angielsku. Choć kusze mieli Francuzi.

Na południowym wschodzie Europy – niepowstrzymanie parli naprzód osmańscy Turcy, z cesarstwa wschodniego został ledwie strzępek sąsiedztwa Bizancjum. To jednak z tymi Turkami najpewniej handluje Polska, skoro mógł Jagiełło darować czeskiemu Pilznu… wielbłąda (książę Witold podaruje Krzyżakom wielbłąda i lwa). Tego wielbłąda umieści Pilzno w swoim herbie!

W środkowej części kontynentu odnotowuje się jedną właściwie istotną datę - rok 1410, z wielką bitwą pod Grunwaldem. Z wojną dla naszej historiografii - Wielką. Na tyle wielką, że przesłoniła w polskiej pamięci największe ówczesne osiągnięcia polskie, wywojowane intelektem, nie mieczem.

Tej Wielkiej Wojny Jadwiga nie chciała. Wbrew różnym dzisiejszym opiniom nie darzyła Zakonu sympatią, tym bardziej – przyjaźnią. Była już doświadczonym politykiem i możemy się domyślać, że zdawała sobie sprawę z różnicy sił wojennych. W przygrywce do starcia rokowała z wielkim mistrzem Zakonu zwrot Ziemi Dobrzyńskiej. Zastawił ją Krzyżakom, wszedłszy w jej posiadanie, onże książę opolski, były opiekun Jadwigi w Polsce. Zakon migał się i wykręcał, aż w roku 1398 to Jadwiga zapowiedziała mu nieuchronną wojnę. Zakon tę groźbę zlekceważył. Bił co rusz Litwę, Polacy go za Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego, potem przez pierwsze kilkanaście lat panowania Jagiełły, nie zaczepiali. Nie miał się czym niepokoić. Czuł swoją przewagę – i tyleż pychy.

Próbowało Ziemię Dobrzyńską zbrojnie, a samorzutnie! odebrać rycerstwo Wielkopolski. Bez skutku. Aż w 1404 r. sejmiki szlacheckie całej Polski opodatkowały się same, po 12 groszy od łanu kmiecego, żeby ją z rąk Krzyżaków po prostu wykupić. I wykupiły. Same potem rozliczały swoich poborców.

Tu wkraczają do polityki ludzie nie miecza, a wielkich umysłów. Andrzej Łaskarz z Gosławic, prawnik po studiach w Padwie, najwybitniejszy dyplomata Jagiełły, późniejszy biskup poznański, wywiódł wtedy, że do cesji terytorium nie wystarcza wola władcy. Trzeba i zgody społeczeństwa danej ziemi, jej ogółu. Tak też oni wszyscy myśleli: przyjaciel Łaskarza, Paweł (pewnie – Paszko) Włodkowic z Brudzenia, akurat z Ziemi Dobrzyńskiej, w kilkanaście lat potem soborowi w Konstancji będzie tłumaczył, że król nie jest panem, czyli właścicielem, dóbr i praw królestwa, lecz ich administratorem! Paweł, mąż niezwykłej inteligencji i wiedzy, przedstawił się soborowi w Konstancji, bodaj pierwszy w historii, jako „uczony”. Zyska sławę europejską.

Myśl polityczna „legistów” Kazimierza Wielkiego rozwinęła się już do miary szkoły. Z doktryną oraz ideałami. Ideały sformułował – nie żaden szlachcic, a mieszczanin, pierwszy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z najwybitniejszych umysłów historii Polski, Stanisław ze Skarbimierza (dziś Skalbmierza), były spowiednik Jadwigi, człowiek z tegoż kręgu, co Łaskarz i Włodkowic. Nie ma go w świetnych szkicach historycznych Pawła Jasienicy. Nie znał go tym bardziej - jak też Włodkowica i Łaskarza - XIX-wieczny

historyk, też świetnego pióra, Karol Szajnocha. Ale mój dawny profesor prawa narodów, Ludwik Ehrlich, znał już tekst kazania Stanisława… W pełni przywrócili Stanisława historiografii polskiej i europejskiej krakowscy historycy dopiero, niestety, po śmierci Jasienicy.

Swoim kazaniem „O powinności poszanowania wspólnego dobra" formułował Stanisław ideały polityczne swoich polskich współczesnych - przeciw zorganizowanemu uciskowi i samowładztwu Zakonu Krzyżackiego. Za pośrednictwem „Państwa Bożego" św. Augustyna, Rzymianina do szpiku kości, cytował „polskich" starożytnych: Cycerona, Salustiusza i Katona. „Do tego, by wzrastała i rozkwitała rzeczpospolita, księstwo, miasto czy królestwo, potrzeba, aby rządy opierały się tam na słusznej ustawie zachowującej jedną dla wszystkich sprawiedliwość, na doskonałej zgodzie gwarantującej jedność, na szczerym zaufaniu pozwalającym wspierać się wzajemnie, na bystrej roztropności zbawiennie kierującej zamysłami, na uporządkowanym wysiłku będącym niejako spełnieniem wszystkiego" (tłum. Bożena Chmielowska). Znalazłem wszystkie zdania, które się na ten program złożyły, w Cycerona *De republica*…

Od siebie Stanisław dodawał: „Z tego wynika, że każdy mieszkaniec kraju, ponieważ jest cząstką wspólnoty, w miarę swych sił winien, zachowując sprawiedliwość, zabiegać o dobro wspólne, pomnażać je, bronić go i chronić, a jeśli zajdzie potrzeba, bez wahania krew w jego obronie przelać".

Wsparł się znowu Cyceronem, bo przecież to oni, Polacy, „pospólstwo" Korony Królestwa Polskiego, byli teraz Rzymianami: „Żaden ze związków nie jest ważniejszy, żaden droższy od tego, który łączy nas z rzeczpospolitą".

I jeszcze raz Cyceron: „Rzeczy prawdziwie wielkich nie dokonuje się siłą fizyczną, szybkością czy zręcznością: wymagają one rozwagi i poważnej, dojrzałej decyzji". Wydaje mi się, że to aktualne do dzisiaj….

Obraz się zamyka. Wszyscy oni musieli znać przełomowe dzieło, wciąż zapominane w naszych czasach, *Defensor pacis*, „Obrońca pokoju", prawda, że pisane okropnie, wprost nie do czytania. Napisał je XIV-wieczny ojciec demokracji, wyklinany wtedy przez papieży, Wenecjanin Marsyliusz z Padwy. Marsyliusz uczył, że to lud wybiera rząd, a nie odwrotnie. „Prawodawcą, czyli pierwszą i właściwą przyczyną sprawczą prawa, jest lud, czyli ogół obywateli…" (tłum. Władysław Seńko). Stanisław Marsyliusza nie przywołuje, choć jego państwo jest „wspólnotą", „republiką" - „rzeczą wszystkich" - z Marsyliusza. I Cycerona oczywiście. Paweł Włodkowic wręcz Marsyliusza cytował!

Dziś nauka zgadza się, że to Stanisław swoim kazaniem „O wojnach sprawiedliwych", *De bellis iustis*, zapoczątkował prawo narodów – którego inicjatywę do czasu mojego profesora, Ludwika Ehrlicha, przypisywano pewnemu wyjątkowej szlachetności i mądrości mnichowi hiszpańskiemu (którego tu jeszcze bliżej poznamy). To kazanie – bez podania autora – sam znalazłem w „Statucie", zbiorze praw Rzeczypospolitej, zestawionym i wydanym przez Jana Łaskiego, w roku 1506. Czytano ten „Statut" wówczas i w odległej Hiszpanii… W roku 1410 przed bitwą grunwaldzką biskup płocki głosił do armii Jagiełły kazanie, uzasadniające wojnę jako sprawiedliwą - z argumentami Stanisława. I też ci, co poszli walczyć pod Grunwald, wiedzieli doskonale, jak napisałem, czego idą bronić, o co walczyć.

W roku 1420, a faktycznie na pewno wcześniej, owo pojęcie *Corona Regni Poloniae* oddawano w języku polskim zwrotem „wszytka korona pospólstwa". Mamy tego specyficzne potwierdzenie - w pewnym liście króla o kilka lat późniejszym - do jego tak ambitnego brata stryjecznego, Witolda. Jagiełło musiał go zrobić dożywotnim księciem Litwy, by uniknąć dalszych jego separatystycznych zabiegów, paraliżujących wspólną potęgę. Napisał wtedy Jagiełło, że książęta mazowieccy gotowi byliby złożyć mu hołd, ale tylko jemu osobiście, bo gdyby mieli przysięgać Koronie, to „wtedy każdy z Korony mógłby ich uważać za swych lenników, a oni woleliby raczej umrzeć niż zaznać takiego wstydu". Kraj nazywa się już „Polska" albo „Polsko", Polacy są – „Polszczanie"; miejscownik nazwy kraju będzie wszak przez wieki brzmiał właśnie - „w Polszcze"...

Stanęli pod dowództwo Jagiełły do pierwszego szeregu słynni rycerze, legendarni mistrzowie miecza i kopii, zwycięzcy turniejów i bohaterowie krwawych bitew z Turkami, atakującymi już Węgry - Zawisza Czarny z Garbowa, Nałęcz Wojciech Malski z Małej w Sieradzkiem, Grzymalita Janusz Brzozogłowy, Awdaniec Jakub z Gór. Porzucając dobra otrzymane od Zygmunta Luksemburskiego na Węgrzech, przybyli w imię ideałów, a nie wojennych zdobyczy, na które zresztą nie mogli za bardzo liczyć. Armia króla składała się z połączonych sił polskiego rycerstwa, Litwy, oddziałów ruskich i Tatarów, których Witold osiedlał teraz na Litwie. Polskie oddziały - ku zdziwieniu Krzyżaków – przeszły głęboką Wisłę pod Czerwińskiem suchą nogą, co warto odnotować. Przerzucił przez Wisłę most „łyżwowy", swoisty prototyp mostów pontonowych, mistrz Jarosław, którego nie znają nasze encyklopedie; „łyżwy", czyli łódki dla niego spławiono tam Wisłą spod Kozienic...

Mit walki z poganami i miraż bursztynowych rabunków przyciągnął do Krzyżaków niemało zachodnich ochotników. Stawali wszyscy dzielnie, von Jungingen, wielki mistrz zakonu, walczył zgodnie z tradycją na czele swego rycerstwa, Jagiełło dyrygował swymi siłami ze stanowiska dowodzenia, pozorowana ucieczka lekkiej jazdy, na tatarską modłę, rozczłonkowała siły krzyżackie, wszystko toczyło się jak zaplanował. Odniósł zwycięstwo przygniatające, wielki mistrz padł razem z dwudziestoma tysiącami innych. Czytamy pretensje historyków do Jagiełły, że nie wysłał zaraz komuniku, by zająć Malbork, ale to niewczesne krytyki: sam stracił z kilka tysięcy ludzi, należało się zająć zwłokami i rannymi, odesłać na tyły wziętych jeńców, wartych wielu tysięcy dukatów. Gdyby nawet wysłany oddział, dosiadający najściglejszych koni, dobiegł do Malborka szybciej niż goniec krzyżacki, to załoga na pewno, zobaczywszy obcych, bramy by przed nimi zawarła i podniosła most zwodzony. Albo też po prostu nie otworzyła... Znam dobrze ten zamek – ci którzy znali się na średniowiecznej wojnie lepiej od Jagiełły, nigdy go nie obejrzeli. Był nie do zdobycia...

Inne zamki krzyżackie też okazały się nie do zdobycia. Armia królewska mogła wygrać wielką bitwę, ale nie mogła wygrać wojny: nie była przygotowana do oblężenia któregokolwiek z tych zamków. Wielka Wojna pozostać musiała wojną w jakimś sensie nierozegraną - mimo jeszcze jednego wielkiego zwycięstwa w polu, pod Koronowem. Triumf jednak odniósł król polski i jego sojusznicy. Wrogi Polsce Zygmunt I Luksemburski, elektor brandenburski, król Węgier, syn Karola IV, popierał Krzyżaków. Objąwszy po abdykacji przyrodniego, starszego brata tron niemiecki w tymże roku 1410, zamyślał wprawdzie atak na Królestwo Polskie od południa, ale Grunwald go powstrzymał. Ów starszy brat, nieporadny Wacław IV Luksemburski, którego panowie niemieccy zdetronizowali już w roku 1400, zdążył przynajmniej przed rokiem 1410 wydać swój tzw. dekret kutnohorski i przekazać Czechom, już zwolennikom Husa, władzę nad uniwersytetem praskim. Nie bez konsekwencji. Konstytuowały się inne Czechy.

Pokój z Krzyżakami w 1411 r. w Toruniu dał rzekomo niewiele. Ale Królestwo wysłało tam umiejętnych dyplomatów, zatem raczej nie mógł dać więcej. Sto tysięcy grzywien okupu za wziętych jeńców to była suma olbrzymia, równowartość ponad 125 tysięcy wołów! Kupcom z Polski otwarto swobodny handel z Toruniem i Gdańskiem, który Krzyżacy blokowali.

Unia polsko-litewska rozchwiała się teraz, bo Litwa już jej nie potrzebowała. Na zjeździe w Horodle, w 1413 roku, to nie król, nie panowie rada, lecz polski ogół szlachecki wystawił dokument unii z Litwą - oni, którzy czuli się panami „Korony Królestwa Polskiego". Polskie rody szlacheckie przyjęły do swych herbów 47 czołowych rodzin bojarów litewskich. Na Litwie zaprowadzono też wzorem polskim dziedziczność dóbr i prawo dysponowania nimi (ciągle jednak za zgodą księcia, właściciela całej Litwy). Ustanowiono urzędy wojewodów i kasztelanów.

Możnowładcy litewscy więcej zmian nie potrzebowali, a Witold marzył o własnej koronie... Tym samym już niepotrzebne wydawały się im nawet wspólne walne zjazdy rycerstwa polskiego i litewskiego. Zwłaszcza, że i polskie rycerstwo zajęło się wtedy urządzaniem swojego państwa.

Wojować z Krzyżakami przychodziło jednak na różnych frontach, także - w sferze poglądów. Zetrzeć się miały poglądy międzynarodowe: kiedy po kolejnej kampanii legat papieski wybłagał rozejm, sprawę między Polską i Litwą a Krzyżakami rozsądzić miał sobór w Konstancji.

Zwołał ten sobór Zygmunt I Luksemburski z myślą o tym, by usunąć schizmę, trójwładzę w Kościele zachodnim, uregulować stosunki między soborem a papiestwem, rozwikłać kwestie sporne. Zaproszono i samego Husa, któremu Zygmunt wystawił swój „list żelazny", czyli gwarancję bezpieczeństwa. Gdy Hus przybył do Konstancji, Zygmunt pozwolił soborowi zignorować swój „list żelazny". Husa uwięziono w zamku Gottlieben. Nie odwołał swych poglądów, postawiono go więc przed sądem i sąd skazał go na stos jako heretyka. Mimo protestów, także polskich – czeskiego reformatora spalono! Czechy zawrzały...

Gdyby nie mord na Husie, byłby ten sobór pierwszym wielkim kongresem naukowym. Polacy opowiedzieli się za „koncyliaryzmem", wyższością soboru powszechnego nad papiestwem - do dziś ta idea nie zyskała uznania w Kościele. Wspaniale wystąpił Włodkowic - mimo to problemu Krzyżaków sobór nie rozwiązał.

Włodkowic zaprezentował w Konstancji - owe polskie początki *iuris gentium*, prawa narodów. W swoim traktacie „O władzy papieża i cesarza wobec niewiernych" rozwijał poglądy Stanisława ze Skarbimierza, z kazania *De bellis iustis*, „O wojnach sprawiedliwych", zasady przyszłego prawa międzynarodowego. Obaj oni wykraczali daleko poza opinie św. Augustyna, którymi niegdyś usprawiedliwiano krucjaty, przedstawiali poglądy, najzupełniej sprzeczne z jego naukami. Potępiali wszczynanie wojny, gdy można uzyskać zadośćuczynienie w trybie pokojowym, potępiali tym bardziej wojny prywatne, a co najbardziej wówczas szokowało - przyznawali suwerenność państwom niewiernych, uznając ich pełne prawo do obrony. Pełna historia początków polskiej myśli politycznej dopiero powstaje, to jeszcze lata studiów paleograficznych (prowadzą je uczeni z krakowskiego Towarzystwa im. Stanisława ze Skarbimierza), ale już to, co wiemy, rysuje zjawisko bez precedensu w ówczesnej Europie: władza królewska powstaje „przez zgodę tych, którzy są rządzeni" (choć wedle polskich autorów, jak rozumieli historyczne doświadczenia, może powstać i z nadania Bożego lub z gwałtu).

Tak to elita intelektualna kraju tworzyła doktrynę polityczną, i dla króla, i dla poddanych-obywateli. Sami zaś poddani nadal porządkują państwo: sejmik wielkopolski w r. 1421 uchwala, że przed sądami kościelnymi toczyć się mogą tylko sprawy związane z wiarą, ewentualnie - sprawy dziesięciny kościelnej. W innych sprawach to duchowni mają zwracać się do sądów świeckich. Pomyśleć: władze kościelne od czasów Kietlicza wręcz karały duchownych za wystąpienie do świeckiego sądu...

Jagiełło nie złamał Krzyżaków. Rządzili państwem dobrze zorganizowanym, budowali miasta, mocne zamki i dwory, bardzo dobrze sobie radzili i w handlu, tyle, że nadal głównym powołaniem paru tysięcy samotnych mężczyzn, zakutych w stal i przystrojonych w osławione białe płaszcze z czarnymi krzyżami, pozostawała wojna. Co parę lat pod najrozmaitszymi pretekstami zrywali układy, najeżdżali ziemie polskie - i znowu ruszały przeciw nim wielotysięczne armie, tymi razy już z udziałem także Piastów śląskich.

Polakom po tej epoce został z całej twórczości poetyckiej burgrabiego poznańskiego, Przecława Słoty, odnaleziony przez wielkiego Aleksandra Bruecknera pierwszy „cywilny" wiersz w języku polskim - „O zachowaniu się przy stole". Brueckner trafił nań w papierach z lat 1410 – 1420, czyli że wiersz od czasu, gdy powstał około 1400 r., przepisywano, i to parę razy. Myślę, że to nie przypadek. Mimo wojen z Zakonem bardziej interesowało rodaków dobre wychowanie.

Także państwo ma być lepsze. W czerwcu 1422 roku pod Czerwińskiem, zgromadzony przed wyprawą *populus* - radzi. Siedemdziesięcioletni król, według mnie - naprawdę wszystkiego sześćdziesięcioletni, pełen wigoru, chce zapewnić sukcesję tronu synom, których... dopiero się spodziewa. Świeżo poślubił Sonkę Holszańską, córkę prawosławnego ruskiego kniazia, Andrieja Holszańskiego - wesołą, lubiącą tańczyć, niespełna osiemnastoletnią dziewczynę. Uprzednio, po śmierci Jadwigi ożeniono Jagiełłę, dla względów politycznych, z wnuczką Kazimierza Wielkiego, brzydką córką hrabiego cylejskiego. Potem zakochał się we wdowie po paru mężach, wojewodziance, pani po czterdziestce (tak naprawdę pewnie po trzydziestce, informacjom o czyichkolwiek latach życia w tych czasach nie należy za bardzo ufać). Koronowano ją. Nie żyła długo, przyczyn śmierci nie znamy, ale kłopoty porodowe zgarniały wtedy kobiety ze świata nagminnie. Teraz ogół szlachecki sprzyjał Sonce, liczył na sukcesorów z prawem do Litwy, ale wykorzystał sytuację. Przeforsował ustrojowy przełom, nie żaden przywilej: oddzielenie w Królestwie sądownictwa od administracji - żeby nie można było sprawować sądów tam, gdzie się jest starostą. Drugi przełom: król zadeklarował, że jego urzędnicy nie zajmą, ani tym bardziej nie skonfiskują żadnego majątku szlacheckiego bez wyroku sądowego. Wraca też powaga prawa pisanego, stanowionego w czasach Kazimierza Wielkiego - snadź znowu orzekano częstokroć wedle widzimisię sędziów (rok później sejm w sieradzkiej Warcie doda nowy statut, zwany „warckim", regulując prawo ziemskie i sądownictwo grodzkie).

Więcej: król ma bić nową monetę wyłącznie za zgodą swej rady, czyli przyszłego senatu - bo do tej pory, choć miał doradców nie lada i wybitnych kupców za konsultantów, mennica królewska stale „psuła" monetę. I znowuż to nie *consilium*, rada, lecz ogół szlachecki zabiega o porządek pieniężny w państwie! Dopiero potem ekspedycja ruszy spod Czerwińska na Krzyżaków.

Tradycyjne interpretacje widziały w tym wymuszone „przywileje" dla szlachty. Dlatego specjalnie uwydatniam, jak w rzeczywistości kreowano ustrój Korony Królestwa Polskiego. Bo to, co ustalono, nie rozwiązało problemu. Zwoła król tegoż roku 1422 sejm

walny do Niepołomic „dla naprawy ustroju Królestwa naszego”. Wezwał „prałatów, baronów, szlachtę, mieszczan i pospólstwo Królestwa”. *Prelati* oznaczali wyższe duchowieństwo, przedstawicieli kapituł kościelnych. „Baronowie”, to jasne - możnowładcy. Szlachtę zwano po łacinie *nobiles*. A kim byli *vulgus*, pospólstwo? To reszta uczestników wyprawy spod Czerwińska - skoro szli walczyć za kraj, mieli prawo o nim radzić.

Ta kolejna wielka ekspedycja polsko-litewska latem 1422 roku doprowadziła wreszcie do zawarcia we wrześniu pokoju nad jeziorem Melno (dziś Mełno, koło Grudziądza). Polacy odzyskali część Kujaw z Nieszawą, Litwa zyskała pełne bezpieczeństwo Żmudzi, niemal już pomostu między ziemiami Krzyżaków a Kurlandią Zakonu Kawalerów Mieczowych. Zygmunt Luksemburski już nie myślał o ataku na Polskę. W 1419 r. zmarł Wacław IV, zdetronizowany wcześniej w Niemczech, król Czech, ów przyrodni brat Zygmunta. Husyci odmówili wtedy korony Czech Zygmuntowi, który oszukał Husa. Zygmunt ruszył przeciw nim, poprowadzi kolejne krucjaty. Ruszył przeciw „taborytom”, którym imię nadało obozowisko husytów na Hradisztem, grodziszczu, nazwanym biblijnie Tabor. Jak to ówcześni Czesi, byli świetnymi żołnierzami, dowodził nimi sędziwy, legendarny Jan Żiżka z Trocnowa, bił te krucjaty jedną po drugiej. Kiedy zmarł w 1424 roku, „Sierotki” po nim pod Prokopem Wielkim, z chętnymi ochotnikami polskimi, gromiły następne wyprawy. Husytom bardzo by się podobał na tronie czeskim bratanek Jagiełły, syn Korybuta, Zygmunt, ulubieniec stryja, ale cóż, nie udało się; ich zacięte wojny do dziś nie mają u nas pełnej historii...

Na Litwie wojowali między sobą - dwaj Giedyminowicze. Jeden z nich, Zygmunt, syn Kiejstuta, odnowił w 1432 r. unię z Polską, drugi, Świdrygiełło, któremu Jagiełło odebrał tegoż roku tytuł wielkiego księcia litewskiego, spiskował z Krzyżakami. Inteligentny Zygmunt Korybutowicz, niedoszły król czeski, umrze w roku 1435, ciężko ranny w bratobójczej bitwie nad rzeką Świętą. Padnie również w tej bitwie, zresztą po stronie Świdrygiełły, wielki mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, który przyszedł z posiłkami... Rok wcześniej, co gorsza, taboryci, zwolennicy Korybutowicza, przegrali pod Lipanami ze swymi rodakami utrakwistami, czyli husytami umiarkowanymi, i czeskimi katolikami. Ówcześni nasi czescy pobratymcy nie umieli jeszcze rozumować kategoriami interesu kraju; bardziej liczył się stosunek do łaciny.

Pod Czerwińskiem za wrogów uznano tych, co nie godzą się z prawem ziemskim (na pierwszym miejscu!), tych, co propagują błędy heretyckie, i tych, co wojny szkodliwe dla Królestwa wszczynają bez pozwolenia i bez decyzji rady. Krajowych zwolenników husytyzmu traktowano przede wszystkim jako źródło zamieszek i nieporządków. A oni, i panowie, i pospólstwo, radzący nad losami państwa, chcą mieć po prostu święty spokój. I chyba to jest początek, jakby zalążek - rozkładu.

Sonka okazała się żoną wcale nie dekoracyjną. Urodziła Jagielle kolejno dwóch synów. Powątpiewano złośliwie w ojcostwo króla, podejrzewano, że pomógł mu w tym jego dworzanin. Szczęśliwie, synowie byli podobni do ojca, młodszy tak bardzo, że nie nazwano go Jagiełłowicem ani Jagiellonem, lecz zdrobniale - „Jagiellończykiem”, ba, zostanie on wielkim królem z tym dziecinnym przydomkiem na całą historię. Dworzaninowi Jaśkowi Kraśce dał Jagiełło, by oddalić podejrzenia, starostwo konińskie.

Żeby zapewnić następstwo tronu tym synom, w 1430 r. zaakceptował w Jedlni zasadę wiekopomną - *neminem captivabimus nisi iure victum*, „nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego”, rozszerzając zasadę z Czerwińska. Obiecał też inkorporować Wielkie Księstwo

Litewskie i nadał prawu polskiemu moc obowiązującą na ziemiach ruskich, do których teraz po nowe majątki i dochody ciągnie szlachta polska.

Mądre niby jeszcze wprowadza się reformy... Aliści latem 1431 r. zagony krzyżackie wpadają na Kujawy i do północnej Wielkopolski. Obrabowały pono aż 1200 wsi i 24 miasta. Możliwe, choć naprawdę zapewne nie tyle, bo czasu by nie starczyło. Wszelkie liczby z tamtych czasów, nie tylko co do wieku, traktować trzeba z dystansem. W każdym razie młoda szlachta polska nie dała Krzyżakom rady. Rycerzy spod Grunwaldu już nie było. Postarzeli się. Nawet mistrz taki jak niedawno zmarły w niewoli tureckiej Zawisza Czarny, nie mógłby już machać mieczem ze zręcznością sprzed dwudziestu lat.

Rok później zaciężni Czesi, najbitniejsi wtedy zawodowcy wojny w Europie, słynne „Sierotki" po Żiżce, tak niby skrajni religijnie taboryci, przejdą jak burza ze swoimi współzaciężnymi Polakami Nową Marchię, dalej - Pomorze Gdańskie, by na koniec zająć klasztor w Oliwie i wymusić na Krzyżakach względnie przyzwoity pokój.

Król chce potem przekazać czasowo dochody z dóbr duchownych poszkodowanej szlachcie kujawskiej. Duchowieństwo, kiedyś tak ofiarne, odmawia. To już nie to samo duchowieństwo, ani ci rycerze, którzy sami składali się na potrzeby państwa. Dziwnie inaczej wychowali synów, coś bardzo się zmieniło. W czasie aż tak krótkim... Grunwald przegrał z polską szlachtą.

18. KTO NAPRAWDĘ POKONAŁ KRZYŻAKÓW

W ciągu życia jednego pokolenia synowie dzielnych rycerzy, reformatorów państwa, zmienili się w jego pieczeniarzy. Skądś to znamy... Jeszcze będą padały te same słowa, ale będą znaczyły coś zupełnie innego. Polski husytyzm - nie ten bezcennych „Sierotek" - rozbito zbrojnie. Zakłócał spokój. Szlachta polska stoczyła za to w latach trzydziestych XV wieku nader zaciekłą walkę z ... duchowieństwem. Nie o idee. O dziesięciny, których domagał się po staremu Kościół, mimo swych olbrzymich dóbr.

Autor wspaniałych szkiców o historii Polski, Paweł Jasienica, tom poświęcony epoce Jagiellonów zatytułował „Polską Jagiellonów". Ale jak wcześniejsza Polska co najmniej od XIII wieku nie była już Polską Piastów, ta nigdy nie była Polską Jagiellonów. Jagiellonowie co najwyżej sobie z nią jakoś radzili – choć trzej z nich byli za swego panowania najpotężniejszymi władcami Europy. Jasienica nie mógł tej Polsce darować, że odwróciła się od utraconych ziem na zachodzie, że uległa pokusie ekspansji na wschód, jeszcze bardziej wyludniony, i że ta ekspansja w konsekwencji wykoleiła państwo polskie. A wykoleiła, jego zdaniem, tym bardziej, że wessała doń żywioły litewskie i ruskie, bez żadnego doświadczenia ról państwowych, bez poczucia odpowiedzialności za państwo. Litwa do tej pory stanowiła, razem ze swymi poddanymi, własność samych rządzących nią władców. Kazimierz, młodszy syn Jagiełły, nazwany „Jagiellończykiem" mąż Elżbiety, córki Zygmunta I Luksemburskiego, przyszłej „matki Jagiellonów", był po ojcu właścicielem Wielkiego Księstwa Litewskiego. I jako Wielki Książę Litwy, czyli samowładny pan, w ogóle nie miał ochoty zostać królem Polski po śmierci brata... Spotkamy i jego syna jako Wielkiego Księcia, niechętnego objęciu polskiego tronu królewskiego. Wywyższenie do miary króla uporządkowanego mocarstwa okaże się mniejszą atrakcją, niż samowładztwo. Ciągle władza absolutna niosła ze sobą niepokonywalne pokusy – choć w rzeczywistości dawno przestała być władzą absolutną.

Francję wtedy wciąż od nowa dewastuje Wojna Stuletnia, w Czechach, dotkniętych krucjatami przeciw husytom, stoją pustkami wsie i tysiące łanów, w zachodnich regionach Niemiec wybuchają pierwsze powstania chłopskie, a tu żadnych napięć, wszyscy się bogacą. Bogaciłby się także na pewno, gdyby istniał, powieściowy Zbyszko z Bogdańca, bohater „Krzyżaków" Sienkiewicza - wbrew półżartobliwym sugestiom innego świetnego pisarza historycznego, mojego czcigodnego starszego przyjaciela, Mariana Brandysa. Przez Ruś kijowską i Kraków szedł, bogacąc niemal wszystkich po drodze, szlak handlowy Wschód-Zachód, ale i mieszczanin z Poznania, Piotr Strosberg, mógł pożyczyć miastu Wrocławiowi - w trzech ratach - 1120 grzywien „niemieckich", czyli kolońskich, ponad ćwierć tony srebra w dobrej monecie! Było to mniej więcej tyle co 660 wołów (we Wrocławiu, gdzie woły kosztowały dwa razy drożej niż w Królestwie Polskim). Brał Strosberg rocznie odsetek po 40 grzywien, starczało mu te niecałe 4 procent rocznie.

Wielu patrycjuszy miast w Królestwie mówiło jeszcze na co dzień po niemiecku, choćby dla względów handlowych, ale to już jego patrioci. Państwo zaś tych panów szlachty, chłopów i mieszczan, ciągle jeszcze partnerów szlachty, stawało się, niemal z roku na rok, nadzieją sąsiadów. Tych z północy i tych z południa. Przede wszystkim - Węgrów. Ich wzorowe niegdyś państwo dobrobyt rozłożył dawno; kłótnie wewnętrzne zamieniały się co rusz w niszczące wojny domowe. Teraz brakowało na zaciąg wojska przeciw nowej, obcej, przytłaczającej potędze - Turkom osmańskim. Ci od pierwszych starć w końcu XIV wieku bili europejskie rycerstwo, i bizantyjskie, i zachodnie. W 1402 r. najechał ich samych i złamał straszny Tamerlan, wielki wódz-zdobywca z Azji Centralnej, ale po jego śmierci

rychło się podnieśli. Opanowali tereny dzisiejszej Bułgarii i Serbii, zagrozili Węgrom, dotychczasowym panom Bałkanów. Wzięli już im pograniczne twierdze! Kiedy zmarł nagle król Węgier, Albrecht, Habsburg, cesarz Niemiec po teściu, Zygmuncie Luksemburskim, Węgrzy ściągnęli na swój tron szesnastoletniego króla Polski, Władysława, jako swojego Władysława, Laszlo IV – i wtedy królowa wdowa po Albrechcie, Elżbieta, wbrew naszym dawnym, zacnym historykom, nie wzięła bynajmniej polskiego chłopaka do łoża, ale ukoronowała niemowlę, które urodziła po śmierci Albrechta. Z Czechami na żołdzie wszczęła wojnę domową o tron dla swego pogrobowca...

Od dawna ciągnęli na Węgry polscy rycerze, kto tylko lubił robić bronią i robił nią zabójczo dla przeciwników. Teraz siły węgierskie pod zaprawnym dowódcą, Janosem Hunyadym, zrobiły najpierw porządek ze zwolennikami pogrobowca, a potem ruszyły na południe - z Polakami Władysława u boku. Początkowo odnosiły sukcesy, Władysław zawarł w lipcu 1444 r. korzystny pokój z sułtanem Muradem II. Węgrzy pod naciskiem legata papieskiego chcieli jednak iść naprzód - zerwano pokój i źle przygotowana wyprawa 10 listopada skończyła się katastrofalną klęskę pod Warną. Młody król obu państw - zginął. Hunyady zostanie regentem przy pogrobowcu jako Władysławie, Laszlo V (stąd pewnie domniemanie, że był to syn polskiego króla, nazwanego potem od owej klęski „Warneńczykiem").

Warna była wyrokiem i na Konstantynopol. Otoczony zewsząd już tureckimi domenami, bronił się jeszcze dzięki pomocy morskich miast włoskich. Sułtan Mehmed II zdobył go ostatecznie w roku 1453. Zakończył tak historię starożytnego Rzymu, który po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego przetrwał w wersji chrześcijańskiej dalsze prawie tysiąc lat... Wschodni duchowni wieźli na zachód „kodeksy" bizantyjskiego piśmiennictwa. Ratowali tak ciągłość europejskiej kultury. Do dziś korzystamy z ich intelektualnej zapobiegliwości.

Osmanowie opanowali prawie całe bezradne Bałkany. Janosza Hunyadiego zgarnie w 1556 r. dżuma. Węgrzy – mimo zarazy - walczyli głównie ze sobą wzajem. Dopiero Maciej, mądry syn Hunyadego, obrany królem, utemperował pokłóconych, odbudował stopniowo państwo i armię, założył dwa uniwersytety i patronował naukom. Nie było mu łatwo. Ot, drobiazg - północą Słowacji, czyli „Górnych Węgier", rządził przeszło 30 lat drobny szlachcic z Mazowsza, Piotr z Komorowa, starosta zastawionego Polsce Spisza, który pokumał się z wrogiem Macieja, husyckim wodzem, Janem Giskrą z Brandysu... Po śmierci Macieja w 1490 r. koronowano królem Węgier najstarszego z synów Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta, ale jego brat, mówiący wszystkim na wszystko „Dobrze", dobroduszny Laszlo, czyli Władysław, okazał się na tyle inteligentny, że jako król Czech dostał od magnatów węgierskich i tron Węgier...

Wyprzedzę tu chronologię o niecałe 20 lat, by zamknąć tu na półtora wieku historię Węgier: następcą króla „Dobrze" został jego syn, waleczny wojak, Ludwik. Byłby zapewne uzyskał poparcie ze strony swojego stryja, kolejnego króla Polski, gdyby nie popisał się, niestety, chciwością: bił fałszywą monetę polską - i stracił sympatię stryja. Zginie, przegrawszy z Osmanami bitwę pod Mohaczem w roku 1526. Ta klęska przesądzi o losie Węgier i Bałkanów na te półtora stulecia, a Turcy osmańscy zagrożą i Polsce...

W roku 1447 nowego króla, Kazimierza Jagiellończyka, który nie chciał być królem Polski, witał w Krakowie w imieniu uniwersytetu jego profesor, syn chłopski z Ludziska na Kujawach, imieniem Jan, który studiował w Krakowie, a potem we Włoszech - za pieniądze ojca. Inny syn sołtysa został rektorem uniwersytetu. Polscy chłopi, innymi słowy,

wykładali na uniwersytetach, kiedy przodkowie późniejszych wielkich rodów, rzec można, biegali jeszcze po lasach z nożami w zębach. Iwan Czartoryski stał na czele spisku, który zarezał kniazia Zygmunta Kiejstutowicza – w imię utrzymania sojuszu z Polską; pierwszy znany Radziwiłł był nieco później stróżem lasów książęcych.

Jan z Ludziska, świetny prawnik, wychowanek Włodkowica i Stanisława ze Skarbimierza, uchodzi za obrońcę chłopów. Tak naprawdę chciał, by studiowali tylko ludzie wolni i tylko odpowiednio majętni - „nie mogą studiować ludzie ubodzy, nie są bowiem wolni od wszelkich trosk i zmartwień z powodu niedostatku dóbr doczesnych". Zajęciem godnym i szlachetnym jest uprawa roli. Drobny handel – kompromituje, by nie rzec - hańbi. Szlachecki sejm jednak więcej rozumiał z gospodarki. Tegoż samego 1447 r. - dla swobody handlu zniósł i zakazał wszelkich myt i prywatnych ceł!

Pieniądze tutaj rodziła przede wszystkim - ziemia. Nawet - biedocie szlacheckiej, która bez chłopów i czeladzi sama obrabiała swoje pola. Wróćmy do pytania, czy w wielkich dobrach pracowali jeszcze niewolni? Gloger był przekonany, że dawno już niewolę usunięto. Mało się opłacała. Mając niewolnych, właściciele musieli by w praktyce szanować ich jak wolnych. Niezadowoleni czmychnęliby lasami na wschód, na dopiero zasiedlaną Ruś lub na karczowiska Litwy. Już XIII-wieczne prawo polskie, onże zwód dla Prusów pod rządami Krzyżaków, nie znało kar mutylacyjnych, kaleczących skazańca - nie obcinano rąk, uszu, ani palców, nie wyłupywano oczu. Czy tylko z polskiej, chrześcijańskiej łagodności? Hm, działał chyba i motyw praktyczny: wypadało cenić każdą parę rąk do pracy... Śmierć groziła tylko „porywcy", który porwie dziewczynę bez jej zgody! Na potwierdzenie opinii Glogera mam dwa spostrzeżenia – po pierwsze, nie skazano nikogo na niewolę. Po drugie, w 1466 r. Kazimierz Jagiellończyk wyjątkowo zwolnił od ceł wszystko, co wieźli na Zachód kupcy z genueńskiej Kaffy znad Morza Czarnego - poza jednym towarem: niewolnikami. Przewóz tego „towaru" oclono im wysoko.

Nie brakowało chłopów ubogich. Małorolni tzw. „zagrodnicy", czasem nawet bez roli, uprawiali swoje ogrody, bezrolni chałupnicy i komornicy zarabiali pracą rąk, ale co zamożniejsi kmiecie, wręcz bogacze, udzielali szlachcie pożyczek. Kmieć spod Krakowa zapłacił swemu panu 35 grzywien za dzierżawę na dziesięć lat dwóch łanów gruntu, a kmieć wielkopolski mieniał się na folwarki z opatem klasztoru, któremu dopłacił jeszcze 15 grzywien. To nie wyjątki. Samodzielnie gospodarujący rolnicy brali ziemię z inwentarzem i zagrodnikami w dzierżawę, płacąc z góry i po kilkadziesiąt grzywien! Sami też dokupywali ziemię, miewali po kilkadziesiąt sztuk bydła, setki owiec, po kilka i kilkanaście koni, zatrudniając czasami po kilku parobków. Dowiadywałem się o ich stanie posiadania z ich testamentów...

Oczywiście, i te ziemie dotykały klęski głodów, jak po wielkich wiosennych deszczach 1438 roku. Ale po spacyfikowaniu Krzyżaków tylko nieurodzaje i epidemie będą przeszkadzały bogaceniu się wszystkich. Pokój wewnętrzny w państwie nie jest tutaj ani przymusem, ani marzeniem, pokój jest interesem. Interesem wszystkich. Natomiast w gęsto zaludnionych Niemczech co rusz wybuchały za 50-letniego z górą panowania cesarza Fryderyka III wojny domowe, powstania chłopskie i miejskie, oderwały się praktycznie kantony szwajcarskie, a Szlezwik i Holsztyn wybrały sobie księciem króla Danii. Odpadła Austria Dolna z Wiedniem, przejęta przez króla Węgier, władza w Czechach trafiła z rąk elektora czeskiego Rzeszy do Jerzego z Podiebradów, potem do Jagiellonów. Sam Fryderyk dzięki zręcznemu małżeństwu objął wprawdzie Niderlandy, ale dopiero jego synowi, Maksymilianowi, udało się trochę uporządkować państwo. Od sejmu w Wormacji 1495 r. rozstrzygać w konfliktach miały sądy z naczelnym *Kammergericht*, z sędziami

wybieranymi przez stany. Ale o stosunkach w Niemczech najwięcej chyba mówi cytowana przez prof. Władysława Czaplińskiego opinia szlachty niemieckiej i patrycjatu miejskiego o chłopach – chłop najpewniejszy jest gdy płacze, najgorszy, najniebezpieczniejszy, gdy się cieszy.

Nienawidzono za to potężniejących wielkich kupców, już prawdziwych kapitalistów. Fuggerowie z Augsburga zaczynali ze 100 tysiącami guldenów, po kilkudziesięciu latach mieli 30 razy tyle. Zasługiwali na nienawiść wszystkich, którzy od nich pożyczali pieniądze, nawet na mały procent. Jakub Fugger II na sugestię odpoczynku odpowiedział, że będzie zarabiał, póki żyje. I wszyscy potrzebowali ich pieniędzy. Ich pieniądze, ich własność, jednoczyły Niemcy. Dawali pożyczki – i władcom kupowali trony.

Unia polsko-litewska całe lata po śmierci Jagiełły nawet formalnie była zupełną fikcją, a dostatek rozkładał i poczucie odpowiedzialności za państwo, i samo państwo – nie na litewskich ziemiach Rusi, lecz, wbrew Jasienicy, na płodnych ziemiach polskich. Duch gospodarności Kazimierza Wielkiego uczynił je Eldoradem płodów rolnych i leśnych, tylko tu zaś w Europie panował pokój. Dobrobyt rodził zadowolenie z siebie i obrotów losu. Samych Polaków i wszystkich dookoła ujmował ten spokój, rozwój umysłowy kraju, postępy edukacji i kultury. Każda parafia miała swoją szkółkę, oglądałem w jednym z kościołów parafialnych znamienną z owych czasów rzeźbę św. Anny i małej Marii, przyszłej Matki Boskiej - św. Anna uczy malutką Marię... czytać! W samej Wielkopolsce dziesięć szkół kolegiackich i zakonnych to „kolonie" Akademii Krakowskiej, czyli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uniwersytet Jagielloński stał się europejskim centrum matematyki i astronomii. W końcu stulecia, gdy studiowali w Krakowie młodzi bracia Kopernikowie, można było słuchać równocześnie aż sześciu różnych kursów astronomii. Medycyna korzystała obficie z pomocy ziół, słownik botaniczny z 1472 r. obejmował 2 tysiące roślin!

Czytają - po łacinie! - wszyscy. To język dokumentów. Nie tylko: proboszcz parafii w Pniewach skarży się na innego księdza z Pniew, że ten w karczmie ułożył złośliwe przeciw niemu wierszyki i na dobitek wywiesił je w kościele, do czytania przez parafian! Do czytania! Statutom Kazimierza nie podlegała ziemia łęczycka, jeszcze odrębne wtedy książtewko, lenno króla, i oto w początkach XV wieku własny zwód praw tej ziemi opracował był po łacinie jeden z łęczyckich szlachciców...

Powstają podręczniki pisania dokumentów i listów, z polskimi wersjami tekstów. W „Retoryce" Marcina z Międzyrzecza mamy pierwszy znany list miłosny w języku polskim. Ten język się rozwija, doskonali, bogaci, nie mając nawet porządnej ortografii dla wersji pisemnej, chociaż Hus dla języka czeskiego obmyślił znaki diakrytyczne kilkadziesiąt lat wcześniej, a Ruś pisze swoją cyrylicą od lat kilkuset!

Najgorzej radzą sobie z łaciną ziemie książtewek mazowieckich, które trudno zliczyć - ciechanowskiego, czerskiego, liwskiego, łomżyńskiego, nowogrodzkiego, nurskiego, płockiego, płońskiego, rawskiego, sochaczewskiego, warszawskiego, wiskiego, wyszogrodzkiego i zakroczymskiego. Książęta kazali wobec tego nieuctwa statuty - swoje własne, te z uchwał wieców ogólnomazowieckich i Kazimierzowskie - tłumaczyć na polski.

Polska szlachta nie uratowała Węgier i nie ona pokonała ostatecznie Krzyżaków. To szlachta i mieszczanie Prus, mówiący po niemiecku poddani Zakonu, mieli go dosyć. Miasta ziem Zakonu należały do Hanzy, kupieckiego związku miast niemieckich, głównie „wendyjskich", nadbałtyckich. Kupowali w Gdańsku statki i Polacy. Hanza, sprzyjająca

Krzyżakom i Kawalerom Mieczowym, chciała to im zablokować. Gdańsk nie usłuchał. Wielki Mistrz próbował wymusić na nim posłuszeństwo. Wywołał - bunt.

Nie ma co w historycznej wyrozumiałości łagodzić obrazu państwa Zakonu. Związek religijny o władzy absolutnej nad poddanymi, organizacja paru tysięcy samotnych mężczyzn, był strukturą chorą z założenia, z wszelkimi nieuchronnymi skażeniami i aberracjami. Sam się już dekomponował. Bez codziennego przymusu nie umiał się z tymi poddanymi porozumieć. Dlatego stany pruskie - rycerstwo, duchowieństwo i mieszczanie - założyły swój związek, Związek Pruski. Zamówiły u trzech polskich prawników, Piotra z Raciąża i kolegów, opinie prawne o ich stosunkach z Zakonem. W grudniu 1450 r. stany pruskie zebrały się w Elblągu dla sporu prawnego z Zakonem – z udziałem tych prawników. Ci przedstawili trzy traktaty. Udowodnili nimi, że Związek powstał z woli ludu, a władza, czyli Zakon, zatwierdziła statut Związku, co nadało statutowi moc prawa. Po czym wykazali ci prawnicy, zgodnie z przyjętymi ogólnie, już nawet w średniowieczu, zasadami, że tyrania panujących i nadużycia łamią porządek prawny, co upoważnia poddanych do oporu. Związek zatem legalnie skorzystał z prawa do oporu.

Tak Związek wygrał z Zakonem w sferze teorii państwa. I to stany pruskie zwróciły się do Korony Królestwa Polskiego o inkorporację. One też potem, w dużej mierze swoimi pieniędzmi, wygrały dla Królestwa Polskiego Wojnę Trzynastoletnią. Okręty wojenne Gdańska, przerobione ze statków handlowych, musiały stoczyć wojnę morską z Danią, która wspomagała Krzyżaków.

Szlachta Korony wojować nie miała ochoty. Kiedy król ją wezwał na wojnę jako „pospolite ruszenie", z początkiem września 1454 r., w obozie pod Cerekwicą, niedaleko Chojnic, rozeźlona, że oderwano ją od żniw, złożyła sejm obozowy. Wymusiła na królu przyjęcie zasady, że „wszystkie nowe rzeczy będą najpierw dyskutowane, postanawiane i uchwalane na sejmikach ziemskich", a zwłaszcza - zwołanie pospolitego ruszenia. I niech nie będzie „żadnych nowych instytucji w trybie prywatnych narad", czyli że trzeba ograniczyć wpływy królewskiej rady możnych. A król niech płaci za wojnę poza granicami kraju - zwoływano bowiem do tej pory pospolite ruszenie tylko dla obrony kraju. Stanąć do niej winna szlachta, z mieszczan - właściciele dóbr ziemskich, oraz wójtowie i sołtysi. Za nieobecność groziła utrata mienia.

To zbuntowane wojsko, z taborami szlacheckich wozów, było jednak nie do wojny... Preambuła dokumentu, nazwanego przywilejem, głosiła, jak dawniej: „Ażeby na przyszłość Rzeczpospolita była zdrowiej rządzona..." Oni ciągle brali siebie za reformatorów państwa przy królach z puszcz litewskich, co to wolą bić się z Turkami, miast rządzić. W przydomku „Jagiellończyk" pobrzmiewał teraz protekcjonalny ton wobec najpotężniejszego z władców Europy, a był to polityk niezwykłej zręczności - dzięki niemu wszak panowali Jagiellonowie w czterech państwach, od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk. W państwie polskim ten król musiał tylko jakoś sobie radzić z jego „rycerstwem". Fryderyk III niby też, ale w jakże innej sytuacji!

Ci „rycerze" buszowali w drodze do Cerekwicy po dobrach kościelnych; bić się już nie umieli. Wzięli kompromitujące baty. Krzyżakom - podobno - dostało się ponad dwa tysiące wozów taboru z żywnością, bronią i odzieżą, do tego nawet... pieczęcie kancelarii królewskiej!

Skąd znamy takie szczegóły? W drugiej połowie stulecia pojawił się autentyczny wielki historyk. Nie pisał swego dzieła dla niczyjej chwały ani interesu. Jan Długosz był zarazem wychowawcą synów królewskich, synów owego Kazimierza „Jagiellończyka", którzy powinni się na ukazywanej im przeszłości edukować. Dzieło Długosza nie doczekało się potem publikacji w epoce druku i nie ma co się dziwić - prawdomówny dziejopis nie ukrywał, że jego własny patron, biskup krakowski, regent za małoletniości Władysława, nazwanego „Warneńczykiem", Zbigniew Oleśnicki, wyposażał z dóbr kościelnych - swoich krewnych. A nie tylko on... Klasztory i kapituły duchowne opływały w dostatki, zżymał się Długosz na rozkład moralny. Nie tylko w kręgu Kościoła.

„Rycerze", mający teraz wojować z Krzyżakami, nie byli nawet cieniem armii spod Grunwaldu. Rozkazów nie słuchali, „każdy robił, co mu wskazywała konieczność, potrzeba albo osobista żądza", jak zapisał Długosz. Długosz wiedział, dlaczego. To już nie byli rycerze. „Mężczyźni trefili włosy i obyczajem niewiast skręcali w sploty. Stroili się w szaty długie, w domu i poza domem, we dnie zarówno jak i w nocy, przesadzając się zniewieściałością z kobietami i na ich wzór zapuszczając kędziory. Na piersiach nosili błyszczące wstęgi, jakie ledwo niewiastom przystały, rzadkim tego wieku przykładem" (tłum. Karol Mecherzyński). Bez żadnego rozkładowego wpływu ziem wschodnich... Dżuma z Węgier nie przedostała się do Polski.

W ciągu paru lat wojna obróciła się już tylko w wojnę gotówki. Najemnicy Zakonu - bo i Zakon już sam nie walczył - sprzedawali obsadzone przez siebie krzyżackie zamki stanom pruskim bądź stronie polskiej; byle udało się zebrać, ile żądali. Zaciężni Czesi i Niemcy pod dowództwem Ulryka Czerwonki, kiedy Zakon Krzyżowy zalegał z wypłatą, za 190 tys. florenów już w roku 1457 oddali wojskom polskim Malbork, Tczew tudzież Iławę i przyłożyli później swojej broni do ostatecznego pokonania Zakonu. Kiedy zaś przyszło pomóc oblężonej załodze kupionego już Malborka, a potem odbić Malbork znowu utracony, późną jesienią 1457 r. sejmik wielkopolski w Środzie, od tej pory - swoistej politycznej stolicy Wielkopolski, postanowił nająć nowych zaciężnych. Już wtedy strona polska zrezygnowała w praktyce z pospolitego ruszenia i zatrudniła do wojny jej zawodowców – najemników. Ziemianie opłacić mieli zaangażowanie konnych kopijników, miasta - pieszych. Szlachta się wykręcała, skąpiła, zamiast 5 tysięcy konnych poszło trochę ponad dwa tysiące. Z nimi - niecały tysiąc pieszych...

W końcowej fazie wojny kanclerz wielki koronny, „gubernator" Wielkopolski, biskup Jan Gruszczyński, potem arcybiskup gnieźnieński (zanadto wedle Długosza dbał o krewniaków), opodatkował - duchowieństwo. Poddani Zakonu dołożyli niemało swoich pieniędzy, a Zakonowi już ich zabrakło. Nie doszło teraz do żadnej wielkiej bitwy. Piotr Dunin z Czerwonką i jego ludźmi odnieśli zwycięstwo koło jeziora Żarnowieckiego właściwie bez większego trudu. Kaprowie, czyli najemni piraci z Gdańska i Elbląga, pokonali flotę wielkiego mistrza. Na ziemi chełmińskiej w końcu 1463 r. ogłosił neutralność, czyli praktycznie przeszedł na stronę polską, najwybitniejszy dowódca krzyżackich najemników, Bernard Szumborski, ojciec przyszłej rodziny Wisławy Szymborskiej. Siłami zaciężnych zduszono stopniowo opór Zakonu. I najpewniej zostali ci zaciężni potem w Koronie: w XX wieku moja kuzynka wyszła za pana Czerwonkę.

Zakończył tę wojnę, ochrzczoną Trzynastoletnią, pokój w roku 1466. Wynegocjował go legat papieski – robił, co mógł, by uratować Zakon przed usunięciem z Prus. Dyplomaci Korony Królestwa Polskiego zawarli ten pokój z Zakonem w Toruniu, oddanym Królestwu. Przywrócono Królestwu całe Pomorze, włączono do niego, jak chciały stany pruskie, Elbląg, Malbork, stolicę krzyżacką, i bogate biskupstwo warmińskie z Olsztynem.

Co najważniejsze dla przyszłości - znikły cła krzyżackie, znikły bariery. Otwarto szlak wodny nieograniczonemu eksportowi polskich płodów rolnych i leśnych. Drogę do pieniędzy i zbytku. Było po co tu zostać.

Mniej więcej wtedy Jan Ostroróg, magnat-intelektualista, napisał „Memoriał o urządzeniu Rzeczypospolitej", przeciw jej rozkładowi, za wzmocnioną władzą królewską. Nie wiadomo, czy dał to czytać choćby swoim przyjaciołom. Nie rozpowszechniony tekst odkryto w XIX wieku, dziś nie ma nawet pewności co do jego autorstwa. Znać musiano za to współcześnie rozprawę Ostroroga o szachach. To nie XVIII-wieczny Filidor oznaczył pola szachownicy krzyżówką cyfr i liter, lecz on, Ostroróg. Co mnie w tym upewnia? Grano w XVI wieku „na pamięć"... Bez tych oznaczeń byłoby to niemożliwe. I tym się wówczas bardziej przejmowano.

Henryk Samsonowicz, wielki historyk polski, w swojej odkrywczej „Złotej jesieni polskiego średniowiecza" pierwszy zwrócił uwagę, że nieco później, w roku 1496, sejm dla zaznaczenia różnicy stanu, zabronił chłopom... noszenia złotych łańcuchów! W ówczesnej Europie złoty łańcuch na szyi znamionował stan godny najwyższego szacunku, największe bogactwo bądź pozycję władcy. Nic dodać. W Polsce na złoty łańcuch stać było, jak widzimy, i chłopa. To mówi coś o tej gospodarce i jakoś tłumaczy ową zniewieściałość.

Zakazano też wtedy wysyłania do nauk więcej niż jednego syna z chłopskiego gospodarstwa... To również nie wymaga komentarzy. Bracia Kopernikowie, synowie mieszczańskiej rodziny studiowali wtedy w Krakowie za pieniądze rodzinne, Uniwersytet Jagielloński zatrudniał ówcześnie uczonych najwyższej klasy. Opiekował się oboma Kopernikami wuj, biskup warmiński, Łukasz Watzenrode. Doradca królów polskich w sprawach pruskich, jednoznaczny w swym przywiązaniu do Królestwa, był ten wuj konsekwentnie za przesiedleniem Krzyżaków na pogranicze z Turkami. Zatrudnił Watzenrode Mikołaja Kopernika jako swego lekarza. Nie dla pozorów. Znakomity matematyk, astronom, świetny ekonomista, opanował i ówczesną wiedzę medyczną... I potrafił dowodzić załogą wojskową Olsztyna w obronie przeciw Krzyżakom. Ale też Mikołaj Kopernik był już postacią z Renesansu.

19. KIEDY POJAWIĄ SIĘ ZBUNTOWANI

Europejska geografia dobrobytu zmieniała się z dziesięciolecia na dziesięciolecie. Już za czasów krzyżackich ładowano w Gdańsku zbożem z Korony statki z Niderlandów, Anglii i Francji. W 1428 roku - 110. I jeszcze w trakcie Wojny Trzynastoletniej, w roku 1460, wyszło z Gdańska 319 statków. Jeżeli już coś dopłynęło bezpiecznie do Gdańska, oznaczało pieniądze. Po roku 1466, gdy zniesiono wszelkie cła i myta na krzyżackich do tej pory odcinkach Wisły, odpływało z Gdańska rocznie kilkaset statków, w tym wiele gdańskiej konstrukcji. Będzie teraz szło na zachód przeciętnie około 10 tysięcy łasztów rocznie - z wyjątkiem dość rzadkich lat nieurodzaju, kiedy i w samym Gdańsku brakowało mąki na chleb. 10 tysięcy łasztów zboża to było co najmniej 50 tysięcy grzywien, ponad jedenaście ton srebra. Co najmniej!

Sam Gdańsk był potęgą, mógł nie słuchać Hanzy. Był większym portem, większych obrotów, niż Lubeka i Brema, prześcignie go z czasem dopiero Hamburg. Wyzwolenie spod kontroli chciwego Zakonu, łatwy teraz, tani transport wodą z głębi kraju, zwiększały obroty, przydawały kupcom rozmachu. Żeglarze – bo już pod żaglami, nie na kosztownych, trzypokładowych, wiosłowych trierach - znali swe trudne morza, szczególnie burzliwe w cieśninach duńskich, na Skagerraku i Kattegacie, zima w tych czasach najostrzejszego chłodu wyłączała je z przewozów - po zamarzniętych wodach wilki biegały z Norwegii do Danii. Kilowe statki Hanzy, nawet jeśli wszystkiego kilkanaście metrów linii pokładu, tyle, co słynna karaka Kolumba, to nie były dawne długie łodzie wikingów, ciągnięte przewłokami na rolkach. Pływały wyłącznie morzem. Teraz, kiedy przychodziły do Gdańska bez ograniczeń setki łasztów zboża, drzewo masztowe, miód czy potaż, ryzyko się opłacało. Taniej się kupowało, więcej się zarabiało u celu wyprawy.

Trochę wiadomości nie tylko dla żeglarzy: Gdańsk budował do tej pory małe kogi, pękate i wysokie, z kasztelem na rufie i z jednym masztem o prostokątnym żaglu rejowym, ale z końcem wieku XV powstawały w stoczniach Gdańska kogi już powiększone, zwane holkami, trzy-, czteropokładowe, z bezanmasztem na rufie, z kasztelem i na dziobie – do obejrzenia na pieczęciach miast Hanzy. Te statki mogły zabrać od kilku do kilkudziesięciu łasztów – ich ładowność będzie przez dalsze paręset lat niedostrzegalnie określała dzieje Polski… Dla rosnącego eksportu i kogi musiały się rozrastać. W roku zaś 1462 została w gdańskim porcie po awarii przybyła nie z solą, a po sól, ogromna, trójmasztowa karawela francuskiego właściciela z La Rochelle. Dowiedziałem się ze wspaniałej „Encyklopedii Gdańskiej”, zredagowanej i wydanej przez mojego przyjaciela, Cezarego Windorbskiego – że w dwa lata później Rada Miejska Gdańska wprowadziła ubezpieczenie wpływających do portu statków! Historia tej karaweli też mnie zaskoczyła, znałem inną jej nazwę, raczej niderlandzką… Nie przypuszczałem, że jakaś ówczesna stocznia francuska nad Atlantykiem mogła spuścić na wodę takich rozmiarów statek, blisko 50 m w linii pokładu, 800 ton ładowności! Co istotne, szkutnicy gdańscy dzięki jego remontowi mogli się zapoznać z techniką montażu poszycia z klepek na styk i od tej pory zaczęli budować w swoich stoczniach potężne karawele, mieszczące po kilkaset łasztów! Sporów tu własnościowych nie przytoczę, król polski poparł Gdańszczan, dość, że wyremontowany okręt, już i wojenny, pływał od 1471 r. jako „Peter von Danzig”. Siał postrach na Morzu Północnym nie tylko w wojnie Hanzy z Anglią…

Gdańszczanie sami pływali aż do Hiszpanii na południu i do Bergen na północy. Jeden z nich popłynął w roku 1479 aż na Islandię i nie dziwmy się legendzie, że jakiś Jan Scolvus, Scolnus, Scolno, *Polonus*, jak podawali różni historycy z XVI i XVII wieku (nie

dopiero nasz wielki Joachim Lelewel), na kilkanaście lat przed Kolumbem wylądował w 1476 roku na brzegach Ameryki. Zupełnie możliwe. Przedsiębiorczy żeglarz mógł na Islandii dowiedzieć się o „Grenlandii" i „Vinlandii", gdzie w ciepłych wiekach, 500 lat wcześniej, naprawdę osiedli Wikingowie. I mógł ów tajemniczy *Polonus* popłynąć tam, oczywiście nie wiedząc nawet, że to inny kontynent - choć Islandczycy na pewno nie polecali hazardu podróży wśród łomów kry i gór lodowych. Ciekawe, swoją drogą, czy ci żeglarze gdańscy wpływali w niebezpieczną zatokę Biskajską, do baskijskich portów handlowych, czy też ją otwartym oceanem wymijali, by lądować na południu Hiszpanii... Nie brakowało w Gdańsku ludzi z fantazją, mieszczanie gdańscy stawali nawet w turniejach rycerskich i sięgali po sławę zgoła nie kupiecką.

Wszyscy się bogacili. Nawet Jan Długosz! Wszedł w spółkę z innym uczonym, Jakubem z Szadka, a to był wielki prawnik, mieszczanin, dyplomata królewski, który formułował przepisy pokoju toruńskiego. Razem z dwoma kupcami krakowskimi odebrali - w przerwie Wojny Trzynastoletniej - dostawę sukna ze... Szwajcarii, na sumę 6 tysięcy grzywien, do Torunia, dla trzech wielkich panów polskich. To były ilości na pewno nie dla samych pańskich dworów, ci panowie poprzez swoich ludzi sami sprzedawali te sukna dalszym klientom. Mikołaj Kurowski, arcybiskup gnieźnieński, swój handel nadzorował sam, jego statki pływały do Flandrii, dorobił się trzydziestu wsi, które zapisze rodzinie. Cóż się dziwić chciwości zwykłych zjadaczy chleba?

Ten najbogatszy kraj Europy, niedługo jej spichlerz, pilnuje porządku - wszystko jest w księgach ziemskich, trudno czyjąś własność zakwestionować, w Wielkopolsce nawet chłopi domagają się pisemnych umów z właścicielami ziemi. I to chłopi zakładają w Wielkopolsce spółki dla skupu dziesięcin czy też dla spławu do Gdańska!

Możni, dorabiający się na zastawionych im dobrach królewskich, uważają przynajmniej, że wypada fundować kościoły. Oczywiście, w ich ściany wmurowują płyty spiżowe ku swojej pamięci; następcy będą stawiali sobie pomniki w postaci rzeźb nagrobnych w kamieniu lub spiżu. Co to za skala bogactwa? Wojewoda poznański z rodu Górków wziął posagu za córkę kasztelana poznańskiego tysiąc grzywien! Górkowie zostaną największymi magnatami Wielkopolski, ale daleko im do bogactw małopolskich, z nowych dóbr na Wołyniu i Podolu...

Żelazo przestało być źródłem dochodów, już w połowie XIV wieku (!) w Wielkopolsce karano bezprawny wyrąb lasu. Teraz w dobrach rodu Łodziów grunty wręcz z powrotem zalesiano, zanikło wiele wsi; las już profitował inaczej. Słynne dęby Wielkopolski, podziwiane dziś w Rogalinie, mogły rosnąć spokojnie, od kiedy przestano ciąć drzewa do zwęglania w mielerzach.

Krakowscy kupcy, Kopernikowie, wywodzący się ze Śląska, po zawarciu pokoju przenoszą się na ziemie odzyskane, do Torunia. Nie muszą polonizować nazwiska, jak to czyni wielu ze szlachty pruskiej. Mieszczanie krakowscy niemieckiego pochodzenia o czysto niemieckich nazwiskach są już od pokoleń patriotami swojej Korony Królestwa Polskiego. Pierwsi drukarze, jak znalazł Gloger, to już rok 1476, dochodzą klasy mistrzów i ściąga ich zagranica. Tam podkreślają swoje pochodzenie, dumni ze swojego państwa. Jan Adam z Polski w 1478 r. pierwszy drukuje w Neapolu. Najwybitniejszy z końcem XV wieku drukarz Hiszpanii, pracujący w Sewilli ze swoim morawskim kolegą z Neapolu, sygnuje się *Stanislaus Polonus*. Po nim drukuje w Sewilli Stefan Polak. Ale w kraju nie wydrukowano tego, co wtedy sądził o porządku państwowym Ostroróg, czy też co mówił

wpływowy włoski dworzanin-filozof i dyplomata, Filip Buonaccorsi, zowiący siebie Kallimachem. Widać to mało kogo obchodziło.

Mało też kogo w roku 1470 obchodziło, że za północno-wschodnią granicą Wielkiego Księstwa Litewskiego kończył po kilkuset latach swą historię Nowogród Wielki. Ta kupiecka republika, niegdyś potężna, uległa swemu dobrobytowi - jej bogatych czołowych obywateli stać było na armię najdroższych nawet zaciężnych dla obrony przed kniaziami Moskwy tatarskiego chowu. Pożałowali grosza. Patrioci liczyli na pomoc polską. Lud wznosił okrzyki na cześć „króla", oczywiście - króla Polski. Ten król, zarazem - właściciel Wielkiego Księstwa Litwy, mógł opłacić ludzi po Ulryku Czerwonce, już zmarłym, by nawet inkorporować potem ogromną republikę północnej Wielkorusi na prawach osobnego Wielkiego Księstwa, ale zimny rachunek polityka wskazał mu zapewne, że trudno bronić nie chcących się bronić... Stanęli do walki tylko najdzielniejsi Nowogrodźcy pod wodzą bohaterskiej „Marfy", czyli Marty Boreckiej, „posadnicy", wdowy po „posadniku", burmistrzu, rządzącej miastem i obroną. Przegrali. Zwycięski Iwan III Srogi, kniaź moskiewski, przesiedlił wszystkich Nowogrodźców, bogatych również, na niż wołżański, zwany Nizowiem, a Nizowian – do Nowogrodu Wielkiego. Sami Boreccy przenieśli się najprawdopodobniej do Polski – rektorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego był niedawno Tomasz Borecki, który nigdy się nie interesował swoim przodkami i nie odkrył, że źródłosłów jego nazwiska jest z całą pewnością rosyjski, od „boriec", bojownik, wojownik...

W Polsce „wszystko wtedy układało się pomyślnie, lecz w ślad za powodzeniem pojawiła się nieodłączna pycha - napisze w roku 1520 współpracownik króla Zygmunta Starego, Just Decjusz, z wirtemberskich Dietzów. - Wygody i przyjemności wygnały zamiłowanie do służby wojskowej i uczyniły ludzi niewolnikami wad właściwych kobietom (...) I tak najwspanialszy strój poczęto uważać za największą zaletę. Jednych opanowała żądza ucztowania, pobłażania podniebieniu i żołądkowi, a drugich rozkosze i zbytek przywiodły do upadku. Wreszcie szaty były nie tylko miękkie, ale na wzór kobiecych długie, lekko marszczone, krojone na wzór szat wschodnich. Futer używano miękkich, delikatnych i drogich, (...) w zwyczaj weszło noszenie włosów dłuższych niż przystoi mężczyźnie i fryzowanych".

Długosz więc ani na jotę nie przesadzał. I tak to już było prawie kilkadziesiąt lat! Całe pokolenia przyzwyczajały się do zbytku! Decjusz już nie wspominał, że ci mężczyźni malowali się „barwiczkami" jak kobiety. Ale pisał i o zamiłowaniu do nauk we wszystkich warstwach, o ogólnej pobożności, o słowności w dotrzymywaniu obietnic! „Rzadko wśród szlachty znalazł się ktoś, kto by nie znał języków czterech lub trzech narodów, łacinę zaś znali wszyscy". Mówiono piękną czasem polszczyzną, polscy kaznodzieje słynęli już wymową. Nie słyszymy za to nic o skutkach wiadomości z Hiszpanii na temat odkrycia drugiego kontynentu – mogły one dotrzeć do Krakowa dopiero z początkiem XVI wieku, po tym, jak udało się Kolumbowi zakotwiczyć przy lądzie stałym, pierwsze odkryte wyspy nie były aż taką rewelacją, były tylko trochę dalej niż Azory...

Pierwsi następcy Kazimierza „Jagiellończyka", synowie, Jan Olbracht, Aleksander, żyli na szerokiej stopie. Jak wszyscy w kraju. Potrzebowali na to pieniędzy. Stąd nie starczało na obronę Rusi i Litwy przed Tatarami, moskiewskim Iwanem Srogim i hospodarem Mołdawii. Za Jana Olbrachta unia polsko-litewska znowu nie obowiązywała nawet formalnie. Jan Olbracht, dzielny, ale nieudolny dowódca, chyba dość rozpustny w swym homoseksualizmie, zmarł, 42-letni, prawdopodobnie na szerzącą się wówczas kiłę. Czytamy wręcz o „epidemii" syfilisu, ale to była raczej epidemia zbyt łatwego seksu

w świecie zamożności i częstych, a przypadkowych kontaktów seksualnych. Młodszy brat, Aleksander, pilnował swej samodzielności jako Wielki Książę Litwy, choć co rusz brał w skórę od kniazia Moskwy, tracąc kolejno różne ziemie. Zemrze podobnie wcześnie jak starszy brat – 45-letni, na dobitek leczony przez szarlatana….

I napisze Decjusz zarazem o „upadku państwa" w tym najbogatszym kraju Europy. Nie przesadzał: „Skarb królewski i publiczny był zupełnie wyczerpany. Dobra królewskie wszędzie pooddawane były w zastaw". Zygmunt Stary, koronując się w Krakowie w r. 1507, znajdzie skarb koronny z 38 grzywnami srebra - i tak nieco więcej, niż zanotowano gotówki w inwentarzu po śmierci Aleksandra, jego poprzednika.

W tym czasie zawiązuje się niespodziewanie ruch, przeciwny temu „upadkowi". Nie jest jasne, z czego się wziął. Drobna i średnia szlachta źle znosiła dominację możnych, z ich wyłudzonymi królewszczyznami, to pewne. Czy może synowie buntowali się przeciw obojętności ojców na sprawy kraju? Dziś przypuszczam, że na taki rozwój sytuacji wpłynął - druk. Druk pewnych określonych lektur… Niemal wszyscy znali łacinę - i czytali, bo czytanie druku nie sprawiało trudności. W tej XVI-wiecznej młodzieży znajdowałem przede wszystkim ludzi wykształconych. Wykształcenie sprzyja rozwojowi inteligencji, co zaś równie ważne - wyobraźni. Na pewno słuchali – Łaskiego i Zaborowskiego. Czytanie ich obrodzi buntem… Nie odkrycie Ameryki.

Jan Łaski to dla mnie jeden z największych mężów stanu w dziejach Polski. Samouk, zbyt ubogi na studia w Akademii Krakowskiej, wcześnie oddany do stanu duchownego, uczył się prawa sam - już w wieku 18 lat notariusz konsystorza poznańskiego. Wkrótce odkrył go kanclerz wielki koronny, Krzesław z Kurozwęk. Uderzony jego zdolnościami, ściągnął go do kancelarii królewskiej.

Zasługiwał w niej sobie Łaski rutynowe kolejne beneficja. Wysyłano go do załatwiania spraw trudnych zagranicę - do Wiednia, do Rzymu, do Flandrii. Dostał kanclerstwo gnieźnieńskie w roku 1493, kiedy postanowiono, że sejmem będzie nie ogół szlachecki, nie *viritim*, kto przyjedzie, lecz - obok senatu - wybrani reprezentanci, posłowie „ziemscy", czyli izba poselska. Od tej pory sejmem będą przede wszystkim oni. Oni, a nie magnaci, beneficjenci rozdanych dóbr. Magnaci zachowają przewagę w senacie, tę przewagę spróbuje podważyć dopiero Łaski.

Jego niezwykłą inteligencję i lojalność wobec państwa odkrył w pewnym momencie nowy król - Aleksander. W roku 1502 r. zrobił 46-letniego Łaskiego swoim sekretarzem, w rok później - kanclerzem wielkim koronnym. Łaski zasilał kasę króla z własnej kiesy, co mu przysporzyło jego sympatii. Ale król chyba nie wiedział, co jego faworyt szykuje…

Łaski to potężna, jak ją odczytuję, osobowość, naładowana inicjatywą i energią, z ogromną zdolnością przekonywania. Jak jego poglądy stały się poglądami ogółu, nie badano, skoro błąd Polaków tkwił wedle naszej historiografii w naiwnej rezygnacji z absolutyzmu. Wiadomo jedynie, że posłowie na sejm w Piotrkowie w roku 1504 przybyli już z poglądami Łaskiego. Obradowali wyjątkowo długo, 6 tygodni. Uporządkowali organizację najwyższych urzędów. Podskarbi wielki koronny miał od tej pory dysponować wszelkimi dochodami państwa i udzielać środków na utrzymanie dworu podskarbiemu nadwornemu, którego urząd wtedy ustanowiono.

Wyjaśnijmy tu bliżej, o co chodziło, czyli jak królowie pozyskiwali możnych i jak tworzyli nowych, sobie oddanych. Otóż król powoływał wojewodów, kasztelanów i starostów. Z

każdym takim urzędem wiązały się dobra, przynoszące dochody, zwane właśnie „królewszczyznami". Król mógł oczywiście jakieś dobra podarować, choć to budziło natychmiastowe protesty; mógł komuś zasłużonemu dać jakieś dobra królewskie w dożywocie, ale to były marginesy. Król powoływał i biskupów, co zapewnił już sobie Kazimierz Jagiellończyk. Każdego biskupa z odpowiednią schedą. Aleksander lekką ręką królewszczyzny rozdawał - różne włości, starostwa grodowe, „zamkowe", i „niegrodowe", tj. dzierżawy, czyli związane z tymi starostwami dobra. Teraz miało być tak, że tylko rada koronna mogła pozwolić na zastaw lub darowiznę dóbr, a zastawione będą sukcesywnie odbierane, *succesive evinci*. To już był program „egzekucji dóbr".

Sejmująca szlachta, większością głównie wielkopolską, zabroni kanclerzom wypuszczania dokumentów „przeciw prawu powszechnemu Królestwa", a zwłaszcza zabroni obciążania i zbywania królewszczyzn! Sama nie skąpi na potrzeby państwa: uchwala podatki. I zaprowadza w tym państwie twarde porządki - trzeba ukrócić rozzuchwaloną w dobrobycie przestępczość. Nie tracąc czasu, natychmiast. To nie przelewki: szlachcic, schwytany na gorącym uczynku, osądzony w trybie doraźnym, daje głowę katu, ścięty jednak z szacunkiem - bez świadków, w piwnicy. Natomiast szlachcianka, ujęta na rozboju w męskim przebraniu, z ostrogami, zawisa ku swej hańbie na szubienicy publicznie. Król podpisuje wyroki śmierci, co jest dlań zastrzeżone.

W roku 1505, w Radomiu, sejm uchwali konstytucję *Nihil Novi*. Aleksander musi ulec. Od tej pory król „bez wspólnej zgody senatorów i posłów ziemskich" nie postanowi niczego nowego, *nihil novi*, co by „zmierzało do zmiany prawa powszechnego i wolności publicznej". Izbie poselskiej nie przysługuje wprawdzie inicjatywa ustawodawcza, ale zyskuje teraz izba poselska - po dwunastu latach formalnego istnienia! - pełną kontrolę nad prawodawczymi pełnomocnictwami władzy wykonawczej państwa i nad decyzjami senatu. Podkreślam - kontrolę jedynie nad prawodawstwem, zgodnie z postulatami Marsyliusza i przyszłym ustrojem Stanów Zjednoczonych. W konstytucji *Nihil Novi* jednak od XIX wieku wiele prac naukowych widzi klęskę ustrojową, początek rozkładu państwa – choć na to, że nie oddzieliliśmy władzy wykonawczej od ustawodawczej chorujemy do dziś. Wedle zwolenników absolutyzmu król, władza wykonawcza, powinien stanowić prawo, jakie chce. Tymczasem w Polsce, jake-eśmy się przekonali, od czasów Kazimierza Wielkiego poddani, obywatele Rzeczypospolitej, brali udział w tworzeniu prawa i ustroju państwa. Tworzyli je rozsądnie, to prawo i ustrój sprawdzały się w praktyce ich szlacheckiej demokracji. Póki szlachta tej demokracji nie rozłoży, obojętniejąc na dobro swego państwa i zdrowy rozsądek, władza wykonawcza będzie mogła się kierować interesem państwa i zdrowym rozsądkiem. Kiedy bogactwo obezwładni w szlachcie ducha obywatelskiego, od jej sobkostwa będzie umierała Rzeczpospolita - na paraliż władzy wykonawczej.

Na razie obywatele szlachta dbają o porządek w państwie. Znieśli uchwałą przeciwne religii i zdrowemu rozsądkowi artykuły prawa magdeburskiego o pojedynku jako próbie niewinności. I to ich sejm, nie król, polecił kanclerzowi wielkiemu koronnemu zestawić i ogłosić drukiem - zbiór prawa polskiego. Po roku, czyli w 1506 r., tuż przed śmiercią Aleksandra, ukazał się Statut, nazwany „Statutem Łaskiego", zbiór praw Królestwa. Są w nim wszystkie akty ustawodawcze, konstytucje sejmowe, unie, zawarte pokoje, przywilej żydowski, pomocnicze materiały na użytek kancelarii, materiały uzupełniające, informacyjne, jak prawo magdeburskie, traktat o prawie rzymskim i kanonicznym. Tylko tego „Statutu" byłoby dość, żeby przejść do historii...

Była w nim także – rozprawa *De bellis iustis*, „O wojnach sprawiedliwych". Mój profesor prawa narodów, którego tu przywoływałem, Ludwik Ehrlich, znał ją właśnie z Łaskiego. Długi czas przypisywano początki prawa narodów wykładom w Salamance 1532 r., które na tamtejszym uniwersytecie wygłosił Francesco di Vitoria, hiszpański dominikanin. Zastanowiła mnie zbieżność z wcześniejszymi poglądami polskimi. Dziś jestem pewny, że di Vitoria czytał poszukiwany w Europie „Statut" Łaskiego z *De bellis iustis*. Łatwo sprawdzić - zwroty się powtarzają. Że bez cytowania źródła? Cytowano wtedy z imieniem tylko autorów starożytnych, podpierając się nimi. Nie chcę umniejszać owego dzielnego dominikanina. Ten Bask był przekorny wobec swojej epoki, epoki odkryć geograficznych i podbojów kolonialnych, które zmieniły świat. Di Vitoria nie dość, że papieżowi przyznawał tylko władzę duchową, to krytykował owe podboje i kolonizację. Wzorem polskim przyznawał „niewiernym", w tym przypadku - „Indianom" Ameryki, prawo do samostanowienia!

Że tego profesora uniwersytetu w Salamance nie spalono na stosie, zawdzięczał władzy króla Hiszpanii i cesarza Niemiec, Karola V, Habsburga. Żaden władca epoki, swoją drogą, nie był takim szczęściarzem i zarazem ofiarą takiego pecha – po dwóch dynastiach miał Karol w dziedzictwie królestwo na dwu kontynentach, nad którym słońce nie zachodziło, a zakończył panowanie abdykacją... Ale wtedy papież Paweł III, ten sam, który ustanowił straszliwą kongregację inkwizycji, uległ wpływom Francesca i wydał bullę o prawach „Indian". Więcej, Karol V zniósł ich niewolnictwo!

Mimo skali odkryć i podbojów oddziałała na Europę, w tym zwłaszcza na Hiszpanię, pewna lekceważona w historiografii rozprawa polska, wydrukowany w 1507 r. *Tractatus de natura iurium et bonorum Regis*, „Traktat o naturze praw i dóbr króla". Opracował go podopieczny Łaskiego, krajan z sieradzkiego, Stanisław Zaborowski. Możliwe, że obaj razem. Zaborowski to nie byle kto - uczony, umysł wybitny i wszechstronny; wprowadził do ortografii polskiej znaki diakrytyczne, dla zapisu dźwięków „ł" i „ż"! I tekst jest rewelacyjny. To program. To, co mówiono, zostało napisane. Każdy mógł przeczytać. Królowie też.

Hiszpański Ferdynand Katolicki z pewnością nie mógł przystać na tezę, że król wprawdzie „nie ma nikogo wyższego nad sobą", ale *tota communitas*, „całość społeczeństwa", jest nad niego wyższa, skoro król za nią zawiaduje „królestwem" i „rządzi". Niby to poglądy w Polsce utrwalone od wieków, jednakże inne królestwa ich nie uznawały, a i nasza XIX-wieczna „szkoła krakowska", zgodnie z odkrytymi poglądami Ostroroga, potępi tę polską niezgodę na absolutyzm...

Król rozdawać dóbr nie powinien. Trzeba je dla wzmocnienia państwa odebrać, „egzekwować". Ta rozprawa ujmowała program ruchu egzekucyjnego. Na całe lata. Dzięki swej łacinie dotarła snadź do Hiszpanii, do jej szlachty i mieszczaństwa – oto bowiem przywódcy obu stanów uznają, że trzeba takiż program „egzekucyjny" podjąć wobec hiszpańskich dóbr królewskich, pooddawanych w zastawy, dzierżawy i lenna bez żadnych dochodów dla państwa. Nie koniec na tym - papieże w państwie kościelnym sięgną po swe porozdawane dobra, nie przynoszące nawet żadnych czynszów! Przykład Królestwa oddziaływał jak widać szeroko.

Król niech obsadza urzędy „mężami wybitnymi, dojrzałymi, wykształconymi i nieskazitelnymi", którzy „nie zwracaliby zupełnie uwagi na względy osobiste". Do tej pory kanclerze patronowali zastawom, dzierżawom i lennom, stąd łatwo odgadnąć, o co

reformatorom chodziło. Wszyscy rządzący swoimi krajami, wysoko postawieni czytelnicy rozumieli to także.

O Zaborowskim samym wiemy niewiele. Za młodu wojował; wykształcony, pomagał Łaskiemu w układaniu „Statutu", w 1506 r. został pisarzem skarbu koronnego. Na starość zrobi go Łaski kanonikiem w dochodowym arcybiskupim Uniejowie. To też nic nie mówi. Z kim zaś wiązał się Łaski, ujawnia pewien ciekawy szczegół: w roku 1504 Łaski ze swym przyrodnim bratem ostentacyjnie przyjęli do herbu - mieszczanina, burmistrza Gdańska, Matysa Zimmermana (być może wielki nasz pianista jest jego potomkiem?). Ten gest polityczny obu Łaskich wskazywał, kogo mają za równego szlachcie.... Trzy lata później przyjmą Łascy do herbu - Stefana Fiszla, poznańskiego Żyda, który ochrzcił się wraz synami. Fiszel kupi podpoznański Powidz i wydadzą Łascy za właściciela Powidza, czyli Stefana Powidzkiego, swoją siostrę... Tak manifestowali Łascy swoją filozofię społeczną i polityczną. Polska miała należeć do wszystkich swoich poddanych. Jako obywateli. Zgoda, jeszcze nie XX-wiecznych. XVI-wiecznych. Ale obywateli.

Nowy król, Zygmunt, zawodowiec władzy, miał za sobą doświadczenie namiestnika swojego brata, króla Czech i Węgier, „króla dobrze", na Śląsku. Zaprowadził tam porządek, wytępił rozbój, i bił - po pierwszych, mało udanych próbach - własną doskonałą monetę, z herbami Polski i Litwy. Kiedy jechał do Krakowa na tron polski, poddani śląscy wręczyli mu istny z żalu po nim panegiryk dziękczynny... Na tronie już, powołał od razu, w 1507 r., nowy urząd, bardzo praktyczny w rządzeniu - referendarzy. Profesjonalni prawnicy, zawsze u dworu, mieli codziennie przyjmować pisemne skargi i prośby, po czym referować je kanclerzowi. Król rozstrzygał, oni doradzali. Dwaj koronni i dwaj litewscy. Nieoceniona pomoc. Czyj był to pomysł, nie wiem.

W 1510 r. król zrobi Łaskiego arcybiskupem gnieźnieńskim, a więc prymasem Polski. W Krakowie było chyba za ciasno i dla Łaskiego, i dla pełnego energii jak on Zygmunta. Nie mogło być praktycznie dwóch królów. Łaski i z Gniezna będzie jednak troszczył się o interesy państwa – ten mąż stanu czuł się za nie odpowiedzialny. I będzie szczepił swoje idee szlachcie Wielkopolski.

20. WIEK ZŁOTY

Polskie „zygmuntowskie czasy”, czas panowania Zygmunta Starego, nazywano „złotym wiekiem”. I słusznie: kiedy w XVIII wieku odkryje tę Polskę w starych dokumentach mądry pijar, Stanisław Konarski, poczyni wraz z przyjaciółmi wszelkie wysiłki, by mogła Polska odzyskać utraconą wielkość. Dopiero w XX wieku pod piórami historyków i pisarzy historycznych epoka zygmuntowska stopniowo traciła blask, aż w oczach Jasienicy Zygmunt Stary odpowiadał wręcz za rozkwit potęgi i zaborczych ambicji pruskich Hohenzollernów w następnych stuleciach.

W popularnych ujęciach malowano tego Zygmunta zupełnie odmiennego od prawdziwego, aż po granice absurdu. Tymczasem to on, szczegół na ogół w historiografii pomijany, przywrócił w Polsce modę na… męskość. Górował nad swymi współczesnymi wzrostem i niebywałą siłą - powrozy targał i łamał podkowy, oczywiście żelazne, nie te ze stali, przedzierał talię kart. Po żołniersku odporny był na chłód i niewygody. Mniej na kobiety. Udając się ze Śląska do Krakowa, by objąć tron, zabrał swoją ukochaną Czeszkę, Katarzynę Telniczankę, mieszczkę!, z trojgiem ich urodzonych bez ślubu dzieci. Widać nie ryzykował innych dowodów męskości, bo dożył zdrowy 81 lat, do końca w pełni sprawny umysłowo i fizycznie.

Przypisywano mu „wzniosłe, ale nieżyciowe zasady”, górować mieli nad nim ówcześni władcy absolutni, tacy jak francuski Franciszek I, angielski Henryk VIII i cesarz Karol V. Tymczasem spośród nich wielkim władcą był może Karol V. Bez żadnego „uniwersalizmu”, bez jakiegokolwiek zamiaru w tej mierze. Królestwo Hiszpanii, to, „nad którym słońce nie zachodziło”, z ziemiami na obu półkulach, po prostu odziedziczył jako wnuk Ferdynanda Katolickiego, a pierwszy Karol na hiszpańskim tronie, więc – Karol I. Zręczny w kontakcie z ludźmi, wybór na cesarza kupił od elektorów Rzeszy za pieniądze znanych już nam augsburskich bankierów, Fuggerów. Wojownik umiejętny, ale polityk żaden, po eksplozji reformacji toczył w Niemczech niekończące się religijne wojny domowe, z tymi, których, jak mu się zdawało, już raz pokonał. Swoje olbrzymie hiszpańskie państwo doprowadził do bankructwa, co przy jego niezmierzonym bogactwie było osiągnięciem doprawdy niezwyczajnym. Tyle kosztował go nie dwór, a polityka, niezbyt mądra. I zanim umarł - rzecz równie zaskakująca - abdykował. Kochał jeść i żył wszystkiego 57 lat, serce nie wytrzymało obżarstwa i tuszy. Przed śmiercią zalecił synowi bezwzględnie tępić herezję. Nie znajduję w nim żadnej przewagi nad Zygmuntem, królem największego państwa Europy, wolnego od wojen i stosów…

Zakochani we Franciszku I historycy francuscy robili go historyczną przeciwwagą dla „uniwersalizmu” Karola V, aliści Franciszek, rzekomy władca absolutny, nie radził sobie z niezależnymi odeń możnowładcami Francji! Słynął jako pełen wdzięku zdobywca serc kobiecych i hojny rozrzutnik. W wojnach z Karolem V, czy ze zbuntowanym konetablem, głównodowodzącym swych wojsk, ponosił jedynie porażki. Przesiedział ponad rok w niewoli u Karola V. Kiła skróciła Franciszkowi życie do 53 lat. I to pod jego władzą pierwszy raz palono we Francji heretyków na stosach. Żeby nie wznosili pobożnych okrzyków, wyrywano im języki…

Anglia szczyci się XIII-wieczną *Magna Charta Libertatum*, z jej obroną praw obywatelskich. I aż po wiek XVI nie dopuszczała tortur! Aliści Henryk VIII, słynny zabijaniem żon, pozbawił życia około 30 tysięcy nie sprzyjających mu poddanych. W roku 1546 kanclerz Henryka z innym wysokim dostojnikiem będą łamali kołem służkę kolejnej

królowej, by wymusić zeznanie przeciw jej pani. Córce, następczyni Henryka, Marii, nadano przydomek „Krwawej" - paliła heretyków na stosach, ścinała ich i wieszała, a nie zdążyła pobić rekordów ojca, bo zmarła po pięciu latach. Bez pardonu zaś uśmiercała ludzi sobie niewygodnych i wielka Elżbieta, którą mitologizują dziś pyszne seriale telewizyjne. Anglia, w przyszłości kolejna po włoskich miastach i po Niderlandach ojczyzna cywilizacji, nie kochała się jeszcze w żegludze i handlu. Nie nauczyli jej tego ani Henryk, ani Elżbieta. Anglicy sami zasmakowali w przygodach morskich i piractwie, potem i w handlu, a mit morza rozwinęli - ich XVI-wieczni pisarze. Anglicy uwierzyli im - na parę wieków. Morze obdarzyło ich mocarstwem.

Zygmunt nie był amatorem na tronie. Odebrał znakomite wykształcenie, od ludzi tyleż ogromnej wiedzy, co życiowej mądrości. Nie tylko od Jana Długosza. Po niemiecku mówił, jak po polsku; łaciną operował swobodnie, w mowie i w piśmie. Władzę praktykował, co już wiemy, jako namiestnik swego brata Władysława na Śląsku. „Starym" został i z uwagi na swój wiek, i dla odróżnienia od syna, też Zygmunta.

Fachowiec władzy, wziął się najpierw za pieniądz. W 1507 roku uruchomił mennicę w Krakowie i bił w niej solidne półgroszki (na umowną jednostkę polskiego złotego, nie istniejącego wtedy fizycznie, składało się 30 groszy). W 1511 roku sejm zakazał dalszej ich produkcji; uznano, że jest ich w obiegu za dużo, skoro za jeden węgierski „czerwony" - „czerwony", czyli ze złota – brano teraz 72 półgroszki, miast 60. Po tej decyzji widać, jaką wiedzę reprezentowali ci delegaci zwykłej szlachty - stosowali już ilościową teorię pieniądza! W 1517 roku wspominany już tutaj, bratanek Zygmunta, Ludwik, już król Czech i Węgier, postanowił dla łatwego zysku bić w Świdnicy obniżonej wartości półgroszki z orłem i koroną, jak te Zygmunta, tylko z innym napisem w otoku. Zalewała kraj od tej pory, mimo protestów Krakowa, moneta świdnicka, i to coraz podlejsza. Często nawet kupcy jej nie rozróżniali.

Nie chodziło już o straty króla jako emitenta monety, lecz o interes całego państwa. Największy znawca pieniądza, kanonik fromborski, Mikołaj Kopernik - tak, wielki matematyk i astronom, który niedługo „wstrzyma słońce, wzruszy ziemię", lekarz, a wielki zarazem ekonomista - wyliczał w swym traktacie, czym grozi tolerowanie oszukańczej monety. Z wszelkimi skutkami, od ucieczki dobrego pieniądza i wzrostu cen aż po rozprzężenie gospodarki. Szlachta bolała znowuż nad wzrostem ceny złota. Posługiwano się w Polsce obcą złotą monetą, rzadko bito własną, ale w złocie przechowywano gromadzone dochody. Złoto stanowiło symbol trwałego bogactwa.

Kopernik nalegał, by nie rządzić pieniądzem wedle widzimisię władcy czy dworu i żeby „monety bez gruntownych narad przedniejszych obywateli i jednomyślnej ich uchwały nie odmieniać". Sejm przedyskutował dwa traktaty o reformie pieniądza, Decjusza i Kopernika. Król je dokładnie przestudiował. Zapewne od obu fachowców razem wyszedł projekt nowej ordynacji menniczej. Ogłosił ją król w 1526 r., „chcąc w porę stosownym środkiem zaradczym zapobiec obecnemu i publicznemu nieszczęściu". Publicznemu! Ustanowił skrupulatną kontrolę jakości (żeby się nowa moneta nikomu nie myliła, zlikwidowano półgroszki w ogóle) i system nadzoru. Zgodnie z sugestią Kopernika Zygmunt z góry wytyczył, jakie ma koszty pokrywać bicie monety. Zadanie powierzył fachowcom. Podkreślał ich kwalifikacje przy nominacjach. Nie mianował totumfackich.

Ten zdrowy rozsądek kontrastował z atmosferą epoki. Odkrycia geograficzne zmieniły wyobraźnię Europy. Nową historię Europy i świata otworzył Renesans i humanizm. Szczytny wzlot myśli – choć, przypomnę, Renesansem, czyli Odrodzeniem,

i humanizmem, ochrzczono te zjawiska dopiero w wieku XIX. Wtedy, w wieku XVI, przedmiotami „humanistycznymi", „humaniorami", na uniwersytetach było wszystko, co poza teologią i naukami ścisłymi. Rozkwitały więc te „humaniora", gasła scholastyczna mentalność, Włochy oszałamiały odzyskiwanymi starożytnymi dziełami, przywożonymi w XV wieku z padającego Bizancjum. Erazm z Rotterdamu, z byłego mnicha uczony, wybrał się w podróż do Anglii, gdzie zetknął się z nieco młodszym Tomaszem More'm, Morusem w łacinie, drugą niezwykłą postacią XVI-wiecznego humanizmu. Obaj zapoczątkowali inny świat myśli. Erazm swoją przewrotną „Pochwałą głupoty", ogłoszoną w roku 1509 i tłumaczoną na wiele języków, zmienił podejście do religii i Kościoła. Ojcem reformacji był w rzeczywistości on, a nie Marcin Luter. Reformacja w Niemczech po 1517 r. nie wybuchła z samych tylko antyKOR-upcyjnych tez Lutra; sprowokowała ją powszechna demoralizacja duchowieństwa – którą bezpardonowo wytykał Erazm z Rotterdamu, jak przed stuleciem Mateusz z Krakowa. Morus, Thomas More, w roku 1516, też przed wystąpieniem Lutra, ogłosił swoją rozprawę, której tematem było idealne państwo, nazwane „Utopią". Od tej pory słowo „utopia" we wszystkich językach świata będzie oznaczało piękne marzenia, trudne do spełnienia, zwłaszcza społeczne. Nie przybliżyły się za życia More'a . Ściął go Henryk VIII w roku 1535 za to, że nie chciał uznać króla głową angielskiej wersji katolicyzmu, czyli anglikanizmu. Rok później zmarł Erazm, nie pogodzony z gwałtownością reformacji. Niemniej myśl europejska zyskała dzięki nim obu nowe tematy i dziedziny do zastanowienia.

Odkrytą drogą do Indii, odkrytymi drogami na kontynent Ameryki, zaczęły stamtąd płynąć do Europy złoto i srebro z podboju, czyli z rabunku. Obok tego - z handlu. Nadmiar kruszców i nadmiar bitej monety podnosiły ceny wszystkiego. Po półwieczu względnej stabilizacji Europa odkrywała, że za te same pieniądze można coraz mniej kupić. I nie jest jasne, dlaczego Europa Zachodu co chwilę popadała w paroksyzmy morderczych konfliktów religijnych, między zwolennikami protestantyzmu i katolicyzmu, pośród ciągłego rozlewu krwi i koszmarnych zniszczeń. Po Czechach różnice w namiętnościach religijnych przypłacą straszliwie i Niemcy. Nie można tłumaczyć wszystkiego próbami, pod pozorem tych różnic, ograbienia zamożniejszych, wierzących inaczej. Nie tłumaczyły tych masakr, wbrew marksizmowi, żadne interesy ekonomiczne. Religia w różnych wersjach podniecała do zabijania. Ponura sława będzie otaczała wojaków, którzy walczyli dla samej satysfakcji mordowania, palenia i niszczenia. Francuzi palili heretyków już w 1535 roku, potem, w latach 1560-1594 będą wyrzynali się wzajem z pasją i zapamiętaniem, jakiego nigdy nie okazali u boku Joanny d'Arc, wyzwalając się spod władzy Anglików. Namiestnicy króla Hiszpanii w podlegających im Niderlandach będą marnowali źródła dochodów swojego królestwa – paląc na stosach pracowitych mieszczan za herezję, wbijając ich na pale, krzyżując i wieszając...

Reformacja przenikała do Polski przez miasta i wydawało się, że wszystko się tu powtórzy, zwłaszcza, że łasą na bogactwo szlachtę same dobra Kościoła mogły rozgorączkować reformacją! Europa niemal cała pogrążyła się w teologii, czyszcząc chrześcijaństwo z błędów. Najdalej poszli w tym anabaptyści: dla czystości monoteizmu odrzucili Trójcę Świętą, dla samodzielnego wyboru wiary odrzucili chrzest niemowląt, za Starym Testamentem akceptowali wielożeństwo. Odrzucili Kościół, wojny i władzę państwa nad sobą. Westfalski Muenster jakiś czas był ich „nową Jerozolimą", ich utopią, dopóki solidny katolicki biskup Franz von Waldek nie wyrżnął ich tam pobożnie prawie do nogi. W Szwajcarii topili ich razem z dziećmi zarówno katolicy, jak zwingliści, wyznawcy chrześcijaństwa „helweckiego". Protestanci oczekiwali tolerancji – sami bez cienia tolerancji. Jak oni to wszystko godzili z Ewangeliami, z ideami Chrystusa, trudno dociec. Nawet po kilkuset latach.

W Polsce - Zygmunt przyjął w 1525 roku hołd od świeckiego już księcia Prus, do tej pory - wielkiego mistrza Zakonu, teraz luteranina, Albrechta Hohenzollerna, swego akurat siostrzeńca. Musiał go przedtem, jeszcze głowę zakonu, zbrojnie przywołać do rozumu, nie tak wielkim już wysiłkiem, starczyło na to 11 tysięcy zbrojnych. Sędziwy już arcybiskup Łaski ofiarował się, że odda mówiącemu dobrze po polsku Albrechtowi pozycję prymasa Polski - byle Prusy całe wcielić do Polski. Sejm chciał jak Łaski wojny do końca, ale królowi dosyć było sekularyzacji Zakonu.

Fakt: gdyby król posłuchał Łaskiego, Hohenzollernowie nie dostaliby lenna pruskiego, a Pomorze Zachodnie Bogusława X stałoby się być może lennem Korony i zjednoczyło się z nią w XVI wieku - toż hołd lenny królowi Polski złoży niezadługo nawet elektor brandenburski! Nie tylko Jasienica, ale już legendarny błazen króla, Stańczyk, pokpiwał podobno ze swego pana, że sam wypuścił niedźwiedzia z klatki...

W 1526 r., roku ustanowienia porządku monetarnego, plebs Gdańska, ujęty czystością moralną anabaptyzmu i jego duchem wolności, obalił centumwirat, stuosobową radę miasta, wypędził zakony i księży. I stary Łaski, i król, obaj wrodzy wszelkim prześladowaniom, nie wiedzieli wprawdzie, które wyznanie spodoba się Bogu, ale wiedzieli, że na pewno nie to, które zakłóca eksport. Skończyło się okrutną pacyfikacją tego buntu.

Wydawał Zygmunt edykty przeciw religijnym nowinkom, owszem, ale - co stwierdził największy znawca epoki, Janusz Tazbir - nigdy nie weszły w życie! Heretycy byli i na dworze królewskim... Andrzej Krzycki, poeta i satyryk z dawnej dworskiej konfraterni hulaków w Krakowie, teraz - biskup, akurat zawistny i w tej zawiści nienawidzący Łaskiego!, argumentował, może i za pieniądze Albrechta, księcia Prus, że w Królestwie Polskim prawie od wieków żyją obok katolików Rusini, czyli prawosławni, żyją Ormianie, Żydzi i wyznający islam Tatarzy, mogą więc żyć i luteranie w Prusach Książęcych. Anabaptyści, przybywający teraz pod imieniem mennonitów (Menno Simons spisał ich księgę wiary), pracowici i na wskroś uczciwi, będą cieszyli się potem opieką i biskupów, których swą pracą wzbogacali. W Królestwie zadowalali się jedną żoną...

W tym Królestwie ochrzczony bogaty Żyd zostawał szlachcicem, co nie było dane mieszczaninowi, nawet bogatemu. Kupiec Abraham Ezofowicz przyjął po chrzcie imię Jana i Jan Ezofowicz został niedługo potem starostą smoleńskim, a w roku 1510 – podskarbim litewskim! Więcej, brata jego (ja sądzę, że raczej syna), poborcę podatkowego Michela (Meira) Ezofowicza, uszlachcono w 1525 r. bez zmiany wyznania. I nie był to jedyny przypadek tego rodzaju. Zdarzali się wśród szlachty i tacy, którzy w epoce nabrzmiałych wątpliwości religijnych sami ze swoistej przekory przyjmowali... judaizm. Nie na długo, ale jednak.

Napięcia w stosunkach z Panem Bogiem wpływały nieoczekiwanie na stosunki w zupełnie innych dziedzinach. Warto oddać reformacji, że była zdecydowanie... zdrowsza. Protestanci (choć nie wierzę, by i polscy też) bali się kobiet jako źródła grzechu – i rzadziej zapadali na syfilis. Kiłę przyniosło Francji w końcu XV wieku zdobywanie Włoch (prawie bez oporu!) jako „chorobę neapolitańską", zanotowano pierwsze zachorowanie już w roku 1495, a tegoż samego roku – w Polsce, jakiż dowód rozległości kontaktów międzynarodowych! Dopiero dwa lata później - w Anglii. Europę ta „choroba neapolitańska" trawiła potem jako „choroba francuska". Epidemią nie zrobiła jej chyba jednak szczególna jakaś zajadłość krętka bladego, choć przypuszcza się zupełnie serio, że

przybył on z włoskimi marynarzami Kolumba z Ameryki, wzięty na Kubie lub Haiti od miejscowych kobiet; podobno w tamtejszych organizmach syfilis nie wywoływał tak groźnych objawów i zabójczych skutków jak w Europie. Mało to przekonująca interpretacja. Moim zdaniem – z założenia tendencyjna i fałszywa. Tubylcy na obu wyspach będą umierali tak jak Europejczycy, którzy im syfilis przywieźli. Zadecydowała więc już prędzej renesansowa epidemia swobody obyczajów. To raczej wobec epidemii rada miasta Krakowa już w roku 1531 ustanowiła specjalny szpital dla nieszczęśników, których dotknął *morbus gallicus*...

Jak wiemy od Decjusza, Zygmunt „w niewiarygodnie krótkim czasie podźwignął bliskie upadku państwo". Ale - nie sam. Umiał dobierać sobie współpracowników. Jeden z nich to ówczesny podskarbi wielki koronny, jeden z najwybitniejszych administratorów w historii Polski, Andrzej Kościelecki. Przejąwszy pusty skarb królewski, wykupywał zastawy i zapisy na dobrach królewskich. Pomagali mu czołowi bankierzy krakowscy, zwłaszcza bracia Bonerowie, mieszczanie, kredytując jego operacje. Niejednokrotnie on sam, własnymi środkami, poręczał za króla!

Królewskie żupy solne w Wieliczce i Bochni kolejni dzierżawcy prawie zrujnowali, a poprzedni władcy dochody z nich obciążyli spłatami swoich pożyczek. Kościelecki skupował później i te zapisy. Doradzał mu spomiędzy Bonerów Jan, bankier, fachowiec górniczy, który i sam ratował gospodarkę żup. Jak notuje Decjusz, dzięki niemu Kościelecki „zaprowadził porządek w salinach i kiedy sam je objął (...), doprowadził je do takiego rozkwitu, w jakim jeszcze nigdy nie były i przynosiły większy niż dotychczas pożytek". Nawet jeśli Decjusz przesadzał i bywały przedtem lata wielkich zysków skarbu z Wieliczki i Bochni, to cytowane komplementy świadczą o atmosferze, którą Kościelecki stworzył. Inny bankier mieszczański, też fachowiec górniczy, przyjaciel Kościeleckiego, Seweryn Betman, rajca krakowski, sam po osiemdziesiątce, uratował mu życie, kiedy podskarbi zjechał do kopalni, a na dole wybuchł pożar.

Przyjaźń Kościeleckiego z królem ochłodła, kiedy pięćdziesięcioletni z górą podskarbi zakochał się w opuszczonej przez Zygmunta, młodszej znacznie „Kaśce" i ożenił się z nią. Urodziła starszemu panu jeszcze dwoje dzieci; po jego rychłej śmierci podobno uwodziła podkanclerzego Tomickiego – co widzi mi się złośliwą plotką, o jaką nie trudno i w historii...

Zapisał o Kościeleckim Decjusz: „Był tak zdolny, że sam zarządzał wszystkimi podatkami wpływającymi do skarbu państwowego i królewskiego, a robił to z wielką starannością i rzadko spotykaną, niezmienną uczciwością".

Opinia Decjusza nie była bez kozery - uczciwość w tej epoce naprawdę rzadko spotykano. KOR-upcja, córka chciwości, kaziła elitę państwa - dziś wiemy, że sam kanclerz wielki koronny Zygmunta, Krzysztof Szydłowiecki, brał habsburskie pieniądze za informacje o polityce Wawelu - choć może w pospólnej chytrości dzielił te pieniądze z królem...? Czego bym też nie wykluczył.

Litwa, rodowa Zygmunta własność, przejmowała coraz szerzej instytucje ustrojowe Królestwa - co tuczyło przede wszystkim jej możnowładców. Królestwo zaś nadal bogaciło się nieprzerwanie. Największymi magnatami państwa nie byli już ci z Korony, lecz ci z litewskiej Rusi, czyli Wołynia, Podola i Ukrainy, z rosnącymi, wkrótce największymi fortunami Europy. Osiedlali się tam i ludzie pomniejszych, a ruchliwych rodów. Pierwsi Pretwiczowie i Herburtowie to potomkowie spolonizowanych śląskich Niemców, którzy

już jako Polacy przenieśli się do Wielkopolski. Potomkowie ruszyli teraz na wschód, gdzie ich nazwiska ozdobi historyczna sława. Jacyś Awdańcy przenieśli się na Ruś już za Kazimierza Wielkiego, ale czy wojewoda podolski, Michał Buczacki, był naprawdę po nich - nieco wątpię: miałem w młodości przyjaciela, Emira Buczackiego, imię odpowiadało jego rysom po przodkach, uszlachconych polskich Tatarach... W Buczaczu, od którego i nazwisko Buczackich, wybudowano twierdzę dopiero w XVI wieku – może wojewoda Buczacki ożenił się z dziewczyną tatarskiego pochodzenia? Co było modne wśród polskiej szlachty, bo Tatarzy polscy cieszyli się opinią dzielnych wojaków... Nie sposób dzisiaj zliczyć Polaków z tzw. „fałdą mongolską" na powiekach, co czyni widocznym, ile krwi „polskiej" ma tatarską domieszkę.

Tak czy inaczej, szlachta polska wyroiła się na tzw. Kresy jak Hiszpanie do zamorskich kolonii. Zwano te kresy „Ukrainą", bo leżały „u kraju", jeszcze za Wołyniem i Podolem. Stale zagrażały im rabunkowe napady Tatarów krymskich, ale choć dalekie od porządków Korony, Kresy przyciągały ludzi obrotnych i żądnych bogactw. Ruszali tam świadomi ryzyka i - nieograniczonych perspektyw. Dwadzieścia wozów z workami pszenicy, plonem z paruset hektarów czarnoziemu, dowiezione do Buga i spławione potem do Gdańska, oznaczały furę srebra. Spolonizowani magnaci i napływowi szlachcice organizowali zaś pierwszych Kozaków do walki z Tatarami...

Żydzi polscy, obdarzeni talentami kupieckimi i fantazją handlową, docierali w epoce odkryć geograficznych niewiarygodnie daleko, szlakami Azji i Afryki. Kiedy wielki żeglarz portugalski, Vasco da Gama, opłynąwszy Przylądek Dobrej Nadziei, pierwszy wylądował w Indiach, spotkał tam... polskiego Żyda z Poznania, który przybył do Goa ze swojej faktorii w Aleksandrii. Wrócił on z nim do Europy i jako Kasper da Gama został doradcą króla Portugalii! Nie znam, niestety, żadnej pracy o tym być może pierwszym Europejczyku, który obracał się w świecie Indii jak u siebie.

Świat był dla nich wszystkich otwarty: bratanek Łaskiego, chowany przezeń, zostanie sławnym na pół Europy awanturnikiem - z tytularnego „komitatu" spiskiego od Jana Zapolyi, króla Węgier, jako starosta „polskiego" Spisza, jeszcze jeden taki po Piotrze Komorowskim!, zrobi sobie udzielne państewko. Stryj nie dożyje chwili, gdy jego bratanka dwór polski będzie wyciągał z więzienia od oszukanego Zapolyi.

W tym otwartym świecie nie przejęły polskiej szlachty spory i wojny religijne. Magnaci Korony i Litwy stoczyli bój *per fas et nefas* o rękę Halszki Ostrogskiej, dziedziczki olbrzymich dóbr, kilkuset wsi!, porywali ją samą i przetrzymywali. Jej narzeczonego rywale zmasakrowali, Halszka, zagrożona jego losem, wyszła formalnie za mąż kilka razy, w końcu - za wojewodę poznańskiego z rodu Górków. Nie dopuściła go do łoża. Spędziła kilkanaście lat w Szamotułach w wieży zamku Górków, zwanej do dziś Basztą Czarnej Księżniczki. Po śmierci tego „męża" i ona umarła, ledwie 43-letnia, nigdy nie doszedłszy do siebie.

Historia Halszki była jednak czymś wyjątkowym, świadczyła o bezkarności i samowoli możnych. Poza tą sferą panował porządek. Zdarzały się bójki, ale już nie pojedynki. Zakazywano ich niby wszędzie, po całej Europie, ale Królestwo, jedyne w Europie, nie tolerowało ich naprawdę. Zezwolić na pojedynek musiał król, Zygmunt Stary zezwolił tylko raz - bo krew przelewać wolno było tylko dla Rzeczpospolitej. Później prawo karało samo wyzwanie na pojedynek, płacił winny sześćdziesięcioma grzywnami i pół rokiem wieży - w jej górnej części, widnej i schludnej, szlacheckiej, nie w dolnej, piwnicznej, ciemnej, dla

kryminalistów. Ta praworządność utrzyma się co najmniej przez jedno pokolenie. Sama szlachta jej pilnowała. I z tego tytułu była wręcz dumna z siebie.

Zygmunt Stary doceniał swą epokę – i siebie w niej. Kazał jak najskrupulatniej prowadzić archiwum królewskie, „metrykę koronną", z wszystkimi dokumentami. Kanonik gnieźnieński, Maciej Śliwnicki, opracował zwód polskiego prawa dla Prus, a w roku 1522 Zygmunt uznał, że dać prawo trzeba i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, dzięki temu spisano tzw. Pierwszy Statut Litewski. Wspierał Zygmunt wszystko, co pożyteczne. Gdy zmarł jego dyplomata, biskup poznański, który ufundował w Poznaniu nową uczelnię, król nadał jej przychody ze swoich dóbr, które biskup Lubrański miał na ten cel wykupić.

Doceniał Zygmunt i problemy. Szeregi swe mnożył ruch „egzekucyjny", z ideami Łaskiego, Zaborowskiego, którym przyda emocji rokosz w 1537 r. „Królewszczyzny", dobra, związane ze stanowiskami nadawanymi przez króla, zamieniały się w mało intratne dla króla dzierżawy. Szlachta chciała ich „egzekucji", przywrócenia ich królowi jako państwu. Więc niby to nie było przeciw królowi. Było jednak - przeciw jego sojuszowi z możnowładztwem, które ciągnęło dochody z królewszczyzn.

Ten król, oszczędny, gospodarny, pilnował wszelkich rozliczeń i przydałyby mu się jako państwu te dochody. Choćby teraz na tzw. „obronę potoczną". To były lotne oddziały konne paru tysięcy najemnych zbrojnych, zawodowców nie do pobicia. Chronili oni Wołyń, Podole i Ukrainę, wtedy - ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, czyli formalnie - własność dziedziczną króla, ziemie, które tak swą żyznością kusiły polską szlachtę... Regularnie napadali je i grabili Tatarzy i Wołosi, przyszli Rumuni. Błyskawicznymi operacjami „obrony potocznej" dowodził Bernard Pretwicz, starosta barski. Jak Tatarzy okrutny, zabijał, gdy mu wpadli w ręce. Woleli go więc unikać. Stąd i poszło w przysłowie – „za pana Pretfica spała od Tatar granica". Tyle, że to kosztowało... Zawodowcom należało płacić.

21. POLSKA WMIESZKANYCH POLAKÓW

Ku irytacji samej szlachty i po wiekach sporej części historyków opierał się Zygmunt Stary, wyrachowany praktyk władzy, na możnowładcach. To oni, senatorowie i urzędnicy ziemscy, dzięki swym wpływom i pieniądzom decydowali praktycznie o wyborze przynajmniej połowy posłów na sejm do jego izby poselskiej. Niemniej ci „zbuntowani" sprzed dwudziestu kilku lat nie spasowali. Łaski zmarł wprawdzie w 1531 r., wszelako jego idee, idee traktatu Zaborowskiego, żyły nadal. Pieniędzy z egzekwowanych dóbr państwo tej szlachty potrzebowało nadal, żeby nie potrzebować ich z podatków od niej. I nie udało się możnym zapobiec w 1537 r. „rokoszowi" w Glinianach pod Lwowem przed wyprawą na Mołdawię.

Rokosz, sejm rokoszowy, brał wzór i nazwę z Węgier, od ichniego pola sejmowego o takim imieniu. Możni strawestowali termin, przezwali pogardliwie ten rokosz „wojną kokoszą", jako niedoszłą wojnę domową. Przejęliśmy wobec niej ten pogardliwy ton, widząc w niej tylko warcholstwo. Aliści w rokoszu, sejmie obozowym, zgrupowana szlachta znalazła sposób na to, by jej wysłuchano. Rokoszem manifestował się duch reform. Nie miał żadnego związku z podziałami religijnymi, niczego ze wściekłych nienawiści religijnych wojen domowych na Zachodzie Europy, obok szlachty katolickiej przywodzili rokoszowi i protestanci. Sformułowano 36 postulatów ustrojowych, prawie dosłownie – z traktatu Zaborowskiego. Praktycznie - program egzekucjonistów.

Skończyło się kompromisem - podtrzymaniem zasad konstytucji *Nihil Novi*. Procesy wytoczono przywódcom rokoszu, ale je szybko umorzono. To jednak był ciągle dopiero początek... Zygmunt Stary zdawał sobie z tego sprawę – skoro wśród postulatów znalazła się odpowiedzialność króla za jego działania. Wniosek z Traktatu Zaborowskiego. Władca miałby się znaleźć na cenzurowanym. Tego jeszcze w Europie nie było.

Zygmunt nie lekceważył żadnych źródeł pieniądza. Inne dochody, „annaty", połowa dochodu z pierwszego roku beneficjum kościelnego, szły wiekami do Rzymu, a te z beneficjów krajowych, z biskupiego nadania - do biskupów. Król wystosował więc do papieża specjalne pismo, a sejm uchwalił w 1547 r. przejęcie tych pieniędzy na cele publiczne. Do składania w zamku rawskim. Nie miało to nic wspólnego z poglądami religijnymi panów posłów, chodziło tylko o pieniądze. Kilkadziesiąt lat później król Zygmunt III, choć manifestacyjnie religijny katolik, wyznawca kontrreformacji, będzie skrupulatnie pilnował, by skarbiec w zamku rawski regularnie zapełniano.

Wojny wymagały pieniędzy. Na północnym wschodzie zagrażali samej Litwie coraz potężniejsi kniaziowie Moskwy. Zajmą oni w 1514 roku należący wówczas do Litwy Smoleńsk - do którego bliżej było z Moskwy, niż z Wilna i Trok. Kiedy pójdą tam z pomocą siły polskie, 20 tysięcy połączonych wojsk zada Moskwie dość głośną wtedy klęskę pod Orszą. Zwycięzca, spolonizowany już kniaź ruski, Konstanty Ostrogski, gdyby miał pieniądze na dalszy zaciąg, odzyskałby solidnie umocniony Smoleńsk, ale ich nie dostał. Litwa sama była za słaba na Moskwę, stąd znowu chętna zacieśnić związki z mocniejszą Polską. Zwłaszcza, że sojuszu z Rosją moskiewską szukali Habsburgowie.

Króla Zygmunta interesował porządek i spokój. I oparty na tym rozwój, z którego żył. Nie szukał wojen - dysponując jednak świetnymi dowódcami. Zwali się oni teraz „hetmanami", jak jego samego zwano uprzednio na Śląsku - znowu słowo czeskie z niemieckiego, pierwotnie - „hejtman". Jan Tarnowski, teoretyk i praktyk wojny, z 4 i pół tysiącami jazdy

i 1500 piechoty rozgromił trzykroć liczebniejszą armię hospodara wołoskiego w 1531 r. pod Obertynem, potem - w wojnie z Moskwą zdobył rosyjskie grody Homel i Starodub, jego ludzie, rozwścieczeni poniesionymi w oblężeniu stratami, pomordowali wielu mieszkańców obu grodów. Pobożny mistrz wojny leżał później latami krzyżem w kościele, dla pokuty za tę rzeź.

Politykę zagraniczną wyrachowany Zygmunt uprawiał już nie dwulicową, a wielotwarzową. Tarnowski uważał Turcję Osmanów za rosnące zagrożenie, znosił się więc potajemnie - choć raczej nie tajnie dla króla - z zagrożonymi przez Turcję Habsburgami. Fachowa dyplomacja Zygmunta zawarła wtedy, jak i Francja Franciszka I, wieczysty z Turcją pokój w 1533 roku. Jednocześnie węgierski Zapolya mógł zaciągać w Polsce żołnierzy do walki z Turcją, byle cichcem. Panująca nad wszystkimi brzegami Morza Czarnego Turcja w zawartym pokoju szukała ochrony przed Kozakami (tatarski *kazak* to wolny, nie żonaty, lekko-zbrojny ochotnik; polecam książki Leszka Podhorodeckiego o nich). Starosta czerkaski, Eustachy Daszkowicz, spalił z nimi turecką twierdzę Aczi Kale, Oczaków, przy limanie Dniepru, za pustką „dzikich pól". Kozackie „czajki" docierały dla rabunków przez morze Czarne aż do Turcji.

Turcy osmańscy, pokonawszy w 1526 roku ostatniego węgierskiego Jagiellona, Ludwika, opanowali Węgry, zagrażali teraz Habsburgom. Już w 1529 r., poduszczeni przez Franciszka I, oblegali Wiedeń, i nie było żadnej pewności, że wystarczy im Dolina Panońska. A znów hospodar wołoski, Piotr Raresz, Petryła, nie układał sobie stosunków ani z Polską, ani z Osmanami...

Łaski w swoim rozmachu i poczuciu perspektywy chciał solidnie osadzić Polskę nad Bałtykiem. Panowała nad nim Dania, która w swoim czasie popierała wojennie Zakon Krzyżowy przeciwko Polsce. Nie była małym, skromnym państewkiem. Już XV-wieczny jej Chrystian I, z domu hrabiów Oldenburgów, założyciel dynastii, wydawał się sobie samemu potęgą, zawiązał unię z Norwegią, unię, która przetrwa aż do XIX wieku! Wygrał ze szwedzkim rywalem do tronu szwedzkiego, odziedziczył po matce Szlezwik i Holsztyn. Chrystian II Okrutny czuł się i uchodził za tak potężnego, że Karol V dał mu siostrę za żonę! To on, Chrystian, rzeczywiście Okrutny, sprawił słynną, „krwawą łaźnię sztokholmską", w roku 1521 ściął 82 zbuntowanych możnych szwedzkich. Łaski zamyślał wspomóc Szwecję w uwolnieniu się od jego władzy. Zamyślał nawet zawrzeć unię ze Szwecją. Chrystian II, zbuntował przeciw sobie wszystkich: najpierw jego władzę obalili Szwedzi pod wodzą Gustawa Wazy, ojca nowej dynastii, potem szlachta Jutlandii, czyli rdzennej Danii, też powstała i odebrała Chrystianowi tron Danii. Chrystian uciekł, próbował wrócić jako król z Norwegii, ujęto go, zmuszono do abdykacji i osadzono w więzieniu. Brakuje nam dowodów, że Łaski pomógł Wazie w tym powstaniu, ale można przypuszczać, że nie ograniczył się do zamiarów.

Próbował też Łaski nakłonić Zakon Krzyżacki do przeniesienia na Podole, bądź na Krym lub Cypr, a przynajmniej podporządkować prawu polskiemu. Niestety, praca Śliwnickiego poszła na marne. Zresztą w 1525 r. po „hołdzie pruskim" Albrechta, już księcia Prus Książęcych, zdawało się, że z czasem one same się spolonizują. Tak samo - Śląsk i Pomorze Zachodnie. Poddani sąsiadów wręcz marzyli, by znaleźć się w obrębie ziem Korony, z jej spokojem, tolerancją i dobrobytem!

Dawne spory o to, kim czuł się Kopernik, wynikały z nieznajomości epoki - Kopernik bronił Olsztyna w Prusach Królewskich przeciw Krzyżakom, a później chciał, by monety księcia pruskiego bito jednolite z monetami królestwa, z wizerunkiem króla lub herbem

królestwa, żeby więc Prusy Książęce włączyć, najpierw ekonomicznie, do Polski. Patriotami Korony Królestwa Polskiego stawali się ludzie, którzy w dzieciństwie nie mówili dobrze albo nie mówili wcale po polsku. Zaufany Łaskiego, przyjaciel Kopernika i wielkiego Erazma z Rotterdamu, największego chyba umysłu Renesansu, Jan Dantyszek, był synem gdańskich mieszczan. To kolejny Polak z wyboru, sekretarz króla i doradca, były notabene utracjusz z krakowskiej konfraterni dworskich hulaków-humanistów, znakomity potem w służbie Zygmunta dyplomata. Odradzał królowi wszelkie miłosierdzie wobec Krzyżaków. Cesarzowi niemieckiemu klarował, że Polska ma prawo nie tylko do Prus i Pomorza, bo nawet pod Lubeką, której wojska i flota kontrolowały wtedy kawał Danii i duńskie cieśniny, wieśniacy mówią nadal „po polsku"! Pamiętali snadź jeszcze swój dawny, zachodnio-słowiański język Obodrytów...

Zapalonymi pionierami druku w języku polskim okażą się krakowscy mieszczanie o niemieckich nazwiskach - Ungler, Wietor, Szarfenberger. I to nie dopiero Mikołaj Rej, ale wbrew podręcznikom szkolnym oni, wielcy drukarze i wydawcy, wcześniej odkrywali Polakom ich własny język. Florian Ungler wydrukował pierwszą polską książkę i około 1513 r. spopularyzował ortografię Zaborowskiego. Pisał:

„Nie jest rzecz wszem wam tajemna, iż ten język wasz tak sławny, tak dawny, tak święty, w niedbałość ludzką przyszedł, a snadź przez obcy naród mało w nieupadek. Jedno wy, mili Polacy, rozmiłujcie się języka swego. Ten niech przodkuje, ten niech dziedziczy. Bociem muszę prawdę powiedzieć: przez obcy język w obce ręce państwa zachodziły".

Cała teraz Europa odkrywa swe języki narodowe. Marcin Luter po paru latach pracy przekładem Nowego Testamentu w 1522 r. stworzy z pięciu języków niemieckich – jeden, literacki, Hochdeutsch...

Hieronim Wietor, Ślązak, z końcem XV wieku studiował w Krakowie, gdzie nawet niemiecki patrycjat związał się głęboko i na zawsze z Królestwem Polskim, mówiąc już po polsku. Został Wietor typografem królewskim. Pionier druku polskiego świadomy i ambitny, wprowadzał do składu czcionki na antykwie i kursywie słynnych oficyn weneckich wzorowane, eleganckiej prostoty, jakże odmienne od nieczytelnej szwabachy, z jej dziesiątkami zakrętasów! Drzeworyty zamawiał u najwybitniejszych artystów epoki. Przekład wielkiego Erazma z Rotterdamu w 1523 r. takimi słowy poprzedził:

„Będąc ja wmieszkanym a nieurodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szerzy, krasi i poleruje, czemu Polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jak ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać. Ile ja zrozumieć mogę z ludzi, z którymi czasami o tem mawiam, nie jest inna przyczyna tego, jeno przyrodzenie Polskie, które ku obcem a postronnem obyczajom, sprawom, ludziom i językom skłonniejsze jest, niżli ku swemu własnemu".

Ci drukarze i wydawcy, zwłaszcza Wietor, od 1522 roku wydawali jeden po drugim samouczki, podręczniki do nauki polskiego i „rozmówki", i aż dziw, że najpopularniejszy ich autor, Jan Murmeliusz, nie doczekał się miejsca ani w polskiej encyklopedii, ani nawet w Polskim Słowniku Biograficznym! Nie tylko on uczył chętnych polskiego. Sebastian Hayden, norymberski pedagog, opracował „Rozmówki dla chłopców" z wersjami polską, łacińską i niemiecką. Dla Węgrów, których studiowało w Krakowie w latach 1466-1526 sporo ponad dwa tysiące, jeden z nich, Jan Sylwester, uzupełnił te „Rozmówki" węgierską wersją. Wydał je Wietor w tym samym roku 1527, co Murmeliusza. Z owych „Rozmówek"

uczono się we Wrocławiu jeszcze w XVIII wieku, uchodzą zaś one do dzisiaj za pierwszy znany druk w języku węgierskim!

Książeczki Murmeliusza wychodziły przez całe XVI stulecie, a i później, w wieku XVII. To one zdawały się rysować przyszłość. Jednoznacznie. Zygmunta Starego sądzi się za przyszłość, której nie mógł przewidzieć - niemal wszyscy współcześni mu Hohenzollernowie byli dziećmi Jagiellonek, mówili jak Albrecht po polsku i wydawali się przyszłymi Polakami. Zygmunt sprzyjał właśnie im, a nie Habsburgom. Przyszłość przegra - wyprzedźmy tu znowu chronologię - nie on, Zygmunt Stary, lecz demokracja szlachecka, którą znieprawi nie sam ustrój, a dobrobyt ogółu i prywata najbogatszych. Pod takim wpływem ta demokracja szlachecka znieprawi swój ustrój. Nie wytworzy swojego mitu, jak Anglicy mit Anglii morskiej i handlowej. Przeciwnie, późniejszy, „sarmacki" mit, że wszystko wolno, przebóstwi „złotą wolność", z jej obojętnością wobec losu Najjaśniejszej Rzeczpospolitej, którą wykończy. Wszystko wolno będzie „Sarmatom", którzy jako zdobywcy pochodzić mieli z innego plemienia niż reszta narodu i mieszkańców Królestwa. Sam fakt, że mogła w to pochodzenie szlachta uwierzyć, ukaże, do jakiej degradacji umysłowej dojść można w samozadowoleniu dobrobytu.

Zawarł pięćdziesięciodwuletni Zygmunt małżeństwo z Boną nie przypadkiem. Pogrzebawszy węgierską swoją żonę z rodu Zapolyów, ożenił się - z księżniczką mediolańską, wielkiej, oryginalnej urody, z rodu Sforzów. Wyswatał mu ją cesarz Maksymilian I, Habsburg, ale, jak można przypuszczać, Zygmunt więcej o niej wiedział od swoich krakowskich Włochów. Nie musiał obawiać się, że to będzie zwolenniczka Habsburgów, którzy rywalizowali o Węgry i Czechy z Zygmuntowym bratankiem, Ludwikiem. To był chyba wybór przeciwwagi.

Z Boną wiązano tradycyjnie wzrost wpływów włoskich w Polsce. Tymczasem już od wieków to Włochy wyznaczały Polsce wzory, wzory nie mocnych ludzi w stylu Sforzów, lecz demokracji miejskich. Wracało się z Bolonii czy też weneckiej Padwy z wiedzą, tytułami naukowymi tudzież inną wyobraźnią polityczną, wyobraźnią republiki Rzymu ze św. Augustyna. Wzorem ustrojowym Królestwa nie została Bolonia, lecz Wenecja, samodzielne mocarstwo. To ona tytułowała się właśnie *Serenissima Respublica*, „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą". Przejmowano z jej Padwy i samej Wenecji język polityczny i nomenklaturę. Te dwie „republiki", „rzeczypospolite", wenecka i polska, w jakimś stopniu kochały się wzajem, korespondencja „signorii", rządzącej Wenecją, z Zygmuntem Augustem pełna będzie niemal czułości!

Synowie szlachty, zamożnych chłopów i mieszczan studiowali we Włoszech doświadczenie życia publicznego i umysłowego. Nie tylko szermierkę, tańce i szaleństwa miłości. Wedle późniejszych ocen Montaigne'a kobiety były we Włoszech łatwiejsze, ale nawet wobec kupnych obowiązywał tam szacunek i delikatność. W niejednym zaś ksiąstewku włoskim rządziła jakaś księżna, określana terminem *virago*. To zapomniane słowo oznaczało mocną kobietę męskiej psychiki. W Polsce rządzić mogłaby też. W Polsce i kobieta mogła dziedziczyć władzę. Toż w XIV wieku Jadwigę koronowano niezależnie od jej przyszłego zamęścia, była królem, zanim wprowadzono na tron Władysława Jagiełłę.

Wielu Włochów zadomowiło się w Polsce już w poprzednich stuleciach. Za Jagiełły Jan z Pawii organizował Akademii Krakowskiej wydział medycyny. Kazimierzowi „Jagiellończykowi" i potem Janowi Olbrachtowi doradzał wspominany tu Filip Buonaccorsi, „Kallimach" po starożytnym poecie-mędrcu. Florencki mieszczanin, zamieszany w zamach na papieża, a co najmniej o to podejrzewany, musiał uciekać

z Włoch. Służył królom Polski swym umysłem, niezwykle ciekawym i otwartym... Rozumiał dzięki włoskiemu doświadczeniu, co znaczy rozwój miast. Przydawał się Rzeczypospolitej i jako dyplomata.

Renesans wlewał się w Polskę wszelkimi kanałami przed Boną; kupcy włoscy wykupili niemal wszystkie posesje wokół rynku w Krakowie, przywabiały ich dobrobyt i pokój. Być może właśnie to oni Zygmuntowi Bonę odkryli... Wnosili ruch i gorączki zgoła nie kupieckie. Jak powiadano, przypadało na dwunastu kupców włoskich sześćdziesiąt herezji. Po artystach włoskich została zaś architektura i rzeźby.

Bona, solidnie wykształcona, z władczym charakterem i ogromnymi ambicjami politycznymi, odgrywała wielką rolę w polityce Zygmunta. Wobec szlachty nie umiała pohamować wyniosłej pewności siebie, właściwej panującym na dworach włoskich. Stronę Bony po wiekach weźmie wielu historyków polskich - podziwiając jej wysiłki dla budowy absolutyzmu. Ja tego podziwu żywię mniej. Wśród swoich współczesnych zraziła sobie, kogo mogła. Nie bardzo rozumiem uwielbienie dla mocnych ludzi, którzy potrafią zrazić sobie ludzi zdolnych zapewnić powodzenie ich planom i ambicji.

Wzorem dworów Italii dbała Bona o interesy, inteligentnie skupowała i zgromadziła dobra olbrzymie - ku protestom rokoszu 1537 r. Po rozdźwięku z ukochanym synem wyjedzie z Polski do Włoch w latach pięćdziesiątych z ogromnymi kapitałami i tam pożyczy królowi Hiszpanii, Filipowi II, następcy Karola V, 430 tysięcy dukatów! Była to suma olbrzymia nawet jak na polską zamożność, w Polsce jednak bogactwo rozkładało się na co najmniej 30 procent społeczeństwa, poza możnymi - na szlachtę, mieszczan i Żydów. W Hiszpanii 22 książąt, 47 hrabiów i 36 markizów w roku 1581 miało 3 miliony dukatów dochodów, w tym sam książę Medina Sidonia 150 tysięcy! Tyle że wszyscy oni byli jednocześnie zadłużeni ponad wartość swoich dochodów... Dziesięć lat temu, pisząc poprzedniczkę tej książki, „Najkrótszą historię Polski", nie wiedziałem, że Bona przytomnie zabezpieczyła swe aktywa - wielce zyskowną hodowlą merynosów. Hiszpańskie królestwo Neapolu przez lata po jej śmierci spłacało z ceł w Chioggi dług, pieniądze trafiały do spadkobiercy, czyli Zygmunta Augusta, z odsetkami bardzo wysokimi, dziesięć procent rocznie. Pilnowali tego wysłannicy króla. Nie odzyskane rzekomo „sumy neapolitańskie" są wymysłem niechętnych. Jeśli policzyć, dzięki odsetkom wróciło do Polski ponad dwa razy więcej, niż Bona pożyczyła, jeszcze przed śmiercią Zygmunta Augusta! I to nawet jeśli odsetki liczono od tego, co jeszcze pozostało do spłacenia z sumy dłużnej...

Zygmunt najwyraźniej ufał zdolności Bony do rozpoznawania ludzi. Czy zasadnie, to inna sprawa. Bona wpływała na obsadę biskupstw, ona też rozdawała faktycznie kanonie i prebendy. Jej człowiekiem był biskup krakowski, Piotr Gamrat, po trzech latach arcybiskup gnieźnieński. Patronował literatom, sztuce i uczonym, ale życie pędził dość hulaszcze, kobiety lekkich obyczajów zostaną w Polsce „gamratkami" od jego towarzyszek miłosnego żywota. Zapożyczał się bez umiaru i na nie, i na przepych swego dworu, i na młodych, przyznajmy, humanistów; Bona, kiedy zmarł, lojalnie spłacała jego długi...

Poprzedni prymas Polski, Krzycki, zwalczający ongiś Łaskiego, jego następca, pomógł w karierze pierwszemu wybitnemu poecie polskiemu. Ten syn chłopa, od swego miejsca urodzenia, Januszkowa, pisał się Janicius, dziś umownie - „Janicki". Z imienia Klemens, studiował najpierw za pieniądze ojca, bez żadnej obcej pomocy. Pisał po łacinie - którą opanował w domu, chłopskim domu!, przed wyjazdem na studia. Ale też zagraniczni

przybysze zdumiewali się, że w tym królestwie mówią po łacinie nawet woźnice! W Hiszpanii, o języku tak bliskim łacinie, trudno było to sobie wyobrazić.

Następcy Łaskiego nie mogli, choćby chcieli, czerpać na swoje przyjemności tysięcy dukatów z dóbr arcybiskupstwa - Łaski te majętności uporządkował, kazał spisać wszystkie źródła dochodów swej metropolii. Młodych duchownych kształcił na własny często koszt - wpajał im swoje oddanie państwu. Opiekował się bratankami i wspomagał ich kariery, co mu niektórzy historycy wytykali jako... nepotyzm. Ale za główną broń przeciw reformacji uważał nie procesy, tortury i stosy, lecz prawość i porządek w świecie Kościoła.

Jak pamiętamy, szlachta na sejm piotrkowski przyjechała z jego poglądami. Rozprawa Zaborowskiego sformułowała program ruchowi „egzekucyjnemu", a był to ruch całkowicie sprzeczny z absolutystycznymi poglądami i ambicjami Bony, rokosz 1537 r. miał jej za złe wielkie dobra, które skupiła w swym ręku. Przywodzili rokoszowi bracia Zborowscy, Marcin i Piotr, przywódcy wielkopolskich egzekucjonistów - kolejne pokolenie ruchu egzekucyjnego. Ten ruch, można zaryzykować tezę, zastąpił w Polsce reformację. Najszerzej rozwinął się w Wielkopolsce.

Reformacji brakowało tu właściwie gruntu. Na kościelne kanony obyczajów poddani – obywatele obu państw Zygmunta Starego nie specjalnie się oglądali, bazylejski geograf Sebastian Muenster w swoim „Opisie wszystkich ziem" odnotował, że na Litwie obyczaje pozwalają żonie mieć kochanka, traktowanego jako pomoc w małżeństwie, natomiast źle jest widziany mąż, który nie kontentuje się swoją żoną. Ktoś to w Bazylei opowiedział może dla żartu, bo nie znamy innych przekazów takiej treści, w każdym razie obyczaje traktowano w tej epoce dość lekko i to one jakoś wpłynęły na... przyłączenie do Polski Mazowsza.

To może zaskakujące, ale ziemie centrum przyszłej Polski znalazły się w obrębie państwa bardzo późno. Dziś wszystkie siedziby tutejszych malutkich książątek nie kultywują swoich tradycji, nie mają poczucia ciągłości, choć wielu ich mieszkańców znalazłoby tu przodków te właśnie 500 lat temu, z 500 latami ciągłości zamieszkania. Choćby ta ziemia rawska – z prawami miejskimi Rawy Mazowieckiej od 1321 r., z XIV-wiecznym zamkiem, czy też znacznie starsza kasztelania sochaczewska, z pierwszej połowy XIII w .! Z ówczesną siedzibą znanych nam kanoników regularnych... Dopiero niecałe pięćset lat temu Warszawę, na prawie chełmińskim ulokowaną ok. 1300 r., w XV w . stolicę ziemi i księstwa warszawskiego, włączono do Polski – jak i całą resztę Mazowsza.

Dwaj bracia, ostatni książęta mazowieccy, zmarli bardzo młodo, 23-letni, w odstępie dwóch lat. Obaj hulali bez opamiętania. Już ich matka, w swym wdowieństwie tak się pocieszała, że jej szlachta mazowiecka odjęła władzę. Starszego brata otruła rzekomo jego zawiedziona kochanka. Wątpliwe. Młodszy, Janusz III, notabene mocarny siłacz jak Zygmunt Stary, wszczęłby śledztwo, a nie w głowie mu to było. Obu zgarnęła być może kiła. Choć i w XV wieku Piastowie tutejsi nie żyli wiele dłużej... Tych dwóch ostatnich sami poddani mieli dosyć, sami chcieli do Królestwa - inaczej sprowadziliby starszą ich siostrę, Zofię, z mężem, palatynem Siedmiogrodu, Stefanem Batorym (to dziadek króla, nosił tam, w Siedmiogrodzie, tytuły księcia wszystkich, uchowanych jeszcze książątek mazowieckich). Poddani mazowieccy mieli nadzieję, że władza królewska upora się z nękającym dzielnicę bandytyzmem. I może z żywotną tu nadal... zemstą rodową. Uporała się: bezkarny, jak mu się zdawało, na Mazowszu, kasztelan Wizny, da w Królestwie głowę za mord w zasadzce na przeciwniku i jego ludziach. Za co się mścił,

nie wiemy. Król odebrał mu kasztelanię, a więc krzesło w senacie, potem szlachectwo i kazał ściąć jak zwykłego rzezimieszka. Bez króla nie skrócono by go o głowę.

Przybór bogactwa kusił do rabunków nie tylko na Mazowszu. W połowie lat 30-tych XVI stulecia, w jakieś trzydzieści lat po gremialnej, bezlitosnej rozprawie z przestępczością, znowuż jęli grasować bandyci, i to nawet w Wielkopolsce. Zamożność wydawała się zbyt leniwa, zatem bezbronna. Ale wkrótce podniosła się szlachta ruchu egzekucyjnego, wzięła się także za porządek i bezpieczeństwo. Król się nie litował. Jeśli osądzony włamywacz miał zapłacić głową, król odsyłał go katu. W latach 40-tych trafiali pod topór panowie szlachta, i to nie tylko jak dziedzic Rychwała za rozboje, ale nawet za kradzież konia i uchylanie się od sądu. Ba, w Poznaniu powieszono (!) szlachcica z Trok za fałszywe oskarżenie trzech Turków o szpiegostwo i za krzywoprzysięstwo świadka, którego dostarczył. Najjaśniejsza Rzeczpospolita miała być państwem porządku.

Pytanie, czy to ciężkie kary za przelanie krwi, czy może lekkie obyczaje ograniczały skłonność do rozpanoszonego na Zachodzie Europy okrucieństwa? Nie wiemy. Czy może tak oddziałała wzajemna tolerancja religijna i narodowa? A może to coraz powszechniejsze wśród szlachty i mieszczan, także jak widzieliśmy i w kręgu chłopskim, wykształcenie uczyło szukania przyjemności w literaturze i sztuce, zamiast w szlachtowaniu pobratymców lub widokach mąk na szafocie? Przyjdzie teraz czas rozkwitu kultury – na glebie, nie zapominajmy, wielkich pieniędzy…

22. KORCE, ŁASZTY, INTELEKTUALIŚCI I MUZYCY

Dalsze losy Europy zachodniej ukształtowało dziedzictwo po Erazmie z Rotterdamu i ruch tak powszechnego buntu religijnego, że rozbijał on nie tylko sam Kościół, ale całe państwa. Europa nurzała się we krwi. Renesans ze swoją niezależnością myśli pozwalał znajdować racje dla okrucieństwa i zabijania Bogu ducha winnych ludzi; w zacofanym feudalizmie odczuwano przynajmniej wyrzuty sumienia wobec grzechu, teraz grzech stał się anachronizmem.

W odróżnieniu od reszty Europy los Polski miały określać tysiące łasztów zboża, idące z Gdańska na zachód - od pokoju toruńskiego bez żadnych ograniczeń. Pokój toruński otworzył nowe szlaki handlowi. Po 1466 r. już nie wyłącznie kupcy gdańscy, ale i krakowscy docierali swoimi statkami do Niderlandów, do Anglii, statki jednego z Morsztynów lądowały nawet w Hiszpanii! Te łaszty urobią filozofię życiową większości szlachty i jej światopogląd. W 1520 r. sejmująca szlachta podniosła wymiar pańszczyzny, czyli bezpłatnej pracy chłopa na pańskiej ziemi. Z dawnych paru dni w roku zrobiła jeden dzień w tygodniu sprzężajem z jednego łanu kmiecego. Uderzało to akurat w chłopów bogatszych.

Na tym się nie skończy. Wymuszała szlachta w swej pazerności dodatkową robociznę w sezonie zbiorów czy orki, wymuszała przewozy i „stróżę", pilnowanie folwarków czy stogów, a i pańszczyznę będzie stopniowo dalej zwiększać. Prawda, nie dochodziła w tym wyzysku do skrajności. Pańszczyznę „pieszą" odrabiało się latem od świtu do paru godzin przed zmrokiem, czyli przez mniej więcej dwanaście naszych godzin, wypadało w tym czasie zaorać morgę „chełmińską", nieco ponad pół hektara. Jeśli tak ograniczano wymiar obciążeń, nie brało się to z dobroci, a ze zdrowego rozsądku - rąk do pracy było w Królestwie i Wielkim Księstwie ciągle za mało. Stąd, co podkreślali pisarze polscy aż po wiek XVII, nie wybuchały tu i wielkie bunty chłopskie jak na Zachodzie.

Przez cały wiek XVI wieś będzie miała zresztą nadal własne, nie pozorowane sądy gromadzkie. Sądziły one wprawdzie w imieniu pana danej wsi, ale można było apelować od nich do sądów publicznych; dopiero w XVII wieku pan zostanie ostatnią instancją. Chłop w Polsce jednak nie zapomni, że był kiedyś wolny. Jak świadczą ówczesne zapisy literackie, najdotkliwiej odczuwał nie samą eksploatację, a poniżającą samowolę i arogancję ekonomów pańskich i panów samych...

Więcej bogactwa rodziła ziemia sama, niż praca, na ogół pewnie mało wydajna, jak każda praca przymusowa. Ziemia dawała z jednego zasianego ziarna przeciętnie pięć, a na lepszych ziemiach i osiem, i dziesięć ziaren. Plonowała tysiącami łasztów zboża. Nie do zjedzenia przez Królestwo i Wielkie Księstwo razem. Tylko w spichrzach Kujaw magazynowano paroletnie zapasy, uratowały pewnego roku Litwę od głodu po nieurodzaju.

Co to był ten łaszt i jego sześćdziesiąta część, jeszcze ważniejsza, korzec? Nie miary wagi, lecz - pojemności. Mało kto się u nas poza prof. Witoldem Kulą takimi szczegółami interesował, podawało się, że łaszt było to około 3 tysięcy litrów. Otóż tyle obejmował najmniejszy łaszt, najpraktyczniejszy, jak się przekonamy. Największy mógł sięgać i 9 tysięcy litrów. Bo różniły się i korce... Dlatego tak trudno wyliczyć dokładnie w tonach rosnącą skalę owego eksportu przez Gdańsk. I zresztą nie wiem, czy trzeba - bo to tylko my przeszliśmy do pomiaru wagowego, tracąc wyobraźnię pojemności.

Nie było jakiegoś jednego, ogólno-europejskiego, czy choćby ogólno-polskiego korca jako miary jednolitej. Wahał się od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu litrów; ale wszędzie miał swoje wystawiane w centralnych punktach miast wzorce, z miedzi, z żelaza, albo i z drewna, okute wtedy na krzyż od dołu i wewnątrz, ot, swoiste płaskie balie o różnej średnicy i stąd różnej wysokości ścianek (od kilkunastu do dwudziestu kilku centymetrów). Dopiero w roku 1565 konstytucją sejmową próbowano różne w kraju korce ujednolicić.

Tymi korcami przemierzano zboże i była to ciężka praca, dla istnych osiłków, którzy potrafili pełną miarę, kilkadziesiąt kilogramów, udźwignąć. Pracowało ich naraz po kilku, w Gdańsku wyznaczało ich miasto i nikomu nie pozwalano samemu dla siebie „mierników" dobierać, szedł do roboty skład z listy wedle z góry ustalonej kolejności. Szlachta uważała, że ją Gdańsk oszukuje, żądała, by to państwo decyzjami króla usunęło „nadużycia", ale swoim pisarzom, płynącym do Gdańska ze zbożem, polecała mierników cichcem, jeśli się da, „ujmować". Oczywiście - łapówkami. Nieuczciwy miernik potrafił nieźle zarobić na swoich zadaniach. Jeśli sprzedający skutecznie go „ujął", miernik potrafił na łaszcie oszukać kupującego i na kilka korców! Tak samo i na odwrót, jeśli go „ujął" nabywca...

Bo też różnie się tę miarę napełniało. Jeśli sypało się z wysokości ramienia, czyli „z ramienia", ziarna wchodziło więcej, niż przy sypaniu „spod ręki", z wysokości opuszczonej dłoni. Tak samo, jeśli się zawartość miary utrzęsło albo ugniotło, korzec „potrzęsiony" i „dotłaczany" oznaczał, że sprzedającemu policzy się mniej... Rozróżniano korzec nasypany „z czubem", czyli „wierzchowaty", i „równy", czyli „strychowany", wyrównywany szerokim, drewnianym „strychulcem", a i to zręczny miernik umiał miejscami unosić strychulec ponad wręby miary, albo, na odwrót, tak zastrychować nasypany czub, że w środku zostawał dołek. Do tego i zboże bywało zanieczyszczone, a znowuż suche różniło się objętością od wilgotnego. Najwyżej ceniona, najdroższa pszenica, „biała", wyborowa, ważyła mniej od „pstrokatej" czy też „ordynaryjnej", zwyczajnej pszenicy „czerwonej" bądź „szklistej". Za korzec tej „białej" liczono i o połowę więcej niż np. „czerwonej", jeśli sypano ją spod ręki, nie dotłaczano korca i uczciwie strychowano.

Terminologia ta utrzymała się aż po koniec XIX wieku, dzięki czemu dowiedzieć się mogłem z XIX-wiecznych „encyklopedii handlowych", że pszenicy wchodziło średnio 713 gramów ziarna na litr, a żyta 659. Korzec gdański więc, 54,7 litrów, lżejszy pomiędzy korcami, liczył mniej więcej 39 kilogramów pszenicy, łatwiejszych do podźwignięcia; łaszt - 2,35 tony. Odpowiednio - żyta korzec 36 kilo, a łaszt 2,16 tony. I teraz proszę przeliczyć tamten eksport. W roku 1530 poszło przez sam Gdańsk, nie licząc Elbląga, około 10,2 tys. łasztów zboża z Polski, w 1557 r., kiedy Bugiem spływało i zboże z Rusi, 40,5 tys. łasztów, w 1583 r. 62,8 tys. łasztów i tak to będzie nieprzerwanie rosło aż do 116,3 tys. w roku 1618, roku wybuchu na Zachodzie Wojny Trzydziestoletniej. Dwieście kilkadziesiąt tysięcy ton rocznie!

Pierwszy wielki poeta polski, Jan Kochanowski, w swoim „Satyrze" napisze około roku 1564:

„Nie masz dziś w Polszcze - jedno kupcy a rataje.
To nawiętsze misterstwo, kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a popioły; (...)

Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi (...)
To już rotmistrz, co fuka na chłopy u pługa,
A jego broń przedniejsza - toczona maczuga".

W tych kilku wersach mamy wiadomości o innych jeszcze źródłach dochodów - o bydle pędzonym na Dolny Śląsk przez komorę celną w Krzepicach, przechodziło nią ponoć dziesiątki tysięcy wołów rocznie. Do Gdańska wieziono potaż – to też zapomniany produkt szczególnego przemysłu, w kapitalnej „Encyklopedii staropolskiej" Glogera mamy o nim tylko, że eksportowano go dużo, plus cytat z XVIII-wiecznej satyry Krasickiego, jakie to bogactwa przynosił. I też wywożono rocznie przez Gdańsk i Elbląg - kilka tysięcy beczek potażu, służącego wyrobowi i szkła, i mydła, oraz kilkadziesiąt tysięcy beczek popiołu! Z czego się to brało? Spalano drzewo, głównie drzew liściastych, na popiół, ten popiół drzewny trafiał do kadzi, w której go ługowano wodą i potem odparowywano, żeby otrzymać suchy już potaż, czyli łatwo chłonące wodę kryształki węglanu potasu. Zajmowali się tym specjalni, wysoko kwalifikowani rzemieślnicy, zwani popielarzami, a w puszczach Litwy i Rusi - budnikami. Ci smolarze produkowali zresztą i smołę, i dziegieć, zawód był to mimo warunków pracy popłatny.

Do tego eksportu dodajmy drewno, budulec okrętowy, „wańczosy", które spławiali tratwami flisacy... Drzewo masztowe, jeden „dyl szkutny", dawał tyle co sprzedaż wołu, za sztukę wyborową kupiec gdański dostawał od kupca z Niderlandów czy też z Anglii równowartość podobno i kilkudziesięciu wołów (w co jednak nieco wątpię). A co to były za „granaty", skowane na pługi? Otóż tak, granaty prawdziwe, granaty ręczne - podłużne, żeliwne, wypełnione materiałem wybuchowym. Wynaleziono je we Włoszech jeszcze koło połowy XV wieku, rzucało się taki granat ręką, on zaś wybuchał, uderzając u celu i rozrywając się na odłamki. Nigdy by się nie podejrzewało tak długiej historii granatu, prawda?

Bardzo praktycznie pomyślano transport do Gdańska: tratwę obudowywało się burtami z belek, tak powstawała „komięga" (od „komu", czyli drewnianego kloca po staropolsku; „kom" był słowem oryginalnym, polskim, nie z niemieckiego). Na komiędze płynęło do Gdańska zboże, płynął dziegieć, potaż, miód, a ją samą demontowało się na miejscu i drewno szło na wańczosy - tak samo jak mniejsze od nich „komięski" czy też „byki", swoiste promy do spławu towarów.

Tych dawnych środków transportu zapomniano już w XIX wieku, nie odróżniano komięg od pojemniejszych niż one „dubasów" i jeszcze większych „szkut", a to już nie były tratwy z burtami, lecz solidniejszej budowy, okute żelazem statki wiosłowe. Montowali je zawodowi „szkutnicy" pod kierunkiem swoich majstrów, „mistrzów". Składano je w Polsce już w XIII wieku, ale dopiero teraz, w XVI wieku, stały się przewoźnikami dobrobytu. Mniejsze od dubasów łódki, „łyżwy", przypomnijmy, posłużyły „mistrzowi" Jarosławowi w 1410 roku do montażu mostu „łyżwowego", przeszły po nim jak po moście pontonowym polskie wojska Jagiełły, ku zdziwieniu Krzyżaków, suchą nogą przez Wisłę pod Czerwińskiem w drodze pod Grunwald.

Szkuty, o rozmiarach dużych ówczesnych statków morskich, długie czasem w linii pokładu do 38 metrów („karaka" Krzysztofa Kolumba miała w linii pokładu niewiele ponad dziesięć metrów!), zabierały - te największe - do 50 łasztów zboża, ponad sto ton! Należały do zawodowych mieszczańskich armatorów; w tych interesach mieszczanie długo potrafili się bronić przed konkurencją magnacko-szlachecką, w Kazimierzu nad Wisłą rodzina

Przybyłów miała całą flotyllę, kilkanaście statków wiosłowych. W powrotnej drodze zabierały one towary importowane oraz tysiące beczek ryb rocznie. W przewozach górowały nad komięgami, komięskami, bykami i byczkami, bo nie groziły ryzykiem katastrof, dosyć, niestety, częstych - słynne porzekadło „wyszedł jak Zabłocki na mydle" ilustrowało, ile się traci na bezmyślności w transporcie wodnym. Mydło się Zabłockiemu rozpuściło na dnie komięgi i wypłynęło do rzeki...

Należało się spodziewać, że ceny w handlu krajowym będą po napływie kruszców z Ameryki do Europy rosnąć. Tymczasem, o paradoksie, zamiast rosnąć, utrzymywały się prawie te same, choć eksport rósł i rósł, dawał i dwa razy tyle co do tej pory. Od kilkuset w sumie ton srebra, tak, trzeba te wpływy szacować w tonach, doszedł do z górą tysiąca ton w monecie rocznie! Co się działo z takim nadmiarem srebra? Nie wracało to srebro na krajowy rynek. Wydawano je na import luksusu, najdroższych trunków, tkanin i luksusowej zastawy stołowej. Tylko za to płacono więcej. Rynek zwykłych, codziennych obrotów „zwykłymi" produktami i usługami nie zmienił cen.

Niemały procent owego srebra zostawał w samym Gdańsku. Nie dziwota, że Gdańskowi, który potrafił w XVI wieku pokazywać zęby królowi i zbrojnie mu się stawiać, potem nie będzie się nawet chciało wozić tego eksportu swoimi statkami. Gdańsk ze swym „prawem składu" po dalszych stu latach odda ryzykowny, jednakże dochodowy transport morski żeglarzom z Niderlandów... Pośrednictwo handlowe, a jeszcze na prawach faktycznego monopolu, przynosiło takie pieniądze, że likwidowano kosztowne stocznie, a na stoczniowych terenach instalowano składy i magazyny.

W historiografii polskiej utrwalił się pogląd, że to szlachta w przymierzu interesów ze „swoimi" Żydami zdegradowała miasta. Ja myślę, że miasta polskie - z prawem do reprezentacji w sejmie! - same zatyły się w swoim dobrobycie. Po kilkudziesięciu latach wzrostu obrotów i świetności kupcy miast Królestwa zatracili instynkt przedsiębiorców, zanikł w nich zmysł konkurencji. Miasta niby już z końcem XV wieku ograniczały konkurencję ze strony Żydów, przywilejami *de non tolerandis Judeis* nie dopuszczały Żydów do osiedlenia się w mieście, teraz na Żydach, kupcach znacznie bardziej przedsiębiorczych, oprze swe interesy szlachta. Dla potrzeb też handlu i kredytu rozwinął się samorząd żydowskich gmin wyznaniowych, „kahałów", swoistych spółek religijnych z solidarną odpowiedzialnością. Żydzi, brutalnie prześladowani w krajach Zachodu Europy, nadal ściągali do Polski. Hiszpania ich wygnała w roku 1492, kiedy Ferdynand Katolicki zdobył Grenadę, ostatni bastion muzułmański, a Krzysztof Kolumb dotarł do Ameryki. Mogli zostać w Hiszpanii tylko ci, którzy przyjęli chrzest, a i to było niebezpieczne: Święta Inkwizycja aż po wiek XVIII będzie ścigała przede wszystkim Żydów już ochrzczonych, „marranów", i paliła ich z satysfakcją na stosach jako heretyków. Tak samo znęcała się i nad „moryskami", potomkami ochrzczonych muzułmanów. W Polsce Zygmunt Stary zrównał Żydów w opłatach celnych z kupcami chrześcijańskimi i nadał im prawo wolnego handlu w całym państwie. Małe miasteczka na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, zamieszkałe wyłącznie przez Żydów, uzyskają nawet z czasem przywilej *de non tolerandis christianis*, wykluczenia osadnictwa chrześcijan.

Dobrobyt nie szkodzi od razu, a znosząc troskę o przeżycie, wyzwala mózgi od bieżących kłopotów, pobudza do nie kosztownego z natury myślenia i refleksji. Polskość zaczęła wtedy kwitnąć pisarstwem i muzyką. Pisarstwo tej Polski znamy, w całym jego bogactwie i różnorodności, natomiast o muzyce, dziś odkrywanej, wiedzą głównie muzykolodzy, zakochani w kapitalnej starej twórczości muzycy i melomani. My, ogół Polaków,

przeciętnie głusi, dowiadujemy o mistrzostwie tej muzyki raczej z zachwytów zagranicznych.

Mądrzy ludzie tamtych polskich czasów cenili swoją epokę. Mieszczanin, którego za mądrość Zygmunt August uszlachcił w 1559 roku, Szymon Kociołek, zwany Marycjuszem, jeden z ojców polskiej myśli oświatowej i pedagogiki, odnotował w 1551 roku w swej księdze „O szkołach czyli akademiach":

„Oglądałem dziwne jakieś poruszenie, które ogarnęło wszystkie niemal profesje i stany. Umysły naszych rodaków nabrały jakiejś siły i wzmogła się ich aktywność bardziej niż gdziekolwiek indziej, objawiając się w budowaniu miast i gromadzeniu dostatków".

Marycjusz dostrzegał też inne oznaki przemian. Polska bucha wreszcie - polszczyzną. Wysiłki Wietora i Unglera, jej misjonarzy, dopięły swego. W latach czterdziestych XVI wieku zadziorny protestant, Mikołaj Rej, ogłasza, że Polacy swój język mają i odrzuca łacinę, po nim zaś objawia się, od razu, jakby z niczego, poeta wielki - Jan Kochanowski. Z językiem od razu doskonałym, skończonym, który przez następne kilkaset lat, aż do naszych dni, zmieni się minimalnie, i to, powiedziałbym, raczej na gorsze, będzie bowiem ubożał. Trudno Anglikowi bez przygotowania czytać XVI-wieczną angielszczyznę. Wbrew opiniom znajomych mi polonistów uczeń polski nie ma większych trudności (przy zapisie tekstu dzisiejszą ortografią) z poetyką Kochanowskiego, z bogatą, soczystą prozą Górnickiego, ba, nawet i z cytowanymi tu fragmentami deklaracji Wietora i Unglera – mimo ich zapomnianego dziś słownictwa. „Treny" Kochanowskiego, wzruszające smutkiem po śmierci ukochanej córeczki, zrobiono piłą szkolnych lekcji polskiego, ale jego pozycji w historii humoru polskiego nic nie podważy. Wystarczą oprócz paru linijek z cytowanego wyżej „Satyra" dwie pierwsze linijki z fraszki „Na doktora Hiszpana":

„Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły..."

Dodamy dla obrazu ich czasu fraszkę zapomnianego, późniejszego Jana Smolika, królewskiego dworzanina:

„Pisałem do Hanuśki – odpisu nie dała.
Podobno o com prosił dać będzie wolała".

Już Łukasz Górnicki, świetny prozaik, dbał o czystość polszczyzny: „gdzie jest dobre polskie słowo, tam źle czyni, kto łacińskie miasto niego kładzie; chyba kiedy się trefi słowo już tak zwyczajne, tak utarte, że je niemal wszyscy rozumieją". Ale słowo „ojczyzna" dla określenia Polski jeszcze się nie przyjęło: „Patria jest łacińskie słowo, moim zdaniem lepiej uczyni, kto mówiąc o Polszcze, rzecze patria moja, niż ojczyzna moja, bo ojczyzna częściej się rozumie to, co gruntu komu ojciec jego zostawił". Górnicki radził, do którego słowiańskiego języka sięgać po słowa, jeśli jakiegoś określenia w polskim brakuje, ale jego własny słownik jakże wzbogaciłby naszą polszczyznę! Zakochany w języku czeskim, uważał go za „najcudniejszy"!

Rozkwitały i wielkie umysły, na europejską miarę. Zmarł przedwcześnie, w połowie lat 50-tych XVI wieku, prawie zapomniany dzisiaj Jakub Przyłuski, protestant, znakomity prawnik. Wspaniała głowa, ale nie żaden subtelny, szczuplutki intelektualista, przeciwnie, kawał chłopa, pyskaty osiłek. Na pewno nie wyglądał na finezyjnego myśliciela, poetę i do tego znawcę prawa rzymskiego, a tu spod jego ręki wyszedł pełny projekt prawa polskiego,

Statuta Regni Poloniae... – jak to postulował rokosz gliniański. W blisko tysiącu stron pomieścił jednak autor i swoje komentarze, ironiczne i zgryźliwe, które mu sprzeciwiły czytelników niemal na zawsze. Ale młodszy odeń jego przyjaciel, współpracownik, wychowanek wielkiego Jana Łaskiego, Andrzej Frycz Modrzewski, zyskał sławę europejską.

Wydał w Bazylei dzieło Frycza Modrzewskiego, *Commentariorum de Republica emendanda libri quinque*, „Komentarzy do poprawy Rzeczypospolitej ksiąg pięć", uczony humanista, Oporyn, Johannes Oporinus. Ze swym przyjacielem, włoskim mędrcem, profesorem bazylejskiego uniwersytetu, Celio Secondo Curione'm, także - z pierwszym tłumaczem, szwajcarskim!, uznali to dzieło za nieśmiertelne. Głosili, ni mniej ni więcej, że od czasów starożytnych niczego tej miary nie napisano. Dzisiejsze żale, jakoby Frycza w Europie nie doceniono, są jakimś dziwnym nieporozumieniem. Dzieło rozeszło się po dworach panujących i po ówczesnych intelektualistach, którym Oporyn książkę rozesłał.

Frycz Modrzewski nie projektował idealnego państwa, jak sądzono u nas, nie czytając. Opisywał i analizował pewną całkiem realną utopię - Królestwo Polskie... Powoływał się na zapomniany dziś Kaspra Contariniego opis ustroju Wenecji, wznawiany przez ponad sto lat. Cytował go Frycz, ponieważ bardzo mu się podobał wenecki tryb doboru ludzi na stanowiska państwowe. Do dziś nikt nie zajął się zbadaniem różnic między obiema koncepcjami państwa, a mimo pokrewieństwa filozofii różnili się choćby poglądem na ustrój władz najwyższych - w Wenecji „signoria", swoista rada państwa, sprowadziła pozycję doży, szefa władzy wykonawczej, do rangi prawie tytularnej; sama rządziła i sama sądziła. Stał się Frycz autorytetem intelektualnym dla swoich europejskich współczesnych, wyzwaniem dla dworów, inspiracją dla intelektualistów, zrobił, mówiąc językiem naszej współczesności, światową karierę. Po raz pierwszy zarysowano tak jednoznacznie rozdział między władzami ustawodawczą, wykonawczą i sądownictwem. Nasze pierwsze wielkie europejskie stronnictwo polityczne, „egzekucyjne", zyskało doprawdy solidne oparcie umysłowe.

W codzienną praktykę prawa następnych dwustu lat w Królestwie Polskim więcej wniesie pewien mieszczanin, Bartłomiej Groicki (nie jest pewne, czy nie Grodzicki?), pisarz sądu wyższego na zamku krakowskim dla spraw miejskich. Uczył go ów przyjaciel Kochanowskiego, „doktor Hiszpan", wybitny, osiadły w Polsce prawnik, Piotr Rojzjusz, czyli Ruiz de Moros. Groicki na użytek polski przetłumaczył, a właściwie raczej – strawestował bardzo sprawną polszczyzną, wartą badań językowych, niemieckie przepisy prawa miejskiego, prawa „magdeburskiego", oraz to, co uchwalił sejm Rzeszy Niemieckiej w 1532 roku pod tytułem *Codex Criminalis Carolina*. Ten kodeks „karoliński", zwany popularnie „Carolina" od imienia cesarza Karola V, który mu patronował, był istnym kondensatem okrucieństwa. Natomiast Groicki (pomijam dawny, do czasu Henryka VIII, angielski zakaz tortur) jako pierwszy praktyk prawa w Europie wystąpi przeciw pochopnemu stosowaniu ich w śledztwie. Takimi warunkami opatrzy ich stosowanie, że w Polsce aż po wiek XVIII nie staną się ani modą, ani normalnością. Sądy miejskie w Polsce dwieście lat będą kodeks Groickiego traktowały jako obowiązującą kodyfikację! Jego warte studiów, inteligentne wskazówki, jak prowadzić śledztwo, zachowały aktualność do dzisiaj. A był Groicki również, o paradoksie, utalentowanym kompozytorem...

Czytaliśmy ową zaskakującą uwagę Marycjusza. Dotyczyć mogła nie tylko budowania i robienia interesów. I rozkwitały nie tylko wielkie umysły. Zadziwiające też było, jakiej najwyższej próby twórczością od razu trysnęła w tej Polsce muzyka! Wacław z Szamotuł

studiował matematykę i prawo; pisał poezje - i muzykował Zygmuntowi Augustowi. Miał ledwie dwadzieścia parę lat, kiedy jego utwory Europa drukowała wśród dzieł największych. Dziś podziwia się jego talent, bujny i subtelny, warsztat godny mistrza. Niestety, zachowało się ledwie kilka kompozycji.

Młodszego odeń Cypriana z Sieradza, mieszczanina, przyjął do herbu i nazwiska szlachcic, znany zawadiaka, Hieronim Bazylik, snadź wielbiciel muzyki. Cyprian swe utwory sygnował jednak monogramem „C.S.", przez długi czas nie rozszyfrowanym. Jedne swe pieśni religijne adresował do zwykłych amatorów śpiewu, inne kompozycje, wysoce kunsztowne, do tych, „którzy się w figurnym śpiewaniu kochają" - jak pisano w ówczesnych „kancjonałach", czyli śpiewnikach. Postać nie mniej renesansowa, był również... poetą, drukarzem i wydawcą! To on przetłumaczył na polski z łaciny, choć może językiem nie tak doskonałym jak Górnickiego, ale w pełni czytelnym, *De Republica emendanda*, „O poprawie Rzeczypospolitej", Frycza Modrzewskiego, po czym sam je wydał w roku 1577, już po śmierci autora...

Najsławniejszy z polskich kompozytorów, Mikołaj Gomółka, w 1558 r. brał co tydzień dukata u dworu Zygmunta Augusta. Za młodu królewski paź, który śpiewał w chórze dworskim, potem w dworskiej kapeli - *fistulator*, flecista. Szanowany mieszczanin, potem sędzia, znakomity kupiec, zastępca wójta Sandomierza, wrócił na dwór królewski dla muzyki. Dał Europie oryginalną, wspaniałą muzykę do psalmów „Psałterza Dawidów" przekładu Jana Kochanowskiego, wydaną w 1580 r. W dobrobycie Polski grały ją i śpiewały dworskie, kościelne i miejskie kapele i chóry. Łączył Gomółka wyznania - te same utwory mszalne katolicy i ewangelicy drukowali razem, wykonywano je tak w kościołach katolickich i protestanckich, jak i w cerkwiach...

Zachowało się jeszcze sporo kapitalnych utworów z samego Renesansu, czasem wręcz - małych arcydzieł, kompozytorów ciągle jeszcze anonimowych. Historycy muzyki dopiero ich identyfikują.

Przebogata jest ta część historii Polski... Daleko bogatsza od pojemności korca. A to jeszcze nie koniec.

23. PIERWSZE WIELKIE STRONNICTWO POLITYCZNE W EUROPIE

Jeśli przyjąć, że egzekucjoniści poprzedzili nowożytne partie polityczne Europy, wypada zaznaczyć, że w odróżnieniu od dzisiejszych partii mieli jakieś do zrealizowania cele, a nie samo zdobycie władzy i stanowisk. Nie chcieli obalać króla, choć rokosz gliniański postulował, by władca odpowiadał za swe działania. Swoje idee polityczne mieli bez wątpienia za szczytne, godne ich jako obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Jednakże były to idee, zmieszane z interesami. Łączone mądrze: żądali „egzekucji" praw - żeby prawo prawem było, czyli żeby je egzekwowano. I chcieli nie tylko energiczniejszego ścigania przestępców. Może nawet bardziej zależało im na szybszym i skuteczniejszym rozstrzyganiu w sprawach cywilnych, czyli - praktycznie - majątkowych. Spory w sądach przeciągały się w nieskończoność, a szlacheckie kauzyperdy doskonale opanowały sztukę przewlekania rozpraw. Apelacja do sądu królewskiego oznaczała dalsze miesiące, jeśli nie lata zwłoki, król nie miał czasu na tyle zadań sądowych, nawet przy rozbudowanej, wysoce kwalifikowanej kancelarii. I też potrwa lata, nim powstanie poza dworem trybunał apelacyjny. Ale powstanie...

Najważniejszym jednak hasłem była - „egzekucja" dóbr. W tym względzie nic się przez kilkadziesiąt lat od sejmu piotrkowskiego nie zmieniło. Należało, jak postulował ten sejm w 1504 r. i potem rozprawa Zaborowskiego, możliwie szybko i sprawnie odebrać, „egzekwować" porozdawane dobra królewskie, bo jeśli wrócą one do skarbu koronnego, dochody z nich starczą na utrzymanie zaciężnej, porządnej armii – choćby dla ochrony ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego, własności króla. I ściągać trzeba na to również wpłaty z dóbr kościelnych. Nie ma co idealizować tego programu – gdyby się udało, to nie będzie żadnych, albo jak najmniej podatków od ogółu „obywateli", panów szlachty. No i dosyć rządów króla z magnaterią i biskupami. Zwłaszcza, że kanclerze następcy Zygmunta Starego, czyli już młodego króla, Zygmunta Augusta, też ciągnęli pokątnie zyski z rozmaitych manipulacji królewskimi dobrami.

Nie z biedy wyrósł ruch egzekucjonistów. Wielkopolski ich przywódca, sztandarowy niemal, Rafał Leszczyński, arianin!, to Leszczyńscy bogaci już dawno, „starowni", jak się dawniej mówiło, czyli umiejętnie dbający o swe majętności. W swej protestanckiej gospodarności – typowi, Bóg ją nagradzał rosnącymi przychodami. Swoje Leszno zrobili w 1547 r. miastem, przytulili w nim kilkaset rodzin wygnanych z ojczyzny „braci czeskich" - tyleż z sympatii religijnej, co z wyrachowania, bo ci husyci pokojowi, nie uznający wojny, chcieli jak apostołowie żyć wyłącznie z pracy swoich rąk.

Egzekucjoniści postulowali też niepołączalność urzędów, *incompatibilitas*, żeby nie czerpano dochodów z pełnienia naraz urzędu wojewody i np. urzędu starosty, czyli z dóbr obu urzędów. W 1550 r. ów 23-letni Rafał Leszczyński, wojewoda Brześcia Kujawskiego z dobrym, wcale nie „drążkowym" krzesłem w senacie, ale i ze starostwem, złożył na ręce młodego króla urząd wojewody i demonstracyjnie zasiadł wśród szlachty w izbie poselskiej - przy sporej stracie w dochodach. Zasłynął tym na długie lata.

Szli pod hasłem „o rząd pospolity doma". Ów zapomniany dziś, wielkiego umysłu Wenecjanin, Kasper Contarini opisał w 1524 r. ustrój równowagi stanów - doży, signorii i szlacheckiego „ludu". Oni przewagi „signorii" nie chcieli. Brali z Contariniego, za Fryczem Modrzewskim, cenniejszy impuls - poprawy państwa. Aż doszli w latach 1562-63

do historycznego sejmu „egzekucyjnego” w Piotrkowie, kiedy Zygmunt August zmienił front i porozumiał się z nimi, ze zwykłą szlachtą.

Rafał Leszczyński przywodził jej w izbie poselskiej. Egzekucjoniści ostentacyjnie składali u nóg króla swoje przywileje na królewszczyzny. Sejm uchwalił rewizję wszystkich tytułów na dobra królewskie, rozdane od owego sejmu Łaskiego z 1504 r., czyli od zakazu rozdawnictwa. Rewizji i „egzekucji” dóbr pilnowali potem reformatorzy skrupulatnie. Zaprowadzą niedługo później system stałych, okresowych lustracji dóbr koronnych, powołają do tego celu specjalny trybunał.

Niemałą rolę w ruchu egzekucyjnym odegrali polscy arianie, szlachta najuczciwsza. Przejęli wiarę anabaptystów w jednego Boga, odrzucając Trójcę Świętą; przezywano ich złośliwie „nurkami”, bo w akcie chrztu zanurzali się całym ciałem w wodzie. Mieli swoich nauczycieli antytrynitaryzmu, mniej i bardziej radykalnych, ale nie o ich teologię tu chodzi, lecz o ich stosunek do państwa. Istotne, że jednym z najbardziej wpływowych przywódców ruchu „egzekucyjnego”, marszałkiem decydujących sejmów lat 1555, 1556/57, 1558/59 i tego najważniejszego - w 1563 r., był „Demostenes polski”, znakomity mówca, Mikołaj Sienicki, podkomorzy chełmski - arianin. Poza twardą egzekucją dóbr występował za większymi uprawnieniami dla króla jak władzy wykonawczej i wielokrotnie postulował usprawnienia sądownictwa - w roku 1578 stanie sam do pracy na projektem trybunału koronnego...

W Małopolsce związały się z arianami najbardziej znaczące rody - Niemojewscy, Przypkowscy, Stadniccy, Tarłowie, Taszyccy. Wojewoda podolski, Jan Sieniński, stworzy na Kielecczyźnie w 1557 r. Raków – miasteczko z wolnością religijną, która sprowadzi tam lub wesprze już osiadłych tam arian. Ściągną do niego bracia polscy, czyli arianie, i to najradykalniejsi. Będą tu spotykali się dla dyskusji, odprawiali swoje synody, a za Zygmunta III, już w epoce kontrreformacji, w 1602 r. założą szkołę z uczonymi profesorami, która zasłynie jako „Ateny polskie”, z tysiącem uczniów, drukarnią i pełną wolnością myśli. Ten fenomen przetrwał do roku 1638, kiedy sejm swoją uchwałą skasował Raków. Co było znakiem nadciągającego rozkładu.

Inni dysydenci potępiali arian z ich monoteizmem, arianie wzajem innych dysydentów. W 1564 r. sejm w Parczowie chciał wypędzić zagranicznych arian, ale nikt nie wyjechał. Przed śmiercią w 1565 r. został arianinem potężny Mikołaj Radziwiłł „Czarny”... Nie był to więc margines szlacheckiego społeczeństwa.

Ruch egzekucyjny przyciągał ludzi wybitnych. Rej wodził w nim dalszymi laty Jan Zamoyski, „trybun szlachecki”, wykształcony w Padwie. Jego studium, autentycznie naukowe, o senacie rzymskim przedrukowywano aż po wiek XVIII. Parę wieków podejrzewali zawistni, że mu tę rozprawę napisał jego włoski profesor, aż wreszcie znaleziono jego brudnopisy i notatki, nawet z tymi samymi drobnymi błędami, które potwierdziły autorstwo Zamoyskiego. Dzięki zręczności w interesach dorobił się olbrzymiego majątku - zamieni go w niepodzielną „ordynację” o powierzchni większej od wielu księstw niemieckich. Założył tam Zamość, zbudował miasto-twierdzę, ufundował w nim Akademię, przygotowującą młodzież do obowiązków życia publicznego, ściągał wybitnych profesorów. Tytułu książęcego od cesarza Niemiec wszelako nie przyjął, wyższą rangę wiązał dumnie z polskim szlachectwem, inaczej niż litewscy Radziwiłłowie. Literacka scena z „Potopu” Sienkiewicza, kiedy kolejny Zamoyski nie przyjmuje od króla szwedzkiego ofiarowanego tytułu, oświadczając, że jest polskim szlachcicem, a przez to książętom równy, odpowiada autentycznej postawie Zamoyskich.

Nie sama skromność nim kierowała, chciał utrzymać swoją pozycję przywódcy w szlacheckim społeczeństwie, a szlachta chroniła kraj przed zagranicznymi tytułami, by nie posłużyły jak w Czechach podziałowi jej stanu. Nadawali je zagraniczni władcy, atoli nie rejestrowała obcych tytułów Metryka Koronna, tym samym nigdy nie zostały w Polsce uznane i nie mogły obowiązywać. Późniejsze takie tytuły w większości kupowano w XIX wieku od wiedeńskiego dworu w epoce zaborów, niektóre znów były carskiego pochodzenia, żaden dziś książę ani hrabia nie jest polski i tytułować kogokolwiek, nawet grzecznościowo, właściwie nie wypada. To był kraj szlachty równych.

W tym samym czasie szlachta coraz bardziej obciążała chłopów odrobkiem na ziemi pańskiej - pańszczyzną. Z końcem wieku bystry Kochanowski opisywał z goryczą, jak bardzo pogorszyły się stosunki między panami i chłopami. Niemniej czytałem jeszcze i z tego okresu chłopskie testamenty, legujące potomkom kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkanaście koni, czy kilkaset owiec. Bogata wieś nie zbiedniała, eksport płodów rolnych i jej przynosił wory srebra.

Przyjrzyjmy się bliżej partnerowi egzekucjonistów, czyli - królowi, Zygmuntowi Augustowi, który podejmował też inne, nie mniej przełomowe decyzje.

Matka szczepiła mu ponoć ambicje władzy absolutnej. Dowodzić tego miał jego sojusz z senatem, czyli magnaterią, i poczucie władzy, jaką dysponował wobec dziedzicznej Litwy, rodowej własności Jagiellonów. To jednak żaden dowód, jak się przekonamy. Gdyby odsłoniła się jakaś szansa na absolutyzm, dla zaprowadzenia go użyłby może i środków dalekich od moralności - napomykał wszak zaprzyjaźnionemu Radziwiłłowi o tak subtelnym sposobie na ludzi niewygodnych, jak... trucizna. Szansa na absolutyzm nigdy się nie pojawiła i nie to go będzie pasjonowało.

Po śmierci pierwszej żony, panny z domu Habsburgów, chorej na padaczkę, ożenił się Zygmunt August cichcem z kobietą, w której się zakochał, z Barbarą Gasztołdową, wdową po wojewodzie Trok, z domu Radziwiłłówną - ożenił się wbrew matce, wbrew niechęci senatu, wbrew masowym protestom szlacheckiego ogółu. Jedni wytykali Radziwiłłom, że ich pradziad nie był w ogóle szlachcicem i pilnował lasów książęcych, inni darować nie mogli Radziwiłłom, że byli już zbyt ważni i majętni. Konflikt o Barbarę podzielił kraj jak nienawiści religijne resztę Europy, choć, na szczęście, tylko w słowach. Zygmunt August mimo sprzeciwów ukoronował Barbarę - niestety, rok potem, ledwie 31-letnia, zmarła. W XX wieku wykryto w jej szczątkach nowotwór, nawet medycyna zatem, wedle moich przyjaciół historyków, sprzyjała Bonie, uwolniono więc królową matkę od podejrzenia, że patronowała otruciu Barbary. Nie byłbym tego wyroku tak pewny. Współcześni opisywali odrażającą woń ciała umierającej Barbary, ale dziś medycyna kwestionuje te relacje, dyktowane raczej psychologiczną mściwością niż faktami (nie brakowało wówczas pachnideł do zmywania ciała), reklamowały one karę za grzech konfliktu ze szlachecką opinią publiczną. Wyższe warstwy Włoch operowały całym bogactwem trucizn, po których nie umierało się ani lekko, ani szybko, ale na pewno bez „odrażającej woni ciała". Szybko umiera się tylko od cyjanku potasu. Najprostszym zaś domysłem na temat śmierci młodej kobiety w tamtych czasach jest, jak zawsze w podobnych wypadkach, gorączka połogowa...

Młody król, od czasów „szkoły krakowskiej" źle widziany przez całe dawne pokolenia historyków, ich zdaniem zręcznie unikał decyzji w sprawach państwowych. W imię niedoszłego absolutyzmu uwielbiali oni Bonę, aliści to on właśnie, Zygmunt August,

podejmował decyzje o historycznej wadze. Również - w sprawach mniejszej skali. Kazał kraj pomierzyć i sporządzić mapę, „aby wiedzieć, wiele ludzi może się wyżywić i jaki jest stan naszego państwa, nad którem Pan Bóg daje nam sprawować rządy". Mapa służyła potomnym całe lata. Na Litwie obmierzono dobra królewskie... On, bez synów, myślał o interesie państwa jako całości. Za jego pieniądze bito przez kilka lat nowy szyb w Wieliczce, dla dostępu do nowej części złoża, z korzyścią dopiero skarbu następcy. Kilka lat ze środków królewskich bito sztolnię odwadniającą w zagłębiu srebra na skraju Śląska, w Olkuszu - również do przyszłej dopiero eksploatacji. To on, Zygmunt August, by dać nauczkę Zakonowi Kawalerów Mieczowych i zablokować dowozy broni z Zachodu, przystąpił do błyskawicznej budowy swojej własnej, polskiej floty wojennej na Bałtyku... Co go będzie kosztowało konflikt z gdańskim kupcami.

Żadnych za to prześladowań religijnych. Jan Tarnowski, wielki hetman, głęboko wierzący katolik, wystąpił był w senacie przeciw biskupim sądom nad heretykami i wymuszaniu zeznań. Biskup Mikołaj Zebrzydowski, sam uchodzący za ateistę cynik, notabene właściciel kamienicy z domem publicznym w Krakowie, protestował:

- „Jeśli nie będzie mi dane sądzić heretyków, to czymże zostanę, woźnym czy biskupem"?

Tarnowski odparował:

– „Lepiej tobie, Zebrzydowski, być woźnym, niż mnie twoim niewolnikiem".

Jedynie w Krakowie udało się spalić na stosie 80-letnią mieszczkę, którą 10 lat bezskutecznie odwodzono od herezji. Wiadomość o tym rozniosła się po kraju i wstrząsnęła szlachtą. Biskup poznański w 1554 r. skazał za herezję trzech mieszczan i przekazał radzie miejskiej do spalenia na stosie, ale wkroczyła zbrojnie szlachta poznańska i uwolniła ich. Biskup chciał potem spalić szewca-heretyka i wtedy ponad stu najważniejszych wielkopolskiej szlachty przyszło, by oświadczyć, że nic z tego, bowiem to, co by się biskupowi udało z szewcem, jutro mogłoby spotkać któregoś z nich...

Prymas od roku 1561, Jakub Uchański, przyjaciel Frycza Modrzewskiego i Jakuba Przyłuskiego, ale i Zygmunta Augusta, zamyślał wedle sugestii Sienickiego - jakiś lokalny, narodowy sobór, który pogodziłby zwaśnionych, byle się dogadać co do jakichś drobnych ustępstw. Posądzano go, że obmyśla i narodowy kościół katolicki, jak ten angielski Henryka VIII. Nawet jeśli tak, to zrezygnował potem - sami polscy protestanci za bardzo się kłócili. Jak wszyscy protestanci w Europie. Chociaż ci polscy, jedyni w Europie, w roku 1570 zawarli w końcu między sobą „zgodę sandomierską". Bez arian, oczywiście. Nawet mennonici, wszędzie w innych krajach tępieni, unii z arianami nie chcieli.

Konflikt religijny podsycały oczywiście spory o dziesięciny. W rok po sejmie „egzekucyjnym", kiedy Zygmunt August zmienił front i porozumiał się z ogółem szlacheckim, sprawy takie przekazano sądom świeckim, potem po kilkunastu latach, już za panowania Stefana Batorego, w 1578 r. - odwoławczemu trybunałowi koronnemu. Ale o polskiej tolerancji nie zadecydował problem dziesięcin. Ani obojętność religijna. To był znowu świadomy wybór - wszystkich. Sami protestanci nigdzie w Europie nie popisywali się tolerancją, a już właśnie kraje protestanckie, z protestanckim urazem wobec seksualności i wobec kobiet jako źródła grzechu, wprost pasjonowały się paleniem czarownic! W Polsce procesy o czary, z reguły przeciw kobietom, nie zyskały popularności, a szlachta polska dbała wtedy przede wszystkim o trwałość swego państwa, swojej „Najjaśniejszej Rzeczpospolitej". Bez wewnętrznych podziałów. Właśnie tak.

Ni dziwnego, że budziło to państwo zazdrość europejskiego świata. Stąd, wbrew niektórym u nas opiniom, szerokie w Europie wzięcie owego dzieła sekretarza Jego Królewskiej Mości króla Polski, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, „O poprawie Rzeczypospolitej". Utopią do poprawienia było Królestwo Polskie, nie żadne inne państwo - wbrew poniektórym naszym encyklopediom. Obiegł też Europę drukowany w Wenecji 1568 roku traktat Wawrzyńca Goślickiego, też sekretarza Zygmunta Augusta – *De optimo senatore*, „O najlepszym senatorze" (doradcy). Ta rozprawa polityczna, nie żaden „traktat moralny" (jak pisano, nie czytając), za wzór stawiała jak i Frycz - monarchię polską, gdzie największe znaczenie ma prawo, którego bronić przysięgają Polacy. *Non rex, sed lex regnat*, nie król, ale prawo rządzi, głosili bracia szlachta. Skoro szlachta rokoszem gliniańskim domagała się, by i król podlegał sądom, to nawet umiarkowany regalista Goślicki rozważał w swym traktacie, zresztą za Fryczem Modrzewskim, choć marginesowo - odpowiedzialność króla za swoje czyny. Anglicy to dzieło przetłumaczyli i wydali, od 1598 roku poczynając, trzy razy. Choć za pierwszym razem je skonfiskowano za królowej Elżbiety, jak potem i drugi nakład, ci Anglicy, co je czytali, w XVII wieku zyskali w nich podstawę do osądzenia i ścięcia głowy swojemu królowi. O czym pani Veronica Wedgwood, znakomita historyczka, autorka wnikliwego studium sądu nad brytyjskim Karolem I, nie wiedziała, ponieważ kontynent brytyjski leży zbyt daleko od Europy.

W Królestwie Polskim „kaźń" wobec władcy rozważano tylko teoretycznie - Zygmunt August uchodził w Polsce i Europie za ideał króla. Nie wchodził w rachubę i zamach na życie króla. Szalonego szlachcica, który rzuci się na Zygmunta III Wazę, zamęczą tortury, aż zwrot „plecie jak Piekarski na mękach" stanie się przysłowiem.

Zygmunt August otwarcie deklarował, że nie chce być królem sumień. To nie był tylko unik polityczny. Kiedy sytuacja wymagała, umiał działać. Zakon Kawalerów Mieczowych obraził króla morderstwem na jego wysłanniku i sejm uchwalił wojnę. Wielki mistrz Zakonu przestraszył się, zwalił śmierć na przypadkowy eksces, przybył klęknąć i przeprosić. Inflanty, czyli dzisiejsza Łotwa i południowa Estonia, w strachu przed Iwanem Groźnym same chciały się inkorporować do państwa króla polskiego. Szlachta wykręcała się od tej inkorporacji, by nie opłacać wojen w obronie nabytków. Król wcielił jednak Inflanty do Królestwa, z ostatnim mistrzem Zakonu, Gotardem Kettlerem, jako lennikiem, świeckim księciem Kurlandii i Semigalii. Tamtejsze niemieckie rody staną się polską szlachtą, wielu ich potomków będzie gorącymi patriotami polskimi. Dynastia po Gotardzie Kettlerze wygaśnie w XVIII w ., ale inni Kettlerowie z tej rodziny będą w XX wieku warszawskimi inżynierami. Wielkiego historyka, prof. Tadeusza Manteuffla, z inflanckich Manteufflów, mogłem sam poznać... Nazwisko po zmarłym w niewoli u Iwana Groźnego, poprzedniku Kettlera, Fuerstenbergu, nosi dzisiejszy młody polski tenisista.

Możnowładcy litewscy nie życzyli sobie unii z Polską. Dążyła do niej szlachta Litwy i litewskiej Rusi, zrównałoby to ją bowiem w prawach ze szlachtą Korony, a co ważniejsze - zaangażowałoby Koronę w obronę Litwy i jej Rusi przed Iwanem Groźnym. Do tej szlachty mogliby żywić pretensje dzisiejsi nacjonaliści Litwy. Zygmunt August, świadomy zagrożeń ze strony rosnącego w siłę kniazia Moskwy, podjął w 1564 roku krok inteligentny i pomysłowy, jak wszystko, co robił - przekazał Koronie swoje osobiste prawa właściciela do Litwy. Tym samym Korona Królestwa Polskiego, cała *communitas*, wszyscy w Koronie, powinni byli teraz Litwy jako swej własności bronić!

Magnaci Litwy i litewskiej Rusi nadal się opierali. Po dalszych pięciu latach ci drudzy przestali być magnatami Rusi litewskiej - Podole, Wołyń i Ukrainę kijowską włączył król

do ziem Korony jako właściciela. Włączył i Podlasie, zasiedlone już polską szlachtą i chłopstwem, a biedne - powiadano: „szlachcic podlaski ma błoto i piaski". W końcu i magnaci litewscy uznali, że sił Wielkiego Księstwa na wojnę z Rosją Iwana Groźnego nie starczy. W 1569 roku podczas sejmu w Lublinie zawarto słynną Unię Lubelską. Powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów; wedle ówczesnych dokumentów - narodów polskiego, litewskiego, ruskiego, pruskiego, żmudzkiego oraz inflanckiego....

Przyjęte i utrwalone tą nazwą pojęcie „Obojga Narodów" zamazuje wielość żywiołów etnicznych, które współżyły ze sobą na wspólnych ziemiach, ale reprezentowały swoje poczucie odrębności. Języki żmudzki nie był językiem litewskim, w Inflantach operowano dwoma językami – ugrofińskim Letgalów we właściwych Inflantach i niemieckim w Kurlandii z jej Kettlerami, Manteufflami i Firstenbergami. I co istotniejsze chyba – już wtedy używano pojęcia „narodu" w sposób taki, jaki my temu pojęciu nadajemy. Wbrew mojemu nieżyjącemu przyjacielowi, wybitnemu historykowi, przekonanemu, że o „narodzie" zaczęto mówić dopiero w wieku XIX, poczucie tożsamości narodowej żywiono parę wieków wcześniej, tyle, że bez wzajemnych jeszcze urazów. Urazy też pojawią się wcześniej.

Litwy bynajmniej Korona nie wchłonęła. I Litwa nie została jej podporządkowana. Zachowała cały system odrębnych, równoległych urzędów najwyższych i własne, akurat sprawiedliwsze prawo – bo Statut Litewski nie dzielił ofiar zabójstw wedle stanów, zabójca wedle Statutu Litewskiego odpowiadał tak samo, czy z jego ręki padł chłop, czy szlachcic. Zachowała Litwa odrębny skarb i odrębne wojsko. Tak czy siak, zmienny romans dwóch państw zakończył się małżeństwem. Nieco wymuszonym sytuacją i nieco z rozsądku.

Niestety, dalszy ciąg opowieści o nim nie da się skwitować tradycyjnym – „żyli potem długo i szczęśliwie". Powtarza się do dziś pytanie, czy był to Błąd Obojga Narodów, czy wzór dla Unii Europejskiej. Według jednych interpretacji ten związek spolonizował szlachtę litewską - ale w innym wariancie historii, gdyby elita Litwy została przy języku Rusi, uległaby po prostu zruszczeniu, cała, włącznie z ludem, dostępność pisma we własnym języku uwiodłaby i lud. Nie było tak daleko od tego - Trzeci Statut Litewski wydrukowano w 1588 r. w języku Rusi; po polsku dopiero w roku 1614, po litewsku - nigdy... Wedle innych opinii - wykoleją demokrację szlachecką wpływy spolonizowanych, samowładnych panów olbrzymich włości na ziemiach ruskich, panów, kierujących się wyłącznie swoimi interesami i ambicjami.

Niemniej ci, którzy doprowadzili do Unii Lubelskiej, potrafili wtedy narzucić grę takim właśnie destrukcyjnym siłom - wykluczyli wszelkie tytuły, dziesiątkom kniaziów ruskich pozwolili zachować ich tytuły, ale ich status bez względu na tytulaturę sprowadzili demonstracyjnie do równości ze zwykłą szlachtą. Po śmierci Zygmunta Augusta, podczas bezkrólewia, obrócą sejm konwokacyjny, czyli zwołany dla ogłoszenia elekcji, w sławną Konfederację Warszawską. Uchwalą, do czego tu wrócimy, wiekopomną deklarację tolerancji, nie tylko wykluczającą prześladowania, ale i potępiającą konflikty religijne.

Wolną elekcję, deklarowaną jeszcze przez Zygmunta Starego - zwołali oni, którzy podpisali Konfederację Warszawską. Króla teraz miała wybierać cała szlachta, *viritim*, „każdy poszczególnie", czyli kto mógł przyjechać. Poseł francuski podziwiał dyscyplinę kilkudziesięciu tysięcy przybyłych ze swymi ludźmi szlachty, podziwiał rozsądek i organizację wyborów. Wiązał to z ustrojem Królestwa: „Rząd państwa polskiego jest czymś w rodzaju republiki, w której królowie nie mogą obalić tego, co raz zgodnie przez stany zostało uchwalone" (tłum. Jan Gintel).

Śmierć idealnego króla znowu sprawdziła to państwo - jak śmierć Kazimierza Wielkiego. Można oczywiście zaryzykować diagnozę, że - oczytana we Fryczu i Goślickim - szlachta starała się chronić przed zaburzeniami istniejący stan rzeczy, *status quo*, czyli swoje interesy. Możliwe. Ale trzeba docenić, że to robiła mądrze. Choć bogactwo nie zawsze sprzyja mądrości i dyscyplinie.

Do pełnego zachwytu nie ma podstaw. Chłopi i mieszczanie pozostają warstwami niższymi, Żydzi nadal warstwą w moim rozumieniu „dwa i pół", bo między szlachtą i duchowieństwem a stanami niższymi. Wprawdzie nie traktuje się stanów niższych pogardliwie, co przyjdzie dopiero z rozwojem „sarmatyzmu", ale nie mają praw obywateli, nie są *cives* tego państwa. Są tu chłopi w pozycji lepszej niż gdziekolwiek indziej – akceptują więc to państwo. Gotowi są go nawet bronić. Nikt nie przebadał, czy widzieli siebie dawnymi, w pełni wolnymi ludźmi, partnerami szlachty „herbowej", czy w ogóle pamiętali wolność. Od Kochanowskiego dowiadujemy się, jak zepsuły się stosunki między chłopami a panami, którzy dawniej pili ze sobą. Swoje herby, dumne i ważne, mają i miasta. Patrycjusze tych miast są bogatsi od większości szlachty, nie brakuje bogatych chłopów. Którzy mówią i po łacinie... Na Mazowszu drobna szlachta pożycza od swoich chłopów pieniądze. Wiele mamy jeszcze do wyjaśnienia – skoro niektórzy historycy twierdzą, że polscy chłopi zostali Polakami dopiero w XIX wieku. To sąd, moim zdaniem, wręcz absurdalny – duchowieństwo przez całe stulecia przemawiało do chłopów po polsku, uczyło ich Ojczyzny i kultu króla jako jej symbolu, to właśnie wiek XIX zrodzi nie poczucie narodowe, ale głębszą świadomość przedziału między wyższymi i niższymi warstwami społeczeństwa polskiego. Jeśli ktoś ulega pokusie rozgłosu za wszelką cenę, epatując publiczność bzdurnymi rewelacjami, nie przynosi to chwały nauce.

24. ZIEMIA OBIECANA MICHAŁA Z MONTAIGNE

Do tej Ziemi Obiecanej pokoju i tolerancji wybierał się z końcem XVI wieku Michał z Montaigne, jeden z najciekawszych umysłów historii literatury, wielki autor „Essays", szkiców, które przetłumaczył jako „Próby" wielki Tadeusz Boy-Żeleński.

W latach 1572/3 to właśnie znajomy Michała z Montaigne, wspomniany już, bajecznie inteligentny dyplomata i polityk, biskup Jean de Montluc, negocjował w Warszawie kandydaturę francuskiego Walezjusza na tron polski. Dyktował potem we Francji swą o tym relację, gdy już nie musiał nikogo w Polsce kokietować. Czytał niewątpliwie tę opowieść pan Michał z Montaigne. Na oczach Montluca Konfederacja Warszawska, wskazawszy, co „po inszych królestwach jaśnie widzimy", uznała, że państwo trzeba przede wszystkim uchronić przed rozłamem na tle religijnym. Żadnego rozlewu krwi, żadnych prześladowań - mierziła wszystkich francuska rzeź hugonotów podczas nocy św. Bartłomieja w sierpniu 1572 r. (Montluc przekonał polskich wyborców, że francuski kandydat na tron polski nie brał w tym udziału). Wracało wspomnienie krwawych wojen religijnych w Niemczech i Czechach. Wniosek był jednoznaczny... Ustanowiono też wspólną ochronę granic kraju i wspólną ochronę jego całości, wykluczono rozłamowe angażowanie władców na własną rękę, a wszelkie przestępstwa w czasie bezkrólewia miano karać podwójnie. Montluc - mimo różnorakich wykrętów - podpisał w imieniu swego kandydata, Henryka de Valois, zobowiązania, nazwane w Polsce „artykułami henrykowskimi", w tym akceptację Konfederacji Warszawskiej..

Wbrew nonsensom, powielanym w niektórych nawet podręcznikach szkolnych (!), nie uchwalili Konfederacji Warszawskiej innowiercy. W opracowaniu deklaracji uczestniczył, owszem, arianin, Mikołaj Sienicki, ale tak w izbie poselskiej, jak w senacie przeważała szlachta katolickiego wyznania. Jej większość ustanowiła tolerancję. Katolicy, poseł Jan Zamoyski i senator Jan Herburt, przywodzili potem polskiej delegacji, która pojechała do Francji zaprosić francuskiego kandydata na tron polski. Jeszcze we Francji musiał on przysiąc, że potwierdzi ustawę Konfederacji. Usłyszał słowa, streszczone zwrotem – *nisi id feceris, rex in Polonia non eris*, „jeśli tego nie zrobisz, królem w Polsce nie będziesz" (autentyczna wymiana zdań była dłuższa). I Henryk de Valois (zwany u nas Walezym) przysiągł. Kręcono potem, że nie utwierdził przysięgi żadnym dokumentem, ale złożyli ją razem z bratem, królem Francji, w kościele, czego nie można było podać w wątpliwość.

W Krakowie nie czuł się dostatecznie królem. Kiedy śmierć brata, króla Francji, otworzyła przed nim szansę na tron francuski, ruszył, nocą!, do domu. Nie „uciekł". Kraków kurierem uprzedził Wiedeń i Wiedeń przyjął godnie „króla Polski w podróży", podejmowano go też uroczyście w Wenecji – gdzie zdarzył mu się mały romans z panią lekkiego prowadzenia, piszącą poezje. Nie spieszył się i nie zrezygnował bynajmniej z korony polskiej. To stany polskie, skoro wyjechał bez porozumienia z nimi, uznały tron za opuszczony. Nie szukały bynajmniej zwady z tronem. Stefanowi Batoremu, następcy Walezego, dzielnemu węgierskiemu księciu Siedmiogrodu z południowych, dziś rumuńskich Karpat, senat Rzeczypospolitej sam da zgodę na wojnę z Iwanem Groźnym, a sejm uchwali na ten cel podatki.

Sądziłem czas długi, że zapowiedź przyszłych niebezpieczeństw pojawiła się już wtedy, w drugiej połowie XVI wieku... Ulegałem historiozofii, która narzucała wiedzy XVI wieku wiedzę dwa stulecia późniejszą. To wzór Rzeczypospolitej był wtedy „niebezpieczny" dla sąsiadów. Nie odwrotnie. Czytała Europa Frycza Modrzewskiego, czytano „Grimaliusa",

tłumaczono ich dzieła, dwory bały się bardziej tych książek i wzorów, które te książki niosły, niż potencjalnych konfliktów wojskowych, zresztą Rzeczpospolita Obojga Narodów pod ręką nowego króla poradziła sobie z przeciwnikiem wojennie najgroźniejszym i najbardziej wojną zainteresowanym.

Po Inflanty sięgał - car Moskwy, Iwan Groźny. Władza straszliwa. Oprycznicy, gwardia ochronna Iwana, z miotłami i psimi głowami wyszytymi na czaprakach swych koni, przez siedem lat siali strach i śmierć po ziemiach Rosji, podległych Moskwie. Przesiedlali bojarów, konfiskowali ich dobra, a pasjonowało ich zabijać ludzi i męczyć, kochali rabować, niszczyć i palić. Spisek bojarów pod wodzą kniaziów Szujskich, co łatwo zrozumieć, przemyśliwał o włączeniu Rosji do Rzeczypospolitej na prawach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie wiemy, czy Iwan to wykrył, czy na wszelki wypadek mordował wszystkich, których mógł podejrzewać. W każdym razie wszystkich podejrzewanych car w roku 1567 wyrżnął ostatecznie - rękami opryczników. W rok po Unii Lubelskiej Iwan Groźny, „zbierając ziemie ruskie", unicestwił ostatecznie Nowogród Wielki. Nie była to już wolna republika kupiecka i nie mogła Iwanowi zagrozić, ale pamięć wolności skaziła mózgi i potomkom tych, których Iwan Srogi przed stu laty przesiedlił tu z Nizowia nad Wołgą. Sześć podobno tygodni oprycznicy Iwana Groźnego topili pod lodem rzeki Wołchowa po tysiąc ludzi dziennie, bez różnicy płci i wieku - tych, co się uchowali z wcześniejszej masakry. Po siedmiu latach Iwan wyrżnie i tę swoją gwardię - już niepotrzebną, a może i groźną dla samego cara.

Rzeczpospolita, zadowolona z siebie, nie interweniowała. Niewiele wiedziała, chociaż kniaź Andriej Kurbskij, uciekłszy w 1564 r., opowiadał, co się w Rosji dzieje. Spisał to nawet. Mimo to Jan Kochanowski podczas bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta wyobrażał sobie, że Iwana, zaproszonego na tron polski, wychowa się w Polsce i przemieni w mądrego, dobrego króla jak niegdyś Jagiełłę! Rosja kusiła szlachtę bardziej nawet niż ukrainne kresy południowo-wschodnie, skąd pędzono przez Ruś i Polskę coraz liczebniejsze stada wołów na zachód. Iwan jako król Polski otworzyłby szlachcie jej własną Amerykę - bezkresne państwo, którego bojarzy marzyli o polskim szlachectwie. Hiszpania miała Nowy Świat za oceanem, Ameryką polskiej szlachty byłaby Rosja. Znacznie bliżej. Tak to rozumiano. Dość powszechnie. Jeżeli tak mógł myśleć Kochanowski, człowiek wrażliwy, najwyższej inteligencji i zdolny do wysublimowanych przemyśleń, car miał niemałe szanse. Bo rozum nie zastępuje brakujących informacji.

Iwan Groźny koronował się był „carem", cesarzem, wzorem Bizancjum. Swoją Moskwę - gród z ugrofińskim imieniem, od „czarnego kamienia", podniósł do pozycji „trzeciego Rzymu" po Rzymie i Bizancjum, „trzeciego Rzymu", czyli mistycznej stolicy wiary prawdziwej, prawosławia. Okrucieństwo nie wzięło się tylko z charakteru Iwana, choć wychował się wśród spisków, zdrad i skrytobójstw. Miał terror za właściwy sposób uprawiania i utrwalania władzy. Prawda, że i w cywilizowanej Europie szczytnego Renesansu nikt się nie wstydził przelewu krwi - Katarzyna Medycejska, francuska królowa-matka trzech kolejnych królów, zorganizowała paryską rzeź hugonotów podczas słynnej nocy św. Bartłomieja i wysłała potem odciętą głowę przywódcy hugonotów, admirała Coligny'ego, do Rzymu... w prezencie papieżowi. Papież zarządził z tej okazji dziękczynną procesję, z triumfalnym biciem w dzwony. Porażające... Iwan mordował bez bicia w dzwony.

Do dziś niektórzy historycy rosyjscy podnoszą jego zasługi, „jednoczył" bowiem ziemie Rusi. Tak naprawdę wyniszczył własne ziemie. Ponad osiemdziesiąt procent gruntów ornych, gdy umierał, leżało odłogiem i dopiero po blisko stu latach (!) wróciły na nie

uprawy… Zniszczył już nie tak potężną, a raczej resztki potężnej republiki miejskiej Nowogrodu Wielkiego oraz innych pochodnych republik, Pskowa i Wiatki, zniszczył zaś przede wszystkim do szczętu wielKOR-uską myśl demokratyczną. Nowogrodu Wielkiego nikt nie będzie pamiętał. Nawet jego pamięć bowiem była wrogiem cara.

Car po nieudanej dlań elekcji w Rzeczpospolitej coraz wyraźniej szykował się do wojny z nią. Czuł się po rozprawie z Nowogrodem coraz pewniej. Zbroił się – już wcześniej. Dlatego flota Zygmunta Augusta, jak po kontrolach rekwirowała przewozy dla Zakonu Kawalerów Mieczowych, tak potem - zaopatrzenie dla Moskwy. Kupcy gdańscy ponieśli straty. Gdańsk zemścił się za nie. Ściął za burdę uliczną 11 marynarzy i czeladzi floty króla, w tym dwóch nastolatków, ich głowy demonstracyjnie wbił na pale. Pojechał biskup Karnkowski. Spacyfikował Gdańsk bez użycia broni, statutami ograniczył jego samodzielność, burgrabia gdański z członkami centumwiratu na klęczkach przepraszali króla – uświadomiwszy sobie, że za śmierć przyjść może zapłacić śmiercią.

Potem Gdańsk na odmianę opowiedział się za tronem dla Habsburga, nie uznał wyboru - Batorego. Ten bez wahania ruszył z siłą zbrojną, handel wiślany skierował do Elbląga. Patrycjat gdański pojął, że lepiej zarabiać niż wojować i dać głowy katu za bunt. Jeden z historyków uznał to, że król nie zdobywał samego Gdańska, „prestiżową porażką króla", ale za tę „porażkę" Gdańsk zapłacił królowi 70 tys. złotych polskich.

Jeszcze w latach czterdziestych XVI wieku zamawiał w Gdańsku ogromne karawele angielski Henryk VIII. Teraz okrętownictwo tu zamrze. Gdańszczanie go dla dobrobytu nie potrzebowali, bogactwo rosło samo, bo dostawcy zboża, potażu i wańczosów niczego bez ich pośrednictwa nie sprzedawali, handel nie wymagał od Gdańszczan żadnego już wysiłku. Tereny stoczniowe obracali, jak pisałem, w targi i składowiska. Transport morski przejmą prawie całkowicie - żeglarze Niderlandów.

Niderlandy, w większości protestanckie, zrzucą niedługo jarzmo hiszpańskiej monarchii, która innowierców bez litości wieszała, ścinała i krzyżowała. „Gezowie" (od francuskiego „gueux" – żebracy) lada chwila ruszą do walki. Ale żeglarze Antwerpii i Amsterdamu cały czas pływają do Gdańska. Coraz liczniej. Kiedy Hiszpania zniszczy heretycką Antwerpię, to Amsterdam nauczy się gromadzić zapasy zboża - na wypadek nieurodzaju w krajach swoich klientów. Jeszcze trochę, a od tych zapasów będą zależały i Francja, i Hiszpania, nie mówiąc o pobliskiej Walonii… To ich nie dokarmionymi rynkami „gezowie" się wzbogacą.

Wedle dawnych stereotypów szlachta umiała docenić mocnego człowieka, który nie chciał być „królem malowanym". Ale w pełni doceniała przedtem Zygmunta Augusta, to nasi dawni historycy go nie doceniali. Batory zaś był królem egzekucjonistów; jego kanclerzem został - Jan Zamoyski. I wtedy właśnie zwolniono urząd królewski od roli sądu najwyższego, apelacyjnego – w 1578 r. powołano dwa trybunały koronne, jeden dla Wielkopolski w Piotrkowie, który pozostanie na zawsze dla Polski Piotrkowem Trybunalskim, drugi dla Małopolski w Lublinie, oraz trybunał litewski. Poza stolicami, poza miejscami pobytu dworu. Niczego nie wymuszano, to król uzgodnił projekt z sejmującą szlachtą, ku obopólnemu zadowoleniu. Dla króla zastrzeżono tylko wyroki śmierci. Król też oczywiście nadawał szlachectwo. Zamoyski mógł tylko jak każdy inny szlachcic, jak bracia Łascy, przyjąć tych czy innych dzielnych plebejuszy do herbu, za „poczciwe służby dla kraju", jak to pisał Gloger. Batory uszlachcał drukarzy i geometrów.

Podczas wojny moskiewskiej stawiał dla Batorego mosty na Dźwinie Żyd – budowniczy, Mendel Izakowicz ze swymi cieślami, stolarzami i ślusarzami. Nikt jemu, fachowcowi, odzianemu jak wszyscy, nie miał za złe jego religii. Ale też pisał legat papieski Commendone w roku 1565: „Na tych obszarach spotyka się wielkie masy Żydów, którymi się aż tak nie pogardza jak gdzie indziej. Nie żyją w stanie poniżenia i nie ogranicza się ich do nikczemnych zajęć. Mają ziemię, trudnią się handlem i studiują medycynę oraz astronomię. Posiadają wielkie bogactwa i nie dość, że zalicza się ich do porządnych ludzi, ale także sprawują nawet niekiedy władzę nad sobą. Nie noszą żadnych wyróżniających ich oznak i pozwala się im nawet nosić broń". (tłum. C. Jenne). Ówcześni zamożni Żydzi nie różnili się od szlachty ani strojami ani fryzurami, zachowana rycina z portretem „lichwiarza" to portret majętnego szlachcica. Za Batorego Żydzi polscy zaczęli odbywać regularne swoje własne sejmy, zwane „waadami", złożone z posłów kahałów i z rabinów. Ustalały one prawa i przejęły m.in. z rąk „seniorów", mianowanych przez króla, rozdział obciążeń podatkowych. Dzięki czemu królewskie wpływy z podatków - wzrosły...

Batory sprawnie kierował władzą wykonawczą państwa. Świetny organizator, zreformował wojsko, tworząc piesze, zawodowe już formacje z „wybranych" chłopów, „wybranieckie". Zarządzanie królewskimi żupami solnymi powierzył znanemu już z talentu organizacji w interesach, obrotnemu Włochowi z Krakowa, szlachcicowi już polskiemu, Prosperowi Prowanie. Zaraz w pierwszym roku podwoił Prowana dochody króla z żup, bez zwiększenia wydobycia! Doszedłem swego czasu, jak mu się to udało - Prowana kazał skupować rum solny, wynoszony przez górników, a potem uruchomił całą, szeroko rozgałęzioną sieć warzelni po całej Polsce. Słowem, rozwinął zbyt.

To Prowana wcześniej dla Zygmunta Augusta uruchomił był w 1558 roku pierwszą stałą wymianę pocztową między Polską a Wenecją. Zygmunt August chciał mieć łączność z centrum informacji, gdzie zbiegały się wiadomości z całego świata – liczył na firmę Taxisów. Nie ma w encyklopediach, o dziwo, tej włoskiej firmy pionierów poczty, a więc pionierów nowożytnej cywilizacji. Już w XV wieku zastąpiła ona królewskich kurierów i obsługiwała poczty królewskie, rozstawnymi końmi wożąc korespondencję i przesyłki od Neapolu i Rzymu po Wiedeń, Niderlandy i Hamburg. Podjął się Prowana przedsięwzięcia trudnego niebywale – król oczekiwał wiadomości dwa razy w miesiącu, ta poczta miała więc na komunikację między Krakowem i Wenecją, tam i z powrotem, dwa tygodnie, czyli, ni mniej ni więcej, sto kilkadziesiąt kilometrów jazdy na dobę, z koniecznymi po drodze stacjami, z wymianą koni co najmniej trzy razy w ciągu doby, i to bardzo mocnych koni! Król potem przekazał zadanie Taxisom. By korzystać z ich wiadomości bezpośrednio, drukowano już w Niderlandach pierwsze od czasu do czasu gazety! W Polsce Taxisowie zawiedli, oddał więc król w 1569 r. tę polską pocztę innym, równie sprawnym, co się okaże, krakowskim kupcom, „szlachcicowi florenckiemu", Sebastianowi Montelupiemu i jego siostrzeńcowi Waleremu – krakowscy Montelupi fortunę zbijali na handlu artykułami luksusowymi, w tym i winami, nie mogli więc uzyskać indygenatu, polskiego szlachectwa. Stefan Batory kontrakt w roku 1583 przedłużył. Zygmunt III, czego mu nikt nie pamięta, zorganizował już z Montelupimi cały system pocztowy dla Korony i Litwy, główne miasta co tydzień odbierały listy i adresowane wiadomości. W połowie XVII wieku kolejny Montelupi wycofa się z interesu i zostanie uszlachcony jako Wilczogórski. Sieć będzie funkcjonowała jednak aż po rok 1702, kiedy wojna „szwedzka" prawie ją zniszczy...

Z Rosji Iwana Groźnego uciekali bojarzy i drukarze. Wojnę z nim akceptowali wszyscy. Jeśli wolności szlachty Rzeczpospolitej były wyzwaniem dla Iwana, którego na dobitek Polacy nie raczyli tytułować „carem", to Iwan wzajem był wyzwaniem dla Rzeczpospolitej -

wtargnął na Inflanty. Iwan wiedział, że szlachta polska Inflant nie chciała, by nie płacić na ich obronę. Wyzwana jednak - uchwaliła podatki.

Batory, fachowiec wojny, brał kolejne twierdze, doszedł aż pod Psków - i nie jest jasne, czy nie przerwał oblężenia z braku pieniędzy na opłacenie swej dwudziestotysięcznej armii, bo zabrakło mu ich naprawdę. Być może uratował Iwana dyplomata papieski, jezuita Antonio Possevino. Possevino roił sobie, a car go w tym zręcznie umacniał, że unia z prawosławiem da wspólną wojnę przeciw Turcji. Zawarto pokój. Rzeczpospolita tylu narodów objęła kolejne, rdzennie już ruskie tereny, Połock z jego ziemią. W Inflantach, „polskich", ustanowiono trzy województwa - w Dorpacie, Wenden i Parnawie. Dorpat wszedł w dobra „stołowe" króla. Łotewskich i estońskich chłopów nikt nie pytał, ale w dobrach królewskich miało przynajmniej być i było im lżej, a bezpieczniej.

Batory potrzebował poparcia papiestwa. Marzył, co zrozumiałe, by uwolnić Węgry od Turków. Wymagało to koalicji państw chrześcijańskich - Lepanto, niedawne wielkie ich zwycięstwo nad flotą turecką dowiodło, że koalicja taka jest możliwa... Teraz robiła się niezbędna: Turcja Osmanów w swej ekspansji zagrozi także Królestwu Obojga Narodów.

Ukraina, nowe źródło bogactw, nęciła - i wzbierała napięciami. Przysparzali ich wielcy panowie ruscy i - mnożący się Kozacy. Już w XV wieku na „dzikie pola", w pustki stepowe dolnego Naddnieprza, uciekali od swych panów chłopi z Wołynia, Podola, Ukrainy Bracławskiej i Kijowskiej. W połowie XVI wieku Dymitr Wiśniowiecki, ich wódz, „ataman" z tatarska, ogrodził zasiekami jedną z wysp rzecznych za porohami Dniepru, tworząc tam Sicz Zaporoską, z wielkimi chatami, „kureniami" (słowo tatarskie, jak i wojenne „watahy"). Byli wolni - więc i dumni. Jak szlachta polska. Od lat już zbójowali. Nadal spływali swymi lekkimi łodziami, „czajkami", na morze Czarne, napadali i rabowali Krym Tatarów, potem lądowali na coraz to odleglejszych ziemiach, aż po rdzenną Turcję za morzem...

Najmowali się Kozacy feudałom ziem ruskich; od roku zaś 1572 część z nich, najpierw grupa trzystu, potem i więcej, weszła w płatną służbę Rzeczypospolitej jako tzw. Kozacy rejestrowi. Pięciuset ich poszło z Batorym na wojnę z Moskwą i sprawiało się dzielnie. Ale Rzeczpospolita brała tym samym odpowiedzialność za nich - wobec Turcji, którą najeżdżali.

Batory nie miał nic przeciw temu. Osmanowie zaś byli coraz bliżej. Wiśniowieckiego, gdy wpadł w ich ręce, zamęczyli - jak z weneckiego dowódcy zdobytej Famagusty na Cyprze zdarli zeń żywcem skórę.

Kościół mobilizował katolickie kraje do walki z Osmanami, ale sobór trydencki - dopingował je głównie do walki z reformacją. Kontrreformacja, uprzedźmy tok dziejów, zwycięży - zablokuje rozwój Europy katolickiej na więcej niż dwieście lat. Awangardę kontrreformacji, jezuitów, sprowadził pierwszy do Polski, do Braniewa w swym biskupstwie, w 1564 r. kardynał Hozjusz. Mówi się o nich z reguły źle. W XVII wieku raziła Pascala, słynnego filozofa, matematyka i pisarza, ich „droga ułatwiona" do Boga, niedopuszczalna w oczach rygorysty wyrozumiałość wobec grzechu! W Polsce okazywali tę wyrozumiałość grzechom szlachty. Ale w Kaliszu założyli - obserwatorium astronomiczne.

Mam z nimi pewne rodzinne związki: został wtedy jezuitą pierwszy w mojej rodzinie Stefan Bratkowski (Stefan widać na cześć króla, protektora jezuitów), odpychający fanatyk jak wówczas ogół jego zakonu. Potem przez 300 lat podobno kolejni Stefanowie

Bratkowscy zostawali jezuitami, aż zakon z wiekami się zmienił i dwaj ostatni moi zakonni imiennicy dorobili się przynajmniej pamiątkowych tablic na ścianach kościołów w Krakowie i Poznaniu za ofiarną działalność społeczną – co mi poprawiło historyczny humor...

Król nie umiał po polsku i porozumiewał się z otoczeniem tylko po łacinie. Jezuici uważali go za swego dobroczyńcę. Ale słuszną wiarę krzewić miały jednak nauka i dobre przykłady, nie ogień i żelazo. Skarcił król biskupa wileńskiego, akurat - Radziwiłła, palącego heretyckie książki, i potępił młodzież tamtejszego jezuickiego kolegium za napad na pogrzeb kalwiński. Szlachta, zwłaszcza protestancka i prawosławna, domagała się karania „tumultów". I karano je. Batory zaś nie ukrywał sympatii do bliskich sobie ludzi innego wyznania. Kiedy zmarł węgierski arianin, Kasper Bekiesz, zasłużony w kampanii gdańskiej, zaś w oblężeniu Połocka zginął inny węgierski arianin, Wadasz, Batory kazał pogrześć obu na szczycie wzgórza pod Wilnem. Postawił im kilkunastometrowy pomnik! Poinformowali mnie panowie, którzy rozkopali ten grób, wśród nich potomek samego Wadasza, że znaleźli tam tylko jedno ciało. Nie czuję się kompetentny, by wyrokować. W każdym razie współczesne źródła mówią o takich sympatiach króla.

To nie była kwestia charakteru. Następca Batorego, sam religijnie fanatyczny, Zygmunt III Waza, syn Jagiellonki, tolerował protestantów na własnym dworze – przymówki prymasa o to kwitował wzruszeniem ramion, sam siostrę miał luterankę. Dysydenci bywali w domach biskupów. Niemniej uczniowie jezuitów zrujnowali w Poznaniu zbór braci czeskich, kaznodzieja jezuicki otwarcie tam wzywał do palenia świątyń heretyków - i rzeczywiście w 1605 r. tłum jedną podpalił. Rok później - znowu. Nikt, na szczęście, nie zginął, bo to by kosztowało głowy, ale wielkopolscy posłowie zażądali śledztwa, jezuitów atakowały dziesiątki szlacheckich pism polemicznych. Sama szlachta, słowem, pilnowała tolerancji, król Zygmunt III kazał magistratowi krakowskiemu skonfiskować książkę, podburzającą przeciw Żydom. Tyle że w Krakowie przez cały wiek XVII będą się powtarzały ataki podburzanej właśnie w kościołach młodzieży na innowierców i Żydów!

Jezuicką kontrreformację, oddajmy, wspomagali istni mistrzowie słowa. Fanatyczny Jakub Wujek gotów był, jak deklarował, „heretyków" topić, palić lub wieszać - co mu zapomniano, bo nigdy nie było mu dane nikogo utopić, spalić ani powiesić. Wsławił go za to przekład Biblii, wspaniała polszczyzna, bogactwo i uroda języka; do dziś wielu nas woli jego Biblię od nowych, dokładnych, wzorowych tłumaczeń.

Drugi taki jezuita, ojciec Piotr Skarga, prowadził w Krakowie dyskursy teologiczne z „ministrami" protestanckimi, w domu właśnie Prowany, arianina. Świetnie pisane Skargi „Żywoty świętych" czytano blisko dwa wieki. Nie ma natomiast żadnego śladu, by szlachta czytała „Kazania sejmowe", równie świetnej polszczyzny. Gdyby czytała, zadowolona z państwa i z siebie, nie przejęłaby się specjalnie jezuickimi strachami... Gromił ją Skarga za bukoliczny tryb życia, za rosnącą niechęć i do wojaczki, i do podatków na cele wojenne, z zasadną pointą – „na przyszłe wojny i niepokoje oka nie macie". Gromił wyzysk i niesprawiedliwość wobec chłopów. No i ostrzegał, że upadnie państwo, gdzie „duchowny stan poniżyć i zniszczyć, a heretycki abo ślachecki na górze postawić usiłujemy" – no bo to innowiercy przywodzili szlacheckim sejmom! „Będziecie (...) bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, których popychać nogami, tam, gdzie was pierwej ważono, będą" - w XIX wieku, odkrywszy Skargę, wyniesiono go do miary proroka. Ale wszystkie te kary Boże miały spaść na Rzeczpospolitą za tolerancję wobec heretyków! Nie taił Skarga nienawiści do nich. Jego słowa, mówili dysydenci, „pachniały krwią"... Wstrzymałbym się więc z kultem Skargi jako

nauczyciela narodu. Nie uwielbiał go wcale Zygmunt III. Kiedy następny po Skardze kaznodzieja królewski, jezuita Maciej Bembus, zaatakował jednego z ulubieńców króla, akurat protestanta, król wyprosił z dworu jezuitę, nie protestanta. Prymas Karnkowski miał za złe królowi, że na mamkę małego Władysława, przyszłego Władysława IV, dobrano – Szkotkę z pochodzenia, panią de Forbes, protestantkę. Obawiał się, że z jej mlekiem wyssie protestantyzm i mały królewicz; nie zrezygnowano jednak z tych mlecznych piersi o niewłaściwych poglądach, a z synem pani de Forbes, Wilhelmem, będzie Władysław w bliskiej przyjaźni.

Nie pytała o wyznanie muzyka. Psalmów z muzyką Mikołaja Gomółki słuchano przez wieki i w kościołach, i w zborach protestanckich, i w cerkwiach. Tak samo słuchano - nawet, jeśli we mszy luterańskiej „offertoria" zniknęły - potężnych, wielochóralnych, z muzyką instrumentalną, „Offertoriów" i „Communiones" Mikołaja Zieleńskiego, wydanych w Wenecji w dwóch tomach w 1611 r., z pierwszymi utworami czysto już instrumentalnymi. Nie znamy dat jego urodzenia i śmierci. Wiemy o nim tyle, że w 1608 r. dyrygował kapelą u prymasa Polski w Łowiczu. Słuchano i owego „C.S.", Cypriana Bazylika, skromnego, pół-anonimowego - heretyka. O tych wielkich kompozytorach ciągle mało wiemy. Ale też odkrywaliśmy na nowo ich wielką muzykę dopiero w XX wieku. W ich czasach przynajmniej ta muzyka była za Konfederacją Warszawską.

Nawet cierpienia w Królestwie Obojga Narodów odczuwano właściwe dobrobytowi. Poezją egzystencjalnych smutków i melancholii objawił się młodszy znacznie od Kochanowskiego i zmarły wcześniej, inny wybitny poeta polski, Mikołaj Sęp Szarzyński. Protestant, wrócił do katolicyzmu. Dotknięty obsesją śmierci, w ogóle powątpiewał o sensie życia. Być może trawiła go choroba przesytu - w kraju, który otaczała powszechna zazdrość Europy.

Pan Michał z Montaigne nie zdążył wybrać się do Polski. Gdyby zamiast do Rzymu udał się do Polski, miałby jeszcze okazję zetknąć się ze smutkami dobrobytu.

25. LUXUM

Włoski jezuita-geograf z końca XVI wieku, Giovanni Botero, musiał sam odwiedzić Polskę tego czasu, bo w swojej *Relazioni unversali* przedstawił szlachtę Rzeczpospolitej z głębokim znawstwem. Wychwalał jej „animusz wyniosły", ale wytykał - niezmierzone marnotrawstwo. Na jadło, napoje i stroje wydaje ona więcej niż ma, przypraw zagranicznych zużywa tyle ile nikt na świecie. Wina, słodycze, korzenie, owoce płyną tu aż z Hiszpanii i Portugalii; wina - głównie z Węgier, a za beczkę małmazji z Krety płaci się tyle, co za porządną kuźnicę. Botero nie przesadzał, sam czytałem rachunki z tych czasów, nie chce się wprost wierzyć, by tyle dało się w ogóle wypić! Sprowadza się szaty i tkaniny jedwabne, złotogłów. Sprowadza się futra, własne puszcze już nie nastarczają, a poza tym są za drogie. Sukna zaś przychodzą aż z Islandii!

W trzydzieści lat później krajowy autor polski oceni, że „większego *luxum* żadna prowincja ani państwo nie zażywa jako naród polski". A jednocześnie - mało kto dysponuje gotówką...

O bogactwie najdokładniej informuje to samo zawsze źródło - eksport zboża przez Gdańsk: w pierwszym dziesięcioleciu XVII wieku zbliżał się on do 100 tysięcy łasztów rocznie, później przekroczył i tę granicę. Tony ziarna jechały nadal wozami z południowych Kresów do brzegów Bugu i płynęły dalej z Bugu Wisłą. W tym Eldorado uczestniczą wszyscy, z bogatymi chłopami włącznie. Pieniądze płyną do Królestwa niepowstrzymaną strugą.

I odpływają - za ogromny, zbytkowny import. Import powinien bogacić przynajmniej miasta, ale miasta nie wytrzymują konkurencji handlu samej szlachty ani narastającego rozwydrzenia i bezprawia. Szlachcie prawo zakazuje handlu pod grozą utraty szlachectwa, ale to szlachta sama, za pośrednictwem i z pomocą „swoich" Żydów, sprzedaje zagranicę zboże i bydło. Także - cudze: na cle jej ludzie bez zmrużenia powieki krzywoprzysięgają, że to woły z własnej obory. Od zagranicznych towarów, kupowanych na własne potrzeby, szlachcic nie płaci cła, na cle zatem przysięga, że wszystko, co wiozą jego ludzie, to dla niego, domu i majątku, nie do handlu. Dzierżawcy komór celnych łupią za to kupców-mieszczan jak mogą, podnoszą opłaty; mnożą się i cła wewnętrzne, bezprawne, słowem, handel mieszczański poza terenami takimi jak Wielkopolska traci grunt pod nogami.

Oni sami, szlachta, teraz naród osobny, pochodzą od „Sarmatów", wynalezionych przez XVI-wiecznych kronikarzy. Są stanem wyższym nad mieszczan i lud. Ale czują się nadal - rycerzami, niezbędnymi Rzeczypospolitej w przedmurzu chrześcijaństwa. Obejrzałem wiele szlacheckich nagrobków z tego czasu, przyglądałem się ułożonym do kamiennego snu rycerzom w zbrojach, o groźnych, marsowych minach. Wiedziałem, że w rzeczywistości to same kauzyperdy, zdolne w nieskończoność prawować się o drobną czasem sumkę. Niektórym sądzenie się wchodziło w nałóg. Jeśli coś można im zaliczyć na plus, to pewien cenny, intelektualny prymat światowy w zakresie - kredytu zabezpieczonego hipotecznie. Specjalną „konstytucją" sejmową uregulowała szlachta pierwszeństwo zapisów hipotecznych już w roku 1588!

Pożycza szlachta pieniądze między sobą, zastawia dobra, prowadzi najrozmaitsze interesy - i właśnie prawuje się namiętnie. Wypuszcza swoje włości w dzierżawę, by wziąć w zarząd czyjś wielki majątek i dusić jego dzierżawców. Nie brakuje wielkich cwaniaków, którzy od pozycji drobnych szlachetków dochodzą do magnackich fortun. Nie jeden Jan Zamoyski.

Zapoczątkował wielkość Lubomirskich wyrachowany, a bezpardonowy w egzekwowaniu należności, kolejny dzierżawca żup solnych, Sebastian. To do niego odnosiła się sól w późniejszym zwrocie Stefana Czarnieckiego „ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli, wyrosłem". Przygniatająca większość szlachty bogaci się po to, by móc jak najwięcej wydawać i - pokazać się. Obowiązuje rygor prestiżu bogactwa - „zastaw się, a postaw się".

Dwór szlachecki nie tylko rozszerza powinności odrobku na ziemi pańskiej, ale i wysysa pieniądze ze swoich chłopów. Nie raz, nie dwa sprzedaje im ziarno za podwójną cenę w stosunku do rynkowej, bo chłop odeń kupić musi. Dwór też chłopom pożycza - jeśli dotknie ich jakaś klęska, pożoga wojenna, przemarsze wojsk, zaraza, epidemia wśród bydła, pożar lub głód. Czasem dwór wspomaga i darmo, na ogół jednak chłop swój „kredyt" w zbożu, grochu, sianie czy rzepie, spłaca z lichwą. A chłop zaciąga też, niestety, długi na gorzałkę i piwo w karczmie, „arendowanej" przez dwór karczmarzowi.

Wieś ma jeszcze swoich ludzi bogatych. Przez cały wiek XVII gospodarowali ci zamożniejsi chłopi i na 70 hektarach! Wieś ma też ciągle jeszcze swój samorząd. Ograniczony, ale ma. Dwór chętnie przerzuca pomoc potrzebującym na gromadę wiejską i jej kasę gminną. Wieś ma jednak pieniędzy coraz mniej.

W XVII i XVIII wieku atakowano Żydów jako stan, który w symbiozie ze szlachtą bogaci się kosztem reszty społeczeństwa. Magnaci i biskupi powierzali swe pieniądze wielkim bankierom żydowskim; mniejszymi pieniędzmi szlacheckimi obracali pomniejsi żydowscy ludzie interesów, dzierżawcy karczem i zajazdów. Byli to razem poważni partnerzy: ich samorząd, „kahał", sądził, uczył, pomagał i - odpowiadał solidarnie za długi swych członków. Wierzyciel bankruta miał prawo skonfiskować towary w żydowskich sklepach i magazynach, a nawet - opieczętować synagogę i uwięzić starszych kahału. Stąd kolejny „waad" z początkiem XVII wieku zakazał brać kredyt poza swym kahałem bez „chazaki", pozwolenia starszych.

Pod koniec XVII wieku same kahały pod wodzą swej doświadczonej starszyzny staną się - bankami. Małych zaś handlarzy lokalna, własna jurysdykcja szlachecka będzie chroniła troskliwie – z początkiem XVIII wieku na Wołyniu (!) szlachcic da gardło za morderstwo rabunkowe na trzech Żydach. Szlachta wygna w XVII wieku arian, którzy opowiedzieli się za Szwedami. Pomysł wygnania Żydów, o ileż bardziej obcych religijnie, nikomu nie przyjdzie do głowy.

Stan żydowski umiał żyć skromnie i oszczędzać. Nie pił i nie szastał pieniędzmi. Bogacił się więc. Niestety, kraj nic z tego nie miał, bo Żydzi nie mogli inwestować w kraju. Ziemi nabywać nie było im teraz wolno, a każde widome bogactwo, przy jakiejkolwiek inwestycji w przemysł, w szerszą produkcję rzemieślniczą, wzbudziłoby natychmiast pokusę opodatkowania. W rezultacie jedyny żywioł, zdolny do akumulacji kapitału, lokował go... w Niderlandach. Tam, gdzie przy nadmiarze lokat oprocentowanie ich nie przekraczało w tej epoce dwóch i pół procent rocznie!

Przewagę w tym układzie stosunków zyskuje - magnateria. Demokracja szlachecka daje się stopniowo podporządkować oligarchii w państwie, którym dowoli manipulują najbogatsi.

Na razie nic nie zagraża wielkości i pokojowi. W roku 1596 ten pokój zyskał następny tytuł do chwały - spora część wiernych prawosławia pod wodzą swych „władyków", biskupów, zawarła ze światem katolickim słynną „unię brzeską", poddając się władzy Rzymu. Utrzymali oni całą swą obrzędowość i na Rusi język narodowy w liturgii. Będą -

Kościołem greko-katolickim. Katolicyzm w Polsce zaakceptował więc odrębność religijną, w wielu punktach dalej idącą niż protestantyzm!

Biskupi greko-katoliccy, liczyli, nie ukrywajmy, na krzesła w senacie Rzeczypospolitej. Jak i władycy prawosławni. W tym zawiedziono i jednych, i drugich. Bo i duchowieństwo katolickie myślało już wyłącznie o swoich interesach. Zmarnowano wielką szansę, greko-katoliccy i prawosławni biskupi w senacie zmieniliby geografię religijną Królestwa Obojga Narodów i jego obraz polityczny zarazem. Wyznawcy prawosławia pozostali w rezultacie wrodzy unii brzeskiej - mimo jej sukcesu. I nie nabrali poczucia związku z Rzeczpospolitą. Prawosławie pozostanie religią warstw niższych koronnej Rusi, zarodem poczucia odrębności – którą można było rozwinąć inaczej, robiąc Ruś kijowską trzecim partnerem w Królestwie Trojga Narodów. Spolszczeni panowie ruscy, a i polscy panowie majątków na Rusi, niczego nie rozumieli, a powinni byli przewidzieć to, co się stanie. Nie przewidzieli.

Po śmierci Batorego królem obrała szlachta 20-letniego syna Jagiellonki, wydanej za szwedzkiego Wazę. Imię dano mu po stryju Zygmuncie i został Zygmuntem III, a w roku 1592 i królem Szwecji. Stracił tron Szwecji w 1599 r. – on i katolicyzm. Przegrał wojnę z innym Wazą, stryjem protestantem, energicznym Karolem IX, księciem Sudermanii, i nie wiadomo, czy Zygmunt bardziej chciał odzyskać tron, czy przywrócić katolicyzm w Szwecji. Karol IX, władca wielkiej fantazji i rozmachu, jeszcze zanim przyjął tron w 1604 r., zaczął budować potęgę wojenną Szwecji. Oprze ją na własnej produkcji broni, sprowadziwszy przedsiębiorców i rzemieślników z Zachodu i „hamrów", kuźników, z Gdańska. To początek wielkiej wojennej historii Szwecji – w stuleciu, które cywilizacyjnie było stuleciem Niderlandów. Przez następne sto lat będzie Szwecja swoimi wojskami trzęsła Europą, od Westfalii po Ukrainę. Na razie, kiedy Zygmunt przekazał Polsce protestancką Estonię, wybuchło tam w proteście powstanie. Karol interweniował i próbował poza Estonią zająć także Inflanty, ale hetman Jan Karol Chodkiewicz, świetny dowódca, pobił go pod Kirchholmem w roku 1605. Estonię Karol utrzymał.

Zygmunt III stolicę przeniósł w 1596 r. z Krakowa do Warszawy - nie tylko po to, by mieć bliżej do Szwecji. To był centralny punkt państwa. Pozostanie Zygmunt w Warszawie na symbolicznej dla miasta kolumnie, ufundowanej przez jego syna... Chciał Zygmunt wzmocnić władzę króla w Polsce, ograniczyć uprawnienia szlacheckiej izby poselskiej - wsparli go „regaliści" z kręgu magnatów. Wzbudził opór, i to gwałtowny. Polska szlachecka szumiała. Po sejmie 1606 r. „popularyści" zjechali się na „rokosz" do Sandomierza. Przywodził mu wojewoda krakowski z łaski Zygmunta, Mikołaj Zebrzydowski, pobożny fundator Kalwarii Zebrzydowskiej. Już był zresztą w 1592 r. porzucił obóz króla. Hasła teraz podnoszono różne, a to, żeby król kosztu wojska nie przerzucał na szlachtę i jej chłopów, a to za ochroną tolerancji religijnej. Rokosz stanął zbrojnie, ale ze starcia pod Guzowem z wielkimi hetmanami, Żółkiewskim i Chodkiewiczem, więcej rokoszan uciekło, niż krwi przelało. Niczego nie zmieniono, a handel nie ucierpiał.

Dookoła - ciągłe piekło. Musimy tu wejść w historię innego kraju, ponieważ to nasze państwo ją przegrało. Z wielowiekowym konsekwencjami. Otóż Rosji od śmierci Iwana Groźnego w 1584 r. – jakby nie było. Zapanowała tam Wielka Smuta, któremu to pięknemu rosyjskiemu słowu celnie odpowiada nasz „zamęt". Rozkładało się państwo z ogromnymi już terytoriami, podbitymi przez Iwana – chanatem kazańskim, Astrachaniem i sporą częścią Syberii. Z początku nic nie zapowiadało katastrofy. Przy synu Iwana, fajtłapie Fiodorze, rządził praktycznie jego szwagier, Borys Godunow, obrotny,

sprawny, myślący. Dbał o spokój w kraju, układał pokojowe stosunki z Polską, powołał patriarchat moskiewski, niezależny od Konstantynopola, Szwedom odebrał w paroletniej wojnie kilka miast, budował nowe miasta i twierdze Po śmierci Fiodora w roku 1598 Sobór Ziemski wybrał go carem. Nadal wszystko rozwijało się sensownie. Tymczasem wcześniej, w roku 1591, zmarł drugi syn Iwana Groźnego mały Dymitr, a posądzono o tę śmierć – Godunowa. Samobójstwo polityczne popełnił jednak już sam – przywiązał chłopów do ziemi i wywołał bunty chłopskie. Ruszył tym Rosję w posadach. I wtedy magnaci polscy ziem ruskich wpadli na pomysł osadzenia na tronie moskiewskim – powolnego sobie „samozwańca", rzekomego Dymitra, fikcyjnego syna Iwana Groźnego, co to się niby cudem uratował od śmierci.

Wojewoda sandomierski, Mniszech, wsparł zbrojnie wyprawę na Moskwę, wyprawa, zbieranina wojaków zaprawnych, ale pozbawionych wszelkich zasad, pokonała Dymitra Szujskiego, dowodzącego wojskami Borysa Godunowa, i Dymitr przeszedł na stronę samozwańca; Mniszech da samozwańcowi swoją córkę Marynę za żonę, w 1605 r. w walce z Dymitrem Samozwańcem umrze na serce Borys Godunow. Polscy najeźdźcy szarogęsili się po Rosji bez opamiętania, budząc wściekłość i nienawiść, aż wywołali powstanie i powstańcy rosyjscy zabili pierwszego samozwańca, ukoronowanego już carem ze swą Maryną jako carycą. Walki będą się toczyły całe lata, zapamiętała Rosja zwłaszcza straszne oddziały lekkokonnych Aleksandra Lisowskiego, nie do pokonania, popisujących się dzikim okrucieństwem - co wiemy od angielskich najemników w służbie rosyjskiej. Kiedy w 1606 r. carem został Wasyl Szujski jako Wasyl IV, jego brat, Dymitr Szujski objął dowództwo jego armii. Niestety, nasi magnaci postanowili osadzić na tronie moskiewskim drugiego samozwańca. Pomyśleć: Szujscy poprzedniego pokolenia, potężni bojarzy, 30 lat wcześniej przemyśliwali o włączeniu Rosji do Rzeczpospolitej na zasadach takich jak Wielkie Księstwo Litewskie. Wszystkich domniemanych spiskowców, włącznie z Szujskimi, Iwan Groźny wtedy wymordował. Teraz wrogami Rzeczypospolitej zrobił Szujskich - Zygmunt III, polityk fatalny. Zdecydował się w 1609 r. na wojnę z Rosją cara Wasyla IV, jednego z Szujskich.

Hetman Stanisław Żółkiewski, znakomity zawodowiec wojny, zbił w 1610 r. pod Kłuszynem przeważające siły Szujskich, wziął całą ich rodzinę do niewoli. Kremla nie musiał zdobywać. Bojarzy moskiewscy poprosili go, by zajął Moskwę, dla ochrony stolicy przed następnym samozwańcem. Polska załoga siedziała na Kremlu dwa lata, opuściła go nie tyle oblężona, jak chce tradycja rosyjska, co wygłodzona, bo nie dostała z Polski żołdu (data dzienna wyjścia z Kremla pokrywała się z datą Rewolucji Październikowej w 1917 r., po rozpadzie ZSRR chciano tę rocznicę związać z „odzyskaniem" Kremla - aż ktoś przytomny w Moskwie popukał się palcem w czoło; zrobiono tę datę świętem zjednoczenia Rosji). Udręczona Rosja prosiła o polskiego królewicza na cara, składano po całej Rosji przysięgi na wierność 15-letniemu Władysławowi Zygmuntowiczowi, ale dalsze nieporozumienia po stronie polskiej - samemu Zygmuntowi zamarzył się tron cara! – obróciły te plany w niwecz... Nie dotrzymano bojarom rosyjskim żadnych obietnic Żółkiewskiego, które ten doświadczony polityk, szanujący honor i tradycje Moskwy, zaprzysiągł jej w powojennych rokowaniach 1610 r. Rosja Moskwy odrodziła się potem stopniowo sama - w pełnym, budowanym od ponad stu lat samodzierżawiu, teraz od 1613 r. pod władzą Michaiła Romanowa, a praktycznie - rządzącego nim ojca, patriarchy Filareta, czyli Fiodora Romanowa. Michaił nie miał już ambicji europeizowania Rosji, kontentował się odbudową jej potęgi wojennej. Tak Polska przegrała przyszłość Rosji.

W Polsce, na Litwie, na Rusi, w Prusach, w Inflantach nadal żyło się przynajmniej rozsądnie. Nie pod władzą bzdury. *Malleus maleficarum*, „Młot na czarownice",

koszmarne dzieło inkwizytorów niemieckich z XV wieku, wyszło po polsku dopiero w roku 1614. Tłumacz narzekał w przedmowie, że w Polsce sądy czarów nie karzą, bo tu się w czary nie wierzy, albo je lekceważy. Reszta Europy zaś, i katolicka, i protestancka, paliła wtedy kobiety za czary setkami... Nie bała się wyludnienia. Królestwo Obojga Narodów nie bało się kobiet i dbało o ręce do pracy. Ba, w roku 1637 w Krakowie ukazał się wykład... czarnoksięstwa, autor rzekomo uprawiał je od 37 lat! I nikt nie wziął tego serio. Pisali o czarach jezuici, ale sami widzieli w nich żenujące zabobony; zalecali oględność w dochodzeniu, żądali dowodów oczywistych, nie wymuszonych torturami. Z ich zaleceń możemy dedukować, że lęk przed zdolnościami czarownic przeważał wprawdzie nad zdrowym rozsądkiem, ale nie sięgano po tortury i prześladowanie kobiet – ze zdrowego rozsądku.

Bo rąk do pracy ciągle w Polsce brakuje. Na odludne, podmokłe grunty z kiepskimi lasami nad Notecią przybędą w 1597 r. osadnicy, umiejący je osuszyć - z Niderlandów. Kościół w Nowych Dworach ma piękne witraże z 1615 roku, sygnowane „Dreves (czyli Andrzej) Kreuger". Poznań od 1619 r. pod naciskiem jezuitów udzielał praw miejskich wyłącznie katolikom, ale zniósł to ograniczenie w 1634 r. (tylko modlili się protestanci obok, w Swarzędzu). Kieleckie zagłębie miedzi, odkrytej dzięki Janowi Niedźwiedziowi (nie ma pomnika w Kielcach!), magnetyzuje Sasów i polskich Włochów. Po kupcu włoskim z Warszawy, Janottim, inwestującym w tym zagłębiu, mamy piękne polskie nazwisko Dzianotów. Przybędą i Szkoci, dwaj Samsonowie założą nową kuźnię nad Bobrzą. Zostaną, rzecz jasna, w Polsce. Szkotów napływały dziesiątki, znalazłem trzysta rodzin szkockich przyjętych wówczas do prawa miejskiego Poznania. Gdy w roku 1707 Anglia będzie unią parlamentarną łączyć się ze Szkocją, niechętni tej unii Anglicy będą ostrzegać, że jak się otworzy granice, to Szkoci zaleją Anglię tak jak zaleli Polskę! Przodek pani profesor Butler z Uniwersytetu Warszawskiego, Szkot, był w 1621 r. kapitanem roty cudzoziemskiej pod Chocimiem...

Polakom nigdzie nie jest wtedy za daleko: jezuita przyrodnik, Michał Boym, spędzi parę lat w Chinach jako misjonarz, sporządzi ich opis, włącznie z ich botaniką, i atlas geograficzny, będzie w Europie próbował uzyskać pomoc dla Chin w walce z Mandżurami, po czym – wróci do Chin, by tam umrzeć... Ali Bej, czyli Wojciech Bobowski, mówiący 18 językami, opisze swoją podróż do Mekki (!), a Sefer Muratowicz zrelacjonuje swoje poselstwo do... Persji. Królestwo opuszcza się niekiedy - przymusowo. Krzysztof Arciszewski z Rogalina, po zabójstwie (w sporze majątkowym, oczywista) uciekł z kraju przed szlachecką sprawiedliwością - do Niderlandów. Tam zasłynął jako wojak. Awansował w tej służbie, aż jako admirał i generał zdobywał dla Niderlandów Brazylię; wrócić mógł po dwudziestu latach banicji. Największym autorytetem holenderskiej szkoły fortyfikacji, autorem najwyżej cenionego jej podręcznika, został „Fritach Polonois", jak go tytułowali Francuzi, czyli polski mieszczanin, Adam Freytag z Torunia. Odegrał ważną rolę w kolejnej wojnie Niderlandów z Hiszpanami, w Polsce czynny potem tylko jako lekarz. Ale - wzięty lekarz!

Muzyka nadal płynie na wysokiej, ba, najwyższej fali. Do Polski ciągną - muzycy z Włoch i Francji. Władysław IV, syn i następca Zygmunta III, kocha się w operach. Skupi wokół siebie znakomitych kompozytorów. To Adam Jarzębski - budowniczy zarazem, architekt i wierszopis, obok niego Bartłomiej Pękiel, karmelita, i Marcin Mielczewski, którego koncertowe motety cechuje iście mistrzowska technika polifoniczna, słuchać go mogę dosłownie godzinami... Rozkwit muzyki to również znak dobrobytu. Ktoś musi przecie utrzymać artystów.

Od południa i północy rośli Królestwu trudni partnerzy. Turcja Otomańska zagroziła w końcu i Polsce. W fazie skrajnego już absolutyzmu nie sułtanowie mieli armię, lecz armia - sułtanów. Armia znakomita, z najwyższych kwalifikacji wojskami inżynieryjnymi i artylerią, ale szalenie kosztowna. Była, więc musiała wojować.

Zarządzać państwem sułtanowie nigdy się nie nauczyli. Gdy zabrakło wpływów z „haraczy" od krajów zależnych, zrujnowali swoimi podatkami własną wieś - już w pierwszej ćwierci XVII
wieku pustoszały wsie całych prowincji. I wtedy akurat Wysoka Porta („Wysoka Brama") zdecydowała się uderzyć na Rzeczpospolitą.

W pierwszym starciu zginął w 1620 r. pod Cecorą Stanisław Żółkiewski; wojska tureckie, uzupełnione Tatarami krymskimi, przeważały nad armią Żółkiewskiego podobno pięciokrotną liczbą. Ale rok później armia Rzeczypospolitej pod równie wybitnym dowódcą, Karolem Chodkiewiczem, z Kozakami pod ich „atamanem" Piotrem Konaszewiczem-Sahajdacznym, wodzem napadów morskich na Krym i ziemie tureckie, plus piętnaście chorągwi Tatarów, już polskich, w sumie – 31,8 tysięcy luda, pokonały znacznie podobno liczebniejszą armię turecką pod granicznym Chocimiem. Być może tym razem Turcja zlekceważyła „niewiernych". „Niewierni" też ją zlekceważyli - problemów z tymi wojnami przysparzali nieopłaceni zaciężni. Zanim dostali swoje, rozbijali się po kraju. Ale i to rozchodziło się po kościach.

Nieco wcześniej, z rokiem 1618, współczesny świat dookoła znów zapłonął. Jedna z najcięższych, najdramatyczniejszych wojen historii Europy, Wojna Trzydziestoletnia, kolejna wojna religijna, doszczętnie zdewastowała Niemcy, a w 1620 r. w bitwie z Ligą Katolicką pod Białą Górą wyginęła cała dosłownie szlachta Czech. Padli potomkowie najlepszych żołnierzy Europy, padli protestanccy zaangażowani religijnie pisarze i muzycy, uległy katastrofie oddziały niemieckie Unii Protestanckiej, padli śląscy ochotnicy. Lud czeski będzie musiał przez wieki odbudowywać kulturę czeską od zera. Odpryski tej wojny trafiały i w Rzeczpospolitą - dzikimi przemarszami oddziałów protestanckich przez Wielkopolskę, to znów najazdem króla Szwecji, Gustawa Adolfa, „Lwa Północy". Ten chciał przez Polskę skrócić sobie drogę do niemieckich protestantów, ale nawykły do walki, doświadczony wódz z ziem ukrainnych, wielki hetman koronny, Stanisław Koniecpolski, przetrzepał mu skórę i o mało króla-rycerza nie wziął do niewoli.

Gustaw Adolf dysponował armią Szwedów, zaciąganych na dwadzieścia lat, pobór oznaczał mobilizację jednego na dziesięciu, którego pozostali winni utrzymywać; na resztę w ogromnej przewadze składali się zwerbowani najemnicy – w chwili jego śmierci podobno z górą sto tysięcy, w które nie bardzo potrafię uwierzyć ze względu na koszty ich utrzymania... Miał za to świetnego doradcę, który był uczniem wielkiego, niderlandzkiego reformatora wojny, Maurycego Orańskiego, a Holender, Louis de Geer, równie świetny przemysłowiec, zorganizował mu przemysł hutniczy. De Geer wojnę rozumiał. Gustaw Adolf dzięki niemu ciężkie, nieruchawe działa mógł zastąpić lekką, ruchliwą artylerią konną, ta odpowiednio przetoczoną baterią zdolna była ześrodkować ogień ze swych krótszych luf na jądrze sił przeciwnika. W słynnej bitwie pod Breitenfeldem w Saksonii rozbił w 1631 r. kompletnie armię Habsburgów, tj. Ligi Katolickiej. Muszkieterzy Gustawa Adolfa ze swych lżejszych muszkietów skałkowych, prostszych w ładowaniu, potrafili w ciągu minuty oddać trzy strzały (co pół minuty). Z trzech tylko nawet szeregów, nie z sześciu czy dziesięciu, oddawali skoordynowane, jednoczesne, niszczące salwy. Z bagnetami, osadzonymi na lufach swych muszkietów, zastępowali pikinierów.

Ważny jest dla nas ten Gustaw Adolf, bowiem - uwaga! - kolejny Rafał Leszczyński, wojewoda bełski, sam protestant, gotów był zaprosić tego Wazę na tron polski. Czy był to już przejaw warcholstwa, dowód zaczątkowy rozkładu Rzeczypospolitej...? Gdańsk nie chciał słyszeć o nikim poza prawowitym królem! Następnego roku Gustaw Adolf zginął w zwycięskiej bitwie pod Luetzen, zmarł Zygmunt III, i tron polski objął starszy z jego synów, Władysław IV, rówieśnik Gustawa Adolfa...

Nie brakowało polskich zaciężnych na polach bitew Wojny Trzydziestoletniej. Zasłynęli owi najemni „lisowczycy", okrutnicy, lekkokonni, tak wprawni w szabli, że uciekano, gdy się tylko pojawili, jednego z nich namalował sam Rembrandt... Polskę jeszcze ta wojna wzbogaci. Kto może, ucieka z Niemiec do Wielkopolski. W Wielkopolsce, kto może, ściąga z Niemiec rzemieślników. Właściciele miast i wsi ślą do miast niemieckich drukowane po niemiecku wezwania, z gwarancjami pełnej swobody wyznania. Najmniejsze miasteczka wielkopolskie będą się rozrastały w duże, ludne i zamożne. Dla dysydentów zakłada się i nowe. Aż cesarz Niemiec zwrócił się do Zygmunta III, by ograniczył tę imigrację. Zygmunt mu to nawet obiecał; ale tylko na papierze – nie mógł nikomu niczego zakazać w tym względzie. Gdańsk wkrótce zaprzestał importu tkanin z Anglii i Niderlandów, kupując część droższych sukien na miejscu. W spisach własności mieszczan poznańskich tego czasu spotkałem 42 gatunki samych tkanin wełnianych (!). Nie mówię już o luksusie aksamitów, atłasów, adamaszków i koronek...

Jest więc niby tak dobrze. Dookoła piekło, a tu nadal czasy błogosławione. I wygrana jeszcze jedna mała wojna z Rosją owego pierwszego cara z rodu Romanowów, Michaiła, już po śmierci Filareta, i pacyfikacje małych konfliktów z Kozakami. W 1648 r., kiedy Wojnę Trzydziestoletnią zakończono Pokojem Westfalskim, wyjechało z Gdańska niderlandzkimi i duńskimi statkami 128 tys. łasztów zboża. Ale od tego roku nie będzie już podstaw do zazdrości Europy.

Wszystko było do przewidzenia, tylko pycha i bezmyślność polityczna odbierały zdolność przewidywania. Kilkadziesiąt lat spolonizowani możnowładcy ziem ruskich nieledwie popisywali się swym zdzierstwem i bezwzględnością, próbowali wymusić na Kozakach i chłopstwie ruskim przyjmowanie katolicyzmu. Tak doprowadzili do wielkiego buntu na ziemiach Ukrainy, Podola i Wołynia. Prawda, nie samym wyzyskiem ten bunt sprowokowali. Kozaków nawet nie było jak wyzyskiwać.

Powiedziałbym, że *luxum* zrobiło swoje. Tak dobrze było, że uleczyć szlachtę z bezrozumu mogła tylko katastrofa. A i katastrofie się to nie udało.

26. ROZKŁAD

Panowie Ukrainy, jeśli dobrze odczytuję tamten czas, po prostu obrażali Kozaków swą pogardą. I wstał przeciw nim – lud obrażony. Tyle że wojna z nim i z chłopską Rusią, krwawa i wyniszczająca, nie dotknęła ziem rdzennej Polski. Szlachta polska wygrała w końcu z Kozakami, ale przegrała - historię Ukrainy. Tego już we wspaniale napisanej powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem" nie ma. Sienkiewicz nie oszczędzał głupoty naszych możnych, ale przy cenzurze carskiej nie mógł swą powieścią takiej lekcji politycznej rodakom udzielić... Następcy Władysława IV, królowi Janowi Kazimierzowi udało się jeszcze w 1658 r. zawrzeć w Hadziaczu, na Zadnieprzu, ugodę z atamanem koszowym Kozaków, Janem Wyhowskim, ta ugoda nadawała Ukrainie pozycję w Królestwie równą Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, ale na Królestwo Trojga Narodów było już za późno. Ukraina zaczęła przeciw Polsce magnatów szukać pomocy - w Rosji carów. To lekarstwo okaże się potem dla Ukrainy groźniejsze od choroby, winę jednak ponoszą nie Kozacy, lecz tamtejsi spolonizowani możnowładcy.

Ta wojna domowa - przywodził Kozakom urażony szlachcic polski, Bohdan Chmielnicki - zapoczątkowała rozpad Rzeczpospolitej. Nie wyczerpała jednakże Królestwa tak bardzo, jak pełna już katastrofa - najazd szwedzki, zwany dziś „potopem" od tytułu powieści Henryka Sienkiewicza. Kolejnego króla szwedzkiego, Karola X Gustawa, znamy tylko z tej powieści. To był Wittelsbach z nadreńskiego Palatynatu Dwóch Mostów, po matce z polskich Wazów, Katarzynie. Jego portret to wykapany... wuj, nasz Jan Kazimierz. Może i nasz Jan Kazimierz dostał imię po ojcu Karola Gustawa, palatynie Dwóch Mostów, właśnie – Janie Kazimierzu, mężu Katarzyny...

33-letniego, ambitnego, bardzo wojennego, Karola Gustawa namówił do inwazji na Polskę były podkanclerzy koronny, Hieronim Radziejowski. Skłócił się z Janem Kazimierzem, ukarano go infamią za konszachty z Kozakami i za obrazę króla. Nie liczyła się już „Najjaśniejsza Rzeczpospolita". Nie było Jej poddanych jako obywateli, byli tylko „obywatele ziemscy". Sprowokowały najazd Jej bogactwa i wyzywająca bezbronność. Karol Gustaw wkroczył do Wielkopolski. Tamtejsi magnaci wręcz oddali mu się „pod protekcję", przyłączy się doń i możny litewski, Janusz Radziwiłł! Król szwedzki opanował rychło niemal całą Polskę.

Gdyby nie sami Szwedzi, niewiadomo, jaki byłby finał „potopu". Mogło dojść do unii polsko-szwedzkiej, ale Szwedzi – rabowali. Rabowali, co się dało, od pieniędzy, mebli i tkanin po książki - dzięki czemu, swoją drogą, można było po wiekach różnych zniszczeń Polski odnaleźć w bibliotekach Szwecji uchowane bezcenne polskie starodruki. Nie zliczyć, ile zamków i dworów spalili bądź wysadzili w tej kampanii; zaatakowali nawet klasztor na Jasnej Górze, słynący cudownym obrazem i nagromadzonymi skarbami. Obroną klasztoru dowodził przeor, ojciec Klemens, czyli Augustyn Kordecki, z zakonnikami i ochotnikami, okazał się skuteczniejszym wojakiem od napastników. Do walki ze Szwedami w całym kraju obok armii, obok oddziałów mistrza wojny podjazdowej, Stefana Czarnieckiego, stanęli w rezultacie partyzanci. I szlacheccy, i chłopscy. Tych ostatnich w uznaniu zasług - uszlachcano. Szwedzi odeszli.

„Potop" zakończył epokę pełnej tolerancji religijnej w Polsce, bo wielu innowierców opowiedziało się pierwotnie za Szwedami. Wśród nich - sporo mieszczan, zwłaszcza z Leszna, tamtejsi bracia czescy i luteranie. Nieoczekiwanie - także arianie. Podziały religijne urosły ponad przywiązanie do Rzeczypospolitej, chroniącej prawo każdego do swej wiary. Wielki Czech, ojciec pedagogiki, Jan Amos Komeński, który osiadł był w Lesznie, ze zgrozą opisze, co zrobili z miastem zwycięscy partyzanci - ale swoją niewierność wobec gościnnej Rzeczypospolitej przemilczał.

Sejm wyjął potem arian spod ochrony Konfederacją Warszawską i w roku 1658 wygnał z Polski. Nikt nie wystąpił w ich obronie, nawet posłowie kalwińscy. Jako szlachta mogli jednak arianie opuścić kraj z całym swoim dobytkiem. W tym samym czasie tak poczciwym kwakrom w Anglii i jej koloniach w Ameryce odcinano za ich wiarę ucho, a w razie recydywy przebijano język. Rozpalonym żelazem.

Obie wojny skrupiły się w Rzeczypospolitej na chłopach. Już od 1629 r. płacili nie od powierzchni uprawianej ziemi, lecz od „dymu", czyli od chałupy z kominem. Oni przede wszystkim opłacili teraz koszty wojen – a wypadło pokonać Kozaków, Szwedów i jeszcze Węgrów bitnego księcia Siedmiogrodu, Jerzego II Rakoczego. Który też chciał coś uszczknąć dla siebie. Stefan Czarniecki, wódz niepokonany, otoczył jego pułki i zmusił do kapitulacji.

Karol Gustaw w wojnie z Danią zajął duńskie południe Szwecji, Skanię, przeszedł zamarzniętą cieśniną i obległ Kopenhagę. Jan Kazimierz w 1658 r. wysłał na pomoc królowi Danii - doświadczonego Czarnieckiego z jego doświadczonymi wojakami. Zdobyli na Jutlandii mocną twierdzę Koldyngę. Dla Polski, a i dla naszych encyklopedii, Czarniecki, by zdobyć wyspę Als, „rzucił się przez morze", przebywszy cieśninę wpław - choć 14 grudnia lód był na niej szczery. No ale tak to zachowała nasza pamięć. Wcześniejszej, tak żenującej kapitulacji - nie... Ani tego, że Gdańsk sam obronił się przed Szwedami i wyłożył ogromne pieniądze na polską armię.

Jan Kazimierz do walki ze Szwedami szukał sojusznika w swym dotychczasowym lenniku, władcy Prus Książęcych, Wielkim Elektorze brandenburskim, Fryderyku Wilhelmie. Przyznał mu jesienią 1657 r. suwerenność państwową nad Prusami Książęcymi – decyzją o skutkach na blisko 300 lat. Kupował go niepotrzebnie. Przynajmniej na razie. Fryderyk Wilhelm ledwie naciągnął stany swego niewielkiego, dwumilionowego państwa na kilkutysięczną, zaciężną armię. Prawda: potem w Brandenburgii i w zachodnich częściach państwa podatki wymuszał siłą. Po 20 latach miał już armii 45 tysięcy ludzi. Jego syn, Fryderyk I, w roku 1701 ogłosił się królem Prus. Wnuk, Fryderyk Wilhelm I Hohenzollern, jak się oficjalnie utytułował, w pierwszej połowie XVIII wieku dysponował już czwartą armią Europy, doskonale wyszkolonymi 80 tysiącami żołnierzy.

Karol X Gustaw nie dożył czterdziestki, zmarł w roku 1660, tego też roku zawarto pokój w Oliwie. Czy dalsze losy Rzeczypospolitej można było przewidzieć? Szwedzi odeszli, ale ziemia i lasy - pozostały. By dalej rodzić te same bogactwa. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Choć już wtedy zmieniało się wszystko, co najważniejsze.

Jeszcze przed „potopem szwedzkim", w roku 1652, przedstawiciel jednego tylko sejmiku, stolnik z Upity na Litwie, Władysław Siciński, więc nie żaden Litwin, lecz tamtejszy polski szlachcic, zerwał sejm swoim *veto*, swoim „nie zgadzam się", „nie pozwalam" – co było pierwszym takim wypadkiem, precedensowym, jako że sejmy nawykły podejmować i podejmowały do tej pory wszelkie swe decyzje i uchwały jednomyślnie albo nie liczyły się z pojedynczym sprzeciwem. Mądry Jan Zamoyski próbował kilkadziesiąt lat wcześniej przeprowadzić zasadę uchwał - większością głosów, jak wybrano Henryka Walezego. Nie udało mu się, wszelako aż do roku 1652 przechodzono właśnie do porządku dziennego nad głosami negatywnymi. *Liberum veto*, „wolne nie pozwalam", pierwotnie zapisano tylko w zwodzie praw którejś z ziem, dodanym do Statutów Łaskiego, teraz jednak magnaci odkryli w nim narzędzie manipulacji: każdy z nich mógł dobrać spośród posłów jakiegoś swego klienta-poplecznika, by zgłosił swoje *veto* w sprawie mu niewygodnej, które on sam wesprze w senacie. Wolność uroczystego wypowiedzenia w sejmie swego „nie pozwalam" bądź wpisania go do ksiąg kancelarii królewskiej uznała szlachta po pewnym czasie za...

„źrenicę wolności szlacheckich”! Nic tak nie potwierdza rozkładu jej demokracji. Bo ustrój z sejmem jako władzą najwyższą już do tej pory paraliżował króla jako władzę wykonawczą. Dzielny Jan Kazimierz, próbując reform, przegrał wojnę domową z rokoszem, a w końcu abdykował i wyjechał do Francji. Później sejm zakazał i abdykacji! Szlachta sama obaliła ustrój swej demokracji.

Co więcej, była sobą zachwycona. Jezuici pomogli jej rozwinąć całą ową kulturę „sarmatyzmu”, powołując się na tych rzekomych, odrębnych jej pra-przodków, starożytnych Sarmatów. Nie mieli panowie szlachta niczego wspólnego z domniemanymi Sarmatami, nosili się na pół orientalnie, głowy podgalali, z kozackimi czubami. Kiedy na dworze carów Rosji pod koniec XVII wieku polszczyzna była modą i każdy człowiek wykształcony w Moskwie mówił po polsku, szlachta Królestwa zapominała stopniowo nawet czystej polszczyzny, ze swą dumną przeszłością włącznie. „Makaronizowała” język, popisując się co chwila wtrącanymi łacińskimi zwrotami i polonizując łacińskie czasowniki – kiedy we Francji, dzięki akurat ultra-pobożnym jansenistom, zaczęto uczyć przede wszystkim ojczystego języka zamiast jezuickiej łaciny… Polak nam współczesny bez specjalnych trudności czyta Kochanowskiego i Górnickiego, nie poradzi sobie z lekturą XVII-wiecznych „statystów” szlacheckich, mędrków politycznych epoki. Szkoły jezuickie umacniały szlachtę w zadowoleniu z siebie – czego od nich oczekiwano. Nie jezuici wymyślili to zadowolenie z siebie. Oni je tylko utwierdzali.

Epokę odczytujemy w pasjonujących, a bezpretensjonalnych pamiętnikach prostego szlachcica, Jana Chryzostoma Paska, żołnierza Czarnieckiego. Poetów jest na pęczki, ale udane rodzą się co najwyżej fraszki, znak, że humor szlachcie dopisuje. To epoka fraszek. Od mego nieżyjącego już czcigodnego przyjaciela, seniora bibliofilów, Aleksandra Bocheńskiego, dostałem tom fraszek Daniela Bratkowskiego z 1702 roku, drukowany barokową, mało czytelną szwabachą, który ukazał się w ogromnym, jak na owe czasy, 4-tysięcznym nakładzie. Fraszki są zjadliwe nawet, pełne ironii, ale tchną pogodą i humorem - jakby nie wiedziała szlachta i sam autor, że są jakieś powody do zmartwień. Choć tegoż roku Daniela samego - szlachcica, podczaszego wendeńskiego, poetę, ścięto wyrokiem sądu wojskowego. Spiskował z Kozakami dla równouprawnienia prawosławia…

Wybitni architekci z Włoch stawiają piękne pałace. To również znak owego *luxum*. I naprawdę wybitni artyści rzeźbili sarkofagi Opalińskich, które możemy dziś oglądać w odrestaurowanej resztce pięknego niegdyś ich zamku, w jego XVI-wiecznej piwnicy, zamienionej w kaplicę - bo sam okazały zamek rozleciał się w gruzy już w XVIII wieku. Jak Rzeczpospolita.

W roku 1672 doskonały turecki inżynier wojskowy, Fazil Ahmed Pasza Koepruelue, wziął Polsce Kamieniec na Podolu, twierdzę nie do zdobycia. Zawarty w Buczaczu traktat pokojowy przyznawał Turcji prawie całą południową Ukrainę i ogromny co roku haracz. Sułtanat uznał Polskę swym krajem lennym. Szlachecki sejm polski traktatu nie uznał. Ruszył więc rok później z ogromnymi siłami Hussein Pasza. Okopał się w dawnym obozie polskim pod Chocimiem. Hetman Jan Sobieski, który znał sposób wojowania i Tatarów krymskich, i Turków osmańskich, armię Husseina 11 listopada 1673 r. w niebywale krwawej bitwie rozgromił. Dzięki temu zwycięstwu wybrano królem - jego właśnie, polskiego hetmana.

Jan III Sobieski próbował remontować rozkładające się państwo. Kolejna wyprawa turecka dotarła aż do Lwowa, obległa Trembowlę, znów przegrała z Sobieskim, rozejm uwolnił Polskę przynajmniej od haraczu… Sobieski zasłynął w skali Europy innym wyczynem wojennym - po którym zaczęła zmierzchać potęga Osmanów. Ostatnia ich wielka wyprawa w roku 1683 obległa Wiedeń i król polski poszedł z odsieczą. Odniósł druzgocące, a błyskotliwe zwycięstwo, zasłynęła szarża jego husarii, pobił jeszcze Turków w tej

kampanii kilka razy, sułtan ich dowódcę, pokonanego wielkiego wezyra, Kara Mustafę, kazał udusić, ale Kamieniec, nie do zdobycia bez wielkiej inżynierii, pozostał nadal stolicą tureckiego paszałyku, cerkwie i kościoły pozostały meczetami. O paradoksie, w niecałe sto lat później Austria Habsburgów, którą uratował Sobieski, weźmie udział w rozbiorach Polski, nie uzna zaś tych rozbiorów - Turcja Osmanów...

Wszystko, co Polsce zostanie po Janie III, rządnym i gospodarnym, to jego pełne uroku listy do ukochanej żony, spolonizowanej Francuzki, zwanej potem przez wieki tak, jak on ją nazywał - „Marysieńką"; naturalny talent literacki wojaka świadczy o kulturze kraju. Zapadająca się w sobie Polska obdarzyła zaś Europę tego czasu - bezcennym, wielojęzycznym słownikiem tureckiego, perskiego i arabskiego z przekładem na łacinę, na niemiecki, włoski i polski. Opracował go szlachcic polski, tłumacz i dyplomata, Franciszek Meniński, spolonizowany Lotaryńczyk, pierwotnego, nieznanego rodakom nazwiska - Mesgnien.

Nie skończyło się na tym, że Jan Kazimierz zrzekł się suwerenności Polski wobec Prus Książęcych. Teraz, w parę lat po Wiedniu, w 1686 r. Rzeczpospolita oddała Rosji „wieczystym pokojem" w zamian za sojusz przeciw Turcji spory kawał swoich ziem ruskich - prawda, że mniej płodnych, mniej żyznych - Smoleńszczyznę i Zadnieprze, ale za to - z Kijowem. To nie był pierwszy, a kolejny już akt rozbioru państwa, do którego przed wiekiem wszyscy się garnęli. Proces rozbiorów zaczął się, jak widać, znacznie przed rokiem 1772, przed pierwszym, rzekłbym, oficjalnie zapamiętanym przez historię rozbiorem Polski.

Głupota zdawała się rozszerzać panowanie. Przeciwstawił się jej swoim listem pasterskim ówczesny biskup kujawski, Florian Czartoryski. W 1669 r. zagroził klątwą sędziom ścigającym czarownice i wezwał „wszystkich sędziów, którzy mają żarliwość świętej sprawiedliwości, aby karali grzechy, jednak nie tajemne i których trudno dowieść, ale tylko jawne", czyli „zabójstwa, kradziestwa, wydarcia, oszukiwania i gwałty, zdrady w kupiectwach", itd. Inni biskupi go naśladowali, potem i synody lokalne. Nie zaradzi to bzdurze - w 1699 r. sąd wójtowski w wielkopolskich Pyzdrach trzy razy torturował „pracowitą", czyli włościankę, chłopkę, Annę Ratajkę, aż się przyznała do uprawiania czarów i wskazała inne czarownice, razem z nią potem spalone. Z nich Jagacie, „chałupnicy", kazano „aby wprzód ręce obydwie jej po KIK-ut smołą i siarką polane w górę wyniesione i tak gorzały za to że się ona rękoma ważyła dotykać Najświętszego Sakramentu", do czego się, oczywiście po torturach, przyznała... W roku 1703 za namową kolejnego biskupa kujawskiego, Stanisława Szembeka, August II zakazał sądom miejskim pod karą tysiąca dukatów, a wiejskim pod karą gardła - procesów o czary. Bez skutku. Nie tylko przez ostatnie ćwierć XVII wieku, ale i przez pierwsze ćwierć XVIII wieku światli cystersi z wielkopolskiego Wągrowca przyzwolili - podobno, to nie sprawdzone! - miejscowym mieszczanom spalić na stosach trzydzieści cztery kobiety, oskarżone o czary. Mamy z 1719 r. inny dokument owego sądu wójtowskiego z Pyzdr ze zwrotami wyroku, adresowanymi do podsądnych – „jakoś zeznała na torturach i dobrowolnie..." Tak, po torturach zeznawały już „dobrowolnie". Wszystkie cztery i mężczyznę-czarownika „mistrz ogniem spalił na drogach rozstajnych". Cóż dodać? Pławić czarownice wieś polska próbowała jeszcze w XIX wieku...

Interesy natomiast szły dalej świetnie. Obsługiwali je nadal polscy Żydzi. Z czasem, pod koniec XVII wieku, kahały ze swą doświadczoną starszyzną stały się - bankami. Lokowali w nich kapitały i magnaci, i biskupi, i klasztory. Korzystnie - na 7 do 10 procent rocznie! Zwało się to lokatami „na synagogach". Zabezpieczał je cały majątek wszystkich członków kahału, były więc pewne. Kapitały co większych kahałów rosły w XVIII wieku do rzędu nawet kilkudziesięciu tysięcy dukatów holenderskich, czyli i dziesięciu ton złota...

Pieniądz wracał do szlachty i duchowieństwa poprzez kredyty. Popyt na pieniądz był ogromny, nawet z członków kahału ściągano odsetki niewiarygodnie wysokie - około 30%; najwyraźniej pieniądza ówczesnej Polsce nie dostawało. Pieniądz z niej odpływał nadal. Kahały, choć miały go ponad potrzeby obrotu nawet i w handlu zagranicznym, pilnowały jego wysokiej ceny.

Procent „żydowski", ściągany z chłopów, sięgał szeląga tygodniowo od jednego umownego złotego, czyli od 30 groszy, co w skali roku oznaczało 57,7 procent. Na Ukrainie świat żydowski krwią to opłaci w drugiej połowie XVIII wieku. W świecie chłopów rdzennej Polski takie warunki kredytów też mogły posiać niemało urazów, zwłaszcza, że i karczmy arendowali od panów głównie Żydzi, ale tu ich krwi nie przelano.

„Wielka Encyklopedia" Denisa Diderota nazwie Polskę XVIII wieku - „paradis Judaeorum", rajem Żydów. Jednakże, odgrodzeni od reszty miejscowego społeczeństwa niezrozumiałym pismem i swoim językiem, mieli też wtedy zaniknąć w świecie żydowskim - ze swą wysoką kulturą, ze środowiskiem wybitnych umysłów. Nie potrafili się obronić przed nowym żydowskim ruchem religijnym. Dlaczego? Myślę, że i oni już byli za bogaci...

Świat feudalny rozkładał się wszędzie. Tym bardziej kontrastowały z nim Niderlandy - republika zadzierzystych mieszczan, kolejna ojczyzna cywilizacji nowoczesnej. Ci mieszczanie skrupulatnie pilnowali swego monopolu w handlu polskim zbożem. Kiedy Kołobrzeg zakupił cały transport w Gdańsku i powiózł do Amsterdamu, dostał tam mniej, niż zapłacił. Ceny dyktowali Holendrzy.

Modę i obyczaje dyktowała jednak Francja. Prymat przejęła od Włoch już dawno, z końcem zaś XVII wieku dwór Ludwika XIV, Króla-Słońce, wpoił swoim warstwom wyższym używanie życia jako niemal filozofię istnienia. Paraliżował tym sposobem wolę i prężność swojej arystokracji, niespokojnego, pasożytniczego świata, pochłoniętego dotychczas intrygami politycznymi. Król sam załatwiał interesy ze swymi mieszczańskimi ministrami i ludźmi interesów z mieszczańskiego świata. Szlachecka Europa wszelako tych interesów nie znała i - być może - nawet by nie zrozumiała. Widziała – bogactwo, uwodzące wdziękiem i rozpustą. Uczyła się francuskiego, przez ponad dwa wieki będzie to język obowiązkowy całej Europy.

Po śmierci Ludwika XIV, za Regencji przy małym Ludwiku XV, lekkie obyczaje przybrały skalę ostentacyjną. Rozłożyły ostatecznie „starą" Europę. W Anglii bandy złotej młodzieży grasowały nocami po Londynie, gwałciły złapane dziewczyny z ludu, kluby sadystów zabawiały się, miażdżąc ofiarom nosy i wydłubując oczy, specjalnymi obcęgami rozrywając usta. W tym samym czasie Anglię mieszczańską interesy uczyły zdrowego, moralnego, protestanckiego kapitalizmu. Nie dziwmy się, że stare elity Anglii musiały ustąpić jej miejsca.

W Polsce tu i tam zwyrodniali okrutnicy pastwili się nad „czarownicami", ale ogólnej beztrosce nie przeciwstawiało się żadne solidne mieszczaństwo. Sądownictwo szlacheckie i miejskie działało, potrafiło szlachcicowi odjąć głowę za mord na żydowskich kupcach czy za spisek z chłopami, ale wśród ogólnej samowoli zasłynął szlachcic, który wyrokami sądów kazał podbić swoją „kierezję", bogato wyszywaną sukmanę ze stojącym kołnierzem...

Szlachta polska po Janie III wybrała królem - Sasa. O tych Sasach zwykło się mówić źle, aliści dynastia Wettynów linii albertyńskiej, pamiętajmy, bardzo różniła się od innych ówczesnych książątek, królików, margrabiów i hrabiów Niemiec. Wettyni, rządni i zapobiegliwi, słynęli iście protestancką gospodarnością. Dzięki temu trafił na tron polski w roku 1697 August II Mocny, choć mu ostatni z Koniecpolskich wymówił, że jego dobra

są większe niż dziedziczne państewko Wettynów. I nie mieli ci Wettyni miliona dukatów rocznego dochodu…

Wybrano – protestanta. August II dla korony polskiej przyjął katolicyzm, ale nigdy nie nauczył się po polsku. Pędził za to życie jak jego poddani panowie szlachta. I jego lekkomyślności przypisuje się upadek Rzeczypospolitej – postanowił wraz z Danią i Rosją nauczyć moresu Szwecję, która zamieniła Bałtyk w swoje morze wewnętrzne. Wśród królów, zaangażowanych w tę „wojną północną", był i tak najstarszy, nie doszedłszy jeszcze trzydziestki. Najmłodszemu, Karolowi XII, parlament szwedzkiej szlachty i mieszczaństwa dał piętnastoletniemu pełnię władzy królewskiej. Rosyjski przyszły Piotr Wielki miał lat 10, kiedy został carem, miał lat 17, gdy obalił regencję swej starszej siostry i odesłał ją do klasztoru, a przyrodniego brata, niespełna rozumu, odsunął od władzy. Miał 24 lata, gdy w 1696 r. pokonał armię turecką, nadal uważaną przez ówczesne podręczniki, które czytałem, za jedną z najlepszych w świecie.

Orientował się już w zacofaniu swego kraju, wybrał się więc incognito, by w Niderlandach i Anglii zapoznać się z ich rozwojem. Pracował, nierozpoznany, jako robotnik w tamtejszych stoczniach, wrócił z planem przebudowy Rosji. Jako władca absolutny – mógł wszystko. Na pierwszym zdobytym skrawku fińskich ziem Szwecji, na Wyspie Zajęczej, u wrót do Bałtyku, wystawił potężną twierdzę Pietropawłowską, pod jej osłoną jął budować potem, sprowadziwszy zachodnich architektów, nową, otwartą na Europę stolicę państwa, Sankt Petersburg. Założył szkołę inżynierii wojskowej i wprowadził nową wersję alfabetu cyrylicy – tzw. grażdankę, łatwiejszą w czytaniu i w druku. Tworzył flotę i popierał rozwój manufaktur. Organizował własną nową administrację i świeckie szkoły. Zmuszał bojarów do obcinania bród, do zmiany strojów na zachodnie, podporządkował sobie cerkiew, zlikwidował Dumę Bojarską i mianował swój Senat Rządzący, słowem, gruntował swe samodzierżawie, ale – robotnikom, budującym Petersburg, czy też robotnikom manufaktur, żyło się lepiej niż chłopom pod władzą ich właścicieli. Pierwszy autentyczny historyk Rosji, inżynier wojskowy nowej edukacji, Wasilij Tatiszczew, nie widział poza przymusem innej drogi Rosji do postępu. Piotr Wielki tworzył Rosję na nowo – jako mocarstwo. Co tak ważne dla naszej własnej historii…

18-letni Karol XII miał za to – szwedzką armię. W roku 1700 zbił silniejsze wielokrotnie wojska Piotra pod Narwą, niedaleko przyszłego Petersburga. Zmusił do zawarcia pokoju Danię, potem pobił Augusta II i prawie opanował Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Z poparciem części szlachty zdetronizował Augusta II i przeprowadził w 1704 r. wybór nowego króla Polski. Został nim wojewoda poznański, Stanisław Leszczyński, przeciwnik Sasów, zaś o tej elekcji zdecydowała obecność armii Karola. Zdetronizował Karol XII Augusta i jako króla saskiego. Uznano w Karolu kolejnego szwedzkiego geniusza wojny. Był dumny, że gra pierwszą rolę na scenie historii, do historii przeszły jednak słowa nie jego, a Piotra, przyszłego „Wielkiego" – „przegrywam, ale się wygrywać nauczę". I nauczył się – 8 sierpnia 1709 r. pod ukraińską Połtawą zamknął po stu latach epokę szwedzkich triumfów wojennych, armia Karola XII dosłownie przestała istnieć. Próbował jeszcze Karol odrodzić swe siły. Skończyło się teatralnie. Pod norweskim Fredrikshald (dziś Halden), gdy obchodził wykopy oblężnicze w towarzystwie dwóch francuskich inżynierów wojskowych, trafił go dobrze namierzony pocisk z twierdzy. Inżynier Monet pochylił się nad ciałem Karola, znalazł go martwym i rzekł – „Otóż i koniec sztuki… Pójdźmy wieczerzać".

Tej wojny, nazwanej „północną", nie ma w naszej mitologii narodowej, jakby to była cudza wojna, choć przez ponad 20 lat w sporej części toczyła się na ziemiach Rzeczpospolitej, z udziałem wojsk polskich. Co to znaczyło? Językiem swej epoki „wywiódł nieszczęśliwości publiczne i partykularne swej diecezji" biskup płocki, Ludwik Załuski: „nie ma wolnego odetchnienia od hibern teraźniejszych, od hibern zaległych, od konsystencji wojsk

auksyliarnych po dworach, od konsystencji wojsk polskich po chłopach, od zabierania wołów na podwody, zabierania koni na pocztę, zwożenia prowiantów, bicia, kaleczenia, nie wspominam ustawicznych z bezbożnym zdzierstwem przechodów…" Te „nieszczęśliwości" przenosiły się to tu, to tam, w różne okolice państwa, czasem ustawały nieco, sejmiki samowolnie narzucały swoje podatki, niezależne od sejmowych, biskup wskazywał przykłady KOR-upcji, ale pieniądze z Zachodu płynęły do Królestwa nadal, eksport nie spadał.

Piotr, już Wielki, przesądził o powrocie na tron Augusta Mocnego. Czy poprzedził rozbiory, pozostaje tematem do dyskusji. Interesował go raczej wpływ, władza nad całym Królestwem, nie jakiś wycięty skrawek, wycinano wszak różne ziemie z Rzeczypospolitej dużo wcześniej. Szlachta się tym nie przejmowała, dobrze się jej żyło pod saskimi królami. Mawiała - „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". I to ci poddani zmarnują swoje państwo. Nie król, lecz ich jednodniowy sejm „niemy", pod dyktando cara Piotra, w 1717 r. „zwinął" - jak zapisze Hugo Kołłątaj, mędrzec epoki rozbiorów - wojska Rzeczypospolitej. Tacy oni byli. Ich obojętnością upadała Rzeczpospolita. Nie zgubił jej bynajmniej sam tylko nacisk sił zewnętrznych.

Utrzymała się z tamtego czasu tylko jedna trwała wartość - muzyka. Wątpię, by to z rozczarowania rzeczywistością uciekano w sztukę, ów zadowolony z siebie świat nie wygląda na to, zwłaszcza, że ktoś musi łożyć na muzykę i , co ważniejsze, mieć czas na słuchanie… Podbijała ta muzyka muzykalną z natury prawosławia Rosję, która wtedy nauczyła się z Polski pisać nuty na liniach.

Co rusz odnajdujemy dzisiaj wspaniałe kompozycje polskiego baroku. Musiały budzić zachwyt XVIII-wiecznego niemieckiego mistrza, George'a Filipa Telemanna, skoro, bywając i w Polsce, napisał, że „najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska" i że ta muzyka „nie z drewna być musi". Niemieccy kompozytorzy i pisarze operowali wręcz pojęciem „polnischer Geschmack", „polskiego stylu". Telemann cieszył się większą sławą niż jego rówieśnik, wielki Jan Sebastian Bach, którego wtedy nie doceniano, pogubiono wiele jego dzieł; dopiero w XIX wieku jego wielkość w pełni odkryto! Dzisiaj nic prawie za to nie wiadomo o sławionych naonczas twórcach polskich, a wielu do dziś pozostaje anonimowych. O mistrzu nastroju, Stanisławie Szarzyńskim, nie wiemy nic ponad to, że był cystersem, nie benedyktynem. Kapitalne utwory Grzegorza Gorczyckiego, kapelmistrza kapeli katedralnej na Wawelu, to znaleziska ostatnich kilkudziesięciu lat. Ale ich cudowna muzyka to naprawdę wszystko, co ratuje tamtą epokę przed skrajnym potępieniem ze strony historii. To epoka wstydu narodowego.

27. NIGDY NIE NALEŻY TRACIĆ NADZIEI, JEŚLI CHODZI O RZECZPOSPOLITĄ

Musimy pogodzić się z gorzką prawdą, że Królestwo Polskie przestało faktycznie istnieć jako samodzielne, suwerenne państwo już z początkiem XVIII wieku, kiedy ciągnąca się ponad 20 lat Wojna Północna zakończyła wojenną ekspansję szwedzką. Na ziemiach północno-wschodnich Rzeczypospolitej ich magnaci toczyli ze sobą krwawe, prywatne wojny jak w średniowieczu, a cudze wojny przewalały się po terenie Królestwa przez siedemdziesiąt lat, aż po drugą połowę stulecia - po Wojnę Siedmioletnią z udziałem Prus i Rosji.

Obce wojska dowoli maszerowały przez Polskę, Litwę i Ruś, obcy władcy - car Rosji, Piotr Wielki, król szwedzki Karol XII, jak wiemy, wyznaczali Polsce królów. Przedstawiciele sąsiednich, rosnących w siłę mocarstw otwarcie sterowali przebiegiem sejmów. Stanisława Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego, dwa razy wybierano królem, to za poparciem szwedzkim, to dzięki królowi Francji, Ludwikowi XV, ożenionemu przez dwór z córką Leszczyńskiego. Kiedy pod naciskiem cara Rosji musiał Leszczyński ostatecznie abdykować, dano mu w dożywocie księstwo lotaryńskie. Tam napisze swój anonimowy „Głos wolny wolność ubezpieczający" – na rzecz reform i odrodzenia państwa, przeciw *liberum veto*, za mocną władzą wykonawczą. Dołączy tym samym z oddali do bardziej niż skromnego wtedy obozu reform.

Czy działania wojenne początku XVIII wieku naprawdę tak wyniszczyły kraj, jak wnioskują z tego rozkładu państwa niektórzy historycy?

Zastanawiające. Coś w tym obrazie nie zgadza się z realiami. Powtórzę: eksport zboża przez Gdańsk, najlepszy wskaźnik stanu rzeczy, nie doznaje żadnego istotnego uszczerbku, to ciągle kilkadziesiąt tysięcy ton rocznie, mimo nowej konkurencji ze strony zboża rosyjskiego. Sukna idą jak przedtem. Bogacą się nie tylko magnaci, właściciele setek wsi, nie tylko bogata szlachta mająca po kilkanaście wsi, ale nawet i szlachta Mazowsza, gdzie kilku szlachty ma jednego chłopa i pożycza odeń pieniądze - bo chłop, jeśli go nie ograbi jakiś przechód wojsk, też się bogaci. Eldorado nadal zwiększa swój zasięg, wydziera się puszczom pod uprawę nowe tereny. Nawet w Wielkopolsce, najlepiej zagospodarowanej, w XVIII wieku powstanie 800 nowych wsi! Ciągle się tu kaptuje rolników z Niderlandów; potem na prawach wsi „olęderskich" będą gospodarować już ludzie wolni z Polski i Niemiec.

Od chłopów-poddanych żąda się wszędzie coraz wyższej pańszczyzny, odrobku przez cztery, sześć, a nawet dziesięć dni roboczych sprzężajem w tygodniu! Nawet jeśli odrabia tę pańszczyznę paru ludzi z gospodarstwa, to bardzo dużo. Bo i małe gospodarstwa mają po kilkanaście swoich hektarów do obrobienia, z bydłem, nierogacizną i końmi. Ale do stanu duchownego wkraczają i chłopi. „Duchowieństwo świeckie pracowało w cichości około oświecenia pospólstwa po parafiach – przez ustanowienie szkółek do czytania i pisania", notował Hugo Kołłątaj, późniejszy intelektualista reform, „największym atoli wstrętem do utrzymywania szkółek farnych było uprzedzenie szlachty przeciw pospólstwu".

Chłopi nie ulegali bezwolnie losowi - z końcem XVII wieku poddani dwóch wsi kasztelana poznańskiego wykupili się z poddaństwa za swoje własne pieniądze! W Wielkopolsce

XVIII wieku blisko 15 proc. chłopów to byli już ludzie wolni. Dalsze 25 do 30 proc. - wolni od pańszczyzny. Liczą się tu wszelkie ręce do pracy, chłop, gdyby nie wytrzymywał ucisku, może czmychnąć, wyrok przeciw zbiegowi nic nie daje, uciekinier przyda się tam, gdzie się schronił.

Szlachecki samorząd lokalny, ze swoimi urzędami „ziemskimi" (czyli danej „ziemi", terytorialnie tyle co nasze niedawne małe województwo), ze swoimi sejmikami, sądami, degenerował się także. Stosunkowo najlepiej funkcjonowało jeszcze własne szlacheckie sądownictwo, ale z czasem całe ambicje szlachty będą się skupiały na zdobywanych „urzędach" ziemskich, już tytularnych, czysto prestiżowych. Hierarchię ich traktowano z niezwykłym namaszczeniem, odpowiednio stopniowano honory, formułując nagłówki w listach czy też rozmieszczając tancerzy w balowym korowodzie; nie wypadało, by ktoś wziął krok przed kimś „lepszym", wyższego urzędu. I jak na poziomie rodów senatorskich było się „wojewodziną", „wojewodzicem" lub „wojewodzianką", tak do najniższego szczebla były „panie miecznikowe", „miecznikowice", „wojszczanki", czyli córki wojskiego itd.. Sensu niektórych tytułów czasem już nawet nie rozumiano. Znano jedynie rangę w hierarchii „ziemskiej". Tak było, zwłaszcza na Kresach wschodnich, czego wyrazem są te wszystkie tytuły ziemskie w „Panu Tadeuszu", obowiązujące długo, jak łatwo się zorientować, jeszcze w wieku XIX. „Sędzia" przecież nikogo nie sądzi, „wojski" nikogo nie przywołuje do szeregów, „klucznik" żadnych funduszy ziemskich nie strzeże. Co charakterystyczne jednak, jedynym Żydem, jaki występuje w Panu Tadeuszu, jest Jankiel, muzyk niezrównany. O roli Żydów w szlacheckim interesach się nie mówi.

Dobrobyt zgoła inaczej wpłynął na świat żydowski Rzeczypospolitej. Zrodził, właśnie wtedy!, ruch... odnowy religijnej - w buncie przeciw Żydom zamożnym i uczonym, przeciw ich kulturze. Ba, nawet przeciw ich odzieży, którą nie odróżniali się od szlachty, a nosili się ci bankierzy, rzecz jasna, suto i okazale. Łatwo się w tym ruchu domyślić ożywienia biedoty. Nie wywołały go wcale XVII-wieczne powstania kozackie - wbrew powtarzanym stereotypom. Pierwsi *chasidim*, czyli bogobojni, sprawiedliwi, pojawili się dopiero w latach 30-tych XVIII wieku, w epoce „saskiej". Nie żadni wolnomyśliciele, o nic też Boga nie prosili, przeciwnie, dziękowali mu tylko, było im przecież tak dobrze! Skłonni raczej do mistycyzmu, adorowali Boga, śpiewając i podrygując w rytualnym tańcu, który jak tańce derwiszów unosił ich duchowo aż po ekstazę. Gdyby ich indywidualne modlitwy nie polegały na rozpamiętywaniu problemów wiary, ich życie umysłowe zanikłoby ze szczętem. Ówczesny chasydyzm to religia dobroci i ciepła, daleka od bezwzględności i nietolerancji kahałów; było w nim trochę z dobroduszności lekkomyślnej Polski szlacheckiej i dużo zarazem cudownego poczucia humoru. Nieskomplikowany rytuał pozyskał ubogich Żydów - odrębność zapewniał ascetycznie prosty strój, „chałat" i „jarmułka" na głowie, chałat kroju, swoją drogą, szlacheckiego kontusza.

Elity żydowskie, poirytowane, odżegnają się od nich, w sporej części się spolonizują. W drugiej połowie XVIII wieku około tysiąca najbogatszych rodzin żydowskich przyjmie chrzest i otrzyma - nobilitację, wejdzie w krąg herbowej szlachty. Niemniej funkcja „stanu" żydowskiego w ówczesnej gospodarce nie zmieni się. Chasydzi, przy całym swoim poczuciu humoru, staną się z czasem również najlepszymi w Królestwie fachowcami od interesów. Mieli za co Bogu dziękować.

Gdyby dobrobyt się załamał, przyszłoby zapewne jakieś otrzeźwienie. Niczego takiego nie notujemy. Polskie warstwy posiadające, magnaci, szlachta, duchowieństwo, podlegają tym samym procesom demoralizacji, co przedtem. Cytowane już tutaj porzekadło „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa" doskonale oddaje filozofię „epoki saskiej". Adam

Moszczeński w swoich pamiętnikach ukazuje, co się w świecie polskiej szlachty liczyło: „kto większe kielichy zdołał wypić jednym ciągiem, nie odstawiając od ust, ten zasługiwał na popularność, i stąd robił sobie chlubę, gdy garncowy kielich starego węgrzyna od razu mógł spełnić". Nawet, jeśli Moszczeński trochę przesadzał, nie był daleki od prawdy...

Wspaniałą etnograficzno-socjologiczną panoramę epoki dał nam w swym „Opisie obyczajów za panowania Augusta III", drugiego z królów saskich, nieoceniony proboszcz z Rzeczycy, Jędrzej Kitowicz, którego możemy uznać pierwszym socjologiem polskim - nikt w literaturze europejskiej nie przedstawił, jak dobrobyt rozkłada każdą warstwę panującą, a zwłaszcza warstwę taką w wersji zachwyconych sobą prostaków z coraz prymitywniejszych szkół jezuickich. Słynne, francuskie pamiętniki dworskie księcia Saint-Simona de Rouvroy są plotkarskim, choć subtelnie wnikliwym portretem cienkiej warstwy arystokratycznej elity. We Francji Burbonów było jej, ot, półtora procenta ogółu ludności. W Polsce bogactwo było wtedy rzeczą kilkunastu procent populacji. Jeśli nie więcej. Miał się kto demoralizować. Znów Kołłątaj: „Uważać można Polskę odziedziczoną przez kilkadziesiąt możnych familii, które pańskimi nazywali, a resztę szlachty jak pospólstwo ludzi wolnych, którymi się wysługiwała oligarchia możnych". Pospólstwo też nie biedne...

Kitowicz znał ten świat z autopsji, księdzem został dopiero po czterdziestce. „Na końcu panowania Augusta III wielu już było biskupów, którzy rzadko, ledwo kilka razy w rok, do służby ołtarza przystępowali". Dawniej Polska grywała w szachy i warcaby, wspomina Kitowicz; teraz
królowały hazard i karty. „Nawet najwięksi panowie stali się szulerami, ogrywając jedni drugich nie tylko z gotowych pieniędzy, ale nawet z nieruchomych substancji, z dóbr, klejnotów i całej fortuny. Kiedy na jednę kartę wolno było stawić i tysiąc czerwonych złotych, i sto tysięcy (...), wielkich panów opanował jakiś szalony honor przegrywać w karty na jednej kompanii po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Co zaś najdziwniejsza, że ci, którzy długów swoich płacić nie lubili, przegrane kwoty na kredyt z wielką punktualnością nazajutrz wygrywającym odsyłali".

Opilstwa i obżarstwa dopełniał więc hazard. I nic dziwnego, że nie chciano słyszeć o żadnych zmianach. Prywata rządziła jako zasada. Mimo to - Królestwo trwało. Ba, trwało wśród sąsiadów, władców umacniających swój absolutyzm, którzy rozbudowywali swe armie i zaplecze zbrojeniowe dla nich. Szlachta zaś Królestwa i mówiąca już po polsku szlachta Wielkiego Księstwa Litewskiego, z rzadka znająca język Rusi, a już wyjątkowo - litewski, utrwalały się w przekonaniu, że „Polska nie rządem stoi", że dzięki jej bezrządowi sąsiedzi sami są zainteresowani w takim jej bycie, dla swobody handlu i swobody ruchu na jej ogromnym i chłonnym terytorium! Carat zresztą przez czas długi nie zmieniał status quo nawet przejętych od Rzeczpospolitej ziem, granice nie miały znaczenia: na Smoleńszczyźnie aż po drugą połowę XIX wieku wszystkie prawie majątki należały do polskiej szlachty i w tej drugiej połowie XIX wieku, w krainie od dawna już carskiej, niemal wszystkie dwory, rzecz nie do wiary, mówiły po polsku! Pamiętniki wielkiej matematyczki rosyjskiej polskiego pochodzenia, Soni Kowalewskiej, wspominają, że jej ojciec, generał carski polskiego pochodzenia Korwin-Krukowski, kupiwszy w latach pięćdziesiątych XIX wieku majątek w Smoleńskiem, nauczyć się musiał na nowo po polsku, żeby składać obowiązkowe kurtuazyjne wizyty w okolicznych dworach...

Więcej obaw niż państwa ościenne budziły oddziały wojska, stacjonujące po niektórych miastach. Jak to opisywał ów biskup płocki, Ludwik Załuski, nie tylko zdzierały bezprawnie rozmaite opłaty, swoiste cła, ale zdarzało się, że otwarcie rabowały na rynkach wystawione towary, od ryb i mięsa po świece i piwo, rozwydrzone żołnierstwo potrafiło

włamywać się do kramów, bić mieszczan, katować za opór chłopów, a nawet przy jakiejś awanturze – zabić, co spotkało i dwóch podstarościch pod Sochaczewem. Nie lepsze były i wprowadzone do Królestwa saskie wojska Augusta II, z pobieranymi dla nich „kontrybucjami". Prof. Józef Gierowski, wielki historyk epoki „saskiej", odsłonił ze szczegółami, na co bezkarnie pozwalały sobie oddziały różnych wojsk. Nie był to jednak obraz powszechny, ani straty aż tak duże, inaczej miejscowi posesjonaci uruchomiliby swoją lokalną sprawiedliwość. Gdańsk, solidnie ufortyfikowany, z dwu i pół tysiącem własnych, dobrze uzbrojonych żołnierzy, po prostu obcego wojska nie wpuszczał. Co ciekawe, z dzielnicowych sejmików „generalnych" działał regularnie tylko sejmik Prus Królewskich, czyli Pomorza, Warmii i Mazur, a biskup warmiński, zostawszy wielkim kanclerzem koronnym, Andrzej Chryzostom Załuski, odebrał królowi Prus zagarnięty Elbląg…

Agresję awanturników rozładowywały konflikty sejmikowe z popisami zadzierzystych szlachetków, czasem nie umiejących nawet i czytać, ale mocnych w szabli i w pysku. Ogólną ciemnotę łagodziła chyba tylko polska dobroduszność i jedynie dzięki temu, choć wierzono w czary, nie wybuchła w Polsce jakaś masowa gorączka antyfeministyczna, znana z krajów Zachodu…

Żadnych więc dosłownie przesłanek odrodzenia. I trudno właściwie wyjaśnić, dlaczego i jak zawiązała się jednak swoista „zmowa oświeconych". Czy to znak, że łatwiej do rozwoju wracać z demokracji, nawet zdegenerowanej, niż z absolutyzmu? Z dawnych potęg Renesansu ani Hiszpania, ojczyzna geniuszy Cervantesa i Calderona, ani Turcja nie podźwignęły się ze swego rozkładu aż po wiek XX.

Od niewielu osób się zaczęło. Właściwie od dwóch magnackich rodzin. Kolejnymi biskupami płockimi byli kolejni Załuscy. Przed cytowanym biskupem Ludwikiem – ów Andrzej Chryzostom, mąż stanu, od 1702 r. kanclerz wielki koronny, którego po paru latach August II… uwięził za domniemane kontakty z Leszczyńskim. Już ten Załuski był umysłem wybitnym, zostały po nim cenne mowy i zbiór dokumentów historycznych, które zdążył opublikować za życia. Dodajmy jego następców, dwóch niezwykłych braci Załuskich, też biskupów. Ci zaczęli od zwalczania procesów o czary. Z latami przeprowadzą potępienie tortur i wymuszanych zeznań. Starszy z nich, dla współczesnych - Stanisław Załuski (choć na pierwsze imię miał Andrzej), przez jedenaście lat kanclerz wielki koronny, próbował już reform. Obaj z bratem obeznani z Zachodem, nie ulegli wzorom Wersalu, zostali pionierami nowych myśli, gospodarności i rzetelności.

Młodszy od Stanisława Załuskiego o dwa lata, zaprzyjaźniony z nim August Czartoryski, magnat jeden z najbogatszych, uchodzi za twórcę „Familii". W dość ogólnym przekonaniu było to jedyne w swym rodzaju stronnictwo polityczne, złożone pozornie z jednej tylko rodziny. „Familia" była w rzeczywistości epitetem szyderczym, przynoszącym ujmę jej środowisku - podczas, gdy takimi samymi „stronnictwami" były też inne, wielkie, a bogate rody magnackie, na ogół Czartoryskim niechętne, każdy ze swoimi „klientami". Czartoryscy poruszyli przeciw sobie opinię szlachecką, opowiadając się za reformami państwa. Wśród Czartoryskich zdarzali się już wcześniej apostołowie zdrowego rozsądku, pamiętamy list pasterski biskupa kujawskiego, Floriana, przeciw procesom czarownic. Teraz biskup poznański, Teodor Czartoryski, podnosił ducha Konfederacji Warszawskiej - listem pasterskim w 1739 r. polecił dwa razy do roku z ambon ogłaszać, że „nikt pod pretekstem żarliwości o wiarę ważyć się nie ma lub słowem lub uczynkiem dyssydentów z jakiejkolwiek racyi afrontować i napastować".

Stanisław Załuski z urzędu kanclerza zszedł w roku 1746 na biskupstwo krakowskie. Miało to biskupstwo 15 miast i 245 wsi, dochodów kilkaset tysięcy dukatów rocznie, biskup Załuski mógł więcej niż kanclerz wielki koronny. Inwestował. Budował - przemysł stalowy. Ze zmysłem fachowca: jego korespondencja z przyjacielem, innym pionierem gospodarności, wojewodą poznańskim, Stefanem Garczyńskim, zawiera pytania o rynek tak fachowe, że nie powstydziłyby się ich dzisiejsze badania rynkowe.

Młodszy, Józef, biskup kijowski, bibliograf i bibliofil, zgromadził przy współpracy z bratem ogromną bibliotekę - z czasem największą w Europie, z dwustoma tysiącami tomów, podczas gdy Getynga dopiero z końcem XVIII wieku uzbierała 120 tysięcy tomów, a biblioteki British Museum jeszcze w ogóle nie było. Gromadził te zbiory nie dla siebie; w roku 1747 uczynił tę nieocenioną bibliotekę - biblioteką publiczną. Wiedza, dostępna dzięki niej, miała zmieniać Polskę. Olbrzymia ta biblioteka, zrabowana i wywieziona przez Suworowa po klęsce Powstania Kościuszkowskiego do Petersburga, nigdy do Polski w całości nie wróciła. Do dziś przetrwałych po drugiej wojnie światowej, jej pozostałych w Petersburgu zasobów nie zmikrofilmowano, ani w naszych czasach nie zeskanowano. Pewna część uległa pożarowi, od którego szczęśliwie uratowano resztę.

Nie doceniamy innego jeszcze, nieoczekiwanego postępu – wraca stopniowo piękny, czysty język polski. Załuski wydaje poezje, prawda, że nie wysokiego lotu, choćby Elżbiety Drużbackiej, uroczej pani wdowy, zamożnej, gospodarnej, obracającej się po śmierci męża na magnackich dworach. Sprawnie to, śliczną polszczyzną pisane - pisane wtedy, gdy cała Europa w dobrym towarzystwie mówi tylko po francusku, a sam Fryderyk Wielki, potężny król pruski, który w roku 1740 zabrał Austrii Śląsk, nie zniża się do niemczyzny...

Z tego samego pokolenia co Załuscy, choć nie z takich wyżyn społecznych, wywodził się też ów przyjaciel ich obu, Stefan Garczyński. Jego ojciec, średniozamożny szlachcic, przeniósł się z Prus Królewskich do Wielkopolski. Wżenił się tu w znaczną rodzinę, syn jednak nie wziął po nim wiele. I nie miał nawet kogo naśladować. Mimo to on zapoczątkował w Wielkopolsce Oświecenie.

Teraz przyjrzymy się najważniejszemu kandydatowi do tytułu ojca odrodzenia Polski. Młodszy Załuski zasadził był starszego od siebie o dwa lata, trzydziestoletniego pijara po studiach w Rzymie, Stanisława Konarskiego, do szczególnej pracy. Konarski przez siedem lat składał i wydawał w latach 30-tych XVIII w . za pieniądze biskupa Załuskiego sześciotomowe słynne *Volumina legum*, zbiór tekstów dawnego polskiego prawa. Gromadząc je, zetknął się po raz pierwszy z obrazem zupełnie innej, zapomnianej przez poprzednie pokolenia Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ta zamarła Rzeczpospolita zmieniła umysł i wyobraźnię ojca Konarskiego.

Poznajmy zaś jeszcze jednego partnera przemiany, do dziś ignorowanego, który Konarskiego walnie uzupełnił. Pewien kupiec gdański posłał syna do Gniewa, by się przed gimnazjum nauczył po polsku. Ten syn, Gotfryd Lengnich, doktor obojga praw, został wielkim historykiem... polskim. W przedmowie do jego „Polnische Bibliothek" czytamy – po niemiecku! – „Czas już zaiste, gdy inne narody dzieje swych przodków ze szczególną roztrząsają pilnością, aby i Polacy ujęli pióra i naśladowali tak chwalebne przedsiębiorstwo... Często rozmyślałem nad niedbalstwem moich ziomków i sądziłem, że należy dzieje mojej ojczyzny oczyścić z prostych kłamstw, a pozostawić je w świetle prawdziwym" (tłum. Maria Dunajówna). To on odkrył i opublikował pierwszą kronikę polską – czyli „Galla-Anonima"! Także inne źródła. Dwa zaś potężne tomy zbioru Lengnicha *Ius publicum Regni Poloniae* ukazały się w roku 1742-46 i to on,

zaprzyjaźniwszy się z regimentarzem koronnym, Stanisławem Poniatowskim, był nauczycielem jego synów, w tym - Stanisława Antoniego, przyszłego króla Stanisława Augusta! Lengnicha łacińskiej „Historii Polski od Lecha do śmierci Augusta II", ani kontynuacji dziewięciotomowej historii „Kraju Pruskiego w części królewsko-polskiej", do dzisiaj, swoją drogą, nie przetłumaczyliśmy – a należy mu się poczesne miejsce w historii Polski... Wyobraźnia polityczna przyszłego Stanisława Augusta w dużej mierze pochodziła od mądrego Gotfryda Lengnicha.

W 1749 r. dotarł do kraju anonimowo Leszczyńskiego „Głos wolny wolność ubezpieczający". Garczyński swoją „Anatomię Rzeczypospolitej Polskiej" wydał w roku 1750. Trudno ją dziś czytać. Trudno było chyba i wtedy. Ale ten swoisty manifest kapitalistyczny Garczyński potwierdzał własnymi doświadczeniami w swych włościach w Zbąszyniu. I proponował nowe cnoty, z gruntu mieszczańsko-protestanckie. Do wpajania narodowi przez - duchownych! To oni powinni chłopów, tak, chłopów, nie tylko szlachtę, w „ekonomicznych informować okolicznościach". Materia to wprawdzie prosta, „ale Kościołowi Bożemu i ojczyźnie wielce pożyteczna" – zwłaszcza, gdy „się tego ichmość nie wstydzą, że w ich dziedzicznych dobrach i wszędzie dzieci zimą nago chodzą, a o to mówić wstydzą się". Bo „starają się najbardziej, aby jako najpiękniej w kościołach ich było, choć też za lub przed kościołem, po miastach, wsiach, kamienicach i domach nosy trzeba zatykać, oczy zamrużać, uszy zatulać".

Konarski pod wpływem swych odkryć i wpływem Załuskich uformował sobie długofalowy program odrodzenia kraju - poprzez edukację przyszłej elity. W roku 1740 założył w Warszawie *Collegium Nobilium*, „kolegium szlachty", szkołę z internatem, czyli „konwikt", jak to się wtedy nazywało.

W dziesięć lat później rozeszła się po kręgu znajomych Garczyńskiego jego „Anatomia". I wtedy też polski prowincjał zakonu pijarów, bo tak awansował Konarski, podjął dzieło reformy wszystkich szkół pijarskich w kraju. A mówiło się już wówczas otwarcie, publicznie, o trafności i wyższości teorii Kopernika. Uczniowie szkół pijarskich dzięki nauce wymowy uczyli się występować publicznie z obroną danych poglądów; jednocześnie wykładano im... podstawy fortyfikacji stałej i polowej. Ale też w swojej słynnej mowie o wychowaniu uczciwego człowieka i obywatela Konarski głosił:

„Nie potrzeba nam chodzić do wieszczków ani do wróżów, aby przepowiedzieli, jaka będzie Rzeczpospolita. Bezpieczniej i pewniej jest przewidywać, że będzie taka, jakie będą dzieci wasze, które ujmą kiedyś jej sprawy w swoje ręce".

Niechaj ktoś podważy trafność tej diagnozy przyszłości...

Wielu wpływowych współczesnych, nie ukrywajmy, nie lubiło Konarskiego. Nuncjusz papieski, Angelo Durini, przyjazny mu rzekomo, przeszkadzał Konarskiemu w rzeczywistości jak mógł. Jego poufna opinia brzmiała tak: „Konarski to człowiek wolnomyślny, w wierze obojętny, krzewiciel filozofii materialistycznej francuskiej. Zaprowadził w szkołach kierunek racjonalistyczny, postanowił zapewnić rozumowi przewagę zupełną nad wiarą".

Na racjonalizm Konarskiego zgoda, ale prawdziwy Konarski polemizował, i to żywo, z deizmem i ateizmem! Nieco inaczej, ale tyleż niechętnie, sportretował go francuski agent dyplomatyczny: „Błyszczy wśród ojców pijarów; gwałtowny i porywczy

w załatwianiu spraw, chce się do wszystkiego wtrącać, służy na zmianę różnym partiom i wkrada się do wszystkich domów z fałszywą maską dobrotliwości i szczerości, która zwiodła już wielu ludzi".

Wierzmy raczej Hugonowi Kołłątajowi, późniejszemu intelektualiście odrodzenia Polski: „cała praca Konarskiego przypada na czas największej u nas anarchii, gdzie żadnej od rządu nie miał pomocy; wszystko się zasadzało na jego u możnych wziętości i na sposobie łagodnym w postępowaniu" - dzięki czemu przekonał pijarów Królestwa, bo Litwy już nie. Własny zakon i w Rzymie piętrzył mu trudności. Konarski dostał się jednak do papieża - był nim wtedy pierwszy od lat wielu autentyczny chrześcijanin na tronie papieskim, Benedykt XIV, mędrzec i bibliofil, prawnik, odnowiciel Kościoła, człek dobry i z otwartą głową. Poparł Konarskiego. Dla odrodzenia Polski i on, nieobecny w naszej historii, położył niemałą zasługę.

Wyłożył swe „credo" Konarski w słynnej mowie o historycznej dla mnie wadze, takiej, jak owe kazanie Stanisława ze Skarbimierza „o dobrym państwie":

„Ty - pamiętam - powiedziałeś, że nie widzisz, co takiego dali Rzeczpospolitej w tych zepsutych i nieszczęśliwych czasach ci, którzy jak ja poświęcili cały swój wysiłek na to, aby ją wspomagać i wspierać. Wszystko stacza się w przepaść i zostawimy naszym potomkom Rzeczpospolitą w
gorszym stanie, niż ją otrzymaliśmy. Stąd, zdaje się, twoja niechęć i odraza do spraw publicznych i skłonność raczej do życia prywatnego. Gdyby wszyscy dobrzy obywatele tak myśleli, tak mówili, tak czynili, wtedy nasza Rzeczpospolita wpadłaby niewątpliwie w ręce złych i przeniewiernych; ci
zaś, zagarnąwszy władzę, jakąż przestrzeń zostawią w całym państwie dla dobrych? (...) Nigdy nie należy tracić nadziei, jeśli chodzi o Rzeczpospolitą".

Właśnie.

28. KIEDY WSZYSTKO OKAZUJE SIĘ MOŻLIWE

Konarski nie był sam. Miał dwóch braci, jak on - pijarów, na których zawsze mógł liczyć. I grono współpracowników oddanych sprawie. Początkowo - tylko siedmiu. Ale prędko ich przybywało.

Jezuici, rządzący duszami szlachty, najpierw reagowali wrogo, ale już po dwóch latach przeszli zapaleni, pełni inicjatywy, na stronę Konarskiego - jesienią 1752 r. ruszyło w Warszawie ich własne kolegium, które programem nauk ścisłych nie ustępowało pijarom! Doświadczenia fizyczne demonstrowali na sejmikach i spotkaniach szlachty, uczyli... zakładania wodociągów, ich uczniowie dyskutowali o tym w obecności panów rodziców, wypróbowując modele i odpowiadając na pytania widzów. W Poznaniu wykładał Newtona ks. Józef Rogaliński, po studiach we Francji, autor parokrotnie wznawianego podręcznika fizyki eksperymentalnej. Uczył także - fortyfikacji. Bez lęku już chwalono wyklinanego jeszcze niedawno Kartezjusza, onże XVII-wieczny ojciec racjonalizmu był pewny, że wszystko, co materialne, da się wyjaśnić poprzez fizykę, wspomaganą matematyką. W szkołach jezuickich studiowano jego słynną „Rozprawę o metodzie" i prace z geometrii, optyki i fizjologii. Prawdopodobnie też to polscy jezuici stali się, o paradoksie, ostoją masonerii, czyli „wolnomularzy" – tajnego ruchu anonimowych zwolenników Oświecenia, wrogich feudalizmowi i jego stanowym, także kościelnym strukturom. Pierwsza polska „loża" powstała wcześniej, w roku 1721, Boga nazywali Wielkim Architektem Wszechświata, bo nazwa całego ruchu wzięła się od cechu rzemieślników pracujących w budownictwie, głównie w kamieniu. Przebudowa świata była rzeczywiście pracą w kamieniu.

Idee Konarskiego obracały się stopniowo - w działania polityczne. Niemniej wśród rywalizujących o wpływy rodów magnackich jeden krąg tylko, nazwany, jak wiemy, odpychająco „Familią", wybrał sobie jako dźwignię swoich wpływów - postęp i reformy. Czartoryscy, choć z wojewodami i biskupami już w XVII wieku, byli potęgą nową, zrodzoną z bogactw kresowych: August Czartoryski zyskał wzajemność wdowy Denhoffowej, z domu Sieniawskiej, a z nią – jej olbrzymie dziedziczne włości, którymi świetnie zarządzał. Pozyskał też postać niezwykłą, choć ze szlachty prawie zaściankowej - Stanisława Poniatowskiego i wydał zań, w oczywistym mezaliansie, starszą siostrę, nie mniej biegłą w polityce niż bracia. Któż to był ten Poniatowski, którego poznaliśmy jako przyjaciela takiego mędrca jak Lengnich? Nie żadne wtedy ambitne chłopię, a starszy o 20 lat od trojga Czartoryskich wojak znakomity, oficer armii austriackiej w wojnie z Turkami, potem z adiutanta „boga wojny", Karola XII, generał jego wojsk, wsławił się, pod Połtawą ratując mu życie. Jak ceniono kwalifikacje Poniatowskiego, jak się z nimi liczono, dowodzi najlepiej wiadomość, że przekonał Turcję do wojny z Rosją!

Profesjonał wojskowy tych czasów mógł, byle z należytą elegancją, przejść na stronę przeciwnika. Generał Poniatowski, wróciwszy do kraju, bardzo spodobał się wspieranemu przez cara Augustowi II Mocnemu, pasjonującemu się wojskiem. Awansował kolejno w jego służbie, a podobały mu się absolutystyczne projekty Augusta. Został podskarbim wielkim litewskim, potem - wojewodą mazowieckim. Po śmierci Augusta poparł Stanisława Leszczyńskiego, ale po jego przegranej złożył hołd nowemu Wettynowi. I to on, Poniatowski, wraz z hetmanem wielkim koronnym, Andrzejem Stanisławem Załuskim, sformułował w 1744 r. program „Familii" w zapomnianej broszurce „List ziemianina". Jaki był w nim udział jego przyjaciela, owego milkliwego protestanta, Lengnicha, nie wiemy... „Familia" była przeciw *liberum veto*, za rozwojem manufaktur i miast, za reformą

skarbu, za mniejszym obciążeniem chłopów i mieszczan. Próbowała dogadać się z królem, który nigdy nie nauczył się po polsku i tylko żył po polsku, na bardzo szerokiej stopie. August III w 1752 r. dał 76-letniemu Poniatowskiemu najwyżej ceniony urząd w Rzeczypospolitej – kasztelana krakowskiego, z odpowiednią „królewszczyzną"... W tytułach stał wyżej niż kanclerz wielki litewski, Michał Fryderyk Czartoryski, czy „generał ziem podolskich", tj. starosta generalny ziem podolskich, August Czartoryski. Ale potęga bogactwa była przy nich.

Jacy byli ci Czartoryscy? Kilka rodów magnackich zaciekle próbowało rozdrapać dobra ordynacji Ostrogskiej, te same dobra, które Halszkę Ostrogską kosztowały jej szczęście w XVI wieku, teraz - dwadzieścia jeden miast i 568 wsi. Miały przypaść zakonowi kawalerów maltańskich, ale prawnik, bogato uposażony przez Augusta Czartoryskiego, tak potrafił manipulować spadkobraniem, że „klucze", majątki o wielu wsiach, i miasta przypadły właściwym magnatom, a „szlachcie posłującej zatkano usta wioskami", jak zapisał Kajetan Koźmian. Czartoryscy, już z planami odbudowy państwa, nie zaniedbywali, jak widać, interesów. Ba, zajechali dom wdowy po Lubomirskim, by odebrać ukryty ponoć testament, oddający Czartoryskiemu opiekę nad jego synkiem i jego spadkiem. Obyczajów nawet nie dało się pilnować: syn Stanisława Poniatowskiego, Kazimierz, próbujący stworzyć własne stronnictwo, cieszył się najgorszą w Królestwie opinią jako hulaka, nicpotem i hałaburda; w nieuczciwym pojedynku zabił mecenasa Konarskich, wojewodę lubelskiego, Adama Tarłę. Zakazy królewskie i kary za pojedynek już się nie liczyły.

Niemniej tylko oni, Czartoryscy, wykształceni, znający świat, podjęli ideę reform. I co więcej, uwierzyli w konieczność i szansę odbudowy państwa. Związał się z nimi dlatego jeden z najbardziej szanowanych ludzi w Królestwie, wykształcony prawnik, kanclerz wielki koronny, ich powinowaty, Jędrzej Zamoyski, człowiek z tak bogatego domu, że nie potrzebował już niczego więcej. I był przy nich najmłodszy syn Stanisława Poniatowskiego i jego Konstancji z Czartoryskich, Stanisław Antoni, umysł wręcz wybitny, wszechstronnych zainteresowań, wychowanek Lengnicha. Wysłany do Petersburga na dwór carski jako poseł Familii, piękny młodzian uwiódł niemiecką księżniczkę, żonę następcy tronu, przyszłą carycę Katarzynę, ale pozycję w gronie Familii zawdzięczał wyłącznie swym zdolnościom.

Do dziś dnia jego postać jak i ród Czartoryskich budzą wśród historyków uczucia najzupełniej sprzeczne - od podziwu po nienawiść za ich grę z Petersburgiem. Był Stanisław Antoni osobowością twórczą i - talentem literackim, o zmyśle obserwacji rasowego reportera. Z jego niedocenionych po dziś dzień pamiętników dam króciutki urywek o jego wyborze na posła:

„...dla dojścia do tego lichego posłowania, trzeba było co dwa lata nadskakiwać kilku secinom ludzi, którzy wprawdzie z urodzenia mogli nazywać się szlachtą-posesjonatami takiego lub innego powiatu, ale z których połowa zaledwie umiała czytać, a daleko większa część służyła dawniej, lub obecnie zostawała na usługach u tych samych magnatów, co też ubiegali się o ich wota dla siebie albo swych dzieci".

Wiedział więc, komu przyszło by mu królować... Na tron polski wyniósł go swoisty zamach stanu, przeprowadziła go Familia dzięki wejściu wojsk carycy w granice Rzeczpospolitej, dzięki nietajonemu jej poparciu. Nie oddano tronu żadnemu z Czartoryskich, wywołałoby to zbyt gwałtowny opór przeciwnej magnatom szlachty. Mogła zaakceptować 32-letniego szlachcica, który umiał być lubianym.

Na niechętnych podziałało - złoto; opornego prymasa jako „interrexa" podczas bezkrólewia po prostu - kupiono. Skupiły się w Warszawie wojska koronne pod dowództwem hetmana wielkiego koronnego; przyszły i prywatne pułki Radziwiłłów. Wybór Stanisława Antoniego, słowem, wymuszono. W jakimś sensie także na nim samym, bo jednak miał skrupuły.

Ukoronować się dał w roku 1764 jako Stanisław August - następca saskich Augustów. Wrócił wtedy do kraju jego młodszy brat, zawodowy wojskowy jak ich ojciec, już dzięki swym wojennym zasługom feldmarszałek austriacki, Andrzej. Temu rok wcześniej urodził się w Wiedniu przyszły legendarny książę Józef. Będzie ten Andrzej Poniatowski w Wiedniu posłował jako wysłannik króla Polski. Zemrze jako – książę Rzeszy. Książę Rzeszy nie przeżyje rozbioru Polski z udziałem jego Austrii.

Rok przed wyborem Stanisława Augusta, w roku 1763, ukazał się ostatni tom przełomowego dzieła Stanisława Konarskiego „O skutecznym rad sposobie" - z krytyką *liberum veto*, za głosowaniem większością. Przeciwko reformom zawiązała się prawie natychmiast - „partia patriotyczna". Drukowała dziesiątki polemicznych pisemek i broszurek. Dawny protektor Konarskiego, biskup Kajetan Sołtyk, dostrzegł w usunięciu *liberum veto* groźbę rządów absolutnych i wzywał do interwencji - ni mniej ni więcej - państwa ościenne! Nie miała wszelako „partia patriotyczna" żadnego kandydata do tronu, ani pieniędzy na kupowanie zwolenników. Familia miała. Katarzyna zaś doprowadziła do obalenia i zabójstwa swego męża, cara Piotra III – trochę niedorozwiniętego umysłowo, adoptowanego przez ciotkę, carycę Elżbietę, był księciem Holstein-Gottorp, Romanowem już tylko po matce, Annie, córce Piotra Wielkiego. Objęła Katarzyna po nim tron carski. Przemyślna, wyrachowana i cyniczna, sprzyjała jakby reformom w Polsce - podobno z myślą o polskim udziale w wojnie z Turcją. Możliwe. Myślę, że jej nie doceniamy.

Były kochanek szybko stracił jej wyrozumiałość. Zapoczątkowane zmiany bardzo zaniepokoiły warszawskich rezydentów mocarstw ościennych. Powstała pod nazwą Szkoły Rycerskiej szkoła oficerów przyszłej armii, przyszłych fachowców wojny, jednocześnie - sprawnych szermierzy, strzelców i artylerzystów. Z nią, tą szkołą, narodzi się i nowa tradycja militarnych kwalifikacji w Polsce. To dzięki niej Polacy na dwa stulecia zostaną „urodzonymi wojskowymi".

Rodzi się myśl państwowa - wraz z instytucjami państwa. Już podczas bezkrólewia sejm zalecił przygotowanie reformy monetarnej. Krążyły po kraju bite w mennicy saskiej, kiepskiej próby monety z wizerunkiem króla Polski, obok nich - niemieckie, austriackie, francuskie, a nawet moskiewskie, hiszpańskie i tureckie. Pruski Fryderyk Wielki w swoim cynizmie zalewał resztę Niemiec i Polskę monetą fałszywą - jego spodlone talary nieomal doprowadziły do krachu Bank Hamburski, najpoważniejszy bank Niemiec. W styczniu 1765 r. sejm powołał komisję menniczą pod władzą obu kanclerzy, koronnego, czyli Jędrzeja Zamoyskiego, wielkiego promotora reform, i litewskiego, czyli Michała Czartoryskiego, członka Familii. W 1766 r. ruszyła w Warszawie mennica „srebrna". „Złoty polski", do tej pory waluta jedynie rozliczeniowa, umowna, pojawił się w namacalnej, „twardej" postaci!

Sejm, który wybrał Stanisława Augusta królem, utworzył pierwsze ministerstwa skarbu, czyli komisje skarbowe, koronną i litewską. Miały się zająć całością gospodarki, od pieniądza aż po budowę portów i kanałów.

Wprowadzono jednolitą dla wszystkich, bez przywilejów dla szlachty i duchowieństwa, taryfę celną, „cło generalne" - sukces częściowy, niestety, gdyż po dwóch latach szlachta i duchowieństwo wywalczyły sobie jednak zwolnienie od niego. Zniesiono jednak wszystkie wewnętrzne cła i myta - co udrożniło rzeki, eksport przez Gdańsk od razu się zwiększył. Pocztę, którą przywrócił August III, Stanisław August uposażył z królewskich funduszy i uporządkował ustawą w roku 1766. *Pacta conventa* zapowiadały bowiem, że „poczty nie mają przynosić korzyści generałom-pocztmistrzom (...), ale nadal będą stanowiły stołowy dochód królewski".

Zarządzono reformę podatków i utworzono komisję długów państwowych, by zbadać, co się komu naprawdę należy (pretensje sięgały jeszcze wieku XVII!), i podjąć ich spłatę.

W marcu 1765 roku ruszył na nowo tygodnik „Monitor", pismo reform. Redagował go z królem jego nowy, młodszy odeń, bliski trzydziestki przyjaciel. Znakomity publicysta, kanonik ze święceniami, były uczeń szkół jezuickich, to przyszły poeta i satyryk, Ignacy Krasicki; król zrobi go, żeby nie miał kłopotów finansowych, biskupem bogatej Warmii. Drugi współredaktor to Franciszek Bohomolec, prefekt drukarni jezuickiej, ale znany już komediopisarz. Do „Monitora" pisuje anonimowo i król. Pismo to potężna broń. Będzie kształtowało - albo i wzburzało! - opinię szlachty, przynajmniej - tej czytającej. Nie nakładem działało. „Gazetki pisane" warszawskich korespondentów dla prowincjonalnych dworów streszczały, omawiały lub cytowały teksty „Monitora". Czytelnicy upowszechniali informacje.

To epoka rewolucji przemysłowej w Anglii. I w ciągu tylko pierwszych trzech lat panowania Stanisława Augusta rodzi się w Polsce przemysł - od manufaktur włókienniczych po huty żelaza. Ruszą fabryki broni. Uchował się znakomity sztucer z Kozienic, o gwintowanej lufie, konstrukcji szefa tej fabryki, Andrzeja Kownackiego - jeszcze w próbach XX wieku dawał minimalny rozrzut u celu! Po kilkunastu latach zaniepokojony Fryderyk Wielki, wróg Polski najniebezpieczniejszy, każe swoim fachowcom opracować specjalny raport o hutach polskich.

W odludziach wysokich Tatr wysłani tam ludzie króla polskiego znajdują nowe, obiecujące złoża srebra, ich famę plotka wyolbrzymi i sprowokuje łapczywość Austrii... Rzeczpospolita już od dawna budziła swymi bogactwami nienasyconą zazdrość sąsiadów. Te uczucia najlepiej wyraża piosenka, którą śpiewano w Prusach Fryderykowi Wielkiemu (cytuję za Jerzym Topolskim):

„Twoja zapobiegliwość jest znana,
Wielki Fryderyku, Wielki Królu,
Bowiem w naszej ojczyźnie
Dużo ludzi, a mało dóbr.
A tam gdzie można by zbierać plony,
Przychodzą jelenie i dziki.
Miód jest jak cukier słodki,
Nie można go jednak znaleźć.
Dlatego powstań i
Skacz przez kamienie i pola -
Do polskiej krainy Kanaan,
Gdzie spotka się miodu dosyć".

Sąsiedzi tego Kanaan dysponowali największymi ówcześnie wojskowymi siłami Europy. Utalentowani generałowie ogromnych armii Rosji umieli w swoich prostych żołnierzach z ludu wzbudzić ambicję zwycięstw. Krwawymi szturmami brali twierdze tureckie, bijąc wojska sławione w ówczesnych podręcznikach wojskowych Europy - studiowałem te podręczniki, nasza Biblioteka Narodowa ma ich zbiory parokroć bogatsze niż paryska Biblioteque Nationale, dzięki temu, że nasi zamożni patrioci skupowali je w XVIII wieku na polski użytek. Czytać je mieli przyszli polscy generałowie i oficerowie...

Fryderyk Wielki, uwodzący swym intelektem Woltera, filozofa o nazwisku symbolicznym dla epoki Oświecenia, pasjonował się nieustannym szkoleniem swych piechurów - bezlitosną dyscypliną kija. Wychodząc na pozycje, rozwijali oni bezbłędnie szyk, wyćwiczonymi ruchami automatów nabijali od przodu swoje prymitywne jeszcze karabiny skałkowe, gładkolufowe, i co pół minuty oddawali salwę – jak ci piechurzy Karola XII! Przegrywały z nimi armie króla Francji. Fryderyk zaś dość dawno, po roku 1740 r., na zabranym już Austrii Habsburgów Śląsku budował swój przemysł zbrojeniowy. Potem i Habsburgowie postarają się wzmocnić swoją armię. Podczas gdy Królestwo Polskie armii prawie nie ma.

Czy ludzkie automaty Fryderyka dowodzą wyższości monarchii absolutnej? Koronie angielskiej niemieckie książątka o władzy absolutnej sprzedawały wyszkolonych zawodowców do walki z amerykańskimi amatorami wojny, którzy bronili świeżo wymyślonej niepodległości „stanów", czyli państw Ameryki Północnej. Tych wspomogą nieliczni, ale kwalifikowani wojskowo Europejczycy, wśród nich znakomity inżynier wojskowy, Tadeusz Kościuszko, i oficerowie francuskiego Korpusu Inżynierów. Kupne wojsko, doskonałego wojennego rzemiosła, przegra w Ameryce. Po dalszych dwudziestu latach Rewolucja Francuska z obywatelem-patriotą jako żołnierzem będzie biła najlepiej wyszkolone formacje Austrii i Prus.

Niemniej mocarstwa wokół Królestwa były naprawdę mocarstwami. Z doświadczonymi politykami w służbie rządzących dworów. Ich przebiegli dyplomaci umieli ze zręcznością wirtuozów grać na ciemnocie politycznej polskiej szlachty. Dzielić Polskę wewnętrznie udawało się im niesłychanie łatwo. Po paru latach zawiązała się w obronie dnia wczorajszego, przeciw reformom, konfederacja szlachecka pod hasłem walki... z carskim mianowańcem, zwana Konfederacją Barską - oczywiście na Kresach ukrainnych. Wybuchła wojna domowa, rozbijając państwo bratobójczym przelewem krwi. Szlachta polska nie umiała się już bić, przyszły interwencyjne korpusy carskie i regularnie spuszczały jej wnyki. Skutecznie tylko dowodził swymi partyzantami Kazimierz Pułaski. Zamieszany w spisek dla porwania króla, musiał uciekać z kraju po klęsce Konfederacji. Udał się do Ameryki. Bohater Rewolucji Amerykańskiej, przekazał Ameryce kresową sztukę jazdy i walki konnej, nawet ze znikaniem jeźdźca pod brzuchem konia! Jako dowódca odniesie kilka sukcesów. Zginie w szturmie na angielską twierdzę w Savannah. W Polsce bronił głupoty. Złej głupoty.

Patriotyczna historiografia polska razem z romantyczną literaturą rozwijały kult Konfederacji Barskiej jako niepodległościowego czynu zbrojnego. Nie widziano w niej warcholstwa, zabójczego dla odradzającej się państwowości. Tym mniej uwagi wiązano ze strasznym buntem ludu, który Konfederacja Barska wywołała parę miesięcy później - tam, na Ukrainie. Katarzyna, wbrew podejrzeniom, nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Obawiałaby się zarażenia Rosji duchem rebelii, a po niedługim czasie i tak wybuchł bunt jej chłopów pod wodzą Jemieliana Pugaczowa, największy w historii...

Ukraińską eksplozję chłopską, co się przemilcza, można przypisać tylko jej - Konfederacji Barskiej. Chciała swych prawosławnych poddanych zrobić „unitami" i Kozacy pospołu z chłopami Ukrainy ruszyli bronić swej wiary. Ten bunt nazwano „hajdamaczyzną" lub „koliszczyzną". „Hajdamaka" to od osmańsko-tureckiego *hajdamak*, napadać, grabić. Wedle tradycyjnej wersji historii już w połowie XVIII wieku watahy po kilkuset Kozaków z Siczy Zaporoskiej grabiły dwory szlacheckie, żydowskie karczmy i zagrody bogatszych chłopów, a nawet miasta. Coś tu się nie zgadza. Słowo „koliszczyzna", po ukraińsku - „kolijwszczyna", pochodzi od straży, jaką trzymali „kolejno" przy dworze uzbrojeni chłopi - na pewno nie dla ochrony przed kilkusetosobowymi watahami. Na miejscowy zaś bandytyzm szlachta nie pozwalała, także rozwydrzonym samym szlachcicom. Sądzę, że hajdamacy, jeśli już, to napadali jak dawniej, spływając swoimi czajkami, ziemie sułtanatu nad morzem Czarnym. Zbuntowali się więc teraz „hajdamacy" razem z uzbrojonymi ruskimi chłopami z „kolijwszczyny". Pod dowództwem Maksima Zalizniaka (Żeleźniaka dla Polaków) głęboko pobożnie rżnęli „Lachiw, popiw i żidiw", w zdobytym Humaniu - wszystkich, włącznie ze starcami i dziećmi. Wysłany przeciw buntownikom setnik oddziałów kozackich domu Potockich, Iwan Gonta, przeszedł na ich stronę.

Ruszyły przeciw nim wojska carskie i polskie, generał carski, Piotr Kreczetnikow, ujął podstępem przywódców i oddał zakutych wojewodzie kijowskiemu, Stempkowskiemu, ten ich ściął, jak ścinał w zemście nad wykopanymi dołami całe wsie, zwalając do tych dołów odrąbane głowy, aż właściciele wsi protestowali przeciw pozbawianiu ich rąk do pracy... W parę lat później caryca Katarzyna kazała zlikwidować Sicz Zaporoską, jej ziemie rozdać prywatnym właścicielom, ogromną zaś część Kozaków otoczyła swym wojskiem, przesiedliła na Kubań i nad morze Czarne. Ukraina z kozaczyzną przestała istnieć jako temat i problem na dwa stulecia.

Kiedy niedobitki Konfederacji Barskiej uchodziły za granicą, a „koliszczyzna" utonęła we własnej krwi, mocarstwa ościenne, Rosja, Prusy i Austria, dokonały w 1772 roku pierwszego formalnie rozbioru Polski, uzasadniając go „całkowitym rozkładem państwa".

Główny architekt rozbioru, Fryderyk Wielki, zagarnął Prusy Królewskie i Pomorze - by uczestniczyć w polskich dochodach z eksportu zboża przez wrogi mu Gdańsk, na razie jeszcze zostawiony Polsce. Drakońskie pruskie cła wiślane będą drenowały gospodarkę polską - nim Prusy pójdą dalej w swojej chciwości.

Austria nie czekała, przed ogłoszeniem rozbioru zajęła Tatry z wymarzonymi kopalniami srebra, których tam... nie znalazła. Potem anektowała całą południową Polskę z jej ruskimi ziemiami aż po Zbrucz. Od dawnych księstw halickiego i włodzimierskiego nazwie tę dzielnicę „Królestwem Galicji i Lodomerii". Nie objęła nią starej stolicy Polski, Krakowa, ale zabrała, rzecz jasna - żupy solne Wieliczki i Bochni, dotychczas niewyczerpane źródło dochodów Korony Królestwa Polskiego. Bo w tym rabunku chodziło naprawdę, rzecz jasna - o dochody...

Rosja Katarzyny zabrała na razie niewiele: ziemie północno-wschodnie Rzeczpospolitej, na wskroś ruskie i rosyjskie, choć ze spolonizowaną w zupełności szlachtą, tamtejszymi właścicielami ziemskimi.

Rozbiór to nie pierwsza i nie ostatnia katastrofa Królestwa Obojga Narodów. Katastrofa ekonomiczna i polityczna. Koniec złudzeń co do bezpieczeństwa państwa, które „nie rządem stoi". Jednakże, o dziwo, katastrofa nie tylko nie paraliżuje postępu w Polsce, ale wręcz go pobudza. Ani Stanisław August, ani jego sojusznicy nie poddają się. Już

następnego roku powstaje Komisja Edukacji Narodowej, swoiste ministerstwo oświaty, jedno z pierwszych w Europie - powołali takie w Austrii cesarzowa Maria Teresa i w Prusach Fryderyk Wielki. I powstaje - program rozwoju szkół elementarnych; podręczniki dla nich zamawia się nawet u autorów z zagranicy. To zwycięstwo Oświecenia w Polsce. Komisja przejmuje szkoły jezuitów - w 1773 r. o kasacie ich zakonu zdecydował papież Klemens XIV, po tym, jak wydalili zakon królowie Portugalii, Hiszpanii i Francji; w ich rozumieniu jezuici stali się groźni swymi ambicjami praktycznej władzy w państwie. W Polsce byli zgoła inni - po kasacie zakonu podjęli role nauczycieli, pisarzy, publicystów, historyków o poglądach „oświeceniowych", bardzo masońskich... Pierwsze polskie loże masońskie powstały, jak pisałem, niedługo po Wielkiej Loży londyńskiej, w latach dwudziestych XVIII stulecia, ich roli w odrodzeniu Polski nikt na razie nie przebadał.

Buduje się teraz drogi, zaś król Stanisław August chce wzorem Anglii ziemie Rzeczypospolitej połączyć siecią tańszych dróg wodnych. Hetman wielki litewski, były konfederat barski, muzyk i kompozytor, Michał Ogiński, wróciwszy do kraju, kontynuuje za swoje pieniądze budowę kanału długości 52,8 km, od Niemna do Dniepru. Król finansuje Kanał Królewski, jeszcze dłuższy, 92,8 km, łączący dopływ Prypeci z dopływem Bugu. Oba więc kanały połączą Bałtyk z morzem Czarnym. Nie mamy historii tych wielkich robót... Inżynier i kartograf Stanisława Augusta, Franciszek Czaki, spolonizowany Węgier, zaprojektował i kanał Bydgoski, łączący Wisłę przez Noteć z dorzeczem Odry - przekopie go jednak w roku 1774, zająwszy Pomorze, Fryderyk Wielki, by skierować eksport polski także na Szczecin.

Obraz Polski zmienia się w oczach. W Warszawie, jak w Petersburgu, Berlinie i Wiedniu, mówi się i pisze po francusku. Literaturę czyta się francuską. Postęp czerpie się jednak z Anglii.

To Odrodzenie było pierwszą polską wielką odbudową. Pierwszą z sześciu takich zadań w historii ostatnich 250 lat. Z sześciu takich przygód optymizmu – opartego niemal wyłącznie na uporze.

29. OD NADZIEI DO KATASTROFY

W Polsce rodzi się - kapitalizm. Powiedziałbym, że nawet można określić dla tych narodzin datę dzienną: 13 kwietnia 1775 roku sejm uchwalił „konstytucję" sejmową „Ustanowienie prawa wekslowego". Od tego też roku szlachcie wolno już było formalnie uprawiać handel. I uchwalono pierwszy nowoczesny budżet, obejmujący wszystkie dochody i wydatki państwa, pierwszy taki w Europie obok angielskiego. Nie były to sumy ogromne - kilkanaście milionów złotych polskich, odpowiednik niecałego miliona dukatów, podczas gdy najbogatszy z Radziwiłłów, ekscentryczny oryginał i łgarz, Karol „Panie Kochanku", miał sam rocznie dochodu ponad trzysta tysięcy dukatów.

Weksle już w Polsce kursowały; miały swoje o nich ustawy Gdańsk i Elbląg, ale nie skuteczne poza tymi miastami. Sejm sięgnie po rozwiązania w Europie najlepsze - z Amsterdamu, stolicy ekonomicznej mądrości epoki. Wydano tam dzieło niemieckiego prawnika, Heinekcjusza, *Elementa juris cambialis*, „Elementy prawa wekslowego". Weksel w jego ujęciu nie stanowił tylko wykonania zawartej uprzednio umowy; był umową samoistną, niepodobną do żadnej z umów prawa rzymskiego. Sejm polski nadał dziełu Heinekcjusza moc prawa dla terenu wielkiego państwa, podczas gdy w ówczesnych państewkach niemieckich i miastach z najrozmaitszymi ustawami nikt nie wiedział dobrze, co gdzie obowiązuje i co z weksla wynika dla podpisanych na nim osób.

Była to zarazem pierwsza polska regulacja prawna - powszechna, czyli nie ograniczona do stanu szlacheckiego; dotyczyła wszystkich, mogących brać udział w obrocie wekslowym. Teraz mieszczanin warszawski, Ormianin polski, Paschalis Jakubowicz, jeden z pierwszych polskich
przemysłowców, mógł na sześć lat zająć kasztelanowi mazowieckiemu za długi miasteczko Głowno, z przyległościami, i nikt nawet okiem nie mrugnął!

Postęp zyskuje coraz nowych wyznawców. Sami magnaci zakładają szkoły. Wojewoda poznański, August Sułkowski, członek Komisji Edukacyjnej, w swojej Rydzynie uruchomi gimnazjum pijarów, szkołę kadetów i teatr. I to właśnie Sułkowski wystąpi w sejmie wraz z podkomorzym gnieźnieńskim przeciw procesom o czary i przeciw torturom.

Długo kwestionowano jedenaście stosów i trzy zgony po torturach w procesie o czary w 1775 r. w Doruchowie, w powiecie ostrzeszowskim, bo wiadomość o tym pochodzi z . gazet XIX wieku. Ale Janusz Tazbir znalazł zagraniczne wiadomości współczesne, zaś w aktach grodzkich Ostrzeszowa uchował się zapis z 1783 r., że wójt Grabowa nad Prosną z ławnikami spalili w Doruchowie „sześć kobiet czarownicami mianowanych". Nie zapłacili za to gardłami, pozbawiono ich tylko urzędów. Ale chyba zdarzyło się to wcześniej, skoro Sułkowski pomstował na sejmie roku 1774, że „za czary palić dotąd nie przestajemy, a co okrutniejszego - torturę jako potrzebny i najpewniejszy sposób konwikcji uznawać nie przestajemy". W 1776 roku sejm ostatecznie zakazał tortur w sprawach kryminalnych, zakazał i procesów o czary.

W Szwecji komisja królewska spaliła wtedy we wsi Mora w Dalekarlii 72 stare kobiety i kilkanaścioro nastolatków. Szwajcarski kanton Glarus - rzekomą czarownicę w roku 1782. Anglia w 1770 r. karała za uwodzenie „sztucznymi wdziękami" jak za czary. Tortury zniosła Szwecja w 1734 r., w Prusach Fryderyk Wielki w latach 1754-56, a i to z wyjątkami; Francja, wzór Europy, torturowała do Wielkiej Rewolucji roku 1789. W większości państw Europy tortury przetrwały do XIX wieku.

Europa jest nadal francuska, król Prus na swoim dworze mówi nadal tylko po francusku i jak powiada, boi się tylko jednego króla w Europie – Woltera, francuskiego filozofa, symbolizującego epokę, pisarza o mocnym, a dowcipnym języku. Wersal następnego Ludwika, już XV, promieniuje swoim beztroskim amoralizmem, lekkość obyczajów nadal jest modą obowiązkową. Książę Adam Kazimierz Czartoryski, szef Szkoły Rycerskiej, wziął był za żonę córkę generała z rodziny spolonizowanych Sasów, Flemmingów. Kiedy się sobą znużyli, każde romansowało z kimś innym - mąż odwoził Izabelę do Zamku na randki z królem, by sam korzystać swobodnie z łask innej damy. Za granicą afiszował się z piękną flamą, Izabeli towarzyszył kolejny wielbiciel. Izabela, na portretach nie pierwszej urody, ale fertyczna i dowcipna, romansowa i zmienna, urodzi aż dziesięcioro dzieci – nie jest pewne tylko, czy któreś własnego męża.

Rodziła ich tyle - z zamierzenia. Z pobudek patriotycznych: wyższe warstwy Polski odkryły wtedy, że krajowi brakuje ludności, i uznały, że patriotyzm każe dawać mu nowych obywateli. Pani Zamoyska też urodzi dziesięcioro potomstwa, już bez wątpienia z własnym mężem. I zapewne wzór tych wielkich pań stworzy w Polsce modę na wielodzietność. Zanim jeszcze dzięki postępom higieny w położnictwie przestaną w Europie umierać miliony niemowląt, kobiety polskie w XIX wieku będą dzieci rodzić setkami tysięcy. Nie tylko panie z bogatych domów. Polaków miało być więcej.

Izabela tworzyła w środowiskach magnackich i szlacheckich inną jeszcze modę - na kulturę, literaturę i postęp. Jej Puławy były może wzorcem tej mody nieco pretensjonalnym, ale ich wzór działał na wyobraźnię szlachecką. Więcej zrobią dla kultury i dobrego smaku sławne „obiady czwartkowe" u króla. Zmieniały też atmosferę urocze, warszawskie Łazienki, był to pierwszy park „angielski". Wzory Wersalu wymagały kładzenia prostokątnych klombów i alejek pod linijkę, a tu naturalnie układające się ścieżki wiodły do gustownego, klasycystycznego pałacu „na wodzie", wśród parkowego jeziora. Przychodzi tam już - elita umysłowa. Istnieje taka.

Przeszłość jednak, choć smagana kpiną Krasickiego, wcale nie ustępuje. Zachowawczy duch Konfederacji Barskiej panuje nadal. W roku 1780 szlachta decyzją sejmu odrzuca nowoczesny kodeks, „Zbiór praw sądowych", który przedstawił w 1778 r. Jędrzej Zamoyski. Ta sama wszelako szlachta, dowiedziawszy się, że wolno jej handlować, rzuca się w interesy. Dziesięć lat później zagraniczni obserwatorzy nie będą mogli jej poznać: wszyscy panowie szlachta handlują. Jeden wołami, drugi końmi, trzeci zbożem. Inny zaopatruje miasteczko w gorzałkę z własnej gorzelni, tucząc wywarem swoje woły. Jeszcze inny postawił fabryczkę. Albo uprawia „żydowską" lichwę, czyli pożycza na procent. Ktoś tam znów za grosze skupuje cudze pretensje sądowe, by zarobić po wygraniu sprawy i dziesięć razy więcej. Albo puszcza w dzierżawę swój majątek, by samemu wziąć w dzierżawę znacznie większy...

Prześledziłem karierę takiego ówczesnego nuworysza - zaczął od administrowania kluczem magnackich włości. Bezlitośnie wyduszał z dłużników należności, zajmował ich ziemie, eksmitował z dworów, był kauzyperdą wytrwałym i bezwzględnym, a chytrym. Doszedł do krzesła w senacie, umarł bogaczem, ale kapitalistą nigdy nie został. Bogacił się, żeby więcej wydawać. I wszyscy dużo wydawali. Także król. Nie tylko na Kanał Królewski. Tak wypadało.

Rodzą się i pierwsi wielcy kapitaliści. Nie z patriotyzmu. Nie był patriotą Królestwa Szmul, tj. Samuel, syn Jakuba, czyli Jakubowicz, zwany Zbytkowerem, z podwarszawskich

Zbytków, największy kupiec Polski drugiej połowy XVIII wieku. Nie miał za co lubić szlachty - teraz nie tylko mieszczanie, ale i handlująca szlachta widzą w stanie żydowskim konkurencję. W 1764 roku sejm Rzeczypospolitej zniósł „waad", sejm Żydów polskich, jako „państwo w państwie", pozostawił władzę kahałom. Próbowano ograniczyć Żydom prawo osiedlania się w miastach i udział w handlu - bez skutku, bo magnaci nadal zakładali dla nich swoje „jurydyki", miasta prywatne, wyłączone spod prawa miejskiego, a Żydzi przez cały wiek XVIII dalej napływali do Polski. Już wtedy stanowili sporą mniejszość narodową, kilkaset tysięcy ludzi na kilkanaście milionów mieszkańców Rzeczypospolitej ogółem. Z tych kilkuset tysięcy niewielu mówiło po polsku, większość żyła całkowicie osobno, czasem na Kresach Wschodnich w miasteczkach całkowicie żydowskich, opartych na dawnym przywileju *de non tolerandis christianis,* wykluczającym osiedlenie się chrześcijan. Ale inteligencja żydowska – też była już taka – ceniła sobie Rzeczpospolitą...

W roku 1790 Zbytkowera sieć handlu wołami i skórami od Kijowa do Poczdamu, składała się z 200 przedsiębiorców, 60 głównych „faktorów" i 200 pomniejszych! To była jedynie cząstka jego interesów. Był dostawcą akuratnym i solidnym; sprzedawał temu, kto płacił. I wojskom polskim, i carskim. Podczas pierwszego rozbioru carscy Kozacy pomagali mu jako generalnemu dostawcy wojsk carskich egzekwować należności od szlachty. Kiedy mógł, kantował bez pardonu.

Ortodoksyjny podobno chasyd, opuścił pierwszą żonę dla córki oświeconych Żydów pruskich, Levich-Buccich, Judyty. Piękna Judyta mówiła po francusku i po niemiecku. Chyba to ona, nie mąż, da początek przyszłej wielkiej finansjerze, z potomkami o mocnej dziś pozycji tak na Wall Street, jak w londyńskiej City. Sama fachowo prowadziła interesy po śmierci męża. Założyła bank. Za życia męża romansowała z królem i jedyna potem odzyska 7 tysięcy dukatów, które mu Szmul pożyczył... To ona wychowa synów, córki i zięciów na znakomitych kupców i bankierów Warszawy, potem - Europy i świata, Pragerów, Sonnenbergów czyli Bergsonów, Toeplitzów, Horowitzów, Fraenklów, Laskich. Pra-pra-wnukiem Szmula – a może, sądząc po fizjognomii, Stanisława Augusta? - będzie słynny filozof, Henri Bergson. Wielu potomków tych rodzin zapisze się wielkimi literami w historii Polski! Jedynym wielkim żydowskim bankierem Warszawy spoza tej rodziny zostanie Jakub Epstein, młody chłopiec z Warki - w Powstaniu Kościuszkowskim w 1794 r. porucznik ułanów, ojciec podobno wszystkich wielkich Epsteinów świata.

W Warszawie po roku 1775 rozkwitły banki. Banki kupców. Największą wśród nich potęgę finansową zbudował młody Szkot, adoptowany syn miejscowego rodaka, Piotr Tepper „młodszy". Jego grupa obejmowała będzie i banki jego zięciów. Synów Tepper do interesów nie wpuścił: jak szlachta wydawali krocie na konie, psy i polowania. Za to zięciowie dostali wiana po 2 tysiące dukatów i mieli się dorabiać sami. Nie zawiedli.

Nie zawodzą też inni bankierzy warszawscy. Słynny Sejm Czteroletni, lat 1788-1792, sejm wielkiego przełomu, swoistej pokojowej rewolucji, jesienią 1790 r. nada im, wśród innych 422 nobilitowanych mieszczan, szlachectwo (ku irytacji Franciszka Salezego Jezierskiego, byłego księdza, radykalnego publicysty, który wzywał do pełnego zrównania stanów). Bo wcześniej, wkrótce po uchwaleniu ustawy wekslowej, sejm przerażony lekkomyślnością szlachty i duchowieństwa... odebrał obu tym stanom prawo wystawiania weksli! Uszlachciwszy kupców, sejm rozciągnął na nich prawo wekslowe. Choć jednego z bankierów uszlachcać nie musiał. Do ich grona bowiem awansował - Prot Potocki, syn senatorskiego rodu, mieszczanin z wyboru.

Zaczął od wielkich dziedzicznych dóbr i paruset tysięcy dukatów ulokowanych w Amsterdamie. Z niezwykłym za to doradcą - ks. Michałem Ossowskim, byłym jezuitą, ekonomistą. Stanisław August uczci Ossowskiego specjalnym złotym medalem z jego wizerunkiem i napisem *Sapere auso*, „Temu, który ośmielił się być mądrym".

Prot Potocki uruchomił w Warszawie sklepy - z towarami tańszymi, niż u konkurencji. Założył bank - z trzema filiami, u siebie w Machnówce na Ukrainie, w rosyjskim Chersoniu nad morzem Czarnym i w Warszawie. Ze specjalną pocztą, kursującą regularnie trzy razy w tygodniu. W roku 1784 z Chersonia pięć jego statków, statków „Kompanii do Handlu Wschodniego", załadowanych ukrainnymi płodami rolnymi, popłynęło do Aleksandrii, Marsylii i Bajonny. Wróciły z pieniędzmi. By pływać tak niejeden rok...

Prot Potocki, zaczynał, mając wszystkiego 23 lata. Obaj z Ossowskim żyli kultem pracy. Każda robota paliła im się w rękach.

Nie obywała się ta polska ekspansja bez kłopotów, obojętnych dla historiografii. Srebrnego złotego polskiego - przeszacowano. W efekcie - zaczął wraz ze srebrnymi groszami odpływać z kraju. Dopiero w 1786 r. sejm temu zaradził. Ogromne straty dostrzeżono tak późno, bo ciągle płynęły do Rzeczpospolitej dochody olbrzymie: w latach po Wojnie Siedmioletniej, w okresie 1763-1770, szło z Polski rocznie ponad 50 tysięcy łasztów zboża, i to łasztów o pojemności, ustalonej dla Polski przez sejm w 1764 r., 3636,31 litrów, czyli - w przeliczeniu - ponad 120 tysięcy ton. W samym roku 1770 dotarło tylko do Gdańska prawie dwa tysiące statków wiślanych! Mimo że Fryderyk II już w 1765 r. ustanowił na swoim brzegu Wisły komorę celną, która brała 10 procent wartości przewożonego towaru.

Po pierwszym rozbiorze uruchomili Prusacy następną - w zajętym przez siebie Fordonie koło Bydgoszczy. I u należącego do nich wyjścia na morze z odcinka Wisły, płynącej przez wrogi Prusom, niezależny od nich Gdańsk! W roku 1775 narzucili Polsce traktat, który dał im prawo dowolnego w praktyce ściągania opłat. Formalnie po 12 procent, od towarów potrzebnych Prusom 30 procent, ale od przywożonych win francuskich zdzierali 112 procent, zaś od wywożonego drzewa masztowego - podwójną jego wartość! Mimo to eksport polski aż po ostatnie lata stulecia nigdy nie spadł poniżej 20 tysięcy łasztów zboża rocznie, a szło też nadal drewno, smoła, potaż, len, wełna, skóry, łój, miód, wosk. Słowem, ciągle do szlachty polskiej płynęły pieniądze...

Kwitła zwłaszcza Wielkopolska. Jej sukna szły aż do Chin! Dla ilustracji: w maleńkim miasteczku Zduny koło Krotoszyna, z trzema i pół tysiącami mieszkańców, pracowało 429 warsztatów tkaczy wełny, sto - sukienników, 49 - tkaczy płótna. Do tego - mieliło zboże 41 wiatraków! 30 kupców handlowało bydłem.

Nawet jednak w tej najmądrzejszej Wielkopolsce niemało szlachty i magnatów sadzi się na pałace i luksusy. Epoka robi swoje. Jedni zakładają nowe miasta, inni szastają pieniędzmi. Wszystko to razem nieodparcie kusi Prusy Fryderyka...

W roku 1788 rozpoczął obrady ów przełomowy sejm, który przeciągnie się na cztery lata i przejdzie do historii jako Sejm Czteroletni. Polską jest wtedy Warszawa. Kipi - publicystyką na europejską miarę, eksploduje wielkimi myślami, książkami, dyskusjami i teatrem, w którym rej wodzi ojciec teatru polskiego, Wojciech Bogusławski. Przez parę lat Polska święci w Warszawie swoisty, nieustający karnawał intelektualny, oparty na proklamowanej wówczas wolności słowa i druku.

Zwolennicy reform związali się w „Towarzystwo Patriotyczne", z udziałem króla. Wielką rolę odgrywał krąg przyjaciół reformatora, filozofa i działacza, Hugona Kołłątaja, w XIX wieku nazwany „Kuźnicą Kołłątajowską". Pisali, przemawiali, drukowali broszurki i świetne rozprawy, do dziś można z pełnym zainteresowaniem czytać Kołłątaja czy też „Przestrogi dla Polski" Stanisława Staszica. I swymi poglądami, i satyrami bulwersowali szlachtę – choć postulaty i żądania miarkowały swój radykalizm, przy świadomości szlacheckiego oporu. Oto znamienny głos posła radykała, Antoniego Trębickiego, z 2 marca 1791 r. – kiedy we Francji od wybuchu Wielkiej Rewolucji, od zburzenia Bastylii, twierdzy-więzienia, było coraz bliżej do cięć gilotyny:

„Sto czterdzieści miast z górą, a milion przeszło mieszkańców, zjednoczywszy się przedsięwzięło popierać sprawiedliwe swoje żądania z jak najprzykładniejszą dla rządowej opieki powolnością i uszanowaniem. I wtedy, gdy prawie po całej Europie milionowy niewolnik pożar buntu i gwałtowności w swoich czynnościach okazując, z zbrojną ręką kruszył swoje kajdany, kuł w nie nawzajem swoich tyranów, gdy najpotężniejsi świata mocarze zadrżeć musieli przed determinacją, oświeceniem nad swymi prawami i mocą długo gnębionego ludu – stan municypalny polski odezwał się do swojej rządowej opieki z uszanowaniem i ufnością".

I Sejm Czteroletni, uszlachciwszy bankierów, po dyskusji nad krytycznymi opiniami Trębickiego uchwalił 21 kwietnia „prawo o miastach", połowiczne, obowiązujące tylko wobec miast królewskich w Koronie i wielkoksiążęcych na Litwie, z prawem głosowania tylko dla posesjonatów, czyli właścicieli nieruchomości, ale czyniące mieszczan gospodarzami swoich miast... Potem w trybie swoistego zamachu stanu, w przyspieszonym trybie, 3 maja 1791 roku, uchwalił ten sejm Konstytucję - pierwszą w Europie, a drugą na świecie po amerykańskiej. Opracował ją tak nienawistny tylu historykom król, przy współpracy Kołłątaja.

Wielka Rewolucja Francuska, największy przewrót polityczny w dziejach starej Europy, jeszcze wtedy nie ścina. Obalony Ludwik XVI, dopiero w 1792 r. uwięziony i zdetronizowany, da głowę na gilotynie. Elita intelektualna Polski przeprowadza wielkie reformy - bez rewolucji. Wyprzedza swój czas. I nie ze strachu. „Naród" ma teraz objąć wszystkich - szlachtę, duchowieństwo, mieszczan, Żydów i chłopów. Kiedy Konstytucja mówi, że „wszyscy obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych", widzi nimi naprawdę wszystkich. Instaluje nowoczesny ustrój państwa, oddzielając - za Monteskiuszem i wzorami amerykańskimi - władzę wykonawczą od ustawodawczej, z królem jako głową rządu. Instaluje nowoczesną administrację. I udziela ochrony chłopom; Rzeczpospolita ma dbać o wszystkich „obywateli".

Wytykano tej rewolucji, że nie umiała podnieść chłopów dla swej obrony. Jednak przy całej swej daleko idącej ostrożności, krytykowanej przez wielu patriotycznych historyków, nie umiała przede wszystkim zyskać poparcia ze strony - ogółu szlachty polskiej. To szlachta i magnateria, w przygniatającej większości przeciwne Konstytucji 3 Maja, odrzuciły ją – odrzucając i własne państwo. Tak, w rzeczywistości to sama szlachta polska uśmierci swą Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Nie lubimy o tym ani myśleć, ani mówić, ale w likwidacji Rzeczpospolitej Obojga Narodów uczestniczyli jej obywatele. I nie tylko jej zdrajcy.

Król w 1789 r. ściągnął był do kraju bratanka, 26-letniego podpułkownika austriackiego, Józefa, zawodowego, jak ojciec i dziadek, oficera w służbie austriackiej. Wychowany w Wiedniu, niedawny adiutant cesarza Austrii w wojnie tureckiej, organizował w kraju

z Kościuszką armię polską. Było przeciw komu: grupa magnatów pod patriotycznymi hasłami sfingowała rzekomą Konfederację Targowicką, utworzoną w Petersburgu, niby to w Targowicy na Ukrainie zawiązaną. Pod patronatem carycy Katarzyny, zwróciła się do niej o pomoc. Nie trzeba było długo czekać. Ruszyły niepokonane wojska carskie – i tu niespodzianka: młoda armia polska po raz pierwszy od wieku stawiła im skuteczny opór. Młody Poniatowski wygrał z nimi bitwę pod Zieleńcami. Generał Kościuszko zablokował, dzięki swej sztuce inżynieryjno-artyleryjskiej, przeprawę przez Bug pod Dubienką. Te umiejętności natchnęły Polaków wiarą w szansę zwycięstwa.

Bratanek namawiał usilnie stryja, by wezwał cały naród do walki. Król nie posłuchał. Czy się przeląkł carycy? Nie sądzę. Po prostu zdawał sobie w pełni sprawę, że „naród", czyli polska szlachta, w większości neguje Konstytucję, opowiada się za jej wrogami i poprze zdrajców z Konfederacji Targowickiej. Składały się na nią wielkie autorytatywne nazwiska z kręgu najbogatszych ludzi kraju – marszałka tej Konfederacji, Stanisława Szczęsnego Potockiego, Franciszka Ksawerego Branickiego, Szymona Kossakowskiego, Seweryna Rzewuskiego. I też król, tak niedawny autor Konstytucji, przystąpił do Targowicy, by w interesie Rzeczypospolitej, jak to sobie prawdopodobnie wyobrażał, zachować tron i wpływać na rozwój sytuacji. Zwolennicy Konstytucji musieli emigrować. Oficerowie armii - także. Ale siostrzeniec Ksawerego Branickiego, prym trzymającego w targowickiej zdradzie, sam były durny, złoty młodzieniec, przeszedłszy na stronę reform, listem otwartym potępił akces króla do Targowicy. Też udał się do Lipska...

Mimo wszystko nikt w Europie, ani w optymistycznej Warszawie, nie spodziewał się tego, co nastąpi. Polskę nadal uważano za kurę znoszącą złote jaja. Bankierzy amsterdamscy odmawiali kredytu własnemu rządowi i nikomu w Europie nie pożyczali pieniędzy, a jeszcze wiosną roku 1792, przed inwazją wojsk Katarzyny, stawiali Królestwu Polskiemu do dyspozycji ogromne sumy.

Zaborcy uzgodnili rozbiór Polski i Prusacy wkroczyli do Wielkopolski w styczniu 1793 roku. W Warszawie wielki Tepper, od którego zażądano sfinansowania podróży króla do Grodna, nieostrożnie zdradził się z niedoborem gotówki. Wybuchła panika. 20 lutego 1793 zaprotestowano weksel jego zięcia, Szulca, płatny 18 lutego. 25 lutego oficjalnie zbankrutuje sam Tepper.

W ślad za nim padną też inni. Uratuje się tylko dwóch przezornych bankierów: Piotr Blank, naturalizowany Szwajcar, który nigdy nie skąpił pieniędzy na cele narodowe, ale mniej pożyczał kiepsko płacącym dłużnikom i zachował odpowiednie rezerwy kasowe, oraz Meysner. Wszyscy oni, i Tepper, i jego zięciowie, i Blank, byli masonami. Masonami prawdziwie patriotycznych lóż. Lojalność masonów nie zastępowała jednak płynności.

Prot Potocki i ks. Michał Ossowski masonami nie byli. Ale Potocki padł także. Ów krach bankowy roku 1793 zakończył historię dawnej Polski na równi z drugim rozbiorem. Katastrofa była podwójna – czego, nie ukrywajmy, w naszej historii nie dostrzegamy. Ponieważ nasza historia obywała się bez historii pieniądza. Ale, co się okaże, obywała się i bez pewnych przykrych prawd...

Opór zbrojny rozbiorowi Polski stawił - Gdańsk. Prusy musiały go zdobywać. Ogół szlachecki bynajmniej przeciw rozbiorowi nie protestował. Przeciwnie. Na Ukrainie obywateli ziemskich, byłych zwolenników Konfederacji Barskiej, interwencja carskich wojsk chroniła w ich rozumieniu przed Konstytucją Trzeciego Maja, dlatego, rzecz niepojęta, częstokroć witali uroczyście, chlebem i solą, oddziały carskie. Dowodził ich

armią generał Michaił Kreczetnikow, brat Piotra, znanego już tutaj z pacyfikacji hajdamaczyzny. W takiej atmosferze Kreczetnikow zajmował Ukrainę, Wołyń i Podole. Najlepsze domy przyjmowały go mile i gościnnie, wiele pań gotowych było romansować z przystojnymi carskimi oficerami. To nie wszystko: szlachta ziemi chełmskiej sama specjalnym memoriałem zwróciła się do carycy o włączenie ziemi chełmskiej do jej państwa! Caryca gwarantowała spokój posiadania, bezpieczeństwo dochodów i wolność od wprowadzenia w życie Konstytucji Trzeciego Maja...

Tak to magnateria i szlachta polska wspólnie z carycą pokonały Konstytucję i same wyrzekły się swego państwa. To był największy dramat rozbiorów, nie same decyzje zaborców. To była rzeczywista hańba naszej historii, prawdziwy koniec Rzeczypospolitej. Jej szlachta i magnateria, o czym nie lubimy mówić, a nawet pamiętać, były czynnymi partnerami rozbioru. Czwartym zaborcą. I nie będą płakać. Będą się cieszyć swoim zwycięstwem. Nic się przecież nie miało zmienić.

30. OD KATASTROFY DO NADZIEI

Tak więc straciliśmy złudzenia: drugiego rozbioru dokonała razem z Prusami i Rosją szlachta polska, głównie ta z Kresów Wschodnich - żeby zachować pod rządami carycy wszystko tak, jak było. I było, nawet w sensie towarzyskim: opisywał Kajetan Koźmian, jak to na Wołyniu brylował „generał rosyjski Bauer, szef regimentu huzarów, jeden z najgrzeczniejszych i najprzyjemniejszy człowiek, przyjaciel szczery Polaków, a namiętny wielbiciel Polek, którym podobać się i ujmować serca umiał. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich w czasie konfederacji targowickiej najcelniejsze z piękności i wychowania kobiety ubiegały się o niego. W tych czasach stojąc na Wołyniu z swoim pułkiem we wszystkich możniejszych domach był pożądany i lubiony". Cóż dodać? Podobnie na ziemiach, pozostawionych jeszcze Rzeczypospolitej, większość szlachty wolała carycę niż reformy Konstytucji 3 Maja.

Dowiodło tego bezpośrednio powstanie, które przeszło do historii jako Powstanie Kościuszkowskie, pod dowództwem Tadeusza Kościuszki. Wybuchło wiosną 1794 roku, poparte jedynie przez patriotów, skromną część szlachty polskiej. Uległo przeważającym siłom Rosji, choć raz jeszcze ukazało, że Polacy znowu potrafią walczyć i wygrywać. I ukazało nowości. Nieoczekiwane. Sformował Kościuszko oddziały chłopów - z kosami, w braku pik, ci chłopi w pierwszej bitwie z korpusem carskim pod Racławicami szarżą z tymi kosami w rękach zdobyli jego armaty. Ową niewielką bitwę, nie Zieleńce, ani Dubienkę, patriotyczna pamięć uczyni w historii symbolem wojskowego odrodzenia Polski, jako pierwsze pełne zwycięstwo. Tak samo otoczy legenda, utrwalona piosenkami - Berka Joselewicza, dowódcę lekkokonnego oddziału zbrojnego Żydów polskich, który z własnej ochoty stanął w Warszawie do powstania.

Kościuszko i jego inżynierowie środkami fortyfikacji polowej obwarowali Warszawę, miasto wedle ówczesnej sztuki wojennej „otwarte", nie do obrony. Przez dwa miesiące nie udało się królowi Prus wziąć go w regularnym oblężeniu – a dowodził on jedną z najlepszych wtedy armii Europy i niedawno zmusił do poddania jedną ze słynnych, nie do zdobycia, francuskich twierdz ojca fortyfikacji, Vaubana! Niemniej na frontalną wojnę z zaborcami ta cząstkowa tylko Polska była za słaba. Gdyby, jak chciał książę Józef, porwała za broń cała szlachta i zmobilizowała swoich chłopów, obdarzywszy ich wolnością, a dołączyłyby oddziały mieszczan, historia przybrać mogłaby inny obrót. Nie mogła jednak. Nie było żadnych szans na to, a już całkiem szlachtę zraziła do powstania wiadomość, że lud Warszawy powiesił paru zdrajców.

W przegranej bitwie pod Maciejowicami ranny Kościuszko dostał się do niewoli. Przesądził jednak o upadku powstania późniejszy szturm Suworowa na warszawską Pragę z rzezią jej mieszkańców. Mocarstwa zaborcze dokonają potem trzeciego i ostatecznego rozbioru. Uznano go za koniec Polski, którą wymazano z mapy Europy. Zabór pruski objął i samą Warszawę, na południe od niej będą się już rozciągały domeny austriackie. W ciągu zaś paru lat po roku 1795 wymarli główni aktorzy szczególnego, historycznego spektaklu, jaki dała próba odrodzenia Polski. Nie przetrzymali snadź jego finału. Nawet 40-letni Prot Potocki. Nawet obojętny, zdawałoby się, Szmul Jakubowicz Zbytkower.... I ów nieoczekiwany patriota, siostrzeniec Branickiego, Kazimierz Nestor Sapieha, oficer Powstania Kościuszkowskiego.

Uważa się zazwyczaj rozbiory za reakcję mocarstw zaborczych na ruch odrodzenia. To prawda, Sejm Czteroletni zaniepokoił je swoimi reformami, które mogły zarazić swym

duchem ich własnych poddanych. Ale ja widzę w tych operacjach przede wszystkim ciągle ten sam motyw - nienasyconą chciwość. Chciwość - i złudzenia. Prusom rozbiory nie dały tego, czego oczekiwały. Prusy kurę, która miała teraz im znosić złote jaja - zadusiły. Rozbiory odcięły od rynków rzemiosło wielkopolskie. Eksport sukien - padł. Królowie pruscy stracili też swoje dochody z ceł wiślanych. Od poddanych swego państwa trudno było ich żądać, teraz wpływy z wywozu płodów rolnych znowu trafiały prawie nie uszczuplone do kies polskiej szlachty. A w tych latach zachodnia Europa kupowała w Gdańsku tyle zboża, ile mógł on zaoferować.

Szlachta polska nie rozpaczała po likwidacji swej Rzeczypospolitej. Przeciwnie, bawiła się w najlepsze jak ci, którzy uwolnili się od jakiegoś kłopotu. Włącznie z przyszłym bohaterem narodowym Polski, księciem Józefem Poniatowskim. Księciem? W Polsce? Tak, dla Poniatowskich jako rodziny król zdołał załatwić z sejmem przyznanie tytułu książęcego – tym sposobem narodził się jedyny polski rodzinny tytuł książęcy w historii... I to „książę" Józef, bratanek zdetronizowanego króla, były wojskowy austriacki i naczelny wódz armii z 1792 roku, hulał bez opamiętania ze swymi przyjaciółmi, szokując Warszawę swoimi ekscesami i podbojami miłosnymi. Dorodny, piękny, trzydziestoparoletni mężczyzna, potrafił nago powozić wielokonnym zaprzęgiem, pędząc przez miasto. Ambitne, urodziwe damy zaczajały się w jego sypialni i nagie wzorem antycznych bogiń kazały mu wybierać, jak mitologicznemu Parysowi, najpiękniejszą spośród nich. Reszcie szlachty brakowało raczej takiego temperamentu i tej urody, jak też powodzenia u pań, ale nie doskwierała jej strata własnego państwa. Nie uważała państwa Konstytucji 3 Maja za swoje państwo i wszystkie oznaki w jej zachowaniu sugerują, że wręcz była zadowolona z nowej władzy. Pieniądze przy zniesionych cłach na Wiśle znowu płynęły w nieograniczonych ilościach.

Prusy umiejętnie korzystały z tych postaw i nastrojów. Szlachta pławiła się w dobrobycie, kolejna wielka koniunktura zbożowa mnożyła deszcz złota. Kasy pruskie zaś, rządowe i nie tylko, bo także Kasa Inwalidów w Berlinie, Kasa Generalna Wdów, Kasa Miejska Miłosierdzia w Królewcu, kasy ubogich w Berlinie i Kwidzynie, skwapliwie pożyczały polskiej szlachcie, ile kto sobie życzył; zabezpieczały swoje wierzytelności hipotecznie na szlacheckich majątkach. Kredyty były oprocentowane niewysoko, łatwo dostępne i w każdym rozmiarze. Budowano więc pałace, często z kunsztowną, a kosztowną dekoracją malarską w środku, budowano sztuczne ruiny greckie, sztuczne kamienne groty, sztuczne jeziora w parkach wedle angielskiej wówczas mody. Pamiętnik ówczesny wylicza we dworze zwykłego szlachcica „stangretów, forysiów, masztalerzy i laufra, który po kilka mil biegał przed poszóstną karetą w sutej, wygalonowanej liberii, z kołpakiem ze strusimi piórami na głowie; strzelców i psiarków kilkunastu, którzy prócz polowania i karmienia psów nic nie robili". Oczywiście, ów szlachcic zbankrutował i uciekł przed wierzycielami zagranicę. Na to i liczyły Prusy: w ciągu dziesięciu lat ich panowania polska szlachecka własność rolna zadłużyła się do blisko jednej trzeciej wartości swych dóbr. Miała sama paść pod ciężarem swych długów.

Austria obsadzała Królestwo Galicji i Lodomerii, jak nazwała swój zabór, swymi urzędnikami, niemczyła szkoły. Doiła pieniądze z Galicji i masowo brała rekruta; obróciła ją na czas długi, jak wszystkie inne swe prowincje, w peryferie Europy, odcięte od wszelkiego postępu.

Nie był to jedyny w historii przypadek, gdy naród, ściślej – jego warstwy posiadające, rezygnują z własnego państwa. Królestwo Obojga Narodów dostarczyło jednak najbardziej może pouczającej lekcji tego, jak w dobrobycie wielomilionowe społeczeństwo zatraca instynkt samozachowawczy. Zatraca stopniowo, ale czasem po granice hańby – jak ta

szlachta ziemi chełmskiej, która prosiła Katarzynę, by jej ziemię wzięła w granice swego państwa!

Równie pouczające jest na tym tle – późniejsze odrodzenie Polski, dziesiątki lat walki i zabiegów o to odrodzenie. Brzmi to niezrozumiale wobec rezygnacji polskiej szlachty ze swego państwa. Czyni wrażenie jakiejś innej tajemnicy historycznej. Znów lekcja, tylko inna. Otóż przez kilkadziesiąt lat od czasów braci Załuskich odrodziły się w Polsce - elity narodu. Upadek państwa, co równie zdumiewające, nie przerwał zapoczątkowanego ich rozwoju - uczniowie szkół pijarskich i szkół Komisji Edukacji Narodowej, wychowankowie Szkoły Rycerskiej, przejmą role tych, co odeszli. Z synów i zięciów Judyty Jakubowiczowej wyrosną wielcy bankierzy – do przyszłych wielkich międzynarodowych karier, z przyszłym kapitalnym wkładem w odrodzenie Polski.

Wpływy pokolenia tych mądrych ludzi odmieniły, prawie całkowicie, jak odczytujemy z faktów, następne pokolenie - młodych ludzi, dorastających do życia społecznego, do wojaczki, do własnych poglądów. Zbuntowani przeciw pokoleniu rodziców, które się wyrzekło własnego państwa, szukali własnej tożsamości. I też im, jak też Polakom następnych pokoleń, zostaną po ostatnich latach niepodległej Rzeczpospolitej dwie legendy, które przez następne 125 lat będą ich obdarzały niezmąconą wiarą w przyszłość, wiarą czasem nawet całkowicie nieuzasadnioną.

Jedna legenda to Kościuszko. W niczym nie ujęła mu sławy porażka jego Powstania - Polacy zapamiętają sukces Racławic. Wielka Rewolucja Francuska już w roku 1792 przyznała Kościuszce po jego amerykańskich zasługach dla wolności swoje honorowe obywatelstwo; jego podróż przez Europę po zwolnieniu z twierdzy carskiej obróci się w jedno pasmo triumfu, Ameryka przyjmie w nim idola, „second only to Washington", „drugiego tylko po Waszyngtonie". Kościuszko zostanie międzynarodowym bohaterem wolności, prawości i nadziei, czczonym tak w Europie, jak w Ameryce; pierwszą jego biografię napisze... Rosjanin. Kościuszko będzie bohaterem popularnych piosenek, a nawet - operetek. Jego mit przetrwa epokę Napoleona, pozostanie na obu kontynentach lekcją walki o wolność, lekcją pouczającą dla wszystkich ludów, rodzących się do wolności. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku przyćmi te nauki sława i mit Garibaldiego, wyzwoliciela Włoch.

W micie Kościuszki mieściła się i pewna, słynna niegdyś broszurka. Napisał ją, nie bez udziału Kościuszki, i opublikował w 1800 roku jego sekretarz, Józef Pawlikowski. Pod tytułem „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość". Oparta na doświadczeniach nieudanej wojny i Rewolucji Amerykańskiej, instruowała, jak prowadzić wojnę partyzancką przy poparciu ludu. Dzięki niej Henryk Kamieński, jeden z najciekawszych naszych, a zapomnianych filozofów, napisze po latach w 1866 r. swoją „Wojnę ludową" – ta znów posłuży walczącym o wolność Włochom w XIX wieku i ... francuskim maquis w Drugiej Wojnie Światowej. Wiedza Kościuszki przydawała się więc dalsze 150 lat.

Druga legenda podtrzymywała ducha w samych już tylko myślących Polakach: legenda Konstytucji 3 Maja. Legenda sensownie pomyślanego państwa, zdrowego ustroju, z należytą pozycją władzy wykonawczej, zarazem - legenda porozumienia dla budowy i obrony takiego właśnie państwa. Nikt nie będzie pamiętał, że inspirował Konstytucję, a co więcej - napisał król, postać tak dwuznaczna. I nikt nie będzie pamiętał, że ta Konstytucja nie przyniosła rewolucji, znoszącej podziały stanowe. I nikt nie będzie pamiętał, że większość ludzi mających prawo uważać się za obywateli, czyli szlachty, tę Konstytucję odrzuciła...

Zlikwidowana politycznie Polska utrzymała po Wielkim Odrodzeniu z końca XVIII wieku swój wspaniały spadek - ukształtowane wtedy wielkie umysły i wysokiej klasy wojskowych, uformowanych w Szkole Rycerską lub zagranicą. Oficerowie polscy służyli i w obcych armiach, w tym i mocarstw zaborczych. Nie tylko Józef Poniatowski, urodzony w Wiedniu, pierwotnie oficer austriacki, jak jego ojciec - ten brat Stanisława Augusta, austriacki feldmarszałek, zmarł, jak pamiętamy, księciem Rzeszy! Oficerem saskim był Henryk Dąbrowski, późniejszy bohater naszego hymnu narodowego, kiepsko z początku mówiący po polsku... Jednakże wojsko naonczas oznaczało zawód jak inne, tyle że w swym poczuciu wyższy nad nie, z mitem, wręcz – pychą z tytułu swych kwalifikacji. Oficerowie pruscy szczerze podziwiali zawodowe mistrzostwo Kościuszki w ufortyfikowaniu Warszawy, ale ich niesmak budziło, że miesza on do wojny, elitarnego pojedynku profesjonałów - uczucia. Żywić jakiegoś „patriotyzmu" nie wypadało, to pasowało co najwyżej motłochowi.

Wychowankowie Szkoły Rycerskiej jednak i pozyskani z zagranicy polscy oficerowie chcieli, co było rewelacją zawodową, służyć ojczyźnie. Uczyła tej innowacji „Rozprawa o taktyce", pióra francuskiego oficera, kawalera Jaquesa de Guiberta. Autor przetrwał w historii, ale - jako bohater literacki, adresat listów miłosnych słynnej francuskiej damy intelektualistki, panny des Lespinasse. W epoce życia ich obojga to jednak on był autorytetem. I pierwszy zalecał „miłość ojczyzny" jako uczucie wojskowe. Najwcześniej zaś przyswoili sobie nową motywację wojenną - Amerykanie Waszyngtona i Polacy. Potem jej lekcję zawrze „Marsylianka", do walki w obronie rewolucyjnej Francji szły już „ojczyzny dzieci", śpiewając *allons'enfants de la Patrie*... W tym samym czasie młodzież polska, wszystkich jak sądzę stanów, szukała szansy na wojnę o Polskę.

Dzięki niej w niecałe dwa lata po trzecim rozbiorze doszło do fantastycznej, aż niewiarygodnej, stąd i niedocenionej sensacji historycznej: Polska, która znikła z mapy Europy, miała już swoje wojsko! Wielotysięczne oddziały - we Włoszech, w Legiach polskich armii Rewolucji Francuskiej. Zawodowców, szkolonych na wzorach mistrza wojowania, Fryderyka Wielkiego, świeżo odkryta miłość ojczyzny błyskawicznie nauczyła, że można dla niej umierać na polach bitew.

Skąd się tam wzięli? Generał Wielkiej Rewolucji, Napoleon Bonaparte, zdobywał Włochy, bijąc Austriaków. Przez pierwsze dziesięć lat wojen z nim Austria wcieliła do swojej armii, jak się dziś oblicza, kilkadziesiąt tysięcy ludzi z Galicji, a ci masowo przechodzili do Napoleona. Tysiące tych, co po klęsce Powstania Kościuszkowskiego uszli do tak przyjaznej Saksonii, wędrowały do Włoch. Stąd i narodziły się - Legiony. Organizował je i dowodził nimi, z niemałymi sukcesami, liczący ponad 40 lat generał Jan Henryk Dąbrowski. Nie lubiano go w kraju - ale ten saski oficer pokazał, co potrafi, już w Powstaniu Kościuszkowskim. We Włoszech błysnął też zwycięstwami nieco młodszy odeń, inny generał kościuszkowski, Karol Kniaziewicz, wychowanek Szkoły Rycerskiej, dowódca Pierwszej Legii.

Historię Legionów znaczą wzloty nadziei i dramatyczne załamania. To po Legionach mamy hymn polski, „Mazurek Dąbrowskiego", w rytmie ludowego mazurka, zaczynający się słowami „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy", z refrenem „Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski, pod twoim przewodem złączym się z narodem". Kolejna zwrotka mówiła, że „dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy", ale Bonaparte rozwiązywał te formacje i mobilizował na nowo, zależnie od potrzeb swych wojen. Po roku 1800, po kolejnym chwilowym pokoju, wysłał za Ocean Atlantycki, na

francuską część Haiti, Saint Domingue, San Domingo, generała Leclerc'a z 6 tysiącami legionistów polskich, dwiema półbrygadami. Mieli tam pacyfikować bunt czarnych niewolników, którzy po Rewolucji Francuskiej utworzyli własne wolne państwo. Legioniści jako zawodowcy musieli słuchać, a być może ciekawił ich ten obcy, dziwny świat. Po kilku latach wróciło Polaków z Haiti ledwie kilkuset, resztę zabił klimat, febra (jak samego Leclerc'a) i przeciwnicy. Ogromna zaś część legionistów ze wstrętu do tej wojny przeszła na stronę czarnych patriotów, stąd i polska, wcale pokaźna gwardia ich „cesarza", Dessalines'a . Mulatów o polskich nazwiskach znajdował na Haiti w XX wieku mój starszy, nie żyjący już przyjaciel, znakomity historyk, Tadeusz Łepkowski.

Historycy polscy niemal z abominacją odnoszą się do tego, co działo się po drugiej wtedy stronie, pod władzą caratu, ponieważ obowiązywał nas patriotyczny kult Napoleona. Tymczasem strategia Katarzyny, a potem jej następców, polegała na zdobyciu sympatii szlachty polskiej z terenu swego zaboru. Katarzyna prześladowała powstańców, okazywała względy lojalistom. Tym gwarantowała *status quo ante* - przeciw „groźbom" Konstytucji 3 Maja.

Czartoryscy musieli posłać na dwór petersburski dwóch swoich młodych synów jako zakładników, by ochronić swe dobra przed konfiskatą. Z tych dwóch Adam Jerzy, błyskotliwej, by nie rzec - fascynującej inteligencji, niespełna trzydziestoletni, szybko podbił mówiące wyłącznie po francusku środowisko dworskie i jego kobiety. Wnuk carycy, wielki książę Aleksander, uczynił go swym powiernikiem, zdradzając się przed nim, ku jego zdumieniu, ze skrytymi liberalnymi poglądami i sympatią dla Polski (nie zaszkodził ich przyjaźni romans Czartoryskiego z jego żoną, Aleksander zobojętniał wobec niej i pokochała ona przyjaciela męża na długo). Katarzyna właśnie Aleksandra hodowała na swego następcę, by pominąć jego ojca, swego nie lubianego syna, Pawła. Po jej śmierci to jednak Paweł objął tron. Uwolnił Kościuszkę, wypuścił innych powstańców polskich. Rychło wszakże Petersburg znienawidził Pawła za namiętność do pruskiej musztry i za walkę z francuzczyzną, tak w poglądach, jak w życiu towarzyskim. Panował pięć lat, zamordowali go spiskowcy pod wodzą hrabiego Piotra Pahlena, by wynieść na tron carski Aleksandra - raczej bez udziału kandydata w zmowie. Nazwisko Pahlena stanie się na stulecie symbolem tyranobójstwa. Przetrwał nawet w polskiej piosence...

Adam Jerzy Czartoryski należał teraz do czteroosobowego Tajnego Komitetu przy władcy Rosji, zdawało się, że przygotują razem z nim reformę ustroju państwa. Od 1802 roku kierował praktycznie polityką zagraniczną cara, w latach 1804-1806 jako minister spraw zagranicznych. Liczył na odbudowę państwa polskiego w całości - pod władzą swego przyjaciela, koronowanego zresztą później, w 1815 r. w Warszawie, królem Polski. Wedle tej rachuby król Prus miał wyrzec się swego zaboru na rzecz tego króla Polski.

W 1804 roku objął Czartoryski specyficzne stanowisko - kuratora wileńskiego okręgu szkolnego, ośmiu zachodnich guberni Rosji, czyli wszystkich ziem byłej Rzeczpospolitej. W Wilnie ruszył polski uniwersytet. Dość szybko zdobył jedną z czołowych pozycji w Europie, w latach dwudziestych XIX wieku rosyjscy pisarze będą stawiali go na równi z Getyngą i Oksfordem!
Uniwersytet sprawował nadzór merytoryczny nad wszystkimi szkołami swojego okręgu. W Krzemieńcu na Wołyniu powstało słynne później gimnazjum, które wychowa wśród lojalistycznej
polskiej szlachty ziem ukrainnych całe pokolenie przyszłych patriotów polskich.

Aleksandra I fascynował Napoleon, ale kolejne sukcesy Bonapartego łamały równowagę europejską. Pogwałcił ją Napoleon ostatecznie, gdy w 1804 r. koronował się cesarzem. Aleksander musiał ruszyć na wojnę z nim. W grudniu 1805 r. ogromne, połączone siły Austrii i Rosji doznały miażdżącej klęski pod Austerlitz. Aleksander zawarł wobec tego przymierze i z królem Prus, Czartoryski podał się w tej sytuacji do dymisji. Car dymisję przyjął. Znawca historii Rosji, autor świetnej biografii tego cara, Henri Troyat, widzi w Aleksandrze człowieka dwulicowego, obłudnego nawet wobec przyjaciół, ale car był po prostu wyrachowanym politykiem. Nie bez skrytych, a zaskakujących, jak się okaże, sympatii...

Historycy piszą o sieci spisków, która pod wpływem zwycięstw Napoleona ogarniała całą Polskę. Owszem, spisków nie brakowało. Ale – wśród ludzi młodych. Nie znajdowały szerszego oparcia wśród szlachty i nie decydowały o atmosferze społecznej w jej lokalnych środowiskach.

W pruskiej Warszawie powstało za to w 1800 roku Towarzystwo Przyjaciół Nauk - z programem pracy dla kraju. Jego prezes, ksiądz Stanisław Staszic, publicysta z epoki Sejmu Czteroletniego, autor historycznych „Przestróg dla Polski", głosił: „Paść może i naród wielki; zniszczeć nie może, tylko nikczemny". Hasło, które przywoływałem u wstępu do tej książki...

Rząd pruski założył w 1804 roku „Liceum Warszawskie". Uczyło na razie po niemiecku - kierował tą szkołą mieszczanin niemiecki z Torunia, Samuel Bogumił Linde, Sas, były lektor języka polskiego z uniwersytetu w Lipsku. Tego Sasa przeistoczy Warszawa - w Polaka, i to Polaka największych zasług. To Linde z czasem opracuje pierwszy wielki „Słownik języka polskiego".

Nie on jeden tak się odmieni. Ówcześni przybysze z Niemiec i Francji, jak przyszły ojciec Fryderyka Chopina, ulegają trudnemu dziś do zrozumienia urokowi czy też wdziękowi Warszawy i jej salonów, może - jej gościnności i otwartości. Wtapiają się w jej świat. Rezyduje tu również brat ściętego Ludwika XVI, hrabia Prowansji, przyszły Ludwik XVIII. Hrabia Prowansji nie zostanie Polakiem.

Nie dał się uwieść Warszawie i Ernst Theodor Amadeus Hoffmann, choć żonaty z Polką. Założył w Warszawie towarzystwo muzyczne. Pisał opery i pisał bajki. Z tych bajek, pełnych fantazji, wzięła się opera „Opowieści Hoffmanna" Offenbacha. Sam Ernst Teodor Amadeusz jako urzędnik pruski upamiętnił się tym, że nadawał przymusowo, a wedle swego humoru, nazwiska Żydom polskim, nigdy nazwisk nie używającym, to polskie w polszczyźnie, której gramatyki nie znał, to znów niemieckie, jedne i drugie często wręcz złośliwie ośmieszające i głupie – jak np. Dziewczepolski... Zabrało potem sporo czasu wyzwolenie się od nich.

Prusy nie uwiodły Warszawy. I przeliczyły się: też wdały się w wojnę z Napoleonem. Przegrały ją z kretesem. Napoleon na części ziem polskich utworzył Księstwo Warszawskie, kadłubowe, na skrawku ziem polskich. Z poczciwym saskim księciem, Fryderykiem Augustem, potomkiem królów Polski, który będzie starał się, jak mógł, przyczynić postępu swojej ojczyźnie, Polsce. Bo tak ją, warto pamiętać, traktował...

Oczekiwał Napoleon poparcia od mieszkającego we Francji Kościuszki. Ten jednak prosił o jasną deklarację co do odbudowy państwa polskiego. Napoleon, u szczytu powodzenia, o

żadnych warunkach słyszeć nie chciał. Legendy Kościuszki do zwycięstw nie potrzebował. Swoją własną już miał. Wierzyło w niego pół Europy. Drugie pół się bało.

Kajetan Koźmian bywał na ziemiach, które kilkanaście lat wcześniej witały niemal z entuzjazmem wejście Kreczetnikowa. Co charakterystyczne, „w domach możniejszych" znajdował „dobre chęci, pragnienie powrotu ojczyzny pod jakąkolwiek formą, gotowość do ofiar", przede wszystkim jednak – wśród młodzieży. Mit Napoleona działał na nią i tutaj. Ale nie miejmy złudzeń. Nie znalazł Koźmian „sympatii do Księstwa Warszawskiego w jednowioskowej szlachcie, szczególniej kontuszowej. Konstytucja tego Księstwa, równość w obliczu prawa, a szczególniej zniesienie niewoli, nie tylko nie podobało się samolubnym i przesądnym, nawykłym orać ludem wiejskim, lecz przeraziło obawą utracenia tych przywilejów, które im pod rządem rosyjskim zostawiono. Przenosili więc swój stan obecny nad wszystkie powrotu ojczyzny nadzieje".

Czy ta szlachta poparłaby odrodzenie państwa polskiego przeciw caratowi, gdyby Napoleon zrealizował postulaty Kościuszki? Przypuszczenie takie nie ma chyba realnych podstaw. Wstydzili się Targowicy, jak później demonstrowali to sami jej organizatorzy, ale interes, jak go rozumieli, czynił tę szlachtę w przygniatającej większości – targowiczanami. I nie sądzę, by tak bardzo inaczej było na ziemiach rdzennie polskich... Moją przykrą diagnozę na temat udziału polskiej szlachty jako czwartego partnera w akcie rozbioru Polski wziąłem w dużej mierze z Koźmiana. Polska Polaków dopiero wówczas rodziła się na nowo – dzięki Legionom i Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

To nie było tak, jak chciał jeden z moich przyjaciół, ceniony, i słusznie, historyk. Naród polski nie rodził się dopiero wtedy. Wieki wcześniej tożsamość polską wykazywali już chłopi, uczący na uniwersytetach i piszący poezje, tym bardziej – polonizujący się mieszczanie obcego pochodzenia. To szlachta zdradziła własny naród. A dopiero elita umysłowa będzie ratowała jej imię przed historią.

31. NIM PORZĄDEK ZAPANOWAŁ W WARSZAWIE

Księstwo Warszawskie to szczytna przygoda historyczna narodu, którego szlachta sama odrzuciła swe państwo. Napoleon obudził dorastających Polaków do polskości. Cytowany tu już pamiętnik notuje wrażenia i uczucia Fryderyka Skarbka, chłopca wtedy kilkunastoletniego:

„Pojmowałem już dopiero co ocuconą we mnie miłość ojczyzny i świetną przyszłość, jaka się przed nami otwierała; czciłem wraz ze starszymi bałwochwalczo Napoleona i poczytywałem Francuzów za istoty nadludzkie, przez Opatrzność na wybawienie nasze do Polski zesłane".

Doprawdy zakrawało to na cud. Bo naraz całe społeczeństwo szlacheckie Księstwa, balujące na grobie ojczyzny, przeobraża się w zaradnych, rządnych obywateli, chłopcy i panienki sprzed kilkunastu laty w trzydziestoletnich gospodarzy i właścicieli. Organizują się, powołują kompetentne władze lokalne, wojewódzkie i centralne, wyposażają swoje wojsko, reformują kraj. Wszystko w odstępie niespełna kilkunastu lat od złożenia przez rodziców ich własnego państwa do grobu. Być może ktoś inny będzie umiał na pytanie o mechanizm tej przemiany kompetentniej ode mnie odpowiedzieć; ja dopatruję się go w dojściu do głosu nowego pokolenia. Ukształtowanego w innej tradycji, przez pokolenie jego dziadów.

Sprzyjają tej przemianie i uczestniczą w niej ludzie elity intelektualnej, formującej się u zmierzchu Rzeczypospolitej – 60-letni Feliks Łubieński, kiedyś poseł Sejmu Czteroletniego, teraz minister sprawiedliwości, zainstalował w Księstwie - francuskie prawo cywilne i handlowe, wprowadził słynny Kodeks Napoleona, w 1808 r., w rok po Francji, i Kodeks Handlowy. Było to ogromne wyprzedzenie cywilizacyjne w naszej części Europy; Rosja otrzyma pierwszy kodeks handlowy dopiero w roku 1835, o 26 lat, całą epokę później. To będzie zalążek przyszłej potęgi ekonomicznej małego, skąpo wyposażonego przez naturę kraiku.

„Bóg wojny" reorganizował administrację we Francji – na sposób zresztą wojskowy, nie stwarzając miejsca na jakikolwiek samorząd, którego Francja nie nauczy się aż po wiek XX. Urządzał Napoleon Europę wojną, szukał zwycięstw i szukał pieniędzy na nie. Uznał się sukcesorem Prus wobec szlachty polskiej, przejął wierzytelności Prus, obliczane na 43 mln franków, ale mógł ściągnąć tylko wierzytelności skarbu pruskiego, oszacowane na 24 miliony (jak to przebadała prof. Barbara Grochulska). Kontrakt podpisano w Bajonnie, stąd owe przysłowiowe sumy „bajońskie", olbrzymie. Nigdy nie ściągnięte, po prawdzie. Pozostałe długi ziemiaństwa polskiego na rzecz różnych pruskich instytucji finansowych, które liczyły na dobre lokaty, przetrwały; będą po roku 1815 kosztowały, zgodnie z przewidywaniami, wiele bankructw... Zarządzona przez Napoleona blokada kontynentalna odcięła wprawdzie Gdańsk od rynku angielskiego, ale rynków dla płodów rolnych ziem polskich nie brakowało i poza nim.

Dowództwa armii Księstwa Warszawskiego nie powierzył Napoleon doświadczonemu generałowi Dąbrowskiemu, lecz generałowi Józefowi Poniatowskiemu, zwycięzcy w bitwie z roku 1792. Kiedy Austriacy spróbowali na Księstwie korygować wyniki dotychczasowych wojen, Polacy pobili ich niedaleko Warszawy, pod Raszynem. Książę Józef z fajką w zębach poprowadził w pierwszym szeregu polskie oddziały do ataku na bagnety. Nie był

tak znakomitym dowódcą, jak Dąbrowski, Kniaziewicz czy inżynier wojskowy, Michał Sokolnicki, ale, co można zrozumieć, był dowódcą kochanym…

Już wcześniej polskie wojska w służbie Napoleona awansowały swą opinią do równych najlepszym w Europie. Znakomici jeźdźcy, o których mówiono, że się w siodłach urodzili, świetni szermierze, zasłynęli szarżami szwoleżerów w niejednym decydującym momencie bitew Napoleona, w ataku przez hiszpański wąwóz Somosierry czy też w wielkim natarciu pod Wagram.

Napoleon koronował się cesarzem, potem królem Włoch. Niestety, uległ własnej pysze. Zwyciężał „Mały Kapral", przegra Napoleon Wielki. Można długo rozważać jego błędy raczej polityczne, niż wojskowe. Teoretycznie mógł Napoleon zbudować państwo polsko-litewsko-ruskie, państwo Unii Lubelskiej, wielonarodowe, jako przeciwwagę wobec Prus, Austrii i Rosji, by rewoltować potem lud Rosji, pamiętający jeszcze bunt Pugaczowa. Współcześni znali jednak bliżej niż my postawę ziemian Polski, Litwy i Rusi. Wątpliwe, by ta mówiąca po polsku, lecz myśląca tylko o sobie szlachta poparła budowę państwa o duchu Konstytucji 3 Maja – chyba, że pod naciskiem i kontrolą obu armii, polskiej i francuskiej… Być może nie chciał Napoleon zadzierać ze wszystkimi trzema zaborcami na raz. Ruszył przeciwko Rosji swego niedawnego wielbiciela, Aleksandra I, w szalonej, bezsensownej wyprawie na Moskwę. Nie pokonał go tam stary generał carski, Michaił Kutuzow, który w krwawej bitwie pod Borodino poniósł straty w ludziach równie wielkie jak Napoleon. Wykończyli Wielką Armię, kiedy Napoleon zarządził odwrót, generałowie, jak się mówiło, Gołodow i Morozow, głód i mróz. Odwrót Wielkiej Armii był istną tragedią.

Książę Józef Poniatowski pozostał przy Napoleonie do końca i zginął w „bitwie narodów" pod Lipskiem. Nie wiemy, czy naprawdę powiedział przed śmiercią „Bóg mi powierzył honor Polaków i Bogu go tylko oddam" - ale postąpił, jak nakazywał i rozsądek: ktoś z Polaków musiał pilnować tej opcji, ponieważ Napoleon mógł raz jeszcze odwrócić bieg historii. Pokonany, osadzony na włoskiej wyspie Elbie, zerwał się znowu do walki i gdyby nie błędy w operacjach ostatniej kampanii, zakończonej klęską pod Waterloo, byłoby się to może mu udało…

Po Waterloo przyszedł czas „restauracji". Przywróciła ona wszędzie obalone monarchie. To zwycięski Aleksander I zaprojektował „Święte Przymierze", napisał jego traktat, upoważniający mocarstwa do pacyfikowania buntów i rewolucji poza własnymi granicami. Spośród zwycięskich mocarstw nie podpisała go tylko Anglia, ale pozostałe zwycięskie mocarstwa na słynnym kongresie balów i łakoci w Wiedniu uporządkowały Europę - na sto lat. Tym wyrokiem Kongres Wiedeński zamknął epokę napoleońską. Takim wyrokiem po 130 latach będzie i układ jałtański…

W latach Kongresu car Aleksander odnowił przyjaźń z Czartoryskim. Ten już wcześniej, wobec możliwej klęski Napoleona, znosił się potajemnie z politykami Księstwa Warszawskiego, w tym i z księciem Józefem. I oto wszechmocny wtedy car, ukoronowany w 1815 r. królem Polski, ustanowił - Królestwo Polskie. Królestwo to, kadłubowe, okrojone nawet z terytoriów, które oddano Prusom, bez Galicji, sięgało wypustką w głąb rdzennej Litwy, ale obdarował je car zgoła wyjątkowo. W sposób niedoceniany ani w Polsce, ani poza nią, ani przez potomność. Nadał temu kawałkowi Polski - ustrój konstytucyjny, gdy w Rosji nawet myśli o wolności miażdżył z jego, cara, upoważnienia okrutny prostak, Alieksiej Arakczejew. Czy zrobił to Aleksander dla dawnego przyjaciela? Nie wiemy. Raczej wątpliwe. Nie dał mu władzy w Królestwie. Jednakże poza Anglią i Niderlandami jedynie

Królestwo Polskie i Finlandia miały swe parlamenty. Polska wyłącznie szlachecki, ale i tak z praw wyborczych korzystał tu nieporównanie większy odsetek społeczeństwa niż w Anglii. Czy Aleksander żywił jakąś szczególną słabość do Polski? Czy eksperymentował z demokracją - jak i w stosunku do samorządu Finlandii, którą zabrał Szwecji wraz z Wyspami Alandzkimi po 1809 r.? Uznał się „Wielkim Księciem Finlandii", ale miało to „wielkie księstwo" swój parlament, rząd, sądy, armię, administrację – i granicę celną z Rosją! To był kawałek Szwecji, bo wszyscy mówili po szwedzku, tylko lud znał język fiński. Carski generał-gubernator nie ingerował jednak w życie „wielkiego księstwa".

W Królestwie Polskim nie było żadnego generał-gubernatora i Aleksander I nie szukał odwetu na walczących przeciw niemu polskich oficerach i żołnierzach Napoleona. Uczynił ich armią tego Królestwa - odrębną od rosyjskiej - pod dowództwem swego brata, wielkiego księcia Konstantego, który osiadł w Warszawie, od 1820 r. żonaty z Polką. To wojsko, z umiejętnościami wojennymi armii Napoleona, świetnie wyszkolone, z formacjami technicznymi wysokiej klasy, było nowocześniejsze od wielu innych armii Europy. I wszystko to między straszną już Rosją, Prusami i Austrią ponurego absolutyzmu Franciszka I, gdzie więźniowie siedzieli w lochach Szpilbergu bez wyroku, przykuci do ciężkich żelaznych kul. „Pustelnia parmeńska" Stendhala sportretowała i tę Austrię, i pańśtewko równie koszmarnego księcia Parmy. Kontrast był uderzający...

Znów pytanie: czy decyzje Kongresu Wiedeńskiego uznać za czwarty rozbiór, czy postawić pomnik wdzięczności Aleksandrowi I? Los układał się przekornie, a nawet złośliwie: wtedy właśnie wiecznie głodny rynek angielski słynnymi „prawami zbożowymi" zamknął się przed eksportem polskich płodów rolnych. Nieograniczone, zdawałoby się, źródło pieniądza wyschło. Elity polskie jednak wyszły z krwawego epizodu historii zupełnie inne. Ubyło tysiące najlepszych, ale młode pokolenie na tyle zaznajomiło się z postępami cywilizacji, by szukać szans rozwoju w każdych warunkach. Ta przemiana po wiekach obojętności wobec spraw publicznych, po wiekach egoizmu i zbytku, zasługuje na wnikliwe studium, wyjaśniające mechanizm cudu... A wobec niedoboru mężczyzn, padłych na polach bitew, kształtować teraz wyobraźnię narodu poprzez rodziny polskie będą wiek cały - kobiety. Ta ich rola w historii Polski też nie doczekała się pełnej analizy aż po dzień dzisiejszy.

Wielkopolska i Pomorze, wyniszczone wojnami, zeszły z pozycji krainy Kanaan, o której marzył Fryderyk Wielki, do rzędu ubogich, pogranicznych prowincji państwa pruskiego. Rzemiosło Wielkopolski padło z braku rynków, szlachta nie umiała gospodarować, kolejne pokolenie chłopów, nawet tych wolnych, też nie za bardzo. Wielkopolskę jako Wielkie Księstwo Poznańskie oddzielił od reszty kraju pilnie strzeżony kordon, została bez przywódców i autorytetów. Staszic, mędrzec rodem z Piły, działał w Warszawie, profesorowie bracia Śniadeccy, pochodzący ze Żnina - w Wilnie. Mianowany namiestnikiem króla Prus książę Antoni Radziwiłł, utalentowany kompozytor, doceniony jako muzyk dopiero w naszych czasach, politykiem nie był. Nie on przeprowadzał reformy. Rozwijającą się biurokrację pruską nie bez kozery zwano „arystokracją talentów" - w roku 1823 inteligentnie uwłaszczyła chłopów. Wedle polskich interpretacji - dla ciosu w polską własność ziemską, ale w rzeczywistości to junkrom pruskim należało dowieść, że nowoczesnej gospodarce trzeba wolnych ludzi jako pracowników.

Austria zniosła poddaństwo osobiste w „Królestwie Galicji i Lodomerii", ale rozciągnęła nad tym „królestwem" istny kir martwoty. „Sejm stanowy" ciemnej szlachty nie miał żadnych praw decyzji, mógł tylko coś proponować. „Gobernium", stolicę, ulokowano we Lwowie. Kraków, przez wieki centrum Polski, został dzięki Aleksandrowi I „wolnym,

niepodległym i ściśle neutralnym miastem Kraków z okręgiem", tzw. „Rzeczpospolitą Krakowską". Austria wcieli ją do swojej „Galicji" po próbie rewolucji w trzydzieści lat później - bez żadnego już protestu ze strony Europy.

O księciu Józefie utarło się powtarzać owe jego słowa sprzed śmierci, nie ważne, autentyczne czy też nie – „Bóg mi powierzył honor Polaków i Bogu go tylko oddam". Stanisławowi Staszicowi, jeśli już, Bóg powierzył zdrowy rozsądek Polaków. Znów użyję superlatywów: był to jeden z największych Polaków historii, na miarę Kazimierza Wielkiego i Jana Łaskiego. Jakże zaś inteligentny i ciekawy nowator, którego doświadczenie użyteczne byłby i dzisiaj! Z 329 wolnymi już chłopami, „ojcami rodzin" z 8 jego wsi i części miasteczka Hrubieszowa, podpisał „Kontrakt Towarzystwa Hrubieszowskiego w zamiarze udoskonalenia rolnictwa i przemysłu oraz wspólnego ratowania się w nieszczęściach". Oddawał im w wieczyste użytkowanie ponad 12 tysięcy hektarów swoich tamtejszych dóbr, gruntów uprawnych z łąkami, lasami i stawami. Zainstalował Towarzystwu - które nazywał „gminą" - ubezpieczenie wzajemne, wspólnie też utrzymywało Towarzystwo ze swych „podatków" szkoły i lekarza, pracowały jego własne cegielnie i młyny, no i bank pożyczkowy Towarzystwa, udzielający kredytów tylko na rozwój, choć w praktyce i na cele handlowe. Fundowano stypendia na studia uniwersyteckie, a stypendyści, co charakterystyczne, wracali po naukach - choć nie musieli - i to pracować dla „gminy"! „Radę Gospodarczą" wybierali członkowie w dwustopniowych wyborach. Jej prezesi, dziedziczni „wójtowie" gminy, Grotthusowie, znakomicie kierowali interesami Towarzystwa. Już pierwszy, dobrany przez Staszica, były jego plenipotent, musiał potem bronić Towarzystwa przed carską administracją. Tak samo syn, którego omal go nie uwięziono w 1850 r. za pomoc uciekającym do Galicji. Wnuka w 1867 r. uznały władze carskie za człowieka szczególnie szkodliwego. Drugiego wnuka, ostatniego po nim prezesa Rady, za obronę unitów i polszczyznę w korespondencji wewnętrznej deportowano w 1886 r., obalając „Ustawę" Towarzystwa... A sama ona to wzór do dziś pasjonujący - nie tyle dla spółdzielni, co dla funkcjonowania gminy!

W skali całego Królestwa Staszic torował drogę uprzemysłowieniu, czerpiąc wzory z Anglii. Była tego czasu ojczyzną wszelkiego postępu; stamtąd ściągał techników i technologie. Sprowadził dwudziestoletniego zaledwie kupca żelaznego, Tomasza Moore'a Evansa, ten w roku 1822 założył „Fabrykę Machin i Młynów, Młockarń i Narzędzi" w Warszawie, przyjechało i trzech jego braci, pierwsza w Polsce maszyna parowa wyszła od nich. Odlewali też potem działa dla armii Powstania Listopadowego, pomagali w zakupach i przewozie broni...

Następca Staszica w jego dziele, Ksawery Drucki-Lubecki, umysł niezwykłego lotu i znakomity organizator, budował przede wszystkim przemysł zbrojeniowy. Pojawiają się wtedy pierwsi zawodowi menedżerowie. Piotra Michałowskiego przez ponad sto lat znała jedynie historia sztuki – jako pierwszego wielkiego polskiego malarza. Dopiero w latach siedemdziesiątych XX wieku udało się odkryć (do czego się przyłożyłem), że u Druckiego-Lubeckiego zarządzał fabrykami zbrojeniowymi, zarządzał fachowo, skutecznie, z produkcją znakomitych karabinów, choć sam po cichu marzył, to prawda, o szarży kawaleryjskiej na czele szwadronu ułanów... Los innego bohatera tych czasów układał się w historiografii podobnie - Konstanty Wolicki stworzył przemysł cynkowy w Polsce, stworzył Ciechocinek, uruchomił kilka innych przedsięwzięć i był prawą ręką Lubeckiego w negocjacjach handlowych. Tak dalece się tymi osiągnięciami nie interesowano, że przez ponad sto lat przypisywano mu daty życiorysu innego Konstantego Wolickiego, muzyka. Tak obchodziliśmy się ze swą historią.

Genialny Drucki-Lubecki obmyślił też, jak ratować polską własność ziemską, którą obciążały długi i do 2/3 wartości. Użył pomysłu śląskiej „Landszafty", tylko lepiej. Jego polskie „Towarzystwo Kredytowe Ziemskie" , organizacja długoterminowego kredytu hipotecznego, skupiło zadłużone dobra. Miało kredytować tylko ich rozwój. Z czego? Emitowało na poczet przyszłych dochodów z tych dóbr tzw. „listy zastawne", papiery wartościowe o stałym oprocentowaniu, niezależnym od wahań kursów pieniądza. Towarzystwo, ogłoszone początkowo szaleństwem, spiskiem bankrutów, zostało w parę lat później, dzięki swym kredytom i kontroli ich wykorzystania, uznane „cudem świata". Aż po II wojnę światową nie było solidniejszych papierów wartościowych na giełdach europejskich - zanim PRL wszelkie polskie papiery wartościowe pozbawiła wartości. Walorów tego systemu kredytowego nie odkryliśmy do dziś...

Życiu umysłowemu nadawało ton Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Mnożyły się czasopisma, a cenzura, w gestii samego Staszica, ingerowała mniej, niż gdziekolwiek indziej w Europie. Książę Adam Jerzy Czartoryski przetłumaczył pod pseudonimem jako lekcję polityczną - historię włoskich republik - miast-państw późnego średniowiecza, pióra wielkiego Sismondiego. Przełożył także - w imię dumy narodowej - francuską, pełną zachwytu i zazdrości relację biskupa Montluca o Polsce z lat wyboru Henryka Walezego. Tak, on, książę Adam Jerzy Czartoryski... Uniwersytet kształcił fachowych prawników dla sądownictwa i nauczycieli dla szkół Królestwa. Instytut Politechniczny wypuszczał pierwszych zawodowych techników. W Kielcach, w sąsiedztwie Zagłębia Staropolskiego, założył Staszic Akademię Górniczą dla przyszłych inżynierów hutnictwa i górnictwa, prowadzili ją przybyli z Saksonii inżynierowie. Pójdą potem ci Sasi walczyć u boku Polaków w Powstaniu Listopadowym...

Z Warszawą konkurował inny ośrodek życia umysłowego - Wilno ze swym uniwersytetem europejskiej miary, Wilno, pamiętajmy, w obrębie carskiego państwa, poddanego strasznemu reżimowi Arakczejewa. Pewna grupa wileńskich studentów zawiązała konspirację, ale bynajmniej nie wojskową. Za cel obrali ci „Filomaci", jak się nazwali - własną edukację obywatelską i naukową, oraz rozwój kraju, tak społeczny, jak ekonomiczny. W tym elitarnym gronie różnorakich przyszłych fachowców górował umysłem młody autor jego zasad, praw i programu. W jego mistrzowskich analizach i wskazówkach, przesyłanych wileńskim kolegom z Kowna, odkryłem - wybitnego, rzec można, fachowca od zarządzania i organizacji. Kto to był? Otóż - Adam Mickiewicz, piszący wtedy pierwsze romantyczne poematy... Do dziś tych dokumentów szersza publiczność nie zna, bo historyków literatury interesować nie mogły.

Filomatów po kilku latach rozbił zapamiętały wróg Czartoryskiego, wysoki urzędnik, senator Nikołaj Nowosilcow. Jak Arakczejew - samodzielne formowanie umysłów miał za występek najniebezpieczniejszy. Ale represje Nowosilcowa wobec Filomatów były niczym w porównaniu z represjami Arakczejewa wobec niepokornych Rosjan. Mickiewicza zesłano do Rosji, przyjmowały go jej salony z zachwytem dla jego talentów tudzież inteligencji; urodziwy zdobywca serc, i nie tylko serc, wielkich dam, podróżował swobodnie po Rosji. Inni Filomaci też nie trafili na katorgę jak podobni im Rosjanie. Umówili się, że, zesłani, podejmą prace badawcze nad ludami, poddanymi caratowi - by kiedyś te kontakty wykorzystać dla buntu przeciw caratowi...

Druckiego-Lubeckiego nie tylko tolerował, ale i niezwykle cenił następca Aleksandra I, jego najmłodszy brat, Mikołaj I, w Rosji przemożny tyran, niszczący wszelkie nawet ślady niezależnej myśli. Królestwo mogło się swobodnie rozwijać, a dzięki Druckiemu-Lubeckiemu wyprzedzało swoim rozwojem resztę ziem caratu o parę długości. Zwiększało

ten dystans z każdym rokiem. I gdyby nie rozkochany w swym polskim wojsku, ale podobno urażający oficerów i żołnierzy książę Konstanty, historia ułożyłaby się może nieco mądrzej - powstanie, jeśli w ogóle!, wybuchłoby o parę decydujących lat później, kiedy samo zaplecze zbrojeniowe armii polskiej starczyłoby na jej słabo wtedy uzbrojonych przeciwników. Nie starczyłoby może na nieuchronnie połączone siły mocarstw „Świętego Przymierza", uprawnionych do interwencji, ale wymusiłoby może jeszcze korzystniejszy status ziem dawnej Rzeczypospolitej w obrębie imperium carów. To kwestia do historii „alternatywnej", pasjonującej, i słusznie, mojego przyjaciela, Andrzeja Wielowieyskiego. Niestety, mamy rozumieć, że to sam charakter Konstantego odbierał jego młodym podkomendnym zdolność myślenia politycznego...

Kiedy we Francji Rewolucja Lipcowa obaliła w 1830 roku rządy Restauracji, w Królestwie przebąkiwano, że jego armia pójdzie pacyfikować Francuzów. Atmosferę Warszawy przesycało napięcie. Wreszcie w ostatnich dniach listopada 1830 roku - wybuchło. Wywołała powstanie, nazwane Listopadowym, grupa warszawskich podchorążych. Chcieli ująć księcia Konstantego. Paru przytomnych generałów odmówiło im swego dowództwa – niemniej poparła spiskowców młodzież studencka Warszawy i w parę dni duch powstańczy zapalił całą dosłownie elitę społeczeństwa. Tak to wielkie powstanie, w moim poczuciu, wzięło początek z decyzji smarkaczy. Kult Piotra Wysockiego, ich przywódcy, mam za sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Ale, jak się okazało, prawie cała elita polityczna Królestwa marzyła o tym samym i uwierzyła w swoje możliwości.

Sejm Królestwa Polskiego przekształcił się z dnia na dzień w sejm niepodległego państwa, najwyżsi urzędnicy, z księciem Adamem Czartoryskim na czele - w najwyższych urzędników Rzeczypospolitej. Sejm zdetronizował cara Mikołaja I jako króla Polski, pierwsza rosyjska ekspedycja karna poniosła klęskę w starciu z armią Królestwa. Michałowski dostarczał ze swojej fabryki tysiąc karabinów dziennie, nienagannie działało zaplecze aprowizacyjne i zbrojeniowe, nie brakowało ani żywności, ani broni.

Jednakże ta okrojona Polska, którą wzmocnili zbrojni ochotnicy z guberni wcielonych do Rosji, z zaboru pruskiego i austriackiego, okazała się za słaba na same tylko siły Rosji. Rosja, nawet przegrawszy pierwsze starcia, nie musiała odwoływać się do pomocy Prus i Austrii. I już jesienią 1831 roku były generał napoleoński, niechętny Polsce, Horacy Sebastiani, mógł powiedzieć w Paryżu - „porządek panuje w Warszawie". Tym jednym paskudnym zdaniem przeszedł do historii.

Przez parę lat po stłumieniu powstania władze carskie budowały na warszawskim Żoliborzu olbrzymią, mocarną Cytadelę Aleksandrowską, do pilnowania buntowniczego miasta, z więzieniem dla niesfornych Polaków. Tu będą siedzieli skazańcy, oczekujący na wykonanie wyroków śmierci, stąd będą ruszały zsyłki na Syberię.... Turystyka warszawska pomija ten fenomen budowlany o tak specyficznym przeznaczeniu.

Nie cytadela jednak znaczyła pointę dramatu, ani zastąpienie Konstytucji Statutem Organicznym, znoszącym dotychczasowy, samodzielny ustrój Królestwa. Dramat zakończył się czymś gorszym - utratą elity kraju. Młodzi inżynierowie po studiach technicznych, prawnicy po Uniwersytecie, świetnie wyszkoleni wojskowi, posłowie do Sejmu, wśród nich także dokooptowani przybysze z dawnych ziem ruskich Rzeczpospolitej, walczący w powstaniu wychowankowie Liceum Krzemienieckiego, słowem - elita umysłowa Polski i najzdolniejsza młodzież, najwartościowsi ludzie kraju, w liczbie kilku tysięcy, wyszli na emigrację. Do Francji. Niemcy, którzy nie znosili Prus, poddani samowładnych książątek, czcili tych emigrantów po drodze najserdeczniejszą gościną, oddając im hołdy jako

bohaterom Europy. Wiele niemieckich dziewcząt uwodziło tych bohaterów, chcąc mieć po nich dzieci!

Chwała powstańczego bohaterstwa aż po dziś dzień przesłania straty, jakie poniósł kraj. Nie było od tej pory żadnej konstytucji, żadnego sejmu, żadnego z polskich uniwersytetów, ani w Warszawie, ani w Wilnie, żadnych wyższych szkół technicznych, nie było polskiej prasy. Co gorsza - intelektualne, fachowe, a zwłaszcza moralne autorytety kraju znalazły się poza nim. Stolicą Polski został na blisko 90 lat – Paryż.

Można przypisać temu powstaniu pewną szczególną wartość psychologiczną, bo zrodziło – choć czy naprawdę ono? - jakąś więź między wszystkimi stanami narodu. Pisano dawniej, że nie poruszyło to powstanie wsi. Ale nieznana tradycyjnej historiografii późniejsza klęska społeczna mówi co innego. W przygnębieniu narodowym piło całe Królestwo, wszystkie jego warstwy, z chłopami włącznie. Trudno to zwalić na ułatwioną produkcję gorzałki dzięki upowszechniającej się uprawie ziemniaka. Albo zawiodły wieś nadzieje na reformy, obiecywane przez władze powstańcze, albo też i wieś dotknęło jednak poczucie wszechogarniającej klęski narodowej... Jak widać, Polacy wszystkich klas społecznych wszędzie czuli się jednak Polakami. Pił na umór także Górny Śląsk - pod władzą pruską. Nie z braku reform. I bez powszechnej uprawy ziemniaka.

Z tej klęski społecznej, nieopisanej w historii, wydźwignęli Polskę w ciągu trudnych kilkunastu następnych lat anonimowi do dzisiaj - poza górnośląskim pionierem, księdzem Janem Fickiem - bohaterowie: zapomniani, także w Kościele polskim, szeregowi polscy duchowni. Swoją krucjatą antyalkoholową ochronili naród przed biologiczną zapaścią. Nie trzeba zaś dodawać, że władze państw zaborczych nie próbowały tej katastrofie zapobiegać. Ani jej przeciwdziałać. Pijaństwo polskie raczej nawet sprzyjało ich interesom. Jak zawsze i potem.

32. TAM LEPIEJ, GDZIE TRUDNIEJ

Powstanie Listopadowe to niecały rok. Ten rok tradycyjnie zajmował w naszej historii więcej miejsca i czasu niż kilkadziesiąt lat bezkrwawych, ale nie mniej barwnych przygód polskich, decydujących o przetrwaniu narodu. To przez te lata kształtowała się wyobraźnia polska wśród napięć między zdrowym rozsądkiem i zbędnym ryzykiem… A nigdzie to nie działo się tak samo.

Prusy uważały za swojego najtrudniejszego przeciwnika w Wielkopolsce i na Pomorzu - polską szlachtę i związane z nią duchowieństwo katolickie. Szlachta miała stopniowo zaniknąć, straciwszy oparcie w swych podupadających majątkach. Władze kościelne zamierzano dzięki porozumieniu z Watykanem obsadzić swoimi ludźmi. Inteligentny, długofalowy plan przewidywał, że to warstwy niższe uda się obrócić w lojalnych obywateli Prus, a być może nawet zniemczyć pruską szkołą. Realizowano ten plan systematycznie od początku. Taki uboczny cel miała na uwadze inteligentna biurokracja pruska w roku 1823, uwłaszczając i polskich chłopów – dawała im do zrozumienia, że biorą ziemię nie od swych panów, lecz od władzy Prus. I nic właściwie nie rokowało porażki tym zamierzeniom.

Aliści to historia Wielkopolski stanie się praktycznym przewodnikiem na drodze do wolności dla wszystkich ludów bez wspólnego poczucia tożsamości, bez organizacji i sił gospodarczych. Dlatego Jerzy Sztwiertnia nakręcił wzięty swego czasu telewizyjny serial „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” – dzięki ryzyku Janusza Gazdy. To miał być podręcznik, co robić, kiedy niczego nie można zrobić. Otwierał tę historię były ulubiony adiutant Napoleona, jego „Klaposki”, czyli pułkownik Dezydery Chłapowski. Żołnierz z powołania, za młodu wzorował się na znanym już nam szwedzkim herosie wojny, Karolu XII, o którym czytał w książce Woltera - uczył się gardzić wygodami, znosić głód i chłód; zimą wstawał w nocy i wybiegał tarzać się w śniegu. Nie było tak dzikiego konia, którego by nie próbował dosiąść. Po klęsce Napoleona wrócił do ojcowskich folwarków w Turwi, doszczętnie zadłużonych - świadom jednakże, co odkrywała Europa w Anglii, pogromczyni Napoleona.

W rolnictwie Anglii zwyciężał płodozmian. Ziemniak podbijał Europę, uwalniając ją od groźby głodów po nieurodzajach. Pojawiły się pierwsze maszyny rolnicze. I legendarny wojak napoleoński pojechał uczyć się „nowego rolnictwa” do Anglii.

Przywiózł umiejętności i maszyny. Na frontonie pałacu w Turwi tarczę herbową zastąpił zegarem. Czas liczył co do minuty. Uczył swoich ludzi wszystkiego - orać pługiem „szkockim” (bez koleśnicy, dwóch kółek przed pługiem), stawiać stogi, siać koniczynę. Uczył płodozmianu, sadził żywopłoty i szpalery drzew dla osłony od wiatrów, uprawy dobierał wedle rodzaju gleby. W Szwajcarii kupił rasowe bydło zarodowe. Przy „regulacji”, jak formalnie nazwano uwłaszczenie chłopów, oddał swoim chłopom lepsze ziemie, żeby im szło łatwiej. Uczył ich i pomagał im.
Spłacał ojcowskie długi dziesięć lat. Kiedy w roku 1830 wybuchło za „kordonem”, w Królestwie, powstanie, stanął do szeregów i zakończył kampanię w randze generała - co przez dwa lata odsiadywał potem w pruskiej twierdzy. W więzieniu napisał znakomity podręcznik rolnictwa.

Wróciwszy do Turwi po raz drugi, szkolił bezpłatnie agronomów. Był nauczycielem nie koniecznie sympatycznym, bo surowym, nawykłym do wojskowej dyscypliny, ale skutecznym. Religijnie „ultramontanin”, wierny papiestwu, którego nie znał, angażował

się, nieustannie czynny, we wszystko - od osuszania bagien i samoorganizacji handlu polskiego aż po wydawanie czasopism. I wciąż urągał rodakom, że „za mało czytają i za mało się uczą".

Jednakże głównym apostołem gospodarności w Wielkopolsce został młodszy odeń o 12 lat chirurg i akuszer, Karol Marcinkowski. To on zaczyni pracę u podstaw, wielkopolską „pracę organiczną". Mieszczanin. W Powstaniu Listopadowym - szef sztabu w korpusie Chłapowskiego, w Prusach po internowaniu korpusu ratował Prusaków i rodaków z cholery, która z Rosji zaatakowała środkową Europę. Wrócił do Poznania, by ratować ludzi z kolejnej inwazji cholery. Wśród nich i Prusaków. Mimo to odsiedział i konspirację, i Powstanie.

Lekarz skuteczny i ceniony, zwłaszcza wśród ziemiaństwa wielkopolskiego, znał i nędzę miejską. Umiał pobudzić wyobraźnię ludzi we wszystkich warstwach społecznych. Sam kształcił młodych kupców i mistrzów rzemiosła, uczył organizacji. Wspomagali go przyjaciele z kręgów magnaterii. Były powstaniec, Gustaw Potworowski, finansował oświatę ludową, biblioteki, gazety fachowe i poradnictwo rolnicze, stawiał szkółki wiejskie. Inny, Edward Raczyński, zakładał wodociągi. Tytus Działyński, inżynier już z wykształcenia - muzea historii Polski i parki dendrologiczne. Razem sfinansowali budowę polskiego centrum handlowego w Poznaniu, nazwanego Bazarem. W 1841 r. ruszyło Towarzystwo Naukowej Pomocy dla Młodzieży Wielkiego Księstwa Poznańskiego; do roku 1939 pomogło kształcić się tysiącom zdolnych młodych ludzi z warstw niższych! W 1845 r. zawiązano Towarzystwo ku Wspieraniu Ubogich i Biednych w Poznaniu, Marcinkowski potrafił zmobilizować ofiarność zarówno mieszczaństwa polskiego, jak niemieckiego i żydowskiego. Sam biedotę leczył darmo.

Namówił na interesy dwóch najwybitniejszych w przyszłości wydawców Wielkopolski, Konstantego Żupańskiego, księgarza, i Walentego Stefańskiego, drukarza. Żupański stworzył na pół wieku istne centrum wydawnictw naukowych i oświatowych. Stefański, 26-letni, kierował własną drukarnią. Syn rybaka, samouk, drukarz, który sam nauczył się łaciny i francuskiego (niemiecki opanował podczas praktyki u Niemca-drukarza), 18-letni walczył w Powstaniu Listopadowym. Wypuścił potem w Polskę tysiące publikacji naukowych i broszur rewolucyjnych, autorów krajowych i zagranicznych, z własnej drukarni i z ... przemytu. Fenomenalny konspirator, nigdy nie wpadł. W roku 1845 kierował ludowym Związkiem Plebejuszy, przygotowując kolejne polskie powstanie.

Planowano wybuch w roku 1846 w trzech zaborach jednocześnie... To niedoszłe do skutku powstanie pozostało, przemilczane, bez swojej legendy. W Galicji kojarzy się z nim - tragiczną „rabację chłopską". Czy naprawdę poduszczyli chłopów Austriacy, wątpię. Jak i wątpię, by szlachta miejscowa chciała powstania z demokratycznymi hasłami utopijnego rewolucjonisty, Edwarda Dembowskiego. Podobno zdołał założyć komitety rewolucyjne we Lwowie i Tarnowie. Podobno komitet tarnowski 18 lutego 1846 r. próbował opanować ratusz, bez skutku, ale jakiś poważny bunt szlachty wskazać byłoby trudno... Historia samego Jakuba Szeli, przywódcy „rabacji", zgoła dwuznaczna, świadczy najlepiej, że wybuchła ona po prostu z wściekłości ludu. Szela, gospodarz ze wsi Smarzewo koło Jasła, od ponad 20 lat prawował się bezskutecznie w imieniu wsi z właścicielami miejscowych dóbr. Szlachta galicyjska kręciła, jak mogła, ani myślała rezygnować z pańszczyzny, przeciwnie, próbowała ją zwiększać, wprowadzić pracę na akord. Propinacją zmuszała swoich chłopów do zakupu trunków z pańskiej gorzelni. A Szela nawet nie żądał zniesienia pańszczyzny, tylko - jej obniżenia! Górale z Doliny Chochołowskiej też powstali przeciwko bezwzględnemu właścicielowi tamtejszych dóbr, wspieranemu przez wojsko

austriackie, i to powstali raczej na wiadomość o rabacji. W paru powiatach Galicji chłopi zdobyli ponoć kilkaset dworów, w Tarnowskiem niemal wszystkie, w Sądeckiem kilkadziesiąt, niektóre spustoszyli, zdewastowali, ale nie spalili. Wedle jednych danych zginęło ponad tysiąc właścicieli, dzierżawców i oficjalistów, wedle innych koło dwustu posesjonatów ze swymi oficjalistami. Wędrowałem przed laty po tych ziemiach jako reporter, nie znalazłem śladów po tylu zniszczonych dworach, ani tylu nagrobków na cmentarzach… Kornel Ujejski swoją dramatyczną modlitwę, owo „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej…", napisał we Lwowie. Rabacja nie poruszyła tamtejszej chłopskiej Rusi, która miałaby znacznie więcej powodów do buntu.

„Rewolucja" krakowska w imię powstania całej Polski ruszyła do walki nocą z 20 na 21 lutego, już po wybuchu „rabacji" – i to, pamiętajmy, wtedy poza Galicją!, w Rzeczpospolitej Krakowskiej. Austria ją zdusiła, Dembowski zginął 27 lutego, Austria potem wcieliła Kraków do swego państwa i nikt w Europie okiem nie mrugnął. Tak straciliśmy ostatni skrawek wolnej Polski – tylko dla urojeń ofiarnego rewolucjonisty. Pozbawionemu szans powstaniu oddał i swoje życie, i azyl intelektualnego rozwoju, zduszonego na ziemiach poddanych zaborom.

Po niecałym miesiącu ataki na dwory ustały, chłopi nie wychodzili jednak do pańszczyźnianej wiosennej orki. W kwietniu przyszło parędziesiąt tysięcy austriackiego wojska, spacyfikowało bez trudu wszelki opór, jeśli w ogóle był taki, ale i bez krwawych represji - co podważa moją wiarę w skalę i siłę zaburzeń. Szelę przesiedlono wszystkiego na Bukowinę, pod dozór policyjny. Nie sądzono go, nie powieszono, nie wpakowano nawet do twierdzy…

W Królestwie aresztowano podejrzanych - bez dowodów; trafili do kazamatów warszawskiej cytadeli. Konspiracja poznańska wpadła przed czasem. Władze pruskie aresztowały ponad stu spiskowców. Ich proces w Berlinie kosztował szlachtę wielkopolską koło miliona talarów. Jedynie konspiracja „Plebejuszy" okazała się tak sprawna, że policja pruska nie zdołała zebrać przeciw Stefańskiemu żadnych dowodów.

Raczyński, który nigdy nie skąpił grosza na inicjatywy Marcinkowskiego, popełnił wcześniej samobójstwo; nie chciał żyć - zapewne wobec nieuchronności katastrofy, którą łatwo mu było przewidzieć. Katastrofa załamała natomiast zdrowie jego przyjaciela. Mądremu doktorowi życie poskąpiło sił.

Stolicą Polski przez cały ten czas, nawet później, jeszcze w epoce niemal wolnej Galicji przy cesarzu Franciszku Józefie z jej wolnym Lwowem, pozostawał - Paryż. Gromadził prawie całą elitę narodu polskiego. Zżerały ją wszelkie choroby nostalgii i konfliktów, dotykające każdą emigrację, odizolowaną i od życia swego własnego kraju, i od życia kraju pobytu. Ta jednak zasłużyła na przydomek historyczny - Wielkiej Emigracji. I na swój mit.

Jej młodzież, internowana po obozach w różnych punktach Francji, zwróciła się do nowego po Rewolucji Lipcowej, mieszczańskiego rządu Francji o możliwość nauki - i parlamentarzyści Francji króla-mieszczanina, jak go nazywano, Ludwika Filipa, długie lata przegłosowywali pomoc dla tych Polaków. „Stan trzeci" Francji, więc jej lud, widział w nich dawnych towarzyszy broni. Książę Adam Czartoryski powołał do życia ze swoich środków emigracyjne Towarzystwo Pomocy Naukowej, które pomagało młodym Polakom w studiach. Nie dzieliło Towarzystwo pomocy wedle poglądów politycznych, fundowało stypendia także zdeklarowanym przeciwnikom Czartoryskiego.

Młodzi ludzie kończyli elitarne francuskie szkoły „specjalne", wchodzili do kręgu najlepszych inżynierów Europy. Z czasem – ta emigracja założyła wręcz własną szkołę wyższą, jedyną taką w dziejach emigracji europejskich. Odpowiadała ona wymaganiami i programem słynnej francuskiej Ecole Polytechnique, zamkniętej dla cudzoziemców. Jak ona, przygotowywała kandydatów do równie słynnych szkół „specjalnych" - Szkoły Dróg i Mostów, Szkoły Górnictwa. Przyjmowała młodzież z emigracji i młodzież przybyłą z kraju...

Dwór księcia Adama Czartoryskiego prowadził politykę w skali całej Europy - w dosłownym sensie, poprzez swoich „agentów" w różnych częściach kontynentu. Nazywano księcia „królem de facto". Takim chciała go widzieć starsza część emigracji, świadoma, że w epoce triumfującego monarchizmu taki status głowy uchodźstwa ułatwiłby realizację marzeń. Emigracyjni demokraci zwalczali jednak ten tytuł zaciekle. Zorganizowali własną partię, Towarzystwo Demokratyczne Polskie – była to we Francji Ludwika Filipa jedyna legalnie działająca partia polityczna, co najlepiej świadczy o stosunku tej Francji do polskich emigrantów. Niestety, zabrakło Towarzystwu mądrości politycznej. Poparcie dla „króla de facto" znacznie by wzmocniło polską emigrację.

Mieli ci emigranci w swym gronie największych poetów polskich - Adama Mickiewicza i młodszego odeń Juliusza Słowackiego. Także innych poetów, dziś nieco zapomnianych, ale wtedy znanych i uznanych. I z tą emigracją wiązał się serdecznie jeden z największych ludzi w historii muzyki, Fryderyk Chopin, którego arcydzieła już pierwszymi swoimi taktami pozwalają odróżnić go od wszelkich innych. Chopin swoim geniuszem podbijał Paryż, wtedy - stolicę kulturalną Europy, i w ślad za tym - całą Europę. W czasach romantyzmu Mickiewicz i Chopin byli jego polskimi wieszczami. Dla swoich rodaków Mickiewicz napisał nie tylko poemat „Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie", którym rekonstruował utraconą przeszłość z jej śmiesznostkami, obyczajami i tytułami do chwały. Napisał i swoistą biblię polską, powołującą Polaków do wyższych zadań na rzecz ludzkości - „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego". Kiedy nie wadził się z Bogiem, zasiadał w radzie Towarzystwa Pomocy Naukowej, pracowicie uczestniczył w doborze stypendystów; Chopin nie raz koncertował dla zebrania środków na różne patriotyczne cele, zaś genialna „Etiuda rewolucyjna" na zawsze skojarzyła się z polskim duchem powstańczym...

W literaturze sławę europejską przyznawał wtedy, jak i dzisiaj - Paryż; Mickiewicz go zdobył. Jego miarę, umysłu przerastającego swoją epokę, odczytywano raczej intuicyjnie, dopiero my potrafimy ocenić niebywałą jego inteligencję, zdolną przewidzieć postępy... rewolucji technicznej.

Niegasnąca nostalgia najwybitniejsze nawet mózgi pogrążała jednak w oparach wpół religijnego mistycyzmu. Także - ludzi zawodowo zmuszanych do zdrowego realizmu: mistycyzowali inżynierowie na wysokich pensjach, którzy zarządzali kopalniami w Algierii, mistycyzowali budowniczowie dróg i mostów; jedno drugiemu nie przeszkadzało. Ci znakomicie opłacani inżynierowie warowali sobie w kontraktach, wyjątkową zgoła klauzulą, że w razie wybuchu powstania w Polsce wolno im będzie natychmiast opuścić swoje stanowisko. Kolejne spiski i wyprawy emisariuszy do kraju narażały na pewną śmierć zarówno ich samych, jak ich zwolenników w kraju - wszelako nie rezygnowali. Wspomagali nawet... Czerkiesów walczących z caratem na Kaukazie.

Głowy to były niezwykłe. Juliusz Słowacki, drugi polski geniusz poezji, tworzył w ekstazie tęsknoty swe najbardziej przejmujące poematy dokładnie wtedy, kiedy z precyzją

zawodowca grał na giełdzie paryskiej. Wygrywał: prześledziłem jego wyborną znajomość interesów kolejowych... Dla byłego urzędnika bankowego finanse nie miały tajemnic i w listach do matki chwalił się, że w każdej chwili może uruchomić swe kapitały - inaczej niż magnaci swoje, uwięzione w ziemi!

O Auguście Cieszkowskim powtarza się na ogół, że to mistycyzujący filozof polski, swoisty prorok mesjanizmu polskiego. Ale już ten jego „mesjanizm polski" przekonywał Polaków do pracy i działania. Mistycyzujący filozof napisał zaś po francusku... jedną z ciekawszych ówcześnie prac o kredycie i obiegu pieniądza. Odsłonił Francji w 1846 r., na podstawie doświadczeń Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, tajniki długoterminowego kredytu hipotecznego – które dziś tak trudno przyswoić naszym rodakom po „realnym socjalizmie". Dzięki powodzeniu tej książki emigracyjny ekonomista polski, Ludwik Wołowski, zdołał później zainspirować Napoleona III i jego Francję do stworzenia hipotecznego banku rolnego „Credit Foncier", „Kredytu Ziemskiego".

Rok wcześniej onże filozof-mesjanista, w roku 1845 przyznał pracownikom swego majątku w wielkopolskiej Wierzenicy pierwszy w światowym rolnictwie udział w zyskach - co niezwykle podniosło rentowność majątku. Zaproszono go wówczas na wykład o jego systemie do Berlina...

Jedną z najbardziej owocnych podróży naukowych XIX wieku podjął wtedy urodzony pod Poznaniem bajecznie inteligentny, odkrywczy geolog i geograf, Paweł Edmund Strzelecki, dla nas - pierwszy Polak, który w 1834 r. ruszył w podróż dookoła świata, i to nie dla przyjemności wojaży, lecz dla badań. W Ameryce nad jeziorem Ontario odkrył złoża rudy miedzi. Inne złoża mineralne - w Brazylii w stanie Minas Gerais. W Australii, w Nowej Południowej Walii, w paśmie Gór Błękitnych - odkrył złoto, ale jego lokalizację razem z miejscowym gubernatorem ukryli w obawie przed wybuchem niszczącej „gorączki złota"... Zostały po nim mapy geograficzne i geologiczne Australii i Tasmanii, dzieła z geografii Australii, które mu zapewniły miejsce w jej historii, są tam dwie góry jego imienia i pasmo wzniesień, też uznanych za „góry" Strzeleckiego. I jeszcze – rzeka... Nasz rodak, już „sir Strzelecki", z angielskim tytułem szlacheckim od królowej Wiktorii, miał serce – organizował w Anglii pomoc dla nie lubianej tam Irlandii, którą wyniszczał głód po klęsce zarazy ziemniaczanej. Warto wiedzieć, dla porównania: umarło Irlandczyków tysiące, potem ci, co przeżyli, masowo emigrowali, do Wielkiej Brytanii, a głównie do USA. Z 8,2 milionów ludności Irlandii w roku 1841 zostało w 1911 r. ledwie 4,4 miliona. Tak ginęły narody, którym nikt nie współczuł, a nie umiały się zorganizować...

Pierwszą w Europie książkę reportażową o Kalifornii gorączki złota napisał po francusku polski korespondent prasy paryskiej, Aleksander Hołyński, przyjaciel Słowackiego. W zrównaniu wszystkich poszukiwaczy złota, arystokratów i biedoty, upatrywał jutra ludzkości. A pierwszą książkę o Kalifornii dla samej Kalifornii – napisał inny Polak, dr Paweł Wierzbicki, lekarz...

Przyjaciel Mickiewicza jeszcze z grona wileńskich Filomatów, geolog Ignacy Domeyko, pojechał aż do Chile, gdzie stał się jednym z ojców jego nauki, odkrywcą bogactw mineralnych i pionierem oświaty. Polscy inżynierowie pracowali po całym dosłownie świecie. Trudno jednoznacznie ocenić fenomen owej Wielkiej Emigracji. Zabrakło tych wybitnych ludzi w kraju, ale zrobili dlań za granicą naprawdę to, co mogli, a nawet - znacznie więcej, niż mogli. Uznajmy, że Polska była wszędzie tam, gdzie robili coś pożytecznego i zarabiali na dobre imię Polski. Jedno pewne: ich dorobek wskazuje, że kraj zniewolony, walczący o wolność, powinien mieć wpływową, wysokiej klasy intelektualnej

emigrację: niechaj w jego imieniu przypomina o nim opinii publicznej reszty świata i zaświadcza o klasie narodu... Ci to robili i muszą, moim zdaniem, w pełni należeć do historii Polski.

Europa jako Polaków znała teraz tylko Wielką Emigrację. Byli jej bohaterami. Do czasu. Kiedy w roku 1848 przyszła Wiosna Ludów, wielkie demokratyczne przebudzenie Europy, Polacy z Wielkiej Emigracji wszędzie byli siłą napędową spisków i rebelii lub dowódcami. Cała Europa była Polską. Walczyli „za wolność waszą i naszą" - w powstaniach niemieckich przeciwko miejscowym despotom, wespół z Włochami we Włoszech przeciw Austriakom, z Austriakami przeciw cesarzowi w Wiedniu, z Węgrami przeciw Austriakom. Powstańcy państewek niemieckich specjalnie sprowadzali sobie właśnie polskich dowódców i oficerów, bo to byli w ich pojęciu jedyni ludzie czynu. Tak, tak było, ówcześni romantyczni Niemcy - poza Prusami - uważali siebie, trudno dziś w to uwierzyć, za niezdolnych do zorganizowanego, skutecznego działania!

Galicji Wiosna Ludów przyniosła - wyzwolenie chłopów. Pierwsi autentyczni reprezentanci chłopów zasiedli wtedy w parlamencie cesarstwa, na tyle chwilowo osłabionego, że musiało znieść podobny despekt. Nie było już mowy o konflikcie między chłopami a szlachtą polską; jedna i druga strona chciała wyraźnie jak najszybciej zapomnieć o tym, co się dwa lata wcześniej wedle powszechnego wyobrażenia zdarzyło...

W epopei węgierskiej walczyły u boku Węgrów polskie oddziały pod wspólnym dowództwem legendarnego „ojczulka Bema", znakomitego inżyniera i artylerzysty. Jej klęska zamknęła historię Wiosny Ludów i związanych z nią nadziei Polaków. Dalszy ciąg zapowiadał się z początku jeszcze nawet gorzej: po Ferdynandzie I, obalonym przez Wiosnę Ludów, władzę w Austrii objął młody cesarz Franciszek Józef. Bunty krwawo tłumił, młodych, niepokornych magnatów Galicji powsadzał do Szpilbergu, do rozprawy z Węgrami przyszły z pomocą wojska carskie. Polacy po klęsce rewolucji węgierskiej przeszli w granice Turcji - i tam prawie wszyscy pozostali.

Dawny wróg okazał się ostatnim przyjacielem, Turcja sułtanów jedyna nigdy nie uznała rozbiorów Polski. I właśnie polscy inżynierowie będą Turcji zakładali setkami kilometrów linie telegraficzne, budowali drogi, mosty i kopalnie, lekarze organizowali i kierowali szpitalami, Polacy będą uczyli przedmiotów ścisłych i technicznych na powstających wyższych uczelniach. Pracowało ich tam w sumie parę tysięcy, tak, parę tysięcy - mieli pracę dla Turcji za swego rodzaju zadanie narodowe. Rosja i Austria domagały się ich ekstradycji. Sułtanat odmówił; czuł się mocny poparciem Anglii i Francji. Niektórzy Polacy jak Józef Bem, Władysław Kościelski, późniejszy generał armii tureckiej, czy też inny jej generał, Konstanty Borzęcki przyjęli islam, stąd Polacy Murat Pasza, Sefer Pasza i Mustafa Dżelaleddin Pasza. O wydaniu muzułmanów zaborcom tym bardziej mowy nie było.

Mówi się, nie bez racji, że jeden z nich, generał armii tureckiej, zarazem publicysta i historyk odkrył Turków jako naród. Elita państwa Osmanów nawet nie mówiła czystym językiem tureckim, tylko volapuekiem persko-arabsko-tureckim, samo słowo „Turcy" oznaczało dla niej pogardliwie traktowaną gawiedź z ludu, nie poczuwała się do żadnego z nimi związku. Generał Mustafa Dżelaleddin Pasza swoim szkicem „Les Turcs anciens et modernes" w 1869 r. pierwszy uświadomił Osmanom i czytającej Europie, że Turcy to naród, naród o własnej tożsamości. W Turkach to odkrycie wzbudziło ambicje narodowe. Rodząca się inteligencja turecka zaczęła od - oczyszczania języka, by wspólny język turecki mogli rozumieć wszyscy... Owym Dżelaleddinem Paszą, nieznanym w Polsce, był generał

Konstanty Borzęcki. Pamięci o nim u nas nie pomogło, że jego wnuk, turecki poeta, Nazim Hikmet, bywał w Polsce… Podejmowano go w PRL nieledwie z entuzjazmem, brano go bowiem za sympatyka ustroju, a Nazim Hikmet przyjechał po prostu z zaciekawienia krajem swego dziada.

Byli ci Polacy ludźmi z fantazją i rozmachem. Przyszły poeta neoromantyczny, Karol Brzozowski, jako inżynier chwalił się żartobliwie, że liniami telegraficznymi „odrutował Turcję jak rozbity garnek"; zasłynął jako strzelec, trafiając z ciężkiego ówcześnie pistoletu podrzuconą wysoko monetę! Kiedy nowy gubernator Bagdadu, ściągnięty z Bałkanów, jął reformować Irak, tępić bezprawie, osadzać Beduinów na roli, poprawiać nawadnianie, Brzozowski przeniósł się za nim. Założył wzorową fermę rolniczą i chciał sprowadzić tam rodaków… Turcja dla tych paru tysięcy Polaków stała się częścią Polski.

Wiosna Ludów na ziemiach polskich objawiła się tylko jednym powstaniem, akurat na terenie „rozsądnej" Wielkopolski. Po zaciętych walkach stłumiła je armia pruska. Ale wszystkie powstania Wiosny Ludów w Europie były w jakimś sensie powstaniami polskimi - zwłaszcza w opinii rządów Europy. Wyższe jej warstwy odwróciły się od Polaków niemal całkowicie. Na kilkadziesiąt lat z górą. Tak naprawdę – na lat sto trzydzieści, aż po czasy polskiego papieża i Solidarności. Polacy bowiem, czy to w kraju, czy zagranicą, przy różnych okazjach zakłócali spokój rządów Europy. Przeszkadzali. Tylko w Turcji i we Francji Napoleona III (do jego klęski w wojnie z Prusami) traktowano Polaków z sympatią. Dopiero w przyszłej monarchii austro-węgierskiej cesarz Franciszek Józef, zmieniwszy koncepcję i ustrój swego państwa, zrobi z Polaków partnerów swej władzy. Też będzie to zjawisko poza polską pamięcią. Także – poza austriacką, choć Austrią długie lata rządziło przy Franciszku Józefie paru Polaków i to jeden z nich wymyślił reformę ustroju. Pozostali jakby poza historią.

33. PO LATACH PRACY KRWAWE BOHATERSTWO

Wiosna Ludów zamknęła pewien etap historii w dziejach Europy. Kiedy rozwiały się z jej pacyfikacjami nadzieje romantyzmu wolności i demokracji, Europa skoncentrowała uwagę na tym, jak dorównać Anglii w rozwoju gospodarczym – co się teraz wydawało najważniejsze. Polska jako temat polityki musiała zejść w nieobecność, wręcz na nią skazana - przy obojętności lub nawet wrogości najpotężniejszych państw świata. Anglia zajmowała się swym światowym imperium, Europy kontynentalnej w ogóle nie potrzebowała – a jeśli, to jako rynku dla sprzedaży swoich lokomotyw i innych produktów techniki. Sympatyzującemu do tej pory z Polakami nowemu cesarstwu Francji sprawa polska z upływem czasu, nie ukrywajmy, zaczęła przeszkadzać. Francja starała się zadzierzgnąć związki z carską Rosją, by zabezpieczyć się przed rosnącą potęgą Prus. Car Mikołaj I zdusił Węgry Wiosny Ludów i przesądził tym samym o zachowaniu monarchii austriackiej. Przegrał potem wojnę krymską, kiedy próbował rozszerzyć swoją obecność na Bałkanach, ale Rosja następcy, liberalnego podobno cara Aleksandra II, kontrolowała całą Europę na wschód od Prus i też myślała o interesach. Polacy, jak się rzekło, roznoszonym po Europie niepokojem zakłócali spokój robienia interesów. Podważając utrwaloną logikę wiedeńskiego podziału Europy, budzili ciągłym niejawnym, ale oczywistym buntem łatwo zrozumiałą niechęć i rządów, i klas posiadających.

Przewagę cywilizacyjną Anglia osiągnęła wtedy przytłaczającą: sama wydobywała tyle węgla i produkowała tyle stali, ile cała reszta świata razem, i tak miało być aż po lata osiemdziesiąte XIX wieku. Z Anglii przychodziły koleje, z Anglii - wszelkie niemal innowacje techniczne. Ideały szły do kąta. Niezwykli dwaj saint-simoniści, „industrialiści", jak siebie wzorem Saint-Simona zwali, bracia Pereirowie, nauczyli Francję i Niemcy kredytowania przemysłu, zaś ekspansja kolejnictwa i telegrafii z roku na rok zmniejszała świat cywilizowany. Mickiewicz, genialny nie tylko w poezji, swoimi wykładami w College de France jeszcze w początku lat czterdziestych zapowiadał zwycięski postęp techniki. Łączył nieoczekiwaną u poety wiedzę z intuicją i zrozumieniem epoki. Pytał jedynie – „jaki duch obejmie rządy świata", który będzie opierał się na rozwoju przemysłowym.

Tak naprawdę Europa nie porzuciła romantyzmu. Obdarzyła jego uczuciami technikę i ekspansję przemysłową, wraz ze zmianami, które przynosiła. Sam Wiktor Hugo, wielki pisarz, pionier i symbol romantyzmu, z przejęciem istnego neofity rozprawiał o tym... jak zagospodarować odchody Paryża.

W Królestwie Polskim ruszały pierwsze koleje, ale historia stanęła w miejscu. Pchali ją naprzód jedynie ludzie, których patrioci, walczący o niepodległość w XX wieku, uznali za lojalistów. Niewiele o nich naprawdę możemy powiedzieć; Fryderyk Skarbek, który w tym okresie odgrywał rolę nieocenioną, nie ryzykował odwagi. Raczej nie ze strachu. Z wyboru. Syn szlachcica-bankruta, dzięki własnej pracy został profesorem Uniwersytetu, pierwszym wybitnym ekonomistą polskim. Jeden z najczynniejszych członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przy tym - utalentowany pisarz i publicysta, równie fachowo zajmował się potem w administracji kraju... więziennictwem i szpitalami. Dla historii waży przede wszystkim jako ojciec polskiego systemu ubezpieczeń. Nie sam. Miał świetnego współpracownika, Wacława Łuszczewskiego, swego wychowanka; ten pierwszy polski teoretyk ubezpieczeń opracowywał wszystkie statuty i przepisy. Niektórzy nasi historycy potrafili pisać o tym świetnym fachowcu, że zawdzięczał karierę stosunkom i lojalizmowi;

nie pomogła jego opinii karna zsyłka w głąb Rosji po Powstaniu Styczniowym, ani przedwczesna śmierć po klęsce...

Ubezpieczenia polskie narodziły się w 1807 r. Pruskie „Towarzystwo Ogniowe dla miast w Prusach południowych", ustanowione w roku 1803, zastąpiono polskim już „Towarzystwem Ogniowym w Księstwie Warszawskim". W Królestwie Kongresowym odrębne „towarzystwa ogniowe" dla budynków miejskich i dla wsi połączy wspólna Dyrekcja Jeneralna Towarzystwa Ogniowego. Dzięki wysiłkom Skarbka i Łuszczewskiego stanie się ona w roku 1843 Dyrekcją Ubezpieczeń z pełnym już zakresem działalności ubezpieczeniowej, włącznie z ubezpieczeniami na życie i ubezpieczeniami w transporcie lądowym i wodnym (zainicjowali też obaj ci panowie pierwszą polską kasę oszczędności!).

Były to publiczne ubezpieczenia wzajemne. Wtrąćmy tu, że od ubezpieczeń wzajemnych w ogóle zaczęły się ubezpieczenia, zaś w Ameryce w tymże samym roku 1843 ruszyła najstarsza ich firma, Metropolitan, oparta oczywiście na zasadach ubezpieczeń wzajemnych, znacznie prostszych, ponieważ wysokość składek zależy od tego, ile trzeba zebrać na pokrycie ewentualnych odszkodowań. Dyrekcja Ubezpieczeń w Królestwie Kongresowym stanowiła wręcz pion administracji kraju. Łuszczewski, w poglądach ekonomicznych liberał zdecydowany, zwolennik gospodarki rynkowej i przeciwnik feudalnych ograniczeń, uważał, że ubezpieczenia wzajemne najlepiej rozwijać poprzez instytucję publiczną, taką o pozycji banku centralnego - jego zdaniem w ubezpieczeniach wolna konkurencja się nie sprawdza: na małe spółki akcyjne nie ma miejsca, o wielkie zaś bardzo trudno. I wtedy rzeczywiście było trudno... Dlatego Polska międzywojenna powoła do życia ustawą Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, najpotężniejszą firmę ubezpieczeniową Europy. Ustawa połączyła tym Powszechnym Zakładem lokalne towarzystwa ubezpieczeń, w skutek czego Warszawa straciła poważne rezerwy finansowe Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych, którego do dziś nie odtworzono... Ale przy takim zasięgu ubezpieczeń wzajemnych zagraniczne spółki ubezpieczeń komercyjnych wywoziły z Polski znacznie mniej pieniędzy. Innymi słowy, nowoczesność w tej dziedzinie zapoczątkowali ci dwaj mało doceniani w historii panowie...

Ubezpieczenia od ognia były obowiązkowe. Odegrały w polskim XIX wieku rolę wielką, a przemilczaną - już budynki spalone podczas Powstania Listopadowego odbudowano dzięki odszkodowaniom, a w trzydzieści parę lat później wyrównano odszkodowaniami wszelkie już straty materialne poniesione podczas Powstania Styczniowego. Dzięki temu powstania polskie przebiegały na dość wyjątkowych warunkach finansowych...

W tej szarej dla historiografii epoce między powstaniami podejmowano też niezwykłe, wręcz niepowtarzalne przedsięwzięcia. To wtedy Oskar Kolberg jął rejestrować folklor polski, polską muzykę i poezję ludową – było to jedno z największych przedsięwzięć w historii etnografii światowej. Jego ojciec, Juliusz, niemiecki inżynier, rodem z Meklemburgii, przybywszy do Królestwa za czasów kieleckiej Akademii Górniczej Staszica, odkrył w swoim nazwisku słowiańskie jego źródła, zmienił je na „Kołobrzeg" i został Polakiem (autorem znakomitych map!). Syn, Polak już, po studiach muzycznych ruszył w wędrówki po kraju, by notować wszystko, co mógł usłyszeć. Dokumentował ludową kulturę polską tych ziem. Wędrował tak i spisywał, co słyszał, lat blisko pięćdziesiąt - w wysiłku iście tytanicznym. Zrodziło się z tego monumentalne wydawnictwo „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce". Wychodziło kilkadziesiąt lat aż do śmierci Kolberga w roku 1890, w rękopisach pozostały dalsze serie. Razem z jedenastoma tomami jego

„Obrazów etnograficznych" XX-wieczne, łączne wydanie „Dzieł wszystkich" Kolberga objęło 69 tomów, a i to jeszcze nie koniec!

Z początkiem lat 60-tych rządził Królestwem wybitny polityk, margrabia Aleksander Wielopolski, który w swoim czasie listem otwartym oskarżył Austrię o wywołanie rabacji. Wybrał opcję rosyjską – by uzyskać dla zaboru rosyjskiego w Polsce warunki, na jakich działało nadal samorządne Wielkie Księstwo Finlandii. Następca Mikołaja I, Aleksander II, delegacji polskiej powiedział był przy pierwszym spotkaniu bez ogródek – „Point des reveries, monsieurs", „Żadnych złudzeń, panowie", niemniej Wielopolski potrafił wynegocjować z nim dla Królestwa Polskiego - ciągle jeszcze „Królestwa" - różne cenne ulgi i reformy. Udało mu się przywrócić po 30-letniej przerwie Uniwersytet Warszawski pod nazwą Szkoły Głównej. Dla jednych historyków był programowym lojalistą, dla innych inteligentnym pragmatykiem, aliści jego arbitralny charakter zwaśnił go ze wszystkimi. Skłócił się z wpływowym Towarzystwem Rolniczym, grupującym . najmądrzejszych ludzie w kręgu polskich ziemian. Ci realiści nie nastawiali się na żadne starcia z caratem, dążyli do postępów rolnictwa. Wielopolski w wyniku konfliktu – popełnił błąd nie naprawialny, a katastrofalny: rozwiązał Towarzystwo. Swojemu pozytywizmowi sam zadał morderczy cios.

Pozytywizm wbrew naszej historii literatury nie pojawił się na ziemiach polskich dzięki wpływom Wielopolskiego, ani jako późniejsza moda literacka lat siedemdziesiątych XIX wieku. I nie „Kurs filozofii pozytywnej" Augusta Comte'a z 1842 r., lecz dziedzictwo Konarskiego i Staszica robiło swoje - przy dopingu postępami Europy i Ameryki Północnej. Restrykcje i represje po Powstaniu Listopadowym, wznowione po Wiośnie Ludów, miały sparaliżować zmysł inicjatywy i energię Polaków, tymczasem Polacy obrócą stopniowo zabór carski w najprężniejszą część ziem caratu, wyprzedzającą inne cywilizacyjnie i gospodarczo!

Wielkopolsce po śmierci Marcinkowskiego przywodzili jego następcy. Hipolit Cegielski, nauczyciel domowy ziemiańskiej rodziny i - naukowiec, napisał gramatykę języka greckiego i kilkusetstronicowe studium teorii poezji. Gdy sadzano spiskowców za nieudane powstanie 1846 r., zmienił zawód. Miał lat 33. Po trzech miesiącach jego praktyki w Berlinie, wielkopolscy ziemianie, przyjaciele Marcinkowskiego i jego przyjaciele, wsparli go kredytem, otworzył w Bazarze jeszcze przed śmiercią doktora pierwszy polski skład narzędzi rolniczych. Potem sam uruchomił - fabrykę maszyn rolniczych. W czasie Wiosny Ludów redagował „Gazetę Polską". Wydawał ją ów drukarz, Walenty Stefański.

Przykład Cegielskiego potwierdza tezę, że biznes to charakter. Solidny jak jego gramatyka grecka, człowiek niestrudzonej aktywności, sam opracowywał swoje katalogi ofertowe, do dziś wzór fachowej roboty. Jak pisała wtedy prasa warszawska, „doktor filozofii, człowiek dystyngowany, kółka jednego nie wypuści z fabryki, którego by nie obejrzał; palec wbity w bronę próbuje, czy dobrze osadzili".

Towarzystwo Naukowej Pomocy, któremu wiceprezesował, z czasem utrzymywało setki stypendystów. Wybrany prezesem Centralnego Towarzystwa Gospodarczego, wielu ziemian Wielkopolski zrobił stopniowo kompetentnymi rolnikami - i nie wyzbywali się już ziemi, nie sprzedawali jej Prusakom. Raport dla pruskiego ministra spraw wewnętrznych mówił o nim:

„Wszystkie polskie zamierzenia o charakterze narodowym, w szczególności zaś te, które dotyczyły życia praktycznego, znajdowały w nim gorliwego i niestrudzonego zwolennika

i opiekuna. Również fabrykę swoją uważał on za miejsce pracy i azyl dla dorastającej młodzieży polskiej". Trudno o większy komplement.

Stefańskiego władze pruskie komplementowały ciągłymi prześladowaniami. Nie zliczyć, ile razy siedział. Nie poddał się nigdy. Kiedy mu uniemożliwiono prowadzenie drukarni i księgarni, handlował drzewem. A przy tym - zakładał biblioteki ludowe. I spółki pożyczkowe. I lokalne towarzystwa rolnicze. To on założył pierwsze kółko rolnicze, czyli pierwszą organizację samokształcenia i rolniczego doskonalenia zawodowego chłopów, w 1862 r., w Piasecznie pod Pelplinem, gdzie mu w tym pomagali jego przyjaciele - miejscowy proboszcz i miejscowy dziedzic.

Cegielski zmarł w wieku lat 55. Z przepracowania. Stefański, jego rówieśnik, zmarł w dziewięć lat później. Obaj głęboko przeżyli klęskę Powstania Styczniowego. Ale obaj oglądali sukcesy swych wysiłków. Zakład Cegielskiego rósł setkami zatrudnionych, zdobywał rynki w Niemczech. Dzieło Stefańskiego podjął niezmożony rówieśnik ich obu, młodszy o dwa lata Maksymilian Jackowski, to dzięki niemu chłopi Wielkopolski zaczną wyrastać na samodzielnego, potem wręcz głównego przeciwnika Prus. Uprzedzę tok dziejów: z nimi jako najsilniejszymi partnerami przegrają Prusy „żelaznego kanclerza", Ottona von Bismarcka - mimo że lud polski Pomorza i Wielkopolski zacznie od lat sześćdziesiątych wychodzić na emigrację. W tych latach ok. 60 tysięcy ludzi, a w następnym dwudziestoleciu - kilkaset tysięcy osób popłynie za ocean. Wielkopolska i Pomorze stracą przeszło cztery piąte swego przyrostu naturalnego!

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX stulecia świat niebywale przyspieszył kroku. Olśniewał wielkimi wynalazkami i historycznymi wydarzeniami technicznymi – to lata pierwszych gruszek Bessemera i pieców martenowskich, czyli przełomu technicznego w metalurgii!, czas projektów niewyobrażalnych, takich jak budowa Kanału Sueskiego, przy której pracował jako jeden z głównych inżynierów Stanisław Janicki. Zainstalowano pierwszy kabel telegraficzny pod Oceanem Atlantyckim! Polacy pracowali wszędzie: w 1857 r. polscy inżynierowie linią telegraficzną połączyli Stambuł, czyli Konstantynopol, z Sofią, legendarny spiskowiec Powstania Listopadowego, Ludwik Nabielak, na emigracji absolwent słynnej francuskiej Szkoły Górnictwa, kierował w Algierii kopalnią miedzi. Polscy inżynierowie po innych francuskich „szkołach specjalnych" pracowali wówczas w Peru, Brazylii, Chile, Wenezueli, Kolumbii (wtedy – Nowej Grenadzie), w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Senegalu, na Wyspach Zielonego Przylądka, na Tahiti, i na Reunion, na Nowej Zelandii, w Turcji, Egipcie i Syrii, wszędzie ich znajdziemy, rzetelnych, a pełnych fantazji, oddanych swym zadaniom. Takich, jakich wymagała ta fantastyczna epoka. Ze swymi polskim nazwiskami, ale nawet, przeszedłszy na islam w Turcji, identyfikowani jako Polacy.

Tory kolejowe kładziono wtedy w tempie jednego kilometra na dobę, przy pracy na trzy zmiany, dzień i noc. Nie tylko na Dzikim Zachodzie; potrafili to i polscy przedsiębiorcy tudzież inżynierowie na terenie Królestwa. Pierwszy pociąg na 33-kilometrowej trasie z Koluszek do Łodzi ruszył w miesiąc od chwili, gdy 25-letni przedsiębiorca, Jan Bloch, po wygraniu przetargu rozpoczął roboty. Królestwo nie chciało zostać w tyle za epoką, dominowali, również i w nim inżynierowie - oni też odegrają czołowe role, rzecz charakterystyczna, w konspiracji przed nowym powstaniem. Przy współpracy z pewnym „człowiekiem-instytucją", którego też tu poznamy, starym pozytywistą. Który siedział już za poprzednie Powstanie, za Listopadowe.

Historiografia, powiedzmy otwarcie, uważa Powstanie Styczniowe, które wybuchło zimą roku 1863, za przedsięwzięcie nieszczęśliwie pomyślane, za swoistą klęskę z wyboru. Jednakże wspomagali je wszelkimi dostępnymi środkami tak praktycznie myślący zwolennicy „pracy organicznej" z zaboru pruskiego; poszli walczyć w nim ich synowie. Tego roku odbyć się miał kongres ogólnoeuropejski, należało przypomnieć Europie, że sprawa polska nie została załatwiona. Czy była to rachuba, oparta na zdrowym rozsądku, na zdrowej kalkulacji, czy nie można było inaczej się Europie przypomnieć, czy nie należało się skupić na innym sposobie układania się z dość liberalnym carem, Aleksandrem II, można dyskutować. Wtedy, niestety, nie dyskutowano. Trudno pojąć, jak można było nie docenić przewagi zbrojnej caratu - licząc tylko na umiejętności z kościuszkowskiego podręcznika wojny partyzanckiej...

Powstanie wybuchło na dobitek w styczniu, w porze roku najmniej korzystnej (w tym samym miesiącu w Londynie uruchomiono metro, z parowymi pociągami). Przyspieszyła wybuch powstania grożąca młodzieży „branka", czyli przymusowy pobór do armii carskiej - zarządził ją Wielopolski. On też nie umiał rozmawiać. Sam doprowadził swoje plany do katastrofy. Branka miała uprzedzić i zablokować powstanie - a sprowokowała jego wybuch...

Powstanie, przyznajmy jednak, sprawnie przygotowano. Konspiracyjna sieć zaopatrzenia poprzez całą Europę, przez zabór austriacki, dostarczała powstańcom polskim najnowocześniejsze karabiny świata, odtylcowe, jakich nie miała jeszcze armia carska. Przybyły dziesiątki ochotników z różnych krajów, zwłaszcza - Włochów spod znaku Garibaldiego; Francesco Nullo ma ulicę w Warszawie. Dołączały do powstańców i oddziały rosyjskie pod dowództwem rosyjskich demokratów. Funkcjonował podziemny Rząd Narodowy z własnymi nawet sądami, policją i oddziałami egzekucyjnymi, wykonującymi wyroki na zdrajcach. I chociaż nigdy w oddziałach partyzanckich nie było razem w polu, czyli w lasach, więcej niż trzydzieści tysięcy ludzi, minęło z górą dwa lata, nim carat powstanie ostatecznie pokonał - z demonstracyjnym okrucieństwem, publicznie wieszając lub rozstrzeliwując złapanych przywódców i żołnierzy. Podejrzanych słano zakutych na Sybir, bądź na katorgę, bądź w najzimniejsze okolice globu. Ujęci szefowie powstańczego Rządu Narodowego z Romualdem Trauguttem, byłym oficerem carskim, na czele, zginęli 5 sierpnia 1864 roku na szubienicach u stoków cytadeli warszawskiej. I to nie sparaliżowało powstania. Żeby je pokonać, musiał carat wysłać razem wojska 340 tysięcy ludzi! Od tamtego czasu teoria wojskowości traktuje aż tak wysoką przewagę liczebną nad partyzantką, 10 do 1, jako warunek jej pokonania...

Inżynierowie polscy przypłacili Powstanie Styczniowe znowu istną hekatombą; z trzydziestu polskich studentów tylko jednej zagranicznej uczelni, politechniki w Gandawie, którzy poszli do powstania, przeżyło dwóch... Najstarsze dziś wychodzące czasopismo polskie, „Przegląd Techniczny", uruchomione w rok po narodzinach słynnego brytyjskiego „Engineering", musiało po trzech latach zawiesić działalność. Czytelnicy warszawskiego „Dziennika Polytechnicznego" byli albo w grobach, albo na Syberii, albo na kolejnej emigracji.

Powstańczy Rząd Narodowy od razu po wybuchu powstania proklamował - uwłaszczenie chłopów. Trudno sobie jednak wyobrazić, by mógł o tym szybko chłopów Królestwa poinformować. Mamy tych trudności prosty dowód: dopiero po trzech latach carat uznał, że dla zdobycia poparcia, a przynajmniej neutralności ze strony chłopów warto zrealizować reformę, obmyśloną przez polski rząd podziemny. Oczywiście, teraz była to reforma z łaski cara; to carat miał chłopów uwłaszczyć, nie „panowie polscy".

Czy chłopi wzięli serio tę dobroć przemyślnego cara, dość wątpliwe. Wbrew niektórym obrazom literackim, to dzięki pomocy chłopów partyzantka polska mogła się utrzymać w oporze tak długo, młodzi chłopi też sami szli do lasu. Zdarzało się, że jakaś przerażona wieś doniosła bądź wydała carskim władzom jakichś powstańców, ale nie zdarzało się to ani nagminnie, ani nawet często. Generał Józef Hauke-Bosak, wiosną 1864 r. dowódca II korpusu sił powstańczych, kierował się solidnie przemyślaną koncepcją wojny partyzanckiej, oparł tę koncepcję na wciąganych w konspirację chłopach i na ich pomocy, także zaopatrzeniowej - dokładnie tak, jak zalecała broszura, przypisywana Kościuszce. Nie przypadkiem Henryk Kamieński napisał niedługo potem, w roku 1866, swoją „Wojnę ludową", swoistą nową jej wersję – pomocną Włochom Garibaldiego.

W Polsce chłopi dowiadywali się od swoich proboszczów o celach i walkach powstańczych, o powstańczym programie uwłaszczenia chłopów, nie mieli wątpliwości, komu pomagać. Najlepszy dowód, że po klęsce Powstania wieś Królestwa dotknęła ta sama, co poprzednio, psychologiczna klęska, może i od upadku Powstania gorsza - nowa fala powszechnego pijaństwa. Sięgnęło ono skali, jak się oblicza, blisko dwudziestu litrów czystego spirytusu na głowę, dowodnie to świadczyło o stanie ducha wsi polskiej, którą księża przez parę już dziesięcioleci przekonywali, że Polska należy także do niej. I znowu do ratowania wsi stanęli oni, ci zapomniani polscy księża - jak wielu ich przedtem poszło do partyzantki, by ginąć w boju lub na szubienicach. Ostatniego dowódcę partyzanckiego, księdza Stanisława Brzóskę, mianowanego przez powstańczy Rząd Narodowy generałem, powieszono, 31-letniego, w Sokołowie Podlaskim 23 maja 1965 roku.

Wiejscy polscy księża długie lata ów alkoholizm leczyli. Nigdy nie zdołali go w Królestwie całkowicie wyplenić. Udało się to im niemal w pełni na Górnym Śląsku, a później w Wielkopolsce i na Pomorzu. W Królestwie i w Galicji - nie. Ale raz jeszcze uratowali sporą część narodu od degradacji biologicznej - przy powszechnej, dodajmy, ciemnocie. Coraz więcej księży teraz wywodziło się z ludu, byli pierwszymi ludowymi inteligentami. Wieś sarkastycznie mawiała, że „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie", ale to oni, choć nie przygotowani do żadnej działalności społecznej, czynili swoje kościoły świątyniami języka polskiego, chroniąc polskość wsi. I to oni umieli powstrzymać alkoholizm.

W polityce europejskiej temat polski z roku na rok stawał się coraz bardziej niewygodny. Polacy – kłopotliwymi cudzoziemcami. Nawet w literaturze. I nawet we Francji. W latach sześćdziesiątych XIX wieku pierwszy pisarz fantastyczno-naukowy, genialny Juliusz Verne, który przewidział i łodzie podwodne, i podróże kosmiczne, oddał wydawcy powieść „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi" z głównym jej bohaterem, tajemniczym dowódcą łodzi podwodnej, kapitanem Nemo. Kapitan Nemo był Polakiem. Ale po Powstaniu Styczniowym nie mógł nim być. Wydawca zmusił autora, by zmienił mu narodowość. Żeby nie urazić ambasady cara Rosji. Cesarstwo Napoleona III kokietowało dobrego cara Aleksandra II, by uzyskać w nim sojusznika w możliwym konflikcie z Prusami Bismarcka. Nie uratuje to Francji od upokarzającej klęski, zadanej przez Prusy - jakiż kontrast z niedawnym, prestiżowym sukcesem Ferdynanda Lessepsa i jego przełomowej budowy Kanału Sueskiego! Polakom za to po roku 1871 przysporzą jeszcze złych europejskich skojarzeń dwaj wybitni polscy wojskowi – dowodzili, i to z sukcesem, oddziałami zbuntowanej przeciwko ówczesnemu światu Komuny Paryskiej. Miała zaprowadzić nowy porządek społeczny wedle zasad szlachetnego Pierre'a Proudhona, ale gdy wbrew Proudhonowi i wbrew Polakom doszli w niej do głosu zwolennicy terroru, rozstrzelali nawet arcybiskupa Paryża. Broniła się Komuna dwa miesiące i zapłaciła

eksterminacją swych bojowników. Jej wódz naczelny, Polak, Jarosław Dąbrowski, zginął na barykadzie. Odbudowywano potem Paryż z szerokimi ulicami, żeby mogły nad nimi panować armaty.

Królestwo opłaciło swą próbę powstańczą dalszymi, niebywale ciężkimi stratami. Carat zniszczył m.in. polski system ubezpieczeń, ograniczając go znów tylko do ubezpieczeń od ognia; resztę działów oddał kiepskim zresztą, komercyjnym już spółkom rosyjskim lub zlikwidował. Skarbek i Łuszczewski nie przeżyli tej klęski; Skarbek, 74-letni, zmarł w roku 1866, młodszy odeń Łuszczewski, rzekomy lojalista, wróciwszy z zesłania - w roku 1867.

W 1869 roku Szkołę Główną zamieniono w uniwersytet rosyjski. Był to jeden z najdotkliwszych ciosów zadanych polskości; ale też carat - pod władzą tak liberalnego cara! - przystąpił do rusyfikacji Królestwa. Już nie sami urzędnicy dworu. Zaangażowała się w to cała elita polityczna carskiej Rosji. Bo już nie Paryż w jej kulturze był punktem odniesienia, lecz Petersburg - choć nadal tysiące Rosjan polonizowało się w Polsce, nawet nie zmieniając nazwisk; jak dziadek mojego ukochanego przyjaciela, poety i humorysty, Jerzego Afanasjewa ... A w XX wieku jeden z polskich działaczy opozycyjnych lat osiemdziesiątych, Romuald Szeremetiew, nosił nazwiska pacyfikatora Powstania Styczniowego – był potomkiem „białego” uciekiniera z bolszewickiej już Rosji!

Mimo ogólnonarodowego przygnębienia Polska nie poddawała się. Będzie leczyła się z niego pozytywizmem. To również pewne doświadczenie przydatne innym narodom, specjalizującym się w przegrywaniu niepotrzebnych powstań.

34. BYŁY TRZY POLSKI...

Były wtedy, co zobaczymy zaraz wyraźnie, trzy Polski, i to bardzo różne, a bogactwo przygód z lat, w których „nic się nie działo", nie ustępowało czasom rewolucji i powstań...

Prusy nie zapomniały o swoim planie. Państwo pruskie, podbiwszy całe Niemcy, odniosło druzgocące zwycięstwo nad Francją. Rosło do pozycji jednego z mocarstw światowych i nabierało pewności siebie. Podbita reszta Niemiec ulegała propagandzie pruskiej pychy i stopniowo się jej uczyła. Otto von Bismarck, „żelazny kanclerz" - teraz już nie rządu króla Prus, lecz od 1871 roku rządu cesarza Niemiec - osądził, że i z polskością w Wielkopolsce i na Pomorzu też pójdzie teraz łatwiej. Liczył, znowu!, na chłopów i drobnomieszczaństwo. Polscy chłopi, przymusowi szeregowcy armii Helmutha von Moltkego, sprawiali się dzielnie w armii pruskiej na polach bitew we Francji – nie mając jako żołnierze innego wyjścia. Myślał więc Bismarck, że da się zrobić z nich Prusaków, tylko co najwyżej mówiących po polsku. Nie ograniczał swych ambicji: podjął program znacznie dalej idący - „Kulturkampf", „walkę o kulturę". W Niemczech przeciw Kościołowi katolickiemu, w Wielkopolsce i na Pomorzu - przeciw katolicyzmowi i polskości. Program germanizacji, mówiąc innymi słowy. Po dwóch wielkich zwycięstwach Prus na polach bitew zwycięstwo w psychologicznym podboju Wielkopolski i Pomorza zdawało się przesądzone.

Wspomnianemu tu serialowi telewizyjnemu Jerzego Sztwiertni daliśmy ów tytuł - „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy". Nic właściwie nie rokowało stronie polskiej sukcesu w tej wojnie. Prusy dysponowały administracją, pieniędzmi, fachowcami, systemem oświaty, armią, policją i mocą stanowienia prawa. Nasilały systematycznie utrudnienia i prześladowania. Polacy jednak nie poddawali się, zbrojni tylko w urobiony latami zmysł samoorganizacji i wolę obrony; początkowo nawet bez fachowców, bo nie mogli ich kształcić, Cegielski był wszak samoukiem biznesu.

Tymczasem polskie chłopskie kółka rolnicze w niedługim czasie jako przeciwnik Prus przerosły swą potęgą wojskowy opór Francji. Miały swego wodza w „patronie", jak się go niemieckim wzorem nazywało. Wziął się za pracę dla tych kółek, straciwszy syna w Powstaniu Styczniowym, wspomniany tu już Maksymilian Jackowski, człek wtedy wiekowy, 60-letni, dwa lata młodszy od Cegielskiego, Stefańskiego i Marcinkowskiego. Chłopi już wiedzieli, że są Polakami, a nie tylko Prusakami mówiącymi po polsku. W swoich kółkach rolniczych uczyli się nowoczesnego rolnictwa, dyskutowali nad nim i radzili sobie wzajem. Zwiedzali najlepsze gospodarstwa i organizowali własne wystawy rolnicze. Brzmi to skromnie, a na pewno nie wojowniczo. Zmieniali jednakże tak polscy chłopi swoją tożsamość.

Patron dożył dziewięćdziesiątki. Zdążył przekazać im sto kilkadziesiąt tysięcy różnych odbitek i czasopism, rozpraw i odczytów. Znienawidził go Związek dla Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich i jego przywódcy, Hansemann, Kennemann i Tiedemann (stąd „Hakata"). Niemiecki nacjonalista, późniejszy ideolog Hakaty, Ludwig Bernhard, w swej ostrzegawczej książce „Die Polnische Frage", „Kwestia polska", z początkiem XX wieku pisał o Jackowskim:

„O wiele bardziej od jego bezwzględności trzeba podziwiać jego znajomość rzeczy i dar przewidywania (...) Założonym przez siebie kółkom rolniczym, zarzuconym niby gęsta sieć na
całą prowincję poznańską, wytknął szlaki nie tylko w głównych zarysach, ale i w najdrobniejszych szczegółach (...) Trzynaście tysięcy chłopów polskich, należących dziś do tego związku, stanowi trzon polskiej „republiki chłopskiej" w Prusach, a ścisłe ich powiązanie z polską spółdzielczością przydaje im podwójnej siły".

Spółdzielczość kredytową, tę drugą siłę, stworzyli wielkopolscy księża – główni jej nauczyciele i organizatorzy. Ich „spółki zarobkowe", własnego systemu, wbrew niemieckim wzorom, łączyły chłopów, rzemieślników i sklepikarzy razem. Kredyty ze składkowego kapitału przyznawała komisja kredytowa, dobrana spośród członków, dobrze znających każdego kandydata do udzielenia mu kredytu, spółki zarobkowe pracowały więc tanio, bez „złych kredytów". Jak wcześniej w Niemczech miejskie „banki ludowe" i wiejskie kasy Raiffeisena, opanowały te spółki całkowicie rynek drobnego kredytu. Nie traciły na przesileniach giełdowych - bo statuty wykluczały grę na giełdzie...

Zaczął w Środzie w roku 1866 zwykły proboszcz, były żołnierz Powstania Styczniowego, ks. Augustyn Szamarzewski. Głosił, że zaczynać trzeba z miedziakami. Jego uczeń, następny „patron" Związku Spółek Zarobkowych, ks. Piotr Wawrzyniak, zamienił te miedziaki w potęgę finansową,
podziwianą przez całą, zorientowaną w tej problematyce Europę.

Odwoływał się do... romantyzmu. Do „brata Adama" i „brata Juliusza", do ich poezji. Pan Bóg dzięki jego kazaniom też najwyraźniej sprzyjał Poznańskiemu Bankowi Związku Spółek Zarobkowych. Powstały w r. 1886, będzie po pierwszej wojnie światowej największym polskim bankiem prywatnym. Tego już ks. Wawrzyniak nie doczeka. Przed pierwszą wojną światową umrze - śmiercią menedżera, z przepracowania.

Na trzy tysiące członków rad nadzorczych w „spółkach zarobkowych" dwie trzecie było chłopami! Mogłem sam poznać siłę tej tradycji: w Witkowie, w jednym z autentycznych banków spółdzielczych, których parę przetrwało „realny socjalizm". Wśród członków jego zarządu spotkałem wnuka współzałożyciela banku z roku 1883 i wnuka członka rady nadzorczej z roku 1913 - ci nie musieli się niczego uczyć, wszystko znali „z domu".

Czytelnie ludowe wpajały nawyk czytania, a najrozmaitsze stowarzyszenia uczyły aktywności we własnych sprawach. Żadne represje nie potrafiły jej sparaliżować - władze pruskie w 1878 r. rozwiązały założone sześć lat wcześniej Towarzystwo Oświaty Ludowej i niemal zaraz w 1880 r., powstało Towarzystwo Czytelni Ludowych – też tworzyło biblioteki i czytelnie, rozpowszechniało elementarze, i władze pruskie zrezygnowały z interwencji...

Prusy nie wycofały się jednak z programu pokojowego podboju. W roku 1886 ich parlament powołał do życia Komisję Kolonizacyjną z ogromnymi pieniędzmi na wykup ziemi od Polaków i na osadnictwo swoich kolonistów. Polacy natychmiast zorganizowali - Bank Spółek Parcelacyjnych i do pierwszej wojny światowej wykupili ziemi z rąk Niemców niewiele mniej niż Komisji udało się kupić od polskich właścicieli. Historia tego banku to istna powieść!

W Wielkopolsce tego czasu nawet bogacze z kręgów szlacheckich nie marnowali pieniędzy na wystawne rezydencje; a jeśli już, to Bolesław Potocki, który pobudował sobie

pretensjonalny, neogotycki pałac, ofiarował parcelę w Poznaniu pod Teatr Narodowy. Tak wypadało: w 1884 roku 74 wielkopolskich ziemian wystąpiło w czasie karnawału z wezwaniem do skromności i rozsądku. Ludzie bogaci mieli wyrzec się hazardu i mniej wydawać na stroje, bale i przyjęcia...

Nie koniec na tym. U zarania XX wieku Wawrzyniak tworzył wiejskie spółdzielnie handlowe, spółdzielnie zaopatrzenia i zbytu, wsparte siłą lokalnych spółek zarobkowych. Wieś chłopska przejmowała więc i hurt w handlu płodami rolnymi. Emigracja, która teraz kierowała się nie za ocean, lecz bliżej, wewnątrz państwa „kajzera", do Westfalii i Nadrenii, organizowała tam swoje spółki zarobkowe, powiązane z systemem Wawrzyniaka - i to nie symboliczne, lecz z pokaźnymi środkami, bo do roku 1914 znalazło się w Westfalii i Nadrenii prawie pół miliona Polaków!

Przed pierwszą wojną światową chłopi Wielkopolski bardziej zmechanizowali swą gospodarkę, niż ziemianie swoją, ba, zużywali najwięcej w Europie nawozów sztucznych na hektar. W 1885 r. odciągało tłuszcz z mleka 131 wirówek, w 1910 r. ponad 6 tysięcy... W 1897 r. we Wrześni powstała szkoła mleczarska i mleczarska stacja doświadczalna. Postęp obejmował wszystko, o niczym nie zapominano: w roku ukazania się książki Bernharda wyodrębniono pierwszy rezerwat leśny – do dziś żywy pomnik przyrody, ze starym, bogatym drzewostanem, urozmaicony starorzeczami Warty, pełen wszelakiego ptactwa, od czapli i żurawi po sokoły, kanie i zimorodki. To jeszcze Wawrzyniak oglądał... Wielki pisarz, Bolesław Prus, apostoł pozytywizmu w Warszawie, przeżył go o dwa lata. Niestety, nie czytał Bernharda.

Księdzu Wawrzyniakowi nie dano biskupstwa, odesłano go na probostwo w Mogilnie. Kiedy telewizja wyświetlała „Najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy", spytała mnie urocza starsza pani, pisarka Jadwiga Żylińska, skąd wiedziałem o uczuciach Wawrzyniaka. Cóż, nie wiedziałem. Wnioskowałem z jego wyglądu i sposobu bycia, że był i wspaniałym mężczyzną, więc go zapewne jakaś niezwykła kobieta kochała, mimo jego sukienki duchownej. Nie ukazywaliśmy romansu. Domyślaliśmy się tego kochania i widz też mógł się razem z nami co najwyżej domyślać.

Zgoła inaczej układały się polskie losy w zaborze austriackim. Nowy cesarz po 1848 r. trzy lata brutalnie pacyfikował Wiosnę Ludów. W Galicji trafili do więzień nawet i magnaci polscy. Noc polityczna trwała długo i represje Franciszek Józef łagodził powoli. Zmienił front, kiedy w wojnie o Włochy północne, do tej pory austriackie, Francuzi i Włosi w 1859 r. wręcz jego armię upokorzyli. Po śmierci swego byłego kanclerza, Metternicha, przysięgłego wroga Polski i Polaków, Franciszek Józef tworzenie nowej polityki powierzył, ku ogólnemu zdumieniu... polskiemu magnatowi, Agenorowi Gołuchowskiemu, swemu namiestnikowi w Galicji. Uczynił go ministrem spraw wewnętrznych, by w rok później zrobić go tzw. ministrem stanu, czyli - premierem. Jak to się stało, nikt u nas nie badał, bo długo nie uważało się tego za naszą historię, dzieje polskich mężów stanu w państwie Franciszka Józefa uważano za historię lojalistów i niemal zdrajców. Mieliśmy w cenie tylko walkę zbrojną, gdyż „pokojowy" lojalizm niósł obezwładnienie - chociaż ci „lojaliści" uzyskali dla Galicji status wolnego kraju.

Gołuchowski swoim „dyplomem październikowym" zapoczątkował wielki, historyczny zwrot - ku samodzielności krajów podległych koronie austriackiej, przy zachowaniu władczych prerogatyw, przede wszystkim – wojska i finansów, w ręku cesarza. Nie od razu nowy duch polityki zwyciężył, dopiero dalsze klęski wojenne Austrii przyspieszyły reformy. W roku 1866 w wojnie z Prusami Austria doznała katastrofy pod Sadową i rok

później cesarz zgodził się na niezwykły eksperyment ustrojowy - by zyskać uznanie i przywiązanie poddanych. Narodziła się monarchia podwójna, cesarsko-królewskie Austro-Węgry, całkowita odwrotność wobec polityki Bismarcka i caratu. Ten ustrój, wykpiwany przez Haszkowego wojaka Szwejka – działał z pełnym powodzeniem 50 lat! Ku zadowoleniu wszystkich poddanych Franciszka Józefa. Nie wszyscy, rzecz jasna, byli równie zadowoleni - Węgrzy czuli się wyżsi nad swoich bałkańskich sąsiadów, Słowian Słowacji, Slawonii, Chorwacji, Słowenii, Dalmacji, Bośni i Hercegowiny, ci znowu, niechętni wzajem Węgrom, akceptowali Franciszka Józefa, bo to na niego mogli realnie liczyć. Wielekroć stawał po ich stronie. Z nich Słoweńcy - istny fenomen społeczny - w ciągu życia dwóch pokoleń dzięki swoim Wawrzyniakom przenieśli swój kraj bez zmiany miejsca na mapie z Bałkanów do zachodniej Europy. W niczym tu nie przesadziłem.

Inaczej - Galicja. Dzięki tym reformom dorobiła się wolności pod władzą cesarza, z własnym rządem pod tytułem „Wydziału Krajowego". Polskie warstwy wyższe, czyli ziemiaństwo Galicji, związą się dlatego z Franciszkiem Józefem. Inteligentny cesarz będzie dobierał z ich elity inteligentnych ludzi na wieloletnich premierów rządu całej monarchii, takich, jak Kazimierz Badeni, oraz na wieloletnich ministrów, jak Agenor Gołuchowski młodszy, przez 11 lat minister spraw zagranicznych. Przez 11 lat był też ministrem skarbu znakomity fachowiec, Julian Dunajewski, później i Leon Biliński. Dodajmy innego wybitnego ekonomistę i skarbowca, Stanisława Głąbińskiego, przez 16 lat członka Rady Państwa przy cesarzu. Biliński i Głąbiński ze swym doświadczeniem zdążą jeszcze służyć jako ministrowie odrodzonej Polsce. Najlepsze po dziś dzień polskie podręczniki skarbowości, jakie mam na półkach, są ich pióra.

Przy blasku tych wolności i roli polskich mężów stanu w cesarstwie umyka naszemu oku kompletne zacofanie Galicji i bezmyślność jej ziemiaństwa. Tylko nowemu ustrojowi monarchii zawdzięczamy, że nie doprowadziła ta głupota do utraty wolności: ten ustrój, na szczęście, pozwalał być głupim. W 1869 r. pamflet „Teka Stańczyka" odrzucał zamysły bezsensownej konspiracji, ale w latach 70-tych XIX wieku przywódcy stronnictwa „Stańczyków" nie rozumieli, po co Galicji... oświata ludowa. Nic dziwnego, że Galicja długo pozostała jak inne odleglejsze od Wiednia prowincje monarchii siedliskiem ciemnoty, zacofania i nędzy. Ani jej dwa uniwersytety polskie, we Lwowie i w Krakowie, ani politechnika powstała we Lwowie, nie zdołały przełamać fatalnego bezwładu.

Nawet odkrycie ropy naftowej i boom naftowy w podgórskich rejonach Galicji wschodniej zmieniały jej obraz tylko tam, gdzie wydobywał ropę jej polski odkrywca, Ignacy Łukasiewicz, ojciec pierwszej lampy naftowej z 1853 r. Chłopi galicyjscy nawet emigrować zaczęli znacznie później, niż ci z Wielkopolski i Pomorza, dopiero w końcu XIX wieku. Wabieni przez agentów, obiecujących lepszy los, wyjeżdżali głównie za ocean, do Stanów Zjednoczonych, do Kanady i do Brazylii – choć brakowało rąk do pracy blisko, w zagłębiach północnych Moraw czy na Węgrzech.

W roku 1892 wybitny przedsiębiorca naftowy, notabene rodem z Wielkopolski, Stanisław Szczepanowski, opublikował bulwersującą książkę „Nędza Galicji w cyfrach". Nie poruszyła warstw wyższych Galicji. Właściciele majątków rolniczej, wschodniej Galicji, tzw. „Podolacy" powtarzali - w którymś dialekcie języka Rusi - „naj bude, ak buwało", niech będzie, jak było... Można wyobrazić sobie, z jakim zaskoczeniem i jak złym okiem przyjęli w roku 1893 fakt, że w ich zacofanej, biednej Galicji powstała pierwsza polska partia chłopska! Chłopi zaś tutaj mieli swego przywódcę politycznego już z końcem lat siedemdziesiątych XIX wieku - być może dlatego „Stańczycy" traktowali tak niechętnie oświatę ludową...

Ów przywódca, jezuita, nieco starszy od Wawrzyniaka, ojciec Stanisław Stojałowski, studiował w Belgii. Przejął się tamtejszymi postępami warstw niższych. Wróciwszy do kraju, kupił w roku 1875 dwa pisemka, wydawane dla ludu, „Wieniec" i „Pszczółkę". Uczynił je swoim orężem prasowym. Sam - żywa iskra, świetny kaznodzieja, doskonały organizator, propagował oświatę ludową, zakładał czytelnie i kółka rolnicze dla samokształcenia rolników - jak w Wielkopolsce.

Tchnął w chłopów politykę. Kiedy rzucił hasło „Chłopi, wybierajcie chłopa", ziemiaństwo Galicji otwarcie uznało go swym wrogiem. Jego chłopskie pielgrzymki do Krakowa i Rzymu, wiece i dyskusje nad losem wsi, budziły wściekłość - mimo hasła na winiecie jego pisma „z polską szlachtą - polski lud". Nie austriackie, lecz polskie władze Galicji pod różnymi pozorami konfiskowały mu gazetki. Próbowano jego zapały ostudzić bogatą prebendą. W końcu, posądzonego, że wydał inaczej pieniądze ze składek na lampę przy Grobie Świętym, aresztowano go i uwięziono. Ale rzekoma afera tylko przysporzyła mu popularności.

Pomógł w roku 1893 stworzyć Związek Stronnictwa Chłopskiego. Jego przywódcy nie mogli go jednak strawić. I to oni go wyrzucili, oni właśnie. Być może miał zawsze rację. A może wydawało się im, że patrzy na nich z góry...? Kiedy w lipcu roku 1895 powstało Stronnictwo Ludowe, już we wrześniu przeprowadziło w wyborach do Sejmu Krajowego Galicji dwunastu posłów chłopskich - bez Stojałowskiego. A kiedy w 1896 roku założył Stronnictwo Chrześcijańsko-Ludowe, galicyjskie władze kościelne obłożyły go, ni mniej ni więcej, klątwą. Prebendę oczywiście stracił. Nie poddawał się, pewny swej słuszności, zwłaszcza po przełomowej w 1891 roku encyklice Leona XIII, „Rerum Novarum", podejmującej tzw. „kwestię społeczną".

Pogodził się w końcu ze swoimi władzami duchownymi i polskim ziemiaństwem, albo raczej - one się z nim pogodziły. Historia Polski do dzisiaj z nim się nie pogodziła, ta przeszłość pozostała jakby marginesowa. Jednakże wszyscy późniejsi przywódcy polityczni polskich chłopów, rodem z Galicji - bo stąd mieli rekrutować się ci najwybitniejsi - rośli dzięki jego inspiracji. Gdyby nie jego „Wieniec" i „Pszczółka", nie byłoby potem kilku tysięcy prenumeratorów i czytelników „Przyjaciela Ludu", pisma Stronnictwa Ludowego, nie byłoby mas wiejskich czytelników Sienkiewiczowskiej Trylogii. Nie byłoby późniejszego wielkiego polityka, Wincentego Witosa...

Nieco później Galicja dorobiła się też swojego Wawrzyniaka, młodszego odeń i od Stojałowskiego o kilkanaście lat. Istnego czarodzieja organizacji - został nim wiejski nauczyciel-historyk, autor świetnej pracy doktorskiej z historii. Franciszek Stefczyk, bo tak się zwał, odwiedził poznański Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, przestudiował austriackie ustawodawstwo. Kopiowało Niemcy. Postanowił przeszczepić do Galicji Raiffeisenowski model wiejskich spółdzielni kredytowych. Wieś miała się sama bronić przed rujnującą lichwą. „Raiffeisenki" łatwiej się organizowało niż niemieckie „banki ludowe" i wielkopolskie spółki zarobkowe, nie wymagały doświadczonych działaczy. Nie potrzebowały stałych kancelarii dla zarządu, wystarczało prywatne mieszkanie bądź plebania, kasę tylko chowano tak, by nikt nie wiedział, gdzie jest. Rezerwy składano w banku. Wszystko niby łatwo i prosto, ale przy ciemnocie wsi nic nie rokowało sukcesu.

Pierwszą kasę Raiffeisena pomógł założyć we wsi Czernichów w listopadzie 1889 r. miejscowy proboszcz. Władze ogólno-galicyjskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych długo

nie mogły pojąć, o co chodzi Stefczykowi, ich członkowi. Czernichów rozumiał. Po dwóch latach ichnie kółko rolnicze założyło spółdzielnię rolniczo-handlową z nazwą znamienną: „Bazar Kółka Rolniczego". Później - powstał Związek Handlowy Kółek Rolniczych. Wreszcie i władze Towarzystwa Kółek Rolniczych doszły sensu inicjatywy, która nie osłabiała, lecz wzmacniała kółka..

Nauczyciel historii z wykształcenia i zawodu, pisał świetne, do dziś nieocenione podręczniki... prowadzenia handlu, spółek kredytowych, mleczarstwa, fachowo badał jako rewident księgowość kas Raiffeisena i sklepów spółdzielczych. Zorganizował handlowe kursy szkoleniowe. Za co się wziął, metodycznie i kompetentnie, ruszało z miejsca. Aż w końcu następne, młodsze pokolenie ziemian zrozumiało, o co chodzi. Jak zrozumiało i Stojałowskiego. Powołano dla Stefczyka w roku 1899 przy Wydziale Krajowym, czyli rządzie Galicji, patronat kas Raiffeisena.

Przez 3 miesiące pracował Stefczyk sam, w ciągu pierwszego pół roku zgłosiło się do niego wszystkiego 26 kas, ale w 9 lat później mógł uruchomić już Centralną Kasę Spółek Rolniczych, ich własny bank-matkę. Wyzwolił Galicję od lichwy i od – bezradności. Postawił na nogi galicyjskie mleczarstwo, zadbawszy i o hodowlę bydła, i o pasze dla niego. W 1903 r. ruszyła w Rzeszowie pierwsza państwowa szkoła mleczarska. Galicję pokryła sieć kas i spółdzielni różnego rodzaju, od mleczarskich po handlowe i magazynowe. Z setkami fachowców, których Stefczyk wykształcił. To ten chłopski ruch gospodarczy przed pierwszą wojną światową sfinansuje... ekwipunek dla przyszłych „Legionów" Piłsudskiego!

Królestwo po klęsce Powstania Styczniowego zdawało się pozbawione sił. Straciło wszak nawet swą szkołę wyższą! Carat mimo to nie liczył na pozyskanie inteligencji. Umyślił sobie plan z pozoru mniej ambitny – jak Bismarcka w zaborze pruskim: zdobyć dla siebie wiejski lud polski. Także - sklepikarzy, rzemieślników, słowem, rodzącą się dopiero warstwę średnią. Projekt z pozoru niby łatwy, jednakże od ludu dzielił zaborcę sam język, a w miastach od umiejących czytać i pisać – cyrylica, niezrozumiała. Polszczyzna ludu, bogata i różnorodna, była nie do wyrugowania.

Carat na ziemiach polskich miał przeciwników nie do pokonania - w sferze interesów. Poznamy ich tutaj. Powstanie zaś przegrali Polacy głównie w sferze wyobraźni. I tu przewagę polityczną caratu w tych najtrudniejszych latach równoważył w pojedynkę, bez administracji, bez policji, jeden człowiek. Jak z powieści: niezmożonej pracy, a zarazem - tajemniczych przygód zgoła nie literackich. Czytuje się do dzisiaj niektóre z jego 29 powieści historycznych. Obejmują one czasy od prehistorii po epokę saską; autor, inaczej niż klasyk gatunku Walter Scott, łączył fikcję z realnymi zdarzeniami i postaciami, wiele ich wątków fabularnych posłużyło atrakcyjnym filmom. Józef Ignacy Kraszewski, najsławniejszy wówczas pisarz polski, swymi książkami edukował czytelników. Zostało po nim z górą 600 tomów publikacji, a wszystko interesujące - w powieściach o świecie ludu podnosił jego krzywdy, powieściami na tematy współczesne polemizował z konserwatywnymi atakami na powstanie styczniowe, pisał opowiadania, relacje z podróży, studia literackie, źródłowe studia historyczne, udane komedie, poezje, setki listów, spisał wspomnienia, wydawał źródła historyczne i pamiętniki, a także dzieła Szekspira! Nie znał czasu bez pracy – po nim tak samo znacznie młodszy brat, też swoisty fenomen: rzeźbiarz, malarz i ... astronom (badał związki zjawisk astronomicznych z meteorologicznymi), utalentowany kompozytor i krytyk muzyczny, autor powieści historycznej i opowiadań. Cóż to była za biologia rodzinna ci Kraszewscy!

Papież Pius IX podczas audiencji w roku 1858 r. wypomniał starszemu bratu przejawy „niemoralności" w jego książkach. Ale Kraszewskiemu wzajem ten papież, z jego centralizacją Kościoła i dogmatem o nieomylności papieża, zdecydowanie się nie podobał. A to w Kraszewskim odczytywano prawość i niezależność. Pozytywista, w drugim wcieleniu gotowy do każdego ryzyka romantyk, spiskował, 50-letni, ze sztabem planowanego powstania; omal go nie aresztowano z początkiem roku 1863, Wielopolski polecił mu opuścić Warszawę. W saskim Dreźnie żył Kraszewski jak u Pana Boga za piecem, od 1868 r. obywatel Saksonii, utrzymywał, pracując bez przerwy, jawne i niejawne kontakty z całą Europą. Doczekał się czci powszechnej. Zorganizowano w 1879 r. w Krakowie jubileusz 50 lat jego twórczości, istne święto narodowe, z delegatami wszystkich zaborów, a mądry Franciszek Józef nadał Kraszewskiemu order. I oto w roku 1883 Prusacy 71-letniego pisarza aresztowali w Berlinie – jako agenta wywiadu wojskowego Francji; nikt, o ile mi wiadomo, do dzisiaj nie przebadał, co też za informacje Kraszewski temu wywiadowi przekazał... Siedział Kraszewski w berlińskim Moabicie ponad rok, Najwyższy Trybunał Rzeszy skazał go na 3 i pół roku twierdzy, osadzono go w twierdzy magdeburskiej. Po półtora roku wypuszczono go na urlop zdrowotny, niezręcznie było więzić dłużej kogoś tak popularnego, a wiekowego – za którym wstawił się dyskretnie przyjaciel, najpotężniejszy polski człowiek interesu. Do twierdzy już Kraszewski nie wrócił. Zmarł po niecałym półtora roku. Przedwcześnie. To więzienie zrobiło swoje.

Nie on jeden z ówczesnych polskich pisarzy pełnił taką podwójną rolę. Ogromnym powodzeniem cieszyły się i powieści młodszego o 12 lat Teodora Tomasza Jeża. Jego pasjonujące, zapomniane dziś epopeje ze świata Słowian bałkańskich, walczących o wolność, przypominały o wolności samym Polakom. Któżby jednak odgadł w nim genialnego konspiratora? Były młody żołnierz Rewolucji Węgierskiej, bałkański tajny emisariusz paryskiego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, o świecie bałkańskim wiedział wszystko; pułkownik 1863 roku, organizował pomoc wojskową dla Powstania Styczniowego. Potem długie lata strażował Skarbowi Narodowemu i patronował – sekretnymi kanałami, ze Szwajcarii - krajowym konspiracjom. Jedną z nich obmyślił sam w końcu lat osiemdziesiątych XIX wieku: „Zet", który tu poznamy, odegra historyczną bez przesady rolę w przygotowaniu polskiej niepodległości. Obaj ci pisarze, Kraszewski i Jeż, czyli Zygmunt Miłkowski, zostawią inteligencji polskiej cenny spadek - wytrwałości i umiejętności konspiracyjnych. Ich Polska nie przegrywała.

35. ZAPOMNIANE LATA

Pięćdziesiąt lat byłego Królestwa Polskiego między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową nasza pamięć historyczna jakby omijała - podobnie jak tegoż okresu Galicję pod władzą Austrii Dunajewskich i Gołuchowskich, jak Wielkopolskę Jackowskiego i Wawrzyniaka. Kojarzy się z tymi latami narastające prześladowania i głupie, a dotkliwe próby rusyfikacji. Tymczasem właśnie represjonowane byłe Królestwo Polskie stało się fenomenem rozwoju i ekspansji w imperium carów. Nie było właściwie żadnych przesłanek po temu, by Kronenberg i inni przedsiębiorcy, bankierzy i przemysłowcy, stworzyli tak niebywale wpływowe centrum pieniądza, handlu i rozwoju. Być może pobudził ich wyobraźnię nowy, utrwalający się zmysł samoobrony i oporu wobec poczucia klęski, a może - otwarty, ogromny rynek wschodni, od Bugu do Oceanu Spokojnego. Po dwudziestu paru latach Róża Luksemburg, uparta, bezkompromisowa, komunistyczna rewolucjonistka, będzie chciała wspólnej z Rosją rewolucji światowej, zwalczając ideę niepodległości Polski - argumentem właśnie owego rynku. Ludzie interesu robili wszystko, co potrafili, by z tego rynku zająć tyle, ile się da.

Ten duch ekspansji rósł, moim zdaniem, z tradycji Staszica i Druckiego-Lubeckiego. Niektórzy nasi historycy nawykli do ironii wobec Łubieńskich, rodziny magnatów, którzy jako powołanie społeczne wybrali role mieszczan. Szczepił im je Feliks Łubieński, ów genialny minister Księstwa Warszawskiego, który zainstalował u nas francuskie kodeksy, cywilny i handlowy. Szczepił praktycznie - przyszłość. Rozwój samego Królestwa długo napędzały pieniądze Banku Polskiego, tworu Druckiego-Lubeckiego z 1828 roku. Pierwszy jego szef, Henryk Łubieński, w entuzjazmie rozwoju zakładał własne przedsiębiorstwa ze środków swoich i , niestety, Banku – aż po swą katastrofę. Ale bank przetrwał. I zachował szczególny przywilej - prawo emisji banknotów. Kredytowano, co było warto, przywracając życie przejętym, zadłużonym przedsiębiorstwom rządowym, w tym i państwowym kopalniom.

Filie Banku Polskiego obsługiwały operacje dyskontowe w małych nawet miastach. Carat liberalnego czas długi Aleksandra II, stłumiwszy Powstanie Styczniowe, dość późno połapał się w roli Banku Polskiego. Podporządkował go rosyjskiemu ministerstwu skarbu dopiero w roku 1869. Rok później pozbawiono Bank prawa emisji banknotów i udzielania kredytów długoterminowych – by tym sposobem zniszczyć układ sterujący rozwojem Królestwa (po dalszych kilkunastu latach, w roku 1886, ostatecznie zlikwidowano Bank, nazwę i resztki aktywów zagarnął w całości - Bank Państwowy Rosji).

Tak carat wyzwał Leopolda Kronenberga i jego przyjaciół. Któż to był ów Kronenberg? Liczył sobie lat 21, kiedy po szkole pijarów, po studiach i praktyce bankowej w Hamburgu, z biegłą znajomością kilku języków, dostał się w 1833 r. na listę kupców warszawskich jako szef zarządu rodzinnego banku. Jego późniejszy przyjaciel, ów najpopularniejszy ówcześnie polski powieściopisarz, Józef Kraszewski, wspominał: „ci, którzy znali młodego wówczas Kronenberga, powiadają, że obiecywał już, do czego miał dorosnąć w przyszłości. Umysł to był niezmiernie żywy, pojęcie bystre, duch śmiały i przedsiębiorczy, wola niezłomna. Mimo woli wpływowi jego starsi nawet ulegali”.

Pierwsze wielkie pieniądze zrobił, niespełna 30-letni, przejąwszy monopol tabaczny, który nie radził sobie z przemytem. Kronenberg poradził sobie - podniósł pensje funkcjonariuszom, ścigającym przemyt. Urobił sobie przyjaźniami swoich pieniędzy

stosunki w Petersburgu i 20 lat blokował zniesienie monopolu. Kiedy w końcu monopol zniesiono, Kronenberg miał już miliony. Uruchomił w 1860 r. nowoczesną fabrykę cygar i tytoniu, największą z dwunastu później takich w Warszawie, zatrudniała w roku 1872 tysiąc robotników.

W Powstaniu Styczniowym, w Dyrekcji obozu tzw. „białych", czyli umiarkowanych, wspierał partyzantkę: proszony o 20 tys. rubli „podatku" na Komitet Narodowy, oświadczył, że to pomyłka, bo od niego należy się 40 tys. rubli. Próbował go dosięgnąć bezwzględny pacyfikator powstania, generał Fiodor Berg, ostatni namiestnik carski w Królestwie Polskim. Kronenberg wyjechał więc i spędził kilkanaście miesięcy zagranicą. Wedle historii kupiectwa warszawskiego pióra Aleksandra Kraushara, za bezpieczny powrót Kronenberga wzięli razem około miliona rubli łapówki sam Berg i podstępny oberpolicmajster Fiodor Trepow, którego omal nie uśmiercił powstańczy zamach. Inni carscy oficjele w Warszawie też dostali swój udział. Jakby w odpowiedzi Zgromadzenie Kupców w listopadzie 1864 r. ostentacyjnie wybrało Kronenberga swoim „Starszym". Z 5 milionami rubli przystąpił zaraz do budowy Kolei Terespolskiej.

Ci finansiści, kupcy i przemysłowcy Królestwa byli dość szczególnym środowiskiem. Asymilowali się tu stopniowo nie tylko przybysze z Niemiec, Szkocji, Anglii czy Francji. Także – miejscowi, z tak odrębnego świata, polscy Żydzi. Wielu z nich zostało gorącymi polskimi patriotami - jak Kronenberg. Od 1846 r. kalwin, nie tracił kontaktu z polskimi Żydami; starał się na ile mógł zbliżać ich z Polakami.

Związków kapitałowych zagranicą szukał we Francji – jak Epsteinowie w Austrii. Na cios w Bank Polski odpowiedzieli Kronenberg i koledzy - nowym, niezależnym bankiem, Bankiem Handlowym. Jak pozyskał Kronenberg zgodę Berga, nie wiemy. Złożyli się zaś na kapitał Banku nie tylko zaprzyjaźnieni wielcy właściciele ziemscy, ale i zacięty rywal, młodszy o pokolenie Jan Gottlieb Bloch, mąż jednej z najpiękniejszych kobiet Warszawy, bratanicy Kronenberga (który go nie znosił!). Na potężniejącym z roku na rok Banku Handlowym oprze się polska ekspansja już nie w samym kraju, a na terenie całej Rosji.

Ruszył Bank w roku 1870. Tego też roku spółka ziemian, wielkich producentów buraków cukrowych, uprosiła Kronenberga na swego prezesa. Odkrył cukier już wcześniej. Postawił kolejno trzy cukrownie, ową spółkę doprowadzi do rozmiarów kartelu ogromnych obrotów pod nazwą Warszawskie Towarzystwo Fabryk Cukru. I w tym samym roku 1870 udało się z katorgi w Nerczyńsku wyciągnąć Mikołaja Epsteina, syna wielkiego bankiera Hermana Epsteina – młody człowiek trafił na katorgę, ułaskawiony po wyroku śmierci za powstańczą partyzantkę. Cud, że przeżył... Jego młodszemu bratu, Władysławowi, Berg zamienił cztery lata ciężkich robót za konspirację na rok kazamatów w Modlinie. Takie bywało tło wielkich interesów onymi czasy – Herman Epstein z synem Mieczysławem, też doświadczonym już bankierem, założyli w rok po Banku Handlowym konkurencyjny Bank Dyskontowy. W ekspansji byłego Królestwa będzie i dla niego dosyć miejsca. Te parę milionów na kredyty budowlane bardzo się przydały, a w okresie najżywszej koniunktury kapitał tego banku wzrośnie dziesięciokrotnie! Zresztą to akurat oni, Epsteinowie, zbudowali trzy największe cukrownie...

O budowę nowych linii kolejowych w Królestwie i o panowanie nad nimi Kronenberg z Blochem konkurowali, nie przebierając w środkach. Z sześciu linii Kronenberg zdobył cztery, w tym rządową, legendarną Kolej Warszawsko-Wiedeńską. Wiek nie pozwolił mu wygrywać z Towarzystwami Kolejowymi Blocha w następnej rundzie walk, już o koleje

południowej Rosji, które Blochowi przyniosły miliardy rubli. Zdążył niemniej Kronenberg w 1875 r. ufundować Szkołę Handlową w Warszawie.

Bloch konkurował z nim i o pozycję w Królestwie. W pałacu Blocha przy Marszałkowskiej w Warszawie spotykali się możni polityki i pieniądza, Blochowi dla walki o koleje zależało na dobrych stosunkach i z przedstawicielami władz, i z najbardziej wpływowymi Polakami. Ziemianie bardzo chętnie żenili się z jego pięknymi córkami, z krociowymi posagami, w pałacu ich ojca bywali więc najznaczniejsi ludzie z tego kręgu. Potężny zaś Kronenberg nie musiał zabiegać o poparcie, to o jego poparcie zabiegano. W jego salonach rozbrzmiewała muzyka, grywał sławny już Henryk Wieniawski, niezrównany skrzypek wirtuoz, schodzili się artyści i pisarze. Warszawa obrodziła wówczas talentami malarstwa, cenionymi również w Paryżu, ówczesnej stolicy świata, słynna Chełmońskiego „Czwórka" rozpędzonych koni z 1878 r. robi do dziś wielkie wrażenie. To był krąg towarzyski Leopolda Kronenberga.

O geniuszu Blocha dziś zapomniano, któż zna jego potężne, źródłowe dzieło „Przyszła wojna"? Nie przesadzę opinią, że zasłużył na wdzięczność całej ludzkości. Bo to dzięki jego inicjatywie i - nie ma co kryć - pieniądzom spotkała się w 1899 r. pierwsza Konferencja Haska, by dyskutować nad szansą ograniczenia zbrojeń i nad szansą arbitrażu w konfliktach międzynarodowych. Zaproponował tę Konferencję Petersburg, ale świat wiedział, kto ją wymyślił, i byłby dostał Bloch pokojową nagrodę Nobla, gdyby nie zmarł w roku 1902. Następna Konferencja Haska w roku 1907 zaowocowała Konwencjami Haskimi, regulującymi prawa wojny lądowej i morskiej. Dzięki nim Niemcy hitlerowskie, które mordowały milionami ludność cywilną podbitych krajów, nie poddały zagładzie polskich jeńców, wśród nich - żołnierzy pochodzenia żydowskiego z obozów jenieckich II wojny światowej. Życiem tych jeńców wojennych płaciły te Niemcy za życie swoich żołnierzy, gdyby trafili do niewoli. Tych polskich Żydów z oflagów i stalagów uratował w jakimś sensie Jan Bloch... Związek Radziecki nie podpisał Konwencji Haskich i Niemcy jeńców radzieckich potrafili zagłodzić – sam, wysyłany przez dorosłych, nosiłem chleb, który przerzucało się przez druty kolczaste obozu przejściowego na warszawskim Grochowie...

Kronenberg doczekał się legendy, przyćmił i Blocha, i Epsteinów, ale nie były to jedyne wielkie kariery warszawskie. Z firmą znanych już nam Evansów zwiąże się Stanisław Lilpop, syn wziętego zegarmistrza. Ten robotnik został wielkim przemysłowcem. Na koszt Banku Polskiego uczył się w wielkich firmach Zachodu. Po powrocie, utalentowany konstruktor, został wspólnikiem w Fabryce Maszyn i Narzędzi Rolniczych Bazylego Zakrzewskiego. Jak się poznali z młodszym o 8 lat Wilhelmem Ellisem Rau'em, zarządzającym Rządową Fabryką Maszyn na warszawskim Solcu, nie wiem. Na pewno Rau, wbrew opracowaniom historycznym, nie objął tego zarządu, licząc sobie lat szesnaście, prawdopodobnie więc po raz pierwszy zetknęli się Rau, dochodzący trzydziestki, z trzydziestoparoletnim Lilpopem we wczesnych latach 50-tych. Dość, że Lilpop przejął w fabryce, prowadzonej przez Rau'a , pion maszyn – aż przyszedł rok 1854 i wojna krymska, Anglii, Francji i Sardynii z Rosją nowego cara. Dwaj żyjący jeszcze Evansowie jako poddani brytyjscy musieli opuścić Królestwo. Lilpop wykupił większość udziałów i od tej pory kierował ich Fabryką Machin i Odlewów, z Rau'em jako partnerem. Firma Evans, Lilpop i Spółka rozszerzyła ogromnie produkcję maszyn rolniczych, Lilpop zbierał międzynarodowe nagrody za konstrukcje, od żniwiarek po wielkie młocarnie parowe. Produkowali potajemnie broń dla Powstania Styczniowego, aż po tragiczny dzień 7 października 1863 r. - kiedy po rewizji rozstrzelano jednego z robotników, Wilhelma Algiera... W 1866 r. zmarł najmłodszy z Evansów, Douglas, objęli więc firmę Lilpop

z Rau'em. 49-letni Lilpop też zmarł tego roku (z majątkiem szacowanym na pół miliona rubli, tyle że Kronenberga ceniono na 20 milionów rubli), Rau, pełen energii, znalazł partnera z pieniędzmi w szwagrze Kronenberga, Jakóbie Loewensteinie (nie w Leonie, zmarłym, sprostujmy przeglądowe opracowania, w 1833 r.). Rozwinie z tego Rau wielką firmę maszyn i środków transportu, Towarzystwo Akcyjne Przemysłowe Zakładów Mechanicznych „Lilpop, Rau i Loewenstein".

I on również odkrył interes w cukrze. Swoje cukrownie, aż dziewięć, Rau budował głównie na Ukrainie, uruchamiał tam zakłady metalurgiczne, więcej, to on założył Dnieprowskie Towarzystwo Metalurgiczne!

Przybyłych po śmierci Berga w 1874 r. wyższych urzędników cesarstwa oszałamiał rozwój Królestwa. Snobowali się na kontakty z jego finansowymi królami i z polską klasą wyższą, z magnaterią i dworami bogatych ziemian. A nawet Berg pieniądzom i bogactwu nie mógł nic zrobić, bywał na tych salonach i … uwolnił przed czasem młodego, jeszcze żywego Epsteina.

Następca Berga nie został namiestnikiem. Nie było już Królestwa Polskiego, a Priwislinskij Kraj. Generał-gubernator, 73-letni, dobrotliwy niby, ale suchy służbista, generał hrabia Paweł von Kotzebue, w 1875 r. na posadę „pełniącego obowiązki prezydenta Warszawy" ściągnął młodszego o pokolenie przyjaciela. 55-letni generał Sokrat Starynkiewicz, Rosjanin, świadomy, jak polskie nosi nazwisko, rozkochał się w Warszawie. Zaangażował się bez reszty w jej rozwój, miasto uzna go za swego. 17 lat „pełnił obowiązki prezydenta", po śmierci Warszawa uczci go pomnikiem na terenie stacji filtrów i jego imieniem nazwie jeden z placów miejskich!

W dwa miesiące od swego przyjazdu Starynkiewicz skomunikował się ze słynnym już angielskim inżynierem, specjalistą od wodociągów i kanalizacji, Williamem Lindleyem, twórcą ich systemu w Hamburgu. Napisał prof. Ryszard Żelichowski, który wie o Lindleyach wszystko, że nie wiadomo, jak się to Starynkiewiczowi udało, ale stary już Lindley przyjął zamówienie. W dwa lata przygotował bezbłędny, szczegółowy projekt. Po jego śmierci kierował przez lata robotami syn, też William, bardzo wszechstronny, inteligentny inżynier. Dzięki nim obu powstawał stopniowo imponujący, konsekwentnie potem rozwijany system wodociągów i kanalizacji, na długo przed Petersburgiem i Pragą czeską. Przetrwał dwie wojny, pracuje nienagannie do dnia dzisiejszego, istny pomnik ówczesnych inżynierów i przemyślanej techniki. W początkach, gdy Warszawa liczyła 350 tys. mieszkańców, obliczano przepustowość systemu już z góry na pół miliona mieszkańców. A jeszcze przed pierwszą wojną światową przewidywano rozbudowę do skali potrzeb 4,6 miliona, których Warszawa nawet dziś jeszcze nie dochodzi! To ukazuje prężność, dynamizm tamtej epoki i jej ludzi.

Prowadzili budowę głównie polscy już inżynierowie. Polacy studiowali inżynierię po całej Europie, rocznie więcej niż dwustu ich kończyło elitarne uczelnie techniczne Europy, od Petersburga po Liege, Karlsruhe i Paryż. Ale przedsiębiorcy w Królestwie nie wierzyli w nich. Dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy produkcja przemysłowa Królestwa Polskiego wzrosła trzykrotnie, ci inżynierowie polscy zorganizowali się w Stowarzyszenie Techników Polskich i zdołali przekonać do siebie zagranicznych właścicieli fabryk i kopalń w byłym Królestwie.

Nie było to łatwe. Łódź tworzyli na nowo, po osadnikach z początku stulecia i z czasów Królestwa Kongresowego, przemysłowcy niemieckiego pochodzenia i krajowi, polscy

przedsiębiorcy żydowscy, wszyscy razem ludzie specjalnej kategorii, niebywałego rozmachu i wyobraźni w inwestowaniu – określono ich z niemiecka „lodzermenschami", przymiotnik „łódzki", „lodzer", brzmiał dumnie. Uprzednio tamtejsi skromni rzemieślnicy łódzcy żyli z przerobu wełny, lnu i bawełny, ich tkaniny kupowało wojsko, szły na wschód, do Rosji i aż do Chin. Po Powstaniu Listopadowym zbyt się załamał, warsztaty padały. Pojawili się jednak nowi przedsiębiorcy. Zakładali już fabryki, nie warsztaty, ściągali robotników niemieckich i żydowskich, bo innych nie było. Dopiero po uwłaszczeniu chłopów napłynęła polska biedota, gotowa żyć i pracować w każdych warunkach. Z obcych przybyszów największą potęgę zbudował Karol Scheibler, Nadreńczyk, wykształcony technik z praktyką, między innymi – w sławnych belgijskich zakładach budowy maszyn, stworzonych przez Anglika Johna Cockerilla (zmarłego w podróży do Warszawy). Scheibler, były dyrektor przędzalni w Austrii i przędzalni Schloesserów w Ozorkowie, w 1854 r. osiadł w Łodzi. Założył spółkę akcyjną, a dzięki zaufaniu i pieniądzom partnerów – uruchomił nowoczesną fabrykę wyrobów bawełnianych z przędzalnią, tkalnią i wykończalnią. Rozrosła się wkrótce do największego takiego przedsiębiorstwa już nie w Łodzi, nie w byłym Królestwie Polskim, a w całej Rosji carów. Wartość produkcji będzie wzrastała z roku na rok. W roku 1899, już po śmierci samego Scheiblera, sięgnie prawie 20 milionów rubli rocznie!

Starali się go doścignąć inni w Łodzi rywale, też wielkich zdolności – Sas Ludwik Geyer, który dzięki Bankowi Polskiemu pierwszy tu na wielką skalę zaczynał tu interesy; padnie dopiero, gdy wojna secesyjna w USA załamie import bawełny z Ameryki. Potęgami stali się także - inni Sasi, bracia Traugott i Karol Grohmanowie, z synem Traugotta, Ludwikiem, wreszcie - Izrael Kalman Poznański, Żyd łódzki. Jego syn, Izrael Kalmanowicz Poznański, wyprowadził firmę na drugie miejsce po zakładach Scheiblera; wypatrzył tańszą bawełnę na... Zakaukaziu, zorganizował tam skup i oczyszczalnie włókna. Zbyt jego firmy osiągnie pod koniec XIX wieku 15 milionów rubli rocznie, mniej tylko od Scheiblera.

Geyer do swej pierwszej wielkiej fabryki tkanin bawełnianych sprowadzał inżynierów i majstrów jedynie z zachodu, z Niemiec. Dopiero twórca Stowarzyszenia Techników Polskich, inżynier Stefan Kossuth, nieobecny w wielu polskich encyklopediach, został inżynierem naczelnym u Karola Scheiblera. Pierwszą próbę zawodową przechodził jako robotnik w zakładach Hiellego i Dietricha w Żyrardowie; w Łodzi osiągał już sukcesy niby rdzenny „lodzermensch". Wydawał, na przekór wszystkim, polską gazetę i stowarzyszył inżynierów polskich w Łodzi, która ich nie chciała. Scheibler, Nadreńczyk, nie miał jednak za złe, gdy Kossuth obsadzał polskimi fachowcami wyższe stanowiska w fabryce; Scheibler docenił ich - i polubił. Pod koniec życia sam czuł się już Polakiem. Inaczej - Izrael Kalmanowicz Poznański, który wyprowadził firmę po ojcu na drugie miejsce w Łodzi, czyli w Rosji carskiej. Będzie zatrudniał w 1900 r. 15,5 tys. ludzi. Sam demonstracyjnie odprawiał modły pobożnego chasyda, przerywając dla nich oficjalne spotkania. Nie zatrudniał za to - biednych Żydów, szukających pracy i oczekujących wyższego wynagrodzenia. Nie chciał im, jakby to mu wypadało, więcej płacić. Tłumaczył wobec tego, że pracą w sobotę nie może ich zmuszać do gwałcenia szabasu!

Trzeci z synów Ludwika Geyera, Emil, wiceprezes Komitetu Giełdowego, więc w gospodarce byłego Królestwa postać pierwszoplanowa, był już Polakiem, prezesem Polskiego Towarzystwa Teatralnego. Ludwik Grohman, przedstawiciel trzeciej potęgi Łodzi, współzakładał w 1872 r. oddział Banku Handlowego w Łodzi. Znałem jego potomka; Jerzy Grohman, pan Jerzy, byłby głęboko dotknięty, gdyby ktoś kwestionował jego polskość, dramatycznie potwierdzoną podczas okupacji hitlerowskiej. Wielki Kryzys lat trzydziestych XX wieku załamał, swoją drogą, połączone zakłady Scheibler-Grohman;

zbankrutowały. Stawiali je na nogi z kredytów Banku Gospodarstwa Krajowego znakomici fachowcy, opowiadał mi o tym jeden z nich, ojciec moich przyjaciół, pan Jan Skotnicki... Cóż to była za lekcja biznesu!

Ci przemysłowcy łódzcy XIX wieku nie ojcowali swoim pracownikom. Ich rosnąca z niczego Łódź była jak z angielskich pamfletów na wczesny kapitalizm przemysłowy. Płacili nędznie, bez żadnego ograniczenia godzin pracy. A mogłem jeszcze zwiedzać kilkupiętrowe kamienice dla przybywających ze wsi tysięcy okolicznej biedoty wiejskiej i podupadłej, drobnej szlachty, domy ze studniami i latrynami na podwórkach. Niemniej ze wspomnień robotników tego czasu wiemy, że mieli „Manchester" polskiego włókiennictwa, „Ziemię obiecaną" z książki Reymonta i słynnego filmu Wajdy, za awans życiowy. Na wsi po wyjściu z chałupy wąchali zapachy gnojówek przed oknami, młodsi sypiali na sianie w stodołach... Kossuth u Scheiblera poprawił robotnikom warunki pracy, uczył ich pomocy wzajemnej. Długie lata kierował potem jako dyrektor zakładami Hiellego i Dietricha w Żyrardowie, zreorganizował tamtejszym robotnikom ich spółdzielnię spożywców, założył im szkołę.

O wiele łatwiej przychodziło polskim inżynierom robić kariery w głębi Rosji, znacznie szybciej tam awansowali na wysokie stanowiska i do wpływowych pozycji. Budową kolei transsyberyjskiej, co wyczytałem w ówczesnym brytyjskim „Engineering", kierował inżynier Bogdanowicz, kompletnie zapomniany i w Rosji, i w Polsce... Nie ma go w naszych encyklopediach, nie ma w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, choć nie brak w niej różnych Bogdanowiczów, i to z zaznaczeniem polskiego pochodzenia. Nie znalazłem nawet jego imienia. Nie było pewne, czy to nie Rosjanin, bo się Polacy dość łatwo wśród Rosjan asymilowali Wrócimy tu do niego. I do innych Polaków między Rosjanami...

Na Syberii Alfons Kozieł-Poklewski, syn zesłańca, jednego z dowódców partyzantki powstańczej 1863 r., kupiec o niebywałym zmyśle inicjatywy, został jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych przemysłowców Rosji. Zatrudniał zesłanych rodaków i pomagał im jak mógł. Inny Polak, Alfred Zglenicki, na Kaukazie odkrył naftę koło Baku, zapoczątkował jej wydobycie z dna morskiego; fortunę po nim, zapisaną na cele rozwoju nauki w kraju, zagarnie jednak rewolucja bolszewicka. Warszawska firma Konstantego Rudzkiego, inżyniera po słynnej paryskiej Ecole Centrale, budowała mosty w Petersburgu, Moskwie, na Syberii i aż w Chinach, zatrudniała z końcem XIX stulecia, gdy umierał jej twórca, tysiąc ludzi. Roczna wartość produkcji i robót firmy w roku 1914, ostatnim roku normalnej pracy przed I wojną, przy około 9 tysiącach pracowników wyniosła 11,6 mln rubli. Podobnie warszawska firma Piotra Drzewieckiego, wyspecjalizowana w urządzeniach sanitarnych, miała swe oddziały, obsadzone polskimi fachowcami, po całej Rosji, prowadziła swoje budowy aż w Porcie Artura nad morzem Chińskim... Piotr Drzewiecki, z kolejnego pokolenia gwiazd w biznesie byłego Królestwa, to przyszły niezastąpiony prezydent Warszawy przy końcu pierwszej wojny światowej.

Do historii edukacji w Polsce przeszli i zyskali pośmiertną sławę w naszej części Europy dwaj ludzie interesu, którymi historiografia nasza się nie zajmowała - Hipolit Wawelberg, bankier warszawsko-petersburski, kredytujący głównie cukrownictwo i przemysł ciężki w Królestwie i na Ukrainie, oraz jego wspólnik, szwagier, Stanisław Rotwand, udziałowiec i członek rad nadzorczych wielu firm. W 1895 r. ufundowali oni w Warszawie dzięki inicjatywie Stefana Kossutha, który opracował projekt, Średnią Szkołę Mechaniczno-Techniczną – stanie się ona w przyszłości jedną z czołowych wyższych szkół inżynierskich w Europie! Bloch, ten zimny, podobno wyobcowany Bloch ofiarował swoje budynki na

pomieszczenie dla tej Szkoły… Tacy oni byli. Trzy lata później Wawelberg z żoną, poruszeni nędzą mieszkaniową w Warszawie, założyli Fundację Tanich Mieszkań i zaczęli je, razem z Rotwandem, budować. Rotwand ze swoim temperamentem społecznika patronował oświacie handlowej – w roku 1911 w pięciu szkołach handlowych pod jego patronatem uczyło się z górą dwa tysiące młodzieży! W roku 1906 dyrekcję Szkoły Mechaniczno-Technicznej objął Stefan Kossuth i nadał jej nieoficjalny charakter politechniki, imienia Wawelberga i Rotwanda, czego Rotwand, starszy od Wawelberga, przynajmniej dożył. Dyrektorował jej Kossuth aż do swej śmierci w 1919 r…

To tylko najwybitniejsi ludzie w polskim rozwoju ekonomicznym tej epoki. W tym maleńkim skrawku imperium carów rozwinęła się największa gospodarcza potęga carskiej Rosji. Można by długo ciągnąć listę ich przedsiębiorstw, sukcesów i potęgi tak w byłym Królestwie, jak w obrębie całej Rosji carskiej. Dlaczego ich zapomniano? Pierwsza wojna światowa zniszczy doszczętnie cały ich olbrzymi dorobek techniczny, kolejni okupanci wywiozą maszyny, nawet pasy transmisyjne! Nic nie zostanie z sukcesu tej gospodarki, a martyrologiczna wizja historii nie pozwalała docenić jej fantastycznych osiągnięć. Mają one swoich historyków, ale nigdy nie doszli oni szerzej do głosu, ponieważ tematyka ich badań była po prostu niemodna.

W głupim zamachu na względnie liberalnego cara Aleksandra II uśmiercił go swą bombą jedyny Polak w spisku rosyjskich rewolucjonistów, z wierzącej w terror Narodnoj Wolii, czyli „Woli Ludu”. Narodowość jedynego terrorysty spośród wielu, tego, któremu się udało zmienić historię, zmieniła radykalnie politykę Petersburga wobec Polaków. Kolejny od 1883 r. generał-gubernator Warszawy, Josif Hurko, ze zruszczonej rodziny Romejków, nie krył swojej wrogości wobec kultury polskiej i nie woalował niczym swego programu rusyfikacji - mimo prezydentury Starynkiewicza. Narzucił Warszawie obowiązek posługiwania się językiem rosyjskim w urzędach, sądach i szkołach. Jego syn zapisał, że Polacy mieli być wprowadzeni „do rodziny rosyjskiej”. Niewiele jednak Hurko osiągnął. Jego następcy też nie. Jak się przekonamy, Polacy i temu uciskowi się nie poddadzą.

36. NASZA SYBERIA

Już w Polsce niepodległej, w roku 1991, zdarzyło mi się przeczytać w „Tygodniku Powszechnym" artykuł, a właściwie - odczyt młodego polonisty, wygłoszony dla Rosjan w Moskwie. Z wystawą „Sybir polskich romantyków", pokazaną Rosjanom. Przecierałem oczy. Wracał ponury w moim pojęciu stereotyp - polskości-wyłącznie-i - zawsze-nieszczęśliwej. Rozumiałem, że ten stereotyp mógł działać na obojętny Zachód. Nie samym nieszczęściem. Polacy nie dawali o sobie zapomnieć swoimi powstaniami. Zachód zżymał się, ale musiał przyjąć do wiadomości, że sprawa polska pozostaje nie załatwiona. Tak i po 1945 roku. Polacy ciągle niepokoili światową opinię... Aż na koniec załatwili sprawę sami – nie tylko się wyzwolili, ale i zarazili demokracją kraje dookoła siebie.

Wątpię, by owa ponura wersja polskości była w ogóle prawdziwa. Nie znalazłem żadnego łzawego „Sybiru polskich romantyków". Syberia epoki carów to Syberia nasycona polską dzielnością, iście pionierskim zmysłem twórczym. Na wskroś, to prawda, romantycznym. Często śmiertelnym w swych konsekwencjach, ale wtedy umierając, nie płakano. I tę Syberię trzeba wcielić do historii Polski.

Żadnej idylli. W wersji katorżniczej system kar, z chłostą, okuciem w kajdany i właśnie katorgą, czyli długoterminowymi ciężkimi robotami, przy bałaganie administracyjnym caratu wykończał niekiedy skazańców, zanim w ogóle dotarli do miejsca katorgi. No i sama Syberia... Jakucji bali się nawet urzędnicy carscy, nikt się nie kwapił tam jechać, choćby ciepło opatulony. I też zrobiono ją kolonią karną dopiero pod koniec XIX wieku. Kraj z biegunem zimna (w Ojmiakonie w XX wieku zmierzono minus 77,8 stopni Celsjusza), z wieczną zmarzliną, pokrywającą większość terytorium, przy jednym procencie ziemi ornej, sam budził strach. Aliści w latach 1879-1890 do Średnie-Kołymska zesłano blisko trzystu przestępców politycznych, których już wcześniej wyniszczyły droga na Sybir i więzienia. W 1880 roku do Wierchojańska (temperatury do minus 70 stopni C) trafił 22-letni Wacław Sieroszewski, w 1883 przeniesiony do Kołymska... Więc nie, naprawdę żadnej idylli.

W znakomitym studium prof. Elżbiety Kaczyńskiej „Syberia: największe więzienie świata (1815-1914)" czytamy, że „wielkim więzieniem bez dachu" nazwał Syberię Aleksander Salomon, w latach 1896-1900 naczelnik Głównego Zarządu Więzień Rosji carskiej. Taka opinia, wzmocniona doświadczeniami *gułagów*, utrzymała się do dziś. „Czarna legenda - pisała Kaczyńska - była zresztą wygodna dla władz, ponieważ sam strach przed dostaniem się na Syberię i zwłaszcza na Sachalin miał być silnym środkiem prewencyjnym. Wydaje się, pisał były zesłaniec, że większą rolę odgrywała niezwykłość miejsca kary niż sama kara". Późniejsze pokolenia tworzyły obraz tej Syberii czarniejszy niż sami zesłańcy.

Na miano męczeństwa zasługiwały egzekucje i mordy na walczących o wolność Polakach, do tego - Szlisselburg i inne więzienia, na Sybirze - katorga, praca w kopalniach, praca z nogami okutymi w żelaza. Katorga to słowo rosyjskie, ale też nie rosyjskiego pochodzenia, cerkiewne „katrga", okręt, przyszło z greckiego *kateryon*, okręt, ściślej - galera, z pracą galerników na nim, „katorżnik" to po prostu znaczyło dosłownie „galernik".

Katorga i syberyjska zsyłka polityczna to była w Polsce XIX wieku inteligencka, czytaj - szlachecka specjalność, opisana po wielekroć w najróżniejszych wariantach. Maria Konopnicka w 1886 roku w swoistym reportażu-nowelce „Za kratą" opisała natomiast

wyjście z Warszawy - skazańców kryminalnych; zilustruję krótkim fragmentem jej tekstu los zesłańców politycznych, traktowanych dokładnie tak samo:

„Wtem rozległ się dźwięczny odgłos młota, uderzającego o żelazo. Próbowano kajdany, czy dobrze zakute. W więzieniach teraz nie nakładają kajdan nikomu, chyba w charakterze czasowej kary tym, którzy usiłowali uciec. Po izbach i korytarzach nie rozlegają się już te przewlekłe brzęki, w których wprawne ucho z daleka rozróżnić umiało gatunek i wagę kajdan. Kiedy żelazo wlokło się z głuchym łoskotem, mówiono: 'warowny' idzie. Były to kajdany ważące osiem do dziesięciu funtów (niecałe 4 do 4,5 kg - przyp. SB). Charakterystyczny brzęk, jakby okutego wozu, wydawał idąc 'ciężki', którego kajdany miały od czterech do ośmiu funtów. Zwyczajne wreszcie kajdany od dwu do czterech funtów, nakładane lżejszym przestępcom, dzwoniły jak sygnaturki w porównaniu do owych potężnych, jak wielki dzwon rozlegających się brzęków. Wtedy to i kobiety nosiły żelazo. Teraz kują tylko przed samą zsyłką partię mężczyzn, każdego na obiedwie nogi, i po dwóch za ręce!"

Konopnicka drukowała swoją relację w inteligenckiej gazecie. Robotnicy ani chłopi jeszcze tych gazet nie czytali. Jeśli wiedzieli, że Syberia jest czymś strasznym, to od polskich księży, inteligentów i szlachty, z drugiej ręki. Ludzie warstw niższych z Sybiru już na ogół nie wracali. Nie mieli jak, nie mieli za co. Na Syberii pomagali im inni Polacy. Ci inteligenci.

Nie cały jednak Sybir był katorgą i nie sam przez się. Za carskich czasów Polacy zachowywali się tam inaczej niż przeciętni zesłańcy. I nie z „Anhellego" Słowackiego brali Polacy mit Syberii, tylko z wiedzy o realiach, wiedzy gromadzonej i przywożonej do kraju przez setki rodaków, niekoniecznie osadzonych tam w trybie przymusowym. Taką polską Syberię ukazywał i ukazuje w swoich badaniach mój wrocławski przyjaciel, prof. Antoni Kuczyński, dziś twórca całej szkoły, patron prac swoich uczniów i współpracowników. To inny obraz niż z Grottgera: zesłańcy polscy na Syberii nie skupiają się na swoim cierpieniu, żadnego w nich kompleksu ofiary, żadnego paraliżu woli, tak, niestety, częstego u zesłańców rosyjskich, bo ci nieszczęśnicy wiedzieli, że na wszechmoc władzy carskiej nie ma sposobu i że z Sybiru się nie wraca... Polacy się nie poddawali, w ogromnej większości bardzo czynni, jakby tym kompensowali sobie klęskę i niewolę kraju, osiągali przewagę nad słabszym tu od nich caratem.

Dołożył się do moich poszukiwań paroma bardzo interesującymi książkami inny mój przyjaciel, urodzony w Harbinie i tamże na Dalekim Wschodzie wychowany, Edward Kajdański. To on, wtrącę, rzeczowo zbadał relacje Maurycego Beniowskiego o jego przygodach po ucieczce z zesłania aż po jego państwo z tubylcami na Madagaskarze. Tym relacjom uszczypliwie przypisywano co rusz nadmiar fantazji, tymczasem, kiedy je rzetelnie zbadał Edward, zwiedziwszy miejsca pobytu Beniowskiego, znalazł jego informacje znacznie solidniejszymi niż opinie tych, którzy Beniowskiemu zarzucali konfabulację.

Rosjanie do dziś nie włączyli Syberii do Rosji. Rosyjska opinia publiczna nie zna swoich własnych jej bohaterów. Rosja nie ma swojej legendy Północy, legendy badaczy i odkrywców. Nie miała swego Londona. Ani Newerlego cudownego „Wzgórza Błękitnego Snu". Rosyjska wielka literatura, światowej miary, jest ponad to, ale też jest na ogół literaturą bezradności człowieka wobec losu. W tym – wobec rosyjskiego losu... Syberia więc nie pobudza wyobraźni Rosjan przygodą i zdolnością pokonywania największych trudów. Przeciętny Rosjanin niczego nie kojarzy z nazwiskiem Wasilija Pronczyszczewa

i jego żony, Marii, która mu dzielnie towarzyszyła. Tych dwoje XVIII-wiecznych żeglarzy, bohaterskich pionierów, próbowało znaleźć drogę Oceanem Lodowatym od ujścia Leny do Europy; dotarli oboje aż do wybrzeży półwyspu Tajmyr! Na szczątki ich obojga trafił tam dopiero nasz Aleksander Czekanowski w XIX wieku...

W galerii najwybitniejszych badaczy i odkrywców Syberii znajdziemy Polaków co do liczby zaraz na drugim miejscu po Rosjanach. Cała litania nazwisk. Uczeni rosyjscy nie pomijają ich narodowości, w samej Rosji nie brakuje historyków „polskiego śladu" na Syberii.. Polacy mają nie znaną im samym, a wartą odzyskania własną legendę Północy, dramatyczną i wielką. Swoją legendę syberyjską. Twardą i piękną jak Północ. Nasza Syberia to część historii Polski.

Nie my, Rosjanie tych Polaków umieli docenić - lepiej niż my. Troszczyli się o tych Polaków rosyjscy przyjaciele, nie tylko z Syberyjskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego. Cesarskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne załatwiało Polakom zwolnienia z zesłania, z „posielenija", czyli z przymusowego gdzieś osiedlenia, załatwiało angaże do pracy, czasem i finanse na badania. Nadawało im pamiątkowe medale. Polacy zaś nie tylko poznawali i znali Syberię, wielu z nich - przywiązało się do tej trudnej krainy i kochało ją!

Już Mickiewicz z kolegami filomatami (którzy w ogóle romantykami nie byli), kiedy ich miano zesłać w głąb imperium, planowali badać, wchodzić w kontakty, uczyć się języków ludów wschodnich podbitych przez carat, wszystko z myślą o tym, by dzięki takim kontaktom wyciągnąć w przyszłości konkretne korzyści polityczne z jakiegoś ewentualnego, niespodziewanego obrotu losu. Nie wymyślili sobie takich orientalistycznych zainteresowań. Wiedzieli o azjatyckich podróżach genialnego Jana Potockiego, autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie", docierała do nich świeża legenda Emira Tadż al-Fahr'a , podróżnika i orientalisty, Wacława Rzewuskiego, późniejszego bohatera poematów Mickiewicza i Słowackiego, a język arabski znali w Wilnie dwaj ich profesorowie, Lelewel i Groddeck. I oni, ci filomaci, brali swoje plany serio! Nie tylko wielki badacz Wschodu, Józef Kowalewski, ojciec językoznawstwa mongolskiego. Znany jedynie jako filomata, poetyzujący Tomasz Zan, prowadził badania geologiczne na Uralu i dokumentował tam folklor tatarski. Filomacki „Oleś", Aleksander Chodźko, został jednym z największych orientalistów, autorem bezcennej po wiek XX *Grammaire de la langue persanne*, gramatyki języka perskiego, i pierwszy w nauce zainteresował się Kurdami.

We wszystkich niemal polskich pamiętnikach syberyjskich przebija pewien wspólny rys, nawiązujący - rzecz charakterystyczna - do planów Mickiewicza i jego mało romantycznych kolegów: duch pionierów. Wspaniali to byli ludzie. Bywali tacy, którzy nie wytrzymywali nostalgii lub samotności i kończyli samobójstwami, ale nie jako zrażeni do życia i Syberii neurastenicy. Rezygnowali z życia prawdziwi bohaterowie Północy, a trzeba coś wiedzieć o Północy, by ich zrozumieć.

Największe góry wschodniej Syberii, dłuższe i wyższe niż Karpaty, są górami Czerskiego, a żaden inny, rosyjski nawet badacz Syberii nie został uhonorowany w taki sposób i taką miarą. Jan Czerski trafił na Sybir za Powstanie 1863 roku, mając wszystkiego lat osiemnaście. Nikt inny nie wniósł tyle do mapy północno-wschodniej Azji w XIX wieku, części świata z północnym biegunem zimna, gdzie śnieg leży przez dziesięć miesięcy w roku. Imieniem Czerskiego ochrzczono też drugi grzbiet górski na Zabajkalu, blisko granicy chińskiej, już nie tak wysoki.

Troszczyli się o niego rosyjscy przyjaciele, nie tylko z Syberyjskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego. Zmarł w 1892 roku, niespełna 50-letni, w czasie badań nad Kołymą, gdzie zimno schodziło poniżej 50 stopni, a wydychane powietrze zamarzało z trzaskiem. Pracował do końca, aż do zgonu prowadząc notatki - żeby nie zmarnować nawet ostatnich godzin, jakie mu pozostały... Dalej poprowadziła wyprawę jego żona. Też warta legendy.

Czterech takich jak on zorganizował Benedykt Dybowski, zesłaniec, skazany w procesie Traugutta. Najwybitniejszy badacz i znawca Bajkału, wykrył trzy różne kompleksy jego fauny, był w swojej epoce jednym z czołowych zoologów świata... Skonstruował wespół z Wiktorem Godlewskim, trzecim w tej grupie, urządzenie do badań głębinowych, uzupełniał zaś i mapy, spłynąwszy Amurem do Pacyfiku. Czwarty, rówieśnik Dybowskiego, Aleksander Czekanowski, największy geolog Syberii przed Bohdanowiczem, też z „własnym" łańcuchem górskim, przewędrował białymi bezdrożami i pustkowiami dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów, i to głównie na własnych nogach i nartach. Gdzież on tam nie był! Czego nie zebrał! To on odnalazł szczątki Proncziszczewych. Przeżył lat wszystkiego 43, przyczyn jego samobójczej śmierci w Petersburgu nie znam, ale nie było to załamanie słabego psychicznie człowieka...

Dybowski spędził na Syberii czternaście lat. Wróciwszy do kraju w końcu lat siedemdziesiątych XIX wieku, nie znalazł pracy, zwinął więc manatki i pojechał pracować jako lekarz - na Kamczatkę! Dożył potem - już w wolnej Polsce - 97 lat.

W latach 1870-1914 nie było wcale tak psychologicznie daleko od Warszawy na Syberię. Nie tylko na zesłanie. „Handel ze Wschodem" obejmował przecież i Syberię. Od dziesięcioleci Polak, zwłaszcza inżynier, mógł, jak już wiemy, dość łatwo robić karierę w głębi imperium. Polscy inżynierowie po Instytucie Technologicznym czy Komunikacyjnym w Petersburgu - a stanowili około jednej trzeciej absolwentów owych uczelni petersburskich - bądź skończywszy politechnikę w Rydze czy Dorpacie, pracowali na terytorium całego państwa carów. Iluż ich budowało kolej transsyberyjską, kolej transkontynentalną! Nazwisko zapomnianego inżyniera, który kierował budową tej kolei, spotkałem pierwotnie, jak pisałem, w słynnym angielskim, XIX-wiecznym piśmie „Engineering", ale bez imienia. Dopiero po latach odkryłem go, przeglądając papiery politechniki w Dorpacie. Ów Jan Bogdanowicz, z ziemiańskiej rodziny, studiował w Dorpacie i odnotowano w papierach tej uczelni, że budował Kolej Transsyberyjską!

Jak to już wiemy, jednym z królów gospodarki Syberii przełomu XIX i XX wieku był ów Alfons Kozieł-Poklewski, który zatrudniał i wszędzie forytował rodaków. Warszawskie Towarzystwo Kursów Naukowych nadało tylko dwóm członkom tytuły „członków protektorów" za składkę liczącą ponad tysiąc rubli, stać na nią było obok niego tylko jeszcze jednego Sybiraka, Wojciecha Ulińskiego z Barnaułu nad Obem. Nie udało mi się dociec, czy nie współpracowali i nie robili interesów razem. Ani jednego, ani drugiego nie ma w naszych encyklopediach.

Nie wszyscy, ale prawie wszyscy ci nasi Sybiracy pisywali do Warszawy albo ich opisywano w warszawskich gazetach; przysyłali eksponaty dla polskich muzeów i zbiorów naukowych. Wśród nich i carski generał (wojsko w tamtych czasach ciągle było jeszcze zawodem, tylko niekiedy - powołaniem narodowym), podróżnik, Mikołaj Przewalski. Zasadnie uważa się go za ojca szkoły badań nad tą częścią świata, gdzie do tej pory Europejczyków nie było. Jego polskie listy, dołączone do przyrodniczych darów, sam

czytałem. Wiedziałem zresztą ze starej warszawskiej prasy codziennej i bezcennego warszawskiego „Wędrowca", że to Polak. Zasłynął „koniem Przewalskiego" - ten „equus przewalskii" z rodziny „koniowatych", jest gatunkiem zanikającym, dla którego w ogrodach zoologicznych prowadzi się księgi rodowodowe. Odkrył też Przewalski dzikiego wielbłąda. W Rosji pisano go i pisze się Przewalski, przez „ż" z kropką. Popularne w Rosji imię Mikołaj sugerowało jego rosyjskie pochodzenie. W polskich nawet encyklopediach to XIX-wieczny podróżnik rosyjski; pominął go Polski Słownik Biograficzny... Pisałem o nim trzydzieści parę lat temu, ale przytoczę tu niedawne słowa prof. Zbigniewa Wójcika – „sam Przewalski nie ukrywał swojej polskości (...). Podstawy swej głębokiej wiedzy przyrodniczej uzyskał w pracowniach warszawskiej Szkoły Głównej. Zakład ten zaopatrywał w ciekawsze okazy fauny, zebrane podczas wypraw w Azji Środkowej. Ba, nawet przyjeżdżał do Władysława Taczanowskiego, kustosza zbiorów zoologicznych tej uczelni, na konsultacje". Więc to nie tylko ja w naszych czasach znałem prawdę o tej postaci...

Należy do naszej historii inny też wojskowy rosyjski, generał, który jednak dożył i mógł wrócić do wolnej Polski, Bronisław Grąbczewski. Następca Przewalskiego, jego dzieło kontynuował. To pierwszy wielki badacz Tybetu. Trudno ocenić, który z nich więcej zrobił dla poznania tamtejszego świata.

Władysław Komorowski tomem gigantycznej pracy, „Syberia jako czynnik gospodarki światowej", z połowy lat trzydziestych XX wieku, stworzył kapitalne źródło informacji o wszelkich możliwościach i bogactwach tej fascynującej krainy. Dzięki niemu dowiedziałem się, że nawet na Sachalinie coś zdziałali polscy inżynierowie, bo pierwszy dowiercił się tam ropy naftowej Polak...

W ostatnim trzydziestopięcioleciu przed Pierwszą Wojną Światową jako zesłańcy i katorżnicy lądowali na Syberii wyłącznie polscy socjaliści, ponieważ idea niepodległości była naonczas utopijnym monopolem szalonej lewicy. Zachowywali się dokładnie tak samo, jak ich poprzednicy.
Socjalista, Wacław Sieroszewski, żył nie tylko zapisane przezeń „Dwanaście lat wśród Jakutów", w rejonie bieguna zimna, ale dalsze kilka jeszcze lat na Syberii, jego epopeja badawcza jest znana, chociaż zapomniana dzisiaj ze szczętem. Sieroszewski, były spiskowiec, wybitny później i bardzo popularny powieściopisarz, to dla nauki - ojciec etnografii Jakutów. Jego rówieśnik i kolega, Edward Piekarski, inny zesłaniec, opracował w ciągu długich lat pobytu w krainie Jakutów fundamentalny słownik ich języka, zbierał ich baśnie, podania, pieśni, poematy, przysłowia i zagadki... Odegrał rolę Lindego i Kolberga Jakutów. Nigdy nie wrócił do kraju; został na Syberii po rewolucji bolszewickiej tylko po to, by dokończyć druku swego dzieła, i tam umarł. Wśród swoich Jakutów.

A Bronisław Piłsudski, starszy brat Józefa Piłsudskiego, legendy niepodległości polskiej? Jako skazaniec spędził piętnaście lat na katordze z kryminalistami na Sachalinie - i prowadził równocześnie badania nad ginącymi Ajnami, leczył ich, uczył i pośredniczył w ich kontaktach z władzami. Tego pierwszego badacza ich kultury otacza nieledwie kult w Japonii, która pierwotnie traktowała Ajnów jak podludzi.

Dziesiątki też polskich geologów pracowało dla rosyjskich i zagranicznych przedsiębiorstw i placówek naukowych. Polacy nie tylko znali Syberię, wielu z nich - kochało ją! Jechali na Syberię także uczeni polscy, których pociągała syberyjska przygoda badawcza. Jechali z własnej woli, jak - Karol Bohdanowicz, jeden z najwybitniejszych geologów świata w ogóle, z pewnością za to największy geolog Syberii pierwszej połowy XX wieku.

Uważany nie bez racji za najbardziej bohaterskiego wśród wszystkich geologów świata w swej epoce.

Po pierwszych badaniach na trasie kolei transsyberyjskiej podjął pełne już napięcia badania na Kamczatce. W ciągu 28 dni Bohdanowicz ze swymi ludźmi przebywają tam 540 kilometrów w czasie najsroższej zimy, nocując w brezentowym namiocie przy 45-stopniowym mrozie. Obserwacje geologiczne prowadzi Bohdanowicz nieraz dzięki temu, że wiatr zwiewa śnieg ze skał... Spędza tam trzy lata. Bywały powroty wśród topniejącego śniegu, kiedy woda podchodziła do pasa! Bywały noclegi pod gołym niebem, przy mrozie 30 stopni. Pewnego razu ekipa przetrwała 30 godzin na stojąco, w 12 osób w paroosobowym namiocie, wśród „purgi", syberyjskiego wichru z zamiecią śnieżną, zasypywani śniegiem i przewracani siłą tej wichury.

Kolejna wyprawa, na półwysep Czukocki, skończyła się dramatem. Pół roku na pustyni śnieżnej; zima podbiegunowa, burze śnieżne; psy nie chcą iść, ekipa zostaje odcięta od świata. Szans na polowanie żadnych, po zjedzeniu zapasów je się psy. Bohdanowicz ze swym pasierbem Hejbowiczem nie przerywają prac. Ludzie chorują na szkorbut, krwawią, tracą zęby. Dwóch rusza, by znaleźć pomoc, giną z wycieńczenia po przejściu paru kilometrów. Ludzie umierają jeden po drugim, Hejbowicz także. Zostaje trzech, jedzą futerały aparatury pomiarowej. Aż zostaje sam Bohdanowicz. Prowadzi notatki po chwilę utraty świadomości, dzięki czemu przebieg wyprawy został utrwalony do ostatniego momentu przytomności uczonego. Od śmierci ratuje go grupa wędrujących Czukczów, święcie przekonanych, że to zbiegły katorżnik; odbiera go im dowódca patrolu kozackiego, pewny tego samego. Znaleziony nieszczęśnik prawie nic nie mówi. Minie parę tygodni, zanim dotrą do Egwiekinotu nad zatoką Anadyrską Pacyfiku i tożsamość uczonego ustalą.

Z wagonu w Petersburgu wynoszą go na noszach. Kiedy potem bezbarwnym, monotonnym głosem zdawał sprawę z wyników wyprawy, pytano go o dalsze plany. Odpowiedział, że chce... wrócić na Czukotkę. Wrócił i odnalazł całość wyników pomiarów, które zabezpieczył w przesmołowanym worku juchtowym.

Kraj po jego powrocie nawet nie wiedział, kogo ma. W roku 1937 rządowi polskiemu, kiedy oczekiwał przysłania francuskich geologów, zwrócili uwagę Francuzi, że to Polska dysponuje najwybitniejszym żyjącym geologiem świata! Po pierwszej wojnie światowej Bohdanowicz organizował od zera polskie szkolnictwo geologiczne. Potem znowu, mając już ponad osiemdziesiąt lat, raz jeszcze, po drugiej wojnie światowej. Podczas okupacji pracował nad nowym dziełem, wyszedł z Powstania Warszawskiego z manuskryptem pod pachą, kończąc właśnie te 80 lat. Jego badania zapowiedziały obecność tzw. siarki rodzimej w dolinie Wisły – nie ma swego pomnika w dzisiejszym zagłębiu siarkowym... Trzy tomy jego głównego dzieła, *Surowców mineralnych świata*, ukazały się dopiero w kilka lat po jego śmierci, w nowym ustroju. Cenzura interweniowała, bo zawierały zbyt wiele „szkodliwych" informacji.

Polacy czuli się dobrze wśród syberyjskich Rosjan. Ci już wtedy różnili się znacznie od Rosjan części europejskiej. Budowali swoją odrębność przez cały wiek XIX i wytworzyli bardzo specyficzną formację kulturową. Po rewolucji bolszewickiej chcieli powołać do życia własne, niezależne od Moskwy i Petersburga, od Rosji europejskiej, państwo rosyjskie. Byli inni, jakby „mniej rosyjscy", ot, ludzie Północy, a nie pozbawione wiary w jutro, wahające się, zmienne w nastrojach, mało obliczalne postaci w rodzaju Obłomowa czy braci Karamazow. Co więcej, przyjmijmy to do wiadomości, dość łatwo wtapiali się Polacy w tamtejsze otwarte otoczenie rosyjskie i asymilowali. Niemały dziś procent syberyjskich

inteligentów powołuje się na jakichś polskich przodków, a słyszymy to z Syberii nie dopiero teraz, po obaleniu władzy komunistycznej. Niemało Jakutów ma polskich pradziadków (mówiąc nawiasem, Jakutów po epoce bolszewickiej jest dzisiaj mniej, niż było za panowania carów).

Z jakuckimi potomkami Sieroszewskiego rodzina pisarza straciła kontakt. Z ajnoskimi potomkami Bronisława Piłsudskiego nie wiem, co się dzisiaj dzieje; wiadomo, że tamtejszy syn Piłsudskiego, Skeizo, uczestniczył kiedyś w wystawie etnograficznej w Tokio. Czytałem dziesiątki książek, setki stron w czasopismach, rzadkie rękopisy, z polskimi wspomnieniami i opisami XIX-wiecznej Syberii. Warto wznowić wspomnienia i polskie książki syberyjskie, w tym i przetrwałe w Rosji, pisane po rosyjsku - jak „Autobiografia" Przewalskiego w pełnej wersji, którą Stefan Pomarański otrzymał od mówiącej po polsku rodziny w Smoleńskiem. Czytajmy „Pamiętniki" Dybowskiego, Wacława Sieroszewskiego „12 lat w kraju Jakutów", Grąbczewskiego tudzież wiele innych. .Całą bibliotekę. Z nową książką o Jakucji Michała Książka... Żeby odzyskać tę przeszłość.

Myślę, że byłoby nader ciekawe i cenne, gdyby wszystkie polskie rodziny, których zruszczeni lub zasymilowani wśród miejscowych plemion czy narodowości kuzyni żyją na Syberii czy Dalekim Wschodzie, spróbowały ich z czasem odnaleźć i nawiązać z nimi bliższe stosunki. Warto zmniejszać świat.

Nasi dzisiejsi polscy młodzi „kupcy-poszukiwacze-przygód" byli za Uralem pionierami wolnego handlu. Swego czasu niemal zmonopolizowali obroty między... Pekinem a Irkuckiem. Miejmy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości pod patronatem Antoniego Kuczyńskiego trafią na Syberię inni Polacy. Ponieważ tak się składa, że obok rosyjskich „Sybiraków" prawdopodobnie tylko my pośród Europejczyków umiemy pracować na Syberii i nawet kochać ten trudny, a fascynujący kraj i jego mieszkańców.

37. POZA HISTORIĄ

To, co się spaliło w walkach powstańczych, wyrównały odszkodowaniami polskie ubezpieczenia, znacznie trudniej przychodziło po klęsce odnaleźć się młodej inteligencji byłego Królestwa. Aura sukcesów Kronenberga, Scheiblera, Blocha, wielkich interesów, leczyła ją pozytywizmem, Kraszewski i Jeż mądrością i wiarą w siebie, ale ja bym dodał jeszcze pewną niezwykłej urody kobietę, która nie samą urodą, moim skromnym zdaniem, odwracała uwagę od nieszczęścia i ożywiała wyobraźnię polską w zaborze rosyjskim. Wielbił ją i lud, i zakochany w niej bez pamięci - w mężatce i matce - młodszy o 6 lat redaktor czasopisma „Niwa", przyszły Henryk Sienkiewicz.

Panna Jadwiga Misel nie pochodziła z „dobrego domu". Jako Helena Modrzejewska zawdzięczała międzynarodową karierę wyłącznie swemu aktorstwu. Mówiono, że umiałaby wzruszyć widownię, nawet czytając rozkład jazdy. Mimo wspomnień i biografii jej daty nie bardzo się zgadzają – miała debiutować w roku 1861, 21-letnia, ale już tego roku urodziła syna ze związku z Karolem Bodzentą Chłapowskim, człowiekiem z wyższych sfer, który na pewno nie popełnił mezaliansu tylko dla jej piękności. W roku 1876 sławna już aktorka wybrała się z mężem i z 15-letnim synem, przyszłym wielkim inżynierem, Rudolfem, do Ameryki. Sienkiewicz im towarzyszył. Jej występy przynosiły sukces za sukcesem – także w szekspirowskich rolach w teatrach Wielkiej Brytanii! Po angielsku! Przyjęła obywatelstwo Stanów Zjednoczonych - dla ochrony w kraju przed szykanami władz carskich. Kiedy wracała po zagranicznych triumfach, publiczność warszawska witała ją owacyjnie – wdzięczna za jej sukcesy. Warszawa utożsamiała się ze światową karierą Modrzejewskiej, Modrzejewska podbijała świat w imieniu wszystkich Polaków. Carskie władze uważały aktorkę za niebezpiecznego wroga, bały się entuzjastycznego uwielbienia, sprzyjającego polskiej atmosferze buntu. Zakazały jej występów w Warszawie – recytowała bowiem publicznie wiersze, nie dopuszczone przez cenzurę. Myślę, że to bardzo w polskiej tradycji – budzi optymizm narodowy jedna z pięknych kobiet polskich. Anglia identyfikowała się z królową Wiktorią, Polacy – ze swoją królową sceny i urody.

W Krakowie końca lat 40-tych XX wieku wskazano mi w teatrze imienia Słowackiego bardzo starszego pana, koło osiemdziesiątki, który od czasu do czasu przychodził, poza godzinami przedstawień, przed południem, i siadał na małym krzesełku, by wpatrywać się w jej portret... Mówiono mi, że kochał się już w niej, mając lat piętnaście. Kto oglądał ten portret, może go rozumieć.

W tychże latach siedemdziesiątych XIX wieku, latach Modrzejewskiej, pojawił się kolejny zapomniany polski bohater narodowy - że z całym rozmysłem użyję takiego określenia. Pseudonim - „Promyk". Ani poeta, ani powieściopisarz, ani przedsiębiorca. Inteligentny młody człowiek, korespondent Kraszewskiego, wychowany na jego ideałach. Kilkunastoletni syn zesłańca, wrócił Konrad Prószyński z Syberii do kraju po ostatecznej pacyfikacji resztek polskiego buntu. Szukał jakiejś konspiracji, ale nie było już mowy o walce zbrojnej. Rozglądał się, co by tu sensownego robić. Po kilku latach będąc u krewnych na wsi w Kałuszynie, zabrał się do uczenia chłopaków wiejskich. Nie znalazł we dworze elementarza, obmyślił więc i malował elementarz... wapnem na ścianie domu, obok którego wieś przechodziła w drodze do kościoła. Jął się potem zastanawiać, jakby tu nauczyć czytania już nie jedną wieś, a tysiące wsi - gdy analfabetami było ponad 75 procent mieszkańców Królestwa!

W roku 1875 zebrał 160 rubli ze składek od warszawskich przyjaciół i wydrukował pięć tysięcy „Elementarza ściennego", odwzorowując tamten swój ze ściany w Kałuszynie. We trzech założyli z przyjaciółmi konspiracyjne Towarzystwo Oświaty Narodowej, jedyną chyba wtedy organizację tajną w byłym Królestwie. Jeszcze w grudniu tegoż roku opublikował elementarz, nie wymagający zawodowego nauczyciela, 32 strony za trzy i pół kopiejki, pod tytułem „Elementarz, na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodni". W ciągu kwartału poszło bez reklamy pięć tysięcy egzemplarzy. Po roku sprzedano i dwadzieścia tysięcy egzemplarzy! W ciągu czterech lat poszło pięć wydań, blisko sto tysięcy egzemplarzy... Tylu polskich inteligentów postanowiło uczyć swoich rodaków. Udzielił się im duch pionierów. O czym się zapomina, jeśli kto nawet odkryje Prószyńskiego.

We wstępie autor, pod pseudonimem „Kazimierza Promyka", pisał: „Bracie! Kiedy sam umiesz czytać, a chcesz dobry uczynek spełnić, to naucz czytać tego, co jeszcze nie umie. Bóg Ciebie za to nagrodzi - i ten, kto się nauczy od Ciebie czytać, będzie Tobie zawsze wdzięczny, bo Ty zrobisz dla niego lepiej, niż gdybyś mu dał kupę złota". W 1882 r. we Lwowie Kraszewski, „człowiek instytucja", nim go Prusacy w Berlinie aresztują, zainicjował Macierz Polską, bezcenne stowarzyszenie oświatowe, wydawnictwo książek i materiałów dla pomocy wysiłkom Promyka.

Z latami wziął się Promyk za naukę pisania. Z równie wspaniałymi rezultatami. W roku 1892 wygrał światowy konkurs elementarzy w Londynie! Polak, z nieistniejącej Polski, Konrad Prószyński! Nikt nie obchodził tej rocznicy. Dopiero zresztą jego wnuk, wzięty wydawca, uczcił go biografią pióra Szczepana Lewickiego, osiemdziesięcioparoletniego wyznawcy Promyka. Tyle musiała ta książka czekać...

Lekceważony przez współczesnych sobie dziennikarzy, zapomniany przez dzisiejszych, od roku 1880 wydawał Promyk, redagował i głównie sam pisał adresowaną do chłopów „Gazetę Świąteczną". Chciał założenia niższych szkół rolniczych w każdym powiecie, na razie uczyła dobrego rolnictwa „Gazeta Świąteczna". I jaki to był mistrz dydaktyki! W roku 1906 dla eksperymentu siadło w sali Warszawskiego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa paruset inteligentnych chłopów - analfabetów, którzy nigdy w życiu nie mieli w rękach ołówka ani zeszytu. Dzięki tablicom poglądowym i wykładowi Promyka po dwóch godzinach wypisywali już całe wyrazy i zdania!

Ten asceta życiowy, harujący i po dwadzieścia godzin na dobę, umiał, niestety, pracować tylko sam. Pełen temperamentu mężczyzna, zostawił za to po sobie wielu Prószyńskich, wśród nich i wielkiego wynalazcę. Jego dzieło niemniej kontynuowali inni, których tu poznamy. Kiedy, wszystkiego 57-letni, umierał, było jeszcze w Królestwie 6 milionów analfabetów. Niemniej kilkaset tysięcy najżywszych umysłowo chłopów Królestwa Promyk wprowadził w świat słowa czytanego – odegrają oni w historii dalszych lat polskich ogromną rolę.

Pewny siebie, popełniał błędy. Za nazbyt ugodowe zwroty w jego tekstach, obliczone na tolerancję władz carskich, zerwał z nim przyjaciel z TONu, Bolesław Hirszfeld, a to był już przedsiębiorca, który wydatnie wspierał finansowo Promyka. Promyk jakby sam nie doceniał swej skuteczności, nie wierzył, że chłopi będą czytać Trylogię!

PRL ignorowała jego osiągnięcia, reklamowała się tradycją równoczesnych mu, słusznych ideologicznie fantastów. Zasługiwaliby i oni na pewną historyczną czułość, bo ze swą naiwną ofiarnością skończyli tragicznie... W roku 1882, kiedy Kraszewski inicjował

Macierz Polską, założyli szumnej nazwy Międzynarodową Socjalno-Rewolucyjną Partię Proletariat, w której nie było naturalnie żadnego proletariusza. Nazwane w PRL „Wielkim Proletariatem", kilkanaścioro gorącogłowej, inteligenckiej młodzieży warszawskiej, naczytawszy się Marksa i różnych teorii rewolucji, gotowało się do wszelkich poświęceń, by zbawić rewolucją „socjalną" cały świat. W minionym ustroju oburzano się, że nie doceniam ich przywódcy, Ludwika Waryńskiego, przedkładając nadeń księdza Wawrzyniaka. Odpowiedziałem, że owszem, przedkładam. Waryński, dwudziestoparoletni piękny młodzian, inżynier po petersburskim Instytucie Technologicznym, błysnął jak meteor, rozżarzył serca przyjaciołom, głowy olśnił wizją światowej rewolucji, nadawał się raczej do powieści. Rozkochał w sobie, takie to były czasy, wzajemną szaloną miłością, cztery po kolei wspaniałe dziewczyny (jedna za nim jeździła po całej Europie z paromiesięcznym niemowlęciem na ręku). Bez pojęcia o konspiracji, wpadł po dwóch latach. Ochrana carska rozbiła tę „partię" doszczętnie, przejąwszy nawet jej archiwum. Pięciu spiskowcom „Proletariatu" udało się zabić prowokatora, powieszono ich w 1886 r., część trafiła do więzień – Waryńskiego z cytadeli przeniesiono do strasznych kazamatów petersburskiego Szlisselburga, gdzie po sześciu latach zmarł z wycieńczenia i zapewne gruźlicy. Część poszła na zesłanie. Ilu by ich nie liczyć, świadczą przynajmniej o zdolności uczuć swego pokolenia. Najpraktyczniejsza z nich, Maria Bohuszewiczówna, po aresztowaniu Waryńskiego sprawnie organizowała „Proletariat" na nowo. Też pełna wdzięku panna z dobrego domu, nie romansowała z Waryńskim. Aresztowana, zasądzona, zesłana, zmarła w drodze na Sybir... Wszyscy oni, z imaginacją światowych perspektyw, nie dostrzegali, co jest w ich własnym kraju do zrobienia. Pożary uczuć spalają zdrowy rozsądek.

W roku 1883, kiedy właśnie Prusacy aresztowali Kraszewskiego, a Waryński z przyjaciółmi spiskowali po domach, dokonał się w półmartwej atmosferze miast i miasteczek byłego Królestwa i Galicji - swoisty przełom narodowy, też pomijany w naszej historiografii. W warszawskim „Słowie" i krakowskim „Czasie" zaczęło się ukazywać „Ogniem i mieczem", pierwsza powieść Trylogii Henryka Sienkiewicza. Miały przyjść potem „Potop" i „Pan Wołodyjowski". „Trylogia" podniosła czytelnictwo obu gazet z parotysięcznych nakładów do wielo-, wielotysięcznych. Nie można było druku przerwać. Pod koniec każdego roku obwieszczano, że Sienkiewicz będzie dalej pisał – co gwarantowało dalszą prenumeratę. Przesyłki z gazetami, drukującymi kolejne odcinki powieści, rozpieczętowywano na pocztach przed doręczeniem i teksty z „Trylogii" odczytywano głośno. Nieraz je ręcznie przepisywano dla tych, którzy nie mogli wysłuchać lektury przy okienku pocztowym... Gazety pisały o losach bohaterów powieści, teatry inscenizowały fragmenty „Ogniem i mieczem".

Powieści te stały się wydarzeniem historycznym, obdarzyły społeczeństwa Królestwa i Galicji - tożsamością zwycięską. I to wszystkich! Prof. Józef Szczublewski, niezastąpiony biograf, cytuje z pisma „Rossija" z 1900 roku wypowiedź, przypisaną Polakowi – „gdy naród przyciśnięty do ziemi, gdy losy historii starają się zmienić go w karła, wtedy zaczyna on marzyć o przodkach olbrzymach, którzy mu dali życie. Szczęśliwy pisarz, który umie dać ich obraz".

Czy z tych przodków Sienkiewicz robił aż takich olbrzymów, to inna kwestia... Stanisława Brzozowskiego, intelektualistę fin de siecle'u, którego tu poznamy, złościł nieuzasadniony niczym, nie wymagający realnego oparcia optymizm, jaki Polakom szczepił Sienkiewicz. Brzozowski miał się za proroka Czynu, ale nie uzmysławiał sobie, jak optymizm, nawet i całkiem bezzasadny, może przydać się społeczeństwu z poczuciem klęski... Atakowali też Sienkiewicza inni znakomici krytycy. W dwadzieścia lat po gazetowym druku „Trylogii" nie

rozumiano jej fenomenu, zgoła pozaliterackiego. Do dziś czytamy te same do jej autora pretensje: że płytki intelektualnie, że psychologia uproszczona, miłości - czytankowe. Wedle wielkiego ironisty, Witolda Gombrowicza - taniocha, „Homer drugiej kategorii". Choć Gombrowicz umiał przynajmniej oddać Sienkiewiczowi „magiczny wpływ na wyobraźnię mas". Znakomitej prozy nie zauważano. W moim zaś przekonaniu to właśnie Trylogia wszystkich Polaków razem - uszlachciła. Polskie, powszechne, wygórowane do przesady poczucie godności własnej, ze szlachecką, niestety, kłótliwością, jest, jak sądzę, właśnie z tej nobilitacji, nieznanej podręcznikom historii. Wśród pseudonimów następnych prawie stu lat będzie przeważała „szlachta" z Trylogii. Setki młodych „Kmiciców" i „Skrzetuskich" spiskowały przed pierwszą wojną światową, szły do Legionów Piłsudskiego, walczyły z nawałą bolszewicką w roku 1920, a potem konspirowały w latach drugiej wojny światowej. I to od czasów Trylogii należało zwracać się, jak to zauważył Jirzi Weis, do polskiego robotnika czy chłopa jak do „pana brata", nie jak do „kogoś z ludu". Bo każdy Polak został szlachcicem.

Nigdy nie zyskał pełnej sławy pisarz pierwszej wielkości, rówieśnik Sienkiewicza, Bolesław Prus; jego „Faraon", powieść miary światowej, nie zdobył nawet Polski... Duchowieństwo odczytało w nim zakamuflowany atak na nie, o tyle niebezpieczny, że w świetnej powieści. Musiało się jednak pogodzić z wyzywającym swą biedą chrześcijaństwem „Quo vadis" Sienkiewicza – choć przedtem zaszokowała i Kościół, i warstwy wyższe, ostentacyjna, choć ukarana w samej powieści amoralność „Bez dogmatu". „Quo vadis" olśniewało swym bezprzykładnym sukcesem, zrodziło światowe pojęcie bestselleru. We Francji sprzedano od sierpnia 1900 do jesieni 1902 roku 200 tysięcy egzemplarzy, tłumaczenia sypały się jedne za drugimi, czytelnicy szaleli w Hiszpanii, Włoszech, Niemczech, Anglii i Rosji. W Stanach Zjednoczonych do 1915 r. poszło ponad półtora miliona egzemplarzy! Po raz pierwszy cywilizacja dzięki „Quo vadis" zaznała gorączki rynkowej nie dla akcji spółek mórz południowych czy Kanału Panamskiego, lecz dla książki - akurat polskiego pisarza! Z kolei wyborny, amerykański przekład Trylogii Jeremiah'a Curtina (odkrył go nam Michał J. Mikoś, polski profesor z Milwaukee) dotarł do Williama Faulknera, inspirując jego twórczość... Akurat wtedy, gdy kpiarz francuski, surrealista Alfred Jarry, umieścił akcję swego „Ubu króla" w „Polsce, czyli nigdzie".

Prus jak tylu innych wielkich pisarzy – był pisarzem raczej porażek niż sukcesów, u niego w „Placówce" polski chłop przegrywał z niemieckim, w powszechnie znanej ze szkoły „Lalce" wielki przedsiębiorca Wokulski kończył samobójstwem, Prus przegranymi swoich bohaterów nie budził ani nadziei, ani wiary w sukces, wypominał raczej nieporadność, psychologiczną niezdolność, uświadamiał mechanizmy porażek. O wielkopolskich spółkach zarobkowych, o tamtejszych kółkach rolniczych nie wiedział nic. Inni warszawscy pisarze i dziennikarze, uważający się za pozytywistów, nigdy nie opisali też, jak ponad sto tysięcy nabywców elementarzy Promyka przez ćwierć wieku nauczyło czytać ponad pół miliona chłopów i robotników.

Oddziaływanie „Trylogii" sprzęgało się najwyraźniej z duchem ekspansji przedsiębiorców, którzy wbrew porażce Wokulskiego z „Lalki" trwale podbijali nowe rynki. Inni – znajdowali w sobie „Promykowy" zmysł aktywności pożytecznej. Atmosfera ta rodziła oryginalnych ludzi i oryginalne inicjatywy. Czasem najzupełniej nieoczekiwane. Słuchałem w Krakowie, tuż po wojnie, starszych ludzi, którzy jeszcze znali jako dziesięcioletni chłopcy sławnego, dziś zapomnianego Henryka Jordana, mówili, że Jordan swój impet wewnętrzny, ba, inspirację, czerpał właśnie z Trylogii. Nie korzystamy z jego zaiste kapitalnych osiągnięć – które w Warszawie podjął w części jeden z wielkich ludzi interesu, znany już nam Wilhelm Rau. Zapomnieliśmy i jednego, i drugiego.

Dr Henryk Jordan musiałby dzisiaj zaczynać od początku. To już mniejsza, że ten wytrawny lekarz, krakowski naukowiec, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, poseł na sejm krajowy Galicji, wprowadził lekcje gimnastyki w szkołach i oraz instytucję lekarza szkolnego. Jakiś inny mądry człowiek też by na to pewnie wpadł i osiągnął może podobny skutek. Ale Jordan, zapoznawszy się z wzorami amerykańskimi, założył w roku 1888 w Krakowie - znany mi dobrze, choć już w wersji ociosanej z pierwotnych inicjatyw - „Park Miejski dra Henryka Jordana". To nie był „ogródek jordanowski", *kindergarten* Froebla, czyli teren do zabaw przedszkola. To był jeden z pierwszych w Europie publiczny ogród, otwarty dla dzieci i młodzieży, szkolnej i pracującej, z grami i zabawami ruchowymi, z gimnastyką i ze specjalnie zatrudnionym pedagogiem. Ileż okazji dla kraju, tak lubiącego rocznice - Jordan poprzez ten „Park" zainicjował w Polsce uprawianie piłki nożnej! Niech pocieszy nas, że Anglia w 2013 roku nie święciła 150 lat istnienia Angielskiego Związku Piłki Nożnej, a w naszej „encyklopedii oksfordzkiej" nie ma nauczyciela z Uppingham, Johna Charlesa Thringa, który poprzedniego roku sformułował w 10 punktach przepisy gry, do dziś obowiązujące! Jordan zainicjował w Polsce także - tenisa. Upowszechnił palanta. No i ustawił w Parku popiersia wybitnych Polaków, by opowiadać o nich przy tych postumentach. Nie nudząc.

Skoro przy mądrym Franciszku Józefie Galicja uzyskała tyle wolności, umacniało to wiarę w przyszłą wojnę przeciw caratowi o taką wolność dla całej Polski. Jordan zajął się więc i przysposobieniem wojskowym, stworzył z myślą o tym Pierwszy Pułk Dzieci Krakowskich. Nastolatki pojedynkowały się na palcaty i składały się równym szeregiem do przyszłej salwy z broni palnej, też imitowanej palcatami. A nie kończyło się na zabawie w wojsko i na ciekawych pogadankach. Młodzież wędrowała po kraju na wycieczki krajoznawcze, by poznać ziemie, na których wypadnie pracować, a może i walczyć. Uczyła się też w warsztatach - rzemiosła. Uprawiała warzywa i kwiaty na działkach, no bo gdyby trafić na zesłanie...?

W XIX wieku wszystkie społeczeństwa Europy dzięki postępom higieny mnożyły się liczebnie tak szybko jak dawniej rosło zaludnienie Anglii, Francji i Hiszpanii. Rozrodczość w Polsce też biła rekordy. W środowiskach inteligencji i ziemiaństwa obowiązkiem patriotycznym stało się, wzorem pań z dobrych domów XVIII wieku, przysparzać krajowi nowych Polaków. Jednakże lud miejski Kongresówki i Galicji umierał w liczbach ponad średnie statystyk, w miastach sama tylko zanieczyszczona woda ze studni miejskich, płynąca drewnianymi, przegniłymi rurami wodociągów, roznosiła zabójcze choroby. Lud wiejski przynajmniej wodę pił czystszą, studzienną, ale chorował nie mniej. Przyszłość chłopów nie obchodziła ziemiaństwa ani w byłym Królestwie, ani w Galicji, czuło się zubożone ich uwłaszczeniem. Niczego nie rozumiało. Nawet, jak wiemy, znaczenia ludowej oświaty. O wzorach Wielkopolski nie wiedziało nic. Kraszewski swoimi powieściami wytykał ziemiaństwu bezmyślność i egoizm, teraz Sienkiewicz dramatycznymi nowelami ukazywał niedolę chłopa. Tylko dość nieliczni młodzi ludzie z dworów podejmowali wezwania Promyka. I tak dobrze... Nie dziwota, że z samych ziem byłej Kongresówki przed pierwszą wojną światową udało się do Ameryki, czyli do Stanów Zjednoczonych i do Brazylii, ponad milion chłopów polskich. Analfabetów. Jak inny plebs europejski - podróżowali w koszmarnych warunkach, stłoczeni pod pokładami statków, oszukiwani przez agentów emigracyjnych. Za oceanem czekała ich ciężka harówka w przemyśle Ameryki lub w puszczach Brazylii. Będą budowali dobrobyt innych, z ich ciemnoty będą kpiły w XX wieku amerykańskie złośliwe „Polack jokes", dowcipy, jakie Szwedzi opowiadali niegdyś o Norwegach.

W zaborze pruskim funkcjonowało wówczas tysiąc biblioteczek Towarzystwa Czytelni Ludowych tudzież dalszy tysiąc biblioteczek innych organizacji i stowarzyszeń: kółek rolniczych, „towarzystw przemysłowych", grupujących rzemieślników, towarzystw śpiewaczych, oddziałów towarzystwa gimnastycznego „Sokół", kół gospodyń wiejskich i stowarzyszeń robotniczych. W byłym Królestwie Polskim, teraz - „Priwislinskim Kraju", rozkwitały interesy finansowe, przemysłowe i handlowe, ekspansja kierowała wyobraźnię na wschód, polską elitę zajmowała Rosja. Ale rośli też młodzieńcy wybitnych umysłów – spoza dworów, spoza świata interesów, zagubieni w tej obcej im rzeczywistości, nie umiejący znaleźć swego miejsca. Spośród urodzonych w odstępie dwóch lat 1876-1878 trzech utalentowanych Brzozowskich (w tym dwóch synów Karola Brzozowskiego, owego inżyniera, poety i strzelca, tureckiego pioniera), jeden, poeta, skończył w 1901 r. samobójstwem wobec bezsensu istnienia, drugi, też poeta, pisał i debiutował – po francusku, by na blisko 40 lat opuścić kraj... Trzeci, jeden z najciekawszych umysłów polskich przełomu XIX i XX wieku, Stanisław, z innej rodziny Brzozowskich, poznawał wielki świat myśli poprzez literaturę i tłumaczenia – rosyjskie. Swoją własną, ciekawą powieść o rewolucyjnej konspiracji, „Płomienie", osnuje na tle – rosyjskim; bez Waryńskiego. Wbrew historykom literatury nie on sam tylko. Wielki pisarz, Stefan Żeromski, 12 lat starszy od pokolenia tych trzech Brzozowskich, pisarz niepodległości, notował, że w latach jego młodości kto uchodził za mądrego, był - rusofilem; „rusofilizm we wszystkim - nawet w religii - uchodził w kołach tej młodzieży za synonim postępowości, krytycyzmu, tężyzny"...

Żeromski znał i w pełni doceniał dzieło Promyka. Nie podziwiali jednak tego dzieła w byłym Królestwie duchowni młodszego pokolenia. Ich poprzednicy uratowali wieś polską od zagłady alkoholizmem, uczyli pięknej polszczyzny, ci nowi byli oświacie wręcz niechętni. Tak samo na probostwach emigracji polskiej w Ameryce tępili ambicje chłopców, chcących dalej się uczyć w amerykańskich szkołach – bo wtedy opuszczą swoją polską parafię. Sam zetknąłem się w USA z tym kilkadziesiąt lat później! W byłym Królestwie nie chroniło już podziemnej polskiej oświaty polskie duchowieństwo. Całkiem inaczej niż w Wielkopolsce...

Polska tajna oświata nie poddała się jednak. Promyk miał uczennice i uczniów, miał niezmordowanych naśladowców. O ich działalności w byłym Królestwie Polskim dowiedzieliśmy się wszystkiego, czy też - prawie wszystkiego, dopiero po upadku ZSRR. Otworzyli wolni już Rosjanie archiwa z epoki carów. Tomy dzienników szpicli Ochrany tysiącami stron odsłoniły skalę polskiej podziemnej oświaty. Późniejsze pamiętniki i wspomnienia pisali jej bohaterowie tak, by nie posądzono ich o samochwalstwo. Doceniła w pełni ich zasługi - tajna policja carska.

Niektórych konspiracji oświatowych nie odkryła nawet Ochrana. Nigdy nie rozszyfrowała, co robiła spokojna, przykładna żona pewnego inżyniera Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Cecylia Śniegocka od roku 1894 prowadziła zajęcia bezbłędnie ukrywanego Towarzystwa Tajnego Nauczania. Jej „Bosy Uniwersytet" w ciągu lat uczył systematycznie dwadzieścia tysięcy dzieci! Pani Śniegocka ma swą ulicę w Warszawie, ale w naszych nowych encyklopediach nie ma jej, ani innej pionierki, Teodory Mączkowskiej. Feministki ich nie czczą. Ani legendarnej „pani Stefanii".

Przyszła laureatka nagrody Nobla, panna Marynia Skłodowska, po skończeniu pensji wyższe wykształcenie odebrała w Warszawie końca lat osiemdziesiątych XIX wieku na tajnym żeńskim „Uniwersytecie Latającym". Odbywał on zajęcia w często zmienianych dla niepoznaki prywatnych mieszkaniach, Ochrana, jeśli nakryła jeden wykład, nie mogła

ustalić, gdzie odbędzie się następny… Oberpolicmajster Warszawy organizatorkę uczelni widział w Stefanii Sempołowskiej, młodszej akurat o dwa lata od zaprzyjaźnionej z nią panny Skłodowskiej. „Pani Stefania" koordynowała zajęcia co do rozkładu adresów i przyjmowała zapisy. Ochrana wysoko ją po swojemu ceniła: aresztowano ją raz w 1899 r., potem w 1902 r. i wydalono poza teren zaboru, siedziała znowu kilka miesięcy w roku 1907, wychodzącą z więzienia witały tłumy zwolenników. Przed I wojną światową moja własna matka, wtedy - uczennica, poznała legendarną już, bliską czterdziestki rudowłosą piękność o przepastnych oczach, czego nawet zdjęcie w encyklopedii nie zdołało zamazać. Posągowo zgrabną figurę uwydatniał jeszcze obcisły, fin-de-siecle'owy strój. Wśród swoich dziesiątków zatrudnień „pani Stefania" prowadziła i wykłady dla robotników - tłumnie zbiegali się słuchać tej wyjątkowej kobiety. Miała trudności z wymową głoski „r" i - co też wiem od mojej matki - mówiła „łówna płaca za łówną płacę". Nikt na sali tego nie zauważał, nikogo to nie śmieszyło…

Nigdy nie marnowała czasu – w Polsce już wolnej opracuje kartę praw dziecka. Pisała pięknym, prostym językiem. Dla młodzieży - opowiadanie o Promyku, „wielkim nauczycielu", i książkę o wyprawie, ratującej w Arktyce wielkich polarników. Gdyby mogła, sama by wzięła w niej udział - co powiedziała moim ciotkom, swoim uczennicom, młodszym o 21 lat, przyszłym nauczycielkom. Ukształtowała je swoim wzorem - jak ona, dopełniając swego nauczycielskiego powołania, też nigdy nie wyszły za mąż. Był mężczyzna, z którym się piękna pani Stefania związała. Nie wyszła zań. Czy któraś z moich ciotek kochała kogoś, nigdy-śmy się nie dowiedzieli. Starsza podczas okupacji kierowała jedenastoma podziemnymi szkołami. Kochała je, to pewne. Czy wedle postawy „pani Stefanii" i jej wyboru losu modelował Żeromski postać inteligenta samotnika, głównego bohatera swej powieści „Ludzie bezdomni"? „Pan Stefan", jak się mówiło o Żeromskim, znał „panią Stefanię". Rezygnuje ten jego bohater z osobistego szczęścia na rzecz działań dla dobra innych. Temu swoistemu poczuciu obowiązku przypisuje się heroizm. Dla tych moich ciotek „Ludzie bezdomni" byli najważniejszą lekturą ich życia, ale nauczycielstwo, powtórzę, było ich powołaniem. Za heroiny się nie uważały. Jak „pani Stefania". Jak panie Cecylia i Teodora…

Niezwykłe to wszystko były panie. Poza historią.

38. JAKŻE RÓŻNY FIN DE SIECLE...

Któż z nas wie, że Alaska do 1867 r. nie była wcale amerykańska? I co to ma wspólnego z Polakami? Odkrył Alaskę w 1741 r. Vitus Jonassen Bering, ten od cieśniny, duński dowódca floty rosyjskiej na Pacyfiku. W 1784 r. Rosjanie założyli tam pierwszą kolonię, a do 1863 r. miała monopol na tamtejszy handel futrami Alaski rosyjska Kompania Rosyjsko-Amerykańska. Kiedy Anglia i Stany zaczęły aspirować do tego terytorium i handlu, car Aleksander II w tymże roku 1867, żeby się pozbyć kłopotów, sprzedał Alaskę za 7,2 mln dolarów Stanom Zjednoczonym i pierwszym amerykańskim gubernatorem Alaski został polski inżynier, Włodzimierz Bonawentura Krzyżanowski - dla Amerykanów „Kszydż". Skąd tam Polak? Budował koleje na Dzikim Zachodzie. W wojnie „secesyjnej", przeciw niewolnictwu w stanach Południa, utworzył z polskim kolegą 58 pułk piechoty nowojorskiej, „Legion Polski" – w finale wojny doszedł w wojskach Unii, stanów Północy, rangi generała brygady. Generał Kszydż objął rządy nad Alaską.

Inny polski inżynier, Ernest Malinowski, dał się wciągnąć w plan... zrobienia z Peru nowego centrum cywilizacji. We francuskim Korpusie Dróg i Mostów czy też Korpusie Górnictwa pracować mogli tylko inżynierowie Francuzi; Polacy nawet po francuskich „szkołach specjalnych" mogli jedynie kierować robotami - i pracowało ich tak dziesiątki. W Turcji – już samodzielnie. To Malinowskiemu nie wystarczało. Nic dziwnego, że z początkiem lat pięćdziesiątych XIX wieku przyjął ofertę wysłanników rządu Peru. Był to kraj dla Europy zupełnie egzotyczny, ale bogaty swoim złożami guana, odchodów ptasich, służących jako doskonały nawóz. I Polak przeniósł się tam. Jego losy udało mi się, razem z moim dawnym przyjacielem, Bolesławem Orłowskim, prześledzić. Malinowski, człowiek wielkiej wyobraźni, zaprzyjaźnił się właśnie w Limie z młodszym o kilkanaście lat, niezwykłym politykiem, Manuelem Pardo. To Pardo marzył, by uczynić Peru jednym z nowych centrów cywilizacji światowej! Sam kraj nadawał się do legendy – dawne mocarstwo Inków interesowało nie tylko archeologów, Hiszpanie zaś nie wymordowali tubylców w swym podboju i nowa elita kraju pochodziła z małżeństw zdobywców z córkami inkaskiej arystokracji. Przyszłość zapowiadała się fascynująca: płodne wyżyny interioru za Andami obiecywały nie mniejsze bogactwa niż peruwiańskie wybrzeże Pacyfiku z guanem, oddzielały je tylko – Andy. Pojawił się szczęśliwie jankeski „contractor", przedsiębiorca, Henry Meiggs. Jankesi też nie znali granic wyobraźni, przemówiła do Meiggsa fantastyczna idea Malinowskiego, by wybrzeża Peru połączyć z interiorem koleją przez Andy. Dzięki Meiggsowi Ernest Malinowski zaprojektował i w latach 70-tych XIX wieku zbudował nieprawdopodobną, słynną kolej transandyjską. Ta kolej „złamała grzbiet Andów" na poziomie 4760 m powyżej morza i miała otworzyć Peru drogę do owej światowej pozycji.

Malinowski ściągnął też z Europy młodszych kolegów - Edward Habich z paroma innymi polskimi fachowcami założyli w Limie, stolicy Peru, pierwszą politechnikę Ameryki Południowej. Przyszłość Peru złamało jednak Chile, ówczesne „Prusy Ameryki". Inwazją w wojnie o saletrę peruwiańską, dziś - „chilijską", zajęło Limę i unicestwiło ambicje Peru. Trzydziestoparoletni Pardo zginął, zamordowany. Malinowski musiał na jakiś czas ujść do Ekwadoru, ale politechnika Habicha, Klugera i innych Polaków pracowała zgodnie z polskim doświadczeniem także w konspiracji. Kolei transandyjskiej nie zniszczono, a zasługi Habicha i kolegów Lima czci do dzisiaj, dostałem peruwiańską historię narodzin tej politechniki...

Nie dotarł za to do naszej pamięci wielki badacz polarny, autor wybornych książek o Arktyce, który przewędrował całą amerykańską północ. To on wyjaśnił w 1880 r. tragedię Johna Franklina, jednego z przyjaciół naszego Pawła Strzeleckiego. Franklin, Anglik, wyruszył był w 1845 r. dwoma statkami w cieśninę Baffina, by opłynąć Amerykę od północy, aż do cieśniny Beringa - i ślad po tych statkach zaginął. Po latach dopiero znalazł to, co po nich zostało, Fryderyk Chwałka (dla Amerykanów – Schwatka, czytaj Szuatka), amerykański Polak, urodzony w 1849 r. już w USA. Jako Polak przypominał, że taki kraj jak Polska istnieje...

W prasie francuskiej lat osiemdziesiątych XIX wieku spotkałem szczególne zdjęcia - oto były agent dyplomatyczny księcia Czartoryskiego w Turcji, Tadeusz Oksza-Orzechowski, pierwotnie lekarz, obrócił się w przedsiębiorcę i kładł na dnie Atlantyku kabel telegraficzny od hiszpańskiego Kadyksu do Przylądka Dobrej Nadziei, do południowego skraju Afryki! Także - z Francji do Ameryki Południowej, do Cayenne w Gujanie!

W inżynierii można było rywalizować z największymi. Inny wybitny polski inżynier, Stanisław Janicki, ten, który na długim odcinku budowy Kanału Sueskiego prowadził przez pięć lat roboty u boku legendarnego Ferdynanda Lessepsa, budował później nowy port w Rijece nad Adriatykiem, wtedy - austriackim Fiume. Trzeba było naprawdę wielkiego nazwiska w sferach fachowych, by dostać takie zamówienie i kierować tak ogromnymi robotami.

Potem przyszedł – fin de siecle. Ten okres co nie oznaczał jedynie końca stulecia. Kojarzy się on z wdziękiem i subtelnością, same słowa fin de siecle brzmią niemal filuternie. Historia przedłużyła zmierzch XIX wieku kilkunastoma latami pokoju aż po pierwszą wojnę światową. Dała pokój nie wszystkim. Końcową fazę polskiego fin de siecle'u zdominują rewolwery i szubienice, z polskimi trupami, ofiarami walk mało sensownych... Ale dzieje Polski lat 1880 – 1914 rozkwitały i przygodami postaci jedna w drugą wręcz niezwykłych, w istnej erupcji talentów, ambicji i rozmachu. Kraj, nie istniejący na mapie Europy, wniósł w cywilizację i kulturę świata więcej, niż kraje przez cały ten czas niepodległe i w swym rozwoju nie ograniczone - choćby Hiszpania, kiedyś ojczyzna geniuszy Cervantesa, Calderona i Lope de Vegi.

Zaczniemy od przygód. Mój nieżyjący już przyjaciel, wielki reporter, Olgierd Budrewicz, trafił do serca Amazonii, do Manaus. Czytaliśmy u niego: „W środku dżungli równej ćwiartce Europy wznoszono piękne pałace, otwierano luksusowe kasyna gry i domy publiczne. Na ulicach Manaus zabłysło światło elektryczne wcześniej niż w Londynie. Kosztem pięciu milionów dolarów wybudowano jedną z najwspanialszych oper świata, przyjeżdżali tu Sarah Bernhardt, Caruso, całe rewie i balety z Europy i Stanów. W Manaus wypijano więcej szampana niż w Paryżu. Królowie gumy, niegdyś lewantyńscy kupcy lub miejscowi Metysi, sprowadzali najdroższe kobiety, najświetniejszych jubilerów, najznakomitszych twórców mody".

Ojcem tego nieprawdopodobnego miasta, królem „gorączki kauczukowej", okazał się polski człowiek interesu, Bronisław Rymkiewicz. W różnych źródłach znajdowałem różne, niekiedy przebogate informacje o nim, aż list czytelniczki, pani Jadwigi Sadownik, skierował mnie do wspomnień... Wojciecha Kossaka. Byli w młodości przyjaciółmi, kiedy Kossak studiował w Monachium na Akademii Sztuk Pięknych, a Rymkiewicz na politechnice. Spotkali się po latach: Rymkiewicz sfinansował wystawę Kossaka w Londynie. I oto czytałem – u Kossaka:

„Kariera Rymkiewicza była nadzwyczajna. Zajęty przy budowie Kanału Panamskiego jako inżynier, przeszedłszy żółtą febrę i straciwszy zdrowie w tym strasznym klimacie, zapoznał się z nabierającą już wtedy wielkiego znaczenia kwestią kauczuku, którego dostarczały dziewicze lasy Brazylii nad Amazonką. Handel ów był sprawą bardzo skomplikowaną, bo trzeba było w głąb tej puszczy dzikiej się zapuszczać, i tam od krajowców ten kauczuk skupywać. Rymkiewicz ze swoją inicjatywą powołał do życia potężne towarzystwo i założył w odległości 1700 kilometrów od ujścia Amazonki do Oceanu port, spławny jeszcze w tej odległości dla największych okrętów tej olbrzymiej rzeki, Manaus-Harbour. Powołany do życia przez Rymkiewicza jest dziś centrum handlu kauczukiem, który największe okręty transatlantyckie ładują wprost w tym ogromnym dzisiaj porcie. Zrobił przy tym sam ogromny majątek, a należał do ludzi lubiących czynić innym dobrze”.

Listy z Londynu do rodziny pisał Kossak na papierze firmowym przyjaciela, oznaczonym „Rymkiewicz and Co”, z trzema adresami ekspozytur firmy – w Londynie, w Rio de Janeiro i w Manaus… Nie opowiedział już Rymkiewicz przyjacielowi, że w Brazylii budował ze swoim przyjacielem, Brodowskim, kolej łączącą Sao Paulo z portem Santos nad Oceanem, pozwalającą na eksport paulistańskich ziaren kawy, i zapewne, czego nie mogłem sprawdzić, kolej do Rio de Janeiro… Ani, że budował pierwsze koleje na Porto Rico. Nie dożył wolnej Polski. Menedżerowie nie żyją długo.

Ameryce zostanie po Modrzejewskiej, „Modjeskiej”, syn, Rudolf, dla Amerykanów Ralph Modjeski, inżynier nieprzeciętnych talentów technicznych. Zasłynął w świecie mostem wiszącym nad Delaware w Filadelfii, mostem o największej w pierwszej połowie XX wieku rozpiętości przęsła, ponad pół kilometra, konstrukcją wręcz nieprawdopodobną!

O Gabrielu Narutowiczu, pierwszym prezydencie Polski Niepodległej, przeciętnie wykształcony Polak wie, że zabił go fanatyczny ogłupiały endek – zabił, ponieważ wybór Narutowicza poparli w sejmie także posłowie mniejszości narodowych… Ale mało kto wie, że był to najwybitniejszy europejski budowniczy zapór wodnych w początku XX stulecia!

W tej galerii wielkości nie zabrakło i uczonych, zapisanych w historii nauki. Oto kwas azotowy z powietrza pierwszy wytwarzał, i to na skalę przemysłową, wybitny polski chemik, Ignacy Mościcki, menedżer i szwajcarski przedsiębiorca, późniejszy prezydent Polski z ręki Piłsudskiego, nie mniej zasłużony dla rozwoju przemysłu i techniki w ojczyźnie (jako młodzieniec wybrał studia chemiczne, bo zawstydziły go nie wybuchające bomby polskich zamachowców). Jan Czochralski, chłopiec z Kcyni, obiecał rodzicom, że wróci, kiedy będzie sławny. Wyrósł na genialnego metalurga, pioniera „wyciągania” monokryształów, technologii do dziś niezbędnej, by uzyskać monokryształy krzemu i germanu dla elektroniki. Jego nazwisko prace naukowe całego świata piszą bez błędu w zapisie „cz”… W kraju po powrocie doczekał się, niestety, głównie zawiści i przykrości. Czego warszawskiej Politechnice lat po 1945 wieku nie bardzo umiem zapomnieć.

Inny Malinowski, nie kuzyn Ernesta, Bronisław, krakowianin, prowadził badania nad tubylcami wysp Pacyfiku. Przyniosły mu one w historii etnografii i antropologii społecznej pozycję światową, nieprzemijającą, jako twórcy - w pierwszej ćwierci XX wieku - funkcjonalizmu. Wyjaśniała ta szkoła fakty społeczne poprzez funkcję, którą spełniają w strukturze danej kultury jako systemie. Jego dzieła nie przebrzmiały, a zawierają mnóstwo szczegółów z realiów pierwotnego życia społecznego tych wysp, szczegółów teraz wyjątkowo zachowanych jako materiały historyczne, bo takiego świata jak ten, który badał

Malinowski, nie ma już nigdzie… W czasie drugiej wojny światowej Malinowski, kierując Instytutem Polskim w Nowym Jorku, przypominał amerykańskiej elicie politycznej i kulturalnej o sprawie polskiej.

Wreszcie – ta najsławniejsza: skromna i dzielna studentka tajnego „Latającego Uniwersytetu" z Warszawy, panna Maria Skłodowska. Ukończyła chemię w Paryżu i będzie jako Maria Skłodowska-Curie pierwszą kobietą, którą uwieńczy nagroda Nobla za osiągnięcia naukowe, i to dwukrotnie. Od niej, jej męża i od Antoine'a Becquerela, laureatów pierwszej za to nagrody Nobla z 1903 r., zaczyna się historia promieniotwórczości. Nie było (na razie) większej uczonej w historii nauki, prochy jej i Piotra Curie złożono we francuskim Panteonie - Francja pogodziła się z tym, że pani Curie nie była Francuzką. I żadna sufrażystka, domagająca się prawa głosu dla kobiet, nie zrobiła dla sprawy kobiet więcej niż ona, niezależnej osobowości i wielkiej odporności nerwowej, zdolna stawić czoła wściekłej zawiści i głupocie. Współcześni mogli znieść sukcesy mężczyzn, nie mogli ich darować kobiecie. Tym bardziej - Polce, która na dobitek miała odwagę kochać, kogo ona chciała.

Na liście najświetniejszych pisarzy w historii literatury światowej, takich jak Montaigne, Proust, Mann, widnieje i Joseph Conrad. Młody chłopak, Józef Konrad Korzeniowski, jako Joseph Conrad został marynarzem. Z latami osiągnął najwyższą godność, jaka może ozdobić szanującego się człowieka - został kapitanem statku w brytyjskiej marynarce handlowej. Po przebyciu tysięcy mil morskich osiadł na lądzie i zaczął – pisać. Po angielsku. Okazał się – geniuszem języka i myśli. Wniósł do literatury, nie tylko angielskiej, niepowtarzalny styl, niepowtarzalnego ducha i – niepowtarzalne problemy…

Floriana Znanieckiego uznaje się jednym z największych socjologów historii - wielki reformator i nowator, zmienił wyobraźnię socjologii: chciał, by socjolog zajął wobec badanej rzeczywistości pozycję uczestnika, nie obserwatora. I wprowadził Znaniecki do socjologii jako źródło wiedzy - dokumenty osobiste, co miało znaczenie przełomowe. Zainicjował gromadzenie pamiętników ludowych jako źródła wiedzy o dzisiejszych społeczeństwach i zaczynił konkursami ruch pamiętnikarski w kręgu ludu. Dzięki niemu też do literatury naukowej przedostali się lekceważeni, by nie powiedzieć – wykpiwani, amerykańscy „Polacks". Dziś są drugą po amerykańskich Żydach najzamożniejszą mniejszością Stanów Zjednoczonych, ale jako wczesna imigracja, obcy amerykańskiej cywilizacji, niezrozumiani, nieznani, budzili niechęć i prowokowali poniżające dowcipy. Wielkie, klasyczne nad nimi badania socjologiczne, nad chłopem polskim w Europie i Ameryce, prowadzili w pierwszej połowie XX wieku właśnie Znaniecki ze znakomitym, starszym kolegą z Harvardu, współtwórcą amerykańskiej psychologii społecznej, Williamem Thomasem. Ci polscy chłopi okazali się pasjonującym tematem! Lud wszedł do bibliotek uczonych.

Wszyscy oni na różny sposób wzbogacali historię Polski. Odgrywali ważne, czasem bardzo ważne role poza swymi specjalnościami. W 1901 roku w miasteczku Września pruski nauczyciel bił dzieci polskie, bo nie chciały w szkole uczyć się religii po niemiecku. Skompromitowało to Prusy nawet… w oczach Niemców z zachodu Rzeszy. Zaprotestował głośny już w Europie i świecie autor „Quo vadis", Henryk Sienkiewicz, europejska zaś opinia publiczna skłonna była wierzyć jemu, nie rządowi Prus. Tak samo gdyby nie głos Conrada w połowie pierwszej wojny światowej, premier Anglii, Lloyd George, nie odniósłby się z uwagą do sprawy polskiej, której nie brał serio i której do końca pozostał, skrycie jednak, wrogi. Gdyby nie światowa sława, inteligencja i przede wszystkim dyplomatyczne zdolności Ignacego Paderewskiego, wielkiego pianisty, niepodległość

Polski nie znalazłaby się w roku 1917, z końcem pierwszej wojny światowej, w decydującym programie pokojowym prezydenta Wilsona, i potem w jego słynnym orędziu do Kongresu USA... Co może nie mniej ważne, wszyscy oni oddziaływali na wyobraźnię najenergiczniejszych rodaków w kraju. Przekonywali swymi doświadczeniami, kto je znał, że wszystko jest możliwe.

Nadal były trzy Polski. W Wielkopolsce, gdzie państwo pruskie przestrzegało jednak swego prawa, a pilnowali go przyzwoici prawnicy niemieccy, przeciwni takim ekscesom jak we Wrześni, Polacy opanowali sztukę skutecznej samoobrony - w granicach praworządności. Niemniej z czasem Prusy, chowu Bismarcka, już samo prawo jęły kierować przeciw Polakom. Zakazano... budowy domów na własnym gruncie bez zgody władz. Wnioski polskie o tę zgodę odrzucano. Michał Drzymała, gospodarz ze wsi Podgradowice (dziś - Drzymałowo), kiedy mu odmówiono prawa budowy domu na własnej ziemi, zamieszkał w szopie. Ukarano go aresztem i grzywnami. Kupił więc - stary wóz cyrkowy. Wieść o tym rozeszła się po kraju i Wielkopolanie prawie z dnia na dzień złożyli się na wóz nowy, z wygodami! Musiał go jednak Drzymała co dzień przesuwać pod okiem żandarma - gdyż nowe przepisy nie pozwalały wozom cygańskim stać w jednym miejscu dłużej niż dobę! Mimo to przegrały w końcu Prusy, nie wytrzymując śmiechu Europy. Wygrał Drzymała.

Była to już przedostatnia faza tej szczególnej wojny. Prusy, które rozgromiły Austrię i samą Francję, poniosły w konfrontacji z polskimi plebejuszami zdumiewającą porażkę przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Kiedy ukazała się książka Bernharda, mimowolny komplement dla polskiej strony, Prusy obawiały się już... ekspansji żywiołu polskiego i jego rozrodczości. Jak ostrzegały prognozy, Polacy mieli zasiedlić wkrótce aż Berlin i okolice!

Księdza Wawrzyniaka zaproszono do Warszawy. Przyjechał, opowiedział, co Wielkopolska potrafiła zrobić. Duchowieństwo byłego Królestwa nie zareagowało. Nie potrafiło się odnaleźć, choć, a może właśnie dlatego, że coraz więcej księży pochodziło ze wsi... Wystarczało im to, do czego doszli na swojej drodze życiowej. Jeden jedyny w zaborze rosyjskim spożytkował wielkopolskie wzory pewien młody proboszcz. Ks. Wacław Bliziński potrafił porozumieć się ze swoimi wiernymi, na ogół wtedy niepiśmiennymi chłopami, i w ciągu 10 lat zrobił z dość dużo pijącej parafii Lisków koło Kalisza istną, jak mówiono, „małą Amerykę". Zamożną, czytającą, z iście wielkopolskim zmysłem organizacji. Założyli później Liskowianie Szkołę Rolniczą, przyjeżdżali do niej chłopi z całej Polski, uczyć się od Liskowa. Niestety, reszty polskiego duchowieństwa Kongresówki to nie zainteresowało, Blizińskiego nazywało ironicznie *agricola cum potestate missam celebrandi*, „rolnikiem z prawem odprawiania mszy".

Maleńkie byłe Królestwo Kongresowe podbijało swą ekspansją gospodarczą całe imperium carów. Polscy ludzie interesu wspierali inicjatywy oświatowe. Nie tylko Kronenberg, Bloch, Wawelberg i Rotwand. Swoim testamentem w 1899 r. 74-letni wówczas, znany już nam Wilhelm Rau, wielki przemysłowiec, filantrop, zapisał 300 tys. rubli warszawskiemu Towarzystwu Higienicznemu na fundację ogrodów „jordanowskich". Towarzystwo już wcześniej za jego poparciem i dzięki jego pieniądzom założyło - pierwsze 14 warszawskich ogrodów „jordanowskich", z placami gier i zabaw dla dzieci. Nazwano je - ogrodami Raua... Warszawa też zapomniała o nich.

Zapomniała nie przypadkiem: historiografię interesowała głównie pewna szczególna grupa młodzieży warszawskiej. Niecierpliwi źle się czuli w aurze tak dla nich przyziemnego pozytywizmu. Ostatni rewolucjoniści, których powieszono w 1886 r., symbolizowali może

fantazmaty, ale szlachetne i romantyczne. Jakże nudne było przy nich nauczanie alfabetu! Zawiązał się więc w 1888 roku „Drugi" Proletariat, zwany „Małym", Socjalno-Rewolucyjna Partia „Proletariat". Był to spisek raczej, niż partia, a i sam dzielił się razy parę, z konkurującymi przywódcami, jak to w ruchu rewolucyjnym. Jedno skrzydło dokonało paru nieudanych i udanych zamachów, inni odrzucili terror. W końcu ten „Proletariat" rozpadł się w 1893 r. na twórców PPS, Polskiej Partii Socjalistycznej, i SDKPiL, Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy – trochę z przyczyn zgoła nie politycznych. Śliczna Marysia Jankowska, pani z zamożnego domu, rzuciwszy dla rewolucji męża, dom i dwoje dzieci, przez lata ze swych środków utrzymywała cały ten ruch. Kiedy przyszło wybierać, wybrała PPS i socjalistę, Stasia Mendelsona, a nie komunizującego jego rywala, Erazma Kobylańskiego, rozwścieczonego jej flirtami... PPS postulatem walki o niepodległość skupiała młodzież inteligencką i robotniczą, w części - polską, w części - z kręgu polskich Żydów. SDKPiL odrzucała ideę niepodległości. Jedno i drugie wszelako nijak się nie miało do zasięgu „Zetu", krzyżującego romantyzm z pozytywizmem.

„Zet"... Tu wraca tajemniczy konspirator Zygmunt Miłkowski. Z życiorysem też, jak wspominałem, do powieści awanturniczej – życiorysem jednego z ojców naszej współczesności! Mógłby sam taką powieść napisać, bo to przecież Teodor Tomasz Jeż, pisarz doprawdy znakomity, tyle że dziś wpół zapomniany. Doskonały organizator i konspirator, nigdy nie porzucił sprawy niepodległości. Nie podobał się ani jednej, ani drugiej stronie polskiej sceny politycznej. Ci rozsądni, a konserwatywni, mieli mu za złe niewczesny romantyzm polityczny, to, że podtrzymywał propagandę na rzecz przyszłego powstania, czyli nowych strat najlepszej młodzieży. Ci marzący o rewolucji światowej krytykowali jego, ich zdaniem, nacjonalizm i tradycjonalizm.

W roku 1886, wkrótce po ostatniej egzekucji bojowca „Pierwszego Proletariatu", obmyślił Miłkowski „Zet", tajny Związek Młodzieży Polskiej. Konspiracje owych czasów lubowały się w skrótach swych nazw, dzięki tej modzie pojawią się później i „fracy", czyli Frakcja Rewolucyjna PPSu, „endecja" – narodowa demokracja, „becja" na określenie Organizacji Bojowej „fraków"... Idee i statut przywiózł od Miłkowskiego do kraju z Genewy Zygmunt Balicki, wtedy jeszcze socjalista. Zet miał kontynuować doświadczenia Filomatów, rozwijać samokształceniem wiedzę, charaktery młodzieży i - wolę walki o niepodległość. Wedle statutu, pióra Miłkowskiego, członkowie Zetu powinni „wyrobić się na wolnych obywateli wolnego państwa". Program to był może nie porywający, ale działał swą mądrością, otwarty dla wszystkich. Nic dziwnego, że to Zet uformuje niemal całą elitę życia umysłowego przyszłej Polski niepodległej, nie tylko elitę fachowców. Wpłynie na pierwszą połowę polskiego wieku XX nieporównywalnie bardziej niż owe pierwsze ugrupowania polityczne, marginesowe, o towarzyskim prawie charakterze i dorabianych legendach. Znaczyły coś naprawdę wyłącznie w późniejszej literaturze politycznej.

Zetowcami za młodu byli wielki pisarz Stefan Żeromski, wielki chemik Ignacy Mościcki, przyszły prezydent Rzeczypospolitej, należał do Zetu Eugeniusz Kwiatkowski, legendarny mistrz gospodarki, i Florian Znaniecki, ów światowej miary socjolog. Także - twórcy harcerstwa, małżeństwo Andrzej i Olga Małkowscy, plus cała formacja nauczycieli, którzy po roku 1918 będą wychowywali młodzież polską. A konspirować, trzymać języki za zębami, umiał Zet idealnie - mój starszy przyjaciel, nieżyjący już Bolesław Wierzbiański, naczelny nowojorskiego „Nowego Dziennika", został w latach 30-tych XX wieku członkiem władz Zetu, zwanych „centralizacją" („ciotką" w obowiązkowym skrócie), i dopiero wtedy się dowiedział, że członkiem tych władz jest również jego rodzony starszy brat...

Do wybuchu pierwszej wojny światowej Zet objął setki młodych Polaków, studiujących po wszystkich wyższych uczelniach Europy. Rozszerzył się zaś i na uczniów szkolnych. W szkołach zaboru pruskiego kółka tajnego Towarzystwa im. Tomasza Zana, słynne TTZety, poza językiem polskim i historią uczyły jak Zet - patriotyzmu, poczucia obowiązku i zmysłu pomocy wzajemnej. Dzięki kontaktom z nimi ruszyła i za kordonem, w Królestwie, tajemnicza organizacja szkolna „Czerwona Róża", o której niewiele wiem, choć był w niej mój ojciec, z niej urodziła się organizacja „X", potem nazwana „Przyszłością", w skrócie - Pet, pod patronatem starszych kolegów z Zetu. Konspirowała tak młodzież szkolna. Z imponującą sprawnością i dyscypliną, w zaborze pruskim nigdy niczego policja nie wykryła – mimo donosów od pruskich nauczycieli. Szefowie Ochrany powiadali z przekąsem, że Polacy uczą się nie mówić, zanim nauczą się mówić.

Organizacje „Sokoła" i pierwsze organizacje skautów, nazwanych w Polsce wedle pomysłu Małkowskiego „harcerzami", szkoliły przyszłych... uczestników walk zbrojnych. „Lato leśnych ludzi" Marii Rodziewiczówny opowiadało, jak oswajali się z życiem w lesie; książka, pisana w czasie wojny, pominęła tylko walkę na palcaty, czyli trening do walki na bagnety i broń białą.

Ani Zet, ani Liga Polska, którą w 1887 r. na emigracji, rok później, założył Miłkowski, ani polska później masoneria, nie grupowały nacjonalistów; członkami Zetu byli i Żydzi polscy. To Zetowcy tworzyli potem w kraju ową Ligę Polską. Miała zwalczać ducha ugody z zaborcą, przeciwdziałać jego wpływom, budzić ducha oporu. Część historyków uważa Zet za wylęgarnię Narodowej Demokracji, „endecji", jak ją odpowiednim skrótem nazywano. To prawda o tyle, że wielu późniejszych „narodowych demokratów" wyszło z Zetu, ale też ci z nich, którzy wybrali ugodę z caratem, stracili wpływy i kontakty z Zetem. Po roku 1907 Zet zerwał z nimi bezpowrotnie. I to Zet uformuje Piłsudskiemu zwolenników, gotowych do walki zbrojnej o niepodległość.

Zabrzmi to megalomanią narodową, ale taki tryb odbudowy Polski, przygotowania do niepodległości, to pouczająca lekcja dla narodów, starających się odzyskać niepodległość, a i lekcja dla nas - w Polsce już niepodległej, do której nie staraliśmy się przygotować... Mam niejakie wrażenie, że tamte pokolenia nawet w konspiracji umiały zrobić i robiły więcej niż my dzisiaj, straciwszy wiedzę starszych pokoleń. Warto zaś przyjrzeć się i pouczającemu doświadczeniu, co się Zetowcom nie udawało w Polsce już niepodległej – nie udawało się nie z powodu przerostu ambicji, czy roli pieniędzy w ich motywacjach. Nie, broń Boże; nie udawało się, ponieważ do uprawiania gry politycznej, do ewentualnego sprawowania władzy lub uczestniczenia w niej, Zet swych członków nie przygotowywał.

39. Z KIM W JUTRO

Życie polityczne Polski fin de siecle'u zmieniało się dość zasadniczo, powiedzmy otwarcie, nie koniecznie na korzyść przyszłego państwa polskiego, a nawet zarażą Polskę istne choroby polityczne. Spaczą one szlaki rozwoju społeczeństwa – reakcją na mniejszość narodową, od wieków osiadłą w Polsce, pożyteczną i z natury przyjazną. Problem pojawił się w latach osiemdziesiątych XIX stulecia. Napływała wówczas do byłego Królestwa przemilczana do dzisiaj, specyficzna imigracja – Żydzi z Rosji. Carat administracyjnie rugował ich nawet z „cziert osiedłosti", stref osiedlenia, wyznaczonych im na wcielonych do Rosji carskiej terenach dawnej Rzeczypospolitej, głównie - Wielkiego Księstwa Litewskiego. Stąd nazywano ich w Królestwie - „Litwakami". Obracając się w środowiskach rosyjskich, na pół zruszczeni, uważali się za Żydów „rosyjskich" i w sporej części mówili po rosyjsku. Nie wiedzieli nawet, że są wszyscy potomkami Żydów ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej, ziem, które z kolejnymi rozbiorami włączano do państwa carów.

Pierwszych przybyszów nęciło Królestwo możliwościami pracy i handlu. Czy potem biurokracja caratu rzeczywiście odkryła w nich narzędzie rusyfikacji Królestwa, w to, znając późniejszy wrogi stosunek Ochrany do nich, wątpię. Ochrana ich akurat nienawidziła. A do dziś nie wiemy, kto wymyślił antysemityzm Ochrany.

Do tej pory pod presją carskiego ucisku Żydzi polscy i Polacy stopniowo zbliżali się do siebie. Rabin warszawski, Dow Beer Meisels, wprowadził język polski do żydowskich szkół wyznaniowych, sam wygłaszał kazania po polsku; słuchać ich w latach 1860 - 1862 przychodzili i Polacy. Wspólne manifestacje patriotyczne rodziły ducha braterstwa, aż manifestację 8 maja 1861 r. na cmentarzach katolickim i żydowskim w Warszawie zmasakrowali carscy Kozacy. Ofiarami padli zarówno Polacy, jak Żydzi. Kiedy księża katoliccy demonstracyjnie zamykali kościoły, chroniąc je przed kozacką profanacją, rabini równie demonstracyjnie zamknęli synagogi. Wielu młodych Żydów, i to wybitnych jak przyszły wielki polski uczony, Ludwik Gumplowicz, poszło do partyzantki Powstania Styczniowego; rabina Meiselsa carat uwięził i na spory czas wygnał z kraju. Pogrzeb Meiselsa w roku 1870 przekształcił się w wielką manifestację zbratania polsko-żydowskiego, a lud warszawski wziął w niej pełny udział, nasi Żydzi byli wtedy „swoi".

Nowożytny antysemityzm w Europie niespodzianie eksplodował po raz pierwszy w Niemczech i Austrii - z krachem giełdowym roku 1873. Finansjera tych krajów składała się w dziewięciu dziesiątych z Żydów, jedynej tam, jak pisał niemiecki historyk, Werner Sombart, warstwy społecznej, przygotowanej do kapitalizmu – przez wieki wszak chrześcijanom, jak i muzułmanom, nie wolno było udzielać kredytu, czyli pożyczek oprocentowanych. Pieniądze tych kapitalistów żydowskich, szczerych patriotów Prus, budowały potęgę przemysłową Niemiec. I nie oni wzbudzili gorączkę spekulacji w niemieckiej warstwie średniej. Napływało srebro i złoto z kontrybucji od pokonanej Francji, Bismarck w geście lojalności wobec poddanych wpuścił je w rynek, spłacając zaciągnięte u poddanych pożyczki. Przy nadmiarze pieniądza w obrocie grali na giełdzie dosłownie wszyscy, w Berlinie wychodziły specjalne gazety codzienne z notowaniami giełdowymi. Nie jest prawdą, że grą tylko rozdymano finansowe bańki mydlane - sprawdziłem to: kładziono dziesiątki kilometrów torów, kupowano dziesiątki angielskich lokomotyw. Natomiast po dwóch latach skończyły się po prostu zamówienia na nowe tory, lokomotywy i wagony – i wartość akcji spadła na łeb na szyję, przyszedł krach. Najpierw zresztą w Wiedniu, potem dopiero w Berlinie. Oczywiście, fachowcy pieniądza stracili

najmniej. Rozgoryczone mieszczaństwo, wiedeńskie i pruskie, szukało winnych. I wtedy berlińska prasa odkryła, że to „Żydzi ukradli nasze pieniądze”... Oddajmy państwu pruskiemu, że nie poparło tej nagonki, Bismarck uszlachcał wybitnych Żydów.

W Rosji antysemityzm stał się niespodziewanie narzędziem polityki caratu. Dlaczego i jak, nie ustalono do dzisiaj. Straceńców Rosjan z ich przyjaciółmi straceńcami Polakami wiązały głęboko ideowe, ale dość idiotyczne spiski terrorystyczne przeciw Aleksandrowi II, carowi jednak liberalizującemu reżim. Nie było w nich Żydów. Pierwsi młodzi Żydzi trafili dopiero do „Czarnego Pieriedieła”, Czarnego Podziału, zalążka przyszłej „Narodnej Woli”, Woli Ludu, w roku 1879. Śmiertelną bombę w Aleksandra II rzucił 13 marca 1881 Polak, Ignacy Hryniewiecki. Z ujętych spiskowców sześciu skazano na śmierć. Dziewczyny, akurat jedynej pochodzenia żydowskiego, zakochanej w jednym z rewolucjonistów, nie stracono z powodu ciąży. Nikt więc nie kojarzył zamachu z Żydami. Represje potem skierował Petersburg nowego cara, Aleksandra III, przeciw byłemu Królestwu Polskiemu i jego buntownikom. Natomiast utworzona wtedy „Ochrana”, carska policja tajna, jeszcze przed zamachem wpadła na pomysł, by obrócić wszelki gniew ludu i niezadowolenie przeciw Żydom – pierwszą serię pogromów na Rusi wywołano zaraz wczesną wiosną.

W Warszawie za pierwszym razem, w maju 1881 roku, to się nie udało. Po pierwszych ulotkach antyżydowskich biskup Antoni Sotkiewicz listem pasterskim ostrzegł lud warszawski. Udało się sprowokować rozruchy dopiero w Boże Narodzenie, 25 grudnia 1881, ale i wtedy na Rybakach wspólnie bronili zaatakowanych przez poduszczony motłoch Polacy i Żydzi. Rozruchy potępiła cała prasa warszawska, zorganizowała zbiórkę na rzecz ofiar. Helena Modrzejewska, już słynna, oddała na nią cały dochód z występów w Krakowie. Jednakże po tych wydarzeniach udała się na emigrację do Stanów Zjednoczonych pierwsza grupa tysiąca Żydów z Królestwa...

Tej polityki carskiego dworu nikt nie przebadał, albo też ja się nie zetknąłem z żadną jej analizą w tym względzie. W dalszych latach osiemdziesiątych kolejne ustawy carskie wygnały Żydów ze wsi rosyjskiej, wreszcie zamknęły przed nimi Petersburg, Moskwę i inne większe miasta Rosji. Ciągnęli oni teraz do byłego Królestwa dziesiątkami tysięcy, w sumie – ni mniej, ni więcej - koło miliona ludzi!, w „rugach” do dziś nie opisanych. Tu popadali w konflikty z Żydami polskimi. Przeciętnie zamożniejsi, zatrudniali tylko „swoich”, swoje życie religijne i kulturalne zamykali we własnym gronie, a mówili „jidysz”, czyli swoim językiem, pochodnym niemieckiego, i po rosyjsku. Zarówno polscy Żydzi, jak Polacy podejrzewali ich o współpracę z zaborcą. „Litwacy”, jak ich nazwano, starali się, co zrozumiałe, przede wszystkim o dobre stosunki z władzą. Polakom i polskim Żydom pozostali obcy, ich literaturę poznajemy w Polsce dopiero dzisiaj... Na podobnej zasadzie zresztą identyfikowali się z władzą pruską i kulturą niemiecką mówiący jidysz Żydzi wielkopolscy i pomorscy. Kiedy rozwinie się tam dzięki spółkom zarobkowych polski drobny handel, będzie zwalczał konkurencję niemiecką hasłem „swój do swego po swoje” i Żydzi, o ile sami nie weszli do spółek zarobkowych, odbiorą to jako antysemityzm.

W byłym Królestwie Kongresowym prosty lud nie rozróżniał Żydów „swoich” i „obcych”. Jedni i drudzy żyli w światach odrębnych, zamkniętych, o niezrozumiałym języku i kulturze. Rodząca się polska warstwa średnia traktowała natomiast Żydów jako silniejszą, więc groźną konkurencję - umieli oszczędzać, nie pili, żyli skromniej, bogacili się zatem szybciej. Biedotę zaś dzielił nawet - zapach. Nędza i jej brud odpychały swą wonią, ale - nie tą samą, bo Żydzi ratowali zdrowie czosnkiem i cebulą.

W roku 1897 Warszawa po napływie „Litwaków" była już trzecim co do liczby ludności miastem państwa carów, a Łódź - piątym. W pomniejszych polskich miasteczkach, a nawet w Białymstoku, Żydzi stali się większością mieszkańców. Do tej pory Żydzi polscy przy całej osobności byli żywiołem miejscowym, związanym z Polską, zwłaszcza z jej szlachtą, która poprzez nich robiła interesy; teraz w świecie żydowskim liczebnie przeważali ci „obcy", na ogół nie uczący się ani języka polskiego, ani poczucia związku z obcym sobie krajem. Paliwa zatem dla masowego, ludowego antysemityzmu było w Polsce znacznie więcej, niż w krajach języka niemieckiego. Mimo to nie udało się Ochranie rozpętać w Królestwie ekscesów antysemickich na masową skalę, blokował je wpływ duchowieństwa polskiego, wtedy jeszcze w większości szlacheckiego pochodzenia, więc wolnego od niechęci do Żydów. Kiedy w następnych pokoleniach będzie w kręgu duchowieństwa coraz więcej ludzi ze wsi i z warstwy średniej, żywiących urazy wobec żydowskiej konkurencji i żydowskiej „lichwy", sytuacja się zmieni. Kościół zacieśni swe związki z ludem, ale o przyjaźń z Żydami będzie coraz trudniej.

Tajna oświata polska starała się objąć i dzieci żydowskie. Wiązali się z Polakami nie tylko spolonizowani Żydzi polscy, tacy sami patrioci polscy, jak potomkowie napływowych Niemców czy Rosjan. Tym bardziej - inteligenci polscy żydowskiego pochodzenia. Jedni i drudzy dadzą literaturze polskiej, zwłaszcza poezji, polskiej kulturze i życiu politycznemu, jak dali gospodarce i nauce, największe czasem nazwiska. Leśmian i Tuwim pozostaną nieśmiertelni.

W roku 1893 rozpadł się i Proletariat, i - praktycznie - Liga Polska. Polska Partia Socjalistyczna, wtedy założona, najstarsza polska partia polityczna, opowiedziała się za walką o niepodległość i o rewolucję „socjalną". Zgodnie z duchem Zetu. Ale po kilkunastu latach, po rewolucji 1905 roku w imperium carów, po różnych wcześniejszych odstępstwach różnych „najwierniejszych", także PPS rozpadła się na dwie ostro zwalczające się partie, a jeden z pierwotnych założycieli PPS, Stanisław Grabski, odszedł niespodziewanie do Narodowej Demokracji.

„PPS Lewica" wierzyła nadal jedynie w „rewolucję socjalną", która wyzwoli spod wszelkiego ucisku wszystkie ziemie caratu, włącznie z Polską. Związała się z „bolszewikami" Lenina, czyli „większościowcami" w Socjaldemokratycznej Partii Rosji. Ten odłam swą wojskową organizacją, projektu Lenina, zdominował rosyjską socjaldemokrację, czyli rosyjski ruch komunistyczny. PPS Lewica ideę niepodległości Polski w programie partii wręcz potępiała jako wiarołomstwo wobec idei rewolucji. Wzajem „Polska Partia Socjalistyczna Frakcja Rewolucyjna" widziała w PPS Lewicy zdrajców sprawy polskiej. Nie miała nic przeciw „rewolucji socjalnej", była wszak partią socjalistów, ale jej celem głównym była walka o niepodległość. Mylący przymiotnik „Rewolucyjna" w nazwie nie oznaczał, że „Fracy", jak ich skrótowo, zgodnie z obowiązującym obyczajem, ochrzczono, chcą wzorem Wielkiej Rewolucji Francuskiej wyrżnąć niechętnych sobie. „Fracy" po prostu akceptowali środki „rewolucyjne", czyli - w dzisiejszym języku - środki terroru.

Przywodził im Józef Piłsudski, konspirator i - utalentowany publicysta. To on przesądził w dużej mierze o roli PPS, o nim samym zaś - jego dzieciństwo i młodość. Ojciec Piłsudskiego, utalentowany agronom, próbował nowocześnie gospodarować w swoim majątku na zacofanej Wileńszczyźnie. Nie znano tam ubezpieczeń i kiedy pożar strawił Zułów z jego fabryką drożdży i terpentyny, młynem, tartakiem i lasem, mali Piłsudscy w małym wileńskim mieszkanku dowiadywali się potem, co to bieda. Wychowani w tradycjach powstańczych, w szkołach wileńskich dowiadywali się, co to jest niewola

kraju. W gimnazjum obaj uczestniczyli w tajnym kółku samokształceniowym, a „Ziuk" Piłsudski, o rok starszy od Marii Skłodowskiej, o trzy od Sempołowskiej, po maturze zapisał się na medycynę - otwierała drogę do zawodu szlachetnych filantropów.

Z uczelni w Charkowie wyrzucono go już po roku. Wróciwszy do Wilna, 19-letni Ziuk trafił na broszurki socjalistyczne, zaprzyjaźnił się z nielicznymi miejscowymi socjalistami, razem z nimi uczył miejscowych robotników. Dość przypadkowe kontakty związały nazwiska jego i brata ze spiskiem, zawiązanym dla zamachu na cara Aleksandra III w roku 1887. Starszy brat, Bronisław, któremu niczego nie udowodniono, dostał 15 lat ciężkich robót na Sachalinie. Młodszy, przesłuchiwany tylko jako świadek (!), pięć lat Syberii. Po kazamatach twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu przeszedł cały szlak syberyjskich „etapów". W turmie Irkucka przeżył rozpaczliwy bunt jej polskich więźniów i krwawą jego masakrę. Ulokowano go w Kireńsku nad Leną. Kireńsk dla zabójczego klimatu zwano - „żywym grobem", młody człowiek już po półtora roku ledwo żył. Miejscowi Rosjanie, sympatyzujący z Polakami, załatwili przeniesienie go na resztę pięciu lat zsyłki w łagodniejsze warunki...

Wytrzymał. Wróciwszy, przystał do tworzącej się właśnie PPS - już jako jej działacz. Wziął na siebie zadanie najbardziej ryzykowne - podziemną gazetę PPS, „Robotnika". Sześć lat redagował go, pisał (znakomicie!) najważniejsze artykuły i - drukował. Sam składał dwanaście stronic i sam przez dwa tygodnie na prymitywnej, zakonspirowanej drukarence, najpierw w małej mieścince pod Oszmianą, potem w różnych wielkich miastach, odbijał 1900 egzemplarzy nakładu. Jedna stronica zabierała dziewięć godzin druku. I oni potrafili to ukryć!

Każdy z wydanych przez sześć lat 35 numerów „Robotnika" eksplodował politycznie. Ochrana, policja tajna niezwykle sprawna, opłacająca konfidentów, agentów i prowokatorów, razem z żandarmerią carską wychodziły ze skóry, by dopaść drukarnię i tajemniczego „Wiktora". Zatrzymywano w drodze nawet kursowe pociągi, z nadzieją, że uda się go pochwycić! Z dziesiątków opresji ratowały konspiratorów czujność, przemyślność i zimna krew. Nikt zaś nie podejrzewał o konspirację niemożliwego do ukrycia drągala, przerastającego otoczenie o głowę, Stanisława Wojciechowskiego, Zetowca, najbliższego współpracownika „Wiktora".

Wpadł „Wiktor" dopiero po sześciu latach - już jako legenda. Uwięziony w Cytadeli, symulował obłęd – wedle precyzyjnych wskazówek lekarza psychiatry, sympatyka PPS. Wart pamiątkowej tablicy, rosyjski oficer żandarmów Cytadeli sprzyjał Polakom i władze carskie uwierzyły, że tylko szaleniec mógł się targnąć na ich państwo. Wysłano „chorego" więźnia na badania do Petersburga. Tam rosyjski psychiatra bez trudu rozpoznał symulację i - potwierdził chorobę psychiczną. Po czym udało się wykraść więźnia i przemycić lasami do Galicji, dla swobodnej działalności.

Zamach w języku anarchistów nazywał się „akcją bezpośrednią". Takie akcje zyskiwały popularność w państwie cara akurat w czasie, kiedy na Zachodzie anarchiści przechodzili już do działalności w związkach zawodowych jako „syndykaliści". Karta z Amiens, uchwalona w roku 1906 przez kongres anarchistów, prezentowała nowy ich, zaskakujący program – ruch związkowy, z nowym, prężnym ich napędem psychologicznym, uwolnić się miał od wszelkich powiązań i zależności politycznych. Socjalista Piłsudski ze swymi zwolennikami nie mieli nic wspólnego z tym syndykalizmem, już prędzej z „Rozważaniami o przemocy" ideologa anarchosyndykalizmu, wiekowego Georgesa Sorela; Sorel kultywował mit przemocy jako jedynej drogi do robotniczego szczęścia.

Ludzie Piłsudskiego w Galicji uczyli się strzelać i posługiwać bronią białą, ich zamachy będą im jednały nowych zwolenników!

Piłsudski zostanie faktycznie na lata szefem ugrupowania terrorystów. Bohaterem ich zostanie 19-letni Stefan Okrzeja, współtwórca „becji", Organizacji Bojowej PPS, ujęty w 1905 r. po zamachu na cyrkuł policyjny i stracony. W oczach „becji" to carat usprawiedliwiał moralnie środki „terroru indywidualnego", setkami teraz wieszał ludzi i zsyłał na Sybir bez pełnych dowodów winy. Ale, zaznaczmy, „Fracy" nie mordowali niewinnych cywilów i - co tu kryć - zamachy nie zawsze się udawały. Przyszły wielki uczony, Ignaś Mościcki, jak wspominałem, poszedł właśnie na chemię, zobaczywszy, jak bomba rzucona pod kopyta oddziału Kozaków nie wybuchła, a jeden z Kozaków zsiadł z konia, wziął bombę i z pogardą schował do torby. Także Wandzie Krahelskiej i jej dwóm koleżankom w 1906 r. nie wybuchły bomby, rzucone w gubernatora Skałona. Ignaś Mościcki postanowił robić lepsze bomby. Jednakże „becja" potrafiła dokonać i stu zamachów jednego dnia - w tym przypadku ku zdecydowanemu niezadowoleniu samego Piłsudskiego.

Władze carskie w najkrwawszych latach 1906 - 1909 powiesiły w Królestwie blisko trzy tysiące zamachowców... A w latach rewolucji 1905 - 1906 rewolucjoniści w imię swoich partyjnych słuszności polowali w Łodzi na siebie wzajem, ofiarami tych rewolwerowych strzelanin padły dziesiątki ludzi. Czy wtedy lęgła się nienawiść „endeków" do „fraków" Piłsudskiego? Nienawidzić potrafią głównie ugrupowania skrajne, o wysokiej temperaturze uczuć, płonące ogniem agresji, zatem i endecy, i lewe skrzydło SDKPiL, przyszli „bolszewicy". Cóż, możliwa jest każda z tych interpretacji...

Tradycyjna historiografia nasza pomijała życie polityczne w świecie Żydów Polski. Aliści na terenie Królestwa było ich po napływie Litwaków kilkanaście procent populacji, a powieści Sienkiewicza budziły ducha narodowego także w młodych Żydach - choć wśród paru już milionów Żydów w Polsce przygniatająca większość nie mówiła nawet po polsku.

Do tej pory tylko polscy konserwatyści mówili o Żydach w Polsce jako „narodzie w narodzie". Inteligenci żydowscy pod wpływem Kronenbergów sprzyjali asymilacji, z ich kręgu wychodzili najwspanialsi polscy wydawcy, zaangażowani w rozwój kultury polskiej. Ukazujące się od dawna po polsku pisma takie jak warszawski „Izraelita" broniły spraw Żydów, ale i opowiadały się za zbliżeniem z Polakami. Autorzy w większości czuli się, bądź wprost chcieli być Polakami lub jak wielki historyk, Szymon Askenazy, Polakami Żydami. Inaczej w zaborze pruskim. Tam Żydzi z reguły identyfikowali się z państwem pruskim. Chasydzi znowu, żydowska ortodoksja religijna, ignorowali w ogóle politykę, chroniąc tylko swoją odrębność religijną i kulturową. W Galicji korzystali z tolerancji monarchii austro-węgierskiej i nigdy nigdzie w czasach nowożytnych nie żyło się im tak swobodnie. Ich galicyjską „Jerozolimą" były Brody na Podolu.

Socjaliści żydowscy założyli w roku 1897 swój lewicowy „Bund". Początki syjonizmu, zwanego w Polsce pierwotnie „cyjonizmem" (od niemieckiej wymowy terminu „Zion"), ruchu na rzecz własnego państwa Żydów w Palestynie, przypisuje się słynnej książce wiedeńskiego dziennikarza, Teodora Herzla, z roku 1897, „Państwo żydowskie". Ale w Polsce już w latach pięćdziesiątych XIX wieku, za Mickiewicza (choć nie chciał on, „by Żydzi wyszli z Polski"), pojawiła się myśl „powrotu do Palestyny", warszawski „Izraelita", mający to za szkodliwą mrzonkę, w roku 1892 notował, że „ruch palestyński śród Żydów naszych datuje się od lat kilkunastu". Więc grubo wcześniej przed Herzlem. Mimo ciężkich warunków życia w Palestynie, w otoczeniu pół-dzikich beduinów, osiadło tam już wtedy

setki rodzin Żydów z Polski. Także najmłodsi socjaliści żydowscy w 1900 roku stworzyli swój ruch syjonistyczny - z polskim zapałem niepodległościowym, wtedy równie utopijnym. SDKPiL gromadziła młodzież głównie ze środowisk litwackich i wyrzekała się, wbrew dawnym zaleceniom Marksa i Engelsa, walki o niepodległość Polski. Palestyny nie chciała też. Wolała perspektywę przyszłości bez granic między narodami, stąd wiązała się z rewolucjonistami Rosji

Jest paradoksem, że nacjonalistyczny ruch polski zrodził się później. Przejdzie różne meandry. W latach osiemdziesiątych XIX wieku przyszły ideolog nacjonalizmu polskiego, Jan Ludwik Popławski, przebywał jeszcze na zesłaniu w głębi Syberii za udział w spisku przed planowanym nowym powstaniem. Ligę Polską, z którą wiąże się jego nazwisko, dopiero w roku 1893 rozbili przyszli narodowcy pod wodzą Zygmunta Balickiego i Romana Dmowskiego, byłych Zetowców. Przekształcili swoje w niej komórki w Ligę Narodową i Miłkowski w roku 1894 Ligę Polską rozwiązał.

Popławski jako jeden z przywódców Ligi Narodowej organizował razem z PPS pierwsze po latach manifestacje patriotyczne w Królestwie, potem Liga Narodowa tylko z PPS konkurowała. W roku 1896 została Stronnictwem Narodowo-Demokratycznym. Ciągle jeszcze bez otwarcie nacjonalistycznego oblicza - z wieloma długi czas autentycznymi demokratami. Przyciągało ich skupienie uwagi na interesach Polski. Poszło za nim sporo Zetowców, dopóki nie zorientowali się w mało Zetowej ideologii stronnictwa.

Autentycznym demokratą był pierwotnie i Roman Dmowski. Wybitnej inteligencji, nie miał jednak w życiorysie żadnego bohaterskiego ani dramatycznego epizodu. Syn majstra kamieniarskiego z warszawskiej Pragi, z na pół żydowskiej dzielnicy biedoty, jako student uchodził za „Antka znad Wisły". Chuderlawy, ubogo odziany chłopak biegał do rodziców na obiady przez most na daleką Pragę; ale już wtedy, jak wspomina bliski mu wtedy pamiętnikarz, „mógł imponować logiką swych rozumowań i oryginalnym sposobem oświetlania zjawisk z nowego punktu widzenia".

Dociec trudno dzisiaj, co i jak zdeformowało jego wyobraźnię polityczną. Zaczął od filozofii „egoizmu narodowego" z książki Zygmunta Balickiego - przeciw trosce naiwnych socjalistów o biedotę wszystkich ludów. W swoich „Myślach nowoczesnego Polaka" z 1903 r. odżegnywał się już od polskiej tolerancji na rzecz „interesu narodowego", czyli umacniania żywiołu polskiego jako gospodarza kraju - przy eliminacji obcych żywiołów czyli Żydów, z życia gospodarczego, publicznego i umysłowego. Co nie przeszkadza, że sam jeszcze w tych latach był świadkiem na ślubie polsko-żydowskim...

Początkowo Liga Narodowa zwalczała ucisk carski, potem jednak stanął Dmowski w otwartej opozycji do niepodległościowego programu Piłsudskiego. Potępiał PPSowskie zamachy, sam kreował się z czasem na swoistego anty-Piłsudskiego, obsesyjnie zazdrosny o jego rosnącą sławę; zawiść stanie się w rezultacie dziedziczną chorobą endecji, z którą łączyły się jednak okresowo i wybitne umysły. Dmowski uznał Polskę słowiańskim przedmurzem wobec Niemiec; to się spodobało Wielkopolsce, gnębionej przez Prusy, a wymagało porozumienia z Rosją. Czasem kłócił się Dmowski i z Narodową Demokracją, w pewnej chwili za poparcie caratu stracił mandat jej posła do Dumy Państwowej, parlamentu carskiej Rosji (powołał Dumę Mikołaj II w wyniku rewolucji 1905 roku). Ochranie, co naturalne, taka opcja polityczna Polaków bardzo się spodobała. Kiedy Piłsudski wyruszy okrężnymi drogami na Daleki Wschód, żeby rozmowami pozyskać dla sprawy polskiej Japonię, walczącą z Rosją carską, Dmowski pojedzie tam za nim psuć

stosunki, które Piłsudski nawiązał (wrócił jednak Piłsudski z pomocą finansową i kilkuset rewolwerami).

Piłsudskiego ideę walki o niepodległość postanowił Dmowski zastąpić „wojną narodową" z ... Żydami – był to jeden z najstraszliwszych błędów politycznych w historii Polski, o fatalnych ponad stuletnich konsekwencjach. Nie myślę o moralnym aspekcie tego manipulowanego antagonizmu. Myślę o jego absurdzie politycznym, ze skutkami dla sprawy polskiej. Zamiast budować wspólny z Żydami front w walce z caratem, zamiast przekonywać inteligentną, przedsiębiorczą i pracowitą mniejszość do sprawy polskiej, do wspólnej polityki i rozwoju kraju, uruchomił Dmowski nie kończący się konflikt i wrogość do Żydów ze strony swoich zwolenników. Ku zachwytowi Ochrany proklamował Dmowski tę wojnę oficjalnie w roku 1911. Uruchomił tanią, groszową gazetę dla propagandy antysemityzmu! Tak omal nie zmarnowano dziesiątków lat współpracy i działań na rzecz współpracy z polskimi Żydami - rozwijanej przy aktywnym udziale owych Polaków żydowskiego pochodzenia. Dmowski potrafił odrzucić i tych drugich – ludzi o niezmierzonych zasługach dla kultury polskiej i dla rozwoju kraju... Następstwa cierpimy do dzisiaj.

Codzienna rywalizacja polityczna, ambicje niespełnionego pisarza, przyprawiły Dmowskiego z czasem o swoisty kompleks niższości, a przenosił się ten kompleks na uraz całej endecji wobec obozu Piłsudskiego, „obozu bohaterów". Jej uczucia podyktuje - skłonność do uczuć gwałtownych, skrajnych, z nienawiścią do własnych rodaków zamiast wrogów ... W nowej wersji obserwujemy to i dzisiaj. Wybitne umysły, które dla myśli narodowej wiązały się z narodową demokracją, odchodziły, znalazłszy w niej za dużo nacjonalizmu, a za mało, lub i wcale - demokracji.

Owocowała jednak ta epoka nie tylko namiętnościami politycznymi. Na szczęście, także – poczuciem humoru. Można go nie zaliczać do historii, ale wdzięk i uśmiech w dużej mierze ukształtowały jednak tożsamość XX-wiecznej polskiej inteligencji. Nie myślę tu o masonerii, odnowionej w Polsce dopiero przed samą pierwszą wojną światową. Masoneria, zmitologizowany ruch ludzi dobrej woli, nie miała żadnego wpływu na odrodzenie Polski. Wdzięku raczej też nie. Za to bez „Zielonego Balonika", kabaretu krakowskich artystów i ludzi pióra, nie byłoby, śmiem przypuścić, polskiej inteligencji. Bo nie byłoby jej poczucia tożsamości. Do czego tu wrócimy.

Endecja zdołała pozyskać część inteligencji polskiej. Zraziła do siebie jej większość, odrzucając polską tradycję tolerancji i gościnności. Ale przede wszystkim – odrzucając polityczny zdrowy rozsądek. Nie szczepiła Polsce ducha współpracy, ale konfliktu wewnętrznego. Z wiekowymi konsekwencjami. Czego doświadczamy i dzisiaj. Na co nie pomaga poczucie humoru... Nie potrafię darować Dmowskiemu szkód, jakie Polsce wyrządził. Gdyby to ode mnie zależało, na pewno nie nazwałbym jego imieniem żadnego placu.

40. OD ŻARTÓW DO GRUZÓW

W Polsce roku 1930 już nie pamiętano roku 1900, choć ludzie, którzy byli już dorośli u przełomu wieków, mogli przeżyć i drugą wojnę światową. Te trzydzieści lat stało się odstępem między zgoła różnymi teraźniejszościami. W roku 1900 można było szukać atmosfery paryskiego *fin de siecle'u* we Lwowie i Krakowie, stolicach Galicji, w polskim Wiedniu, podważały jednak ów nastrój wiadomości o wydarzeniach za kordonem, wiadomości z reguły dramatyczne, słowem, to nie był nawet w Galicji pełny, uroczy *fin de siecle*... Tym bardziej – w Wielkopolsce i na Pomorzu.

Galicji nie dotknęła rewolucja 1905 roku. Rewolucja wybuchła tam, gdzie powinna - w imperium carów Rosji. Nieoczekiwana klęska w wojnie z nową potęgą światową, Japonią, zdetonowała życie polityczne państwa carów – zgodnie z zasadą, że Rosja się buntuje, kiedy jej państwo przegrywa. Strajkowali masowo robotnicy, manifestowali studenci i uczniowie szkół średnich, manifestował lud, rosyjscy demonstranci padali od kul wojska i policji. Polscy rewolucjoniści uznali, że ich czas nadszedł, strzelali do policjantów i urzędników państwa carów, każda z rewolucyjnych partii była jedyną, która miała rację, jej bojowcy strzelali więc też do siebie wzajem. W Łodzi, największym polskim ośrodku przemysłowym, pojedynki rewolwerowców przybrały skalę festiwalu śmierci, a znów carat, pacyfikując rewolucję, wieszał ludzi, jak już wiemy, setkami, nawet podejrzanych tylko. Wszelako Polacy zapamiętali z tego czasu nie krew przelaną i ofiary, lecz... krakowski kabaret pod nazwą „Zielonego balonika" i sztukę krakowskiego malarza-poety, Stanisława Wyspiańskiego, „Wesele".

Kabaret stworzyli w roku 1906 w jednej z kawiarni krakowscy malarze, pisarze i dziennikarze. Ton i styl nadawał mu pełen dowcipu kpiarz, autor znakomitych piosenek i skeczów, z zawodu - lekarz. Występował pod pseudonimem - „Boy": Tadeusz Żeleński, syn wybitnego kompozytora, dobroduszny libertyn, w przyszłości jako znakomity tłumacz wcieli do kultury polskiej z górą sto arcydzieł literatury francuskiej. Tomy zaś jego świetnie pisanych felietonów pozostały ciekawe po dziś dzień – będzie irytował nimi zarówno wielu historyków literatury, kpiną z produkcji jej mitów, jak i konserwatywną część duchowieństwa – kpiną z anachronicznych obyczajów. Pozostanie zawsze do czytania. Płody literackie tego czasu dziś tylko drażnią, z ich młodopolskimi przenośniami, gestami kabotynów. Poeci, rozczarowani życiem w świecie pogardzanych, mieszczańskich filistrów, kończyli za paryską modą samobójstwami, nie zostawiwszy po sobie dużo do czytania. Przetrwała jedynie swoim sztukami Gabriela Zapolska, zbuntowana córka ziemiańska, która została, o zgrozo, aktorką, i występowała nawet w Paryżu. Kobieta przekornej samodzielności życiowej i przekornego pisarstwa, jakże współczesnych drażniła! Tak drażnił konserwatywne środowiska i Boy...

„Wesele" wraca na deski teatrów do dzisiaj - jako ironiczny obraz niemożności. Nikt nie zwraca uwagi, że portretowało wyłącznie świat Krakowa, prowincjonalny, niezdolny ani do głębszych dyskusji, ani do ważkich decyzji. Kraków nie był nawet stolicą Galicji i Wyspiański nie orientował się, co we Lwowie robi ów doktor historii, Franciszek Stefczyk, czym zajmuje się Zet na wyższych uczelniach Europy, jak rozwija się nielegalna polska oświata w Królestwie, jaką tam potęgę ekonomiczną stworzyli polscy ludzie interesów, ani jak sobie radzą w Wielkopolsce polskie warstwy niższe. I nie wiedział Wyspiański, że u progu 1905 r. właśnie w Krakowie odbito w 2 tysiącach egzemplarzy broszurę filozofa - ideowego przywódcy buntu, Edwarda Abramowskiego, „Zmowa

powszechna przeciw rządowi", by przemycić ją zaraz do Królestwa, gdzie będzie rozchwytywana i przepisywana po domach.

Kiedy rewolucja 1905 roku osłabiła wigor caratu, „płytki optymista", 57-letni Henryk Sienkiewicz, jeden z najpopularniejszych pisarzy świata, wykorzystał sytuację - z młodszymi przyjaciółmi i kolegami założył, wzorem Kraszewskiego, „Polską Macierz Szkolną". Prędko rosła ona i stała się naczelną organizacją oświatową, najszerszej dziedziny aktywności. W tym 1905 r. Sienkiewicz dostał literacką nagrodę Nobla - jakby świat chciał podkreślić słuszność jego wyboru. Nie był żadnym lojalistą. Z uciechą powtarzano jego lapidarny dwuwiersz na temat zalotów endecji do caratu:

„Więc stanęła kwestia na tem,
jak pogodzić d... z batem".

Czy był snobem, lgnąc do możnych polskich i do książąt Kościoła polskiego? Te środowiska czuły się obrażone jego dziś zapomnianą, a najwyższej klasy powieścią „Bez dogmatu" z 1891 roku... Tegoż roku 1891 Leon XIII ogłosił był przełomową encyklikę „Rerum Novarum". Wcześniej chrześcijaństwo biednych i prostaczków z „Quo vadis" byłoby istnym wyzwaniem wobec Kościoła współczesnego Sienkiewiczowi, sytego i bogatego. I zauważmy: Sienkiewicz traktuje swych bohaterów, żeby najmężniejszych i ofiarnych, na dystans co najmniej lekkiej, chociaż ciepłej ironii, a bez ironii – tylko Petroniusza z „Quo vadis", mędrca poganina...

Petroniusz mógł dla swego Rzymu tylko umrzeć w proteście. Sienkiewicz też mógł poprzestać na słowach. Czytelnicy polscy zebrali 70 tys. rubli i w 1900 r. ofiarowali mu z wdzięczności pałacyk w Oblęgorku. Mógł, odbierając swe obfite honoraria, żyć leniwie na marginesie, tymczasem, bliski sześćdziesiątki, jął się żmudnej, organizacyjnej roboty. I na ogół nie wspomina się, że kilka lat później przeprowadzi i wyda cenną, międzynarodową ankietę „Prusse et Pologne". Wykorzysta swą światową pozycję, by europejskiej opinii publicznej przypomnieć sprawę Polski.

Stanisław Wojciechowski, partner konspiracji Piłsudskiego, wziął się za ruch spółdzielczy. Ideologię dał mu właśnie Abramowski, który w 1906 r. założył Towarzystwo Kooperatystów. Ten wybitny filozof i psycholog jako dwudziestoletni młodzian wierzył w socjalistyczną rewolucję wedle przepisów Marksa i Engelsa, potem przemówił mu do wyobraźni koncept pomocy wzajemnej, lansowany przez „anarchistę" Piotra Kropotkina, zbuntowanego rosyjskiego arystokratę. Kropotkin, rewolucjonista, więziony po parę lat i w Rosji, i we Francji, nie został, wbrew encyklopediom, żadnym „teoretykiem anarchizmu komunistycznego". Jego „Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju" nie była w rzeczywistości wykładem anarchizmu, tym bardziej – „komunistycznego". Uczyła pełnych namiętności rewolucjonistów – współpracy i zainteresowania rozwojem, zaprzeczała duchowi rewolucji. Inspirowała i zwykłych czytelników, szukających filozofii życiowej. Pomogła namiętnemu rewolucyjnie, wielkiemu umysłowi Abramowskiego przenieść marzenia polityczne na światową, bezpaństwową utopię kooperatystyczną, która wszystkie problemy rozwiąże. Wykładał jednak w odezwie Towarzystwa, jak praktycznie wziąć się za odrodzenie Polski:

„Pierwszym krokiem na drodze politycznego odrodzenia jest wytworzenie samodzielnej kultury narodu, opartej na samopomocy i zrzeszeniach, przemiana sproszkowanego życia ludzi na życie zorganizowane, bijące potężnym tętnem w rozmaitych kooperatywach,

spółkach i związkach, przemiana typu niewolniczego na typ demokratyczny, przeprowadzenie go przez życiową szkołę samorządu i solidarności…"

Te idee, aktualne zawsze i wszędzie, mogły się bardzo przydać społeczeństwu bez kapitałów i bez doświadczeń samorządu. Niestety, ani duchowni byłego Królestwa Kongresowego, ani rewolucjoniści nie umieli skorzystać ze wzorów Wielkopolski. Tym bardziej ze wzorów Anglii i Danii. Nie musieli nawet jeździć tam. Przez pierwsze dziesięć lat XX wieku wydano w Warszawie cały komplet instruktażowej literatury samorządowej Anglii, niektóre nawet z przedmowami angielskich autorów dla polskich czytelników. Czytano w Warszawie studia porównawcze Ashleya, popularno-naukowe książeczki Odgersa, te książeczki przenikały do Lwowa, gdzie wcześniej, w roku 1894, wydano zapomniane dziś tomy „Samorządu gminnego" zapomnianego dziś Piotra Górskiego, wspomagały one wysiłki Stefczyka opisem zagranicznych doświadczeń demokracji lokalnej. Warszawski publicysta, Bolesław Koskowski, napisał cenny, krótki podręcznik „polityki gminnej" wiejskiej, bardzo praktyczny. Stało tam:

„Nie chodzi o to, aby ślepo naśladować postęp zachodni, lub o to, aby gwałtownymi skokami, nie obmyślanymi albo przez życie jeszcze nie usprawiedliwionymi reformami, dopędzać naszych sąsiadów zachodnich, lecz aby mieć wyraźny cel przed oczami i do tego celu zdążać tak, jak na to dobrze poznane warunki miejscowe pozwalają".

Nie byli więc fantastami. Niemniej ich doświadczenia zanikły - wytłumaczymy dalej, dlaczego… Samego Abramowskiego zapomniano prawie na zawsze, choć jego wierną wyznawczynią pozostała wielka pisarka, Maria Dąbrowska; dopiero w ostatnich latach książka Wojciecha Giełżyńskiego odbudowała pamięć niezwykłego intelektu. Zapomniano także jego ostrzegawczej prognozy z tamtych czasów - Abramowski z bezbłędną trafnością opisał, jak będzie wyglądało państwo projektu Lenina, które dla przetrwania będzie wymagało rozbudowanego aparatu policyjnego i terroru…

Elita intelektualna i naukowa Warszawy utworzyła w latach rewolucji 1905 – 1906, nie bez wpływu Abramowskiego, legalnie, oficjalnie, swoje „Towarzystwo Kursów Naukowych", w praktyce - uniwersytet. Wykładali na jego kilku wydziałach, z rolniczym i ogrodniczym włącznie, najwybitniejsi uczeni; kończyło go ponad tysiąc studentów rocznie!

TKN przetrwało morderczą reakcję po stłumieniu rewolucji. Carat nie tylko wieszał buntowników. Coraz ostrzej prześladował ruch oświatowy. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku płaciło się za nielegalne nauczanie grzywnę 22 i pół rubla, czyli dwie i pół miesięcznej pensji nauczyciela rosyjskiej szkoły początkowej, od roku 1900 zaś - 300 rubli z zamianą na 3 miesiące aresztu. W roku 1907 generał-gubernator Gieorgij Skałon, krwawy pacyfikator rewolucji, podwyższył grzywnę do trzech tysięcy rubli!

Mimo to naczelnik warszawskiej Ochrany pisał w swoim raporcie w roku 1909:

„Przychodzi nam stawać twarzą w twarz z masowym ruchem polskim, który dysponuje potężnymi środkami, jak Kościół katolicki, prywatna szkoła średnia i niższa, system tajnego nauczania, wychowujący w duchu skrajnego nacjonalizmu, oraz dużymi środkami materialnymi i bogatą literaturą popularną".

Szef Ochrany miał za sobą wsparcie dziesiątków tysięcy wysoko płatnych urzędników, policji, żandarmerii, kozaków i strażników ziemskich. Choć na pewno w jego interesie

było uwypuklić napotykane w jego zadaniu przeszkody, to przeceniał siły polskie. Ale trudno wyobrazić sobie większy od jego raportu komplement dla polskich wysiłków...

Wyspiański ich nie znał, a Piłsudski nie doceniał. Legenda samego Piłsudskiego, odwrotności „Wesela", przysłoni ten dorobek w oczach potomnych. Ale takiej edukacji swoich współczesnych zawdzięczał Piłsudski zarówno swoich bojowców z „Becji", Organizacji Bojowej PPS Frakcji Rewolucyjnej, jak potem - żołnierzy Legionów.

W 1908 roku zwolennicy Piłsudskiego utworzyli we Lwowie Związek Walki Czynnej, tajną organizację wojskową. Czy wchłonął wcześniejszą taką organizację Zetowców, Polski Związek Wojskowy, nie wiem. Miał szkolić na terenie Galicji w jawnych już związkach strzeleckich młodzież miejscową i przybyłą z innych zaborów. Na to jednak było trzeba środków.

We wrześniu tegoż 1908 roku poruszyła europejską prasę wiadomość o tajemniczym napadzie, jak z awantur Dzikiego Zachodu Ameryki. Pod Bezdanami, małą miejscowością wśród lasów na północny wschód od Wilna, nieznani sprawcy zatrzymali pociąg pocztowy, przewożący z Wilna do Petersburga pieniądze skarbowe. Zrabowali ponad dwieście tysięcy rubli w banknotach i srebrze, wraz z różnymi papierami wartościowymi.

Rosją carską niejednokrotnie wstrząsały wtedy podobne wyczyny rewolucjonistów różnych maści, socjaldemokratów, socjal-rewolucjonistów, anarchistów, itp. Bojowcy Piłsudskiego z PPS Frakcji Rewolucyjnej też dokonywali zamachów, atakowali placówki wojskowe, i - rabowali. Rewolucjoniści uważali „eksy", czyli przymusowe „ekspropriacje", „wywłaszczenia wywłaszczycieli", za moralne i naturalne akty rewolucyjnej sprawiedliwości. Ochranie i policji carskiej nigdy nie udało się ustalić sprawców napadu pod Bezdanami, a tym bardziej - ich ująć. Dopiero w długi czas po upadku caratu wyszło, że było to kilkunastu bojowców z „Becji" pod dowództwem samego Piłsudskiego!

Towarzyszyła mu w akcji przyszła druga żona, nieustraszona panna Ola Szczerbińska. Wór ze srebrnymi rublami zakopano w okolicy. Banknoty i papiery wartościowe przewieźli Piłsudski z panną Olą powozem do dworca kolejowego, skąd pojechali do Kijowa; z Kijowa młoda panna w dyskretnym towarzystwie dwóch bojowców wróciła w okolice Bezdan, odkopała wór ze srebrem i przewiozła do Galicji. Od tej chwili przez pewien czas nie było kłopotów z kosztami pomocy dla rodzin uwięzionych towarzyszy, z kosztami szkoleń i zakupów broni.

Piłsudski zdobył pełną sympatię nowej gwiazdy literatury polskiej, Stefana Żeromskiego, romantycznego pozytywisty, który zajął miejsce Bolesława Prusa jako wódz moralny inteligencji polskiej. „Fracy" zyskiwali poparcie młodzieży i robotników. W 1910 roku powstają pierwsze „Drużyny Strzeleckie". W Galicji – pod dowództwem „Komendanta", czyli Piłsudskiego – jawne. Pod innymi zaborami oczywiście konspiracyjne. Wyspiański daje Piłsudskiemu do sprzedaży na cele „strzeleckie" - swoje obrazy. W 1912 r. galicyjskie kompanie i bataliony strzeleckie ćwiczą z bronią w ręku, noszą własne mundury, sfinansowane przez polskie chłopskie kasy Raiffeisena z terenu Galicji, a rada oficerska związków strzeleckich przekształca swój ruch w formalną organizację wojskową z Komendantem Głównym, Józefem Piłsudskim. Władze Austro-Węgier przymykają oko na te przygotowania, same bowiem szykują się do wojny z Rosją. Austriacki sztab generalny liczy, że po wybuchu wojny zwolennicy Komendanta wywołają może za kordonem bunt, albo i powstanie na tyłach armii carskiej.

Jaki rozwój wydarzeń wojennych przewidywał Piłsudski w roku 1914, wiemy, bo słuchał go i zanotował jego poglądy przywódca rosyjskich „eserów", socjal-rewolucjonistów, Wiktor Czernow - z odmienną swoją prognozą. W wojnie, tym razem już „wszechświatowej" (jak się naonczas mówiło), Francja, spodziewał się Piłsudski, stanie po stronie zaatakowanej Rosji, a wesprze ją Anglia i w dalszej przyszłości - Stany Zjednoczone. Niemcy i Austria pokonają Rosję, ale same będą musiały w końcu skapitulować przed połączonymi siłami anglo-francuskimi lub anglo-francusko-amerykańskimi. On zatem, Piłsudski, ze swymi „Strzelcami", pójdzie najpierw z państwami „centralnymi", jak je nazywano, Austrią i Niemcami, a później obróci się przeciw nim. Była to kalkulacja cyniczna, w swojej przenikliwości - genialna. Wszystko przebiegło tak, jak dedukował.

6 sierpnia 1914 roku, w kilka dni po wybuchu wojny, wymaszerowała z Krakowa i wkroczyła w zabór carski kompania kadrowa, czoło pierwszego pułku strzelców - nowe, od jesieni Legiony Polskie, idące do walki w imieniu polskiego Naczelnego Komitetu Narodowego. Polska, o czym nie wiedział jeszcze ani carat, ani chwilowi sojusznicy, była już stroną w tej wojnie.

Legionistów, dumnych z siebie, zaskoczyło, że rodacy w Królestwie nie zareagowali buntem na tyłach armii carskiej, ale ci rodacy nawet nie wiedzieli, że powinni się byli zbuntować. Legiony, walcząc bohatersko, śpiewały złośliwe piosenki o tym, jak bardzo naród ich nie docenia...

W pierwszej wojnie światowej brały udział 33 państwa. Formalnie wśród nich Polski nie było. Tereny frontu zachodniego we Francji znamy z literatury i późniejszych filmów. Drugim, a nieznanym wielkim teatrem wojny stało się terytorium Polski i dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Mało kto dzisiaj zdaje sobie sprawę, że pierwsza wojna światowa, wojna głównie pozycyjna, wolno przesuwających się frontów, niszczyła okolice działań znacznie bardziej, niż wojna wielkich nawet, ale szybkich operacji wojskowych lat 1939-45. Żadnego terytorium Europy pierwsza wojna światowa nie wyniszczyła, nie zdewastowała tak ciężko jak Polski. Zryte pociskami i okopami francuskie tereny pozycyjnych walk nad Marną, gdzie znalazło śmierć ponad milion żołnierzy obu stron, to był tylko ułamek obszarów podobnie zrujnowanych w Polsce. Po tej wojnie tak wyglądała w Polsce jedna piąta kraju.

Armie, walczące ze sobą w pierwszej wojnie światowej na ziemiach polskich, wcieliły do swych szeregów, łącznie, do końca wojny, przeszło 2 miliony Polaków. Polacy ginęli na własnej ziemi w cudzych bitwach; w kategorii strat była to wojna polska. Padło tu około 4 milionów ofiar, głównie - Polaków. Rozpaczało kilka milionów rodzin, czasem nie odzyskawszy nawet zwłok... Mieszkańców terytorium przyszłego państwa polskiego, w tym i Polaków z dawnych Kresów, wcielonych do Rosji - obliczać można było na około 32,5 milionów - i kilkanaście lat minęło, nim nowe urodzenia wyrównały ubytki demograficzne.

Wycofujące się z terenu Królestwa Polskiego carskie wojska i siły administracyjne wywoziły wszystko, co wywieźć się dało i co wywieźć zdążyły - „ewakuowano" do Rosji 130 fabryk, zwłaszcza przemysłu maszynowego, w tym czołowe zakłady takie jak „K. Rudzki" czy „Lilpop, Rau i Loewenstein", z innych zabierano maszyny; jechał do Rosji tabor kolejowy, samochody, a nawet sprzęt biurowy, wojsko rekwirowało konie pociągowe i wierzchowe. Zabierał carat ze sobą i ludzi - wywieziono w głąb Rosji ponad 800 tysięcy osób, głównie fachowców i kwalifikowanych pracowników różnych branż. Jeśli nie udało się carskim władzom wytransportować wszystkiego, co można, to obracały w złom, co mogły - w samej Warszawie zburzyły fabrykę metalową, fabrykę maszyn, fabrykę kotłów,

odlewnię żelaza, zakłady elektromechaniczne, podpaliły też dworzec, magazyny dworcowe i warsztaty kolejowe, wysadziły mosty; w odwrocie nie starczyło im czasu na więcej.

Armia niemieckiego „kajzera", jak się nazywało pruskiego cesarza Niemiec, Wilhelma, zaczęła nie lepiej - najpierw, rzekomo ostrzelana w Kaliszu przez polskich cywilów, otworzyła ogień do bezbronnych ludzi na ulicach, potem zbombardowała miasto z ciężkich dział i sporą jego część spaliła. Zająwszy tereny Królestwa, niemieckie władze okupacyjne, co charakterystyczne, zakazały... uruchamiania zakładów przemysłowych. Od pierwszej chwili podjęły wyjątkowo złośliwą politykę rekwizycyjną. Starały się wywieźć w głąb Niemiec wszystko, czego nie zdążyły zabrać władze carskie. Zaczęły od... pasów transmisyjnych, których po tej wojnie zostanie w Polsce ledwie 2 procent; potem wymontowywano silniki i urządzenia elektryczne; później wszystkie części z metali kolorowych; wreszcie zabierano - całe obrabiarki, przy czym wartość zrabowanych detali i maszyn była tylko niewielkim ułamkiem wartości zdekompletowanego i niszczejącego teraz wyposażenia technicznego zakładów. Na przymusowe roboty wywieziono do Niemiec w sumie kilkaset tysięcy ludzi. Dodajmy, że podczas działań wojennych wyleciała w powietrze większość mostów, pozrywano linie kolejowe, podziurawiono i tak nieliczne drogi bite. Tak unicestwiono całą potęgę, ba, całą bazę techniczną najbardziej rozwiniętej gospodarczo części państwa carów. Prawie nic z niej nie zostało. We wschodniej zaś części Galicji zniszczono niemal wszystkie wsie...

Te informacje proszę skonfrontować ze złośliwymi szalbierstwami „historycznymi" z PRL, które szyderczo porównywały produkcję Polski międzywojennej z rokiem 1913 i wyliczały wzgardliwie, po ilu to latach dopiero Polska międzywojenna osiągnęła poziom produkcji byłego Królestwa Kongresowego w 1913 roku. Historycy Zachodu skalę zniszczeń w Polsce pomijają do dzisiaj.

Państwa centralne nie darzyły Piłsudskiego i jego Legionów sympatią, patrzyły z niepokojem na rozrost liczebny polskiej siły zbrojnej, ale oba coraz bardziej potrzebowały wsparcia ze strony Polaków. Dlatego 5 listopada 1916 roku obaj cesarze, Austro-Węgier i Niemiec, ogłosili akt zapowiadający utworzenie - tylko na ziemiach polskich odebranych Rosji, bez swoich zaborów! - samodzielnego państwa polskiego. Mimo to w półtora miesiąca później dekret z 22 grudnia 1916 roku, zwany „świątecznym", oficjalnie sekwestrował wszystko, włącznie ze skórami, futrami, olejami i innymi produktami chemicznymi, surowcami do produkcji kleju i żelatyny, itd.

Niestety, odradzające się państwo polskie nie miało potem czasu ani głów na fotograficzną dokumentację zniszczeń i strat, z podpisami w paru językach... Może byłoby warto po latach?

Zwycięską Francję na całe lata przytłoczył ciężar ponad miliona żołnierskich trumien. W tej pozycyjnej wojnie rzadko dochodziło do bezpośrednich starć – to ciężka artyleria miotała na odległość i 40 km ciężkimi bombami, żołnierze ginęli w swych ziemiankach i okopach, nie oglądając wroga... Polaków znacznie większe straty, zniszczenia, śmierć setek tysięcy ludzi, co paradoksalne i na swój sposób zdumiewające, nie przyprawiły o rozpacz. W polskich nastrojach brał górę z końcem wojny ogólnopolski optymizm, teraz jednak uzasadniony, z realnymi rachubami na niepodległość po 120 latach niewoli. Z pewną, ale istotną różnicą w stosunku do roku 1989 – wtedy właśnie Polacy do niepodległości bardzo solidnie się przygotowywali, tak, by ich państwo we właściwej chwili ruszyło, jakby działało od dziesiątka lat. W Rosji przebywający tam inżynierowie zajęli się planami odbudowy całej infrastruktury komunikacyjnej i przemysłowej na ziemiach

polskich. Parę tomów prac ich konferencji w Petersburgu przetrwało do dziś jako dokument kompetencji, konstruktywnej postawy i ... nadziei. Porozumiewali się z kolegami w kraju, we Lwowie, poprzez łączność pocztową obu stron wojujących z ... neutralną Szwajcarią, a w Zurichu kierował Polskim Komitetem Samopomocy sam ów Narutowicz, inżynier, sławny wielki budowniczy, z czasów młodości - sympatyk socjalistów Piłsudskiego. Pracom fachowców we Lwowie przewodził inny były socjalista z tego kręgu, Ignacy Mościcki, onże wielki chemik, współwłaściciel patentu na produkcję kwasu azotowego z powietrza, twórca pierwszej jego fabryki w Chippis w Szwajcarii, jeden z pionierów nowoczesnego przemysłu nawozów sztucznych.

W Poznaniu projektowano przyszły system pieniężny i bankowy, niemałą w tym rolę odgrywał następca ks. Wawrzyniaka, Stanisław Adamski, już biskup, nadal rewident Związku Spółek Zarobkowych. Bank Związku ze swymi zasobami twardej monety mimo zaburzeń na rynku nawet nie drgnął. W Warszawie radzono już w roku 1917 nad konstytucją dla wolnej Polski. Nawet i delegat PPS w komisji konstytucyjnej opowiadał się w swoich propozycjach za... monarchią: król miał być symbolem jedności ziem polskich! Komisja ustaliła ostatecznie, że o ustroju zadecyduje sam naród, perspektywa „respubliki", jak to określono, wcale jeszcze nie była oczywista.

To przygotowanie do niepodległości w moim odczuciu dzieliło ówczesne odrodzenie państwa polskiego od wszelkich rewolucji. Rewolucjoniści, jak uczy doświadczenie, nigdy nie zajmują się tym, co zrobią po zdobyciu władzy. Populiści, w warunkach pokoju grający na uczuciach wyborców, także nie.

W roku 1930, w atmosferze Wielkiego Kryzysu, nie pamiętano także atmosfery sprzed kilkunastu lat. Jedyną ciągłość, zaryzykuję taką opinię, zachowały felietony Boya.

41. I NI Z TEGO, NI Z OWEGO...

Nie zaczynała ta niepodległa Polska po roku 1918 od stanu zero. Zaczynała od stanu wiele poniżej zera - zniszczona jak nigdy przedtem i nawet nigdy potem. I państwo samo ze swymi strukturami administracji nie wzięło się też bynajmniej z prezentu wielkich mocarstw. Polacy musieli zrobić to sami. Od początku do końca. Choć i samo przyzwolenie ze strony tych mocarstw było problemem.

Zachodowi Europy, pamiętajmy, idea odbudowy państwa polskiego po 120 latach wydawała się po prostu anachroniczna. Pytano, trochę drwiąco, dla kogo właściwie miało by to państwo powstać. Wybitne osobistości polskie starały się odnowić wyobraźnię polityków Zachodu. W roku 1916 do rządu brytyjskiego, do przywódcy walczącej Anglii, Davida Lloyd George'a , skierował, jak pamiętamy, notę, wyjaśniającą problem polski - sam Joseph Conrad, najsławniejszy, obok George'a Bernarda Shawa i Herberta Wellsa, pisarz angielski. Jego literatura, pasjonująca w czytaniu, wyznaczała zarazem standardy moralne współczesnemu światu. Dla Anglii był Anglikiem, jedynie krytycy literaccy orientowali się, że wielki pisarz nie pochodzi z Anglii. W tym etnocentrycznym kraju nie reklamował się swym pochodzeniem, ale też nigdy go nie ukrywał... Nie przekonał Lloyd George'a , ale uświadomił mu problem.

Niespodziewanie dla Europy - i niespodziewanie dla Polski - 22 stycznia 1917 roku wystąpił za utworzeniem niepodległej i niezależnej Polski, a także - Czechosłowacji, prezydent Stanów Zjednoczonych, Thomas Woodrow Wilson.

Historycy zachodniej Europy długo zachodzili w głowę, jak to się stać mogło, zwłaszcza w USA. Polityka zagraniczna, transkontynentalna, a tym bardziej – światowa, była dla Waszyngtonu całkowitą nowością, tradycyjny amerykański izolacjonizm wręcz od niej odstręczał. Przez „politykę zagraniczną" przeciętny obywatel rozumiał na ogół stosunki swego stanu z Waszyngtonem, z administracją federalną, z rządem Stanów Zjednoczonych; co rozleglejsze stany miały powierzchni więcej niż czołowe państwa europejskie! Jednakże Wilsonowi doradzał Edward Mandell House, znany jako teksański „pułkownik House", w rzeczywistości – intelektualista, który do polityki i życia publicznego wnosił oprócz niezwykłego intelektu i zręczności cechę dość rzadką - bezinteresowność. Plus zmysł obserwacji i zdolność wnioskowania: wróciwszy z Europy przed wybuchem pierwszej wojny światowej, zapowiedział Wilsonowi, co się zdarzy. Obu ich, Wilsona i House'a , dyplomacja „starej" Europy uzna potem za fantastów, jako że według nich politykę międzynarodową oprzeć można było i należało (!) na zasadach moralności i sprawiedliwości...

Nie byli melomanami, ale bywając na koncertach, bo tak wypadało, poznali najsłynniejszego wtedy pianistę świata, Polaka Ignacego Paderewskiego. Powiadano o tym artyście, umysłu równie wielkiego, że - „wygrał Polskę na fortepianie". To nieprawda - wszystko, co wygrał dla Polski, wygrał swoją ogromną inteligencją. House, wiedziony swoją przyrodzoną ciekawością, spotkał się z nim, zaprzyjaźnił i wyciągał zeń bliższe informacje o tej części Europy i o samej Polsce, ojczyźnie pianisty. W końcu poprosił Paderewskiego, by spisał dla Wilsona memoriał w sprawie polskiej. Wilson dostał 11 stycznia 1917 roku takiej mądrości, tak przekonujący tekst, że w jedenaście dni potem sam prezydent Stanów Zjednoczonych opowiedział się publicznie za niepodległością Polski.

W parę miesięcy później nowe mocarstwo światowe, Stany Zjednoczone (sprowokowane już wcześniej, gdy niemiecka łódź podwodna storpedowała brytyjski transatlantyk z amerykańskimi także pasażerami), przystąpiło do wojny po stronie aliantów. Dwa miliony amerykańskich żołnierzy popłynęły do Europy - w imię demokracji. Nie w imię interesów Stanów Zjednoczonych. To może zaskakujące, ale oni naprawdę gotowi byli walczyć za demokrację! Taka była wtedy ich Ameryka. Ich siły ostatecznie przesądziły o zwycięstwie aliantów, Niemcy kajzera podpisały akt kapitulacji we francuskim miasteczku Compiegne (podczas drugiej wojny światowej Niemcy Hitlera nie odmówiły sobie w roku 1940 satysfakcji i zmusiły pokonaną Francję do podpisania aktu kapitulacji właśnie w Compiegne).

Istniało już wtedy wojsko polskie, Legiony Piłsudskiego. Nie tylko. W Królestwie Polskim jeszcze przed wycofaniem się Rosjan jęli Zetowcy tworzyć oddziały podporządkowanej „Komendantowi", czyli Piłsudskiemu, konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej, POW. Po wejściu Niemców chciały one wejść do Legionów. Dobrze to Legionom rokowało. Rosły kadry przyszłej armii polskiej. Niemcy kajzera z rozmysłem to utrudniali. „Peowiacy", jak ich skrótowo nazywano, nie mogli, niestety, zablokować ani rosyjskiego wywozu ludzi i urządzeń, ani tego późniejszego, niemieckiego, ale dzięki nim wolna Polska po paru miesiącach niepodległości miała już kilkusettysięczną, zdolną do boju armię... Wspominam o tym fenomenie samorodnej organizacji, ponieważ przygotowania „Peowu" do niepodległości najwcześniej miała historia poddać sprawdzianowi zdolności.

Legiony, wzmocnione ochotnikami z POW i pół milionem żołnierzy z armii obu stron wojny, zdolne już będą bronić niepodległości Polski, ale ta niepodległość wymagała międzynarodowego jej uznania - tymczasem ani rząd Anglii, ani rząd Francji nie mogły lubić brygadiera Józefa Piłsudskiego, byłego sojusznika państw centralnych. Te państwa centralne same jednak poprawiły jego pozycję w oczach aliantów zachodnich, internując go w lipcu roku 1917 w twierdzy magdeburskiej – zrezygnowały wtedy z utworzenia sojuszniczej armii polskiej i Legiony odmówiły przysięgi na wierność państwom centralnym.

Rosja wybuchła tradycyjnie, wobec porażek wojennych - dwiema kolejnymi w 1917 roku rewolucjami. Pierwsza - demokratyczna, obaliła cara, ale nie przelewała krwi. Druga, w październiku kalendarza rosyjskiego, bolszewicka, od przelewu krwi zaczęła. Państwo carów rozpadało się w oczach, logika wojny załamała się także - zgodnie z przewidywaniami Piłsudskiego. Armie niemieckie tkwiły wówczas głęboko w byłej Rosji carskiej, mimo to wojnę zakończy kapitulacja państw centralnych. 8 stycznia 1918 roku prezydent Wilson wkroczył do polityki światowej. W orędziu do Kongresu przedstawił w 14 punktach program unormowania powojennych stosunków międzynarodowych. Ku żywej irytacji Lloyd George'a , premiera Wielkiej Brytanii, wielkiego polityka, jednego z najwybitniejszych w historii Anglii, Wilson z nim tego programu nie uzgadniał. Lloyd George dowiedział się tym samym, że Wielka Brytania nie jest już najpotężniejszym mocarstwem świata i że nie będzie sama decydowała o jego przyszłości, a i nie ma pewności, że Wielka Brytania pozostanie chociaż drugą potęgą świata... Program nie zaniedbywał szczegółów. Punkt 13 orędzia prezydenta USA mówił o niepodległej Polsce z dostępem do morza. Dla Polski miało to znaczenie przełomowe.

Przy tym zbiegu sprzyjających okoliczności w polityce światowej historia otworzyła Polsce, jak powiada mój przyjaciel, Sławomir Popowski, okienko z widokiem na przyszłość. Na wschodzie - upadek caratu, od strony zachodniej - klęska Prus i przyjazna postawa największego mocarstwa świata (takie okienko otworzy się i w 1989 roku). Państwo

polskie powstało – niemal z dnia na dzień, z zaskoczenia. W dniu formalnego końca wojny, 11 listopada 1918 roku, wrócił z internowania w Magdeburgu Piłsudski i rozbrojono oddziały niemieckie w Warszawie. Nie było potem innej daty na święto niepodległości, choć wojna kończyła się już wcześniej – rozbrajała wojska okupacyjne nawet młodzież, nawet uczennice, żołnierze niemieccy mieli dosyć wojny, oddawali broń, chcieli wracać do domu, wielu z nich marzyło o „rewolucji socjalnej" w swojej własnej ojczyźnie.

W Czechosłowacji starczyło wyzwolić od zwierzchnictwa Austrii gotową, rzetelnie pracującą administrację. Nietknięty przemysł, zwłaszcza zbrojeniowy, pracował bez zarzutu. W kompletnie wyniszczonej Polsce dokonał się swoisty, a niedoceniony po dziś dzień cud polityczny: Piłsudski jako Naczelnik Państwa zarządził natychmiast wybory do sejmu, już na styczeń, państwo powstało z rozbitych kawałków od razu z władzami, zorganizowane dosłownie z dnia na dzień - i z własną kilkusettysięczną armią. Armia ta mogła zaś liczyć, że wzmocnią ją oddziały polskie, walczące u boku aliantów na Zachodzie. Polacy, zmobilizowani do armii niemieckiej, przechodzili tam na stronę aliantów.

Niepodległość była jakby niespodzianką dla ulicy polskiej. Kwitowało sytuację powiedzenie:

„I ni z tego, ni z owego
była Polska od pierwszego".

Bez wybuchu radości... Czy Polacy nie umieli się cieszyć? Tomasz Masaryk, który w sprawie niepodległości Czechosłowacji odegrał w Stanach Zjednoczonych tę rolę, co Paderewski w sprawie polskiej, opowiadał potem pisarzowi Karolowi Czapkowi, jak dzień pokoju świętowali Amerykanie w Nowym Jorku – „takiej ludowej radości jak żyję nie widziałem", wszyscy wznosili okrzyki, śpiewali, trąbili, obejmowali się, całowali, na cały Nowy Jork sypał się „papierowy śnieg" confetti. „My się tak w pełni weselić jak dzieci nie umiemy", sumował czeski profesor, przyszły pierwszy prezydent republiki. Nie sądzę, by miał rację. Dziesiątki lat żmudnych i trudnych zabiegów Czechów i Polaków dla przybliżenia wolności nie zakończyły jakimś zwycięstwem na polu bitwy, po którym to zwycięstwie unieśliby się radością. I jedni, i drudzy nie umieli jeszcze uwierzyć w tę swoją wolność, jakby im przekazaną korespondencyjnie przez zwycięzców wojny, którzy zmusili Niemcy kajzera do kapitulacji... Nie przygotowani na zwycięstwo, nerwowo czekali, co dalej. Pracując jednak dla przyszłości. Żeby nie tracić czasu.

Pierwsze lata jeżyły się trudnościami. Żyła ta wolna Polska na granicy głodu. Pomagała Polsce, o czym warto pamiętać, Ameryka. Ameryka ówczesna pomagała wtedy - bezinteresownie! - całej Europie. Największe w tym zasługi położył inny przyjaciel Paderewskiego, Herbert Clark Hoover, wybitny inżynier, znakomity menedżer i organizator. To Hoover w przyszłości jako minister handlu w rządzie Stanów Zjednoczonych zainicjuje przełomowe badania nad marnotrawstwem w przemyśle Ameryki, który i tak przecież górował nad światem. Później, wybrany prezydentem USA, przegra walkę o drugą kadencję nie z Franklinem Delano Rooseveltem, lecz, niestety, z Wielkim Kryzysem... House'owi mały postument w Warszawie, w Parku Skaryszewskim, wystawił za własne pieniądze Paderewski; Hooverowi też jesteśmy winni pomnik. Kierował Amerykańską Administracją Pomocy, „American Relief Administration". Kongres z początkiem 1919 roku przyznał jej 100 milionów dolarów, „twardych", wymienialnych na złoto dolarów, wartych dziś dziesięciu miliardów... Wygłodzona wtedy Polska dostała w ciągu pierwszego pół roku 300 tys. ton zboża, mięsa,

tłuszczów, mleka, odzieży i różnego sprzętu technicznego. Potem, do końca roku 1922, jedną piątą całej amerykańskiej pomocy dla Europy, 84 tysiące ton, głównie – żywności.

Po drugiej wojnie światowej, dodajmy, Hoover, już po siedemdziesiątce, znowu kierował pomocą żywnościową dla Europy… Sam tuż po wojnie rozpakowywałem pudła z rozmaitą zawartością, od czekolady po swetry, przysyłane przez UNRRA, United Nations' Relief and Rehabilitation Administration, Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odnowy. Pierwsze zainteresowanie językiem angielskim inspirowały w polskich dzieciach te właśnie paczki.

Polska, tocząc wprawdzie rękami nastolatków bratobójczą walkę z równie młodymi Ukraińcami o Lwów, była chwilowo bezpieczna od wschodu - Rosję na razie sparaliżowała rewolucja bolszewicka. Za to Wielkopolska nie mogła się spodziewać, że Niemcy, nawet republikańskie po obaleniu władzy swego „kajzera", opuszczą jej ziemie. W ostatnich dniach grudnia 1918 roku zerwała się więc do powstania. Przydał się zmysł organizacji, urobiony przez stulecie. Nie miało to powstanie sławnych przywódców ani aktów bohaterskiego ryzyka, ale po paru miesiącach walk zapewniło Polsce granice tam, gdzie zdołało odepchnąć wojska niemieckie. Ten sukces prowokował potem w Polsce centralnej i wschodniej sarkastyczne uwagi, że nie sztuka robić powstanie wtedy, kiedy można wygrać - i zapewne nic lepiej, niż ten sarkazm, nie ukazuje różnicy mentalnej między Wielkopolską a resztą kraju.

Na historyczne rozmowy traktatowe w Wersalu pojechała już oficjalna delegacja polska. Interesów Polski bronił Ignacy Paderewski w roli pierwszego dyplomaty. Powoływał się na dziejową krzywdę Polski. Znał wszystkich, a raczej – wszyscy jego znali. Innemu członkowi delegacji, wybitnemu historykowi, zwolennikowi Legionów, patriocie polskiemu, który nigdy nie wyrzekł się swego mojżeszowego wyznania, Szymonowi Askenazemu, skrzydła husarskie, jak mówili współcześni, szumiały u ramion - argumentował Askenazy dawną historyczną wielkością Polski. Zaszkodził Polsce, wbrew dzisiejszej skłonności do mistyfikowania jego roli, trzeci jej, też wybitny przedstawiciel, Roman Dmowski, przywódca wtedy emigracyjny - Prusacy skrzętnie pozbierali i dostarczyli szefowi delegacji brytyjskiej, Lloyd George'owi, dokumentację antysemickich wystąpień Dmowskiego. W kulturze politycznej zachodnich liberałów były nie do przyjęcia.

Lloyd George miał na względzie również zupełnie inne rachuby, występując przeciw Polsce. Po pierwsze, liczył na kontrybucję wojenną od Niemiec, którą zmniejszało odłączenie ziem oddanych Polsce. Nie miało dlań żadnego znaczenia, że z tych ziem Prusy ograbiły kiedyś Polskę rozbiorami. Po drugie, nie chciał osłabienia gospodarki niemieckiej utratą Górnego Śląska. O przynależności państwowej Górnego Śląska nie zdecydowali sami Ślązacy. Trzy razy, mimo niechęci obserwatorów zachodnich, zrywali się do kolejnych powstań, jednakże trzecia część tego, co powstańcy zajęli, nie przypadła w całości Polsce. Zachód, czyli właśnie Lloyd George, nie chciał uznać samorzutnego ruchu miejscowej ludności. Zarządzono plebiscyt. Lud polski Górnego Śląska nie mógł się pogodzić z manipulacjami strony niemieckiej, ale nie miał na nie sposobu – władze niemieckie z głębi swego kraju przywoziły do głosowania urodzonych rzekomo na Śląsku zwolenników opcji niemieckiej, protesty niewiele pomogły i Polska utrzymała tylko, i to niepełne, zajęte przez Ślązaków terytorium. Za granicą pozostała cała polska, chłopska Opolszczyzna – nie zdołał zniemczyć jej potem reżim hitlerowski, „zniemczy" ją naprawdę, o paradoksie, dopiero „ludowa" władza PRL swoimi szykanami i prześladowaniami po roku 1945.

To Lloyd George wymusił ów plebiscyt na Śląsku. Tak więc jedno z mocarstw światowych odnosiło się w Wersalu do Polski wrogo. Lata później także w oczach Henry'ego Kissingera, wybitnego polityka amerykańskiego, odrodzenie Polski oznaczało ni mniej ni więcej stworzenie zbędnego buforu między Niemcami a Rosją, który utrudni Rosji ewentualne wsparcie Francji przeciw ewentualnemu atakowi Niemiec. Obowiązywała w rozumieniu ich obu, Lloyd George'a i Kissingera, ta sama zasada, że słabsi muszą się podporządkować interesom silniejszych.

O losie regionu Mazur i Warmii, gdzie miejscowi ewangelicy mówili w większości po polsku, rozstrzygnąć też miał 11 lipca 1920 r. plebiscyt – akurat w czasie odwrotu sił polskich w wojnie z bolszewikami. Nie to jednak przesądziło o wyniku plebiscytu. Kościół polski jął zaraz nawracać tamtejszych polskich protestantów na katolicyzm, ta zachłanność religijna przeraziła Warmiaków i Mazurów jako ewangelików. W efekcie woleli zostać po stronie protestanckiej, czyli niemieckiej, gdzie do tej pory jako lojalni poddani Prus cieszyli się dosyć dużymi swobodami i gdzie, jak mieli nadzieję, zachowają te same swobody, nadal mówiąc po polsku. Nie przewidywali, nie mogli przewidzieć hitleryzmu.

Dmowski już podczas pobytu w Stanów Zjednoczonych swym antysemityzmem, programem ograniczenia praw Żydów w przyszłej wolnej Polsce, zraził do Polski Żydów amerykańskich, czego fatalne skutki obciążają nas do dzisiaj. Wilson też nie akceptował antysemityzmu i kończący formalnie wojnę traktat wersalski narzucił Polsce mimo protestów Askenazego traktat o ochronie mniejszości narodowych. Analogicznego traktatu, chroniącego mniejszość polską w Niemczech, nie zaprojektowano…

Dzięki Stanom Zjednoczonym jednak i starej sympatii Francji uznano niepodległość Polski. Scalenie ziem polskich po 120 z górą latach rozbicia było kolejnym fenomenem społecznym i psychologicznym. Nie doceniają go do dziś potomni, potrafią kwestionować sam proces scalenia, choć wiadomo, jakie trudności sprawiało po roku 1990 złączenie podzielonych 44 lata Niemiec. Ale Polacy mówili wszyscy jednym językiem, łatwo rozumieli nawet gwarę Ślązaków, inaczej niż Niemcy, gdzie panowały regionalne, ukształtowane przez wieki, czasem nie całkiem zrozumiałe dla innych „platty", dialekty, związane z poszczególnymi „landami", a niekiedy z częściami tych „landów". W Polsce drobne różnice wymowy przysparzały w najlepszym razie żartów. Poważnych konfliktów dzielnicowych nie zanotowano żadnych, drobne tarcia były raczej towarzyskiej natury. Odrodzone państwo od pierwszych dni swej niepodległości - funkcjonowało. Rozwijały się co najwyżej przedziały polityczne – partie stopniowo zamieniały się w plemiona, doszczętnie skłócone i niezdolne do współpracy.

Na ostateczną od razu próbę w roku 1920 wystawiła młode państwo polskie nawała bolszewicka. W Rosji też z dnia na dzień pojawiło się nowe państwo – które tak dokładnie opisał Abramowski. Wódz partii i państwa bolszewików, Włodzimierz Lenin, rosyjski inteligent, cierpiał na kompleks tradycyjnej niemożności inteligencji rosyjskiej. Sposób nań znalazł w rewolucji. Podziwiał armię pruską, więc na sposób wojskowy uczynił ze swojej partii zdyscyplinowany korpus bojowców i konspiratorów, posłusznych wodzowi jako dowódcy i gotowych na wszystko. Nie było ich wielu, ale dzięki właśnie zorganizowaniu i dyscyplinie potrafili, oni, a nie jakieś mityczne „masy ludowe", przeprowadzić w 1917 r. zamach stanu, nazwany Rewolucją Październikową. Lenin zaś i jego partia przejęli po caracie stary instynkt samodzierżawia, które wie lepiej, co dobre dla głupiego ludu.

Namiętnościom bolszewików przydawała rozmachu porywająca wizja utopii, w której kucharki, lud, poprzez „sowiety", rady (stąd Związek „Sowiecki", czyli „Radziecki"), miały rządzić państwem. Ale najpierw tą utopią rządził opętańczy terror. Służyła mu „Cze-Ka", *Czriezwyczajnaja Komissija por bor'bie s kontrriewolucyjej i sabotażem*, Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Kierował nią były więzień caratu, komunista fanatyczny, Polak, Feliks Dzierżyński, akurat bliski kuzyn moich serdecznych przyjaciół Dzierżyńskich, z takiej samej jak i Piłsudski rodziny, z tych samych okolic... To on tworzył terrorem perspektywę Europy i świata. Dzierżyńscy z przerażeniem słuchali wiadomości o wyczynach kuzyna.

Wojnę z Rosją Lenina rozpoczął nieostrożnie Piłsudski. Jego wojska doszły najpierw aż do Kijowa, Komendantowi nadano tytuł Marszałka, ale potem jego wojska musiały cofać się pod naporem przeważających już sił bolszewickiej Armii Czerwonej. Wiódł ją ledwie 27-letni oficer po carskiej szkole wojskowej, generał już w Armii Czerwonej, dowódca wybitnego talentu, Michaił Tuchaczewski. Ten potomek zruszczonej polskiej szlachty ze Smoleńszczyzny, usłał zwłokami przeciwników, zarówno rosyjskich, jak polskich, zajęte ziemie rosyjskie, potem i polskie. Żadne granice się nie liczyły. „Po trupie Polski" miał doprowadzić historię - do rewolucji światowej. Dla niej pchał na zachód Armię Czerwoną Lew Trocki, najpopularniejszy obok Lenina przywódca bolszewików, rewolucyjny internacjonał, na odmianę - Litwak. Wesprzeć ich mieli robotnicy Zachodu, zwłaszcza w Niemczech, które przegrały wojnę. W oczach zarówno Lenina, jak Tuchaczewskiego, zwycięstwo nad Wisłą otworzyłoby drogę do rewolucji jeśli nie w skali Europy, to być może w skali Niemiec i Francji. Zapowiedzią takiej były Węgry, które, przegrawszy wojnę, same się rewolucjonizowały...

Obroną Polski dowodził Piłsudski jako „Naczelnik Państwa" - z tytułem Kościuszki w jego Powstaniu. Do walki stanął cały dosłownie naród. Władzą cywilną kierował najwybitniejszy polityk chłopski dawnej Galicji, Wincenty Witos, co samo już miało znaczenie symbolu. 600-tysięczna armia Piłsudskiego mogła liczyć na nieograniczony dopływ ochotników. Kobiety wszystkich stanów (jak się wtedy jeszcze mówiło) ruszyły na pomoc służbom sanitarnym. Dwudziestoletnia panna Kulwieciówna (którą poznałem już jako sędziwą „panią porucznik"), świetnie jeżdżąca konno, pędziła z rozkazami i meldunkami dla dowództwa. W Płocku kilkunastoletni chłopcy, harcerze, czyli skauci, i uczniowie gimnazjalni, umiejący strzelać, swym ogniem zablokowali oddziałom bolszewickim przekroczenie Wisły, kiedy padli już starsi obrońcy mostu.

Historia wojskowości ma bitwę warszawską roku 1920 za jedną z najważniejszych bitew dziejów - zagrodziła ona bolszewizmowi drogę na Zachód. Utarło się w Polsce mówić o „cudzie nad Wisłą" – i też opowiadali mi weterani, jak w okopach pod Radzyminem oczekiwali finalnego rano ataku „czerwonych", przyjmując od swoich kapelanów ostatnie namaszczenia, a tu naraz, ni w pięć ni w dziewięć, oddziały sowieckie rzuciły się rano 15 sierpnia do gorączkowego odwrotu. Naprawdę - cud! Obrońcy Warszawy spod Radzymina nie mogli się domyślać nawet, że Piłsudski, skupiwszy potężną grupę uderzeniową daleko na południe od Warszawy, zadał rozproszonym, oddalonym od swego zaplecza oddziałom Tuchaczewskiego druzgocący cios z flanki. Na północy Mazowsza rezerwy bolszewickie związał bojem gen. Sikorski... Budionny ze swą konnicą nie zdążył z południowego wschodu, podobno z winy Stalina. Tuchaczewski, cofając się, potrafił po trzystu kilometrach uporządkować swe siły i podjąć nad Niemnem, ostatnią wielką bitwę tej wojny, ale Piłsudski pokonał go znowu. Tak bolszewicy przegrali w Polsce wojnę o rewolucję światową.

Niektórzy zachodni i polscy historycy próbowali odebrać Piłsudskiemu zasługę zwycięstwa. Pomysł uderzenia przypisano generałowi z francuskiej misji wojskowej, ale szlachetny Maxime Weygand, nieobecny akurat wtedy u boku Piłsudskiego, sam zaprzeczył swej roli w sukcesie.

Piłsudski, 53-letni „Dziadek", jak nazywali go czule właśni żołnierze, został polskim bohaterem narodowym. Popularności przyczyniała mu, noszącemu zawsze swój szary mundur, osobista skromność. Nie pozyskała dlań polskiej elity politycznej – choć zaraz po 11 listopada roku 1918 zarządził na styczeń wybory do sejmu. Elita polityczna, przejąwszy władzę w odrodzonym państwie, cała uznała go za wroga. Socjaliści mieli Piłsudskiemu za złe, że - jak mówił - „wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość", rezygnując z rewolucji społecznej. Endecy z Dmowskim na czele nie mogli mu darować legendy, która go otoczyła, ani zaakceptować demokracji i koncepcji państwa federacyjnego, z równymi prawami dla mniejszości narodowych, zwłaszcza dla Żydów. Polskie Stronnictwo Ludowe, poglądami bliższe chrześcijańskiemu konserwatyzmowi, podejrzewało w nim bezbożnego socjalistę, który nie rozumie wsi, modlącej się ze swym Kościołem.

Ci wszyscy politycy zaordynowali społem krajowi ustrój państwa, który miał je ochronić właśnie przed Piłsudskim. Nie słuchali wielkich prawników – ci wypracowali kilka projektów konstytucji, w tym najlepszy chyba – Jozefa Buzka, najwybitniejszego znawcy administracji w historii Polski. Wiedzieli doskonale, że autentyczną ustrojową tradycją polską była Konstytucja Trzeciego Maja z 1791 roku, która skrupulatnie oddzielała, zgodnie z postulatami Monteskiusza i wzorem Ameryki, władzę wykonawczą od ustawodawczej. Tymczasem wszystkie partie polityczne same chciały rządzić. Dlatego do przesady manifestowały swoje obawy, jakimi napawała je groźba dyktatu Piłsudskiego w ewentualnym ustroju prezydenckim, a w każdym razie - utrwalenia władzy Naczelnika Państwa. Nie liczyło się to, że ustrój prezydencki sprawdzał się tak dobrze w Stanach Zjednoczonych. Wybrali ustrój Trzeciej Republiki Francuskiej, do której Polsce było najbliżej i politycznie, i kulturowo. Nie zdawali sobie sprawy z jego słabości. Konstytucją z 17 marca 1921 roku ograniczyli rolę władzy wykonawczej do minimum. Tak zaszczepili państwu polskiemu wszystkie choroby, które latami toczyły Trzecią Republikę Francji - bałagan, KOR-upcję i nieodpowiedzialność. Choroby te osłabiały bogatą Francję. Tym bardziej - młode państwo. W otwartym polu gry dla interesów partyjnych, grupowych i osobistych, interes publiczny schodził na margines. Nigdy zaborcom ci sami politycy nie objawiali tyle niechęci, ile sobie teraz wzajem - co przy konstytucji, opartej na tym samym wzorze, obserwujemy i dzisiaj. Nie zajmowano się wtedy przeciwnikiem wówczas najtrudniejszym: inflacją.

Z inflacją nie można było poradzić sobie mobilizacją Peowiaków, żeby najbardziej oddanych i ofiarnych.

42. CO ZROBIĆ Z WOLNOŚCIĄ

Historię tych lat piszą albo ludzie nie usatysfakcjonowani w swych osobistych ambicjach politycznych, albo sympatycy różnych politycznych ugrupowań. Stąd pozostali poza historią, ot, jakby ich nie było, ci, którzy faktycznie odrodzoną Polskę tworzyli - fachowcy różnych specjalności. Sami też nie pchali się na pierwszy plan sceny politycznej ani historycznej, za to robili swoje. Oni, a nie politycy, zajęci sobą wzajem. Piłsudski przekazał jednak władzę politykom, a oni ze strachu przed jego władzą dali potem państwu kiepską konstytucję. Już zresztą w pierwszych latach niepodległości omal nie przyprawiło to państwa o paraliż. Dopiero po latach rozszyfrowano przygotowywany zamach stanu! Przygotowywany niemal zaraz po odzyskaniu państwa...

Do odradzającej się Rzeczypospolitej przybywali natomiast z samej tylko z Rosji czołowi, pracujący tam inżynierowie, wychowankowie słynnych Instytutów Petersburga, Komunikacji i Technologicznego. Z nimi – słynny już budowniczy portów, Tadeusz Wenda, który za carskich czasów zbudował był port w Windawie na Łotwie i przebudował całkowicie port w estońskim Tallinie. Bez niego nie byłoby Gdyni. Polsce przypadł bardzo krótki odcinek wybrzeży Bałtyku; traktat wersalski uniezależnił prawie zniemczony Gdańsk od Polski jako „wolne miasto". Polsce nie wystarczały zastrzeżone w nim pewne prawa, nie pozwalały na pełny rozwój morski i na racjonalną gospodarkę morską, a przede wszystkim na swobodę żeglugi. Polska potrzebowała zaś broni z Zachodu i pomocy Hooverowskiej, przywóz napotykał na trudności, statki czekały na redzie, nawet bez złośliwości władz portu, czekała armia i czekali głodni. Dlatego właśnie podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku, kiedy brak własnego portu dotkliwie dawał się we znaki, polscy fachowcy zaproponowali, by na północ od Gdańska zbudować własny port. Nie w Pucku, ani Władysławowie, w głębi uroczej, ale płytkiej Zatoki Puckiej, lecz w Gdyni, już nad pełnym morzem. Posłuchano Wendy. Miał zaprojektować teraz – i zbudować Gdynię! Dobrze już po sześćdziesiątce, w ciągu 10 lat, a właściwie – ośmiu lat, niewiarygodnie szybko, zbuduje Wenda najnowocześniejszy, największy port na Bałtyku, Gdynię - za pieniądze państwowe, przy współpracy międzynarodowego konsorcjum finansowego i firm zagranicznych z Danii, Holandii i Francji. Gdynia zmieniała charakter państwa. Inny świetny inżynier, przyszły gospodarczy przywódca Polski, Eugeniusz Kwiatkowski, chciał je zrobić państwem morskim.

Z zachodu wracali fachowcy miary Gabriela Narutowicza. Największy budowniczy zapór wodnych w Europie jako minister robót publicznych wolnej Rzeczypospolitej pobierał pensję taką, jaką w szwajcarskim Zurichu płacił swojemu woźnemu. Na miejscu był już wielki chemik, działający we Lwowie wynalazca metody uzyskiwania kwasu azotowego z powietrza, tj. kwasu atmosferycznego, Ignacy Mościcki, szwajcarski przedsiębiorca, właściciel fabryki w Chippis. Była to sytuacja zgoła inna niż po roku 1989, kiedy nie wrócili do Polski żadni światowej klasy fachowcy, a nielicznych fachowców polskich z Zachodu, którzy się stawili w kraju, nawet nie umiano słuchać.

W naszych czasach jakże trudno było odbudować ciągłość! Nikt nie pamiętał normalnego państwa. Wtedy, po roku 1918, skarbowością mogli się zająć dwaj byli jej mistrzowie z cesarstwa austro-węgierskiego, autor jej reform Leon Biliński i Stanisław Głąbiński, razem ze nimi znakomity ekonomista, profesor jak oni ekonomii, Adam Krzyżanowski, liberał. Dzięki nim, znalazłszy kapitalne ich podręczniki, w latach studiów za najgorszych czasów mogłem uczyć się bezprawnie skarbowości. Krzyżanowski - zaskoczę tu Czytelników, dla których spółdzielczość kłóci się z liberalnym podejściem do gospodarki -

jedną ze swych prac poświęcił spółdzielczości i innym organizacjom wiejskim. Miał je za pełnoprawny element gospodarki rynkowej, włączały one w nią szeregowych obywateli, zwłaszcza tych uboższych, czyniły ich partnerami wielkich pieniędzy! Biliński zaś chciał, by podatki zbierała – gmina, taniej i skuteczniej, co pozwoliłoby uniknąć kosztów przepływu pieniędzy do góry, u góry i z powrotem w dół...

Autor najlepszego do dziś polskiego podręcznika administracji, autor najciekawszego projektu konstytucji dla Polski, Józef Buzek, pochodził z Ziemi Cieszyńskiej, z rodziny, która dała Polsce kilku innych wybitnych Buzków, w tym i stryjecznego wnuka, Jerzego, jednego z premierów po roku 1989, ten jako technik najwyższej klasy, profesor, dziadka stryjecznego akurat nie czytał... Gorzej, nie czytali nasi młodzi współcześni reformatorzy administracji, następcy twórcy reformy samorządowej, Jerzego Regulskiego, którzy zafundowali nam ustrój terytorialny z wielkimi województwami, odtwarzającymi przedwojenne granice... państwowe, z granicami wewnętrznymi na rzekach, choć rzeką powinny gospodarować oba jej brzegi razem. Buzek projektował podział państwa na „ziemie", odpowiadające naszym małym województwom. Te udało się przepchać za... Gierka. Przekonałem prof. Sylwestra Zawadzkiego, którego Gierek słuchał, że małe województwa pomogą mu przełamać dominację partyjnych „baronów" wojewódzkich i zaktywizują pomniejsze miasta. U Buzka te „ziemie" miały uchwalać swoje „konstytucje" w ramach ogólnych regulacji!

Buzek, zwolennik i promotor samorządu, chciał nim uzupełnić Monteskiuszowski podział władz państwa, uważał samorząd za podstawową barierę dla rozwoju centralnej biurokracji. Moi sprzed wojny profesorowie prawa administracyjnego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego traktowali Buzka wrogo. Ale też byli sami przeciwnikami samorządu! Nie przypadkiem podejmuję tu problem naukowej różnicy zdań, która nie musiałaby interesować normalnego Czytelnika. Ta miała wymiar ustrojowy, polityczny. Ich zdaniem, samorząd zagrażał przed wojną suwerenności młodego państwa polskiego - oddałby lokalną władzę mniejszościom narodowym, mającym stanowić jedną czwartą obywateli powstałego państwa. W efekcie Buzek organizował i przez dwanaście potem lat prowadził Główny Urząd Statystyczny.

Inni prawnicy odradzającej się Rzeczpospolitej mieli przed sobą rozwiązanie innego niebywale trudnego problemu. Polska dziedziczyła po epoce zaborów cztery odrębne, często sprzeczne ze sobą porządki prawne. W Polsce centralnej, na ziemiach byłego Królestwa Kongresowego - francuskie prawo cywilne i handlowe; na ziemiach byłego zaboru pruskiego - prawo niemieckie, w byłej Galicji - austriackie, w byłym zaborze rosyjskim, za Bugiem - rosyjskie. Sądownictwo stało się przedmiotem łamigłówek, nie mówiąc już o podręcznikach, po kilka dla każdej dziedziny prawa.

Rozwiązanie problemu znaleziono dopiero po paru latach, po zamachu stanu roku 1926, rozwiązanie inteligentne - być może pouczające i dzisiaj. Prezydent otrzymał prawo wydawania „rozporządzeń z mocą ustawy" i w takim trybie zainstalowano kodyfikacje najwyższych światowych standardów - dzieła niezwykłego zaiste pokolenia znakomitych prawników. Byli to uczeni często europejskiej sławy, tacy jak (wymienię ich w kolejności alfabetycznej) Józef Buzek, Roman Longchamps de Berier, Juliusz Makarewicz, Antoni Peretiatkowicz, Leon Petrażycki, Stanisław Wróblewski, Fryderyk Zoll młodszy, w większości zresztą Zetowcy. Nie pisali tych ustaw ani posłowie, ani zaprzyjaźnieni amatorzy. Tworzyli je najwięksi znawcy prawa, jakich ziemia polska nosiła.

Budowali prawo nie na parę lat, lecz dla perspektywy lat kilkudziesięciu - znakomity kodeks karny, kodeks zobowiązań, kodeks handlowy, kodeks postępowania karnego i takiż postępowania cywilnego... Nie mogli skorzystać, jak Feliks Łubieński ponad sto lat przed nimi i jak można by dzisiaj, z doskonałych wzorców zagranicznych, sami być musieli - i byli doskonali. Dzięki nim powołano także Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, który zjednoczył wszystkie związki ubezpieczeń wzajemnych i - zatrzymał w wycieńczonym kraju olbrzymie pieniądze; inaczej odpływałyby one w świat, jak dzisiaj, zyskami zagranicznych spółek ubezpieczeń komercyjnych. Prawda, że straciły na tym lokalne towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych jak warszawskie, które swymi rezerwami wspomagało budżet miejski, ale łączne rezultaty były dla gospodarki błogosławione... Nie wszystko przychodziło zmieniać. Zachowali ci wielcy prawnicy bez zmian stare, doskonałe polskie prawo hipoteczne, jego podręcznik Dutkiewicza z połowy XIX wieku służył nauczaniu jeszcze w latach 30-tych XX wieku. I co najważniejsze chyba - zachowali tradycję nieskażonej, dumnej przyzwoitości, tak trudnej do wymagania po demoralizacji lat 1939-1989.

Ich uczniowie mnie samego kształcili. Władysław Wolter w apogeum stalinizmu uczył prawa karnego na kodeksie Makarewicza z 1932 r. Traktował tzw. „mały kodeks karny" z 1946 r., legalizujący faktyczne mordy polityczne, jako przejściowy i wobec tego nie zobowiązujący w nauczaniu prawa. Dzięki tym prawnikom „realny socjalizm" po przełomie 1956 roku pozwalał nawet rozwijać międzywojenne prawo cywilne, choć większość prawa normalnej cywilizacji straciła aktualność. Dlatego młodzi prawnicy po 1989 r. nie znali ani prawa wekslowego, ani hipotecznego, nie wiedzieli, ani co to ubezpieczenia wzajemne, ani prawo handlowe. Z prawem do dzisiaj mamy kłopoty: nikomu do głowy nie wpada przeprowadzić studia porównawcze jak Buzek i przyswoić nam choćby znakomity francuski Code de Commerce, Kodeks Handlowy...

Przyzwoitość prawników znajdowała oparcie także, powiedziałbym, geograficzne. Wielkopolska wnosiła w rodzące się państwo - swoje tradycje rzetelności. Z nieoczekiwanymi zderzeniami kulturowymi: ludzie finansów spod władzy cara, inaczej niż przemysłowcy, wielkie interesy zawdzięczali zręczności na granicy oszustwa i nie mieli też specjalnych skrupułów wobec własnego państwa. Natomiast Cyryl Ratajski, prezydent miasta Poznania, jako minister spraw wewnętrznych w Warszawie miał w pokoju przylegającym do gabinetu łóżko żelazne, szafę na garderobę, prymitywną umywalkę i krzesło; obiady przynoszono mu z pobliskiej restauracji. W Poznaniu zarządzał niemałą własną fortuną, ale nie wyobrażał sobie innego trybu życia w służbie państwa.

To państwo, z nieliczną wprawdzie, ale wysokiej klasy kadrą fachowców we wszystkich dziedzinach współczesnej cywilizacji zadziwiało swym odrodzeniem obserwatorów z Zachodu. Galicja dostarczała kwalifikowanych urzędników, administracja starała się działać możliwie nienagannie, gorzej było w życiu publicznym - wzięli w nim górę nad światem fachowym politycy. Prawica, w świecie zachodnim oparcie spokoju i stabilizacji jako reprezentacja konserwatywnych warstw posiadających, tu buchała niepohamowanymi ambicjami, aż po gorączkę nienawiści, obcą demokracji. Nawet w chwilach skrajnego zagrożenia politycy prawicy nie zawsze potrafili się dogadać z innymi, czy raczej - nie można się było z nimi dogadać.

W tej atmosferze Piłsudski z końcem roku 1922, rezygnując z tytułu i władzy Naczelnika Państwa, nie chciał ubiegać się o prezydenturę. Poparł kandydaturę człowieka nie związanego z żadnym stronnictwem - Gabriela Narutowicza, wielkiego inżyniera i organizatora. Endecja prowadziła jednak przeciw niemu wściekłą nagonkę, i to nawet po

wyborze - ponieważ pierwszego prezydenta niepodległej Polski wybrał sejm większością, na którą złożyli się i przedstawiciele mniejszości narodowych! W tydzień po wyborach, 16 grudnia 1922 roku, malarz kabotyn, sfanatyzowany endek, zastrzelił publicznie bezbronnego prezydenta!

Ta nagonka i zamach skompromitowały endecję na całe lata - choć afiliowali się do niej pierwotnie tak wybitni ludzie jak, przykładowo, Władysław Grabski. Ten ekonomista, wybitny znawca rolnictwa i ... problemów pieniądza, jedyny mógł teraz poradzić sobie z inflacją. Nie doszła ona jeszcze do tak nieprawdopodobnej skali, jaką bankierzy niemieccy przemyślnie aplikowali Niemcom, by nie mogły spłacić reparacji wojennych, ale zbliżała się do niej; zrujnowana zaś kompletnie Polska nie dysponowała nawet ułamkiem gospodarki Niemiec, nie tkniętej zniszczeniami. W roku 1924 sejm, przerażony cenami chleba już w milionach marek polskich, udzielił wreszcie Grabskiemu jako premierowi pełni prerogatyw rządowych. Grabski w ciągu trzech miesięcy wyprowadził Polskę z chaosu monetarnego i przywrócił równowagę jej gospodarce. Ustanowił nowoczesny bank centralny i mocny, stabilny pieniądz pod nazwą „złotego" – wymieniano 1,8 mln kursującej marki na jednego złotego. Współczesne, analogiczne reformy europejskie, nawet Hjalmara Schachta w Niemczech, ustępowały klasą reformie Grabskiego, rozmaite ich słabości dekomponowały gospodarkę. Do dziś doświadczenie to, przydatne wielu krajom i po stu latach, nie doczekało się szerszej popularyzacji.

Nie mógł przywrócić Grabski, niestety, równowagi życiu politycznemu. Jego samego ówczesna elita polityczna bardzo szybko się pozbyła, usuwając od kierowania państwem. Schacht pozostał prezesem Banku Rzeszy.

Polska była krajem bez kapitałów. Wojna oczyściła ją z „twardego", wymienialnego pieniądza, wartość banknotów pożarła hiperinflacja. Budować nie było z czego i za co. Kapitał niemiecki odnosił się do Polski wrogo, kapitał krajów zachodnio-europejskich - obojętnie. Jedynym poważnym źródłem środków były więc podatki i z tego narodził się koncept finansowania odbudowy i rozwoju przemysłu przez państwo.

Inżynierowie polscy i menedżerowie, z praktyką w firmach zachodnich, także tych działających w Rosji carskiej, pracowali teraz dla kraju, dla postępów przemysłu polskiego. Nie rozróżniali między firmami państwowymi i prywatnymi, przechodzili z firm prywatnych do państwowych, traktując pracę w tych drugich jako formę bezpośredniej „służby ojczyźnie". Temu Polska zawdzięczała pewien fenomen gospodarczy - niespotykane nigdzie, udane przedsiębiorstwa państwowe. Dla objęcia posady szefa państwowych zakładów zbrojeniowych wymagano sześciu opinii polecających ze strony największych autorytetów branży, oczywiście - z przemysłu prywatnego. Odbudowę przemysłu rozpoczął w Chorzowie Ignacy Mościcki, wielki chemik, w asyście wybitnie utalentowanego menedżera, chemika jak on, Eugeniusza Kwiatkowskiego, który umiał wykorzystać każdą minutę pracy. Opuszczający Azoty chorzowskie fachowiec niemiecki mówił, że mu kaktus na dłoni wyrośnie, jeśli Polacy w ogóle kiedyś te zakłady uruchomią, tymczasem oni, Mościcki z Kwiatkowskim, uruchomili je w miesiąc. Potem rekonstruowali unicestwiony w czasie wojny przemysł chemiczny...

Miała Polska obok fachowców inny atut rozwojowy. Byli nim - nauczyciele, uformowani w duchu Zetu, oddani swej pracy jak misjonarze. W XIX wieku mówiono, że Prusy zawdzięczają swoje wojenne sukcesy nauczycielom pruskim, którzy wychowali żołnierza dla armii Bismarcka. Teraz nauczyciele polscy, opromienieni legendą z dzieł Żeromskiego, choć nie najlepiej płatni, wychowywali pokolenia pionierów rozwoju, zarówno

cywilizacyjnego, jak społecznego. I przyszłych - obrońców Polski. To w nich ci nauczyciele mają swój pomnik, a ich wychowankowie, młodzież epoki okupacji, mają swój pomnik szczególny - jest nim warszawski pomnik zbrojnej Syreny nad Wisłą. Pozowała do niego prof. Nitschowej w 1939 r. piękna, 25-letnia Krysia Krahelska - poetka, w czasie drugiej wojny światowej żołnierz Związku Walki Zbrojnej i potem Armii Krajowej, w Powstaniu Warszawskim autorka „Marsza Mokotowa". Tam, na barykadach Mokotowa, potem zginęła...

Szkoły średnie wpajały swoim uczniom etos inteligencji polskiej - ta nieznana Zachodowi Europy warstwa społeczna traktowała wykształcenie jako zobowiązanie wobec ogółu współobywateli. Młody polski pedagog, Zetowiec oczywiście, Aleksander Kamiński, stworzył metodykę skautingu dla najmłodszych. Nazwał ich „zuchami" - tych „zuchów" już jako starszych chłopców druga wojna światowa zwiąże konspiracją młodzieży harcerskiej, zwaną „Szarymi Szeregami" – pod wodzą Kamińskiego. Przedwojenny międzynarodowy ruch skautowy zarzucał harcerstwu polskiemu nadmierną „militaryzację", stałą „zabawę w wojsko". Ta „zabawa" jednak bardzo się potem przydała. Harcerstwo przygotowało całą generację żołnierzy armii września 1939 roku i okupacyjnego podziemia zbrojnego, a także nastoletnich bohaterów „małego sabotażu" z legendarnego podziemnego zgrupowania „Wawer".

Cenzura w minionym ustroju przepuściła mi opinię, że Aleksander Kamiński to jeden z największych Polaków XX wieku, i mógł on sam jeszcze te słowa o sobie przeczytać. Pozostała po nim nie tylko słynna okupacyjna książka „Kamienie na szaniec". Zostały i świetne studia pedagogiczne, swoiste właściwie podręczniki. Było w nim coś z rewolucjonisty – odwracał sens pedagogiki. Lansował samowychowanie i pomoc w samowychowaniu, z samorządem młodzieży. Mogłem sam przekonać się, co to znaczy. Wyszedłem z Domu Młodzieży, powojennego domu sierot i półsierot wojennych, w pałacu Potockich w Krzeszowicach - trzysta nas, chłopców i dziewcząt, było przekonanych, że wychowujemy się sami, że starsi ludzie, opiekujący się nami, są tylko fachowcami różnych umiejętności. Piękna pani Ney pomagała robić teatr kukiełkowy, pan Baczyński, przedwojenny lekkoatleta, zajmował się nauką sportu i opieką nad naszymi drużynami sportowymi, a „kierusa", olbrzyma, Władysława Śmiałka, który z Oświęcimia wyszedł ważąc 41 kilo, traktowaliśmy jak ojca nas wszystkich. Rządził nasz samorząd, największym autorytetem i wzorcem osobowym był starszy młodzian, inwalida po partyzantce – i wszyscy wiedzieli, że tak jest jak ma być wedle autora „Kamieni na szaniec", tudzież wedle drugiego genialnego pedagoga, Janusza Korczaka, ukochanego pisarza najmłodszych, autora „Króla Maciusia Pierwszego".

Tak, na długo przed moimi młodymi latami wychowywał dzieci, młodzież i nauczycieli drugi obok Kamińskiego wyjątkowy pedagog - Janusz Korczak, z wykształcenia i zawodu lekarz pediatra, z talentu pisarz i równego talentu wychowawca. Wiedzieliśmy, że zabiegał o prawo dziecka do szacunku, oczekiwał rozwijania jego samodzielności. W przedwojennym świecie Korczak musiał odkrywać dorosłym, kim są jako panujący władcy wobec dzieci-poddanych. My po wojnie byliśmy od dziecka samodzielni, nie baliśmy się dorosłych, bano się band takich jak my, osieroconych dzieci - jak pokazywał Bela Balazs w filmie „Gdzieś w Europie". Dzięki Krzeszowicom i książkom chcieliśmy być tak mądrzy jak „Król Maciuś Pierwszy". „Stary doktor", który zginął ze swymi żydowskimi podopiecznymi w komorze gazowej Treblinki, stawiał wyzwanie także swym bohaterstwem.

Ci dwaj wielcy pedagodzy na pewno wpływali na świat nauczycieli, wychowanych w zasadach Zetu. Ci nauczyciele wychowali całe następne pokolenia. Zadawałem sobie pytanie, czy to wychowanie kształtowało i fachowców polskich. Jak mówił mi starszy pan Jan Skotnicki, jeden z owych wybitnych menedżerów, którym przypadło po Wielkim Kryzysie lat trzydziestych stawiać na nogi zakłady Scheiblera-Grohmana, harcerstwo i Korczak uczyli młodzież w latach dwudziestych poczucia godności własnej, zaradności i - ambicji. „Ambicji – dla Ojczyzny", powiedział pan Jan. I dodał – „tego po stalinowskich czasach już chyba nikt nie rozumiał". To się zgadza: nie pieniądze dopingowały przed rokiem 1939 postęp w Polsce, lecz właśnie ambicje. Uczelnie wyższe kształciły fachowców najwyższej klasy, nie zamierzały ustępować w niczym światowej czołówce nauki. Polscy matematycy dali już światowej logice matematycznej zapis Łukasiewicza, teraz kształciła następców brylująca w światowej matematyce polska szkoła lwowsko-warszawska z jej największą gwiazdą, Stefanem Banachem (po którym są w matematyce „przestrzenie Banacha"). Z tej szkoły wyjdą Marian Rejewski z dwoma kolegami – złamią oni tajemnicę hitlerowskiej maszyny szyfrowej „Enigmy", co się tak przyda zachodnim aliantom w drugiej wojnie światowej - pierwsi złamali ją oni, polscy matematycy, Alan Turing, geniusz angielski, zajął się tym później.

Do Warszawy w 1928 r. przybył z Niemiec Jan Czochralski - prawdopodobnie w obawie przed wykryciem jego współpracy z wywiadem polskim. Ten ojciec światowej krystalografii i przełomowej dla produkcji półprzewodników metody „wyciągania" monokryształów, genialny metalurg, stworzył i nowy metal, metal „B", bezcynowy stop łożyskowy, który mógł dać kolejnictwu ogromne oszczędności. Przekazał Czochralski armii polskiej wszystkie swoje tajemnice techniczne, założył Instytut Metalurgii i Metaloznawstwa na Politechnice Warszawskiej. Zawistni co rusz go atakowali, chciał zrezygnować z kierowania Instytutem, wojsko nie pozwoliło na jego odejście i Czochralski dalej kształcił młodych metalurgów polskich. W czasie okupacji wykorzysta niemiecki szacunek dla swej dawnej w Niemczech pozycji naukowej i w swoim zakładzie przechowa sporo ludzi tropionych przez okupanta; produkował różne elementy broni dla podziemia. Polska PRL-u nie będzie umiała docenić tych zasług i Politechnika Warszawska, o wstydzie, pozbawi genialnego uczonego – wykładów...

Z polskich uczelni wyszli młodzi metalurgowie, którzy w roku 1935 opracowali aż dwie różne nowe technologie węglików spiekanych, czyli technologie metali super-twardych, jako drudzy w świecie, w niecały rok po narodzinach tej technologii, zwanej „widią", w Niemczech. Metalurgia metali kolorowych ma „liczbę Buzka" - po badaniach profesora Akademii Górniczo-Hutniczej, Jerzego Buzka. To on, dodam, unowocześnił hutę w Węgierskiej Górce, gdzie odlano największą w świecie rurę wodociągową, średnicy 1,2 m... W 1934 czterdziestoletni polski inżynier, Tadeusz Sędzimir, w Hucie „Pokój" zapoczątkował walcowanie cienkiej blachy taśmowej na zimno; jako „Sendzimir" zrobi potem dzięki swym blisko pięćdziesięciu wynalazkom wielką karierę i pieniądze w hutnictwie amerykańskim.

Polska technika obdarzyła kraj znakomitymi konstruktorami broni, czołgów i samolotów. U nas powstała trzystrzałowa, potężna rusznica przeciwpancerna, o której dalej. Niestety, nasz przemysł nie zdążył wyposażyć w nią naszej armii przed kampanią września 1939 r. – nie rozumieli jej znaczenia i możliwości nawet wojskowi, sprawni w wojnie „końskiej" z roku 1920. Dzięki świetnym polskim samolotom sportowym z serii RWD (Rogalskiego, Wigury i Drzewieckiego) polscy lotnicy wygrywali raz po raz wielkie międzynarodowe zawody lotnicze. Były i świetne samoloty bojowe, ale za mało na wielką wojnę... Uczył polskich inżynierów myślenia ekonomicznego jeden ze światowych pionierów organizacji

pracy, Karol Adamiecki, europejski ojciec harmonogramu. Wspierał go uznany przywódca techników polskich, Piotr Drzewiecki - ci technicy robili wszystko, by te umiejętności przyswoić sobie i rozwinąć. Prawnicy kształcili pokolenie następców najwyższych kwalifikacji.

W życiu politycznym nie znajdowało to prawie żadnego odbicia. Wyobraźni brakowało i endekom, i socjalistom, i konserwatystom, związanym z wielką własnością ziemską, jak i przywódcom chłopskim Polski centralnej i wschodniej, z jej nader skromnymi postępami rolnictwa. Wzoru Wielkopolski nie umiano ani wykorzystać, ani spopularyzować. Ba, nie znano go nawet. O wsi mówiono, że łączeniu wysiłków przeszkadza indywidualizm chłopski, sam wysłuchiwałem, jeszcze po roku 1990, opinii, że „chłopi nie chcą się zrzeszać", ale jakoś tamtym w Wielkopolsce to się pod pruskim zaborem udawało. Nikt się nie pasjonował doświadczeniami Wielkopolski, ani nawet Liskowa, nie studiował, jak się tam ludzie skutecznie organizowali, nikt nie naśladował, choć do tej specjalnej, pobudowanej przez Lisków szkoły przyjeżdżali się uczyć chłopi z całego kraju. Zacofana „polska" Wileńszczyzna, gdzie ponad 40 procent obywateli mówiło w jidysz bądź po białorusku, nie umiała skorzystać z doskonałego, konkurencyjnego wzoru obok – świetnie zorganizowanej, kwitnącej, spółdzielczej, chłopskiej Litwy.

Teoretycy gospodarki mówili o przeludnieniu. Ale w wielu okolicach kraju wieś pozostawała siedliskiem biedy nie z nadmiaru mieszkańców. Nie znała ani spółdzielczości kredytowej, ani spółdzielczości zbytu, ani wspólnego, spółdzielczego zaopatrzenia w sprzęt, maszyny i nawozy, nie znała ubezpieczeń wzajemnych i samokształcenia w kółkach rolniczych. Dlatego to chłopi w latach międzywojennych nadal emigrowali z Polski, głównie teraz do Francji. Wychodzili także - na emigrację sezonową, do robót rolnych w Niemczech, Danii, na Łotwie i w Estonii. Wyszło z Polski około miliona ludzi. Nie umiało czytać i pisać jeszcze w 1931 r. ponad 23% społeczeństwa, czyli kilka milionów ludzi... Wieś byłego Królestwa powoli nabierała zaufania do kas Raiffeisena, zwanych po śmierci polskiego pioniera kasami Stefczyka. Dzielni pedagodzy wiejscy, tacy jak Ignacy Solarz, organizowali wzorem duńskim uniwersytety ludowe – jednakże niewielu więcej próbowało. Przywódcy chłopscy, włącznie z Witosem, tak mądrym premierem rządu w trudnych dniach 1920 r., zajmowali się zdobywaniem władzy, nie gospodarką chłopską i analfabetyzmem.

Z odległości historii kręgi fachowe i naukowe, odległe od gry politycznej i jej degrengolady, giną z obrazu dziejów. Ich stosunki ze środowiskiem polityki zasługują na wnikliwsze badania. W swych poszukiwaniach stwierdziłem tylko, że świat fachowy i naukowy rekrutował się głównie z kręgu „zetowego". Co najważniejsze - ci ludzie umieli współpracować. Ta umiejętność rzutowała i na sposób bycia, bezpośredni, bez barier pochodzenia i kultury. Politycy jej nie znali.

43. WYŚCIG Z CZASEM

Czy mogło być inaczej? Wolna już, wcale nie protestancka, lecz katolicka, chłopska Litwa przeprowadziła w początku lat dwudziestych XX wieku radykalną, ale za odszkodowaniem reformę rolną. Pozbyła się polskich ziemian, a w latach międzywojennych dzięki wybornie działającej, na duńskich wzorach, chłopskiej spółdzielczości rolnej podniosła swe rolnictwo do światowego poziomu. W czasie Wielkiego Kryzysu obniżyła ceny w eksporcie rolnym o połowę i ... podwoiła go, wypychając, dla przykładu, z rynku angielskiego polskie jaja i bekony – jaja i bekony, stanowiące, jak wiemy z powieści Agaty Christie, podstawę ówczesnej angielskiej diety. Także ukraińskie spółdzielnie rolnicze w województwach południowo-wschodnich na głowę będą biły tamtejszą spółdzielczość polskich rolników. Żydowskie znów spółdzielnie kredytowe we wschodniej Polsce pozwalały żydowskim krawcom kupować materiały krawieckie hurtem, więc taniej, a każdy polski krawiec kupował je sam po cenach detalicznych. Nie brakowało wprawdzie polskich fachowców, ani doświadczeń. Brakowało w centralnej i wschodniej Polsce wyobraźni i woli.

Piłsudski nie znał się na tym. Za to ciągłe jak we Francji zmiany rządzących gabinetów i kłótnie partyjne odbierał jako paraliż państwa. Nie on jeden. Kręgi wojskowe uważały paraliż decyzyjny za tym groźniejszy, że Niemcy - wcale jeszcze nie hitlerowskie - w 1922 r. zawarły w Rapallo złowieszczy dla Polski układ z Rosją sowiecką o współpracy wojskowej. Wbrew zakazom traktatu wersalskiego budowały przemysł zbrojeniowy - poza krajem, w Sowietach właśnie, i szkoliły armię sowiecką. Wywiad polski przekazywał z Niemiec wiadomości o wrogich Polsce zamiarach, odsłaniała je korespondencja między wybitnymi politykami niemieckimi, wcale jeszcze nie hitlerowskimi. Polskę zaś naturalne granice w postaci gór chroniły tylko od strony południowej, z której nic jej nie groziło; od zachodu i wschodu była krajem otwartym.

Prezydentem Rzeczypospolitej po Narutowiczu został były najbliższy współpracownik Piłsudskiego z czasów konspiracji, późniejszy wielki działacz spółdzielczy, Stanisław Wojciechowski. Niewiele z jego prezydentury wynikało, nie potrafił – nie miał jak – doprowadzić polityków do wspólnego stołu. Polska „klasa polityczna", jak określił środowiska polityków włoski socjolog Gaetano Mosca, wytworzyła atmosferę i stosunki, w których, ni mniej ni więcej, udzielono dymisji rządowi Władysława Grabskiego. Wielki reformator, twórca zdrowego pieniądza, musiał odejść – rzekomo wobec kłopotów z budżetem! Polska klasa polityczna po prostu pozbyła się tego wielkiego człowieka.

Oznaczało to i porażkę inicjatywy jego brata jako ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Stanisław Grabski, kiedyś współzałożyciel Polskiej Partii Socjalistycznej, potem ideolog Stronnictwa Narodowego, pisał dla Dmowskiego teksty programowe jako antysemita, aktywny w kampanii szczującej nacjonalistów przeciw Narutowiczowi. Porzuciwszy endecję, kolejny raz odwrócił poglądy - i porozumiał się z reprezentacją Żydów polskich. Było ich, jeśli brać pod uwagę deklarowane (w roku 1931) wyznanie „mojżeszowe", 3,1 miliona, z nich ponad 2,7 miliona mówiło „po żydowsku", czyli głównie „jidysz", bo nie hebrajskim. Grabski zawarł z ich przedstawicielami tzw. ugodę polsko-żydowską – nigdy nie zrealizowaną. Żydzi polscy niewiele chcieli – oczekiwali przeciwstawienia się kampaniom antysemickim, usunięcia tzw. *numerus clausus*, ograniczającego liczbę studentów żydowskich na uczelniach wyższych i w szkołach średnich. Postulowali też, by nie zmuszano Żydów... do odpoczynku w niedzielę. Chcieli po prostu - równych praw.

W maju 1926 r. Piłsudski, poparty przez większość armii, dokonał zamachu stanu. Krwawego. Walki wprawdzie nie trwały długo, niemniej zginęło w nich paruset ludzi. Wojciechowski, rozgoryczony nielojalnością dawnego druha, zrezygnował, Piłsudski oddał ofiarom starć manifestacyjny hołd. Komisja do zbadania KOR-upcji, szerzącej się podobno przy władzy premiera Witosa i prezydenta Wojciechowskiego, niczego nie znalazła, tak więc jedyną racją dla zamachu mogło być ustanowienie stabilnego rządu. Przynajmniej to się udało.

Piłsudski żywił ambicję „sanacji", uzdrowienia państwa. Dawni zwolennicy zrozumieli go. Nie chciał przyjąć prezydentury, nowy sejm wybrał prezydentem owego wielkiego uczonego, chemika, menedżera zarazem, byłego człowieka interesu, jak się wtedy mówiło, Ignacego Mościckiego. Premierem został profesor politechniki, były minister kolei, Kazimierz Bartel, a drugi znakomity chemik i jeszcze lepszy menedżer, Eugeniusz Kwiatkowski, objął jako minister skarbu władzę nad gospodarką. Prezydenta upoważniono do wydawania owych rozporządzeń z mocą ustawy, co niesłychanie przyspieszyło prawodawstwo – z udziałem, jak wiemy, prawników najwyższej klasy.

Pod ręką Kwiatkowskiego gospodarka ruszyła z kopyta, zwłaszcza - budowa Gdyni pod ręką Wendy. Także - nowych zakładów produkcji nawozów sztucznych. Niepisana zmowa inżynierów i menedżerów przemysłu, państwowego i prywatnego, robiła swoje, Kwiatkowski z Mościckim wprowadzili w przedsiębiorstwach państwowych taki tryb zarządu, jak w przemyśle prywatnym, z pełną ich samodzielnością. Kraj, do tej pory ledwo dźwigający się ze zniszczeń wojennych, ciągle produkujący mniej niż przed pierwszą wojną światową, teraz rozkwitał. Drobnemu handlowi i rzemiosłu przydało się 600 tysięcy Żydów, którzy uciekli z Rosji bolszewików. Dostali teraz, choć dopiero z inicjatywy Piłsudskiego, polskie paszporty.

Załamał koniunkturę - Wielki Kryzys, po słynnym krachu jesienią 1929 r. na giełdzie nowojorskiej. W Polsce obrócił się i w kryzys polityczny. Nie znający się na gospodarce, 63-letni „Dziadek" stracił nerwy i zdrowy rozsądek. W roku 1930 zdymisjonował Kwiatkowskiego - jako winnego załamania. Co gorsza, rozwścieczony atakami politycznymi, kazał ni mniej ni więcej aresztować krytyków i postawić ich przed sądem w Brześciu, mało - zamykać ich bez sądu w obozie odosobnienia, w osławionej Berezie Kartuskiej! Sadzał swych dawnych najbliższych współpracowników, trafił do Berezy ów chłopski premier z 1920 roku, Wincenty Witos. Nie liczyły się rzeczywiste dramaty Wielkiego Kryzysu, upadki przedsiębiorstw, bezrobocie, przypadki śmierci z głodu na ulicach Łodzi i rozpaczliwe samobójstwa bankrutów.

Nie rozumiał Piłsudski chyba i nowoczesnej techniki wojskowej. Nie umiał docenić Bartla i Kwiatkowskiego, ale też samolotów i czołgów. To on ponosi faktycznie odpowiedzialność za niedostateczne przygotowanie Polski do obrony w roku 1939... W parę lat od procesu brzeskiego, po najdramatyczniejszych dniach Wielkiego Kryzysu, w roku 1934, opublikował genialną książkę o przyszłej wojnie oponent wojskowy i polityczny Piłsudskiego, skądinąd mało sympatyczny i trudny we współpracy, ale niezwykłych zdolności generał Władysław Sikorski, były bardzo udany dowódca z wojny 1920 r. Opisał nie tylko „wojnę błyskawiczną" potężnych zagonów pancernych, jakie poprowadzi w 1939 roku Heinz Guderian, ale także - zapowiadany przez wojskowych niemieckich ludobójczy charakter wojny ze strony Niemiec, wtedy już hitlerowskich. Określił nawet termin wybuchu wojny - do roku 1940. Znali tę książkę oficerowie polskiego sztabu generalnego, znalazłem w ich encyklopedii wojskowej z roku 1938 prognozy Sikorskiego. Także - dane

o przygniatającej przewadze technicznej armii Niemiec hitlerowskich, np. o kilkudziesięciu tysiącach ciężarówek niemieckich w porównaniu z paroma tysiącami polskich.

„Przyszła wojna" ukazała się prawie zaraz po francusku, ze wstępem samego Filipa Petaina, legendarnego dowódcy spod Verdun. Stojący nad grobem „Dziadek" książki nie przeczytał. Ani, co gorsza, związani z nim wyżsi oficerowie, „pułkownicy", nowa elita polityczna. Ani następny marszałek Polski, Edward Rydz-Śmigły, oficer z doświadczeniem, jak się rzekło, wojny „końskiej" roku 1920. Podobno od 1935 r. pracował nad 6-letnim planem rozwoju uzbrojenia, nad przyszłością polskich sił zbrojnych. Nie wierzę w to. I on nie czytał nie lubianego Sikorskiego. Wielkiemu naszemu reporterowi, Melchiorowi Wańkowiczowi, przyznał się w Rumunii po klęsce wrześniowej 1939 r. - "nie przewidzieliśmy tej inwazji czołgów"! Sikorski ze swymi kompleksami był rzeczywiście dość niesympatyczny, ale nie na tym należało budować zainteresowanie jego wiedzą i zmysłem strategicznym. Paradoks chciał, że nie tylko polska elita wojskowa zlekceważyła mądrość Sikorskiego. Petain, który jakby nie było napisał przedmowę do jego książki, nie skorzystał z niej także. Być może nie uwierzył. Kosztowało to Francję kompromitującą katastrofę.

Myślę, że Rydz-Śmigły nie rozumiał też, co oznacza program Hjalmara Schachta z aktywną rolą państwa i banków niemieckich w rozbudowie niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Schacht popierał intensywny jego rozwój już od roku 1933, kiedy wrócił na stanowisko prezesa Banku Rzeszy. Dopiero śmierć Piłsudskiego w roku 1935 pozwoli mądrzejszym ludziom z polskich kół wojskowych z nowym ministrem spraw wojskowych, generałem Tadeuszem Kasprzyckim, rozwinąć w przymierzu z Kwiatkowskim program zbrojeń. Kwiatkowski dzięki Mościckiemu wrócił do rządu jako wicepremier, z decydującym wpływem, wbrew „pułkownikom", na rozwój gospodarki.

Do wyścigu stanęły teraz największe talenty inżynierskie i menedżerskie, tempo robót było iście amerykańskie - w Stalowej Woli pierwszy wielki piec ruszył w 11 miesięcy od ścięcia pierwszego drzewka na placu budowy, w miesiąc później wyszły z zakładów pierwsze klasy światowej działa. Niemniej cały ten program był już spóźniony - o decydujące kilka lat sklerozy „Dziadka"... Wszystkich znakomitych samolotów PZL wyprodukowano tyle, ile powinno było wychodzić z Polskich Zakładów Lotniczych co roku. To samo z czołgami. Czołg Magnuskiego i Habicha był lepszy od hitlerowskiego „tygrysa", odporniejszy i zwrotniejszy. Tylko tych czołgów było na lekarstwo...

Polski inżynier, Józef Maroszek, skonstruował w roku 1935 ową rusznicę przeciwpancerną kb UR, trzystrzałową. Wyprzedzała znacznie siłą rażenia późniejsze, jednostrzałowe jeszcze rusznice niemieckie i sowieckie, a nie przewracała strzelca jak one... Utajniono produkcję, rzekomo przeznaczoną dla... Urugwaju, te rusznice zostały – „urugwajami". Gdyby ich wyprodukowano dostatecznie dużo i tysiącami ich wyposażono armię polską, czołgi Guderiana, ze stosunkowo cienkimi jeszcze przednimi blachami, trafiłyby na zupełnie inny odpór... Niemniej nawet inżynier o inteligencji Kwiatkowskiego nie docenił „urugwajów". Prawdopodobnie nawet on też tego antypatycznego Sikorskiego nie czytał. Ba, przed samą wojną sprzedano do Anglii znakomite działka przeciwlotnicze na szwedzkiej licencji Boforsa - broniły potem skutecznie Londynu w „bitwie o Anglię". Sprzedawano i świetne bombowce „Łosie". Trudno to wytłumaczyć.

„Dziadek" nie umiał wrócić do swej koncepcji federacyjnego charakteru państwa. „Pułkownicy" tym bardziej. Z terenów zamieszkałych przez Ukraińców i Białorusinów odrodzona Rzeczpospolita Polska nie uczyniła wzoru wolności, nie tworzyła wyobraźni jutra Ukrainie i Białorusi, głodzonym i trzebionym z inteligencji przez Sowiety. W

polskich województwach wschodnich - wileńskim, nowogródzkim, białostostockim, poleskim, wołyńskim, lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim, na 13 milionów ich mieszkańców tylko 5,5 milionów podawało w roku 1931 jako język ojczysty - język polski, a jedna trzecia z tych 13 milionów, zwłaszcza tzw. „tutejsi", nie podający w spisie powszechnym żadnej narodowości, i Białorusini, nie umiała czytać i pisać. Po śmierci Piłsudskiego „pułkownicy" w swej ślepocie politycznej ostatecznie zmarnują szanse porozumienia z tymi mniejszościami – w ciągu paru lat przed wojną, nie do wiary!, rozbiorą ponad sto cerkwi prawosławnych, będą prześladowali nawet spółdzielczość rolną Ukraińców z ich „Centrobankiem" spółdzielczości kredytowej i „Masłosojuzem", związkiem spółdzielni mleczarskich. Policjanci, doszukując się w nich wpływów sowieckich, będą w swej arogancji i złośliwości otwierali spółdzielcze bańki z mlekiem i siusiali do nich... Upokarzanych tak Ukraińców uczono nienawiści do Polaków - za co mieli tragicznie zapłacić Polacy podczas drugiej wojny światowej.

Dmowski po przewrocie majowym stworzył dla opozycji wobec Piłsudskiego Obóz Wielkiej Polski. Chciał organizacji masowej, opartej na wzorach Mussoliniego, bezwzględnie posłusznej wodzowi i jego Wielkiej Radzie. Zgarnął trochę młodzieży studenckiej, ale już rok później, w 1927, po jej ekscesach antysemickich cofnięto Obozowi Wielkiej Polski prawo działalności w Małopolsce wschodniej. W 1930 roku Wielki Kryzys napędził do Obozu Wielkiej Polski rozgoryczonych młodych bezrobotnych ze środowisk robotniczych, zebrało się tak ze 25 tysięcy członków; po roku OWP ubierał się już - niby faszyści włoscy - w mundury.

Ci młodzi faszyści polscy swoimi bojówkarskimi wyczynami osiągnęli tyle, że w 1932 roku rozwiązano Obóz Wielkiej Polski w Wielkopolsce, na Pomorzu i Kielecczyźnie; w roku 1933 rozwiązano go cały definitywnie. Młodzi jego członkowie zorganizowali się w Sekcję Młodych Stronnictwa Narodowego, do którego, formalnie przynajmniej, na razie nie należeli. I już samo Stronnictwo Narodowe, do tej pory - parlamentarne, jęło naśladować ruch Mussoliniego. Odrzucało demokrację i parlamentaryzm. Władza przypaść miała „elicie narodu". W państwie i życiu publicznym - zapanować powinna struktura hierarchiczna, z ograniczeniem praw mniejszości narodowych i udziału ich w życiu społecznym, zwłaszcza - Żydów. Elitę oczywiście wyznaczałby Dmowski.

„Młodzi" faszyści polscy rośli w swych ambicjach przywódczych; stąd w roku 1934 pojawił się Obóz Narodowo-Radykalny. Atakował już nie tylko Żydów, demokrację i równość, ale i kapitalizm. Wyjść z Wielkiego Kryzysu obiecywał ustrojem faszystowskim, przyzywał jako wzór sukcesy Schachta w Niemczech. Po kilku miesiącach władze państwowe rozwiązały ONR. W działalności nielegalnej podzielił się ONR na dalsze ugrupowania ze swoim wodzami. To głównie one wszczynały antysemickie awantury.

„Pułkownicy", niestety, przejmą w jakimś stopniu endecką wrogość wobec Żydów. Będą w nich widzieli sympatyków Sowietów – mimo ucieczki kilkuset tysięcy Żydów z bolszewickiej Rosji do Polski, którym Piłsudski dał polskie paszporty. Jest oczywiście prawdą, że Komunistyczna Partia Polski, obciążona od 1930 r. zadaniami wywiadowczymi dla ZSRR, „ojczyzny światowego proletariatu", składała się głównie z byłych Litwaków, jednakże było to na cały kraj ledwie parę tysięcy ludzi – trochę nad 0,1 procenta ogółu obywateli deklarujących wyznanie mojżeszowe. W sejmie polskim aż po rok 1935 zasiadała „frakcja komunistyczna", reprezentująca Komunistyczną Partię Polski, od dawna nielegalną – bez nikogo nawet pochodzenia żydowskiego w swoim sejmowym składzie.

Polacy niewiele wiedzieli o Żydach. Żydzi niewiele wzajem o Polakach. Żyły obok siebie na co dzień te dość obce sobie nacje bez wrogości, nieraz w bliskiej komitywie. Wiemy, że z ponad 2,7 miliona Żydów, podających jako język ojczysty - żydowski, „jidysz", lub hebrajski, prawie tylu ich albo nie mówiło, albo słabo mówiło po polsku. Żyli w samowystarczalnych, zamkniętych, liczących po kilkadziesiąt tysięcy społecznościach w wielkich miastach, po kilka, kilkanaście tysięcy w mniejszych - twórczość noblisty, wielkiego Izaaka Singera, z warszawskich Nalewek, nie obejmuje ich polskiego, warszawskiego otoczenia. W małych miasteczkach, zwłaszcza na wschodzie Rzeczypospolitej, kiedyś korzystających z przywileju *de non tolerandis christianis*, wykluczenia chrześcijan ze współmieszkania, tamtejsi Żydzi, skupieni w swoich „sztetlach", stanowili większość mieszkańców.

Odosobnienie „sztetli" starała się przełamać najpotężniejsza partia żydowska, najliczebniejsza partia polityczna w Polsce, Agudas Isroel. Chciała zbliżyć Żydów i Polaków, uczyła Żydów polskiego i polskiej historii. I też sto tysięcy młodych polskich Żydów z pełnym oddaniem będzie walczyło w polskiej armii przeciw najazdowi hitlerowskiemu, polscy Żydzi i Polacy żydowskiego pochodzenia, polscy patrioci, byli jak Bernard Mond generałami tej armii, inni Żydzi jej wyższymi oficerami. W Katyniu wśród krzyży stoją i macewy pomordowanych polskich oficerów mojżeszowego wyznania – jak i na cmentarzu zdobywców Monte Cassino…

Najwięksi poeci polscy, akurat Polacy żydowskiego pochodzenia, szczerzy patrioci polscy, piszący w najpiękniejszej, niezrównanej wręcz polszczyźnie, jak Leśmian i Tuwim, nie tracili kontaktu ze środowiskami żydowskimi. A poprzez Agudę można było porozumieć się nawet z Żydami nie mówiącymi po polsku. Tymczasem władze państwowe tolerowały endeckie ekscesy antysemickie na wyższych uczelniach. Ograniczano liczebność studentów żydowskich zasadą wspominanego już tutaj *numerus clausus*. Wysłannicy rządu jeszcze na półtora roku przed wybuchem wojny jeździli na… Madagaskar, by zbadać, czy mogliby tam emigrować Żydzi polscy. Anglia z kolei świadomie, dla dobrych stosunków ze światem arabskim, ograniczała napływ Żydów do Palestyny.

„Pułkownicy" zmieniali się u władzy jak w krytykowanej przez nich „sejmokracji". Starli się nawet z chłopami polskimi; w krwawych starciach padły i ofiary śmiertelne. Dopiero wobec rosnącego zagrożenia ze strony Niemiec hitlerowskich „sanacja", pod naciskiem Mościckiego i Kwiatkowskiego, byłych socjalistów, zaczęła szukać kontaktu z opozycją. Tak czy inaczej, dyktatura, nawet względnie łagodna, daleka od faszystowskiej, hitlerowskiej czy sowieckiej, nie uzdrowiła państwa i nie uratowała kraju. Sama wiedziała wszystko lepiej. Jak na ogół dyktatury. I nie tylko one.

Rządy sanacyjnej Polski i wzorowo demokratycznej Czechosłowacji nie umiały dostrzec rosnącego zagrożenia hitlerowskiego i wyciągnąć z niego wniosków. Czechosłowacja dysponowała 30 dywizjami najlepiej uzbrojonej armii Europy, dobrze wyszkolonej, z zapleczem najwyżej rozwiniętego przemysłu zbrojeniowego i kapitalnym systemem fortyfikacji, który miałem okazję zwiedzać. Polska miała 50 dywizji, nie tak uzbrojonych jak armia czechosłowacka, ale z doświadczonymi dowódcami i bitnym żołnierzem, te siły, 80 dywizji, połączone, mogły odstraszyć ewentualną agresję Niemiec hitlerowskich. Andrzej Wielowieyski znalazł ślady polskiej myśli wojskowej na ten temat, ale dosłownie – ślady. Ani polskie, ani czeskie zaplecze intelektualne armii nie umiało wznieść się ponad wzajemne niechęci elit politycznych Polski i Czechosłowacji. Innymi słowy, te dwa najbardziej zagrożone państwa przegrywały drugą wojnę światową na długo przed jej wybuchem i przed zdradą, jaką wobec Czechosłowacji popełnił Zachód układem

monachijskim w roku 1938. Zachód oddał tym układem Czechosłowację hitlerowskim Niemcom. Rząd polski, o wstydzie, wziął udział w jej rozbiorze, zajmując Zaolzie, skrawek jej państwa z polską większością.

Opozycja? Z końcem lat 30-tych XX wieku Dmowski, jak większość ideologów, nawet chorując na władzę, nie uformował żadnej alternatywy dla rządów „sanacji" i jej „pułkowników". Umiał być tylko przeciw. Nie formułował żadnego programu, nie mówił, co by należało zrobić, ani jak przygotować się do nadchodzącej wojny... Socjaliści tylko się dzielili, ich program z 1934 r. zawierał wszystkie bzdury, których realizację podjęła PRL. Włącznie z „gospodarką planową" jako lekiem na kryzysy kapitalizmu.

Wśród tych zagrożeń i nieporozumień zabrakło Polsce oparcia w sile, która ją przez tyle wieków jednoczyła - w Kościele katolickim. W postępach Polski międzywojennej duchowieństwo nie brało udziału. Nie upowszechniano doświadczeń księży Wielkopolski. Przeciwnie, idący w ich ślady ksiądz Wacław Bliziński, który jeszcze przed pierwszą wojną światową obrócił biedne wsie swojej parafii Lisków pod Kaliszem w „małą Amerykę", doczekał się cytowanego, uszczypliwego przydomku. Blizińskiego zwolennicy wybierali nawet posłem do sejmu, licząc, że zarazi wzorem Liskowa resztę zacofanej Polski na wschód od Prosny. Daremnie.

Kościół polski, już Kościół ludu, zwłaszcza wiejskiego, którego polskość pod zaborami w dużej mierze uchował, żył nawykami „trwania", ochrony *status quo*, urobionymi przez dziesiątki lat ucisku carskiego. Chronił teraz wiejskie obyczaje i wiejską mentalność, i to nie tę z Wielkopolski czy Galicji, spółek zarobkowych czy kas Raiffeisena-Stefczyka. Atakował głównie - przemiany obyczajowe: sport kobiet i sportowe stroje, krótsze spódniczki, dopuszczalność rozwodów i ruch świadomego macierzyństwa. Już wtedy skupiał swą uwagę na problemach, związanych obsesyjnie z seksualnością. Część duchowieństwa upatrywała wroga w Boyu-Żeleńskim, mistrzu pióra i humoru, społeczniku z temperamentu. Prowadził swoimi felietonami kampanię przeciw obskurantyzmowi i patronował różnym akcjom społecznym w rodzaju „kropli mleka", pomocy dla matek ze sfer biedoty. Kościół popadł na całe lata w konflikt z czołówką inteligencji polskiej, stał się w jej oczach twierdzą zacofania.

Nie pomógł tu nawet przyjazny Polsce papież Pius XI. Znał ją z czasów obrony przed bolszewikami - był wówczas nuncjuszem papieskim w Warszawie jako monsignore Achilles Ratti. Syn menedżera przemysłowego, znał i rozumiał gospodarkę; szukał odpowiedzi na pytanie, jak zbudować pokój społeczny i jak marksistowskiej walce klasowej, niszczącej przedsiębiorstwo, przeciwstawić współpracę pracodawców z pracownikami. Znał idee pioniera takiej współpracy, Charlesa Fouriera, który oczywiście nie był żadnym „socjalistą utopijnym" i nie wyrzekał się bynajmniej gospodarki rynkowej (za jego czasów nie było jeszcze nawet słowa „socjalizm"). Zapraszał Pius XI do siebie, dla dyskusji, różnych fachowców - jeździł doń parokrotnie nafciarz-socjalista ze wschodniej Galicji, Marian Wieleżyński. Swoją firmę, „Gazolinę", z blisko tysiącem ludzi, uczynił on kwitnącym przedsiębiorstwem dzięki spółce z pracownikami. Pius XI w encyklice *Quadragesimo anno* w roku 1931, w czterdziestą rocznicę przełomowej encykliki *Rerum novarum*, wyłożył koncepcję współwłasności pracowniczej. Kościołowi polskiemu nic to nie mówiło. Do dzisiaj nie mówi. Mimo poparcia w encyklice *Laborem exercens* ze strony polskiego już papieża.

Przeciwnie, atmosferę Kościoła polskiego zdominował w latach trzydziestych pewien franciszkanin, wyjątkowego talentu menedżer i organizator, ojciec Maksymilian Kolbe.

Człowiek ostentacyjnej skromności osobistej, podróżował boso (!) po całym świecie. I wydawał najbardziej masowe, ludowe pisma religijne - ziejące prymitywnym, hitlerowskim niemal antysemityzmem, bardziej ostentacyjnym niż Jędrzeja Giertycha, którego nawet z endecji usunął sam Dmowski. Czytałem pobożnego „Rycerza Niepokalanej", jedno z tych antysemickich pisemek, które oczywiście nie brało pod uwagę, że Matka Boska była Żydówką. Kolbe nie sprowokował, na szczęście, przed wojną żadnych antysemickich zajść na wsi. Siał tylko wrogość.

W końcowych latach trzydziestych marginesowy, ale krzykliwy polski ruch faszystowski też powoływał się na Kościół. Ksiądz Stanisław Trzeciak jeździł do Niemiec na hitlerowskie „parteitagi", zjazdy partyjne. Nie zdołał jednak zakazić swymi ideami polskiego Kościoła. Prymas August Hlond, wprawdzie niechętny Żydom, pisał w liście pasterskim 1936 r., że „bardzo wielu Żydów to ludzie wierzący, uczciwi, sprawiedliwi, miłosierni, dobroczynni" i ostrzegał, że „nie wolno nikogo nienawidzić".

Historyczne wyzwanie rzucą dopiero Kościołowi polskiemu i hitleryzm, i potem komunizm. Przywołają go do jego tradycyjnej roli. Faszyzujący franciszkanin wymaże ofiarą swojego męczeństwa dwuznaczną przeszłość z życiowego rachunku, antysemiccy księża pójdą do gett pomiędzy skazanych na zagładę Żydów polskich, klasztory uratują setki dzieci żydowskich. Siła wewnętrzna ojca Kolbego wzniesie go do świętości. Księdza Trzeciaka rozstrzelają sami hitlerowcy podczas Powstania Warszawskiego.

Jeśli iść śladem rozważań Andrzeja Wielowieyskiego, przyjąć można, że dało by się wszystko układać inaczej. Na pewno nie wszystko. Ale - prawie wszystko. Przynajmniej – nieco inaczej. To nauczka dla naszych współczesnych. Oby niedoszłe do skutku porozumienie było pouczającą lekcją dla naszych współczesnych.

44. NIM PRZYJDZIE APOKALIPSA

Polska wyobraźnia polityczna za Europę Środkową miała tylko Polskę i Czechosłowację. Oba państwa – zagrożone, a bez poczucia zagrożenia. Prawda, że nawet w Czechosłowacji próbował zamachu stanu w styczniu 1933 r. w Brnie generał Rudolf Gajda, z grupką faszystów. W solidnej demokracji czechosłowackiej tylko się ośmieszył. Groźniejsi dla niej byli Niemcy sudeccy, mniejszość, zajmująca kawał kraju przy granicy z Niemcami. Otwarcie sabotowali Pragę; to wśród nich powstała była przed Hitlerem DAP, Deutsche Arbeiterpartei, „matka" przyszłej hitlerowskiej NSDAP, Nazional-Sozialistische Deutsche Arbeiterpartei. Przysparzali też Czechosłowacji kłopotów faszyzujący separatyści słowaccy. Niemniej była jedyną w naszej części Europy sprawną demokracją parlamentarną, z rozwiniętym samorządem. Komunalne kasy oszczędności wspierały rozwój lokalny. W 1934 r. spotkały się w Krakowie „słowiańskie komunalne kasy oszczędności", oczywiście z udziałem Węgrów, jako typowych Słowian. Jak to robić, wykładał - Czech. Kiedy raz pierwszy zwiedzałem Czechosłowację po roku 1960, nikt już o tym wszystkim, wymazanym z czeskiej pamięci, nie wiedział...

Wszystko inne było jeszcze od Polski dalej. Żyli daleko od niej nawet bezpośredni sąsiedzi, choćby dwa z trzech małych krajów nadbałtyckich, Litwa i Łotwa, nie mówiąc już o Estonii, nikomu nieznanej. Również one nie zajmowały się przyszłością. Ich demokracjom, jak Polsce, nie sprawdzał się francuski wzorzec ustrojowy, z zależnością rządu od zmiennej większości parlamentarnej. Politycy też nie umieli ze sobą współpracować. Na Litwie w grudniu 1926, w pół roku po zamachu majowym w Polsce, przewrót wojskowy oddał władzę narodowcowi Antanasowi Smetonie. W Estonii faszyzujący Związek Weteranów szykował przewrót; w marcu 1934 r. zapobiegł mu zamachem stanu wielokrotny premier Konstantin Paets, przywódca Partii Agrariuszy. Zainstalował prezydenturę z dyktatorskimi niemal uprawnieniami. Dwa miesiące później na Łotwie Karlis Ulmanis, wielokrotny premier, polityk Związku Chłopskiego, rozwiązał wszystkie partie polityczne i związki zawodowe. Rządził jak Paets.

Po drugiej stronie Zatoki Fińskiej były carski generał, wojskowy naprawdę genialny, Gustaw Mannerheim, patriota wolnej demokratycznej Finlandii, wypędził z niej bolszewików. Zorganizował wyjątkowy w skali światowej, obywatelski - rzec można - system obrony. Potrafił on z dnia na dzień postawić pod bronią 800 tysięcy ludzi, systematycznie szkolonych wojskowo, zdyscyplinowanych i w każdej chwili gotowych do walki – to oni pierwsi posłużą się butelkami z benzyną przeciw czołgom... Takie siły powstrzymały pierwsze uderzenie Armii Czerwonej w roku 1940. Wytrzymały i drugie uderzenie.

Politycy Litwy, Łotwy i Estonii mogli wzorem Finlandii sformować razem milionową armię jak fińska, złożoną z równie wytrenowanych, uzbrojonych obywateli, ale mimo współpracy i wzajemnych sympatii nie doszło nawet, o ile wiem, do rozmów na ten temat. W 1940 r. wejdą Sowieci. Paetsa i Ulmanisa wywiozą. Smetona zdoła umknąć na Zachód.

Nasze ukochane Węgry ścieśnił w 1920 r. traktat z Trianon. Współodpowiadały za wszczęcie pierwszej wojny światowej jako partner ustrojowy w cesarstwie autro-węgierskim. Pokonane, zachowały 32% terytorium swego pierwotnego państwa. Straciły na rzecz Czechosłowacji „górne Węgry", czyli Słowację, straciły Siedmiogród, wcielony do Rumunii. Nie będą umiały o tym zapomnieć. Z rewolucją, bliską bolszewickiej, poradził sobie z pomocą wojsk czeskich i rumuńskich Miklos Horthy de Nagybanya, admirał nie

istniejącej już floty Austro-Węgier. Od 1920 r. „regent", rządził Węgrami samowładnie. Od 1932 r. wyznaczał premierami wyrazistych nacjonalistów. Próbowali wprawdzie sięgnąć po władzę tzw. „strzałokrzyżowcy", zwolennicy faszystowskiego przywódcy, Ferenca Szalasiego, węgierski ruch, kopiujący hitlerowców, ale Horthy ich spacyfikował. Niemniej wszyscy chcieli „wielkich Węgier" sprzed Trianon; stąd i coraz bliższe związki z Niemcami Hitlera, aż po sojusz wojenny – choć nie włączą się Węgry, co ważne, w eksterminację Żydów. I zachowała się na Węgrzech tradycyjna sympatia do Polski i Polaków, po roku 1939 znalazło tam schronienie tysiące naszych rodaków; mogli z Węgier przekradać się do polskiej armii na zachód.

W Rumunii, państwie z językiem romańskim, w roku 1938 faszystowską „Żelazną Gwardię" król Karol II niemal wystrzelał. Objąwszy dyktaturę, partie polityczne rozwiązał, ale jął szukać zbliżenia, wbrew tradycji, nie z Francją, a z Niemcami Hitlera...

Austria próbowała uprzedzić złą przyszłość. Austria, jej elita, jej rząd, ale nie Austriacy. W roku 1933 kanclerz dr Engelbert Dollfuss rozwiązał opowiadające się za przyłączeniem do Niemiec Hitlera oddziały tzw. Heimwehry i paramilitarny, socjalistyczny Schutzbund. W lutym 1934 r. zgniótł krwawo jego bunty w Wiedniu i w Linzu. Z początkiem marca przeprowadził uchwalenie nowej konstytucji i ustanowił dyktaturę. Rozwiązał i Socjaldemokratyczną Partię Austrii, i partię komunistyczną. Starał się porozumieć z Mussolinim, ale zginął w puczu hitlerowskim w parę miesięcy później, 25 lipca 1934 r. Pucz stłumiono, niemniej Kurt von Schuschnigg, następny kanclerz, musiał przystać na udział hitlerowców w swoim rządzie. Ogłoszono plebiscyt w sprawie „Anschlussu", „przyłączenia" Austrii do Niemiec. W 1938 r. dzień przed plebiscytem wkroczyła armia hitlerowska, entuzjastycznie witana, lud Wiednia rzucił się bić swoich wiedeńskich Żydów. Aneksję hitlerowską podpisał już nowy kanclerz, hitlerowiec Artur Seyssinquart. Schuschnigg spędzi 4 lata w hitlerowskich obozach koncentracyjnych...

Jak widać, w całej Europie Środkowej zwyciężał po Pierwszej Wojnie Światowej duch jedynowładztwa. Obywatele, nie przygotowani do demokracji, nie mogli naprawić nonsensu ustrojowego, dziedziczonego po Trzeciej Republice Francuskiej.

Nie te procesy jednak poprzedziły nowe piekło historii. Ani go nie wywołały. Skutkowały w rzeczywistości tym piekłem katastrofalne błędy i bezmyślność polityczna nie tylko polityków polskich i czechosłowackich. Przede wszystkim - ówczesnych polityków europejskich i amerykańskich, oraz przywódców światowej diaspory żydowskiej.

Polacy znali Rosję, sposób myślenia Rosjan, potrafili rozszyfrować, czym powodują się bolszewiccy przywódcy w nowym caracie, bardziej tylko bezwzględnym i okrutniejszym. Co innego z karykaturalnymi przemianami w Niemcach, w normalnych ludziach normalnego, europejskiego narodu. Nikt nie umiał wytłumaczyć „narodowo-socjalistycznej" nienawiści do Żydów, skoro to żydowscy finansiści współtworzyli potęgę Niemiec. Mogła otaczać ich, „plutokratów", co najwyżej zawiść. Przy frustracji bezrobociem i nędzą w Wielkim Kryzysie narodowy socjalizm mógł znaleźć w nich przydatnego wroga i uczyć lud nienawiści do nich. Ale odraza? Pogarda? Kat warszawskiego getta, Juergen Stroop, mówił o nich per „pluskwy"! Wyższość rasowa? Z zapasionym Goeringiem, pokraką Goebbelsem...? I to na podstawach „naukowych"? Wielki antropolog polski, Jan Czekanowski, pomierzył podobno, jak mówiła mi moja matka, czaszki Berlińczyków, a potem – czaszki polskich Żydów z warszawskich Nalewek: ci ostatni mieli więcej procentowo czaszek „nordyckich"...

W słynnym „Studium tyranii" Alana Bullocka nie ma pewnego specyficznego dziedzictwa ideowego Niemiec. Skrajnie nacjonalistyczny ruch „Wszechniemców" zrodził się w XIX wieku z pychy bismarckowskich zwycięstw - zwycięstw nad Austrią, Danią, Francją z jej niedościgłą kulturą. Ale i to niewiele wyjaśnia. Bo nie żadni butni fanatycy hitleryzmu, a „zwykli" Niemcy zachowywali się potem jak bestie... Rozbijali głowy niemowlętom, wieszali kobiety i starców, rozstrzeliwali nad wykopanymi dołami setki ludzi, torturowali podejrzanych, a kogoś, kogo uznali za Żyda, zabijali na miejscu - z odrazą właśnie. Posłuszni: wspominał po latach zwykły Niemiec, jak mu kazano przebić bagnetem w getcie 6-letnią dziewczyneczkę i nie mógł odmówić wykonania rozkazu.

Pisarz Rolf Hochhut w swej sztuce „Namiestnik" dowodził, że następca Piusa XI, papież Pius XII, mógł przynajmniej zmusić do zastanowienia jedną trzecią Niemców, niemieckich katolików. Być może ten papież nie dorósł do wymagań swej roli. Pobłogosławił Pavelicia, wodza chorwackich „ustaszów". Ci istni rozbójnicy, okrutni, jak to było częste na Bałkanach, wręcz eksterminowali Serbów, Żydów i Romów, by oderwać Chorwację od Jugosławii. Wątpię, czy ten papież zasłużył na beatyfikację, ale chyba nie powstrzymałby zdumiewającej przemiany Niemców. Utalentowana reżyserka, Leni Riefenstahl, wyznająca „narodowy socjalizm", ukazywała swymi filmami zapał miliona ludzi, wiwatujących na cześć Hitlera, wiem od moich zdobywających w roku 1945 Berlin, starszych przyjaciół, jak bohatersko walczyli za Fuehrera młodzi chłopcy z Hitlerjugend, i nie podtrzymam złudzeń na temat ewentualnego sukcesu papieża. Niemcy przenieśli wiarę w Boga na Hitlera. Z pogardą wobec ludzi „gorszych" ras.

Znaleziono pamiętniki żyjącego w wiecznym strachu po drugiej wojnie światowej w Brazylii Josepha Mengele'go, który zdołał uciec z Europy. Lekarz z katolickiej rodziny, ze słabością do sztuk pięknych, ruchem ręki na rampie kolejowej w Auschwitz-Birkenau kierował tysiące ludzi do komór gazowych, a prowadził koszmarne eksperymenty na ciężarnych kobietach i dzieciach. Nigdy nie wyrzekł się nazistowskiej teorii rasowej!

Kto oglądał film „Kabaret", pamięta scenę bukolicznej w nastroju majówki, gdy niewinnie wyglądający blondynek zaczyna śpiewać z uczuciem pieśń marzenia o potędze. Stopniowo dołączają do niego, wstając, wszyscy, aż zagrzmi refren ze słowami „jutro należy do nas", manifestując wolę miażdżenia innych. „Kabaret" oparto na książce Christophera Isherwooda o latach 1932-33 w Berlinie, tej sceny nie było w niej, ale ją dobrze wymyślono. Isherwood oglądał scenę bardziej prozaiczną: podpity młody hitlerowiec wykrzykiwał – „Krew się musi polać", a jego dziewczyna uspokajała go, ciągnąc do domu – „Ależ naturalnie, że popłynie, mój kochany... Wódz obiecał to w naszym programie" (tłum. Maria Skroczyńska). Kiedy w roku 1930 weszła na ekrany filmowa wersja słynnej książki Ericha Marii Remarque'a „Na zachodzie bez zmian", ze swoim antywojennym przesłaniem, hitlerowcy ruszyli, zdyscyplinowani, demolować kina i zabijać deskami wejścia do nich...

W Polsce minister spraw zagranicznych, Józef Beck, dopiero w roku 1936 zaczynał rozumieć, co dzieje się w Niemczech. Przed samym wybuchem wojny na hitlerowskie próby dyktatu odpowiadał z godnością męża stanu, ale wtedy było już za późno. Jak pisałem, według mnie „Dziadek", czyli Piłsudski, przegrał drugą wojnę światową już w roku 1928, nie wierząc w czołgi i lotnictwo, czyli w konieczny rozwój przemysłu zbrojeniowego, na co Polska dostałaby pomoc finansową Francji – udzielaną potem już za późno. „Pułkownicy", następcy „Dziadka", razem z tak mądrym Edwardem Beneszem, prezydentem Czechosłowacji, z jej najwyżej rozwiniętym przemysłem zbrojeniowym Europy, przegrywali wojnę przed jej wybuchem. Nie słuchali ostrzeżeń ani ze strony

swoich fachowców wojskowych, ani ze strony wywiadu - no bo Niemcy przecież podpisali z Polską pakt o nieagresji! Konsul polski we Wrocławiu, zarazem oficer polskiego wywiadu, w 1934 r. ostrzegał Warszawę o budowie hitlerowskich baz wypadowych na linii Odry. Wiem o tym, bo to był mój ojciec...

Także i najbardziej zagrożeni, czyli Żydzi, nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W 1939 r. w Polsce kahał katowicki niemal serdecznie witał wkraczające oddziały hitlerowskie! Mimo lektury „Mein Kampf" Hitlera. Żydzi niemieccy ufali Niemcom, ufali więc i Niemcom Hitlera. Izraelski historyk, Saul Friedlaender, przypomniał, że w roku 1933 wyemigrowało 37 tys. Żydów, a w roku 1934 tylko 22 tysiące! Po tzw. „Nocy Długich Noży" w 1934 r., rozbiciu SA, Sturmabteilungen, hitlerowskich Oddziałów Szturmowych NSDAP pod dowództwem Ernsta Roehma, wielu Żydów planowało powrót, licząc nawet na upadek Hitlera. Niemniej największe umysły Niemiec, świadome stanu rzeczy, opuściły kraj, włącznie z Albertem Einsteinem i oboma wielkimi pisarzami, braćmi Henrykiem i Tomaszem Mannami. Mannowie nie milczeli. I nie jest prawdą, że dopiero w „Noc Kryształową" 9 listopada 1938 roku wybijano szyby, rozbijano sklepy żydowskie, bito samych Żydów; taki pogrom sklepów przeprowadzono planowo już w roku 1934 we Wrocławiu przed Nocą Długich Noży – mojemu ojcu jako polskiemu konsulowi udało się uratować przynajmniej właścicieli sklepów o polskich nazwiskach, uprzedził gauleitera Heinesa, że będzie musiał rząd polski wystąpić z demarche w tej sprawie. Wyjechali przez Zbąszyń do Polski... Isherwood oglądał taki pogrom w Berlinie już w roku 1933!

Kiedy we wrześniu 1935 r. uchwalili Niemcy Ustawy Norymberskie, ów polski konsul we Wrocławiu ogłosił, że nie mogą dotyczyć one obywateli polskich. Potem w roku 1936 lub 1937 (co wiem od matki) na przyjęciu dyplomatycznym w Paryżu relacjonował dramat Niemiec i wtedy wtrącił się jeden z młodych Rotszyldów – „powinienem pana spoliczkować; pan chce posiać wrogość między Żydami i jedynymi ich przyjaciółmi w Europie". Młody Rotszyld na pewno wierzył w to, co mówił. Tym bardziej Nowy Jork nie potrafił wziąć poważnie wrogości Niemców wobec Żydów; prasa amerykańska prawie nie pisała o rozwoju sytuacji w Niemczech.

Do dziś nikt nie zanalizował w pełni, co się właściwie stało z wielkimi umysłami Zachodu, z intelektualistami i wybitnymi dziennikarzami, nie tymi z przekupnych piśmideł. Próbowałem to ukazać w swojej książce „Kto na to przyzwolił", ale to ledwie szkic. Państwa Zachodu całymi latami nie dostrzegały niczego i w konsekwencji nie przygotowywały się do wojny. Wojskowi znali francuski przekład owego studium Sikorskiego z 1934 r., o przyszłej wojnie zagonów pancernych i lotnictwa, o „wojnie totalnej", nie oszczędzającej ludności cywilnej. Znali książkę pułkownika de Gaulle'a o przyszłej armii francuskiej. Sam Filip Petain, dawny bohater wojenny, francuski minister wojny w latach 1934-39, choć napisał wstęp do francuskiego wydania książki Sikorskiego, nie widział, co się naprawdę dzieje. 84-letni, po klęsce Francji w 1940 roku, podpisze jej żałosną kapitulację – z myślą tylko o tym, by Francja nie wykrwawiła się znowu jak podczas pierwszej wojny światowej.

Zachód żył kolejnymi pomysłami i próbami zażegnania Wielkiego Kryzysu, ekonomicznej katastrofy. Czy tym tłumaczyć ogólną zapaść intelektualną i polityczną? To prawda, wielcy, mądrzy politycy wymarli... W Europie pozostał na placu gry o przyszłość jeden jedyny, a nie słuchany!, Winston Churchill. Czytał „Mein Kampf" Hitlera i uprzedzał Anglię, co się stać może. Tak samo w USA – Bernard Baruch, wielki finansista, mędrzec, rozumiejący rzeczywistość, nazywany „sumieniem narodu". Opinię publiczną formowali

jednak mało rozsądni, w części przekupni dziennikarze. Geniusze intelektu Zachodu nie dowidziały także. Żadnych istotnych wiadomości nie dostarczał i wywiad zachodni.

Czy tak mocne były faszystowskie ugrupowania w wielkich państwach Zachodu? Sir Oswald Mosley ze swym Brytyjskim Związkiem Faszystów nie odegrał żadnej roli w Anglii, Leon Degrelle w Belgii zmobilizował wprawdzie potem do walki na wschodzie u boku hitlerowców swój „Błękitny Legion", jak i Jacques Doriot we Francji, który ze swymi ochotnikami pojechał na wschód w niemieckim mundurze, ale były to zupełne marginesy. Bezmyślność panowała niezależnie od tego, na ile spenetrowali elity zachodnie sympatycy hitleryzmu. W redakcji „New York Timesa" takich nie było.

W 1941 roku, w ogniu wojny, słynna autorka kryminałów, Agatha Christie, dzięki niewątpliwym kontaktom z kontrwywiadem brytyjskim opisywała w swym „N czy M?", jak to powieściowi ludzie kontrwywiadu odczytali w książeczce z bajką po nasyceniu jej odpowiednim odczynnikiem pełną listę nazwisk wybitnych osobistości, które zobowiązały się dopomóc nieprzyjacielowi w razie inwazji na Anglię. Byli wśród nich dwaj generałowie, naczelny dyrektor zakładów zbrojeniowych, minister urzędującego gabinetu, wicemarszałek lotnictwa, wielu komisarzy policji i inne postaci, mniejszego już znaczenia. Obok nich – także ludzie wywiadu.

Pani Christie nie bała się procesów o zniesławienie, za jej insynuacjami musiały stać fakty nie do podważenia. Po 60 latach amerykańska pisarka, Lynne Olson, współautorka znanej u nas rewelacyjnej książki o polskich lotnikach, bohaterach bitwy o Wielką Brytanię, w innej swej książce ujawniła nazwiska owych ludzi z powieści Agaty Christie wraz z ich stanowiskami. Nie znała „N czy M". Dałem znać Lynne, jak wsparła pośmiertnie starszą panią...

W tejże samej powieści Agaty Christie agent Intelligence Service skarżył się, wróciwszy z Niemiec, że krzyżowano mu plany, których nikt nie powinien był znać. Kilkakrotnie omal nie zginął, cudem unikając śmierci. Wśród tych dziwnych przypadków odnosił wrażenie, że miał przeciw sobie ludzi, którzy wydawali mu rozkazy... Jednocześnie wywiad brytyjski jakby nie chciał wiedzieć o zagładzie Żydów i dopiero wysłannik polskiej podziemnej Armii Krajowej, znany jak Jan Karski, przywiózł Zachodowi pierwsze wiadomości o tym, co się dzieje.

W późniejszej powieści Agaty Christie była mowa i o agentach sowieckich, edukowanych na angielskich uniwersytetach. Odkrycie Kima Philby'ego i jego grupy dobrowolnych agentów „światowej ojczyzny proletariatu" w pełni to zilustruje. Cóż się dziwić nie przygotowaniu Anglii do wojny...

Francję paraliżował kompleks olbrzymich strat ludzkich w I wojnie światowej, dlatego mogła Komunistyczna Partia Francji zaciekle zwalczać wojnę „w obronie Polski", wyśmiewać pomysł „umierania za Gdańsk". Anglia premiera Artura Neville'a Chamberlaina - Anglia, nie tylko on sam - gotowa była dla pokoju sprzedać wszystko. We wrześniu 1938 r. układem w Monachium Chamberlain i premier Francji, Edouard Daladier, pozwolili Hitlerowi na rozbiór Czechosłowacji - w zamian za złudne parę lat pokoju. Polska „pułkowników", niestety, skompromitowała się udziałem w tej operacji, odbierając Zaolzie - zamiast się wcześniej sprzymierzyć z ową najlepiej uzbrojoną armią Europy, która musiała oddać bez jednego wystrzału fortyfikacje nie do zdobycia, mocarne i niewzruszalne. Być może politycy Zachodu, mający trudności z geografią Europy Środkowej, nie wiedzieli, że oddają Hitlerowi jeden z najwyżej rozwiniętych

przemysłów Europy! Paryski „Le Petit Parisien", cichcem subsydiowany z Berlina, zbierał w księdze pamiątkowej podpisy dziękczynne dla obu premierów za „uratowanie pokoju"; zebrał wkrótce - milion podpisów. „Paris Soir" w trzy dni zebrał pół miliona franków na rezydencję we Francji dla Chamberlaina!

Parlament brytyjski poparł rząd 366 głosami przeciw 144. Anglia i nawet Stany Zjednoczone Roosevelta tak wtedy kochały pokój, że zgadzały się na niemal każde ustępstwo dla *appeasement*, „ułagodzenia" Hitlera. Dla „Daily Herald", londyńskiego dziennika, premier brytyjski okazał się mocniejszy od dyktatora. Prasa nowojorska uznała, że Chamberlain pierwszy po Lincolnie mógłby stanąć u boku Jezusa Chrystusa! W marcu 1939 r. hitlerowcy po zajęciu Czech wyłudzili nawet czeskie złoto z Banku Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei, a Chamberlain utyskiwał, że „Ameryka i żydostwo światowe" pchają go do wojny – choć Ameryka Roosevelta nie myślała ani o Europie, ani o wojnie. Poza mądrym i przenikliwym Baruchem nikogo w Ameryce nie interesowało, czym są Niemcy Hitlera.

Nawet po koszmarze Nocy Kryształowej 1938 r. Anglia nie wpuszczała do siebie Żydów z Niemiec i krajów Środkowej Europy. Ograniczała napływ Żydów do Palestyny, statki z próbującymi dotrzeć do Palestyny wylatywały w powietrze na minach położonych w Morzu Śródziemnym. Żydów z Polski dotarło tam w latach międzywojennych ledwie 140 tysięcy. Ameryka też nie zwiększyła kontyngentu imigracji Żydów. Dwaj eksperci ministra spraw zagranicznych Anglii, lorda Edwarda Halifaxa, w swoim memoriale zadawali pytanie: jeśli będziemy gotowi zaspokoić 80 procent pozostałych pretensji niemieckich, to czy Hitler potrafi pchnąć swój naród do walki o 20 procent?

Tak rozumowali czołowi ówcześni politycy Zachodu...

W kwietniu 1939 r., oddawszy już Niemcom Hitlera Czechy i złoto czeskie, Anglia udzieliła gwarancji Polsce. Oczywiście, bezwartościowych. We wrześniu po ataku Niemiec hitlerowskich na Polskę wypowie im wojnę Anglia Chamberlaina, ale stanie do niej dopiero Anglia Winstona Churchilla - nieprzygotowana. Anglicy ze spokojem i determinacją przyjmą jego słynne słowa – „mam dla was tylko krew, pot i łzy", jednakże swym bohaterstwem i codzienną dzielnością będą płacić za lata zaufania do głupich, kłamliwych przywódców i publicystów. Nie tylko do nich...

Winston Churchill powołał do życia nową, niezależną formację brytyjskiego wywiadu i dywersji, Kierownictwo Operacji Specjalnych, SOE. Będzie współpracowało ono ściśle, wspomnijmy tutaj, z wywiadem Armii Krajowej. Notowano jednak nieraz zjawiska zastanawiające, jak choćby to, że wiadomości o zagładzie Żydów trudno było potem przekazać Churchillowi nawet w formie pisemnej, albo docierały doń zniekształcone! Anthony Eden nie dopuścił do Churchilla wysłannika podziemia polskiego, owego Jana Karskiego, z wiadomościami o tej zagładzie, argumentując, że ich tragizm mógłby zaszkodzić zdrowiu premiera Anglii. Nadal wiele pozostaje do wyjaśnienia...

Dramatyczna metamorfoza Niemców ukazała, co można w stosunkowo krótkim czasie zrobić z normalnych, cywilizowanych ludzi, którzy jednak ulegli wcześniej zarazie pełnego pogardy nacjonalizmu. Stała się przestrogą dla całej ludzkości. Nie chodzi o plon późniejszej wojennej demoralizacji, wojennej łatwości okrucieństwa, rozwydrzenia, chciwości i bezprawia. Chodzi o mózgi normalnego do tej pory narodu. Lub części normalnego narodu.

Niemcy zachodnie po przegranej kolejnej, wywołanej przez Niemcy wojnie światowej poradziły sobie z tym ponurym dziedzictwem i stworzyły jedną z wzorowych demokracji świata. Ale wszystkie te nauki, z jednej i drugiej strony naszych ówczesnych granic, są do dziś aktualne. Bo i hitlerowcy, i bolszewicy byli początkowo skromnymi liczebnie, dobrze za to zorganizowanymi formacjami... Nie lekceważmy żadnych im podobnych. Jeden Breivik w tak pokojowej Norwegii potrafił zamordować 77 swoich rodaków - zabijając bezbronnych ludzi. Dziś nikt nie zajmuje się analizą, jakie mechanizmy jakiej logiki mogły kierować wyobraźnią młodego mordercy. I tej lekcji Europa sobie nie przyswoiła.

Lekcją nie zanalizowaną pozostały także następstwa publicznej głupoty, którą w latach trzydziestych XX wieku rozprzestrzeniało i wielu dziennikarzy. Sporą część odpowiedzialności za hitleryzm ponoszą właśnie oni.

45. PRZEJŚCIE PRZEZ PIEKŁO

6 lat drugiej wojny światowej wraz z następnymi 44 latami były dla Polski całą epoką. Epoka ta przełamała historię kraju na dwie, prawie niespójne ze sobą części. Nie tylko zniszczyła kraj i wymordowała więcej niż jedną szóstą społeczeństwa, ale wyjałowiła pamięć następnych pokoleń z własnej polskiej przeszłości, z nagromadzonej wiedzy i umiejętności.

Hitlerowski atak na Polskę poprzedziły wydarzenia, które choć bez użycia broni przynosiły Niemcom hitlerowskim zwycięstwa o wartości wojennej. Zajęły wszak w marcu 1938 r. „anschlussem", „przyłączeniem", pokojowym podbojem, Austrię, zaś Austriacy nie tylko z uwielbieniem witali wkraczające oddziały hitlerowskie, ale wielu ich stało się później podporami morderczych formacji SS, Schutzstaffeln, i oficerami Gestapo, Geheime Staats Polizei, tajnej policji reżimu, równie okrutnej jak SS. Parę miesięcy później Zachód układem monachijskim sprzedał Hitlerowi Czechosłowację za złudę paru lat pokoju. Po jeszcze kilku miesiącach Hitler pogwałcił ten układ - wkroczył do Czechosłowacji. Na czeskiej części byłego jej państwa utworzył Protektorat Czech i Moraw, rozwiązaniem i tak, rzec można, kompromisowym, bo Niemcy sudeccy, zwolennicy swego przywódcy, Konrada Henleina, spodziewali się, że Hitler włączy do Niemiec, jak Austrię, całe Czechy, nie tylko ich „Sudetenland". Ta operacja oddała w ręce Hitlera jeden z najwyżej rozwiniętych przemysłów zbrojeniowych Europy... Polityka *appeasement*, „uśmierzania", łagodzenia Hitlera, przygotowywała katastrofę Europy. Wielu czeskich oficerów i lotników uszło do Polski, by walczyć w polskiej armii w kampanii września roku 1939. W walce z niemieckimi samolotami w „bitwie o Anglię" 1940 r. najskuteczniejszym pilotem słynnego polskiego dywizjonu 303 będzie obok Stanisława Skalskiego Czech Frantiszek.

1 września 1939 roku z różnych kierunków runęły na Polskę w „Blitzkriegu", „wojnie błyskawicznej" - jak przewidział Sikorski - pancerne lawiny hitlerowskie. Nie zastały Polski nie przygotowanej. Zastały ją - zbyt słabą. Polskie PZL-e dobrze sobie radziły z niemieckimi Messerschmittami, strąciły ich ponad sto, ale 400 polskich samolotów miało przeciw sobie dwa tysiące hitlerowskich myśliwców i bombowców. Pojedynczymi „urugwajami" też niewiele można było zwojować przeciw nawale czołgów. A Francja i Anglia, związane z Polską sojuszem, nie podjęły wobec Niemiec - mimo zobowiązań - żadnych działań od strony zachodniej. Francuskie społeczeństwo mroziła kampania „pacyfistów", odmawiających „umierania za Gdańsk". Anglia, nie przygotowana do wojny, dopiero w maju 1940 r. odda władzę Winstonowi Churchillowi...

Mimo przewagi dwu i pół tysiąca hitlerowskich czołgów nad około trzystu polskimi, mimo ogromnej przewagi hitlerowskich Niemiec w sprzęcie, uzbrojeniu i środkach transportu, blisko milionowe wojsko polskie stawiło zacięty opór. Do klęski armii hitlerowskiej pod El-Alamein w 1942 r. jedynie one potrafiły zadać jej porażkę. W jedenastodniowej bitwie nad Bzurą armie „Poznań" i „Pomorze" pod dowództwem gen. Tadeusza Kutrzeby w pierwszych dniach wygrywały starcia, powstrzymywały napór przeciwnika i posuwały się naprzód. Dopiero potem, otoczone większymi, przeważającymi liczebnie siłami, musiały 20 września ulec; część zdołała się przebić do Warszawy, reszta poszła do niewoli.

Niemcy hitlerowskie od razu podjęły „wojnę totalną". Na Pomorzu i w Wielkopolsce wedle przygotowanych list proskrypcyjnych wywlekano z domów działaczy polskich władz lokalnych,

organizacji społecznych i przedstawicieli inteligencji, wieszano i rozstrzeliwano publicznie na rynkach miast i miasteczek po kilkanaście, kilkadziesiąt osób. Czasem były to pozorowane represje za udział ludności cywilnej w obronie wojskowej, ale na ogół mordercy nie zawracali sobie głów stwarzaniem pozorów. I już do końca 1939 roku zamordowali w Wielkopolsce 7 tysięcy nielicznych, miejscowych Żydów – sympatyzujących akurat z Niemcami. Na Kaszubach rozstrzelają sukcesywnie ponad dwa tysiące osób - całą elitę kulturalną i społeczną polskich Kaszubów.

Warszawa po zaciętej obronie skapitulowała 28 września, dopiero 2 października padła twierdza na cyplu półwyspu Hel. Ale ostatecznie o klęsce Polski zadecydował niespodziewany cios w plecy - 17 września uderzyły na Polskę od wschodu Sowiety. Jak się potem okazało, ten rozbiór Polski ukartowano w sierpniu 1939 roku specjalnym układem między Niemcami hitlerowskimi i Rosją sowiecką; historia zapamiętała go jako „pakt Ribbentrop-Mołotow" - od nazwisk ministrów spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy i ZSRR, którzy go negocjowali i sygnowali.

Oddziały sowieckie zajęły całą wschodnią część Rzeczpospolitej Polskiej, aż po rzekę Bug. Wywiozły w głąb swoich ziem kilkanaście tysięcy samych tylko internowanych oficerów polskich; wywoziły żołnierzy i ludność cywilną. Zaczęły już w pierwszych dniach swojej okupacji.

Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i oficerów polskich zdołało przekroczyć granice Rumunii i Węgier, władze Rumunii i Węgier Horthy'ego nie przeszkadzały Polakom w drodze na zachód, wbrew temu, co by wynikało z sojuszu obu tych państw z Hitlerem. Polacy cichcem przemykali się, by zasilić formacje armii polskiej, które w ich przekonaniu na pewno powstaną na Zachodzie u boku zachodnich aliantów – i rzeczywiście, błyskawicznie odtworzy się tam armia polska pod dowództwem generała Sikorskiego, początkowo we Francji, potem, po klęsce Francji, u boku Anglii.

Opór polskiej ludności cywilnej paraliżowano terrorem. Już jesienią roku 1939 hitlerowcy dokonali pierwszych masowych egzekucji w Warszawie i jej okolicach - nad wykopanymi z góry dołami
rozstrzeliwali po kilkaset osób ze środowisk inteligencji polskiej, zwłaszcza ludzi, w których odczytywali potencjalnych przywódców i wzory osobowe (zginął tak obok uczonych mistrz olimpijski w biegu na 10 km z Los Angeles, Janusz Kusociński). Setki tysięcy polskich rodzin z Wielkopolski i Pomorza, w sumie ponad 900 tys. osób, przesiedlono do wydzielonego terytorium tzw. Generalnej Guberni, dając im czas tylko na zabranie tego, co było pod ręką. Po wojnie ci wypędzeni nie stworzyli jednak rewanżystowskiej organizacji. I nie oczekiwali pomników.

Wzorem „obozów koncentracyjnych" z terenu Niemiec, takich jak Buchenwald, Dachau, Mauthausen i Oranienburg, utworzyli hitlerowcy podobne obozy na ziemiach polskich. Pierwszy - Stutthof koło Gdańska, już we wrześniu 1939 r., dla „jeńców cywilnych", Zivilgefangenenslager. Potem - w maju 1940 r. - Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu i sąsiedniej Brzezince. Zsyłano tam Polaków z różnych środowisk społecznych, tak z kręgów inteligencji czy też duchowieństwa, jak i robotników, zsyłano Romów, czyli Cyganów; wszystkich ich zatrudniały jako bezpłatną siłę roboczą niemieckie koncerny przemysłowe. Nad bramą obozu Auschwitz zawisł napis *Arbeit macht frei*, „praca czyni wolnym".

Więźniowie umierali z wycieńczenia, zimna, głodu i chorób, dobijani czasem przez oprawców. Mimo to, wychudli na szkielety, jęli się wiązać w konspiracyjne organizacje... W roku 1941 więzień Maksymilian Kolbe ofiarował się jako zastępcza ofiara w miejsce wyznaczonego na śmierć głodową, rozpaczającego ojca rodziny - hitlerowski oprawca łaskawie się zgodził i ojciec Kolbe poszedł umierać z innymi ofiarami do bunkra głodowego. Śpiewali póki sił pieśni religijne; dobito ich zastrzykami fenolu w serce. Ofiara Kolbego stała się tyleż aktem wiary, co demonstracją niezależności od systemu zagłady.

Auschwitz dopiero później miało się stać fabryką masowej zagłady Żydów. Ale już w 1940 roku, gdy Polacy zdawali się kompletnie sterroryzowani, poczęli Niemcy zaganiać Żydów i wszystkich, których jako „Żydów" kwalifikowały ich „ustawy norymberskie", do wyodrębnionych części miast, zwanych jak w średniowieczu „gettami". Były to najpierw otwarte, potem otaczane murami i drutami kolczastymi dzielnice, a straże strzelały do każdego, kto naruszał zakaz kontaktów. Stłoczeni, pozbawieni żywności i leków, Żydzi w gettach już wkrótce umierali dziesiątkami tysięcy - zanim jeszcze Adolf Eichmann, jeden z głównych organizatorów zagłady Żydów, przystąpił do „ostatecznego rozwiązania". Ale nawet getta jeszcze go nie zapowiadały, obozy koncentracyjne były ciągle od gett straszniejsze. I ciągle, mimo zapowiedzi w „Mein Kampf", powszechna zagłada Żydów nie mieściła się nikomu w głowie.

Już w roku 1940 byli oficerowie i żołnierze armii polskiej zaganiani jako Żydzi do getta w Warszawie zorganizowali się jako przyszły Żydowski Związek Wojskowy. Po stronie „aryjskiej" powstanie specjalna tajna organizacja pod kryptonimem „Żegota" dla pomocy gettu, z udziałem nawet i przedwojennych antysemitów jak pisarka Zofia Kossak-Szczucka. Dzięki temu właśnie w Polsce przeżyło holokaust więcej Żydów, niż we wszystkich innych krajach europejskich razem - choć za pomoc Żydom groziła śmierć, od kuli na miejscu lub na szubienicy. A przeżyć mogli tylko ci Żydzi, których udało się wyprowadzić z getta i ukryć... Kto, jak zastępca szefa lewicowej Żydowskiej Organizacji Bojowej w warszawskim getcie, Icchak Cukierman, wyglądał na polskiego „Antka znad Wisły", mógł poruszać się po „aryjskiej" stronie z fałszywymi dokumentami bez kłopotów; ukryć innych przychodziło znacznie trudniej i setki Polaków zginęły razem z przechowywanymi Żydami – jak polscy opiekunowie razem ze znanym historykiem, Emanuelem Ringelblumem. Zdarzali się donosiciele, tzw. „szmalcownicy", którzy szantażowali ukrytych ludzi i wydawali ich Niemcom, jak i Polaków z „podziemia" – tak zginął wydany Niemcom gen. Grot-Rowecki, dowódca podziemnej Armii Krajowej. Sądy podziemne zlecały egzekucje na osądzonych zdrajcach i sporą część wyroków sprawnie wykonano; mojemu starszemu przyjacielowi, nie dochodzącemu wtedy lat 18, przyszło jako dowódcy oddziału egzekucyjnego odczytać wyrok i samemu zastrzelić kobietę agentkę gestapo, winną śmierci kilku wydanych przez nią ludzi „podziemia" - koledzy z oddziału nie chcieli strzelać do kobiety...

Spośród stu tysięcy Żydów, oficerów i żołnierzy armii polskiej roku 1939, ci, którzy trafili do niewoli, przeżyli w obozach jenieckich - Niemcy hitlerowskie, mordując bez pardonu cywilów, przestrzegały zasad Konwencji Haskiej wobec jeńców wojennych!

Sowiety Stalina traktowały i własnych obywateli jak podludzi. Parę lat wcześniej przeprowadziły masowe, krwawe czystki we własnych szeregach, przy okazji mordowały przebywających w ZSRR członków Komunistycznej Partii Polski, ludzi najbardziej sobie wśród Polaków oddanych, w tym i swoich agentów wywiadu. Pozwoliły Sowiety wymierać z głodu, lub wręcz planowo głodziły niepokorną wieś Ukrainy, ofiary liczyły się na miliony. Rychło też na zajętych terenach państwa polskiego stalinowska policja polityczna, zwana

teraz NKWD, *Narodnyj Komitiet Wnutriennych Dieł*, Ludowy Komitet Spraw Wewnętrznych, podjęła rozprawę z inteligencją. Stalinowskie prawo pozwalało ścigać „zdrajców", „wrogów ludu", „pasożytów", „szpiegów", „sabotażystów" i „spekulantów", dopasowanie pretekstu nie było problemem, a często nie szukano i pretekstów. „Niepewni" i podejrzani ginęli z ulic. Już w pierwszych miesiącach do więzień i łagrów trafiło ok. 300 tysięcy osób.

Kolejne trzy fale deportacji objęły dalsze około 800 tysięcy ludzi. Porywano całe rodziny, by - jak i swoich „niepewnych" - wieźć je na daleką północ, za koło podbiegunowe, lub na Syberię. Wiosną zaś roku 1940 kilkanaście tysięcy internowanych oficerów polskich, od generałów do chorążych, stopniowo potajemnie wymordowano, pracowicie, pojedynczo, strzałami w tył głowy, zakopując ich zwłoki w masowych grobach - często w niedalekim sąsiedztwie masowych grobów własnych rodaków.

Polacy potrafili błyskawicznie przygotować się i na okupację. Stracili niemałą część kadr, które mogły kierować strukturami podziemnymi, ale już jesienią 1939 roku powstały pierwsze organizacje walki zbrojnej, które niezadługo przekształcą się w „Armię Krajową", w skrócie - AK. Złożyło się na nią w swej masie pokolenie młodych ludzi, którzy mieli za mało lat na mobilizację do wojny września 1939 roku. Dowodzili starsi, ale wkrótce awansowali i ci niedawno „za młodzi"...

Armia Krajowa wchłonie inne konspiracyjne organizacje wojskowe, włącznie z lewicową „Polską Armią Ludową" i ludowymi „Batalionami Chłopskimi". Nie podporządkuje się wspólnemu dowództwu tylko skrajnie prawicowa część tzw. „Narodowych Sił Zbrojnych", jak też utworzona w parę lat potem, komunizująca „Gwardia Ludowa", późniejsza „Armia Ludowa", liczebnie marginesowa. O sporach politycznych w podziemiu przeciętny Polak nie wiedział nic i - nie chciał wiedzieć. Liczyła się dlań AK i „Londyn", rząd polski w Londynie; dowódcą AK został wspomniany tu generał Stefan Rowecki, pseudonim „Grot", dobrany nie przypadkiem – napisał on w roku 1928 cenne studium walk ulicznych w mieście, swoisty ich podręcznik.

Historycy zachodni nazywali polskie podziemie wojskowe wzorem francuskim - „ruchem oporu". Armia Krajowa była jednak armią, ze swoim dowództwem, systemem szkolenia kadr, wywiadem i kontrwywiadem. Liczyła ok. stu kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy „pierwszej linii", niestety, uzbroić mogła niewiele ponad 30 tysięcy. Dla reszty nie dostawało - broni. Polskie podziemie uruchomiło swoje warsztaty, produkujące broń, zasłynęły wśród niej „steny", brytyjskie pistolety maszynowe dla komandosów, lekkie i łatwe w produkcji, przystosowane do amunicji niemieckiego parabellum. Najwięcej wyszło ich z Suchedniowa, Suchedniów mógł jednak wyprodukować w sumie zaledwie kilka tysięcy, a nie 150 tysięcy stenów... Awansowały one do partyzanckiej piosenki:

„Do tańca grają nam
Armaty, stenów szczęk,
Śmierć kosi niby łan,
Lecz my nie wiemy, co to lęk".

Za każdego zabitego żołnierza niemieckiego władze okupacyjne wieszały lub rozstrzeliwały publicznie po kilkudziesięciu, albo i po stu cywilów, ujętych przygodnie w tzw. „łapankach", a wsie paliły i zrównywały z ziemią. Pamięć Zachodu utrwaliła los francuskiej wsi Oradour czy też czeskich Lidic, które tak potraktowano; w Polsce wymordowano w tym trybie i zniszczono kompletnie 440 wsi (sporo z nich i za pomoc

Żydom), a Warszawa usiana jest tablicami i lampkami z wiecznym ogniem w punktach egzekucji. Rozstrzeliwane ofiary wznosiły z reguły przed salwą plutonu egzekucyjnego okrzyki na cześć Polski, potem hitlerowcy zawiązywali im oczy lub skrępowanym gipsowali usta.

Polska armia podziemna okazała się jednak poważnym przeciwnikiem okupanta: Niemcy hitlerowskie, uderzając w czerwcu 1941 r. na ZSRR, musiały utrzymać w Polsce, na zapleczu swego frontu, blisko milion ludzi pod bronią w różnych formacjach, by ochronić swe linie komunikacyjne i zachować kontrolę nad Polską. Straty Niemców na terenie okupowanej Polski wyniosły za okres całej wojny kilkaset tysięcy ludzi, ale Polaków przez ten czas wymordowali oni, nie licząc polskich Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia, blisko trzy miliony, w tym blisko milion w obozach koncentracyjnych. Tutaj naprawdę prowadzono wojnę „totalną".

We Lwowie hitlerowcy wkrótce po jego przejęciu z rąk sowieckich wygarnęli w operacji *Nachtigall* stu kilkudziesięciu polskich profesorów, intelektualistów i pisarzy. Znalazł się w tej grupie i były premier, profesor Kazimierz Bartel, i Tadeusz Boy-Żeleński, ów intelektualny przewodnik inteligencji polskiej. Wystrzelano wszystkich.

Na Zachodzie uchodźcy sformowali rząd polski i armię, walczącą u boku aliantów zachodnich, Armia Krajowa podporządkowała się temu rządowi. Polska nie przestała istnieć. Francja skapitulowała po 43 dniach, ponad 30 tysięcy spośród walczących u jej boku polskich żołnierzy
przedostało się do Anglii. Polscy lotnicy potem w brytyjskiej RAF, *Royal Air Force*, zasłynęli największymi sukcesami bojowymi w historycznej, powietrznej „Bitwie o Anglię"; to m.in. i o nich Winston Churchill, premier brytyjski, wódz Anglii, powiedział, że „nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu". Lotnicy polscy w tej wojnie, od jej początku, strącili w sumie ok. 970 hitlerowskich samolotów i 190 pocisków rakietowych V-1, „latających bomb".

W angielskim tajnym Kierownictwie Operacji Specjalnych, SOE, działała i sekcja polska. Od lutego 1941 r. lądowali w Polsce jej spadochroniarze, a ze wskazanych polan leśnych samoloty zabierały informacje, ludzi i ładunki takie, jak... części próbnej hitlerowskiej rakiety V-2. Tak dotarł później na Zachód Jan Karski (prawdziwe nazwisko – Kozielewski) z wiadomościami o podjętej przez hitlerowców zagładzie Żydów. Ludzie polskiego podziemnego wywiadu penetrowali całą okupowaną Europę - mówiący doskonałą niemczyzną Kazimierz Leski, którego mogłem poznać, inspekcjonował jako niemiecki generał w doskonale skrojonym mundurze... hitlerowski, obronny Wał Atlantycki. Do historii przeszła anegdota o tym, jak w pociągu obrugał w roli generała wojskową żandarmerię niemiecką, która odniosła się lekceważąco i niegrzecznie do wracających z frontu niemieckich oficerów. I nie ma nic dziwnego w tym, że wywiad aliantów zachodnich najcenniejsze informacje z kontynentu otrzymywał przez cały czas wojny od wywiadu polskiego podziemia.

Polskim rządem na uchodźstwie kierował gen. Sikorski. Przyszło mu, kiedy Hitler zaatakował Sowiety, rozmawiać ze Stalinem: Stalin, nie przyznając się do wymordowania owych tysięcy polskich oficerów, sprzymierzył się z zachodnimi aliantami. Pod ich naciskiem dał wywiezionym Polakom szansę sformowania własnego wojska na terenie ZSRR. Tak powstała armia, zwana „armią Andersa", od nazwiska generała Władysława Andersa, który ją organizował. Ściągali do niej Polacy rozsiani po różnych zakątkach ZSRR,

choć tylko ci, którzy zdążyli dowiedzieć się o tej szansie. Anglicy nie chcieli, by Anders brał i Żydów polskich (!), mimo to Anders także ich wcielał do swych szeregów.

Gen. Anders został dowódcą Armii Polskiej na Wschodzie. Stalin rozumiał, że ta armia utrudni mu opanowanie Polski po wojnie. Gdyby na ziemie Polski weszła razem z nim, uzupełniłyby ją tysiące partyzantów. Wolał się jej pozbyć. Kazał ograniczyć więc... przydziały żywności dla formujących się oddziałów. Nie docierała do nich pomoc żywnościowa, udzielana Związkowi Radzieckiemu przez Amerykanów. I wbrew gen. Sikorskiemu 78 tys. wojskowych oraz 39 tys. osób cywilnych, w tym prawie 11 tys. dzieci, wyszło z ZSRR przez Azję Środkową. Tylko pojedynczy z nich, wojskowi polscy Żydzi, zostali potem w Palestynie, w izraelskiej organizacji bojowej, Irgun Cwei Leumi... Reszta poszła dalej z Andersem jako żołnierze polscy. Niektóre z dzieci trafiły po wojnie do naszego Domu Młodzieży w Krzeszowicach, zostały moimi koleżankami i kolegami.

Polskie oddziały wyróżniły się już podczas obrony Tobruku, blokującej Niemcom hitlerowskim dostęp do Egiptu. Potem w roku 1944, po lądowaniu aliantów we Włoszech, zasłyną skutecznym szturmem na Monte Cassino, sławny klasztor benedyktynów, hitlerowską twierdzę nie do zdobycia na drodze do Rzymu. Na cmentarzu poległych tam bohaterów obok krzyży stoją i macewy żołnierzy polskich mojżeszowego wyznania.

Generała Sikorskiego, premiera polskiego emigracyjnego rządu, zachodni alianci szanowali jako męża stanu i autora „Przyszłej wojny", który wszystko przewidział. Liczyli się z nim jak z nikim innym spośród Polaków. Niestety, 4 lipca 1943 roku Sikorski zginął w katastrofie lotniczej koło Gibraltaru... Do dziś dnia ta katastrofa budzi podejrzenia, uratował się bowiem - pilot. Ale co najistotniejsze w tym tragicznym wydarzeniu – uległa katastrofie samodzielna polityka polska. Pozycji Sikorskiego nie miał kto po nim zająć. Z jego śmiercią sprawa polska zeszła na margines – jak w XIX wieku...

W końcowych miesiącach roku 1942, kiedy Polacy wydawali się już całkowicie sterroryzowani, hitlerowcy przystąpili do „ostatecznego rozwiązania" sprawy Żydów. Rozbudowywali obozy koncentracyjne, by przekształcić je w fabryki śmierci. Tworzyli też specjalne obozy zagłady, jak w Bełżcu i Treblince. Do nich zwozili do zagazowania i spalenia potem w krematoriach dziesiątki tysięcy, a kiedy niewyobrażalna machina śmierci nabrała obrotów - setki tysięcy i miliony Żydów z Polski i całej podporządkowanej sobie Europy. Część, jak początkowo na terenie Wielkopolski, mordowali w grupach po 1000, 1500 osób na miejscu, ponieważ „nie opłacało się" ich wozić; część gazowano w specjalnie do tego przystosowanych, zamkniętych ciężarówkach...

Oskarżenia pod adresem Żydów polskich o bezwolną zgodę na śmierć są absurdalnym nieporozumieniem. Przez długi czas ofiary nie wiedziały, dokąd je wywożą. Były pewne, że - jak im mówiono – jadą na wieś albo „na roboty". Potem - nie wierzyły. Pomysł zagłady wydawał się tak absurdalny, że wprost niewiarygodny. Normalny człowiek nie mógł wziąć serio takich zamiarów ze strony Niemców, przedstawicieli wysokiej cywilizacji i kultury. Dopiero dzięki polskiemu podziemiu Żydzi polscy, i to już ci ostatni, którym udało się przeżyć, zorientowali się, dokąd ich zabierają i jaki los ich czeka.

Niestety, Zachód nie chciał wierzyć wiadomościom od Karskiego i polskiego podziemia. Dostępne dziś w archiwach wywiadów zachodnich materiały świadczą, że nie wiedziały one – lub nie chciały wiedzieć – o zagładzie Żydów, nazywanej dzisiaj „holokaustem". Nie wierzyła i zachodnia diaspora żydowska. Prezes Sądu Najwyższego Stanów

Zjednoczonych, Felix Frankfurter, powiedział Karskiemu, że nie może mu zadać kłamu, ale nie potrafi mu uwierzyć. Tymczasem historia ułożyłaby się może inaczej, gdyby alianci zdecydowali się zbombardować komory gazowe i krematoria, lub ostrzegli, że zastosują w odwecie takie naloty „dywanowe" jak późniejszy nalot na Drezno...

Kilka gett w finale zagłady zerwało się do powstań - straceńczych już, ale nie było innego wyboru. Powstanie w getcie warszawskim wybuchło 19 kwietnia 1943 r., gdy zostało w getcie już ledwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. W Żydowskim Związku Wojskowym walczyło kilkuset solidnie uzbrojonych przez polskie podziemie byłych oficerów i żołnierzy armii polskiej, z nimi - kilkunastoosobowa grupa ochotników z „aryjskiej" strony. Walczyła i nieliczna lewicowa Żydowska Organizacja Bojowa, która nie uznawała Żydowskiego Związku Wojskowego, był dla niej bowiem organizacją syjonistów. Jej niechęć do niego utrzyma się, o paradoksie, długie lata po wojnie aż po śmierć ostatnich weteranów... Do głównej kwatery ŻZW przy ulicy Muranowskiej 7 szedł podkop pod ulicą, przedzieloną murem - z domu po „aryjskiej" stronie przy Muranowskiej 6. Mieszkałem w nim wtedy jako mały chłopiec, po wysiedleniu nas z ulicy Górnośląskiej, zaanektowanej jako dzielnica niemiecka; podkop świetnie był zakonspirowany, najlepszy dowód, że my, wścibskie bachory, nie odkryliśmy go! Z naszych okien widać było za to powiewające nad gettem flagi żydowską i polską. Jak się dowiedzieliśmy później, Dehmke, adiutant Juergena Stroopa, dowódcy pacyfikacyjnych oddziałów niemieckich, zginął w parę dni po wybuchu powstania, próbując zdjąć te flagi...

Niemcy musieli użyć regularnej armii z czołgami i ciężkimi działami. Przez trzy tygodnie toczyły się zażarte walki o każdy dom. Nie docenia się ich wojskowego aspektu – owe trzy tygodnie były niezwykłym wyczynem wojennym. Dowódcy Żydowskiego Związku Wojskowego, wyszkoleni na studium Roweckiego o walkach w mieście, kompetentnie kierowali batalią. Ostatni ich, nieliczni bojowcy i tych paru, którzy przetrwali w bunkrze Żydowskiej Organizacji Bojowej, zaatakowanym z końcem powstania, uratowali się, przechodząc kanałami miejskimi na stronę „aryjską" - by świadczyć po latach o przebiegu zniszczenia getta. Pogruchotane bombami domy Niemcy dopalali miotaczami ognia na naszych oczach i wysadzali. Po getcie warszawskim zostały tylko zwały gruzów.

12 maja 1943 r. popełnił samobójstwo w Londynie Szmul Zygelbojm, członek rządu londyńskiego, w proteście przeciw obojętności Zachodu. Ani jemu, ani londyńskiemu rządowi polskiemu nie udało się poruszyć zachodnich polityków i dowódców. Holokaust już się dokonał. Wykończenie warszawskiego getta było jego symbolicznym finałem.

46. JAK SIĘ WYCHODZI Z PIEKŁA

Wszystko to zdarzyło się już po wielkiej klęsce, którą Niemcy hitlerowskie poniosły zimą pod Stalingradem. Armia feldmarszałka Paulusa doszła aż do Wołgi, ale żołnierze radzieccy w walce o dom po domu obronili miasto. Potem korpus niemiecki musiał, otoczony, poddać się przeważającym siłom sowieckim.

Polaków ratowała psychicznie przed załamaniem głęboka wiara w ostateczną klęskę Niemiec, ów niczym nie uzasadniony optymizm z Sienkiewicza. Zdawali sobie sprawę, że po Żydach przyjdzie kolej i na nich, masowe egzekucje i kolejne eksterminacje całych wsi nie zapowiadały niczego innego, ale na sukcesy Niemiec okupowana Polska reagowała - dowcipami i piosenkami. Pamiętam dowcip z roku 1942: na gruzach Berlina siedzi staruszek, czyta książkę i zaśmiewa się do rozpuku; ludzie, wychodzący ze schronów, pytają, co czyta na tych gruzach. - Mein Kampf. - Co w tym śmiesznego? - Trafiłem na zdanie: Dajcie mi władzę, a ja was urządzę...

Przez cały czas działała podziemna oświata. Owa starsza siostra mojego ojca, która przed wojną założyła pierwszą żeńską szkołę rękodzielniczą, teraz, doświadczona organizatorka szkolnictwa, prowadziła w Warszawie jedenaście podziemnych szkół. Pracowały w prywatnych mieszkaniach podziemne uczelnie wyższe - czasami studenci wychodzili z zajęć na akcje bojowe - by nigdy nie wrócić... Czasami udawało się Niemcom ująć profesorów i rozstrzelać. Tak zginął prof. Stefan Bryła, jeden z najwybitniejszych mostowców świata - wykładał na podziemnej politechnice, a jednocześnie kierował sztabem fachowców, który pracował nad planem odbudowy kraju po wojnie. Szkolono zresztą nawet służby zieleni miejskiej, a jeden z zespołów naukowych przygotowywał polskie nazewnictwo dla dawnych wschodnich terenów Rzeszy Niemieckiej, które powinna po wojnie objąć Polska w imię likwidacji Prus. Z kąta salonu w naszym mieszkaniu jako mały chłopiec przysłuchiwałem się obradom grupy geografów i językoznawców, zapamiętałem, że rozśmieszyła mnie nazwa „Chebzie", za co mnie jeden z panów skarcił... Drukowano podziemne gazety i książki, co hitlerowcy ścigali ze szczególną zajadłością. Polskie radiostacje podziemne odzywały się niejednokrotnie przez niemieckie megafony uliczne, gromadząc na kilka minut niezliczone tłumy słuchaczy, rozradowanych dowodami, że Polska żyje.

Wykwalifikowane pracownie przygotowywały fałszywe „ausweisy" i „kennkarty", dokumenty osobiste dla ludzi podziemia i dla ratowanych Żydów. Oczywiście, tam, gdzie Polacy liczebnie przeważali, łatwiej przychodziło działać podziemiu, inaczej niż tam, skąd wysiedlano Polaków, by w ich miejsce lokować Niemców. Ale mimo wszystko delegat rządu emigracyjnego na Wielkopolskę, ostatni przedwojenny wojewoda poznański, dość późno trafił w ręce Gestapo. Gdy zginął, jego zadania przejął zaraz następca.

Wielka operacja dywersyjna nie powiodła się... Sowietom. Dotarł do Warszawy po skoku z samolotu mianowany w Moskwie szefem podziemnej, prosowieckiej „Polskiej Partii Robotniczej", Marceli Nowotko. Drugiego skoczka, Bolesława Mołojca, mającego dowodzić jej zbrojną Gwardią Ludową, poinformował, że ich zadaniem będzie rozpoznawać i wskazywać Niemcom kryjówki przywódców polskiego podziemia. Mołojec uznał go za agenta Gestapo i zastrzelił - by sam zginąć potem z rąk partyjnych współtowarzyszy. Obserwowałem po Polskim Październiku roku 1956 wysiłki siostry dwóch zamordowanych tak braci Mołojców, by uzyskać ich rehabilitację...

Na Armię Krajową składali się głównie młodzi ludzie, którzy mieli za mało lat na wojnę w roku 1939. Wspomagali AK nastoletni harcerze z tzw. „Szarych Szeregów" - to był konspiracyjny kryptonim Związku Harcerstwa Polskiego. Jego Organizacją Małego Sabotażu, kryptonim „Wawer", kierował dawny wychowawca tej młodzieży, Aleksander Kamiński. To on poświęcił jej w roku 1943 słynną książkę podziemia, „Kamienie na szaniec". Tytuł był ze Słowackiego:

„...Lecz zaklinam - niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec,
a jeśli trzeba, niech na śmierć idą po kolei
jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec".

Ci niespełna dwudziestoletni chłopcy jednocześnie uczyli się wzorowo, przygotowując się do odbudowy kraju. Z takimi ideałami Polacy mieli wyjść z wojny. Wśród nich - starsi ode mnie moi późniejsi przyjaciele: ten, co dowodził plutonem egzekucyjnym, i drugi, przyszły geniusz komputerowy, Jacek Karpiński, jako specjalista od materiałów wybuchowych, oficer Wielkiej Dywersji, w takimże wieku jak tamten. AK od kandydatów na żołnierzy wymagała skończonych 18 lat, ci dwaj wyglądali tak dorośle, że nie podejrzewano ich niedostatecznego wieku, a już Karpiński bił wszystkich swoimi technicznymi talentami...

To grupa operacyjna z „Szarych Szeregów", a nie zawodowcy dywersji, 1 lutego 1944 roku dokonała najsłynniejszego okupacyjnego zamachu - na generała SS i policji niemieckiej, Franza Kutscherę, kontynuującego terror po likwidatorze getta, Juergenie Stroopie. Niemcy nałożyli na Warszawę olbrzymią kontrybucję i w egzekucji ulicznej rozstrzelali w odwecie sto osób, a dalsze dwieście w obrębie murów getta. Były to jednak ostatnie już masowe egzekucje - w lutym zginęło w Warszawie 20 ludzi sił okupacyjnych, w marcu - 40, w kwietniu i maju - blisko 600, a dalszych dwustu kilkudziesięciu odniosło rany. Wtedy Niemcy zaprzestali masowych egzekucji.

Tylko paru tysiącom Polaków było dane zasadzić symboliczne drzewka na wzgórzu „Yad Vashem" w Izraelu, na każdego z nich przypadło kilka rodzin, które za pomoc Żydom zginęły całe; w rodzinach inteligenckich po prostu nie wypadało się chwalić spełnieniem ludzkiego obowiązku. A chłopi, mimo wiekowych urazów wobec Żydów, mimo propagandy Kolbego, nie stanęli masowo do pomocy okupantom. Mieszkańcy miasteczka Jedwabne, wypędzeni do masakry miejscowych Żydów, uczestniczyli w niej, co zapewne nie było wyjątkiem (być może powtórzyło się to jeszcze w dwóch sąsiednich miasteczkach, ale i w Jedwabnem polska gospodyni, pani Sienkiewiczowa, zdołała ukryć i przechować znajomego Żyda). Zanotowano jednak niewiele aktów zemsty na miejscowych Żydach za pomoc niektórych dla NKWD. Sporą część z 440 wsi, które zginęły jak francuski Oradour, wymordowano i zrównano z ziemią za pomoc Żydom. I dopiero w kilkadziesiąt lat po wojnie dzieci uratowanych zaczęły odnajdować chłopów, którzy uratowali ich rodziców...

Czy można było uratować więcej Żydów? Zachowało się zdjęcie egzekucji, w której wieszano polską kobietę za chleb dany Żydom; strzelano do nas, chłopców, kiedy przerzucaliśmy chleb za mur getta (być może ci „schutze", strażnicy, nie chcieli nas trafić, tylko przestraszyć, bo żaden z nas nie dostał).

W roku 1944 Niemcy hitlerowskie cofały się na wszystkich już frontach. W czerwcu alianci zachodni wylądowali w Normandii, przełamali Wał Atlantycki, latem wojska sowieckie wkroczyły na ziemie rdzennie polskie. U ich boku pod dowództwem sowieckich oficerów walczyły dwie armie polskie, sformowane z pozostałych jeszcze w ZSRR tysięcy Polaków.

Patronowały im uchowane w Moskwie resztki polskich komunistów, ale Stalin zamierzał najpierw te polskie oddziały wykrwawić - atakiem na Smoleńsk. Dowódca pierwszej takiej dywizji polskiej, Zygmunt Berling, odpowiedział przytomnie, że „tyle razy w historii braliśmy Smoleńsk od zachodu, raz weźmiemy od wschodu", i Stalin zrezygnował z tej operacji. Już jednak w pierwszej bitwie, pod Lenino, Polaków padły setki. Dowódcy sowieccy nie oszczędzali i swoich ludzi: taktyka polegała na wielekroć powtarzanych atakach aż po ostatni nabój u... przeciwnika, straty rosyjskie sięgały setek tysięcy, marszałek Gieorgij Żukow, główny zwycięzca bitwy o Stalingrad, zwykł powtarzać – „baby urodzą nowych".

W końcowej fazie wojny doszło do największego chyba dramatu w historii Polski. Wojska sowieckie doszły w kolejnej ofensywie aż do Wisły. Hitlerowcy się cofali, przez Warszawę ciągnęły tysiące przerażonych młodych i starych Niemców – co dobrze pamiętam, bo chodziliśmy oglądać te przemarsze. Gen. Tadeusz „Bór"-Komorowski, kolejny komendant Armii Krajowej, dał w porozumieniu z rządem polskim w Londynie sygnał do powstania w Warszawie. Wiedział, że na zajętych już terenach przedwojennej Rzeczypospolitej Sowieci rozbrajali i mordowali oddziały Armii Krajowej, która ich samych wspierała w walce, wywozili młodzież do „łagrów" w ZSRR nawet z Lubelszczyzny. W Lublinie powstał konkurencyjny wobec rządu londyńskiego, podporządkowany Sowietom „rząd polski".

Z rozmów Wielkiej Trójki, Churchilla, Roosevelta (prezydenta Stanów Zjednoczonych) i Stalina, w Teheranie z końcem 1943 r., wynikało, że Zachód Europę Środkową zostawi Stalinowi. Zachód wierzył, lub udawał, że wierzy w jego obietnice uszanowania środkowo-europejskich demokracji. Być może „Bór" zdawał sobie sprawę, że alianci zachodni muszą opłacić udział ZSRR w rozgromieniu hitleryzmu władzą nad zdobytymi terenami, ale właśnie dlatego chciał wyzwolić stolicę, by dać bazę autentycznemu rządowi, który by Stalin musiał zaakceptować – bądź przynajmniej z nim negocjować. „Bór" mógł liczyć, że Zachód przerzuci tu doborową Brygadę Spadochronową generała Sosabowskiego, z transportem broni i amunicji. Decyzja „Bora" nie była szaleństwem. Gdyby nie wszczął powstania w momencie takiego jak wtedy odwrotu Niemców, którzy nie ufortyfikowali nawet brzegów Wisły w okolicach Warszawy, pretensje pod jego adresem byłyby jeszcze większe. Sama zaś młodzież Warszawy chciała walczyć – można się było obawiać, że jakiś jej oddział sam przypuści szturm na pozycje niemieckie w mieście...

Hitler przysporzyłby więcej kłopotu Stalinowi, opuszczając Warszawę bez strat i przystając na powstanie tu rządu polskiego. Taką decyzję dyktowała logika wojny. W swej nienawiści do Polski Hitler nie dbał jednak o straty. Teza, że mógł uporać się z Warszawą, gdyby chciał, w parę dni, to nieporozumienie. Walki w mieście kosztowałyby takie same straty nawet znacznie większą siłę, niż te kilka dywizji i paręset czołgów. Nie wchodziły w rachubę „dywanowe" naloty bombowe, mieszkali tu i Niemcy. Z drugiej strony, radio Stalina wzywało Warszawę do walki - choć nie polecił on swej armii zająć miasta.

W tej najdramatyczniejszej bitwie drugiej wojny światowej walczyło ok. 30 tysięcy młodych żołnierzy AK, wspomagało ich całe miasto. Mali chłopcy, ukryci w załomach murów, miotali w czołgi produkowanymi podziemnie „sidolówkami" i butelkami z benzyną; zniszczono tak prawie 300 czołgów, a też niemało wozów pancernych. Oddziały hitlerowskie, atakując powstańcze barykady, nieraz pędziły przed sobą kobiety i dzieci, w zdobytych szpitalach powstańczych dobijały rannych. Ochotnicy z oddziałów gen. Berlinga próbowali sforsować Wisłę. Pamiętać wypada, że paruset z nich, pozbawionych wsparcia, zginęło. Alianci zachodni pozwolili tylko pilotom ochotnikom z różnych krajów,

startującym aż z Włoch, z Brindisi, lecieć nad Polskę, Sowieci nie pozwalali im lądować na terenach, które już zajęli po drugiej stronie Wisły… To odsłaniało ich stosunek do polskiej próby zajęcia Warszawy. Mniej zaś niż połowa zrzutów trafiła do powstańców. I dopiero, kiedy „Bór" po 63 dniach podpisał akt kapitulacji powstania, dowództwo hitlerowskie przyznało powstańcom prawa strony walczącej i kierowało ich do obozów jenieckich.

Ludność cywilna, kto żył, musiała Warszawę opuścić, wychodziliśmy z ruin wśród płonących domów i nie pozbieranych jeszcze trupów. Miasto hitlerowcy jak przedtem getto sukcesywnie palili i burzyli. Zostały sterty gruzów. Strat materialnych, w tym zwłaszcza dóbr kultury, nie da się wycenić. Wojna oduczyła nas płakać, ale wyszedłszy spod gruzów, płakałem jako mały chłopiec jedyny raz w życiu, kiedy na moich oczach płonął od miotaczy ognia ocalały fronton kamienicy z naszym mieszkaniem, z trzema tysiącami starodruków, które latami zbierał mój ojciec. Matka wtedy mnie skarciła – „nie ma co płakać za książkami, wychodzimy cali i zdrowi, a tu Wojtuś (chłopczyk z sąsiedztwa) ma poszarpany policzek. Wynosimy, co mamy w głowach…"

Do dziś trwa spór, czy „Bór" nie zdecydował lekkomyślnie. Cóż, Niemcy stracili kilkanaście tysięcy doborowego żołnierza, liczbę ich rannych szacuje się na blisko dziesięć tysięcy, stracili więc ponad dwie dywizje do walki z armią sowiecką. Żołnierzy AK zginęło kilkanaście tysięcy, ale Polaków, ludności cywilnej - około stu osiemdziesięciu tysięcy, w tym setki ludzi najwyższych kwalifikacji. Większość wymordowali Niemcy, jak całą 40-tysięczną dzielnicę Wola, wspomagani oddziałami rosyjskiej RONA i ukraińskimi, które opowiedziały się za hitlerowcami.

Armia niemiecka, z czołgami i ciężką artylerią, potrzebowała dwóch miesięcy, by pokonać miasto bezbronne, ledwie z kilkoma tysiącami karabinów i ręcznych karabinów maszynowych. Tak to jest z walkami w mieście. Młodzież bez kwalifikacji wojskowych często atakowała stanowiska niemieckie bez dostatecznego, niestety, rozpoznania. Biła się wszakże bohatersko, dzięki niej Polska wygrała później starcia wojenne, które… nie doszły do skutku: doświadczenie 1944 r. odstraszyło Kreml w roku 1956 od krwawej interwencji, takiej jak na Węgrzech, i od lądowania brygad powietrzno-desantowych w roku 1980, takiego, jakim pacyfikowano „praską wiosnę" w roku 1968.

W połowie stycznia 1945 r. ruszyła znad Wisły ostatnia ofensywa sowiecka, by dojść w maju aż do Berlina i zdobyć stolicę Rzeszy. Na samych ziemiach polskich, kiedy klęska Niemców była już nieuchronna, padło w kolejnych szturmach około sześćset tysięcy żołnierzy sowieckich, Stalin chciał za wszelką cenę pierwszy dojść do Berlina. Tym sześciuset tysiącom młodych ludzi należy się od nas pełny szacunek i wdzięczność, nie oni byli żołnierzami nowej okupacji.

Większość ludności niemieckiej z terenów, które mieli zająć „bolszewicy", w przeraźliwym strachu przed ich zemstą uciekała na zachód; oglądałem miejscowości po tym panicznym exodusie, z talerzami i sztućcami zostawionymi na stołach… Mieszkańcy wiedzieli od swoich wojskowych rodaków, że w Rosji armia cofającego się von Mansteina zostawiała na rozkaz Hitlera spaloną ziemię - obiegną świat zdjęcia z Kercza, gdzie w kilometrowej długości rowie odkopano siedem tysięcy zwłok zamordowanych mężczyzn i kobiet, starców i dzieci. Parę tysięcy Niemców, uchodzących z Gdańska, zatonęło stłoczonych w storpedowanym statku „Gustloff" – w tym samym czasie parę tysięcy więźniów Stutthofu hitlerowcy utopili na barkach w morzu… Wrocław obrócono w twierdzę, *festung Breslau*, ostatnią zaporę hitlerowską; 700 tysięcy jego niemieckich mieszkańców

na rozkaz gauleitera musiało zimą iść piechotą na zachód, zginęły ich po drodze tysiące. Po mieście zostały gruzy. Nic nie zostało i z Kołobrzegu jako twierdzy.

W trakcie tej ofensywy Wielka Trójka spotkała się w Jałcie - i ustaliła porządek europejski na czas po drugiej wojnie światowej: kraje Europy środkowej poddano władzy Sowietów. Zachód wolał nie zastanawiać się, co to znaczy.

Polska miała przesunąć się na zachód, aż po Odrę i Nysę - jak naciskał Stalin, ale nie bez zgody Churchilla, z prostą kalkulacją: raz na zawsze zlikwidować geograficzną bazę dla odrodzenia Prus jako źródła agresji. Na przyznanych Polsce ziemiach zachodnich Gdańsk i sporą część Szczecina armia sowiecka paliła i burzyła jako niemieckie już po ich zdobyciu - może w zemście, a może po to, by je Polacy dostali zniszczone. Sowieccy zwycięzcy wywozili z tych ziem nie tylko obrazy i fortepiany; wywozili nawet - szyny z podkładami... Dzięki muzykalności Rosjan przetrwały może fortepiany.

Wschodnie terytoria przedwojennej Rzeczpospolitej anektował Związek Sowiecki, Polaków stamtąd miano przesiedlić na ziemie zachodnie, polskie przed siedmioma wiekami (!). Polska traciła dwa swoje historyczne centra kultury, leżące jednak na ziemiach z polską tylko mniejszością. Wilno z Wileńszczyzną włączono do sowieckiej teraz Litwy, Lwów, dawną stolicę Galicji - do sowieckiej Ukrainy. Stalin tak zapewniał sobie wrogość między Polakami a Litwinami i Ukraińcami. Z tym, że nacjonaliści ukraińscy już za okupacji niemieckiej mordowali Polaków, a po wojnie UPA, Ukraińska Armia Powstańcza, kontynuowała walkę w obronie swojej samodzielności – już na terenie Polski. Z okrucieństwem, któremu dorównywało późniejsze okrucieństwo polskich oddziałów pacyfikacyjnych.

Polacy wystawili w sumie po stronie aliantów czwartą co do liczebności armię w tej wojnie i ponieśli największe obok Rosji straty. Alianci jednak uznali za czwartego sojusznika – Francję, a na dobrą sprawę - samego Charlesa de Gaulle'a , który potrafił w imieniu upokorzonej w roku 1940 Francji występować jak zwycięzca. Polacy, zdradzeni przez swoich sprzymierzeńców, poddani władzy, którą przewidywali jako władzę kolaboracyjną, nie załamali się, ani też, inaczej niż Litwini, nie krwawili dalej w beznadziejnej partyzantce – Polska miała otrzymać, dosłownie, nowe położenie geograficzne. Ze swym nierozsądnym optymizmem szukali - i to w większości - rozsądnego wyjścia z nieoczekiwanej sytuacji. Stalin, jak wiemy, za zgodą Churchilla przesunął polskie granice, nadając Polsce najlepsze z możliwych położenie geograficzne. Nigdy Polska nie miała granic tak sensownie i korzystnie ukształtowanych, z 500 kilometrami wybrzeża morskiego. Tak, dzięki Stalinowi. To było polskie zwycięstwo wojenne. Dobrze jest o tym paradoksie pamiętać. Mimo tragedii wysiedlonych Polaków zza Buga inteligencja polska w pełni to rozumiała, potraktowała granice z pięciuset kilometrami brzegów morza jako wynagrodzenie udziału i roli polskiej w tej wojnie. Mówiła nasza matka – „jak na zwyciężonych zwycięzców jesteśmy we wcale dobrej formie".

Nad stracone ziemie wschodnie, gdzie Polacy stanowili grubo mniej niż połowę ludności, starano się przedkładać uzyskane ziemie zachodnie z nietkniętymi w sporej części zasobami mieszkaniowymi. Niemcy po prawdzie wręcz nie lubili północy tych ziem, nie lubiąc Prusaków. Poza Górnym Śląskiem i zagłębiem wałbrzyskim te ich ziemie wschodnie wiele nie dawały, wymagały jeszcze dopłat *Osthilfe*, „pomocy wschodniej", by się nie wyludniały. Nie zbudowano żadnej kolei nadmorskiej ani autostrady dla dochodów z turystyki, port szczeciński nie dorównywał Kilonii, Hamburgowi czy Bremie. Na wschodzie Polska traciła wprawdzie wiele skarbów swej kultury, odzyskiwanych z trudem

po wojnie ze Lwowa i Wilna, ale traciła głównie w uczuciach. Lwów polski z dzielnością pionierów osiadał w odbudowywanym szybko Wrocławiu, błyskawicznie uruchomił uniwersytet! Profesorowie lwowskiego uniwersytetu imienia Jana Kazimierza przenieśli się do Krakowa i Wrocławia, krakowski Uniwersytet Jagielloński rozpoczął wykłady zaraz jesienią 1945 roku, uniwersytet wrocławski tak samo. Najlepsi inżynierowie budowlani, majstrowie i murarze przyjechali do zburzonej Warszawy i zamieszkawszy w nielicznych opuszczonych, nie zburzonych mieszkaniach lub pod namiotami, podjęli roboty. Byli to najlepsi polscy fachowcy budownictwa!

Rząd „lubelski" chciał stolicę przenieść do „robotniczej", nie zniszczonej Łodzi ale, o kolejny paradoksie, to Stalin zdecydował, że zburzona Warszawa pozostanie stolicą Polski... Oddał Stalin władzę nad Polską ludziom związanym z Moskwą. Inteligencja polska szybko zorientowała się, że trzeciej wojny światowej nie będzie, że Zachód obojętną mu Europą Środkową płaci Armii Czerwonej za pokonanie hitleryzmu, a musi sam jeszcze pokonać Japonię - ta skapituluje dopiero po rzuceniu bomb atomowych. Co więcej – wyborcy Ameryki i Anglii nie zaakceptowaliby wtedy ataku na decydującego sojusznika, „wujka Joe", jak nazywano Stalina. Polskie podziemie z całym rozmysłem więc wezwało podwładnych do pokojowej pracy nad odbudową kraju. Młody biskup Lublina, Stefan Wyszyński, już w roku 1944 tłumaczył moim przyszłym kolegom, tamtejszej młodzieży szkolnej, że nie partyzantki oczekuje się od niej, lecz nauki, by wyrosło nowe pokolenie inteligencji polskiej. Wiedział, że NKWD aresztuje i zsyła ujętych młodych ludzi w głąb ZSRR. Polowano i na resztki oddziałów partyzanckich, aresztowano wracających do cywila. W PRL zwano to „wojną domową", ale nie było niczym innym jak polowaniem na ludzi. Starsi moi późniejsi przyjaciele wymykali się na ziemie zachodnie, by tam życie cywilne z fałszywymi dokumentami zaczynać od nowa.

Przesiedlany milionami wiejski lud polski wychodził często z prymitywnych chat, a szybko oswajał się z nowymi standardami życia. Po roku dosłownie każdy był już u siebie. „Od zawsze". Inteligenci lwowscy i wileńscy z całą energią organizowali życie publiczne. Na ziemiach zachodnich gospodarował już naród pionierów. Po koszmarze wojny, straciwszy miliony rodaków – naród, co zdumiewające, wolny od poczucia nieszczęścia w tej kolejnej historycznie odbudowie. W atmosferze wzajemnej życzliwości - we dwóch z moim młodszym bratem, dwaj mali chłopcy, uciekłszy z obcego nam domu, przedostaliśmy się sami przez cały kraj, od morza do Tatr, i po drodze wszyscy nam pomagali! Wszyscy wszystkim pomagali, szabrownicy pojawili się później. Wyczytałem zaś u Agaty Christie, że w Anglii dominowały wtedy w atmosferze społecznej „zła wola i nieżyczliwe uczucia - na każdym kroku: w pociągach, autobusach, pośród robotników, urzędników, a nawet ludzi zatrudnionych na farmach" (tłum. Tadeusz J. Dehnel). W zwycięskiej Anglii. Zastanawiające.

Zachód uznał rząd lubelski za rząd polski. Nie było więc wyboru, wrócił do Polski premier emigracyjnego rządu w Londynie, Stanisław Mikołajczyk, stając w kraju na czele Polskiego Stronnictwa Ludowego. Fachowcy ruszyli gremialnie do odbudowy. Dla Polski, nie dla ustroju. Dla 500 km brzegów morza wrócił do kraju internowany w Rumunii Eugeniusz Kwiatkowski; dawny propagator gospodarki morskiej, przyjął pełnomocnictwo rządowe do zagospodarowania wybrzeża. Skupili się wokół niego najlepsi fachowcy, jacy przeżyli, w myśl poglądu, że inżynier tylko w kraju może teraz coś dla niego zrobić. Działacze Polskiego Stronnictwa Ludowego weszli w skład rządu, podobnie - paru działaczy podziemnej Polskiej Partii Socjalistycznej, chociaż krajowy, podziemny rząd polski Sowieci, zwabiwszy na rozmowy, uwięzili, wywieźli do Moskwy i zasądzili w pokazowym procesie. Działaczy PSL po wsiach mordowano w tajemniczych z pozoru

skrytobójstwach. Sprawców łatwo się było domyślić w tajnej policji reżimu, Urzędach Bezpieczeństwa, zwanych w skrócie „bezpieką”. MO, Milicja Obywatelska, formowana w miejsce Policji Państwowej, nie potrafiła oczywiście wykryć winnych. Których na ogół znała.

Należało teraz tylko Polskę skompromitować wobec Zachodu. Posłużył temu pogrom kielecki. Nie był on, co się po latach okazało, spontaniczną, antysemicką awanturą. Parę dni wcześniej przywieziono do Kielc i zatrudniono w pobliskim Ludwikowie kilkudziesięciu „robotników”; do miejsca zajść ich dowieziono, potem znikli z terenu Kielc. Dom, który zamieszkiwali szykujący się do wyjazdu Żydzi i paru żydowskiego pochodzenia oficerów miejscowej bezpieki, zaatakowało kilkudziesięciu ludzi; kieleccy księża starali się przedostać do miejsca zajść, nie dopuścił ich otaczający je kordon, który mógł w każdej chwili położyć kres awanturom. Chłopczyka, którego rzekomo „porwali Żydzi”, UB przetrzymywał potem pół roku wraz z jego rodzicami w kieleckim więzieniu, żeby go nie znaleźli zagraniczni dziennikarze - jego wspomnienia, już dorosłego, nagrał po latach mój przyjaciel, Andrzej Miłosz, świetny dokumentalista, brat laureata nagrody Nobla. Mały Henio, zamknięty w łazience, słyszał ryki bólu torturowanych. Procesy wytoczono katowanym długo w miejscowej bezpiece, przypadkowym ludziom, winą obciążając... polskie podziemie.

Zachód, wypada przyznać, uwierzył we wszystko. Chyba chciał uwierzyć. Wyglądało na to, że słusznie Polaków zostawiono Sowietom, zdolnym ochronić Żydów przed nimi.

47. NIE PODDAĆ SIĘ MACHINIE ZŁA

Żadne do tej pory badania nie wyjaśniły, jak to się stało, że Polska na wyrok aliantów odpowiedziała - dziećmi. Owszem, przybyło mieszkań - na ziemiach zachodnich, ale nie przybyło ani zamożności, ani sił i zdrowia. Czy działał podświadomy impuls wyrównania strat wojennych? Czy po prostu - radość z dzieci, w napięciu wojny niemożliwa, skoro nikt nie był pewny, że przeżyje? Czy uwolniona energia życiowa?

Nadal mnóstwo noworodków na wsi umierało, całe lata było wsi daleko do pełnej higieny porodów. Przez ponad jednak dwadzieścia lat po wojnie przyrost naturalny w Polsce był jednym z najwyższych w świecie. Miliony tego przyrostu zostawały na wsi w miejsce po milionach, które przenosiły się do miast. Chłopi zostawali bowiem - w języku marksizmu - „klasą robotniczą", czyli robotnikami przemysłu, i ... zachowywali się tak jakby nimi byli od pokoleń. Ze swym polskim, szlacheckim poczuciem godności własnej. Spiskowałem potem z nimi. Wiem, co mówię.

Jakiś czas można było żywić nadzieję, że w Polsce historia potoczy się inaczej niż w Sowietach. To wrażenie podtrzymywała zręczność szefa polskich komunistów, którym Stalin zakazał zresztą nazywać siebie komunistami. Bolesław Bierut, człowiek znikąd, którego życiorysu do dziś nie rozpoznano w pełni, uczestniczył jako głowa państwa w uroczystościach kościelnych i chadzał pod feretronami w katolickich procesjach. Ukazywały się - przy cenzurze - gazety niezależne. Jerzy Turowicz, dzięki poparciu metropolity krakowskiego, przewidującego kardynała Adama Sapiehy, redagował pismo inteligencji katolickiej, „Tygodnik Powszechny". Opozycję moralną łączył z realizmem inteligencji polskiej, świadom, że Polacy zdani są tylko na siebie. Wiedziałem to nawet ja, mając lat wszystkiego dwanaście. U dawnych przyjaciół rodziców, dla nas, malców, „wujostwa" Deimertów, słuchałem, co opowiadał ich przyjaciel, wielki pianista, Stanisław Szpinalski: po koncercie w Windsorze jeden z członków rodziny królewskiej poprosił go na bok i powiedział – „proszę przekazać przyjaciołom w Polsce, że nie możemy wam w niczym pomóc..."

Wyobraźnię masowego czytelnika w Polsce odtruwał krakowski magazyn ilustrowany „Przekrój". Redagował go z cudowną pomysłowością Marian Eile, sycił surrealizmem i humorem absurdu - obok zaś wykładał rodakom twarde realia polskiej sytuacji Edmund, czyli dla mnie Janek Osmańczyk, zetowiec z Opolszczyzny, przedwojenny podopieczny mojego ojca, późniejszy mój serdeczny przyjaciel. To, co Eilemu cenzura konfiskowała, lub co nawet nie doszło do cenzury, powtarzano ustnie - jak poniższy tekst „Teatrzyku Zielona Gęś" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (wedle Kiry, jego córki, ten tekst nie był jego pióra, ale cały Kraków bawił się tym w roku 1946 jako tekstem Konstantego Ildefonsa):

„Na scenie znajdują się Naród i Ustrój.
Naród (wydaje pomruki).
Ustrój (mu nie odpowiada).
Kurtyna".

Humor pozwalał sądzić, że z czasem być może lepiej. Obowiązywała zasada – robić jak najlepiej to, co się robi. Jest przecież łatwiej niż pod okupacją! Mimo sfałszowanego referendum, a potem równie sfałszowanych wyborów, Eugeniusz Kwiatkowski organizował życie morskie na 500 km wybrzeża, fachowcy i uczeni zaangażowali się

w odbudowę kraju, w nowe życia ziem zachodnich, w edukację młodzieży i walkę z analfabetyzmem - na wezwanie zniewolonej już PPS.

Wrócili z Zachodu wielki poeta, Julian Tuwim, i Antoni Słonimski, też poeta, przed wojną świetny felietonista, pamiętany powszechnie dla swego londyńskiego wiersza ze słowami „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy. Niech trwa", obaj lewicowych sympatii. Kiedyś, po Październiku 1956 r., natknąłem się na pana Antoniego w kawiarence warszawskiego Państwowego Instytutu Wydawniczego, w trakcie jedynej mojej z nim dłuższej rozmowy zgadało się o powojennych powrotach i pan Antoni prychnął niemal: „Oni myślą, że my z Julkiem wróciliśmy dla tego ustroju. Oni nie rozumieją, że my po prostu kochamy swój kraj..."

Poglądy lewicowe, co dziś mało kto rozumie, nie wymagały żadnego „ukąszenia heglowskiego" - Wielki Kryzys dowodził, że kapitalizm zawiódł i jedynym lekarstwem jest gospodarka planowa. Nikt nie wiedział tylko, co to w praktyce znaczy... „Plan trzyletni" wydawał się wnioskiem z przedwojennych doświadczeń Kwiatkowskiego. Stąd nie wszystko budziło sprzeciw. Nie protestowano przeciw upaństwowieniu wielkiego przemysłu – nie protestowano w przekonaniu, że zrobiłby to przecie na pewno i rząd „londyński", skoro bez własnych kapitałów przemysł mógł liczyć tylko na środki państwowe. Fabryki uruchamiali inżynierowie z robotnikami. Właściciele, jeśli przeżyli, dysponowali co najwyżej papierami, opiewającymi na tytuły własności. Nie mieli nic więcej. Żadnych pieniędzy, niektórzy – przedwojenne papiery skarbowe. Czyli tylko papiery... Ale przeżyli!

„Reformę rolną", odbierającą majątki „obszarnikom", przeprowadzano brutalnie, jeden z „aktywistów" PPR-u, przyszły filozof marksistowski, Adam Schaff, opisał, jak to z rewolwerem w kieszeni i ze zbrojną obstawą przekonywał chłopów, by chcieli brać ziemię... Wierzył wtedy święcie, że „podziemie" uśmierciło 15 tysięcy takich jak on – i wierzył w to, spisując wspomnienia! Reforma rolna była starym, przedwojennym projektem ludowców. Gdyby ją im zostawiono, nie potrzebowaliby do niej rewolwerów. Kwalifikowani zaś agronomowie spośród wywłaszczonych i wysiedlonych ziemian, „bezetów", jak ich nazywano, czyli „bez ziemi", nie pogrążyli się w nieszczęściu. Przeciwnie, szukając osobistego bezpieczeństwa, stanęli do pracy z przedwojennym fachowcem, Leonardem Maringe'm, jako ministrem – by zarządzać poniemieckimi majątkami na paru milionach hektarów ziem zachodnich. Uzyskiwali tam, świetni fachowcy, zbiory wyższe niż dawne niemieckie (w czym nie było nic dziwnego, bo się w te strony żaden fachowiec z głębi Niemiec nie pchał). Stalinizm potem uwięzi ich i Maringe'a ...

PPS, która nigdy przed wojną nie liczyła więcej niż 50 tys. członków, miała ich teraz pół miliona. Liczyli, że to im da jakiś wpływ na rozwój sytuacji i - co istotne - osłonę przed UB. Ludowcy i socjaliści polscy, choć zamykani w więzieniach i mordowani przez UB, trzymali się zdrowego rozsądku i realizmu. Eile powiadał – „więcej Osmańczyka, mniej Grottgera"...

W głowy młodzieży propaganda nowego ustroju, „demokracji ludowej", tłoczyła ideały równości i sprawiedliwości społecznej. Ideały trudno było odrzucić. Ale praktycznie liczyło się to, że około pół miliona ludzi z dołów społecznych, chłopi i potomkowie schłopiałej przed wiekiem szlachty, zajmowało stanowiska w administracji państwa, w partii, milicji, bezpiece i w armii, w gospodarce – na zasadzie „nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera". Nie dziwne, że jeszcze w 20 lat po wojnie, w połowie lat sześćdziesiątych

XX wieku, 80% urzędników państwowych miało tylko wykształcenie podstawowe. Nawet bez matur. Nie byli komunistami, ani nawet lewicowcami, ale identyfikowali się z przeprowadzoną po roku 1945 „rewolucją społeczną". Bo to ona ich wyniosła „do góry".

Jednakże nie jakieś ich oddanie „rewolucji" owocowało w Polsce stalinizmem. Instalowały go z sowieckimi oficerami Urzędy Bezpieczeństwa. Komuniści, wracający z ZSRR po długim niekiedy pobycie w łagrach, przysięgali sobie, jak mi potem opowiadali, że tu zrobią socjalizm inaczej niż w Sowietach. Ale robili wkrótce wszystko tak samo, w służbie takiej samej machiny destrukcji i terroru. Z tego samego przede wszystkim strachu. Po dwóch, trzech latach „bezpieka" decydowała już o wszystkim - także o kadrach i stanowiskach w samej PPR, Polskiej Partii Robotniczej, partii rządzącej! Nawet o składzie Biura Politycznego, jej najwyższej władzy.

W tej sytuacji politycy przybyli z Zachodu, ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele, uciekali, kto mógł, na Zachód. Nie tchórzyli. W reżimowych więzieniach zginęło paru największych bohaterów okupacyjnego podziemia, których grobów nawet po latach nie udało się odnaleźć. Politykom łatwo przychodziło wywnioskować, że oni będą następni. Wiedzieli, co więcej, że ich męczeństwa nikt w świecie nie zauważy. Uwięziono zaś i torturowano byłego legendarnego dowódcę z obrony republiki w Hiszpanii, komunistę Wacława Komara.

Swoista cezura czasowa to grudzień roku 1948, gdy przymusowo połączono działającą oficjalnie Polską Partię Socjalistyczną, i tak już zniewoloną, z Polską Partią Robotniczą w Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą (do końca reżimu nigdy nie mówiła ona o sobie oficjalnie jako partii „komunistycznej"). Autentyczny przywódca PPS z czasu wojny, Kazimierz Pużak, skazany w procesie moskiewskim, siedział już w więzieniu na terenie Polski, gdzie go z czasem po prostu zadźgano - jak przekonały się, odbierając zwłoki, żona i córki (akurat zaprzyjaźnione z moją rodziną). Na przywódcę oficjalnej, „państwowej" PPS, Józefa Cyrankiewicza, premiera od roku 1947, gromadzono materiały obciążające - torturowano po to jego przedwojennego jeszcze współpracownika, a znaliśmy go z bratem dobrze, bo to był kolejny mąż naszej ukochanej, a pięknej ciotki „Myszki", oficera podziemia, „wuj" Zygmunt Kłopotowski...

Przeciętny obywatel kraju uczył się od nowa nie tylko strachu. Uczył się od nowa i kolejek. Tuż po wojnie na krótko wróciła gospodarka rynkowa z jej ludzką zaradnością, bez głodu; przychodziła jeszcze pomoc amerykańska w ramach UNRRA, od żywności i czekolady po odzież, sterowana przez tego samego co po pierwszej wojnie Herberta Hoovera; sam nosiłem battle-dres z Unrry.... Dopiero komunistyczny szef gospodarki, doktryner ekonomii, Hilary Minc, wszczął „bitwę o handel" i podciął żywotność gospodarczą Polski. Niszczono „domiarami", czyli ustalanymi wedle uznania doraźnymi „podatkami" handel prywatny, niszczono z równą zajadłością handel spółdzielczy. Stopniowo zapanował całkowicie handel „przydziałowy", na „kartki", z kuponami, które wycinano przy wykupie swego przydziału. „Czarny rynek" nie mógł uleczyć chorób oficjalnej gospodarki, „winnych" wolnego handlu ścigano, zsyłano do obozów pracy i zamykano do więzień. Przetrwał, bo i ludzie władzy kupowali mięso na schodach od „bab" ze wsi... I tak będzie aż po reformę Balcerowicza, która w roku 1990 przywróci gospodarkę rynkową.

O „planie Marshalla", planie pomocy amerykańskiej, który odbudował ze zniszczeń wojennych gospodarkę zachodniej Europy, mowy nie było. Odbudowywali Polskę z ruin po 1945 r. przedwojenni polscy inżynierowie, majstrowie i murarze z rzemieślnikami od „wykończeniówki". Pracowali, nie oglądając się na reżim. Sam właśnie, trzynastoletni,

widziałem na warszawskim Muranowie, jak po miesiącu od wejścia na zagruzowany plac budowy oddano klucze mieszkańcom czteropiętrowego domu (infrastruktura, to prawda, była w ziemi). Ale też ci murarze, szkoleni po analizie ruchów roboczych, mieli za normę przedwojenną dla jednej zmiany brygady murarskiej 3200 cegieł, tyle, ile na „wielkiej budowie socjalizmu", w Nowej Hucie, będzie oznaczało już rekord, opłacany morderczym wysiłkiem.

Nową Hutę na złość „reakcji" Krakowa zlokalizowano tuż obok – niszcząc akurat w tej okolicy najżyźniejsze gleby południowej Polski. Późniejsi robotnicy Nowej Huty, byli chłopi, okażą się jednak tak samo „reakcyjni" jak Kraków, edukując się na „Przekroju". Najważniejszym naszym sojusznikiem buntu krakowskich studentów w Polskim Październiku 1956 r. będą ci robotnicy - z sekretarzem komitetu zakładowego partii w Nowej Hucie, robotnikiem, Zbigniewem Jakusem, na czele!

W Czechosłowacji ludzie, nie podobający się władzy, ginęli w „likwidacjach administracyjnych", rodziny po roku dowiadywały się, że ktoś „zniknął", po dalszych trzech miesiącach uznawano go prawnie za zmarłego, w gazetach miejscowych jednego dnia ukazywało się ponad trzydzieści nekrologów. Zniknęło tak dziesiątki tysięcy osób. Po sfingowanym procesie, którego scenariusz i wyroki zatwierdził Stalin, powieszono jedenastu członków kierownictwa czechosłowackiej partii z sekretarzem generalnym, Rudolfem Slansky'm, włącznie.

W Polsce chwytano, męczono i mordowano ludzi z Armii Krajowej; zabijano i cichcem, bez oskarżeń – szczęściem, nie masowo, może z niedostatku morderców.... Część ofiar, jak oficerów polskich, którzy wrócili z Zachodu, skazywano w sfingowanych procesach, czasem już po straceniu „winnego". Oprawcy fabrykowali sami oskarżenia i dowody; w 1948 zginął z ich rąk, zakatowany, skazany w sfingowanym procesie i stracony, niezwykły bohater okupacyjnej konspiracji, Witold Pilecki, który potrafił przedostać się do obozu w Auschwitz, potem uciec z niego i dostarczyć pełnych o nim informacji. Innych latami trzymano w celach śmierci, licząc, że się kiedyś złamią i „zaczną mówić". Z równą pasją katowano ludzi z własnej, kadłubowej Armii Ludowej i weteranów z brygad międzynarodowych walczących przeciwko Franco w Hiszpanii.

Wyróżniało się wśród siepaczy paru młodych polskich reemigrantów z Francji Poddawano ich, jak opowiedzieli mojemu koledze, wybitnemu reporterowi - specjalnym kursom nienawiści, dla „walki z najgroźniejszym wrogiem, wewnętrznym, w partii". Pewien osądzony po roku 1956 osiłek, zabijał dla dobra partii dłońmi jak bochny chleba - ofiarę układano na brzuchu na ławie, przykładano deskę na barki, a on z całej swej siły walił w tę deskę, by wywołać zawał serca; zawał serca nie dziwił rodziny więźnia.

Społeczeństwo, w tym zwłaszcza młode pokolenie, musiało dopiero odkrywać, co się i w jakiej skali dzieje. Nie zdawało sobie sprawy z nasilenia represji. Nie było systemu podziemnego rozpowszechniania informacji, z góry aresztowano tych, którzy mogli by taką inicjatywę podjąć. Przywódcę podziemnej, okupacyjnej PPR, potem sekretarza Komitetu Centralnego, Władysława Gomułkę, uwięziono - bez żadnego procesu - za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". Niejaki towarzysz Dusza wyprowadzał go bosego, w nocnej koszuli, zimą na śnieg i polewał kubłami zimnej wody, ale nie powieszono ani Gomułki, ani innych takich „winnych". W październiku 1956 r. wypuszczony już Gomułka powie Chruszczowowi i członkom pacyfikacyjnej sowieckiej delegacji:

„Wielu ludzi przeszło ciężkie tortury, były przypadki śmierci w wyniku tortur (...) Niektórzy radzieccy doradcy obecni byli podczas tortur, przy czym wówczas tortury były jeszcze cięższe".

Wojsko PRL miało swój odrębny system prześladowań, Główny Zarząd Informacji, pod bezpośrednim kierownictwem oficerów NKWD. 30 % kierowniczych stanowisk w bezpiece oddano dawnym komunistycznym internacjonałom żydowskiego pochodzenia, których poczucia tożsamości nie określało bynajmniej pochodzenie, lecz Komintern, komunistyczna międzynarodówka. Mordowali bez pardonu i Żydów. Uczyć to miało Polaków antysemityzmu, kiedy Stalin rozpętał w Rosji krwawą nagonkę antysemicką. Nie znali hamulców. Jeden z fanatycznych okrutników, Różański, torturował moją młodą kuzynkę, śliczną Nutkę S., a gdy sąd, rzecz wyjątkowa, uniewinnił dziewczynę, oprawca zaproponował jej... przeprosinową randkę.

Partię podobno zmiękczył „Przekrój". Aparat partyjny czytał o dobrym wychowaniu w rubryce „Demokratyczny savoir vivre" Jana Kamyczka, tj. Janiny Ipohorskiej - i już jakby nie wszystko wypadało... Zresztą i sam aparat bał się rosnącej potęgi bezpieki. To były paradoksy przesiąkniętego okrucieństwem reżimu. Był to system bezpośredniej sowieckiej ingerencji, a nie żaden system lenny wobec okrutnego cara.

Faszyzująca przed wojną prawica polska, zorganizowana teraz w pseudo-katolickie, agenturalne z zamysłu ugrupowanie „Pax", dogadała się z reżimem. Miała rozkładać katolicyzm polski od wewnątrz. Ale przyjmowała też jako członków, chroniąc ich od śmierci i głodu, prawicowych inteligentów tudzież „bezetów", byłych właścicieli ziemskich, pozbawionych środków do życia.

Otwartą wojną była tylko rozprawa z UPA, dawnymi sprzymierzeńcami Hitlera, w południowo-wschodnim zakątku kraju. Przesiedlano stamtąd w różne części ziem zachodnich całe wsie Łemków i Ukraińców. Lata minąć musiały, nim ci ludzie przestali nienawidzić Polski. Polska zaś, wyszedłszy z piekła, zmierzała teraz w świat absurdu, przesłanianego mirażem utopii.

Stalinizm w Polsce cechowały dalsze paradoksy. Na wyższych uczelniach technicznych uczyli znakomici przedwojenni profesorowie - inaczej niż w Pradze czeskiej, gdzie poznałem profesora słynnej politechniki praskiej, zamiatającego ulice jeszcze po roku 1956. Wytrzymałość materiałów, jak się mówiło, nie poddawała się naciskom ideologicznym, stąd i najzdolniejsza młodzież polska szła na uczelnie techniczne. Na uniwersytetach i w szkołach medycznych też wykładali przedwojenni profesorowie. Spośród moich profesorów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego odebrano wykłady jednemu tylko sędziwemu specjaliście od teorii prawa, pozostali z wyjątkiem jednego mianowańca przekazywali nam, i to w apogeum stalinizmu!, wiedzę sprzed wojny - jako że prawo pozostawało formalnie to samo... Pozbawiono katedr profesorów filozofii na uczelniach wyższych, ale inteligentny szef „socjalistycznego" wydawnictwa naukowego, Adam Bromberg, zaoferował im prace nad tłumaczeniem klasyków filozofii. Dzięki temu Polska wyszła z ośmiu lat stalinizmu... z kompletem przekładów klasyki filozofii. Okazało się, że Polska umie nie tylko walczyć.

Nowy ustrój miał swoją „idee fixe": uprzemysłowienie kraju. Do tego potrzebował - inżynierów. W czeskim przemyśle, rozbudowanym jeszcze za okupacji hitlerowskiej, stalinizm wyrzucał fachowców na bruk, albo i zsyłał do obozów pracy. W Polsce pierwszymi „wielkimi budowami socjalizmu" kierowali przedwojenni inżynierowie,

wykształceni na najlepszych wzorach, ze starymi majstrami. Zarządzali sprawniej i skuteczniej, niż późniejsi wybrańcy aparatu partyjnego.
Nie oznaczało to żadnej swobody inicjatywy, nawet - pozytywnej i konstruktywnej. Ustrój nie stwarzał miejsca na jakąkolwiek alternatywę, na nic poza kontrolą aparatu rządzącej partii i służb tajnych. Niezależną myśl sparaliżowano. Literaturę poddano policyjnym rygorom „realizmu socjalistycznego", pisarzy, którzy się nie podporządkowywali, po prostu nie drukowano. Państwo samo, od roku 1952, od „uchwalenia" nowej konstytucji, nazywało się „Polską Rzeczpospolitą Ludową", w skrócie PRL - jako jedna z „demokracji ludowych" w obozie sowieckim.

„Tygodnik Powszechny" zamknięto, a po pewnym czasie zaczął się on ukazywać - pod redakcją pseudo-katolików z „Paxu". Władza pod naciskiem irytującego się Kremla podjęła walkę także z uczuciami religijnymi Polaków i z Kościołem, chociaż Kościół polski gotów był do kompromisu - podpisał w roku 1950 odpowiednie porozumienie i organizował polskie życie religijne na ziemiach zachodnich. Księży traktować zaczęto jak wrogów państwa, majstrować przeciw nim procesy, zaaresztowano pod fikcyjnym zarzutem biskupa kieleckiego. Tu ponura anegdota – mój młodszy przyjaciel usłyszał, jak żona Różańskiego dowiedziała się, czym w resorcie „bezpieczeństwa publicznego" para się jej mąż: na przyjęciu tłumaczył się partyjnemu patronowi bezpieki, Jakubowi Bermanowi, ze zbitego szkiełka swojego zegarka, który dostał od gospodarza przyjęcia, na co ubecki „generał" Romkowski zarechotał – „twardy łeb ma ten biskup, co?" Mniej odpornych psychicznie duchownych zmuszano różnymi szantażami do afiliowania się w reżimowym ruchu „księży-patriotów". Prymas Stefan Wyszyński, pierwotnie ów biskup lubelski, odmówił wtedy wszelkich dalszych rozmów... Do legendy przeszło jego *non possumus*.

Młodzież wiejska przybywała dziesiątkami tysięcy na „wielkie budowy socjalizmu", do przemysłu. Był to dla niej niewątpliwy awans cywilizacyjny - sam spotykałem w „hotelach robotniczych" Nowej Huty chłopaków, którzy po raz pierwszy spali w łóżkach, bo jako parobcy wiejscy sypiali wyłącznie na sianie w stodołach. Wieś natomiast reżim postanowił siłą przemielić po sowiecku na wieś skolektywizowaną - w „spółdzielnie produkcyjne", bez prywatnej własności.

Wieś nie poddawała się. Spadały na nią represje głupie i sadystyczne. Oto spędzano wszystkich mieszkańców do jednej stodoły, by trzymać ich dwie, trzy doby na głodno, zmuszając do wypróżniania się w obecności pozostałych. Opowiadał mi to ze wstydem po roku 1956 były ich gnębiciel, który zmieniwszy poglądy... ożenił się akurat z moją kuzynką zgoła antypaństwowych poglądów, która nie wiedziała, kim ten przystojny facet był. Spotykałem jako reporter wsie, których ponad połowa mieszkańców, ze staruszkami włącznie, przeszła więzienia i obozy pracy. Tej gehenny wsi miasta nie znały, a później - zapomniano jej i na wsi. Nie lubiliśmy złych wspomnień.

Nawet śmierć Stalina w marcu 1953 r. nie złagodziła ucisku. Jeszcze tegoż roku prymasa Polski, Stefana Wyszyńskiego, zesłano w miejsce odosobnienia, pozbawiając kontaktu z duchowieństwem. Pierwsze zmiany, zwane od tytułu książki Ilii Erenburga „odwilżą", wiązano z rozstrzelaniem w ZSRR szefa służb terroru, Berii. Być może rozprawa Chruszczowa, nowego sekretarza KC KPZR, i jego zwolenników z Berią wpłynęła jakoś na sytuację w Polsce, ale faktycznie w naszym kraju zadecydowało co innego. Z końcem roku 1953 uciekł na Zachód jeden z szefów aparatu terroru, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Józef Światło. Czy sam zaczął się bać, czy miał dosyć, nie wiemy. W każdym razie - zaczął mówić.

W roku 1952 w Niemczech Zachodnich Amerykanie powołali do życia Radio „Wolna Europa", sekcją polską kierował Jan Nowak, czyli Zdzisław Jeziorański, w czasie okupacji bohaterski kurier między okupowaną Polską a Londynem. Światło opowiadał o reżimie – „Wolnej Europie". Z jego rewelacjami to radio docierało mimo zagłuszania do społeczeństwa polskiego, a przede wszystkim - do samej elity władzy. Czytała ona pilnie rejestrowane „nasłuchy" audycji i ją samą ogarnęło przerażenie systemem. Bali się już wszyscy. Doborem kadr partii rządził naprawdę X Departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Oto, co mi powtórzył człowiek, zdawałoby się, wtedy nietykalny - były oficer brygad międzynarodowych z Hiszpanii, „bohater Związku Radzieckiego" (uczczono go takim tytułem jako padłego na polu bitwy, tymczasem wyżył), Juliusz Hibner. Szefowa tegoż X Departamentu, prywatnie – pisarka, Luna Bristigerowa, subtelnie uświadomiła mu, że obowiązuje równość wobec prawa, zatem i on, bohater, może być podejrzany, a w razie konieczności poddany „szczególnym środkom śledztwa", skoro trzeba je było zastosować wobec jego byłego dowódcy z Hiszpanii, Komara.

Biuru Politycznemu Komitetu Centralnego partii, władzy najwyższej, mnóstwo czasu zajęła dyskusja nad projektem... centralnego więzienia. W późniejszej rozmowie Cyrankiewicz spytał mnie, czy się domyślam, dlaczego. Łatwo było zgadnąć: każdy z dyskutujących mógł tam trafić. Jak usłyszałem od niego, najdłużej się zastanawiano, czy basen pływacki ma być w podziemiu, czy na ostatnim piętrze. Centralne więzienie powinno reprezentować należyty standard.

Jak zawiązał się spisek, by uwolnić partię od kontroli ze strony X Departamentu, nie wiemy. Tego mi nie powiedział potem Cyrankiewicz - jeden z zagrożonych. W roku 1954 kierownictwo partii na kolejnym Plenum Komitetu Centralnego przeprowadziło swoisty zamach stanu - w porozumieniu na pewno z Moskwą Chruszczowa, bo trudno byłoby to sobie inaczej wyobrazić - rozwiązało MBP. Obaliło tym samym i władzę X Departamentu nad sobą. Od tej pory nie bezpieka rządziła państwem, lecz - zapamiętajmy - aparat partyjny. Rządził od tej pory i bezpieką, zamienioną w „Służbę Bezpieczeństwa". Miał ją na swoje usługi.

Zaczęto zwalniać ludzi z więzień i obozów, rewidować niektóre wyroki. Zwalniano ludzi z wyrokami śmierci, zwolniono Gomułkę i towarzyszy. Nie udało się wyjaśnić, dlaczego wielu wyroków śmierci... nie wykonano. Fenomenalnego lotnika RAFu, który podczas wojny zestrzelił dla Anglii rekordową liczbę 22 samolotów Luftwaffe, Stanisława Skalskiego, po jego powrocie do kraju demonstracyjnie skazano i trzymano z wyrokiem śmierci osiem lat! Tylko dzięki swej sile charakteru przetrzymał, wyszedł i dożył 89 lat...

Po 1954 r. już samo Biuro Polityczne partii powtarzało w trakcie posiedzeń dowcipy na temat własnego reżimu - w rodzaju definicji polsko-radzieckiej wymiany handlowej: „my im dajemy węgiel, a oni za to biorą od nas cukier". Zwykłych obywateli takie dowcipy kosztowały więzienie - mimo „odwilży". Bezpieka nie przestała być bezpieką. Mimo że i z niej kpiono. W Krakowie budynek bezpieki stał naprzeciw kina „Wolność" i mówiło się – Co to jest wolność? Kino naprzeciw bezpieki...

Strach zelżał. Wracała nadzieja - której Polacy, zostawieni samym sobie, nigdy się nie oduczyli.

48. MIĘDZY KAPITULACJĄ A KARABINAMI MASZYNOWYMI

To nie „odwilż" wywołała bunt młodzieży roku 1956 i dzięki niemu pierwszy wielki wyłom. Reżim sam wyprodukował swoich wrogów. Nie było wszak ani wolności, ani sprawiedliwości. Ani demokracji i równości... Zrewolucjonizowało nas kłamstwo.

Studenckie teatrzyki wykorzystywały „odwilż" i niedwuznacznie śmiały się z reżimu. Jesienią roku 1955 redakcja tygodnika studenckiego „Po prostu", zalegającego stosami parapety okien wyższych uczelni, przekształciła pismo w gazetę prawdy, a więc - buntu. „Po prostu" odkłamywało załganą rzeczywistość; jego nakład limitowano, egzemplarze pisma szły po cenie i dziesięć razy wyższej od nominalnej. Z dnia na dzień zostało zespołowym przywódcą mojego pokolenia. To był przełom.

Lekcję rewolucji przeciw panowaniu marksizmu braliśmy właśnie z marksizmu: wedle naszej interpretacji rządziła Polską „czerwona burżuazja", klasa panująca, ze swymi elitarnymi konsumami partyjnymi i siecią sklepów „za żółtymi firankami", w których można było, z odpowiednią legitymacją, kupić, co kto chce. My, rewolucjoniści, powinniśmy wobec tego w imię prawdziwego socjalizmu sprzymierzyć się przeciw tej klasie z klasą robotniczą, armią rewolucji, zorganizowaną w pułki załóg fabrycznych, jak wskazywał towarzysz Marks. Chcieliśmy przede wszystkim demokracji, ale nie wiedzieliśmy, jak to zrobić. Ani, tym bardziej, jak zrobić „prawdziwy socjalizm". Byliśmy wszyscy razem przeciw. Razem ze starszymi pokoleniami, przetrzebionymi przez wojnę. Starszych fachowców, jeśli przeżyli, przychodziło dopiero wyszukiwać. Dopiero po latach młode pokolenie miało się uczyć od zera wiedzy o demokracji i o gospodarce rynkowej. Jednego doświadczyło samo - wiary w prywatny handel i prywatne gospodarstwa rolne. Byliśmy i za prawdziwą spółdzielczością, ale któż na niej się znał? Latami studiowałem potem i popularyzowałem jej tajniki.

Wczesną wiosną roku 1956 wstrząsnął całym obozem sowieckim tajny referat owego pierwszego sekretarza KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Nikity Chruszczowa na XX zjeździe tej partii. Chruszczow poradził sobie najpierw z Berią, potem z Gieorgijem Malenkowem, byłym wykonawcą stalinowskich czystek. Zjazdowi partii przedstawił bez ogródek zbrodnie Stalina. Bierut zmarł w Moskwie z wrażenia na zawał... Niemniej tymi „wypaczeniami" Chruszczow obciążył „kult jednostki", nie system władzy. Prawda była przerażająca, choć i tak nie pełna. W Polsce toczyła się już walka w kręgu partyjnej „góry", sporo jej, z Cyrankiewiczem, było za „demokratyzacją". Referat Chruszczowa rozesłano w Polsce do wszystkich tzw. „podstawowych organizacji partyjnych", czyli w praktyce do całego społeczeństwa, i potem, cichcem, przez korespondentów prasy zagranicznej, na Zachód.

Tamtej wiosny „Po prostu" wymknęło się ostatecznie spod kontroli władzy, miało milczących zwolenników nawet w cenzurze. W początku maju 1956 studenci krakowscy podczas pierwszych ogólnokrakowskich „Juwenaliów", które zorganizowałem, wyszli tysiącami na ulice miasta. Wołali „chodźcie z nami" i skandowali pod redakcjami gazet - „prawdy i chleba".

Wyszli - i nic się im nie stało. W czerwcu wyszli na ulice Poznania nasi koledzy, młodzi robotnicy zakładów im. Cegielskiego. Nie dla samych podwyżek. Skądże! „Robotnicza" władza nie tylko długi czas oszukiwała ich na płacach, ale i demonstracyjne lekceważyła: obiecała przyjazd delegacji KC na rozmowy z przedstawicielami tak potężnej załogi, po

czym kolejny raz – nikt nie przyjechał. Robotnicy nie myśleli porywać się z gołymi rękami na uzbrojoną władzę. Nie planowali żadnego „powstania". Wyszedłszy pochodem na ulice Poznania, nikogo nie tknęli. To do nich zaczęto strzelać. Przybyły oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z czołgami. Kilka załóg zbratało się z manifestantami, ale zdyscyplinowane formacje ich zmasakrowały. Padło dziesiątki ofiar. Aresztowano potem, bito i sądzono domniemanych i rzeczywistych demonstrantów. Władze zaprzeczały, jako by na lotnisku Ławica rozstrzelano potem żołnierzy, którzy odmówili udziału w pacyfikacji, ale mieszkający obok słyszeli salwy karabinowe... Zwolennik demokratyzacji, premier Cyrankiewicz - potępił demonstrantów jako wrogów socjalizmu, grożąc że władza takim ręce poucina. Musiał najwidoczniej wykazać się przed aparatem partyjnym. Do tej pory lubiany, na długo tym stracił popularność.

Jesienią 1956 r. przyszedł czas ostatecznego buntu. Na uczelniach zawiązały się Studenckie Komitety Rewolucyjne. Rozwiązaliśmy na Uniwersytecie Jagiellońskim i na Politechnice ZMP, oficjalną organizację młodzieżową, masowe wiece wspólnego ruchu studentów i robotników po całym kraju żądały „demokratyzacji". Przywodził im w Warszawie Leszek Goździk, robotnik warszawskiej fabryki samochodów na Żeraniu, sekretarz jej komitetu zakładowego partii, postać najgłośniejsza. Zwołano na 19 października VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, miało oddać władzę Gomułce. Aliści wieczorem 18 października ruszyły na rozkaz marszałka Żukowa ku Warszawie czołgi radzieckie ze swoich baz w Polsce, zaś 40 dywizji, stacjonujących w NRD, postawiono w stan pogotowia. Rano przyleciał niespodziewanie do Warszawy Chruszczow, z nim trzej inni najważniejsi ludzie Kremla, Mołotow, Kaganowicz i Mikojan. Gomułka rozmawiał przyjaznym, ale twardym tonem. Ruszyły czołgi i formacje Warszawskiego Okręgu Wojskowego, na ich czele przywrócony świeżo do służby dowódca Pierwszego Praskiego Pułku Zmechanizowanego, Edwin Rozłubirski, oficjalnie dla ochrony magistrali miejskich. Także - oddziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego już pod dowództwem Wacława Komara. Ten nie krył, co w razie czego zrobi. Jasne było, że za nimi pójdą inni. Chruszczow palnął o możliwej interwencji, powiało grozą. Gomułka się nie ugiął, po dramatycznej wymianie zdań, która nadawałaby się na spektakl telewizyjny, Chruszczow zrezygnował w końcu, Żukow kazał swym czołgom wrócić do baz, nie zapraszani goście odlecieli. Wiadomości o przebiegu rozmów szybko doszły do polskiej opinii publicznej i został Gomułka nieledwie bohaterem narodowym. Wygłosił na tym VIII Plenum referat pióra Władysława Bieńkowskiego, z ważką historycznie opinią, że stalinowska przeszłość to nie wina kultu jednostki, lecz - systemu.

W roku 2006 rosyjski historyk znalazł w papierach po Chruszczowie szczegółowy, niebywałej dokładności, w części może stenograficzny, zapis warszawskich rozmów. Notował je przybyły z Moskwy tłumacz, Jan Dzierżyński, syn Feliksa (umknęło mu tylko parę ważnych słów; na groźbę interwencji Gomułka zareagował z uśmiechem – „no to będziemy się bić", po czym Chruszczow obrócił swą groźbę w żart). W Warszawie Dzierżyński nie szukał kuzynów.

Na Węgrzech zaczęło się wszystko od popierającego Polskę wiecu pod pomnikiem wspólnego bohatera narodowego, generała Bema, „ojczulka Bema". Niestety, sekcja węgierska Radia Wolna Europa wzywała Węgrów do walki i protesty obróciły się w powstanie. Dwie mordercze interwencje sowieckie obróciły je w tragedię z tysiącami ofiar. Wysyłaliśmy na Węgry kolegów z transportami leków i żywności, ludzie je zbierali, a woziły potem też państwowe samoloty. Paru chłopaków tam i postrzelało. Umieli jeszcze z wojny.

Nas Wolna Europa Nowaka-Jeziorańskiego uczyła rozwagi. Od zabijania powstrzymaliśmy się nie ze strachu. Z rozsądku. Choć, nie ma co ukrywać, wielu ręce świerzbiały. Nasi zaś rówieśnicy w wojsku, poborowi z ostatnich lat, ci z dostępem do broni, czekali tylko na sygnał.

Studenckie Komitety Rewolucyjne w paru miastach rządziły nimi, pilnując wraz z robotnikami porządku. Do szefa naszej milicji studencko-robotniczej w Krakowie, Adama Kreislera (dziś w Australii), przyszło naraz paru dziwnych panów, zapytało, jak długo my tu będziemy rządzić; Adam odpowiedział, że jakieś dwa tygodnie, zanim się wszystko jakoś nie ułoży, na co ci panowie zadeklarowali – „to my przez te dwa tygodnie nie będziemy kraść". I wyjaśnili, że są delegacją... zawodowych złodziei krakowskich.

Polski Październik, jak nazwaliśmy owe przemiany dla odróżnienia od bolszewickiej Rewolucji Październikowej 1917 r., uwolnił i poznańskich robotników, i wszystkich więźniów reżimu. Wojsko chciało, by Konstanty Rokossowski, w czasie wojny znakomity sowiecki dowódca, mianowany marszałkiem PRL, wrócił do Rosji - mimo sprzeciwu Chruszczowa i jego delegacji. Rokossowski z żalem odjechał. Z nim generał pułkownik Stanisław Popławski, wbrew nazwisku - Rosjanin, przeszedłszy w stan spoczynku wrócił do ZSRR. Także – generał Wojciech Bewziuk, do 1955 dowódca artylerii wojska polskiego i Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Z nimi - „posłowie" do sejmu PRL, nie mówiący nawet po polsku, obywatele Związku Radzieckiego, Bortkiewicz i Strażewski. Inny taki poseł, gen. Kieniewicz, też obywatel ZSRR, od dawna mieszkał w ZSRR. Ale Jerzy (Jurij) Bordziłowski pozostał wiceministrem obrony do roku 1968... Pierwszy oprawca w Głównym Zarządzie Informacji wojska, Wozniesienski - pułkownik NKWD, wycofany do ZSRR, dostał tam wyrok (ile odsiedział, nie wiemy). Także jego zastępca, równie okrutny, Skulbaszewski. Tych przynajmniej Chruszczow nie bronił. Krajowy oprawca, „generał" Roman Romkowski, dostał za torturowanie przesłuchiwanych 15 lat więzienia (wyszedł po niecałych ośmiu). Różański i Fejgin dostali podobne wyroki, podobnie wcześniej zwolnieni.

Gomułka uwolnił wieś od zmory kolektywizacji, chłopcy z naszych Studenckich Komitetów Rewolucyjnych rozwiązywali wymuszone „spółdzielnie produkcyjne", interweniowali w napiętych sytuacjach, w Nowym Targu mój młodszy, 20-letni brat zapobiegł samosądowi. Odbudowywała się błyskawicznie drobna przedsiębiorczość w handlu, rzemiośle i usługach. Prymas Wyszyński wrócił z odosobnienia. Jako największy autorytet narodu wezwał do głosowania w wyborach w styczniu 1957 bez skreśleń - na listy ustalone przez aparat partyjny przy konsultacji z Kościołem. Chodziło o to, by Sowietom udowodnić ogólne poparcie dla Gomułki. Tak przepadli na miejscach „pozamandatowych" kandydaci rewolucyjnej młodzieży, ale do sejmu weszli przedstawiciele autentycznych środowisk katolickich - co też było absolutnym wyłomem w systemie sowieckim.

Rok 1957 początkowo niósł optymizm – moi starsi przyjaciele, byli Zetowcy, założyli Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich, które po roku 1948 reżim zaniedbywał i ograbiał. W Nowym Sączu z inicjatywy mojego kolegi, dziennikarza „Po prostu", Włodzimierza Godka, narodził się eksperyment samorządowy, działający aż po rok 1989. „Tygodnik Powszechny" wrócił do swoich autentycznych redaktorów.

Stosunkowo szybko jednak aparat partyjny pod ręką Gomułki odżył. Rewolucyjny Związek Młodzieży, RZM, którego pierwszy zjazd organizowałem w imieniu „Po prostu", łatwo dał się wykołować, połączyć z organizacją byłego aparatu młodzieżowego, półfikcyjnym Związkiem Młodzieży Robotniczej, o specjalnie mylącym skrócie ZMR. Już w październiku

1957 roku rozpędzono „Po prostu". Masową demonstrację studencką, którą zwołaliśmy w proteście, spałowały oddziały milicyjne, szkolone już w specjalnym ośrodku, w Golędzinowie, do pacyfikacji zajść ulicznych. Niemniej organizatorów, z mojej paczki, którzy dzięki swej siatce przez noc zmobilizowali 15 tysięcy młodzieży, nigdy nie wykryto, jeden z nich, po Szkole Głównej Służby Zagranicznej, został potem ambasadorem (pozostał nim także, jako człowiek przyzwoity, w Polsce demokratycznej).

To prawda, nigdy już nie wrócił terror stalinowski. Polska w obozie sowieckim stała się krajem na prawach wyjątkowych. Władcy Węgier, Czechosłowacji oraz tzw. Niemieckiej Republiki Demokratycznej, utworzonej z byłej sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, ograniczali nawet informacje o Polsce. Drażniła ich też niezależność, choć bardzo względna, jaką zapewniły sobie polskie środowiska intelektualne i artystyczne; Polska rozkwitła zdobywającymi światowy rozgłos filmami, teatrem, muzyką, literaturą, malarstwem, grafiką, słowem - sztuką. Nie w służbie reżimu. Obok niego.

Międzynarodową sławę zyskał swymi filmami Andrzej Wajda, rozmawiający nimi z własnym narodem. Zdobywali Europę reżyserzy teatralni Erwin Axer, Adam Hanuszkiewicz, Konrad Swinarski, potem zwłaszcza rewolucjonista teatru Jerzy Grotowski – były sekretarz Komitetu Centralnego naszego Rewolucyjnego Związku Młodzieży. Wielkie nakłady zagranicą osiągały książki Stanisława Lema i mistrzowskie jednozdaniowe, satyryczne aforyzmy Stanisława Jerzego Leca, bogactwo literatury ilustrowała odmienność prozy Tadeusza Konwickiego i Jacka Bocheńskiego, nie mówiąc już o Sławomirze Mrożku. Literatura obrodziła zresztą dziesiątkami nazwisk wybitnych powieściopisarzy i wielkich poetów jak Tadeusz Różewicz, Zbigniew Herbert i Wisława Szymborska. Wszystko powstawało obok i niezależnie od reżimu, krępującego twórczość cenzurą i restrykcjami wydawniczymi. Muzyki nic nie mogło skrępować i też muzyce światowej nadawali ton Witold Lutosławski i Krzysztof Penderecki, potem i wielki Henryk Górecki, najbardziej znani współcześnie kompozytorzy. Plakat malarze i graficy uczynili sztuką wyższą. Ich galeria wielkości, następne pokolenie po genialnym Tadeuszu Trepkowskim, to jak książka telefoniczna międzynarodowych sław: Jan Lebenstein, Jan Lenica, Jan Młodożeniec, Janusz Stanny, Franciszek Starowieyski, Waldemar Świerzy, Józef Wilkoń, Wojciech Zamecznik – wymieniam tych wszystkich moich przyjaciół i znajomych, bo ich dzieła żyją krótko, krócej niż muzyka i literatura... Największe firmy wydawnicze świata zamawiały u nich ilustracje i okładki. Nie zliczyć wystaw i nagród, które ich wieńczyły. Długo żyli właściwie z niczego: Franek Starowieyski na podłodze w przechodnim pokoju, pokoiku właściwie, bursy RSW Prasa dla młodych dziennikarzy, w którym jakiś czas mieszkałem, malował jeden ze swoich najsłynniejszych plakatów...

Społeczeństwo zachowywało swoje poczucie niezależności, którego system nigdy nie potrafił przełamać. Tolerowano 11 lat cudowny, niepowtarzalny humor telewizyjnego cyklu spektakli „Kabaretu starszych panów". Pastelowej ironii dowcipem, nieuchwytnym dla cenzury, Jeremi Przybora i muzyk Jerzy Wasowski, porozumiewali się ze społeczeństwem nie tyle ponad głowami władzy, co - jakby ją omijając. Aż po prostu kazano telewizji cykl zakończyć. W ostatnim programie „starsi panowie" wyjeżdżali i szukali kogoś, kto zaopiekuje się Leonem, myszką, którą zostawiają - pomysł nie do ocenzurowania, a cały kraj wiedział, o co chodzi.

Podobną rolę odgrywały też piosenki Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego czy też Jana Pietrzaka. Sarkastyczne uwagi ludzi władzy, że wolność Polaków sprowadza się do kabaretu, były bliższe prawdy, niż im się zdawało. Wobec dowcipu reżim był bezbronny...

Zagranicą pisał wielki poeta, Czesław Miłosz; emigracja miała swój intelektualny organ, miesięcznik „Kulturę", na jej czele stał Jerzy Giedroyc, człowiek-instytucja, gromadzili się wokół niego najwybitniejsi intelektualiści emigracji. „Kulturę" odczytywano w Wolnej Europie, a mimo konfiskat na granicy udawało się przemycać ją do Polski.

Reżim pogodził się z obecnością posłów opozycji w sejmie, z ukazywaniem się „Tygodnika Powszechnego", z istnieniem Klubów Inteligencji Katolickiej. „Przekrój", jak na magazyn ilustrowany swoiste dzieło sztuki w profesji dziennikarskiej, przenosił do Polski z Zachodu i literaturę, i modę paryską. Polki, mimo podłych materiałów, szyły same i ubierały się nie gorzej od Paryżanek. W „Przekroju" zaczynał i Lem, i Mrożek. „Przekrój", chociaż „ział miazmatami Zachodu", miał, o dziwo, debit i na terenie ZSRR, gdzie niemało ludzi uczyło się dlań polskiego, jak o tym wiemy od wielkiego poety rosyjskiego, Josifa Brodskiego. Reżim nie potrafił natomiast strawić opozycji „swojej" prasy. Nie wystarczała cenzura. Władze partyjne, które śmiertelnie przestraszyły się „Po prostu", całymi latami po jego rozpędzeniu w roku 1957 rozpędzały kolejne „nieposłuszne" redakcje, bo ich duch odradzał się pod coraz innymi tytułami; sam w ciągu kilku lat przeszedłem trzy takie, choć nie jako przywódca...

Wściekłością reagował Kreml i sąsiedzi na niezależność Kościoła polskiego. Duchowieństwa i krajowy reżim nie znosił. Dręczył je stałą inwigilacją i rozmaitymi szykanami. Prymas nie poddawał się. Wymyślił - przekorne obchody „tysiąclecia chrztu Polski". Władze skontrowały je „tysiącleciem państwa polskiego" i jęły dla tego celu finansować... wykopaliska archeologiczne! To był pozytywny skutek uboczny rocznicy chrztu.

Bezradną wściekłość władz reżimu i Moskwy wywołali polscy biskupi. Biskup Wrocławia, Bolesław Kominek, w roku 1965, po rozmowach na przełomowym Soborze Watykańskim Drugim, zaproponował list do biskupów niemieckich ze znamiennymi słowami – „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". List początkowo nie znalazł uznania nawet w kręgu inteligencji polskiej. Wydawał się inicjatywą niewczesną. Otworzył jednak drogę do pojednania między Polakami i tymi Niemcami, którzy za Łabą wyrzekli się dziedzictwa hitlerowskiego i budowali pełną demokrację.

Gomułka zareagował na list furią. Z prymasem spotykali się prywatnie, prymas przyjeżdżał do Konstancina, do swego przyjaciela, pisarza katolickiego, Jerzego Zawieyskiego, wychodził z jego domku w leśnej części na spacer po lesie, by spotkać się tam z Gomułką, który zatrzymywał się w willi nieopodal. Czasem Gomułka sam zachodził z wizytą, Zawieyski wtedy szedł na spacer. Kiedy wracał, zastawał Wyszyńskiego niekiedy rozsierdzonego bezowocnymi na ogół rozmowami. Po latach, gdy po upadku skąpego i skromnego w swoim stylu życia Gomułki partyjna warstwa panująca urządzała się na koszt kraju, Wyszyński powiadał, że ma jednak do Gomułki słabość – „ja się niczego na Polsce nie dorobiłem i on się niczego nie dorobił..."

W tym szczególnym jak na obóz sowiecki państwie nie było wszelako miejsca na żadną nawet konstruktywną działalność, której by nie kontrolował aparat partyjny lub Służba Bezpieczeństwa. W gospodarce panowała zupełna stagnacja, kierować mogli wyłącznie ludzie akceptowani przez aparat partyjny, przedwojennych fachowców odsuwano. Do tego aparatu poszło wprawdzie po Październiku wielu moich rówieśników, także i bardzo zdolnych, z myślą o zmianie systemu od środka, ale większość ich aparat partyjny przemacerował z latami na wierne sługi systemu. Przyzwoitość i zdrowy rozsądek uchował jeden na dwudziestu - choć i tak więcej zapewne, niż w krajach sąsiednich czy

w samym ZSRR. Bunt studentów roku 1968 pacyfikowali już głównie młodsi słudzy aparatu. I nikt nie miał odwagi powstrzymać Gomułki, już ramola, gdy wymusił skazanie na śmierć winnego „afery mięsnej", czyli kombinacji z dostawami mięsa, nadużyć, robionych w tej gospodarce niedoboru wszędzie.

Kolejne pokolenie studentów brali ich nowi przywódcy za jedyną już, wedle zachodniego teoretyka, Herberta Marcuse'go, klasę rewolucyjną. Nie szukali kontaktu z robotnikami. I robotnicy buntu studentów w marcu 1968 r. nie poparli - inaczej niż w roku 1956. Żeby stłumić ruch studencki, władza niespodzianie w tymże marcu rozpętała wielką nagonkę... antysemicką. Potrzebował jej ZSRR, który teraz budował sojusze z państwami arabskimi, przegrywającymi wojny z Izraelem. Nagonka antysemicka stała się zarazem rozprawą z opornym polskim światem intelektualnym. „Żydami" okazywali się ludzie nieposłuszni i ludzie, z którymi, jak z Marianem Eilem, twórcą „Przekroju", władza nie umiała sobie poradzić. Jednych „Żydów" pozbawiano pracy, innych zmuszono do wyjazdu z „paszportami w jedną stronę", czyli do emigracji. Życie umysłowe Polski nie zostało sparaliżowane, a - zgniecione. Zanikł też, co zrozumiałe, fenomen „cywilizacji Przekroju"... Na wyższych uczelniach awansowali w przyspieszonym trybie oddani władzy „marcowi docenci".

Historia zamieniła jednak dramat setek Polaków, którym odmówiono obywatelstwa własnego kraju, w swoistą korzyść Polski: wojenną emigrację polską przerzedził upływ czasu, teraz wzmocniła się o nowe, liczące się w świecie nazwiska. Nowi emigranci nie poddali się, mogli teraz odgrywać na Zachodzie w jakimś stopniu te role co dawniejsza emigracja.

W dwa i pół roku po Marcu, w grudniu 1970 roku, ekipa Gomułki ogłosiła podwyżki cen na podstawowe artykuły żywnościowe. Najostrzej zaprotestowali stoczniowcy Gdańska, Gdyni i Szczecina - akurat najlepiej zarabiający robotnicy polscy. Nie ograniczali się do płac, warunków pracy, zaopatrzenia rynku. Przywiezione do Warszawy szczecińskie postulaty sam przepisywałem na maszynie, żeby je można było przekazać władzy - robotnicy żądali zniesienia cenzury, a także - reform w kierowaniu przemysłem i państwem. Wyszli w proteście na ulice. W Gdańsku podpalili komitet wojewódzki PZPR. *Alter ego* Gomułki, Zenon Kliszko, za jego zgodą jako szefa partii, kazał strzelać do ludzi, jeśli wyjdą znów na ulice. Miejscowy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego dogadał się jednak z robotnikami, o czym Kliszko nie wiedział, i oddział KBW, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ostrzelał wracających akurat już do pracy robotników. Znowu polała się krew i - ekipa Gomułki musiała podać się do dymisji. Wedle Gomułki znowu klasa rządząca gubiła Polskę - najpierw szlachta, potem burżuazja, teraz klasa robotnicza. I on w to naprawdę wierzył!

Stało się od tamtej pory niepisaną regułą, że władza PRL, choć niczym nie ograniczona, nie może sobie jednak pozwolić na strzelanie do robotników. Niechętnego partyjnym luksusom Gomułki miał zaś dosyć i własny aparat. Zastąpił Gomułkę sekretarz KW ze Śląska, były reemigrant z Belgii i były autentyczny robotnik, mówiący po francusku Edward Gierek. Ze swoimi nowymi partnerami władzy pojechał do Szczecina i na Wybrzeże Gdańskie, złożył uroczyste wizyty w stoczniach. Pytał - „pomożecie?", usłyszał - „pomożemy".

Dla robotników rok 1970 był kolejną lekcją, że droga do zmian wiedzie wąską ścieżką między kapitulacją a karabinami maszynowymi. Była to lekcja na tyle pouczająca, że po dziesięciu latach przydała się całemu narodowi.

Rok 1971, jak rok 1957, był znowu rokiem nadziei. Cenzura zelżała, robiliśmy z kolegami krnąbrny dodatek tygodniowy do „Życia Warszawy", „Życie i Nowoczesność". Nie buntowaliśmy nikogo, ukazywaliśmy, co można by i jak zrobić. Było co zrobić: Zachód uwieńczył „wspaniałe lata sześćdziesiąte" fantastycznymi postępami technologicznymi i pierwszymi krokami człowieka na księżycu, PRL odstała od Zachodu o dalsze dziesiątki lat. Nadrobić dystans miały teraz wielkie kredyty z Zachodu, do spłaty śląskim węglem - przy reformach w zarządzaniu gospodarką PRL. Rok 1973, rok światowego kryzysu naftowego i wzrostu cen węgla, wzmocnił jeszcze te iluzje.

Po roku kryzysu naftowego wolna gospodarka Zachodu dokonała znów niebywałego skoku, zaś ani wywiad sowiecki, ani PRL-u, nie wykradły Zachodowi najważniejszej tajemnicy - że przyszłość to komputer... Pisaliśmy o tym w „Życiu i Nowoczesności" niemal co numer i w końcu roku 1973 nas rozpędzono. Geniusza komputerowego, Jacka Karpińskiego, biurokracja partyjna zmiażdżyła bezwzględnie, nie umiejąc pojąć, co robi. Mógł Karpiński zostać na Zachodzie - już w roku 1961 Amerykanie zaprosili sześciu czołowych europejskich konstruktorów komputerowych i chcieli go zatrzymać... Wrócił do kraju. Zabrano mu teraz nawet wkładkę do dowodu osobistego, by nie mógł spotkać się na Węgrzech z węgierskimi kolegami, tak samo prześladowanymi. System okazał się samobójczo głupi.

Gierkowskie elity PRL opływały teraz w zbytek. Nowe pojęcie - „realny socjalizm" nie fingowało nawet ideałów. Chora gospodarka w sztucznej prosperity nie potrafiła sensownie kredytów spożytkować, dławiła się nimi. Budowano zbędną wielką hutę surowcową, równie bezsensownie, jak Francuzi takąż hutę w Fos-sur-mer w Prowansji. Minister Trzcionka zlokalizował ją w najgorszym punkcie, na dziale wodnym – za to w rodzinnej swej wsi Gołonóg. Gierek chciał równać do Francji, zapraszał jej prezydenta na polowania. W ZSRR, by Moskwę ułagodzić, budowano z zachodnich kredytów rurociąg orenburski – darmo, za samą obietnicę dalszych dostaw ropy... Zasłynęła anegdota z tej budowy – kiedy tyczono szlak rurociągu, pobliscy kołchoźnicy usłyszeli od Polaków, że wyznaczają... przyszłą granicę polsko-chińską. Po dwóch dniach przyjechał zaprzyjaźniony nadzorca z NKWD i powiedział szefowi robót – „Niech pan szybko, gospodin inżynier, zabiera się do domu, bo inaczej pana aresztują. Ci kołchoźnicy poszli do rejkomu z petycją, by przesunąć tę granicę, bo oni chcą być po polskiej stronie".

Tak upłynęło parę lat. Gierek poparł jedną znaczącą reformę – przywrócono przedrozbiorową strukturę administracyjną, małe województwa, bliskie realnym związkom lokalnym (dawna Wielkopolska składała się z czterech województw), postulowane przez najwybitniejszego administratywistę polskiej historii, Józefa Buzka. Natomiast waluty zachodnie, wbrew rachubom doradców Gierka, nie traciły na wartości. I okazało się, że nie ma czym płacić.

Podniesiono w czerwcu 1976 r. ceny. Zareagowali protestem robotnicy Radomia, pobito ich, co więcej - zaczęto aresztować i sądzić. Wtedy Jacek Kuroń, były przywódca studenckiego ruchu roku 1968, wyciągnąwszy wnioski z jego porażki, zapoczątkował nowy ruch, torujący drogę do przyszłości. Z Janem Józefem Lipskim, uosobieniem inteligenckiej szlachetności, byłym publicystą „Po prostu", z grupą autorytetów intelektualnych starszego pokolenia, z księżmi i działaczami harcerskimi, zawiązał „Komitet Obrony Robotników" i rzucił hasło historycznego znaczenia - „zamiast palić komitety, zakładajcie komitety!"

To już nie miały być nasze studenckie komitety rewolucyjne - tworzone tylko dla buntu… Te naiwne z pozoru, beż środków i masowego poparcia, komitety tworzyły nową rzeczywistość. Samym hasłem Kuronia. Historycznego znaczenia.

49. FANTASTYCZNE WYDARZENIA, FANTASTYCZNE DNI

Pojawiło się w PRL nowe słowo - „opozycja". Najpotężniejszej opozycji, którą był faktycznie Kościół i środowiska katolickie, tak nie nazywano – Kreml miał Warszawie dostatecznie za złe opozycję, zasiadającą w sejmie, rzecz bez precedensu w innych krajach obozu sowieckiego. Pojawiły się też związane z KOR-em nielegalne publikacje. „Nową", Niezależną Oficyną Wydawniczą, kierował młody fizyk, Mirosław Chojecki, ruszyły jej nielegalne drukarnie i nielegalna sieć kolportażu, a w ślad za tym - nielegalnie drukowane czasopisma literackie i książki. Co zdjęła cenzura, ukazywało się w „Zapisie", prowadzili go Jacek Bocheński i Wiktor Woroszylski, rozpowszechniała „Nowa", popularyzowała „Wolna Europa".

Młodszych ludzi KOR-u, z Kuroniem i Adamem Michnikiem na czele, śledzono, aresztowano, czasem i bito, ale przed skrajnymi represjami chroniło ich w jakimś stopniu oko Zachodu, władze PRL krępował rosnący dług... Szef bezpieki uważał, że prześladowanie KOR-u wzmocni tylko jego pozycję, bo tak to jest już w Polsce... KORowcy jeździli na procesy robotników, przekazywali im pomoc, angażowali adwokatów. Pojawiły się tym samym pierwsze obok Kościoła, wprawdzie nieporównywalne z nim co do skali i wpływów, ale niezależne instytucje inteligenckie poza reżimem, ignorujące go i niemal wyzywające swym pokojowym oddziaływaniem. Siłą KOR-u była - jawność. Wszelkie dotychczas tajne wywrotowe konspiracje albo zakładali sami ludzie bezpieki albo też byli w nich od początku, stąd kończyły się one głównie wyrokami więzienia dla ofiarnych marzycieli. Pamiętam, jak były agent wywiadu PRL przemawiał rewolucyjnym tonem od Grobu Nieznanego Żołnierza w imieniu pewnej organizacji „niepodległościowej"...

Składki na KOR, na pomoc prześladowanym robotnikom, zbierali także ci ludzie ze środowisk intelektualnych, których zdaniem (także moim) wypowiedzi Kuronia na temat obalenia i upadku reżimu sieją tylko złudzenia. Uważaliśmy je za mało poważne w przypadku małej grupki ludzi bez żadnych środków. Ceniliśmy jego prawość i poświęcenie, ale nadal pozostawał dla nas „byłym lewakiem" i niepoprawnym „zawodowym rewolucjonistą", co to siłę, ostatnią klasę rewolucyjną, odkrył już wreszcie w robotnikach, nie w studentach jak Marcuse. Za historyczne mieliśmy jednak to wezwanie – „zamiast palić komitety, zakładajcie komitety". „Mała grupka" KOR-u urosła wkrótce do całej siatki kilkuset współpracujących z nią ludzi, udzielających pomocy, sygnalizujących akty bezprawia - bez władz, listy członków i statutu, więc nie do przeniknięcia dla służb tajnych...

Władza nie bardzo już wiedziała, co robić, sam Gierek nie lubił represji, pamiętał, że Gomułce odebrano władzę po strzelaniu do robotników. Ludzi KOR-u nękano, Adama Michnika, młodego intelektualistę, który zdobył dla KOR-u poparcie europejskiej czołówki intelektualnej, wynoszono za ręce i nogi z jego mieszkania, ale zdaniem szefa Służby Bezpieczeństwa jego ludzie odnosili się do KOR-u łagodnie. Rzeczywiście, to sekretarz warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego partii, notabene utalentowany naukowiec!, organizował bojówki osiłków, które nachodziły zajęcia uruchomionego przez KOR Towarzystwa Kursów Naukowych, to oni stłukli do krwi ojca i syna Kuronia w jego mieszkaniu. W Krakowie „nieznani sprawcy" pobili śmiertelnie studenta ze Studenckiego Komitetu Samoobrony, ale - własny syn szefa Służby Bezpieczeństwa znalazł się po drugiej stronie barykady. W takim też nastroju niepewności pozwolono Andrzejowi Wajdzie, światowej sławy reżyserowi, nakręcić w roku 1977 film jawnie opozycyjny - „Człowieka z marmuru": bohaterka tego filmu, młoda, niepokorna dziennikarka telewizji, szuka

śladów murarza z „socjalistycznej" budowy Nowej Huty, któremu zbudowano tam pomnik, ale który potem, zepchnięty na marginesy życia, zginął w zajściach gdańskich roku 1970...

Obóz sowiecki stanął wtedy wobec szczególnego moralnego, tym samym politycznego wyzwania: prezydent Stanów Zjednoczonych, Jimmy Carter - ze swym głównym doradcą w polityce zagranicznej, Zbigniewem Brzezińskim, Amerykaninem polskiego pochodzenia (który nie zmienił swego polskiego nazwiska) - podjął kampanię na rzecz obrony praw człowieka. Odwrócił zaś już bieg historii – zaskakujący, nieprawdopodobny przełom, historycznej miary: 16 października roku 1978 na tron papieski, ni mniej ni więcej, wyniesiono 58-letniego polskiego kardynała, Karola Wojtyłę. Zdarzyło się coś wobec parusetletniej tradycji Watykanu zgoła fantastycznego. A jednak zdarzyło się naprawdę. Wybrano kogoś spoza Włoch. I to Polaka!

Polacy ani myśleli o takim wyborze. Nie przepadał za Wojtyłą sędziwy już prymas Polski, Stefan Wyszyński, twardy partner władzy. Karol Wojtyła, jeszcze jako biskup krakowski - duszpasterz młodzieży, znajdujący z nią wspólny język, odbywał z nią w stroju sportowym wycieczki w góry, wspinaczki na skałkach Jury Krakowsko-Wieluńskiej i spływy kajakami na jeziorach Mazurskich, prymasa nieco irytował „biskup w krótkich spodenkach". Wiedziałem jednak, że inaczej go widzi papież Paweł VI, intelektualista. Już Pawła VI wyróżniał jako kandydata na papieża poprzednik, „Dobry Człowiek", Jan XXIII, a sam wybór Jana XXIII, z pozoru przejściowego papieża, starego człowieka, kardynała Angelo Roncallego, zadziwił świat. Słyszałem ironiczne - chrześcijanin papieżem? Sprawił on światu pierwszą niespodziankę - zwołał przełomowy dla Kościoła Drugi Sobór Watykański. Tak przełomowy, że do dziś wiele krajowych episkopatów z nim się nie pogodziło...

Paweł VI jeszcze w latach sześćdziesiątych zapraszał biskupa Wojtyłę, intelektualistę, ale głębokiej wiary, do prowadzenia rekolekcji w Watykanie, rozmawiali o przyszłości Kościoła... Dość wcześnie dostrzegł w nim Paweł VI jednego z możliwych następców. Przyzwyczajał do niego Watykan. Nabierałem pewności, że Paweł VI, rzekomo konserwatywny, faktycznie – świadom oporu wobec zmian, chce ugruntowania wielkiego zwrotu i rozwoju wiary szczerej, nie sprowadzającej się do posłuszeństwa wobec hierarchii kościelnej. Zdziwiło mnie wręcz, gdy po śmierci Pawła VI wybrano 66-letniego kardynała, Albino Lucianiego, który przyjął imiona Jana Pawła I, na cześć patronów przemian, Jana XXIII i Pawła VI. Wchodził jeszcze w rachubę potężny kardynał Franz Koenig, człowiek dobrej wiary, arcybiskup Wiednia, teolog ceniony w Kościele, nie tylko na uniwersytetach. Liczył sobie 73 lata. Jego zdaniem Kościół potrzebował młodszego papieża. Po niespodziewanej śmierci włoskiego papieża w miesiąc po wyborze być może on, Koenig, przekonał konklawe do kolejnego przewrotu. Mimo Soboru Watykańskiego Drugiego papież spoza Włoch kompletnie świat zaskoczył... Karol Wojtyła przyjął imię Jana Pawła II.

Polska weszła na pierwsze strony wielkich gazet i do wielkiej światowej polityki. Wszystko się naraz odmieniło. Także w polityce – amerykańskiej. Polak papież mimo tradycyjnej niechęci protestanckiej Ameryki do Kościoła katolickiego został jej ważnym partnerem. Przysporzył szacunku publicznego polskim „ethnicks", którzy i tak swą zamożnością awansowali już wysoko w hierarchii USA. Zarazem w polityce międzynarodowej będzie doradzał kolejnym prezydentom Ameryki w końcowej ćwierci XX wieku ów Zbigniew Brzeziński, nieraz irytujący swą mądrością i elitę polityczną USA, i Polonię, ale – w każdej chwili teraz na telefonie z papieżem... Historia Polski od tej chwili stała się istną powieścią sensacyjną o światowym zasięgu.

W miesiąc po tym wyborze udało się nam zebrać w Warszawie ponad stuosobowe grono, dość specyficzne, grupujące elitę intelektualną kraju - zwane potem Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość". Powstało przy „Kolegium" Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej. Też bez władz, ani statutu i listy członków, nie dawało więc formalnego pretekstu do ścigania. Uznało, że inteligencja polska winna wypowiadać się własnym głosem, nie tylko podpisując protesty i deklaracje. Dziesięciu nie znających się wzajem wybitnych pisarzy, uczonych i dziennikarzy złożyło się w Zespół Usługowy, przeszli od pierwszego spotkania „na ty" i zostali przyjaciółmi na lata. Kiedy władze zakazały Towarzystwu spotkań dyskusyjnych Konwersatorium, jął ten Zespół Usługowy rozpisywać ankiety, ignorujące system. Odpowiadały na nie czołowe postaci polskiego życia umysłowego, tak powstał pierwszy raport - o stanie państwa i drogach wiodących do jego naprawy. Opisał nadciągający kryzys społeczny i - nawet! - jego rozwiązanie poprzez negocjacje. Ze sceptyczną jednak pointą Andrzeja Krasińskiego – „zmiany są o tyle konieczne, o ile niemożliwe".

Władze PRL nie znosiły Wyszyńskiego, ale rychło miały się przekonać, że nowy papież sprawi reżimowi inne, znacznie większe kłopoty. Musiały zgodzić się na oryginalny pomysł - papieże od setek lat nie opuszczali Rzymu, a tu polski papież postanowił udać się... w pielgrzymkę do rodzinnego kraju. Władzom PRL trudno się było nie zgodzić, wystosowały więc do Watykanu formalne zaproszenie. Sądziły, że dzięki temu ustępstwu przybędzie im trochę akceptacji ze strony społeczeństwa, że łatwiej dzięki temu zniosą Polacy skutki bliskiego bankructwa państwa.

W czerwcu roku 1979 Polacy wyszli dosłownie milionami na powitanie „swojego" papieża. I zobaczyli się wzajem, zobaczyli, ilu ich jest, którzy nie zgadzają się na panujący reżim. Bez tych milionów na ulicach nie byłoby potem roku 1980... Nie zgadzający się na reżim „policzyli się", odkryli siebie jako przygniatającą większość. To zadecydowało o przyszłości.

Papież dziękował za zaproszenie, ale nie powiedział niczego w obronie reżimu. Mówił o wolności, o prawach człowieka, o ideałach chrześcijaństwa i demokracji. W finale najważniejszego kazania do paruset tysięcy ludzi wezwał Ducha Świętego, by zstąpił i odnowił oblicze ziemi. „Tej ziemi" – podkreślił. Wrócił do Rzymu. Jego wizyta była nie tylko przeżyciem. Polacy, nawet wiedząc, że nie może dla nich papież niczego bezpośrednio zrobić, uwolnili się od dręczącego ich poczucia osamotnienia na arenie międzynarodowej. Wreszcie pojawił się ktoś miary światowej, kto mógł w każdej chwili odezwać się w sprawach krajów obozu sowieckiego, w tym i Polski.

Już tego roku władza znalazła się w sytuacji niemal bez wyjścia: państwo było bankrutem, spłata zadłużenia przekraczała możliwości rozregulowanej gospodarki. Sam ów naftociąg orenburski, budowany, jak wiemy, za samą obietnicę dalszych dostaw ropy, kosztował miliard ówczesnych, mocnych dolarów z zachodnich kredytów. Wicepremier od gospodarki codziennie śledził każdy wpływ dewiz do Polski, by natychmiast je przejąć. Dewizowe konta oszczędnościowe ludności dawno już opróżniono. Dziennikarze wiedzieli o tym, ale nie pisali, ani nawet nie mówili, Wolna Europa milczała również – z obawy przed straszną, a beznadziejną, powszechną katastrofą, przed runem na kasy bez szans wypłat, przed załamaniami nerwowymi i samobójstwami...

Kolejną podwyżkę cen ogłoszono w roku 1980, znowuż w czerwcu. Kraj zareagował serią strajków. Szły jakby sztafetą od pierwszych w Lublinie przez cały kraj, pod różnymi pretekstami. Najpotężniejsze wybuchły - w sierpniu - w stoczniach gdańskiej

i szczecińskiej. Najpierw przyłączyli się do nich pracownicy okolicznych przedsiębiorstw, potem poparła je cała już Polska. Gdańsk odcięto od połączeń telefonicznych z resztą kraju, ale wiadomości z Wolnej Europy, zagłuszane wprawdzie, docierały do wszystkich.

Stoczniowcy w swoim przekonaniu strajkowali w imieniu całego kraju. W Gdańsku przywodził im energiczny, młody elektryk Lech Wałęsa, uczestnik buntu roku 1970, a portrety papieża wisiały wszędzie, czasem i w zakładowych komitetach partyjnych. W stoczni - razem z obrazami Matki Boskiej. Buntownicy czuli się po raz pierwszy silni, hasło Kuronia przyjęło się wszędzie, pamięć Grudnia powstrzymywała awanturnicze żywioły. Ta rewolucja nie miała się „samoograniczać", wbrew politologom. Z góry zmierzała do przemian bez użycia przemocy.

Pat się przedłużał, napięcie rosło, władze PRL po raz pierwszy doszły do wniosku, że trzeba jednak negocjować z robotnikami. Robotnikom w sukurs przyszli doradcy z kręgów intelektualnych. Wałęsa, bystry, z błyskawicznym refleksem, świetnie sprawiał się w rozmowach i robotnicy gdańscy wywalczyli prawo - nie do pomyślenia w obozie sowieckim - prawo do wolnego związku zawodowego! Sam Wałęsa wycisnął też zwolnienie więźniów politycznych... Słyszałem potem od jego partyjnego partnera rozmów, Mieczysława Jagielskiego, że to sam Wałęsa był jego najtrudniejszym w negocjacjach przeciwnikiem.

Od podpisanego 31 sierpnia 1980 roku Porozumienia Gdańskiego pewne się stało, że nic już w całym obozie „demokracji ludowych" nie będzie jak było. Narodził się pierwszy w krajach obozu sowieckiego niezależny związek zawodowy, pod nazwą - „Solidarność". Jeszcze w sierpniu stał się legendą kraju. Niedługo potem - legendą światową.

W miesiąc od Porozumienia Gdańskiego Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność liczył już ok. dziesięciu milionów członków. Faktycznie - jednoczył cały kraj poza aparatem władzy i ludźmi z nim związanymi; przyłączyło się doń ponad dwa miliony szeregowych członków PZPR, oprócz nich członkowie oficjalnych stronnictw filialnych, czyli Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Nowy po śmierci Bolesława Piaseckiego szef ugrupowania „Pax", znany z czasu wojny partyzant, Ryszard Reiff, zrobił z „Paxu" niezależną organizację katolicką. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zwołało nadzwyczajny zjazd i wybrało nowe, niezależne od partii władze. Jan Kułaj, młody przywódca chłopski, z szybko zawiązanej Solidarności Rolników Indywidualnych, powiedział wtedy, że „tej pasty nie da się już wcisnąć z powrotem do tubki".

Historia potraktowała wtedy Polaków jeszcze jednym zastrzykiem optymizmu. O kandydaturze Czesława Miłosza, wielkiego poety polskiego, do literackiej nagrody Nobla mówiono od dość dawna i oto szwedzka Akademia Literatury przyznała mu Nobla tego właśnie roku. Wygnaniec mógł wreszcie przybyć do własnego kraju, który go witał, jak witałby w XIX wieku Mickiewicza. Na pomniku zabitych w roku 1970 stoczniowców wyryto słowa z wiersza Miłosza:

„Ty, który skrzywdziłeś człowieka prostego,
śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę płazów koło siebie mając,
Na pomieszanie dobrego i złego,
Choćby przed tobą wszyscy się kłonili,
Cnotę i mądrość tobie przypisując,

Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić - narodzi się nowy,
Spisane będą czyny i rozmowy…"

„Solidarność" skupiała więc wszystkich - poetów i robotników. Sama przez się oznaczała w świecie sowieckim wstrząs na miarę ostateczną. Władza na Kremlu składała się ze starców stojących nad grobem; dowcipy na temat ustroju rodziły się już i w Rosji, co było chyba najlepszym sygnałem rozkładu. Przeciw ustrojowi śpiewał Władimir Wysocki, elektryzujący aktor-dysydent, a pytania do radia Jerywań uderzały w ustrój dowcipem już moskiewskim:

- Czy można zbudować socjalizm w Armenii? Radio Jerywań odpowiada: Można, ale lepiej w Gruzji.

- Czy można zbudować socjalizm w Kanadzie? Można, ale zastanówcie się, towarzysze, bo skąd będziemy sprowadzali zboże…

Starcy Kremla sadzali za dowcipy. Panicznie bali się wszelkich zmian. Wdali się w idiotyczną awanturę w Azji Środkowej - wysłali swoje wojska do Afganistanu i wplątali się w niemożliwą do wygrania wojnę z tamtejszymi góralami. Przy chorej wyobraźni Kremla ratowało Polskę wspomnienie Powstania Warszawskiego z jego walkami o każdy dom. Ale jeszcze w grudniu 1980 r. w przelotnej rozmowie z najbliższym współpracownikiem Jaruzelskiego, pułkownikiem Kuklińskim, uczestnikiem gier strategicznych w Moskwie, powiedziałem, że radziecki sztab generalny musi mieć jakiś plan inwazyjny, Kukliński zareagował – „Jeden? Pięć…" Jednak „ruscy", dwa razy gotowi do inwazji przy 200 tysiącach swoich żołnierzy w Polsce, nie interweniowali. Przygotowali analogiczny jak w Pradze i Kabulu desant komandosów, aresztowanie nocą z soboty na niedzielę przywódców Solidarności i zdradzieckich władz partii, potem - rozmieszczenie w całej Polsce dodatkowych wojsk radzieckich. Postawiono znowu, jak nam doniesiono, w stan pogotowia dywizje stacjonujące w NRD. Formacje sowieckie maszerowały przez Polskę. Ale tajemnica się wydała, stało się zaś pewne, że część uzbrojonego po zęby Ludowego Wojska Polskiego stawi opór. Doszłoby do regularnej wojny - przy olbrzymich, to prawda, polskich stratach. Polska śpiewała piosenki – „wejdą, nie wejdą…"

„Solidarność" była raczej masowym ruchem społecznym, niż organizacją. Nie wiązało jej początkowo nic poza wolą sprzeciwu i marzeniem o wolności. W społeczeństwie zatomizowanym, po latach, gdy paraliżowano wszelką spontaniczną, zorganizowaną aktywność, dawne tradycje organizacji nie przetrwały. Społeczeństwo mimo to konsolidowało się bardzo szybko, wytwarzało demokratyczne struktury - choć pierwsze władze Solidarności nie umiały nawet obradować, po kilka razy wracały podczas jednego posiedzenia do problemów już rozstrzygniętych, raz, albo i dwa razy przegłosowanych.

Nie mogła Solidarność zagrozić wyposażonemu w broń aparatowi władzy państwowej. Natomiast wszędzie brał górę wobec katastrofy, wobec bankructwa państwa, duch naprawy. Załogi przedsiębiorstw zastanawiały się nad ich ratowaniem z zapaści. Chłopi z powstałej błyskawicznie Solidarności Rolników Indywidualnych podnosili, że Polska nie musi importować zboża i mięsa, bowiem oni, uwolnieni od państwowego dyktatu, potrafią wyprodukować grubo więcej, niż Polska sama zjeść może (co się po roku 1989 potwierdziło).

Czy Solidarność rzeczywiście wywoływała chaos i bałagan? Wybrało mnie po siedmiu latach mojego bezrobocia swoim prezesem niezależne już Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich; płynęły do nas wszelkie informacje o napięciach w kraju. Okazywało się, że napięcia jako pretekst dla ewentualnego wprowadzenia stanu wyjątkowego prowokowała głównie sama władza - bezpośrednio bądź poprzez agentów, których łatwo było rozszyfrować.

Sama władza u swych szczytów nie była jednolita. Nowo wybrany pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego, Stanisław Kania, późną jesienią 1980 roku pokazał mi jako prezesowi SDP memoriał Jerzego Urbana ze słowami – „popatrzcie, co mi tu wasz kolega radzi…" Przeczytałem. Urban przedstawił cały program zakłócania życia publicznego w państwie tak, by zmęczyć społeczeństwo i żeby nie miało ono nic przeciwko uspokojeniu atmosfery stanem wojennym (nazywał go „wyjątkowym"). Z upływem miesięcy Kania, zdetonowany wprawdzie naciskiem ludu, ustępował opornie i nieraz gniewnie, nie tracił jednak nadziei na porozumienie z Solidarnością i na pokojowe ułożenie stosunków. Niemniej już w lutym 1981 roku premierem rządu PRL został generał Wojciech Jaruzelski, od lat głównodowodzący armii i minister „obrony narodowej", którego miałem okazję poznać, człowiek niezwykłej inteligencji. Podobno jako rzecznika prasowego zarekomendował mu wtedy Urbana – Kania. Znając memoriał Urbana, rozumiałem, co się szykuje…

Kariera generała, syna inteligenckiej, po-szlacheckiej rodziny, w armii obozu sowieckiego mogła zdumiewać, ale, jak sam to usłyszałem od moskiewskiej dysydentki, córki słynnego sowieckiego marszałka, Maji Koniewej, Sowiety po wojnie zimowej 1940 roku nauczyły się cenić wysokiej klasy dowódców, których przedtem, bezpodstawnie podejrzanych, bez pardonu rozstrzeliwano. Jaruzelski, zimny i małomówny, nie pijący wódki, błysnął talentem w kilku manewrach wojsk Paktu Warszawskiego. Kreml nie miał innego wyjścia, jak uznać go człowiekiem zaufania.

Było w tym znowu jakieś swoiste historyczne szczęście Polski. Gdyby rola Jaruzelskiego przypadła któremuś z bezwzględnych sługusów (a miałem okazję zetknąć się i z takimi), każdy z nich bez skrupułów zrealizowałby pewną prostą sowiecką receptę. W grudniu 1980 roku wyłożył mi ją bez ogródek, a nie bez uśmiechu, sowiecki pułkownik ze sztabu szefa wojsk Paktu Warszawskiego, marszałka Kulikowa, złożywszy mi wizytę w Zarządzie Głównym SDP – „Tri tisiczy razstrielat', a drugim pakupit' patiefony"; zapytałem – „a za szto wy pakupitie patiefony?", co go stropiło. Pytał też o Jaruzelskiego i Kiszczaka, wtedy - ministra spraw wewnętrznych; powiedziałem, że jako wojskowi cieszą się dużym szacunkiem. Zareagował – „a u nas gawariat', szto eto Wallenrody, eto Wallenrody…" Zastanawiające: sowiecki sztab znał bohatera poematu Mickiewicza, poematu nawet w Polsce mało czytanego! Nie wykluczone, że taka opinia o Jaruzelskim i Kiszczaku jako szefach dość dobrze uzbrojonego Ludowego Wojska Polskiego powstrzymała Kreml przed decyzjami o powtórzeniu operacji praskiej. Operacji praskiej mieli dokonać oni sami, polscy generałowie, paraliżując polski ruch oporu wobec reżimu. Odwołania od takiej decyzji Kremla oczywiście nie było. Pytanie, jak miano ją zrealizować…

Kani trudniej szło z twardogłową opozycją wewnątrz partii. Nowym problemem były i organizujące się wewnątrz partii od jesieni 1980 r. „struktury poziome". To porozumienie „podstawowych organizacji partyjnych" dokonało się w trybie osobistych kontaktów, niezależnie od władz partii. Zainicjował je po długiej naszej rozmowie w celi klasztornej zaprzyjaźnionego ze mną ojca Wołoszyna Zbigniew Iwanów, sekretarz Komitetu

Zakładowego toruńskiego Towimoru, mój nowy przyjaciel. Groziło to partii rozpadem i odbudową PPS. Kiedy mnie postawiono przed Centralną Komisją Kontroli Partyjnej, „struktury poziome" broniły mnie setkami listów od egzekutyw i komitetów zakładowych. Wymuszą zwołanie nadzwyczajnego zjazdu partii - na który się jednak już nie przecisną... Kreml co rusz interweniował.

Od wiosny 1981 r. zaczęły działać wojskowe „grupy operacyjne". Dokonywały przeglądów wszystkich przedsiębiorstw. W maju zorientowaliśmy się, po co. Dowiedzieliśmy się od naszych kolegów, że te grupy, wypytujące pracowników z dużym zainteresowaniem, jak funkcjonuje ich przedsiębiorstwo, sporządzają też listy ludzi Solidarności, strajkowych przywódców. Z innych źródeł przyszła informacja, że spisuje się również opozycję intelektualną. Po mojej rozmowie z tym pułkownikiem wnioskować mogliśmy, że to mogą być listy proskrypcyjne. Ja zaś otrzymałem ze swoich źródeł potwierdzenie wiadomości o planowanym wojskowym zamachu stanu. Nie było trudno dedukować, co się dzieje... Zespół Prognoz i Analiz DiP opracował na przełomie maja i czerwca 1981 r. i rozkolportował prognozę następstw interwencji „zewnętrznej" i „wewnętrznej". Drugi wariant przewidywał całkowity paraliż państwa i ostateczny przedział między władzą a społeczeństwem, włącznie z rozpadem PZPR, której szeregowi członkowie oddadzą legitymacje. Słowem, wszystko, co się po 13 grudnia tegoż roku stało. Złożył mi wtedy wizytę, leżącemu akurat w szpitalu, najbliższy współpracownik Jaruzelskiego, gen. Czesław Kiszczak, równie wybitnej inteligencji były szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego PRL; przekonywał mnie, że się mylimy. Powiedziałem, że teraz wiem, co przygotowują. Na szczęście, wszyscy byli zdania, że przesadzamy, i nikt nie chciał nam wierzyć... Ani wtedy, ani później. Na szczęście, powtarzam.

Nic na razie nie zapowiadało niebywałego zakończenia „karnawału Solidarności". Przybywali specjalni „radzieccy", jak się wtedy mówiło, by doprowadzić do obalenia kierownictwa Kani w Komitecie Centralnym i do ukrócenia „struktur poziomych", uznanych za groźne dla partii na równi z Solidarnością. Przed kolejnym, IX Plenum KC w czerwcu 1981 r., jako „struktury poziome", nazwane „poziomkami", obwołaliśmy – „pogotowie partyjne", poszło do KC tysiące uchwał podstawowych organizacji partyjnych, popierających kierownictwo partii. „Struktury poziome" wymusiły zwołanie nadzwyczajnego zjazdu partii, ale przygotowywał go już aparat partyjny i przez sito wojewódzkich wyborów nie przebił się nikt ze „struktur poziomych". Tylko jeden delegat, wybrany bezpośrednio w Radiokomitecie, zabrał głos na zjeździe partii w imieniu „struktur poziomych".

W życiu publicznym rosło napięcie, planowo prowokowano zaburzenia, tyle, że społeczeństwo nie czuło się wcale zmęczone, przeciwnie, oczekiwało reform. Kiedy zjazd Solidarności uchwalił jesienią wyzywające dla Kremla „przesłanie do narodów wschodnich" z życzeniami wolności, wiedzieliśmy z przyjaciółmi, że stan wyjątkowy był już nieuchronny.

Kreml uzyskał w końcu zmiany w kierownictwie PZPR. W końcu jesienią 1981 r. odszedł Stanisław Kania, jego miejsce jako pierwszego sekretarza KC, czyli władcy kraju, zajął wojskowy, generał Jaruzelski, dotychczas premier rządu. Zapowiadał się koniec karnawału Solidarności...

50. JAK ZMIENILIŚMY ŚWIAT

Dziwiono się później, że ów najbliższy współpracownik generała Jaruzelskiego, uczestnik gier strategicznych w Moskwie, Kukliński, który wymknął się późną jesienią 1981 r. na Zachód i przekazał, co się zdarzy, nie poinformował o tym przywódców Solidarności. Ale nikt by mu nie uwierzył. Na sześć tygodni przed 13 grudnia dostałem już konkretną wiadomość ze swoich wojskowych źródeł o dacie i pojechałem do pałacu prymasa Glempa, który akurat gościł Wałęsę i jego doradców. Powiedziałem, że za sześć tygodni nastąpi wojskowy zamach stanu, Lech pokiwał na to głową – „panie Stefanie, i pan chce nas straszyć?" Napisałem wtedy, i cenzor to przepuścił, że w ciągu sześciu tygodni dojdzie do „konfrontacji". Jak sądzę dzisiaj, to szczęście, że nikogo wiadomość moja nie przejęła. Gdyby Solidarność przygotowała odpór, dojść mogłoby do wielkiego rozlewu krwi...

Nocą z 12 na 13 grudnia 1981 roku gen. Jaruzelski ogłosił stan wojenny; władzę formalnie przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, wyłączono telefony, w niedzielę rano 13 grudnia ulice miast pełne były czołgów i marznących żołnierzy. Internowano parę tysięcy osób. Ten wojskowy zamach stanu, trzeba oddać generałom - znakomicie przygotowany, nigdzie i nigdy w historii nie przeprowadzony w takiej skali, ochrzciliśmy rychło „wojną polsko-jaruzelską". Miała położyć kres polskiemu zrywowi. Wojskowym tłumaczono, że przejmują władzę z rąk aparatu partyjnego, ale oficjalnych stronnictw politycznych nie zawieszono, ani też nie rozwiązano – choć prof. Jan Szczepański, wielki socjolog, radził to Jaruzelskiemu, uznawszy stan wojenny za konieczną alternatywę wobec wariantu sowieckiej interwencji. Zdelegalizowano za to Solidarność, potem rozwiązano organizacje dziennikarzy, pisarzy i plastyków. Z gazet, radia i telewizji zwolniono parę tysięcy dziennikarzy.... Aparat partyjny triumfował, choć nie sobie zawdzięczał sukces.

W kilka dni po 13 grudnia krwawo spacyfikowano górników kopalni „Wujek" na Górnym Śląsku. Wcale nie atakowali oni sił „porządku". Nie wiadomo - nawet po 30 latach - czy to lokalny zupak bezpieki chciał skompromitować zamach stanu, który miał być operacją bezkrwawą, czy też to WRON demonstrowała społeczeństwu, że nie cofnie się przed niczym. Tak czy inaczej, śmierć górników mogła lub miała społeczeństwo zastraszyć. Jednakże ani ów zamach stanu, ani śmierć górników, nie zatrwożyły Polski. Społeczeństwo, raz odkrywszy swoją liczbową przewagę, nadal czuło się większością, a nadal miało w Rzymie „swojego" papieża. Władze aresztowały tych uprzednio spisanych, ale ze skutkiem odwrotnym do oczekiwanego: ster w Solidarnościowym podziemiu, z którym teraz miałem do czynienia, objęli sprawniejsi, energiczni organizatorzy. Zagrożenie samo dokonywało selekcji, skupiło w nielegalnych strukturach, w podziemnej prasie, ludzi odważnych, najbardziej zdecydowanych, a zarazem zorganizowanych, punktualnych, zdolnych sprawnie działać w konspiracji, bez niepotrzebnego ryzyka.

Najbardziej zaszokowało władze stanu wojennego, że po 13 grudnia odmówili występów w telewizji państwowej i radiu - czołowi aktorzy polscy. Wielu ich to sporo finansowo kosztowało, czołowych zwłaszcza, ale w teatrach publiczność witała każdego z nich brawami. Wyjątkowych, lojalnych wobec reżimu, po prostu wyklaskiwano ze sceny. Nic tak, jak aktorski bojkot telewizji i radia, nie dało władzy odczuć jej wyobcowania. Życie publiczne podzieliło się na oficjalne, państwowe, które większość społeczeństwa ignorowała, i na życie autentyczne, korzystające z wolności słowa głównie w ... kościołach. Do nich, do pomieszczeń kościelnych i do mieszkań o większej powierzchni przeniosło się

w sporej części życie umysłowe i artystyczne - odczyty, wykłady, seminaria, dyskusje publiczne i nawet przedstawienia teatralne.

Nie było to państwo podziemne, jak w latach drugiej wojny światowej, z uporządkowanymi strukturami, dyscypliną, planami i pracą dla przyszłości - jak też i prześladowania dalekie były od terroru hitlerowskiego czy epoki stalinowskiej. To był jedynie ruch oporu - ale sprężysty i wprawny. Przez cztery i pół roku Służba Bezpieczeństwa nie schwytała ukrytych przywódców podziemnej Solidarności. Sam przez pół roku byłem „pod szafą" i choć do znudzenia śledzono moją żonę, nie znaleziono mnie. Sam ujawniłem się po zapewnieniu, że nie zostanę aresztowany.

W ciągu paru miesięcy ruszyły podziemne wydawnictwa prasowe. Z czasem ukazywały się dziesiątki i setki gazetek, a podziemny „Tygodnik Mazowsze", pod kierunkiem nieuchwytnej młodej dziennikarki, Heleny Łuczywo, drukowały 24 nielegalne drukarnie, w nakładzie jak na podziemie fantastycznym, 80 tysięcy egzemplarzy, a niczego Służba Bezpieczeństwa nie ścigała tak zapamiętale, jak drukarzy i kolporterów prasy podziemnej. Kiedy miałem się pierwszy raz z Heleną zobaczyć, przyszła jakaś młodziutka, ładna panieneczka, powiedziałem – „przepraszam, byłem umówiony z panią Heleną Łuczywo". Roześmiała się – „zgadza się, to ja jestem Helena Łuczywo". Nikt by w to nie uwierzył...

Wynalazkiem też antypaństwowym okazał się magnetofon kasetowy, pozwalający kopiować nagranie w nieskończoność. Dzięki niemu nagrywałem kasetowe „Gazety Dźwiękowe", w których u wstępu deklarowałem, że „nagrywam w jednym egzemplarzu, dla siebie", ostrzegając przed kolportażem; dr Piotr Szwemin, z którym ze względu na konspirację poznaliśmy się dopiero po sześciu latach, po roku 1989, dostawał nagranie tajnymi kontaktami, dodawał opozycyjne piosenki, przysyłał mi całość do kontroli i ekspediował potem ze swojej „fabryki" w świat pierwsze 200 kaset, dalsze „fabryki" powielały je w tysiące. Komentowałem bieżące wydarzenia i podtrzymywałem w słuchaczach wiarę w jutro. Przekonywałem, że druga strona będzie musiała z nami rozmawiać. Przekonywałem i klasę panującą, że porozumienie z narodem jej nie wykończy. „Wolna Europa" upowszechniała to na miliony słuchaczy, niekiedy z kolejnych dopiero kopii, tak, że słyszałem siebie z radia mówiącego wysokim dyszkantem...

Społeczny ruch oporu krzepł stopniowo. Podtrzymywało go międzynarodowe poparcie. Nie tylko polski papież. Pełnym głosem odzywał się prezydent Stanów Zjednoczonych, Ronald Reagan, i wielcy, popularni w Polsce aktorzy francuscy. Zwykli Niemcy zbierali środki na pomoc Polakom, zachodni kierowcy wozili darmo do Polski żywność i odzież, ciężarówką z tym jeździł do Polski intelektualista francuski, Christophe Jussac, późniejszy mój przyjaciel. Jesienią 1983 r. parlament norweski przyznał Lechowi Wałęsie pokojową nagrodę Nobla; odbierała ją, robiąc wielkie wrażenie, żona Wałęsy, rezolutna, a skromna, pełna wdzięku i godności, była kwiaciarka. Dwie dalsze pielgrzymki papieża do kraju wzmacniały siłę przetrwania, a zarazem - uczyły działań konstruktywnych i wiary w możliwość pojednania. Kościół nie głosił buntu, ale chronił wolność. Intelektualiści polscy jeździli po kraju, wygłaszając odczyty, sam w dziesiątkach kościołów popularyzowałem myśl społeczną Kościoła, uważałem (nadal uważam), że warto ją przyswoić wszystkim Polakom, bez względu na stosunek do religii, uczy ona bowiem dobroci, rozsądku i zdolności współdziałania – mało zrozumiała w tym dla naszego Kościoła dzisiaj, w epoce wolności.

Symboliczną postacią Kościoła stał się wkrótce młody ksiądz z warszawskiego, inteligenckiego Żoliborza, duszpasterz robotników pobliskiej huty „Warszawa", Jerzy

Popiełuszko. Jurek, mój młodszy przyjaciel, nie miał za sobą wyższych studiów, jedynie seminarium duchowne, reprezentował, ot, naturalną mądrość ludu polskiego; nie wzywał do rozprawy z reżimem, przeciwnie, uczył gotowości do przyszłych rozmów, uczył zdolności przebaczenia. Wymyślił dla nauki rozmów „uniwersytet parafialny", do którego mnie ściągnął, żebym go poprowadził, słuchacze najwyżej ocenili „trening negocjacyjny" Jacka Santorskiego. Powtarzał Jurek: „musimy nauczyć się rozmawiać" i „zło dobrem zwyciężaj". Jurkowi i takim jak on duszpasterzom Polska w dużej mierze zawdzięcza niedostrzeżony cud pokoju. Nie brakowało nam wybitnie uzdolnionych chemików (wśród nich był i mój bliski przyjaciel), bez trudu wyprodukowaliby plastik, którego jedna grudka rozwaliłaby kawał KC. Nie brakowało też elektroniki do zdalnego sterowania wybuchami. Ale młodzi ludzie, marzący o walce zbrojnej, o partyzantce miejskiej, posłuchali swoich duszpasterzy i nie obrócili miast polskich w piekło.

Na Jurka „msze za ojczyznę" przychodziło po sto tysięcy ludzi i więcej. Kochano go, w jego ludzkiej mądrości tak wiarygodnego. I właśnie Jurka, tak kochanego przez wszystkich, porwało 19 października 1984 roku i zamordowało kilku zbirów z departamentu SB, zajmującego się Kościołem. Jego, a nie innego młodego księdza, gwałtownego agitatora... Tej zbrodni życzyła sobie prawdopodobnie Moskwa, licząc na rozruchy po niej, tak, by rządząca ekipa wojskowa nie zareagowała dość mocno i została pryncypialnie obalona przez twardogłową większość KC partii. Jednakże wykryli sprawców dwaj oficerowie pionu kryminalnego Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Tu zagadka: pewnego dnia, w czwartek, Bogumił Studziński, działacz Klubu Inteligencji Katolickiej, przyniósł wiadomość o śmierci obu, jednego mieli zatłuc nieznani sprawcy w jego ogródku, a drugi się postrzelił śmiertelnie, czyszcząc broń. Nazajutrz podano, że zginęli obaj tegoż rana, czyli w piątek, w wypadku samochodowym – coś tu nie zgadza się do dziś... Tak czy siak, generał Jaruzelski mógł rozprawić się z rywalami w elicie władzy, gotowymi usłużniej spełniać życzenia Kremla. Morderców aresztowano, postawiono przed sądem i skazano. Ich patrona usunięto z władz partyjnych. Także – za operację „Żelazo".

To jeszcze jedna zagadka... Dziennikarze wiedzieli od wczesnych lat siedemdziesiątych, że wywiad PRL organizował wówczas pod takim kryptonimem napady rabunkowe w miastach Zachodu, dla zdobycia pieniędzy na swoją działalność. Ku naszemu zdziwieniu po roku 1989 zachodnie kontrwywiady o nic Warszawy nie pytały; być może tych napadów nie wiązano z wywiadem PRL - cóż, jeśli angażował on do nich włamywaczy miejscowych, to ci, nawet ujęci, nie sypali, znając mściwość takich zleceniodawców. Jednakże były ponoć i ofiary śmiertelne... Do dziś sprawę kryje milczenie.

Ronald Reagan jako prezydent Stanów Zjednoczonych dalszą kampanią na rzecz praw człowieka z jednoczesnym wyścigiem techniki zbrojeń zepchnął ZSRR całkowicie do defensywy. W Afganistanie pasterze bydła strącali pociskami z amerykańskich „stingerów" sowieckie helikoptery i samoloty. W Warszawie amerykański ambasador, John Davis, przyjmował w swej rezydencji czołowych ludzi polskiej opozycji na równi z przedstawicielami władz państwa. Ekipa Jaruzelskiego nie nasilała represji, stan wojenny w Polsce był łagodną wersją systemu w porównaniu z „normalną" niby Czechosłowacją. Łamanie prawa natychmiast wychodziło na jaw; burzyło krew, ale mimo to społeczny ruch oporu nie sięgał po drastyczne środki rewanżu. Wyłonił z czasem swoje elity, wyłonił swoją reprezentację. Była to tzw. „sześćdziesiątka" - przywódcy Solidarności i wybrani przed Grudniem szefowie stowarzyszeń twórczych i naukowych, struktura dość płynna, bez żadnych upoważnień poza dyskusją i reprezentacją. Przekształciła się potem w „Komitet Obywatelski" przy Lechu Wałęsie.

Nikt serio myślący nie spodziewał się upadku reżimu, chcieliśmy rozmów, powrotu Solidarności. Wbrew dzisiejszym mitom ideę powołania „gabinetu cieni" wręcz w Komitecie Obywatelskim potępiono jako mącącą w głowach mrzonkę, niebezpieczną, bo władza „uzna to za próbę obalenia ustroju", czyli pretekst do nowych prześladowań! Chodziło zaś mnie i Reiffowi tylko o to, by każdy „minister" zgrupował fachowców „swojej" dziedziny, i żeby myśleli, co z czym zrobić, kiedy już będzie wolno, kiedy władze pozwolą coś pożytecznego robić... W rezultacie nad przyszłością pracowały tylko zawiązane poza Solidarnością różne grona innych moich przyjaciół, Zygmunta Skórzyńskiego grupa dyskusji o przyszłej polityce międzynarodowej Polski, i grupa Jerzego Regulskiego, z badaniami nad samorządem. Nieznany zaś szerzej, młody ekonomista, Leszek Balcerowicz, z grupą swoich kolegów pracowali, też poza Solidarnością, nad przejściem od gospodarki planowej do wolnego rynku. Nie miała więc opozycja w rzeczywistości ani programów, ani przygotowania do ich realizacji. Może i nie ma co się dziwić: zanikły już takie tradycje, opór zaś wymagał dzielności, nie dyskusji o rozwoju kraju, miasta czy gminy.

Kiedy system sowiecki zaczął się ostatecznie rozkładać, na Kremlu po śmierci ostatniego ze starców reżimu zasiadł w roku 1985 Michaił Gorbaczow, który w pouczającej osobistej podróży, ciekawy świata, poznał życie Zachodu. Podjął próby reform dla ratowania systemu. Ogłosił „pierestrojkę", przebudowę, pierwsze kroki w stronę rozsądku i porządku. Atmosferę w całym obozie sowieckim zdetonowała jednak wiosną 1986 r. - porażająca katastrofa elektrowni atomowej w Czernobylu. Wstrząsnęła Gorbaczowem - jakby zajrzał w dno piekła. Ogłosił po niej „głasnost'", czyli jawność życia publicznego. System nie wytrzymał i tego, zaczął się niemal w oczach rozłazić. Także w Polsce. I wtedy właśnie doświadczeni w negocjacjach przedstawiciele Kościoła, biskupi Bronisław Dąbrowski i Tadeusz Gocłowski z księdzem Alojzym Orszulikiem jęli poufnie negocjować z polskim aparatem władzy. Po kilku miesiącach generałowie zdecydowali się na otwarte rozmowy z reprezentantami społeczeństwa, za jakich uznano Komitet Obywatelski z Wałęsą. Wbrew historykom, to nie prof. Stelmachowski, prezes warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, starał się o rozmowę z sekretarzem KC, Czyrkiem; sam akurat podniosłem w KIK-u słuchawkę z pierwszym telefonem Czyrka, zapoczątkowującym kontakty – to on chciał rozmawiać ze Stelmachowskim.

Gorbaczow najwyraźniej zaakceptował rozmowy polskie. ZSRR nie miał pieniędzy, by wykupić PRL z bankructwa. Polska stała na granicy finansowej katastrofy, ale nikt nie mógł wtedy niczego na ekipie Jaruzelskiego wymusić; strajki roku 1988 były na razie słabe, a społeczeństwo po prostu zmęczone - choć nieskłonne do poddania. I to partyjny przedsiębiorca, Mieczysław Wilczek, jako minister przemysłu, szukając przełomu, zasadniczą reformą wprowadził wolny rynek. Ale 80% gospodarki w rękach państwa po prostu samo produkowało inflację, bo załogi wymuszały na państwowym pracodawcy kolejne podwyżki płac, a w reakcji na nie rosły ceny. Do tej pory tę jedyną dziedzinę, pieniądz, kontrolowali fachowcy, teraz wszystko pękło. Reżim okazał się kompletnie bezradny. Jedynym ratunkiem byłby nowy stan wojenny z zamrożeniem płac i cen - czyli z przyznaniem się generałów do klęski. Stąd ich wniosek, że trzeba wszcząć rozmowy.

Oni decydowali, kogo zaproszą do nich. Wykluczyli Kuronia, Michnika, mnie i jeszcze kogoś. Po wstępnych rozmowach okazało się, że Kuroń i Michnik nie gryzą (mnie przy nich nie było). Negocjatorzy kościelni listę skorygowali – zaproszono przywódców Solidarności, jej doradców i władze stowarzyszeń, które miały za sobą mandat wyborów. Przywódcy małych, „kanapowych" partii politycznych nie mieli żadnego mandatu poza

swoimi poglądami. Jeśli żywili więc pretensje, to bezzasadne. Przedwczesne. Czas na organizowanie partii miał dopiero przyjść.

Siadaliśmy z początkiem roku 1989 do rozmów z mieszanymi uczuciami. Komitet Obywatelski, „strona społeczna", nie mógł się uchylić od Okrągłego Stołu i czekać, aż system rozpadnie się sam. Ani społeczeństwo, ani Zachód nigdy by tego Wałęsie i Komitetowi Obywatelskiemu nie darowali. Na „obalanie" zaś nie mieliśmy czołgów. I to generałowie odkryli, że bez społeczeństwa nie da się rządzić. Tylko, że wcale nie zamierzali władzy oddać – wbrew szerzonym dziś iluzjom. Łatwo to sprawdzić faktami. Okrągły Stół miał „stronę społeczną" obciążyć współodpowiedzialnością za los kraju - bez równoważnych temu kompetencji. Tak też projektowano i wybory - z wolnymi wyborami tylko na 35% miejsc w sejmie i na wszystkie fotele w półdekoracyjnym, odtworzonym po 50 latach senacie. Spośród sejmowych mandatów poselskich 50 miejsc przydzielono kandydatom bez przeciwników, nawet „swoich", byle uzyskali poparcie co najmniej 50 % wyborców, co się wydawało oczywiste, bo któż będzie się nimi interesował! Resztę władza zastrzegła do wyborów między kandydatami swojej partii i „stronnictw sojuszniczych". Co więcej, telewizję objął Urban, znienawidzony za swą pogardliwą arogancję rzecznik prasowy rządu, ale świetny dziennikarz. Nie zamierzał sam kandydować. Zamierzał wpływem telewizji i kandydaturami gwiazd telewizyjnych zapewnić władzy jeszcze kilkanaście miejsc z wolnych wyborów – co by oznaczało pełną legitymizację rządu...

Generał Jaruzelski znał rozczarowania demokracji w Polsce z lat 1919-1926, chciał postawić na czele państwa ludzi mądrych i kompetentnych, a popularnych, dlatego dopuścił na listy partyjne kandydatów - spoza aparatu partyjnego. Pozwolił ich zgłaszać – stowarzyszeniom technicznym i naukowym. Ale władza nie znała ani ich, ani nas. Nie wiedziała, że kandydaci tak zgłaszani to fachowcy na stanowiskach, którzy musieli zachować legitymacje partyjne, by chronić swoich pracowników członków Solidarności, a sami byli często zwolennikami radykalnych nawet zmian w zarządzaniu i polityce! Porozumiawszy się cichcem, poprzez władze tych stowarzyszeń wprowadziliśmy na listy partyjne i „stronnictw sojuszniczych" ponad 110 takich ludzi, naszych kolegów i przyjaciół.

Po Okrągłym Stole strona społeczna mogła uruchomić gazetę codzienną. Urban wiedział jako zawodowiec, że na stworzenie nowej gazety codziennej trzeba co najmniej kilku miesięcy, zaś amatorom z trudem starczy i rok. Wybierać mieliśmy zaś bardzo niedługo, już 4 czerwca, władza nie miała się czego bać, opozycja po prostu nie mogła zdążyć. Jednakże Adamowi Michnikowi, jednemu z bohaterów KOR-u, redaktorowi naczelnemu, przyszliśmy w sukurs, zawodowcy, najlepsi jacy byli, po 13 grudnia pozbawieni pracy. „Gazeta Wyborcza" ruszyła po miesiącu. Zmobilizowała - jak i radio „Wolna Europa", już nie zagłuszane - setki tysięcy wyborców.

Do ostatniej chwili aparat władzy spodziewał się sukcesu. Nawet Urban. Powiedziałem Wolnej Europie - już przy swobodzie rozmów z nią - w początku kwietnia, że niepewne są tylko dwa mandaty ze 161 w wolnych wyborach do sejmu i że weźmiemy 91 – 94 miejsc ze stu w senacie. Pokpiwano z tej utopii. Na tydzień przed wyborami podwyższyłem prognozę do 161 całkowicie pewnych miejsc w sejmie i 94 - 96 w senacie. Na posiedzeniu partyjnego sztabu wyborczego, jak usłyszałem, Urban mianował mnie „optimistienką". Obawiał się nawet, że Solidarność weźmie za mało mandatów, co wyborom ujmie wiarygodności.

Aparat władzy od wojskowej pracowni badań opinii publicznej dostawał realne, niekorzystne prognozy. Wierzył raczej w to, w co chciał wierzyć. Zrobił na nim wrażenie plakat z legendarnym w Polsce Garym Cooperem ze słynnego filmu „W samo południe", z kartką wyborczą Solidarności w ręce. Ale tego aparat nie zrozumiał, a Wałęsę uznał sławą przebrzmiałą. Stąd miażdżące zwycięstwo „strony społecznej" 4 czerwca 1989 r., z 99 miejscami w senacie!, było dla aparatu zupełnym szokiem. Ich świat się zawalił. Choć to jeszcze nie było wszystko.

„Nasi" kandydaci z list partyjnych, z owych zastrzeżonych dla władzy 65 %, na ogół nie przeszli w pierwszej turze. Ale i konkurujący z nimi aparatczycy też nie. Z listy elity owych pięćdziesięciu kandydatów bez konkurencji tylko dwóch przekroczyło wymagane, ot, dla pozorów, 50 % głosów. W przypadku pozostałych - dwóch pierwszych z każdej listy czekał więc 18 czerwca baraż. Podaliśmy naszym wyborcom, na kogo trzeba iść jeszcze raz głosować, i wyborcy – poszli drugi raz. „Nasi" kandydaci wzięli górę. Sprawdziło rzeczywisty podział sił pierwsze w nowym sejmie głosowanie - nad reformą Balcerowicza. „Strona społeczna" wygrała 282 głosami z 460...

Generałowie - z armią, bezpieką, milicją, setkami tysięcy uzbrojonych ludzi, z administracją, rządcami gospodarki i banków - mogli cofnąć historię. Nawet jeśli wiedzieli, że sporo ludzi aparatu władzy wolałoby już gospodarkę rynkową, trzeba oddać generałom, że uszanowali wyniki wyborów jako wyrok narodu. W dwa miesiące później Wałęsa dogadał się z dotychczasowymi „stronnictwami sojuszniczymi" PZPR, czyli Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. I Polska zrobiła następny krok w swoim przewrocie: sejm, nazwany później „kontraktowym", wybrawszy Jaruzelskiego w uzgodnionym akcie lojalności prezydentem, powołał pierwszy po 50 latach demokratyczny rząd w Polsce. Czyli - rząd Polski znowu niepodległej.

Zdumiało świat, że „Wallenrodowie" pokojowo oddali władzę, a radzieckie czołgi nie ruszyły bronić „socjalizmu". Gorbaczow snadź ocenił, że nie ma sensu podtrzymywać czegoś tak przejrzałego. Co więcej, tak pojęła chyba sytuację i warstwa panująca PRL, tzw. „właściciele Polski Ludowej". Jeśli nawet menedżerowie przemysłu czekali tylko na reformy, a w gospodarce rynkowej klasa do tej pory rządząca lepiej potem sobie radziła niż była opozycja, to jednak ci ludzie wyrzekli się wcześniej władzy nieograniczonej i niepodważalnych przywilejów, gwarantowanego dobrobytu i wygody rządów. Weszli w praworządność, demokrację i gospodarkę rynkową, jakby tego sami chcieli... Zawierzyć mogli nam, drugiej stronie, tylko na słowo honoru, licząc jedynie na jej, nasz, zmysł praworządności. Niczego sobie nie mogli obiecać, a przesądzili swą zgodą, bez żadnego sabotażu i awantur, o pokojowym trybie Wielkiej Przemiany. Tak dokonał się fenomen w skali światowej – niewzruszalny system nie to, że runął. Przeminął. Bez wojny domowej, zdawałoby się, nieuchronnej, i bez hałasu. Tego wyjątkowego zjawiska społecznego i politycznego do dziś nie poddano wnikliwej analizie.

Pierwszy demokratyczny premier, Tadeusz Mazowiecki, główny przez lata obok Bronisława Geremka doradca Wałęsy, okazał się godnym swej roli pierwszym mężem stanu Polski Niepodległej. Trzeźwy i ostrożny, stanął wobec niebywałego wyzwania. Zmontował rząd z nielicznych dostępnych fachowców i najmądrzejszych ludzi, zdolnych podjąć role w administracji państwa. Generał Kiszczak, nim odszedł, zaskakującym gestem usunął z MSW partyjnych mianowańców, zostawił tylko „zawodowców", by ułatwić podjęcie funkcji ministrowi polskiej demokracji. Ku ogólnemu zdumieniu depeszę z gratulacjami, adresowaną do „premiera pierwszego demokratycznego rządu Polski", przysłał - Edward

Gierek! Generał Jaruzelski jako wybrany przez sejm prezydent gwarantował spokój ze strony byłej klasy panującej. Ale i jej gwarantował, że jej nie zjemy.

Polski nie poniosła radosna euforia. Euforia potem ogarnęła jesienią narody Węgrów, Czechów, Niemców z tzw. NRD, kiedy z dnia na dzień ich komunistyczne władze wzorem Polski oddały pokojowo władzę. U nas niepodległość zaskoczyła i społeczeństwo, i jego przywódców. Nikt z opozycji do przejęcia władzy się nie przygotowywał. Wszyscy jakby jeszcze nie dowierzali, że mogło stać się coś tak nieprawdopodobnego, i nerwowo czekali, co dalej.

Mazowiecki rozglądał się za kimś, kto mógłby poradzić sobie z zapaścią gospodarki. „Potrzebuję swojego Erharda" (Ludwig Erhard po 1945 r. przy Konradzie Adenauerze stawiał na nogi gospodarkę zachodnich Niemiec), mówił najbliższemu współpracownikowi, ekonomiście Waldemarowi Kuczyńskiemu. O Leszku Balcerowiczu i jego wieloletnich pracach nad przejściem do gospodarki rynkowej nawet nie słyszał; ale znał je - Kuczyński. Starsi panowie z kręgu ekonomistów potwierdzili – tylko Balcerowicz. Jerzego Regulskiego i prace jego zespołu nad samorządem Mazowiecki znał sam.

Ustawy dla przełomowych reform opracowali fachowcy - „nasi" posłowie, wybrani przez naszych wyborców z list partyjnych. Dzięki nim w grudniu 1989 r. sejm uchwalić mógł 13 ustaw dla reformy Balcerowicza (za którą powinien on dostać nagrodę Nobla) i w lutym roku 1990 - reformę samorządową. Pierwsza oznaczała stopniowe zablokowanie galopującej inflacji i skokowe przejście do wolnego rynku z wymienialnym pieniądzem; druga odkorkowała inicjatywę obywatelską w społecznościach lokalnych. Rząd Mazowieckiego otworzył tymi reformami inną przyszłość. Ówczesną odporność nerwową i spokój Mazowieckiego trudno byłoby przecenić: swoim autorytetem i wiarygodnością chronił oba niebywałe przedsięwzięcia. Oba one w konsekwencji przeobraziły Polskę – jak i polski impuls zmienił mapę polityczną świata w skali jednej szóstej globu, od Łaby do Władywostoku. Borys Jelcyn, następca obalonego Gorbaczowa, z pierwszym prezydentem niepodległej Białorusi, Stanisławem Szuszkiewiczem, rozwiązali Związek Radziecki! Tak to Polska dała początek innej historii świata, zgoła niespodziewanej.

Współczesność, teraźniejszość, z natury rzeczy już do historii nie należy. Proszę jednak tych naszych dwudziestu paru lat kolejnej odbudowy nie porównywać z 20 latami po roku 1918. Istnej powieści, jaką w sensie dramaturgicznym była ukazywana tu historia Polski Polsce, nie kończy tradycyjne „i żyli długo i szczęśliwie". Polsce po roku 1918, choć wyniszczonej, a politycznie dewastowanej samolubstwem i samowolą politykierów, zwłaszcza - endecji, nie brakowało fachowców, i to na światową miarę. Dzisiejsi Polacy niemal wszystko robią od nowa, od zera, bez żadnej ciągłości wiedzy i umiejętności – przy sabotażu państwa ze strony dzisiejszych następców endecji i przy awanturach, które wszczynają „spóźnieni na barykady", niedoszli bohaterowie oporu. Pomaga jedynie zdrowy rozsądek. A i on zawodzi nieraz przy braku doświadczenia. Nie zawodzi tylko - mimo nieustannej propagandy malkontentów - polski optymizm. Wierzymy, że będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Spis treści

..... 0
1. SKĄD JESTEŚMY 1
2. NASI ZAPOMNIANI, INTELIGENTNI PRA-KUZYNI 8
3. KU CZCI KOBIET ZJADANO MĘŻCZYZN 15
4. NASZ PRZODEK NIEDŹWIEDŹ 22
5. MIECZE KALANE W BŁOCIE 29
6. NICZEGO BEZ POWSZECHNEJ ZGODY 36
7. KTO WYBRAŁ NAM CYWILIZACJĘ 43
8. JEDNAK SIĘ NIE ROZPADŁO 50
9. JAK RODZIŁA SIĘ POLSKA 57
10. GOSPODARNOŚĆ ZAMIAST RABUNKU 64
11. BOGATA BULANIJA 71
12. WIECE – ANACHRONIZM JAKO PRZYSZŁOŚĆ 78
13. BY ZROSŁA SIĘ JAK CIAŁO ŚWIĘTEGO 85
14. CI, CO TWORZYLI PAŃSTWO 92
15. LICZYĆ TWIERDZE CZY KOCHANKI 99
16. ICH MOCNE, ZDROWE PAŃSTWO 106
17. WALCZYĆ MIECZEM I MYŚLĄ 113
18. KTO NAPRAWDĘ POKONAŁ KRZYŻAKÓW 120
19. KIEDY POJAWIĄ SIĘ ZBUNTOWANI 127
20. WIEK ZŁOTY 134
21. POLSKA WMIESZKANYCH POLAKÓW 141
22. KORCE, ŁASZTY, INTELEKTUALIŚCI I MUZYCY 148
23. PIERWSZE WIELKIE STRONNICTWO POLITYCZNE W EUROPIE 155
24. ZIEMIA OBIECANA MICHAŁA Z MONTAIGNE 162
25. LUXUM 169
26. ROZKŁAD 176
27. NIGDY NIE NALEŻY TRACIĆ NADZIEI, JEŚLI CHODZI O RZECZPOSPOLITĄ 183
28. KIEDY WSZYSTKO OKAZUJE SIĘ MOŻLIWE 190
29. OD NADZIEI DO KATASTROFY 197
30. OD KATASTROFY DO NADZIEI 204
31. NIM PORZĄDEK ZAPANOWAŁ W WARSZAWIE 211
32. TAM LEPIEJ, GDZIE TRUDNIEJ 218
33. PO LATACH PRACY KRWAWE BOHATERSTWO 225
34. BYŁY TRZY POLSKI... 232
35. ZAPOMNIANE LATA 239
36. NASZA SYBERIA 246
37. POZA HISTORIĄ 253
38. JAKŻE RÓŻNY FIN DE SIECLE... 260
39. Z KIM W JUTRO 267
40. OD ŻARTÓW DO GRUZÓW 274
41. I NI Z TEGO, NI Z OWEGO... 281
42. CO ZROBIĆ Z WOLNOŚCIĄ 288
43. WYŚCIG Z CZASEM 295
44. NIM PRZYJDZIE APOKALIPSA 302
45. PRZEJŚCIE PRZEZ PIEKŁO 309
46. JAK SIĘ WYCHODZI Z PIEKŁA 316
47. NIE PODDAĆ SIĘ MACHINIE ZŁA 323
48. MIĘDZY KAPITULACJĄ A KARABINAMI MASZYNOWYMI 330
49. FANTASTYCZNE WYDARZENIA, FANTASTYCZNE DNI 338
50. JAK ZMIENILIŚMY ŚWIAT 345